

Waligóra





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Waligóra

Waligóra

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

TOM I

A. PEUGOWI

staremu drubowi, w dowód najgłębszego szacunku dla człowieka i pisarza, dla charakteru i talentu, dla złotego serca jego powieść tę przesyła

Autor.

Drezno.

d. 25 Września 1879 r.

I

Gęstwiną puszczy odwiecznej, która niepewną granicę krakowskiej ziemi od Szlązka zalegała, drogą wijącą się między wybujałymi drzewy, za wałami i moczary — dziką, i zdającą się czasem ginać wśród zarośli i kłód przez wichry obalonych — sunął powoli, wśród uroczystej ciszy jesiennego pogodnego wieczora, długi orszak, któryby za processją kościelną wziąć było można, gdyby wszyscy udział w nim mający zamiast iść pieszo nie jechali konno...

W pośrodku prawie tego szeregu duchownych i rycerzy, dworzan, pachółków i służby najrozmaiciej poprzybieranej i zbrojnej, widać było podeszłego wieku mężczyznę, w którym, łatwo było poznać wysokie w hierarchii duchownej zajmującego stanowisko prałata. Z poszanowaniem otaczali go wszyscy, jechał jakby odosobniony, a wieczorne światło pięknego dnia na schyłku, oblewało twarz jego poważną łagodną aureolą.

Oblicze to było wpośród wszystkich obok niego i za nim widnych wśród zarośli, szczególnie piękne i wysłachetnione a opromienione świętością wielką i myślami wielkimi.

Pomimo wieku, twarzy spokojnej marszeczki prawie nie pofałdowały, zachowała młodzieńczą świeżość i siłę... Na pięknym czole rozjaśnionem, wyniosłem, nie było śladu ziemskiej troski, oczy poglądały z męstwem wielkiem i dobrocią, na ustach był uśmiech łagodny, a słodycz łączyła się tu tak z siłą i ufnością w nią harmonijnie jednocząc, iż cześć obudzał mąż ów a miłość zarazem...

Lekki płaszcz okrywał szerokie i wiekiem jeszcze niezgięte ramiona, a z pod niego widać było biskupie szaty, krzyż na łańcuchu u piersi i białą rokitę, która w podróży dziwną się zdawać mogła, lecz była oznaką dawnego ślubu zakonników Ś. Wiktora...

Na powolnym, ciężkim i silnym koniu jechał prałat ów, rzuciwszy mu cugle na szyję, koń nawykły widać do tego, sam sobie drogę wybierał, szedł swobodnie i śmiało, z głową spuszczoną, — a jadący wcale się oń nie troszczył. Oczy miał wlepione w niebo, usta poruszały się modlitwą, zdawał się oderwany od ziemi.

Wszyscy też za nim powolną stępią jechali, była to godzina niesporów i modlitwy wieczornej, które czasu nie tracąc, odprawiano w drodze.

Jadący w pewnym oddaleniu od Biskupa kantor z księgą otwartą w ręku, śpiew intonował, inni mu głosy zgodnemi odpowiadali... Duchowni mieli poodkrywane głowy lub lekkimi czapeczkami tylko osłonięte, reszta szyszaki i kołpaki zdjęte wiozła w rękach. Na twarzach wszystkich malowało się pobożne usposobienie i przejęcie modlitwą.

Konie nawykłe pewnie do śpiewu, znając że im przystało stąpać powoli i cicho, kroczyły niby odpoczywając i ledwie się ośmielił który chwycić zieloną gałąź, gdy mu się jak pokusa pod pysk nawinęła. Chrzęst zbroi żelaznych i mieczów mało co przerywał górą niosące się głosy, w których brzmiał pobożny zachwyty i wielka gorącość ducha.

Wiek to był takich namiętych uniesień ku niebiosom, cudów i extaz wielkich...

Orszak towarzyszący prałatowi w tej podróży dosyć był mnogi i sam już dostojność jego oznaczał. Nie było w nim błyskotliwego przepychu, ani coby na okaz oczom ludzi służyło, ale dostatek pański i skromna trwała zamożność, z jutrem się licząca, ludziom i koniom dworu nadawała cechę właściwą. Dwór jak pan czuł się bezpiecznym a pewnym siebie. Twarze zdały się dobrane tak by jedną rodzinę duchową składały. Jeżeli nie braterstwo krwi to powinowactwo myśli i obyczaju ich łączyło.

Coś z tej świętej pogody przodującego wszystkim biskupa, zlewało się na jego drużynę. Wprawdzie rysy były różne — lecz jak skąpane w jednym strumieniu łaski.

Gdy chwilami pieśń ustała, szumiący cicho las zdał się ją pokornym echem powtarzać. Ostatnie promienie blizkiego już zachodu słońca wdzierając się w puszcę gęstą i ciemną złościły wierzchołki drzew, a niekiedy przerzynały się i spływały po gałązkach i obnażonych konarach aż ku ziemi. Czasem promyk taki zlocisty zabłysnął na ramieniu zbrojnego męża, na czarnej sukni którego z duchownych, na szyszaku spartym o kark konia; na zwieszonej u ramienia małej tarczy, której gwoździe połyskiwały chwilę i wnet nikły w półcieniach.

Narescie intonujący pieśń ostatnią zamknął księgę, którą trzymał przed sobą, a z ust całego orszaku ozwało się powtórzone głosem podniesionym:

— Amen.

Biskup przeżegnał się i jakby po modlitwie potrzebował spoczynku, jechał czas jakiś milczący.

Poza nim wśród zbrojnych dworzan, czeladzi i pachółków ciche szepty zwolna się słyszeć dały. Zdawano się naradzać i jedni jeźdźcy przyzostawali dla rozmowy z drugimi, inni pochylali ku sobie z cicha coś pomrukując.

Zbrojni mężowie wkładali na głowy szyszaki i kołpaki, konie trochę żywiej poruszać się zaczęły i lby popodnosiły.

Puszcza z obu stron wciąż się wznosiła gęsta i wyniosła, — wspaniała rozrostem swobodnym i siłą którą z dziewiczej ziemi czerpała; lecz droga niekiedy tak się stawała wąską że orszak się rozsuwać musiał i przedłużać.

Wtem po prawej ręce jadących, gąszcz zrzedniała, rozsunęły się drzewa i polanę zieloną dostrzeżono, którą twarze wypatrujących czegoś zdala, powitały weselszym wejrzeniem.

W tejże chwili prawie, Biskup konia zwolna idącego, który podniósł był głowę i powietrza nozdrzami zaczerpnął — zatrzymał i zwolna głowę odwrócił szukając kogoś poza sobą.

Zgadując jego myśl podbiegł ku niemu w sile wieku mąż zbrojny, pięknej postawy, starając się uprzedzić pytanie. Oko jego przypadkiem padło pomiędzy drzewa i przystanął zdumiony. Dostrzegł dopiero wśród polany jakby rodzaj obozowiska, które równie go jak Biskupa zdumiało...

Stanęli wszyscy jadący i ścisnęli się w gromadę.

Biskup patrzył i ręką na dolinę wskazywał. Zbrojny mężczyzna spoglądał też, ale wejście jego badało próżno widok który się przedstawiał, nie mogąc sobie sprawy zdać z niego.

Na zielonej polanie u skraju lasu, nieopodal od jadących rozbity był namiot biały z powiewającą nad nim chorągwią białą, oznaczoną krzyżem czarnym. — Za nim u żłobów płóciennych żywiły się właśnie silne i rosłe konie. Widać było rozpalone ognisko, około niego kilkunastu uzbrojonych olbrzymiego wzrostu ludzi, których rycerskie rzemiosło odgadnąć było łatwo. U namiotu na pniach siedziało osobno dwóch starszyny, za których ramion płaszcze białe z krzyżami czarnymi spływały...

Krzątano się około namiotu i ogniska.

Biskup patrzył chcąc jakby przypomnieć coś sobie i po chwili się uśmiechnął. Właśnie zbrojny który ku niemu przybiegł miał się puścić naprzód aby dostać zapewne języka, gdy duchowny dał mu znak...

— Są to Bracia szpitalni, Maryi Panny, niemieckiego domu! Widziałem ich z temi płaszczami w Rzymie... lecz zkąd się tu u nas wzięli?

— Mamli jechać popytać? — odezwał się zbrojny.

— Nie będzie to potrzebem — rzekł Biskup łagodnie, — nie mogą to być inni tylko wysłańcy Zakonu, po których brat Pana naszego, Konrad Mazowiecki posyłał... Zboczyli pewnie z drogi, a jam rad że ich zobaczę i rozmówię się z nimi...

Z ciekawością przez gałęzie przypatrywali się jeszcze towarzyszący Biskupowi, — młemu obozowisku, gdy pasterz dał znak, i wszystko z miejsca ku dolinie się poruszyło.

Tentent koni i szcęk oręża teraz dopiero zwrócić musiał uwagę obozujących, którzy trochę niespokojnie skupili się. Dwa płaszcze białe podniosły się, poglądając ku lasowi. A wtem i Biskup a z nim drużyna jego cała wysunęła się z gąszczy i podjechawszy nieco, gdy cały orszak wy dobył się z nich, — stanęła.

Kilkaset kroków zaledwie dzieliły dwie owe gromadki; lecz dzień jeszcze był biały, jasny, obie się sobie dobrze mogły przypatrzeć.

I z szat i z orszaku musieli domyśleć się obozujący dostojnika kościelnego, pierwsi poruszyli się i po krótkiej naradzie, dwa białe płaszcze poczęły się zwolna zbliżać do stojącego na koniu Biskupa, który czekać na nich postanowił.

Lepiej im teraz mógł się przypatrzeć.

Dwaj rycerze, którzy jeszcze zbroi z siebie zrzucić nie mieli czasu, a szyszaki nieśli w rękach, byli to wzrostu ogromnego, silni i barczyści mężczyźni, jakby stworzeni do swojego rzemiosła, które im z oczów patrzyło.

Nie wiele po nich zakonu i zakonnego widać było ducha i gdyby nie owe płaszcze, a na nich krzyże trudno się kto mógł domyśleć braci ślubami pobożnymi związanej. Starszy z nich, który szedł przodem, bystre oczy czarne trzymał wlepione w Biskupa, a choć z krzyża i sukni mógł poznać w nim wysokiego dostojnika Kościoła wcale pokornej nie przybierając postawy, rosnął w butę powoli idąc ku niemu. Drugi postępujący za nim, jaśniejszego włosa, twarzy płomienisto czerwonej, dzikiego wejrzenia, szedł też z dumą głowę podnosząc.

Zbliżali się rozpatrując jakby do równego sobie; a że niepewni być mogli z kim do czynienia mieli, dla uprzedzenia ich o tem zsiadłszy prędko z konia, którego pacholek pochwylił, podszedł zbrojny dworzanin biskupi szybkim krokiem ku nim i pozdrowiwszy — już na widok jego zatrzymujących się Braci niemieckiego domu, rzekł:

— Książdz Pasterz nasz krakowski, Iwo...

Czarnowłosy poruszył głowę, dając znak idącemu za nim rudemu, i nie odpowiadawszy na to oznajmienie, kroczyć zaczął znowu do stojącego na koniu Biskupa...

Dawszy im podejść nieco — Biskup ręką ich pozdrowił naprzód, na co lekkim skinieniem głowy odpowiedzieli...

Iwo przemówił po łacinie.

— Bywajcie mi pozdrowieni, bracia mili a goście. Kędyż to was wiedzie ta droga?

— Do Płocka jedziemy wezwani przez księcia Konrada — odezwał się niepewną troską łaciną, czarny. — Chcieliśmy kraj poznać i nakładamy w podróży...

To mówiąc ręką dotknął zbroi i mianował się:

— Konrad von Landsberg Miles hospitalis S. Mariae Hierosol. — Potém wskazał na towarzyszącego mu rudobrodego i dodał:

— Otto von Saleiden!

Ten skłonił nieco głowę, ale ją podniósł natychmiast.

— Żeście braćmi tego zakonu, który się niegdyś wslawił i męztwem przeciwko niewiernym i miłosierdziem dla ubogich pielgrzymów — rzekł Biskup, — poznałem zaraz ze znamienia jakie wam Ojciec nasz, Papież a Biskup rzymski dał dla odznaki od Templarjuszów i Braci Johannitów... Bądźcie pozdrowieni na ziemi tej, dzieci moje... i niech Bóg w niej orężowi waszemu błogosławi...

Słyszeliśmy że książę Konrad nadać wam miał piękny kraj Chelmiński aż po granice Prusów...

Konrad von Landsberg zwolna postąpił ku Biskupowi, a Otto jego towarzysz podszedł także.

— Tak jest — odezwał się pierwszy — ale chociaż Cesarskie na to mamy potwierdzenie i Ojca świętego — chcemy wprzód sami oczyma swemi obejrzyć posiadłość, aby nas tu ten los co w Węgrzech nie spotkał. Krwią to przyjdzie okupywać, więc trzeba znać za co ją mamy.

Biskup nie odpowiedział nic. — Uplynęła chwila.

— Rozbiliście widzę obóz na noc — rzekł jakby rozmowę zwracając — a ja też nie wiem kędy spocznię... bośmy pono z drogi się zbili.

To mówiąc obrócił się do stojącego i czekającego rozkazów zbrojnego.

— Co na to mówicie, Zbyszku?

Uśmiechnął się.

Zagadnięty zniżając głos odpowiedział.

— Sądzę że droga nie była błędna, dobrze nam ją przepowiedziano, lecz do Białej Góry dostać się nie łatwo... mało kto zna przystęp do niej... odległości ludzie dają różnie... Winniśmy byli stanąć na noc przy granicy, a dotąd jej nie widać...

Rozkażesz W. Pasterska Mość z młodszych którego posłać na zwiady??

— Gdybyś W. Pasterska Mość, — przerwał Konrad von Landsberg, — tymczasem ubogiej braci, namiotu chciał przyjąć gościnność...

Wskazał w stronę obozu...

Zawahał się Biskup, lecz niepewność ta krótką trwała chwilę, konia potrącił zlekka i poszepnąwszy coś Zbyszkowi, sam w towarzystwie jednego duchownego ku namiotowi jechać zaczął.

Dwaj Bracia domu niemieckiego szli przodem prowadząc...

Biskup może nie tyle gościnności potrzebował jak wędrowcom się chciał przypatrzeć, nowym na tej ziemi na której jeszcze nigdy noga ich nie stała.

Mnożyły się naówczas zakony pobożne i rycerskie — milicja Rzymu i Kościoła. — W ziemi świętej powstałi dawniej Templariusze i Johannici, po nich Bracia szpitalu P. Maryi, mniszę reguły coraz nowe przybywały, sam Biskup Iwo widząc w nich krzewicieli wiary i pomocników najdzielniejszych Kościoła, wznosił klasztory Cystersom, Norbertanom, — wprowadzał Dominika bracią, a wkrótce i synowie Franciszka z Assyżu mieli przyjść ubodzy ubogi lud pocieszać.

Po dworach pańskich gdzie nie było rozpasania i dzikości, panowała pobożność niemal namiętna, a kobiety w niej mężczyzn wyścigały.

Cuda były chlebem powszednim, święci cudotwórcy roili i mnożyli się zbroje często zmieniając na kaptur i habit szorstki, secinami z ziemi wyrastały klasztory które nadawano bogato. — Pobożność stawała się upojeniem, zdało się że cały nawrócony świat chrześcijański szedł nie patrząc na ziemię z oczyma w niebo wlepionymi.

Kantykiem na chwałę Bożą rozlegała się odradzająca Europa.

Pomimo to zepsucie było wielkie, okrucieństwa szalone, namiętności poskramiane budziły się i wybuchały tem gwałtowniej, a po nich sroga, krwawa, bezlitośna pokuta.

Niejeden płaszcz królewski okrywał włosienicą okrwawione ciało, niejeden wczoraj możny władca szedł nazajutrz pieszo i boso do Rzymu pokutnikiem, a powróciwszy do domu zabijał brata i znów przywdziewał pasek żelazny, chłostą dobrowolną okupując swoje grzechy.

Duchowieństwo wszędzie na wspólny z panującymi rządziło, tak jak Cesarz rzymski na wspólny z Papieżem władał światem, i tak samo ono ścierało się z władzą świecką jak Papież z Cesarzami, którzy złamani klątwami szli przebłagiwać a nazajutrz do nowego buntu się rwali.

W tej walce o panowanie nad światem Rzym się też w rycerstwo opatrywał, a lękając aby mu Biskupi nie wypowiedzieli posłuszeństwa, mnożył zakony wprost zależące od Apostolskiej Stolicy, zakony z których jedne szły z modlitwą i krzyżem, drugie z pobłogosławionym mieczem.

Do ostatnich należeli Bracia Szpitalni niemieckiego domu, dziś wypadkami wyrzuceni z Ziemi świętej. Niedawno jeszcze nie mnodzy i nie możni, w chwili gdy ich spotykamy już w Niemczech opatrzeni dobrze, rozsiedli, a przez wielkich zdolności i powagi Mistrza zakonu Hermana von Salza w łaskach Cesarskich, w opiece papieżkiej, w miłości wielkiej u rycerstwa niemieckiego.

Do Jerozolimy nie mogąc iść szukali właśnie miejsca w Europie, w któremby ślubom i powołaniu mogli zadość uczynić. Nastęrczało się ono tu na pograniczu pogaństwa, a nieopatrność księcia Konrada Mazowieckiego dawała im ziemię na obozowisko, i wszystko co siedząc na niej podbić mogli...

Dwaj towarzyszący Biskupowi Iwonowi rycerze Konrad i Otto jechali właśnie opatrywać kraj w którym panować i wojować mieli.

Dano im orszak z osiemnastu olbrzymich pacholków zbrojnych, najroślejszych i najdzielniejszych jakich wyszukać w Niemczech można było; ciągnęli też za sobą czeladź liczną i wozów kilka...

Chociaż bracia zakonnicy na piersi noszący znak krzyża, dwaj Niemcy którzy wiedli Biskupa do namiotu swojego, ani obejściem się ni postawą niepodobni byli do pokornych mnichów, ani jak oni nie okazywali zbyt szanowania dla Biskupa; raczej go jako równego niemal sobie niż zwierzchnika zdając się uważać. Nawet wrażliwym wszystkim cześć twarz ks. Iwona i powaga jego na nich nie czyniła wrażenia.

W miarę jak się do namiotu zbliżał mógł się Biskup przekonać że te zakonu i zakonników suknie tylko i nazwisko ludzi ducha wcale nieklasztornego okrywały.

Knechty zebrane za namiotem patrzyły tak dziko na jadącego, jakby się nań rzucić były gotowe, a zamiast nabożeństwa za krzewy słychać było wesołą pieśń światową rozlegającą się ze śmiechami.

U wnijscia do namiotu samego, oprócz chłopiąt dwojga, którzy przy Konradzie i Ottonie służbę paziów sprawowali, postrzegł Biskup dwóch rycersko przyodzianych młodych chłopaków, swobodnie się rozglądających po okolicy, którzy ani płaszczów, ani żadnej oznaki zakonnej na sobie nie mieli.

Oba oni znać zamożnych rodzin dzieci, strojni byli wykwintnie, a twarze wesołe, uśmiechnięte, kipiące życiem, powiadały że się na tę wyprawę więcej dla zabawy niż z obowiązku wybrać musieli.

Tak było w istocie, bo gdy Biskup bliżej podjechał, dał znak brat Konrad aby przystąpili nieco, i rzekł wskazując na nich.

— A to są nowicjusze, którym się po dobrej woli zachciało nam towarzyszyć w tej wycieczce na północ, choć wątpię by z nich który myślał o ślubach zakonnych: mój synowiec Geron i Hans von Lambach...

Chłopcy którzy oczyma mierzyli przybywającego skłonili głowy i wnet poprawili trochę długich włosów które im na czoła i twarze opadły...

Pacholę wzięło konia z którego Biskup zsiadł powoli. Podniesiono wnijscie do namiotu i wprowadzono go by spoczął.

Na obozowisku w lesie, rycerskiem i zakonnem nie wiele się spodziewać było można, namiot zdumionemu nieco Biskupowi, nawykłemu do bardzo skromnego żywota wydał się do zbytku zaopatrzony we wszystko czego i po pałacach naówczas nie było znaleźć łatwo. Skóry i kobierce pokrywały naprędce urządzone siedzenia, stały przy nich dzbany i kubki srebrne, zbroi wykwintnej było do zbytku, i na lutni nawet nie zbywało. Wszakże sam Mistrz zakonu Herman von Salza słynął niegdy jako śpiewak i poeta, w pieśniach się kochano, więc i błędni rycerze lutnię z sobą wozili, aby po drodze nuceniem się rozrywać.

Za to księgi do modlitwy, ani żadnego znaku pobożności pod namiotem Biskup nie dostrzegł. Trochę smutku powiało po jego czole, lecz myśl je jakaś prędko wypogodziła.

Starszy z braci Konrad gospodarzyć począł pod namiotem i krzątać się aby przyjąć gościa. Lecz było dzień piątkowy, a Biskup Iwo surowym postem nawet w podróży go obchodził, podziękował więc za ofiarowany posiłek, prosząc o kubek wody i kawałek suchego chleba.

— Zgorszysz się z nas, miłość wasza, — rzekł słysząc to Konrad i uśmiechając się lekkomyślnie — my potrzebując sił do boju, a w drodze będąc dyspensujemy się od postów.

— Rzecz to waszego sumienia i reguły której ja tak dalece nie znam, — odparł Biskup — jak skoro nie grzeszna poządliwość a potrzeba powołania zmusza do tego...

Uczynił znak ręką i nie mówił więcej. — Nieco opodal przysiadł na pieńku Konrad i ocierając czoło — ciągnął dalej:

— Ogromneż to pustynie! Wszakby one dziesięć kroc by więcej ludu wykarmić mogły niż go mają! Lasy i lasy którym nie ma końca. Ledwie jedne się skończyły, juści drugie poczynają. Dla wojujących to niedogodna rzecz te puszcze i bagna. — Nieprzyjaciel w nich jak w twierdzy się kryje... a rycerstwo łatwo przepada...

Lada zasię w lesie... Wojna ta ciężką być może, choćby i z dziczą, a pierwszą pono rzeczą by się tu utrzymać — trzebić i ciąć.

— Tak — rzekł powoli Biskup Iwo — trzebiemy my też i wycinamy powoli, aliści las ten nie darmo nam dała Opatrzność, to nasza spiżarnia i skarbiec. Tu niehodowanego mamy zwierza podostatkiem, tu nam niezliczone pszczoły miód na pokarm a wosk dla kościoła zbierają... z tego lasu chata i wóz i socha i wszystko...

— Dla dzikiego jak ten ludu pewnie — odezwał się Konrad, — las jest skarbnicą, ale nie wyjdzie ze swej dzikości dopóki te lasy nie padną...

Biskup westchnął i wskazując ręką w dal, dodał.

— Wieki temu nie podolają... Tymczasem na te ręce co mamy, pola dosyć!

I pobłogosławił jakby cały ten kraj pustynny przed sobą.

Wszyscy z natężoną uwagą słuchali mówiącego Biskupa, — towarzysz Konrada i dwaj młodzieńcy stojąc we drzwiach namiotu, kilku knechtów zbliżających się do nich ukrad-

kiem. — Iwo mówił powoli z tym spokojem jaki daje wiek, doświadczenie i wielka wiara w Bożą Opatrzność.

— Jeżeli się wam te kraje któreście jadąc tu przebywali, pustynniami wydały, nad którymi już od dwóch wieków krzyż Chrystusowy świeci, co dopiero te które zająć macie?? Tamci jeszcze pogaństwo trwa, którego i pobożny Biskup Chrystjan wykorzenić nie mógł, ani mnodzy apostołowie przez niewiernych pomęczeni.

— Boć ich nie krzyżem ale mieczem chrzcić potrzeba i nawracać! — zawołał Konrad dumnie. — *Ego te baptiso in gladio!* powinno być hasłem naszym.

Iwo głową potrząsał.

— Nie kościelny to oręż ten wasz, — rzekł — lecz gdy inne się wyczerpały, a dzicz kościołom i naszym owieczkom zagraża...

— Owieczki te wasze, — rozśmiał się Konrad — któreśmy po drodze spotkali, do kozłów podobniejsze niż do trzodki spokojnej...

Towarzysze rycerza, żarcik ten jego powitali nietłumionym śmiechem wybuchem, a Biskup głową tylko potrząsał...

— Bez niemieckiego żelaza — mówił zachęcony powodzeniem Konrad, — bez niemieckich rąk, niemieckiego rozumu i zabiegliwości z tego kraju nic nigdy nie będzie. Dlatego wielce się pochwała książętom tutejszym iż niemieckich ludzi i obyczaj tu wprowadzają.

Biskup Iwo nie przeczył, lecz na twarzy jego znowu się obłoczek smutny pokazał i zniknął, a rycerz ośmielając się coraz bardziej, ciągnął dalej.

— Cesarze niemieccy nasi wiele kroć te kraje zająć chcieli orężem, bo się one im należą, tak jak i cała ziemia...

— Nad pogany zawojowaniami więcej prawa ma nasz Ojciec św. Papież rzymski i ten rozporządza koronami a rozdaje one... — rzekł Biskup.

— Ale co Rzymowi podlega, to i Cesarzowi przez to poddanem być musi — dodał Konrad, — dwie to władze nierozdzielne... — odparł rycerz... i dodał prędko.

— Niepotrzebnie w te dzikie kraje iść było z wojskami aby je tu jak Cesarz Henryk potracić od głodu i zdrady; niepotrzebnie wojować było, kiedy my je kropli krwi nie dając zagarniemy... Nie obejdą się one bez naszych rzemieślników, osadników, duchowieństwa i pomocy żołnierskiej... Niechaj tylko ciągną chłopci nasi, niech miasta budują — a ziemię te zajmujemy i niemieckimi uczynimy...

Biskup milczał jeszcze, spuścił głowę na piersi.

— Com rzekł o kraju iż dziki jest i na pół pogański, — kończył Konrad, — prawdę mniemam, lecz jakom w Magdeburgu słyszał i na dworze Cesarskim, z książęcami dwory lepiej pono, bo tam nasze księżniczki zaprowadziły wszędzie obyczaj i język niemiecki... Ślącycy panowie nasi są, naszym się stanie i książę Konrad, a dalej i drudzy...

Po drodze mnogośmy spotykali Sasów, ba i dalszych z Frankonii i Turyngii ludzi, którzy tu gromadami ciągną, wiedząc że ziemię darmo dostaną...

— Nic w tem złego — odezwał się Biskup, — że ci do nas idą a przynoszą nam z sobą naukę rzemiosł, i czegobyśmy nauczyć się radzi — z pomocą Bożą, na tej ziemi i otoczeni ludem naszym, staną się później naszymi. Wszyscy też ludzie braćmi są, wedle prawa pana naszego Chrystusa...

Krzyżak głową potrząsał.

— Mnie się widzi, — rzekł, — iż jako inne kraje barbarzyńskie któreśmy pozajmowali — tak i te niemieckimi stać się muszą... Samo imię tych ludów stare na niewolników ich piętnuje...

Wśród tej rozmowy, do której Biskup pijąc z kubka wodę i chleb jedząc, który na drobne kruszył kawałki, — mięszal się mało, zaczynało ciemnieć, gdyż i blizki las rzucał mrok wczesny na obozowisko. Ks. Iwo oglądał się niespokojnie trochę, gdy Zbyszek szybkim krokiem ku namiotowi się przybliżył.

Biskup jak gdyby przybycie jego przeczuł podniósł się z siedzenia i ku wnijściu pochylił.

— Cóż ty mi Zbyszku przyniósł? — odezwał się łagodnie.

— Tak jakem przeczuwał, — odparł Zbyszek z twarzą rozweseloną — granica Białej góry nieopodal już, ale — co po niej? obcego nikogo na Mszczujową ziemię nie pus-

czają, taki tu obyczaj, a co do grodu i do samego Mszczuja Waligóry, mówią że nikomu a nikomu, choćby najbliższym był i największym był — przystępu nie dają.

— Toć wiem że mój brat Waligóra zdziczał zupełnie — odrzekł Biskup łagodnie zawsze, — ale przecie mnie jako duchownego i brata swojego odepchnąć nie zechce i nie może.

Krzyżacy słuchający tej rozmowy zdziwieni szeptać zaczęli — a Konrad odezwał się ochoczo.

— Jeżeli W. Miłość potrzebować możesz posiłku naszego przeciw opornemu, rzecz tylko słowo... Miłoby nam było trochę z pochw zaspanych dobyć mieczów i pokazać co umieją niemieccy rycerze!

Biskup obie ręce podniósł do góry i prędko zawołał.

— Niechże mnie Bóg uchowa abym ja przeciw swoim aż przymusu używać miał!! Słowa mojego dosyć spodziewam się, będzie, aby mi się bramy otworzyły...

Brat mój dziki jest, cudzych nie lubi, od wszystkich się jak murem opasał, żyje sam ludzi unikając — lecz na mój głos nie będzie głuchym.

— Dziwny to jakiś więc czy zły jest człowiek, — wyrwało się Konradowi, — jeżeli się tak zamyka...

— Złym nie jest — rzekł Biskup — lecz wiele ucierpiawszy że niemal pustelnicze życie prowadzi, tego mu za złe poczytać nie można. Abym mu pociechę przyniósł dążę do niego...

— Więc jeżeli do onego grodu niedaleka droga, toć byśmy się i my mogli do orszaku Miłości Waszej przyłączyć — odezwał się Konrad — a choć dziwowisko jakie tutejszych krajów zobaczyć.

— Chętniebym was pod dach mojego brata zaprosił — odparł Iwo, — lecz gdybym z obcemi do niego przybył, zaprawdę mi to przystęp utrudniło... Zostańcie tu, a gdy ja zdobędę gród i uściskę brata, może go skłonię aby i wam dał gościnę.

Krzyżak schylił głowę i nic nie odpowiedział. Biskup pobłogosławił ich dokoła i wśród milczenia wyszedłszy z namiotu, dosiadł konia swojego.

Orszak jego, który był u kraju lasu trochę spoczął, wnet też do koni się wziął i za Biskupem podążał.

Wszyscy krzyżacy ludzie kupą zebrani zdala się jadącym przypatrywali. Konrad też, Otto, młodzi Gero i Hans z namiotu powychodzili i gwarzyli wesoło...

— Szkoda, — zawołał piękny Gero, po cichu, rękami poprawiając włosy, które mu na ramiona spadały i trochę niewieścią dawały fizjonomją tem bardziej że na twarzy ledwie się złocisty puszek wysypywać zaczął, — szkoda że ten smutny Biskup tak nas niegrzecznie się pozbył — bylibyśmy na grodku jego bratanka polskiego piwa się napili i może jaką niebrzydką zobaczyli niewiaścę!

— A tobie one tylko w głowie! — rozśmiał się Hans, który wesa już mógł pokręcić, i tem prawem, choć nie wiele starszy, Geron za wyrostka sobie poczytywał.

— Wyście nie lepsi — rozśmiał się Geron... — Pamiętacie zawczora jakeście to w polu za białą się uganiałi podwiką...

— Tylko mi tego nie przypominaj zawodu — krzyknął Hans namiętnie — koniam zhasał, a baba która ze strachu na ziemię padła gdym ją dogonił, ostatni ząb jaki miała wybiła sobie...

Śmieli się wszyscy.

— Prawdę rzekłszy — mruknął cicho Konrad, który rozmowy słuchał — tu jeszcze kobiet nazwiska tego godnych nie ma, są stworzenia dwunożne, z których one może kiedy wyrozna!! Szczęściem że myśmy z Ottonem śluby czystości złożyli.

Otto się rozśmiał.

— Rozgrzeszą nas gdy je nadwerężymy, — rzekł, — ale w tym kraju nie ma pono niebezpieczeństwa, a miłośna pieśń, którą Gero tak nuci że za serca chwyta, tu mu nikogo w sieci nie wpędzi...

Wieczór był ciepły i piękny, a mimo postu piątkowego, który im Biskup przypomniał, na wieczerzę piekł się udziec sarny zabitej po drodze. Konrad kazał zastawić stół na dworze; we czterech zasiedli doń Krzyżacy i ochotnicy z wesołą myślą, którą ze dzbanka nalane w kubki wino, pomnożyło.

— O Biskupie Iwonie, któregośmy spotkali dużom slyszal — rzekł Konrad — i nie przeciwi się to com wiedział temu co widziałem dzisiaj. — Mąż to ma być wielce świętobliwy i pobożny. Dobrze on stoi w Rzymie, a bratanków swych dwu dawszy na wychowanie O. Domingo, już z nich zrobił apostołów i zakon kaznodziejski do Krakowa wprowadził...

Prawą ręką ma być książęcia krakowskiego Leszka, który bez niego nie czyni nic...

— Ale nam po nim też nic — przerwał cicho zabierając się do przyniesionego mięsiwa Otto — nam po nim nic, bo pono co miłe Leszkowi to naszemu Konradowi obmierzłe...

Konrad się ku niemu zwrócił.

— Nie wojują przecie bracia z sobą — rzekł powolnie.

— Ale Konrad nienawidzi starszego, jak gloszą, — dodał Otto, — co nie nowina między braćmi. Młodszy jest, wyprawili go w puszcze i błota na splachęć ziemi, w której mu się utrzymać trudno, co za dziw że wolały w Krakowie siedzieć spokojnie?

— Z tego co się tu i ówdzie po drodze slychiwało — odezwał się do tych milczących Hans — zdaje się że Leszek w księżowskich rękach, pobożny pan a miękki, choć mężny, wojny nie lubi. Konrad jeżeli go z siodła nie wysadzi, to byle spadł na nie skoczy, i wszystkim zawładnie. Tak ludzie prorokują.

— Źle wróżą — przerwał Konrad marszcząc się, — jakby to na granicy silniejszych a bliższych Ślązkich nie było... co już Niemcami są i siłę mają a rozum nasz...

— A cóż pomogło Władysławowi temu długonogiemu, o którym nam w Magdeburgu opowiadali — odezwał się Hans, — że Niemcem jest i obyczajem i mową?... Toć siedział na Krakowie, a jak się dał wziąć nań, tak się dał z niego dobrą wolą wyprosić.

— E! — krzyknął Konrad — bo ten Władysław, niemiecki ma język, prawda, ale serce miał polskie. Dobry człek, a z dobrocią do kądzieli nie na koń.

Rozśmieli się wszyscy potwierdzając.

— No to i Ślązcy nic nie wskórają — dodał Hans uparcie, — boć książę Henryk chodził już pono raz pod Kraków i skończyło się na tem że im księża kazali się uściskać i zgodę zapisać!!

— Książę Henryk Wrocławski pobożny pan — odezwał się drwiąco Konrad — Biskupowi nic nigdy nie odmówi... Temu tylko kaptura braknie by mnichem był — a żona mniszka prawdziwa...

— Więc bądź co bądź — rzekł Otto — naszemu księciu Konradowi najlepsza gwiazda świeci, bo ten slyszę, serce ma kamienne a ręce żelazne... Życie ludzkie mu za muchę nie stoi... Z duchownymi też jak go slychają dobry, jak się ostro stawia, — nie patrzy czy łysina na łbie — i...

— Daj pokój naszemu — odezwał się Konrad — przecieżeśmy to jego lennicy i bronici go powinniśmy.

— Jako, lennicy? — oparł się Otto, — nie lennem nam prawem ziemię dają ale dziedzicznem... Mistrz nasz Herman jest księżęciem Cesarstwa i my nikomu lenna ani pokłonu nie winniemy krom Cesarza!!

Konrad zamilkł chwilę, potrząsając głową...

Kubki nalane na nowo, wychylano...

II

Mrok już był dobry, gdy na jedynym gościńcu, który przez las prowadził, zdała się coś ukazało jakby ogrodzenie wyniosłe i brama.

— Otóż i granica Białej Góry! — zawołał Zbyszek...

W owych czasach gdy większej części posiadłości rubieże były wątpliwe, a miedz, kopców i granic nie pilnowano tak baczenie, bo pustej ziemi dosyć było — obwarowanie tak ściśle, musiało się czemś wydawać osobliwem. — Biskup stanął i patrzył długo milcząc, inni też spinali się na koniach szepcząc i uśmiechając się. Ruszano ramionami.

Orszak cały, który się był wstrzymał na krótko ciągnął ku zagrodzie, widoczniejszej już coraz...

Gościńiec przecinał głęboki parów, wał, a na nim stało ogrodzenie i widniała dosyć mocna dawniej, teraz trochę opuszczona brama zamknięta. Nie dochodząc do wału

przyparta do niego nędzna, rozkraczona szeroko siedziała buda której dach ladajako posuwaniem dranicami pobity, cały kurzył dymem od wewnątrz płonącego ogniska. Przez małe otwory w jej ścianach, o mroku wieczornym błyszcząco świeciło światło czerwone.

Ludzie tu więc byli.

Niedługo na ukazanie się ich czekać było potrzeba, gdyż jak tylko stąpanie zbliżających się koni posłyszano w chacie, naprzód jedno okno przyciemniało, bo je ktoś wyglądając niem głową zaparł, potem skrzyknęły drzwi i człek jakiś wyszedł naprzeciw jadącym. Stał jak wryty u progu, zdając się oczom nie wierzyć gdy zobaczył tyle ludzi i koni.

Zbyszek chciał ku niemu podjechać, gdy Biskup ręką nań skinąwszy aby pozostał, sam się do strażnika przybliżył i pozdrowił go obyczajem chrześcijańskim.

Stróż był człek stary, silny jeszcze, z brodą siwą postrzyżoną i głową odkrytą już wytysiałą. Na sobie miał kożuszek krótki włosom na wierzch, spodnie płócienne i chodaki.

W rękę czy dla oznaki swego urzędu czy dla obrony trzymał ogromny drąg, w którego końcu kawał żelaza był przytwierdzony.

Mruknął coś niewyraźnego za odpowiedź na pozdrowienie Biskupowi.

— Otwieraj mi wrota — odezwał się Iwo — wskazując ręką na nie. — Jestem bratem Mszczujowym i jadę go odwiedzić a pobłogosławić mu.

Stróż nie zdawał się rozumieć, podniósł głowę pilno się przysłuchując, oczy wytrzeszczył, usta mu się bezzębne otwały szeroko, nie odpowiadał...

Cierpliwie Biskup powoli powtórzył rozkaz wskazując na bramę, ale człek się ani ruszył, ani odpowiadał. Zwrócił się ku Zbyszkowi Iwo, a ten już zsiadał i przyszedł do stróża...

Powtórzył mu nalegając wolę Biskupa i dodał że jadący był najwyższym Pasterzem..., a należał do rodziny pana z Białej Góry. Wszystko to jeszcze nie trafiło do przekonania milczącego strażnika.

Słowa z niego dobyć nie było można...

Już ludzie biskupi zabierali się ku wrotom iść i przebojem je otwierać, coby łatwo przyszło, gdy milczący stróż zaparł im drogę sobą i drągiem. Iwo dał znak by siły nie używać.

Złękły człek bełkotać poczynął. Mówił coś, lecz dla braku zębów i głosu, który przestrach stłumił, zrozumieć go było trudno. — Wywijaj tylko żwawo drągiem drogę usiłując konnym zapierać.

Ułaskszy się nacisku ludzi, którzy z koni posiadali i zbliżyć się do niego i wrot zaczęli, jakby z rozpacz, nagle począł pod kożuchem szukać czegoś rękami drżącymi, i dobywszy rogu rozpaczliwie tak zatępił, iż konie się zachnęły, a kilka z nich w bok rzuciło. Tylko biskupi rumak uszy nastawiwszy do góry, ani drgnął... za co go Iwo po szyi pogłaskał...

Wrzaskliwy głos rogu wśród ciszy, po nocnej rosie rozszedł się szeroko; jakby go fale niosły powietrzne.

Upłynęła chwila niepewności — patrzano na siebie i Biskupa, który dał znak, aby czekano...

Dosyć długo stali wszyscy w miejscu nieruchomi, aż Zbyszek pierwszy zdała przybywającego konia usłyszał. Pędził ktoś od wzgórza poza którym nic widać nie było. Tentent coraz się stawał wyraźniejszy i za wrotami mignął człowiek na koniu, który nie zsiadając z niego przez szpary począł zaglądać.

Zbyszek podszedł ku niemu. Nim się miał czas przybyły zapytać usłyszał kto czekał i rozkaz aby wrota otwierano.

— Nikomu się te wrota nie otwierają, choćby i sam pan a książę i król był, bo tu jedynym panem pan nasz... My do nikogo nie mamy nic i nie chcemy aby do nas miano...

— Ależ brat i Biskup... — zawołał gniewnie Zbyszek... — Słyszysz! my tu nie zcierpimy aby słudze Bożemu opór kto stawiał, wrota wywalimy!!

— To, co? — krzyknął człek z za wrót. — Wywalicie bramę, pojedziecie pod gród, a przecie go nie zdobędziecie, bo my w potrzebie bronić się umiemy, zamiast od tych wrót pójdziecie od tamtych...

Wtem Biskup sam głos podniósł.

— Słuchaj, dziecko moje — rzekł łagodnie — jedź na Białą Górę i powiedz Mszczujowi, że Iwo brat u wrót jego stoi. Iwo z Krakowa...

Siłę jakąś nakazującą miały te wyrazy, bo człek posłyszawszy je zamilkł, nie odpowiadając nic, konia zawrócił i popędził...

Stróż z drągiem trochę na bok się usunąwszy, lecz od bramy nie odchodząc, oburącz na broni swej sparty, pozostał nieruchomy.

Na dworze ciemniało powoli, a Biskup z głową spuszczoną cierpliwie, modląc się po cichu czekał odpowiedzi, której zwłoka Zbyszka widocznie niecierpliwiła. Lekki wiatr zerwał się od zachodu i choć niebo było miejscami wypogodzone, pędził porwane chmury, które zdały się posłańcami wyprawionemi na zwiady, zapowiadającymi zmianę pogody. Powietrze stawało się chłodniejszym, jak zwykle jesienią gdy słońce zajdzie...

Po dość przeciągniętem oczekiwaniu znowu tentent się dał słyszeć, stróż zwrócił oczy i głowę ku wrotom prostując się i gotując jakby na obronę stanowiska, bo był pewien że z grodka przyjdzie odpowiedź odmówna. Za bramą pokazał się jezdny a Zbyszek co prędzej dopadł do niego...

— Miłościwy pan nasz, — rzekł przybyły trochę zadyszany, — choć nikogo obcego u siebie nie chce, ale brata gotów ugościć. — Tylko nie z orszakiem i nie z dworem ale samego.

Wśród dworzan biskupich wybuchnął szmer dość głośny, tylko Zbyszek spojrzął na pana, czekając co ów powie...

— Rozbijciez tu sobie namioty i napalcie ognia — rzekł Pasterz — a ja pojedę na nocleg do Białej Góry, kiedy inaczej być nie może. Żal mi was, dzieci moje, ale inaczej chybiłbym celu podróży...

Wtem kanclerz biskupi, ksiądz Sylwan, nie mogąc wytrzymać zawołał głośno:

— Ale Miłości Waszej puszczać się tak samemu ani przystoi ani bezpieczna! Jak to może być żeby choć jednemu z nas towarzyszyć mu nie było wolno!

Od bramy, posłyszawszy to posłaniec powtarzać zaczął.

— Jednego tylko księdza brata puścić mi wolno, jednego!

Ks. Iwo uśmiechnął się i ręką począł żegnać swój dwór duchowny i orszak.

— Zbyszek, — rzekł do czekającego swojego ochmistrza, który stał z głową frasobliwie spuszczoną, — proszę ja cię, niech wszystkim będzie na obozowisku przymusowem dobrze... Uczynić co można...

Rękę podniósł i pobłogosławił...

Koniowi biskupiemu nie bardzo się od gromadki chciało odchodzić, lecz ks. Iwo przemówił doń łagodnie i koń ruszył się posłuszny ku wrotom, które stróż drąg postawiwszy przy tynie, z trudnością otwierać zaczął.

U wrót stojący pilnowali aby nikt więcej wcisnąć się nie mógł za nie...

Dopiero gdy Biskup oddalił się nieco a bramę na nowo drągiem założono, wśród dworu głośnieję się odezwali oburzeni księża i Zbyszek przeciw dziwactwu pana z Białej Góry, który ich niegodnemi osądził przestąpić próg swojego gródka. Stary tylko kapelan biskupi ks. Ambroży, nawykły do cichego poddawania się wypadkom, nienawidzący próżnych wyrzekań, po pierwszym wybuchu zaraz im usta zamknął tem że człowieka nie znając sądzić się nie godzi.

— A co my wiemy, — rzekł, — dlaczego ten człek dzikim się stał, i czemu z ludźmi nie obcuje! Cóż jeżeli to czyni z pobożności i potrzeby ducha... Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni...

I tak zwolna szemranie ucichać zaczęło.

Biskup tymczasem jechał stępią o drogę nie pytając, koniowi dawszy wolę, zamyślony, a pewien będąc że trafi na gródek. Za nim w oddaleniu pewnem zamkowy sługa się włókł z głową odkrytą. Dostyc zarosła drożyna spinała się trochę pod górę, którą od zachodu resztką odbłasków wieczornych oświecała. Nie widać jednak było długo nic na wyniosłości tej krom wału ziemnego i tynu który przez długie lata przybrał barwę ziemną i pokrywał się zieleń, co go przysłaniało. Podjechawszy dopiero, nad wał się podnosić im w oczach zaczęła wieżycia zamkowa ale drewniana, z ogromnych starych balów zbudowana, podobna do wielkiego stosu bierwion daszkiem pokrytych. Nad nią więcej nic z za wałów nie wyjrzało, choć się ku nim zbliżyli... Przewodnik biskupi wyprzedził go, bokiem jadąc i huknął naprzód aby pierwsze wrota im otworzono... Te przebywszy, jechali jeszcze pod górę ku drugiemu wałowi i drugiej bramie, która nie naprzeciw pierwszej, ale w bok od niej wśród okopu czerniała...

Zbudowana była bardzo starym sposobem, z niezmiernie grubych pni pomazanych i pooblepianych gliną... Furtę tylko dla Biskupa otworzył jakiś człek, a tę przebywszy znalazł się most na rowie głębokim, za którym grodzisko jakby w kotlinie na wierzchu góry leżało.

Szary mrok nie dawał dobrze rozpoznawać zabudowań rozległych, różnych wysokości i kształtów, skupionych u podnóża drewnianej wieży, których barwa szara nie wiele się od ziemi na której siedziały różniła. Cicho tu było i zdawało się pusto, choć gdzieś tam w otworach ścian w wnętrzów ognie błyszcząły... Gdy Biskup most pominął ujrzał przed sobą stojącego mężczyznę nadzwyczajnego wzrostu, istnego olbrzyma, a choć twarzy jego nie mógł dojrzeć, z tej postaci dla której Mszczuja u pospolitego ludu przezwano Waligóra, poznawszy brata obie ręce wyciągnął ku niemu...

Koń stanął...

Olbrzym ów chwycił rękę Iwona, i nie mówiąc słowa, ale zanosząc się płaczem, całował ją pocałował...

Dopiero po chwili, gdy Iwo zsiadł a stanął opierając się o rękę brata, dało się słyszeć...

— Iwo mój... Iwo!

— Mszczuj! Bóg z tobą!

Oba byli wzruszeni tak że mówić nie mogli, w milczeniu przerywanem łkaniem i westchnieniami ciągnęli ku domostwu...

W szarym mroku widać było po pod ścianami cicho, trwożliwie przesuujące się postacie służby, niknące wprędce...

Szczekanie i warczenie psów słyszeć się dało i wnet umilkło...

Gospodarz wiódł prałata ku budynkowi obciążonemu podsieniami na słupach. Czeladź która tu stała rozstąpiła się na widok pana i uszła na stronę...

Drzwi wielkie a ciężkie otworem stojące prowadziły do sieni tak rozległej jakby sieni jaką ludzi mieścić potrzebowała. Z boku jej płonęło ognisko. Tu się nie zatrzymując, wprowadził Mszczuj ks. Iwona do izbicy na lewo... I w niej paliło się jasno ognisko oświetlające ściany drewniane poczerniałe.

Starodawnym obyczajem była izba ubrana w ciężkie ławy dokoła, w police nad niemi. Małe otwory okiennicami pozamykane w ścianie od podwórza we dnie mało światła wpuszczać musiały. Choć nad ogniskiem dymnik był zwieszony jak kaptur olbrzymi, sadzą smolnych łuczyw okopcony, nieco dymu siniego rozpościerało się po izbie i jakby pasy rąbku leżało pod pułapem...

Stół wbity nogami w ziemię zajmował jeden kąt izby, a na nim widać było dawnym obrzędem rozpostarty ręcznik, chleb, nóż, kubek i kubki drewniane. Wszystko to było do zbytku ubogie i proste...

Gdy Waligóra w świetle ognia palącego się pod dymnikiem pokazał się bratu, który go o mroku wprzód dobrze widzieć nie mógł, — oblicze ks. Iwona zadrżało jakby uczuciem radości. Spodziewał się go znaleźć złamanym i zestarzałym, a miał przed sobą jeszcze w pełni sił męża, jakby do boju gotowego.

Wprawdzie włos bujny i ciemny na głowie i na brodzie już się miejscami, pasami srebrzyć zaczynał, czoło było poorane w brózdy głębokie, ale oczy czarne ogniste patrzyły życiem, błyskały ogniem, ramiona i barki nie ugięły się pod lat brzemieniem, szeroka pierś sklepista oddychała swobodnie... Tylko w wyrazie tej twarzy i oczów było coś tęsknego i gniewnego razem, może wzruszeniem zapalony ogień jakiś niepowszednich dni — bo z nim żyćby długo nie można. Drżał ów olbrzym patrząc na Biskupa, który wpatrując się w niego nawzajem z łagodnością i spokojem nieopuszczającym go nigdy — zdawał się litować.

— Pokój tobie i domowi! Bóg z wami! — rzekł głosem słodkim, a kojącym...

Obejrzał się...

— Po staremu u ciebie, ubożuchno, a po prostu! — dodał.

— Bom ja stary człek, — odparł Mszczuj — stary człek i prosty... nowego ja nie chcę nic — i mądrego a sztucznego, a uchowaj Boże obcego...

Rzekł to gospodarz prawie namiętnie, i nie chcąc dłużej się rozgadywać, pospieszył dorzucić.

— Co wam dać na wieczerzę?

— Piątek, post — rzekł Biskup — a niedawno posiliłem się kromką chleba i wodą. Wodę świeżą rad zawsze piję, macieli też pierog lub chleb, nie odmówię, więcej mi nie wolno nic.

Waligóra włosy potarł... spojrzal na ławy nieokryte i zwróciwszy się ku kąтови, dobył sukna grubego kawał, którym zasłal siedzenie, wskazując je Biskupowi...

— Choć ja jeść nie chcę, to nie przeszkadza — rzekł Iwo, — abyście wy swej postnej wieczery podać sobie nie kazali — będę miał tem większą zasługę gdy mi uczyni pokusę, którą zwyciężę...

— Jam już jadł i syt jestem — rzekł Waligóra...

— Siadajże przy mnie, niech na ciebie patrzę, mów, niech cię słucham, tłumacz się, niech cię zrozumie... Policznio lata, ile ich upłynęło od czasu gdy cię ten giez ukąsił, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę — i tyś bez żadnego powodu ze światem zerwał i z rodziną...

Waligóra uśmiechnął się ale tak boleśnie, patrząc na brata i takie mu się wyrwało westchnienie ciężkie z piersi, iż Biskup rękę mu na ramieniu położył, widząc że cierpi...

— Dobrześ, rzekł — bracie, giez mnie ukąsił, giez a rana od tego gza do dziś boli. — Ino choć ty jesteś duchowny i brat nie pytaj mnie jak się on zwał i kędy mi ranę zadał — nie czas mówić... nie czas!

Zerwałem z światem i z rodziną... a! tak — bom tam ja nie miał co robić...

— Bracie! bracie — przerwał Biskup, — jam tu właśnie przybył cię nawracać. — Nie pytam co zabolalo choćbym może, za pomocą i łaską Bożą ranę zagoił, lub ból zmniejszył — gwałtu choremu zadawać taki lekarz jak ja nie może... chory doń sam przyjść musi, aby leki były skuteczne. — Tylko mi ciebie żal bracie mój, i tęskno mi po tobie, a ta rodzina którejs się ty wyrzekł, opuścił ją, potrzebuje ciebie...

Waligóra słysząc to wyprężył żylastą swą ogromną silną prawicę z pięścią ściśniętą i mruknął.

— Ręki wam trzeba... ha! już ona nie ta co dąbczaki z korzeniem rwała z ziemi — nie ta!

— I pięśćby się przydała może, — odparł Biskup, — więcej serce.

— A i ono zamarło i zamarzło! — westchnął Waligóra — co wam już po niem i po mnie.

— Słuchaj, miły mój! — odezwał się Biskup. — Chrystusowi słudzy, jakim ja jestem, gwałtu nikomu nie zadają; ich orężem słowo i miłość, innego nie mają. — Więc słuchaj ty słów moich, które czasem Duch święty i ubożuchnym natchnąć może... Dobrzeć jest w tej pustelni, spokojnie? nie widzisz złości ludzkich, nie potrzebujesz się borykać z niemi. Tobie błogo, ale rzecz mi z sumienia twego, czyś ty stworzony był na to, i ochrzczony dziecięciem społeczności Chrystusowej abyś sobie tylko służył, czy byś dzielił losy braci i ludu twójego?? Powiedz mi? Cóż to jest ten chrzest święty jeżeli nie zaciąg na wiekuiste żołnierstwo, które ucieczkę czyni sromotną?

Król nasz Bolesław tchórzom co mu zbiegali z wojny, słał kądziele i skórki zajęcze! cóż Chrystus posle wam którzyście z jego szeregów wystąpili?

— Przecież się ja Chrystusa Pana nie zaparłem! — odparł żywo Mszczuj, — przecież modłę się i księdza trzymam, spowiedź odprawiam, postów nie łamię...

— Albo myślisz że na tem dosyć! — rzekł Biskup łagodnie. Hetmana się nie zapieras ani chorągwi, cóż gdy cię w boju niema, a poszedłes bezpieczny pod krzak i szukasz pod nim schronienia...

Waligóra się zżymnął...

— Ja z tobą na słowa walczyć nie potrafię, — odparł — pobijesz mnie niemi — lecz, bracie, posłuchaj i ty mnie! posłuchaj przez miłosierdzie — nie potępiaj!

— Siadź przy mnie — szepnął Biskup, — słuchać cię będę — owszem, bylebyś ty potem mnie dał ucho. Mów — siadaj.

— Nie kaź mi siedzieć — odezwał się Waligóra — krew mi nie da na miejscu pozostać, ruszać się muszę...

Tchnął mocno i widząc że ogień na kominie przygasa, poszedł nań parę szczap przyrzucić. Biskup siedział milczący, on czoło tarł i włosy rozrzucal, — oczy mu się paliły...

— Mówisz że ja zbieg wojenny, — rzekł — a! gdyby życie dając można zwycięstwo zdobyć — nie wahałbym się. Nie o życie mi idzie, ino bym się nie zbrukał i nie zabłócił

na duszy..., abym patrząc na to co się dzieje nie rzekł nareście obłąkany iż tak się dziać powinno...

— A cóż tak złego dzieje się lub stało? — przerwał Biskup składając ręce. — Bogu najwyższemu dzięki, błogosławieństwo nad krajem, wiara się mnoży, kościoły budują, lud z pogaństwa obmywa... światło przychodzi!

— Patrząc tylko w niebo — zawołał Mszczuj, — pewno więcej nie widać, a na ziemi? co?

Zamilkł chwilczkę...

— Nasza ziemia na kawałki się popadała, o kawałki biją się bracia, mało tego — kto nam panuje? Ty powiesz chrześcijańscy panowie — pewnie, tylko nie naszej już krwi, języka, obyczajów...

Biskup drgnął.

— Co mówisz? — zapytał.

— Wszakżem ci ja na dwór i na osobę Laskonogiego patrzył, na służkie księżęta, na innych, na ich dwory, na ich czeladź — na ich zabawy i rządy... Wszystko to Niemcy, a Niemców u nas liczba rośnie, rośnie i my w domu sługami ich... Wasze klasztory niemieckie, wasze kościoły co mają z Niemiec wzięły, zbroi niema lepszej jak z za granic, miecza dobrego tylko od nich... Sukno wam tkają Niemcy, klejnoty kują, dobrze że chleba nie pieką. Miałem się ja na to patrzeć z założonemi rękami a dziękować że mi serce wyjadali!

Biskup popatrzał nań łagodnie...

— To ci żółć zburzyło? — spytał, — więc pociesz się bracie — boś nie dobrze widział i zawczasu zropaczył. I ja na to patrzę ale okiem wesołem, nie lękając się... Cóż szkodzi że oni nam służą? Posiedziawszy z nami Niemiec się przerodzi... a co przyniósł z sobą, zostanie... Wiedzieć musisz co mi Bóg dał za świętych ludzi uczynić ze dwu naszych bratanków z Jacka i Cesława? Ci przecie w Rzymie Niemcami nie zostali — klasztory też nie wszystkie niemieckie... a i te co są aby żyć, muszą się stać naszymi...

— A księżęta? księżęta! — przerwał Mszczuj — alboż to nie wiesz co z ich dworu płynie jak ze źródła i że gdy oni czarni, wszyscy dla nich mazać się muszą? Pokażże ty mi dwór a pana coby do Niemców nie Ignął, coby się obchodził bez nich.

Ślązko sąsiednie zalali już niemiaszki, siedlą się w niem, miasta budują, prawo swoje przywożą aby naszego nie słuchali, krzyżem się zasłaniają aby się im nic nie stało...

— Bracie miły, — westchnął Biskup — rozżalon jesteś, a w Bożą opiekę nie wierysz... Bóg i takich narzędzi używa do nawracania.

Jam spokojny, nas tu więcej jest, co mi przybysze szkodzą, gdy je życie nasze obejmie i przerobić musi...?

— Niemca! Niemca aby nasze siły ze skóry jego wywlokły i nową mu dały? — zawołał Mszczuj. — Zaprawdę widziałem dużo naszych co się poniemczyli, ani jednego Niemca coby się znaszył... Gdyby się i mowy nauczył i strój wdział, i przygłaskać dał, siedzi w nim zawsze coś co mi śmierdzi.

— A wszyscy chrześcijanie braćmi są — rzekł Biskup — o tem zapomniałeś.

— Nie, ino chcę aby brat każdy u siebie siedział a do zagrody mi się nie wpierał — rzekł Mszczuj. — Im się chce naszej ziemi! Nie mogli jej zawojować orężem, chcą ją posiąść bez krwi rozlewu... przebijając się za czeladź i służąc nam... Ano bieda temu żupanowi co na gród puszcza przekupniów nie znając ich... Nocą mu wrota nieprzyjacielowi otworzą... Ja ich ani panami, ani sługami nie chcę mieć, a braćmi za drzwiami...

Widząc że Biskup milczy głowę spuściwszy, ciągnął dalej.

— Nie mogli nas pożyć inaczej, mądry naród na sztukę się wziął.

Królom i księżętom poczeli żony stręczyć, bodaj z klasztorów.

Biskup syknął.

— Tak ci było — dodał Mszczuj — Bolesław mniszkę zaślubił, nie wyklęli go.

— Złem to było — rzekł Biskup.

— Nikt nie pisał — mówił Waligóra... — Za taką panią musiały służki iść i czeladź i kapelan i rzemieślnicy, i zbrojni... Na dworze wszyscy dla miłości jej poczeli bełkotać i szwargotać. Urodził się książę, pierwsze słowo co rzekł do matki a ona do niego, — nie

nasze było... Dla syna musiał uczyć się ojciec, a potem mu smakowało to jak co przedniego i ze swemi dworzany wołał paplać tą mową, którą szatan wymyślił.

— Bracie! — zawołał Biskup.

— Przebacz, a no żółć kipi we mnie już — dodał Mszczuj. — Tak było. Co nasze nie smakowało nam... nie starczyło, choć wiekiśmy tem żyli, od rzemyczka do sprzążki musiało wszystko iść z za gór, z za mórz, inaczej nie smakowało...

Tak nam się Piastuny nasze poprzemieniały na Laskonogich... co gdyby ich człek spotkał na gościńcu nie znając wziąłby za obcego.

— A święty, poczciwy i pokój miłujący człek — rzekł Biskup.

— Jabym wołał żeby wojnę miłował a Niemcem nie był — mruknął Mszczuj... — Laskonogiemu zarzucić nic nie można ino to że choć niby krwią nasz a duszę Niemcom sprzedał. Wszakże dobre panisko było, bo gdy go na Kraków powołali nie chciał Krakowa brać ażby mu Leszek pozwolił, potem gdy po Zawichoście Leszka sobie upodobali nasi krakowianie, którym zawsze nowego sitka na kółku potrzeba, Laskonogi się nie spierał i poszedł precz... Możeż być lepszy człek? a złe broił, bo przy nim wszystko niemczało...

— Cóż Niemcy zawinili? — spytał łagodnie Biskup, — powiedz?

Mszczuj się zaczerwienił.

— Mnie nie uczynili nic — zawołał, — jam człek mały i przezemnie choćbym zginął, nie wieleby ziemia nasza straciła — ale państwo nasze przepada przez tę niemczyznę. Patrzcie na sąsiedni Szlązk, jak go zalewają... Jeszcze trochę a nie rozmówisz się swym językiem na swojej ziemi...

I przerwawszy krótko, Mszczuj dodał...

— Żle z nami! źle! Za Mieszka i za syna i za Krzywoustego jeszcze do kupy się łączyły ziemie i powiaty, panowanie rozlegało szeroko, potęga rosła... a dziś co? Co mi z tego że dąb poszczepany na klepki gładko wygląda, mocy już tej nie ma jak gdy grubym był i w sobie jednym. Tak i owo państwo Bolków naszych dziś na klepki i tarciczki rozpiłowało potomstwo... Niemcom w to graj, bo pokrajane kawałki lykać łatwiej.

Zasepił się Biskup i milczał patrząc w ziemię.

— Słuchaj Mszczuj, — rzekł — tobie się potęgi chce, a nie wiesz czyby ona rosnąc i po twoją głowę nie sięgnęła. Wielcy panowie i Cesarze gdy w siłę urosną, nie szanują nic, ani praw Kościoła ani praw człowieka... Musiało się rozpaść po Krzywoustym królestwo, aby religii, duchownym i wam ludziom swobodnym na karkach nie ciążyła tyrania! Przecie te wszystkie kawałki mają jedną głowę w naszym Arcybiskupie gnieźnieńskim i duchowieństwie — wszystkie Rzymowi podlegają i metropolii stolicy swej. Duchowieństwo was broni od samowoli i tyranii! Ono czuwa, królem waszym pan nasz Jezus Chrystus... Mamy jako oręż nieskruszony klątwę która ze społeczeństwa wyłącza i pokazaliśmy że się jej i na stojących najwyżej użyć nie zawahamy...

— Tak, ale popróbujcie anathema wasze rzucić na Połowców i Rusinów — co ona pomoże? — zapytał Mszczuj...

— Na nasze zawołanie wszyscy książęta się zjednoczą, pójdą na pogan — rzekł Biskup — i zwyciężą...

— Pójdą, tak — mruknął uparty olbrzym, — ale zamiast z pogany z sobą się zwaśnią aby jeden drugiemu kawał ziemi opanował i wyrwał!! Dla was duchownych pewno lepiej z wielą małemi pankami niż z jednym silnym — ale ziemi tej! ziemi tej, którą oni z sobą się drąc i jedząc krwawią — popytajcie?? Ziemia ta wam odpowie jakom ja niegdyś słyszał że czytano z pisma — biada królestwu w sobie rozdzielonemu! biada!

— Po ziemsku patrzysz na te sprawy — odezwał się Biskup nieco pomilczawszy. — Naszej ziemi naprzód było potrzeba wiary świętej i światła, nie pytaliśmy i nie pytamy kto je nam przynosił, bo bez nich życia nie było. Krzyż nas wyzwolił od zagłady, od zawojowania przez Cesarstwo... Pierwsi Benedyktyni, pierwsi mnisi i kapłani niemieccy, czescy, francuzcy, włoscy przecież nas nie porobili niczem innem tylko chrześciany...

— Zaczekajcie ino — zawołał Mszczuj — Niemcy gdy napłyną — zobaczycie dopiero czem będziemy...

— A gdyby i tak było jak mówicie — przerwał Biskup — cóż za powód uciekać i kryć się, kiedy właśnie, jak sam powiadasz, Niemców odpierać trzeba?

— Nie czas już! zapóźno! — krzyknął Mszczuj. — Ślązko przepadło!!

Nie wiem co się dzieje w świecie, lecz nie daj Boże by i Mazury i inne ziemie nie zostały oderwane... Książęcia coby Niemcem nie cuchnął nie ma... wszyscy...

— Nie mów mi nic na pana mojego Leszka, bo dobry i najlepszy jest, najszlachetniejszego serca, jako ojciec był, pobożny, świątobliwy, sprawiedliwy... — żywo odezwał się Biskup. — Daj nam Boże takich więcej...

Mszczujowi oko błysło a usta się ścięły — zamilkł nagle. — Biskup na ogień patrząc dumiał jakoś niby po cichu się modląc...

— Nie darmom ja tu do ciebie sam przybył aby cię z tej jamy, w której jak niedźwiedź łapę liżesz, wyciągnąć — rzekł powstając... — Pana mamy dobrego, miłościwego — szlachetnego... — lecz — ... lecz zagrażają mu nieprzyjaciele, siły wszelkie jakie są koło niego się skupić powinny; przedewszystkiem my Odrowążowie całą gromadą od której ty się oddzielać nie możesz. Ród cię woła. Kto nie ma już ojca jak my, temu ród ojcem i matką, — na jego głos kto nie odpowie, ten się swoich zapiera, i zostaje sam...

Mszczuj — jam po ciebie tu przybył...

Waligóra stał niemy, zdziwiony, ale milczenie jego nie zdawało się posłuszeństwa zwiaśtować. Czuł to Biskup i począł coraz żywiej.

— Tak jest, bracie, panu naszemu zagrażają skryci i jawni nieprzyjaciele... Wy.

— Ja o niczem nie wiem, bo od Laskonogiego na świat nie wyjrzałem — dodał Waligóra...

— Wy musicie i powinniście iść z nami — mówił Biskup. — Na pozór ulega wszystko naszemu panu, ale w rzeczy zazdrością mu Krakowa, zazdrością siły i cnoty i miłości jaką ma, a mniemają go słabym... Rodzony brat Konrad, choć jawnie mu posłuszny, patrzy tylko czy się sposobność nie nadarzy opanować i tę dzielnicę, a jest gwałtowny, krnąbrny, chciwy i srogi... Książętom śląskim nie odeśniło się jeszcze że do Krakowa prawa mają większe niż Leszek, ma przyjaciół Laskonogi, ma Plwacz, a najgorsza ze wszystkiego że Jaksowie po staremu nienawidzą nas, knują przeciwko temu przy którym my stojemy.

— Więc zgody niema z nimi! — spytał Mszczuj.

Westchnął Biskup.

— Bóg widzi że nie my Odrowążowie temu przyczyną jesteśmy, — rzekł, — ja jako sługa Chrystusów ze wszystkimi zgody pragnę. Wszakżeśmy próbowali z Jaksami zawrzeć pokój nieraz i daliśmy im dziecko z naszego domu do ich łoża, a wzięli córkę od nich dla naszego dziecięcia — nic to nie pomogło. Zawzięci na nas jako byli.

Zazdrością nam łaski pańskiej, mnie stolicy biskupiej, opieki jaką mam w Rzymie, zazdrością mi dwóch świątobliwych bratanków, Jacka i Cesława, złem okiem patrzą na klasztory które budują i kościoły które wznoszą. — Spiskują z Konradem potajemnie, z Plwaczem, a głową ich Światopełk którego osadzono w Pomorzu, naprzód ojca wielkorządcą, potem syna kneziem, — ten już pana co mu dał tę ziemię znać nie chce i myśli się oderwać... Jaksowie przez niego silni są...

— Aleć wy, bracie macie Leszka! — rzekł Mszczuj, — a ten silniejszy jest od Światopełka Pomorskiego?

— Dopóki do jednego zdrajcy, nie przyłączą się inni — odparł Biskup. — Uchowaj Boże upadku pana naszego, runiemy i my rodem całym, i pójdzie ta ziemia znowu na łup ziemczalym Ślązakom, albo Plwaczowi nielepszemu, lub okrutnemu Konradowi Mazowieckiemu, który zakon braci szpitalnej niemieckiego domu co się narodził w Jeruzolimie, już ściąga w pomoc i Chełmno im już dał...

Mszczuj słuchając za głowę się pochwycił.

— Jako! — krzyknął z gwałtownością wielką, — jeszcze jeden zakon niemiecki u nas? I już mu ziemię wydzielają!

— Zaprawdę tak jest — odparł Biskup, — a nie jedno to niebezpieczeństwo zagraża! Myśl więc Mszczuj że i tyś mi potrzebny, że ja się bez twojej dłoni, serca i głowy a sumienia obejść nie mogę... że czas jest abyś wylazł ze swej skorupy...

Gdy to mówił Biskup pierwsze koguty zapiały.

— Czas do spoczynku — rzekł, — jutro po mszy świętej, więcej i szerzej pomówimy...

III

Zaprowadziwszy Biskupa do izby gościnnej, w której pacholę czekało dla usługi, widząc że Iwo zaledwie tu wszedłszy na kolana się rzucił i z wielką rzewnością i przejęciem na głos modlić się począł, wyszedł stary Mszczuj samym go zostawując.

O te czasy zwykle na Białej Górze u niego spało wszystko i on sam już odpoczywał, teraz gość którego tu od lat wielu nie widziano trzymał dwór cały na nogach i w niepokoju jakimś.

Na wracającego od izby gościnnej Waligórę czekali domownicy wszyscy, by na zawołanie ich miał. Lecz stary szedł tak jak upojony tem co słyszał, co mówił sam. Szumiało mu w głowie, dzwoniło w uszach, odurzony, oślepy włókł się nie wiedząc dobrze dokąd idzie...

Światło które z jego komory sypialnej otwartych drzwi od ogniska pobłyskiwało, dopiero go rozbudziło.

Podniósł głowę i postrzegł za progiem stojące córki swe, które się jeszcze nie były pokładły, może dla wielkiej ciekawości tego przybysza w którym się powinowatego domyślały, dobrze nie wiedząc kto był. To samo że ojciec, który nigdy nie przyjmował nikogo, wpuścić go dozwolił i tak długo z nim trwał na rozmowie, świadczyło że mąż był w rodzie swym mocen i wielki.

Słyszały o świątobliwym Biskupie Iwone dziewczęta, a choć ze świata mało tu dochodziło, tem go były ciekawsze. — Jak sam Mszczuj poza granice ziemi swej nie występował od lat wielu, tak i córki trzymał przy sobie zamknięte. Syna nie miał, owdowiał dawno, były one jedną jego pociechą, ale i troską największą...

Spojrząwszy w izbę swą, zobaczył je obie na progu stojące, w bieli, z wianuszkami na głowach, pół uśmiechnięte, pół nastraszone, a że od ogniska światło padało na nie silne, jakoś mu w niem te dwie promienne dziewicze postacie, jak dwa widma wydały się straszne i drgnął.

Dwie córki Mszczujowe bliźniaczkami były, tak do siebie podobnymi że je nawet we dnie, ojciec własny z trudnością mógł odróżnić. To bliźnięce-podobieństwo nietylko twarze białe, oczy niebieskie, kosy złote, wzrost, ruchy, głosy jednemi czyniło, ale dawało im niby jedną rozpołowioną duszę...

Choćby były zdala od siebie, i nie wiedząc o sobie, dziewczęta myślały jedno, robiły jedno, pragnęły tego samego, smuciły się i śmiały razem... Obejść się też bez siebie nie mogły i nie umiały, a gdy przypadkiem na dłużej rozdzielić się musiały, tęskniły do szaleństwa za sobą. — Zachorowała jedna z nich, musiała słabować druga. — Nie potrzebowały mówić aby się zrozumieć, myślały toż samo. Razem się budziły ze snu, usypiały w jednej chwili... Nie sprzeciwiła się nigdy jedna drugiej.

Mszczuj kochał je równo, a naprawdę miłość dla nich była jakby miłością istoty jednej, podwojonej...

Obie miały lat osiemnaście i zwały się imieniem jednym Halki, z tem tylko że ta co niby starszą była Halki imię nosiła, a druga Hali.

Mszczuj wołał na nie jakby na jedną... szły razem na jego wołanie... Odziewały się też tak, że ich odróżnić było niepodobna, a suknie tylko cieńszą tkaniną różniły się od tych jakie nosiły wiejskie dziewczęta, bo Mszczuj z nienawiści ku Niemcom, nic nie dopuszczał do domu coby obcym było wyrobem. Najprzedniejsza rzecz gdy nie swoja była, gdy się nie zrodziła na swej ziemi, w swoim domu, nie miała u niego łaski. Orężem nawet starym musieli się posługiwać jego ludzie, bo z Niemiec i z za granic przywożonego nie cierpiał, łamać kazał i wyrzucał... Wszelakiego też rzemieślnika miał w swoich osadach około Białej Góry i nosiły one nazwiska od rzemiosł, któremi się ludzie w nich zajmowali.

Żaden przekupień, których naówczas już i z Niemiec i ze Włoch wóczyło się mnóstwo po kraju, na ziemię jego stąpić się nie ważył. Wprawdzie wymykali się ludziska na sąsiednie targi pokryjomu czasem, aby sobie coś zagranicznego kupić, lecz musieli się z tem kryć, gdyż Mszczuj surowo za to karał...

Jednemu księdzu do mszy świętej wolno było kazać wina przywieść z Krakowa, ale uparty Mszczuj zasłyszawszy że w Czechach dla wina do świętej ofiary, Kneziowie winnice zaprowadzili, u siebie też od Benedyktynów z Tyńca latorośle przywiózłszy, kazał sadzić wino, które, choć marzło i nie dojrzewało, wyrzec się go nie chciał.

Tak było ze wszystkim u niego...

Zobaczywszy dwie swe Halki na progu, Mszczuj stanął i długo patrzył na nie.

— Czegóż wy tu stoicie jeszcze! — zapytał głos swój łagodząc dla dzieci — wszak to pierwsze kury piałe?

Halki spojrzwały na się, oczyma się porozumiewając i — nie dały odpowiedzi.

— Spać idźcie — dodał Waligóra — a wstawajcie mi do dnia, aby goście, bratu memu, Biskupowi Iwonowi dopilnować polewki. Pobłogosławi was mąż święty, gdy mu się pokłonicie. Chcę byćście i na mszy jego były, o czym księdzu Żegocie dać znać...

To mówiąc zamyślił się Mszczuj i poprawił.

— Niechno Żegota, jeżeli nie śpi przyjdzie do mnie...

Na pożegnanie obie Halki pocałował w główki, i znikły mu biegnąc jak spłoszone ptaszki. Choć późna była godzina księdza Żegoty niedaleko pono szukać musiało być potrzeba, bo ledwie dziewczęta odeszły, mały człeczek, chuderlawy z krótko na głowie postrzyżonym włosom, w ciemnej nie zbyt długiej sukni, szerokim pasem podpasanej w progu się pokazał.

Blady był, przestraszony widocznie, a ręce miał rozpaczliwie załamane gdy wchodził.

Spojrzawszy nań Mszczuj, nie zrozumiał co mu było.

— A co, ojcze Żegoto — rzekł, — doczekaliśmy się Biskupa na Białej Górze...

— A! miłościwy panie! — odparł ksiądz, — czegom się bał tegom się nie ubał... Słyszałem o ks. Iwonie! wiem! srogi jest! Wszyscy teraz Biskupi wzięli na się aby z nas mnichów porobić! Zabraniają żon... nie godzi się nam już rodziny mieć. Wiem, wiem — mówił prędko i niespokojnie, — powiadają że to rozkaz z Rzymu, że pod klątwą żony wypędzać kazano... Gdzie to kto słyszał? U nas tego nie było nigdy!

Przysłał, słyszę, Papiież rzymskich Legatów i przeprowadzili wszędzie co kazał. — W Pradze tylko w Czechach księża się oparli że mało w kościele do krwi rozlewu nie przyszło, a u nas, o u nas już...

Spuścił głowę...

— No, widzisz — odparł łagodnie Mszczuj — jam ci to dawno prorokował że ci się z twoją rozdzielić trzeba... Co teraz poczniesz...

Ksiądz Żegota rękami począł trzeć czoło...

— A długo on tu zabawi? — szepnął cicho...

— Nie wiem — rzekł Waligóra — ale czy, dłużej czy krócej przecież mu się stawić musicisz, a spyta cię, kłamać nie możesz, a nakaże ci, nieposłuszeństwa nie ścierpi.

Ksiądz jęknął.

— Wasza Miłość wyrzucicie mnie — westchnął — co robić! Żonki, co mi zawierzyła ja nie porzucę, kawałek ziemi wezmę od Miłości Waszej i kmieciem będę, gdy mnie od ołtarza odpędzą...

Zapłakał ksiądz Żegota i ręce podniósł ku niebu.

— Nigdy u nas to jeszcze nie było, aby księżom się żenić zakazywano... Cóżemyż winni my cośmy dawniej żony pobrali?

Wszystko to poszło z mnichów, co swoich żon nie mając, wszeteczni są, a na ich wzór i nam teraz już zabroniono.

Łkał i popłakiwał księżyna...

— Chyba mi się nie pokazywać Biskupowi — dodał, — bo pierwsze pytanie będzie — masz żonę? powiem — mam. Każe iść precz...

Oczy zwrócił na Waligórę, który w ogień patrzył.

— Miłościwy panie mój — jęknął — a wyż mnie ubożuchnego sługi swego nie zechcecie bronić?

— Cóżby wam pomogła obrona moja? — spytał Waligóra. — Nie moja rzecz kościelne sprawy wasze... Hetmanowi nic do kleryka, a Biskupowi do żołnierzy... Tyle wiem, mój ojcze, że was nie opuszczę i głodem mrzeć wam nie dam, o reszcie musicie myśleć sami, bo ja się na tem nie znam.

Tchnął i sapnął biorąc się za głowę Waligóra... — Hm — dodał, — za młodu bywałem to ja w Rzymie, księżych żon tam nie widziałem nigdzie, ale... różnie bywało!! gadano wszelako! Musicie słuchać rozkazania, ojcze, czasy się zmieniają...

Ks. Żegota westchnął znowu ciężko, łzy mu płynęły tak obfite że ich nie nastarczył ocierać rękami obiema. Niepewien był czy ma uciekać od Biskupa, stawić mu się i do

nóg paść, prosić o miłosierdzie, czy też — co mu się zdało najbezpieczniej — uciekać — i skryć się.

Schwycił za rękę Waligórę księżyna biedny i stękając ciągle całował ją długo, prosząc o miłosierdzie, choć słowa nie mówił, zakręcił się potem po izbie, jakby chciał coś rzec, ale spojrzawszy na chmurnego gospodarza, odpadła ochota i odwaga, — wyszedł mrucząc i znikł w ciemnościach.

Mszczuj co miał zaraz ledz na posłanie, u ognia stanąwszy jak wmurowany, nie widząc chłopaka który czekał — pozostał długo w zadumie głębokiej...

Wstrząsnęło nim całym to przybycie brata Biskupa od lat tylu niewidzianego i zbliżenie się choć słowy do tego świata, od którego przez lat tyle głos żaden doń nie dochodził.

Nazajutrz do dnia zamkowa kaplica, która za kościół parafialny okolicy Białej Góry służyła, przygotowaną była na przyjęcie Pasterza. Był to budynek nieopodal od mieszkalnego dworu, nie zbyt obszerny, bo wszystkie dawne kościoły u nas w początku niewielkie były. W przybytku mieścili się zwykle duchowni i dostojni, a lud stał u kruchty i przede drzwiami. Z drzewa pobudowany, nie odznaczał się niczem prawie oprócz tego że nad czołem miał rodzaj wieżyczki niskiej z krzyżem, w której wisiał dzwonek wołający na modlitwę... Zakrystya była do boku przypartą osobną izbą, sam zaś przybytek, drewnianą galerijką niską przepołowiony, zawierał jeden ołtarz od ściany odstawiony, okryty obrusami białymi szytymi wzorzysto, a na nim krzyż czarny i świeczniki.

Dwie chorągwie, kształtu Radwanowego przytwierdzone z obu stron do galerii, świeczniki z rogów jelenich przy ścianach, stanowiły całą ozdobę wiejskiego kościołka. Przez parę okien zamykanych okienniczkami, wlatywały i wylatywały szczebiocząc wróble, które zdawały się tu jak w domu. Dwie Halki, które się bardzo cieszyły z przybycia Biskupa i z nabożeństwa któremu przytomne być miały, od świtu już biegały około tego domku Bożego, do którego drogę wysypać kazały zielonym kosaćcem, a u drzwi zawiesić zielone gałęzie...

Staruszek w długiej sukni czarnej, daleki jakiś powinowaty księdza Żegoty, człek pobożny, któremu nauki zabrakło tylko, aby mógł księdzem zostać jak sobie dusznie życzył, miał w opiece zakrystyę zdawna i pomagał proboszczowi przy kościele. Nosił on opończę kleszą i miał się niemal za duchownego.

On tu z dziewczętami wszystko zawczasu przysposobił, aby gdy Biskup wstanie znalazł do mszy świętej pogotowiu co potrzeba... Księdza Żegoty całe widać nie było. Z narady z Dobruchem, bo tak starego klechę zwano — wypadło ażeby proboszcz chorym był i nie pokazywał się, unikając zapytań na któreby odpowiedzieć nie mógł nie potępiając się.

Wcześniej niżeli się go spodziewano, ks. Iwo wyszedł z książką w ręku, na której modląc się i nie patrząc co się w koło niego działo, poprzedzany przez pacholę dane mu do usługi, wprost udał się do kościoła. U drzwi czekały nań w bieli poubierane dziewczątka, które z bijącym sercem patrzyły na zbliżającego się i gdy już podchodził ku nim, z pochylonemi główkami przyklękły, prawie mu zatamowały drogę.

Biskup zobaczył je dopiero, gdy już był u drzwi samych, podniósł oczy i z uśmiechem dobrotliwym, począł się im przypatrywać ciekawie... Dwie te postacie tak bardzo do siebie podobne, taką młodością i niewinnością a prostotą jakąś wiejską nacechowane — wzbudziły w nim uczucie dziwne... Podniósł rękę złożoną do błogosławieństwa, lecz spytał wprzód.

— Dzieci moje... wszakci Mszczujowe jesteście?? Tak?

Dziewczeta nie śmiejąc odpowiedzieć uśmiechnęły mu się wdzięcznie, obie jednym oblewając rumieńcem.

— Niech was Bóg błogosławi! Niech błogosławi! aniołki moje, a zachowa tak czystymi jak jesteście!!

I począł żegnać je krzyżem świętym, gdy one poję jego ręki ujawszy całowały ją.

Waligóra postrzegłszy że ks. Iwo poszedł do kaplicy już za nim podążał... Z innych budynków co było wiernego ludu, sunęło się co prędzej, bo w tejże chwili Dobruch posłał chłopię do dzwonka, i głos słaby kowanej kampany, brzmiał już po grodzie jakby w święty dzień niedzielny.

Biskup w progu znowu zacząwszy się modlić, wprost szedł do ołtarza. Zdziwiło go to może iż księdza u drzwi nie znalazł, jak być było powinno. Poszedł się pomodlić chwilę

u ołtarza, na którym świece żółte woskowe już były zapalone, a zobaczywszy Dobrucha w sukni kleszej u zakrysty klęczącego — wnet i sam wstawszy skierował się do niego.

Po ucałowaniu ręki Biskup zapytał.

— Coś ty za jeden, bracie mój? Gdzie proboszcz...?

— Chory — wybąknął Dobruch; a jam sługa kościelny...

— Chory? — powtórzył Biskup, niby sobie coś przypominając. — Chory?

Dobruch zaledwie dosłyszonym głosem potwierdził to spuszczać głowę...

Ks. Iwo zadumał się, stał trochę w niepewności jakiejś i głośno się zacząwszy modlić, począł ubierać do mszy świętej. Uboga zakrystya nie mogła mu dostarczyć takich szat w jakich zwykł był zbliżać się do ołtarza. U Mszczuja i kościół nawet musiał obchodzić się domowymi wyrobami. — Kielich był srebrny ale z prosta ukuty, patena także, ornat szyty przez dzieci w jaskrawe kwiaty na wełnianej tkaninie...

Dobruch sam szedł służyć Biskupowi... Nie zdawała się ta prostota i pozorne ubóstwo czynić wrażenia na pobożnym panu, który wszystko co miał na chwałę Bożą obracał. Mszę świętą odprawił tak zatopiony w Bogu, w takim jakimś uniesieniu iż nie widział nic co się działo na ziemi; pobożność zaś ta tak była przejmującą wszystkich, tak przenikającą serca iż Dobruch się splotał przy mszy, dziewczęta wyszły z niej jakby powróciły z innego świata. Sam Mszczuj poczuł się zmienionym i zmiękkłym...

Co mogło tak podzielać na przytomnych, niktby powiedzieć nie umiał. Biskup czytał mszę świętą głosem cichym, nie śpiewał pieśni, nie kazał językiem zrozumiałym, — szepcząc odmówił modlitwy — coś przecie w jego postawie, ruchach, wejrzeniu było takiego, że ilekroć się zwrócił do ludu, ugiwały się głowy trwożliwie, padali wszyscy na twarze i uczucie jakiego straszne a błogie przejmowało ich dreszczem...

A gdy w końcu mszy podniósł rękę do błogosławieństwa, Mszczuj stary miał lzy na powiekach...

Milczenie uroczyste w czasie nabożeństwa, ledwie świergot wróbli przerywał.

Jesienny poranek mglisty i pochmurny dotąd, nagle w końcu mszy się wypogodził, obłoki białe rozwarły i jasne zaświeciło słońce. U drzwi kościelnych na modlącego się Biskupa czekał Mszczuj z córkami swemi, które popłakawszy się przy mszy, teraz jak patzyny już wesole były i rozpowiadały ojcu jak ich ks. Iwo błogosławił...

Wkrótce wyszedł i on rozweselony też na duchu, z czołem pogodnym, witając brata...

— Ubogo u was w Bożym domu, — odezwał się, — lecz Bóg nie potrzebuje srebra ni złota tylko serc... Gorzej bracie że wam proboszcz chorzeje i do służby nie ma nikogo? Cóż? pewnie stary jest? Trzebaby mu pomocnika młodszego?

Mszczuj zamilkł nie chcąc odpowiadać. — Biskup zwrócił się do dziewcząt, które szły za nimi i pochwalił je iż modliły się pięknie, a dziwić począł iż tak były podobne do siebie. To je rozradowało, bo dumne były i szczęśliwe z tego cudu co je przybrał w jedno ciało... a dał im serce jedno.

Znowu weszli oba do tej izby w której Waligóra przyjmował brata wczoraj — a tu już zastawiony był ranny posiłek na stole i polewka gorąca w misach czekała.

Dziewczęta doprowadziwszy gościa do progu, cofnęły się. Zostali sami. Mszczuj posługiwał Biskupowi, który po wczorajszym poście wcale się nie czuł ani osłabionym ni głodnym.

Inna troska go zajmowała.

— Myślałeś com ci mówił wczoraj? — zapytał ks. Iwo. — Ja, nie mogąc więcej, modliłem się aby cię Duch święty natchnął...

Spojrzał nań, na twarzy Waligóry, wczoraj jeszcze jakby burzą wewnętrzną miotanej i niespokojnej, dziś widać było niepewność, zwątpienie, słowem jednym, wahanie się, które wróżyło że się opierać nie powinien.

Poznał to Biskup łączno...

— Otwartym bądź ze mną, — rzekł, — choćbym cię siłą i powagą mojego starszeństwa pociągnął mógł za sobą i skłonił do posłuszeństwa, nie chcę cię mieć nieprzekonanego idącego mimo swej woli, — chcę abyś i ty pragnął tego co ja...

— Jedno powiem ci — odezwał się Mszczuj, — co wam po mnie!! Znaliście mnie niegdyś silnym onym Waligóra, który i na ludzi i na góry porwać się był gotów — dziś ja jestem inny. Długi ten spoczynek mnie złamał i osłabił, we własną siłę wiary nie mam, aniby się jeden człowiek oprzeć potrafił temu co może napisano w niebiesiach...

Tak jak to nasze królestwo niegdyś wielkie rozleciało się na kawały i ginąć może, tak może i Odrowążom przeznaczono paść, a Jaksom się ich łupem żywić.

I na to patrz, że jam dziś ślepy, ludzi waszych nie znam, nawet tych którym blizkim byłem... Nie wiem co się stało z Leszkiem który rycerzem był dzielnym pod Zawichostem, a księżciem być nie umiał... Mógłbym ja to przewidzieć i odgadnąć Iwonie mój, że urośniesz na tego wielkiego Pasterza, który stać będzie na świeczniku?? Tak samo dziś nie wiem co się stało z temi których małemi znałem, czy wyrosli czy skarleli??

Na cóż się wam zdam taki ślepy i tak słaby??

— O bracie mój — ozwał się Biskup — niedługo ci uczyć się będzie potrzeba! Oczy masz wypoczęte, zobaczysz łatwiej to na co my patrząc ciągle, obywszy się, już nie wiele postrzegamy...

Odrowążom wodza potrzeba świeckiego, czynnego, tak jak ja im jestem i będę duchownym. Mnie nie na wszystko patrzeć się godzi, nie o wszystkim wiedzieć, nie wszędzie wniknąć, nie zawsze być surowym gdzie potrzeba.

Ja modlić się tylko umiem, przeczuć i zawołać gdy czuję niebezpieczeństwo...

Mówiłeś wczora o królestwie rozerwanem iż mu biada, jać powiem toż samo o rodzie, który gdy głowy nie ma, a spojny nie jest, przepada... Jesteśmy jako trzoda co się wilkom obroni gdy stanie kołem zwartem, a gdy się rozsypie, rozchwycą je.

Ale nie o ród nasz sam idzie mi, bracie, boć w mocy Bożej podnieść go i obalić, idzie mi o królestwo to aby gorzej rozerwanem nie było i straconem dla tej chwały Pana Niebieskiego, na którą ono pracować miało, słowa jego przyjmując do duszy i mogąc je w życie wprowadzić.

Zginiem my, padnie z nami kraj w moc barbarzyństwa i na pastwę ludzkich złości...

— A jaż jak się wam zdam do tak wielkiej sprawy, człek tak mały? — zapytał Mszczuj. — Anim Goworka, ani Mikołaja Wojewody nie dorósł, ani Krystyna z Ostrowa o którego losie doszły mnie wieści... Wiesz jak oni wszyscy skończyli! Goworek na wygnanie musiał iść dobrowolnie, drugiego się matka Leszkowa zaparła i musiał się oddać Mieszkowi, służyć mu całemu życiu kłam zadając...

Krystyna wręście Konrad oślepić, uwięzić i zabić kazał za to że mu służył i kraju bronił...

— Tak jest — przerwał Biskup z zapalem — aleć to cnót wielkich działem jest na tej ziemi że one cierpieć muszą za innych i to ich tryumfem że męczeństwem kończą... Ty się zaś złego końca nie masz co lękać, bo silną podporę mieć będziesz we mnie. — Ja zaś, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, siłę mam jaką on mi dał na chwałę swą i pożyc się nie dam łatwo. Za mną i ze mną pójdą Biskupi wszyscy, i ojciec nasz gnieźniński i całe wojsko nasze duchowne i cała potęga klasztorna...

— Więc pocóż ja? — zapytał Mszczuj.

— Ażebyś mi był prawicą — zawołał Biskup — ręką w którąbym ja wierzył jak we własną!

Waligóra zamilkł głowę spuściwszy.

— Mów, bracie miły, jako stoicie? co czynić mamy? — rzekł z cicha, już jakby na pół zwyciężony.

— Mamże ci ja opowiadać całe dzieje nasze, których byłeś w części świadkiem po śmierci Kaźmierzowej? — począł Biskup.

— Tak jest, mów wszystko — bo nie wiem nic — potwierdził Mszczuj. — Wszakci nie dziesięć lat już żyję na tej pustyni, a co tu do mnie dochodziło, często tak w ustach ludzkich skrzywiło się żem nie wiedział ani z kąd szło ani dokąd! Na puszczy głosy giną...

Biskup zlekka poruszył ramionami.

— Chciałeś sam o wszystkim zapomnieć i dlatego ci już dziś powtarzać trzeba nawet to o czem wiedziałeś.

Mszczuj na ręku oparty gotował się w milczeniu do słuchania..., a Iwo zwolna rozpoczął opowiadanie.

— Wiesz dobrze, jako się z dopuszczenia Bożego zmarło Sprawiedliwemu. — Kto był sprawcą tej nagłej śmierci dobrego króla, niewiasta niepoczciwa, wróg, zdrajca, czy sama prawica Boża zesłała tę śmierć, która czasem gdy chce uratować, karze — nie nam sądzić.

Po Kaźmierzu zostały piskłeta... i wdowa, dobra pani ale słaba niewiasta, której z kolei każdy wmówić mógł co chciał, która ze strachu o dzieci i o siebie chwytła się z kolei

i Goworka i Mikołaja, a gotową była zawierzyć Mieszkowi staremu, choć znała jakim był dla męża jej, i jak panowania pragnął.

Ledwie Kaźmierz oczy zamknął, już się zbiegło do Krakowa co żyło książąt dobijając o spuściznę po nim, choć dzieci zostały... Znali wszyscy Helenę że ją łatwo dobrymi słowy ująć i podejść było można. — Ślężcy książęta i Mieszko chcieli Kraków królowę państwa zagarnąć i byliby potomstwo Kaźmierzowe wygnali ze wdową, gdyby mój poprzednik na stolicy biskupiej nie stanął murem przy sierotach i przy prawie krwi przeciwko prawu wyborów, które państwo na łup fantazyom możnych rzucało...

Mieszko stary — jako całe życie tak i teraz nie ustąpił. Pamiętasz to przecie że się krwawo musiała sprawa rozstrzygać pod Mozgawą u Jędrzejowa, gdzie się swoi ze swemi wściekle rzeźali, a Mieszko syna postradawszy ledwie z życiem uszedł, ocalony przez żołnierza, który byłby go przebił, gdyby hełmu nie zdjął i twarzy mu nie pokazał... Nie pożywszy orężem Mieszko starał się Kraków opanować zdradą i do Heleny udał się opiekunem tylko Leszka być chcąc... Słaba niewiasta usłuchała go, poszła na dobrowolne wygnanie z dziećmi do Sandomierza na Pieprzową górę...

Mieszko zawładnąwszy Krakowem rządy począł po swojemu sprawować; wygnano go wprędce, lecz raz jeszcze Helenę uwiódł słowy słodkimi i gdyby nie śmierć, jużby krew Kaźmierzowa nie siedziała na stolicy... Nam zaś tej krwi Sprawiedliwego potrzeba a nie potomstwa Mieszkowego, bo ze krwią cnota przechodzi i chciwość panowania, która nie baczy na nic.

I to pomnisz jako Laskonogiego, wzięto do Krakowa, — za zezwoleniem Leszka, który panować się nie kwapił. W Laskonogim choć dobrym, łagodnym i pobożnym, krew ojcowska grała, — chciał panować sam i nad ludem i nad nami, którzy władzę naszą mamy od Boga. Potrzeba było usunąć go, aby Leszka, prawowitego pana przywrócić...

Zwycięstwo pod Zawichostem sprawiło, że Krakowianie Kaźmierzowego syna przypomnieli, a Laskonogi mu ustąpił...

Zda się tedy wszystko szczęśliwie skończone — westchnął Iwo — aliści to dopiero początek...

Czuwaliśmy i czuwamy, a przecież nie możemy rzec, abyśmy pewni byli iż siebie i państwo to ocalemy... Pobożni książęta, zazdrośni są władzy naszej i ciągle na nią nastają. Chce się im panować samym, co znaczy że bez Boga i prawa rządzić pragną... Ze krwi Mieszkowej jeźli Laskonogi nam już nie grozi, straszniejszy jeszcze bo popędliwszy i śmielszy Odonicz Płwacz, choć pełną garścią sypie kościołowi nadania, ale chce mu być panem... Tak samo ślężcy książęta, choć pobożni są słowy i życie trawia na postach i modlitwach, z kościołem się zadzierają... Nielepszy wręście nawet syn Kaźmierzów Konrad Mazowiecki, gwałtowny, chciwy panowania i niepohamowany gdy do celu idzie. Naostatek syn Mszczuja, Światopelk Pomorski, głowa Jaksów rodu, nietylko wybić się chce podległości panu, swemu, ale czyha na obalenie go...

Przeciw nim, jawnym i tajemnym nieprzyjaciołom, przeciw Rusi, — Leszek słabym jest, choć naszą siłę ma i mieć będzie za sobą...

Knują się spiski, które my — ja, mój bracie, więcej przeczuwam i przewiduję niż o nich wiem...

Odonicz wziął siostrę Światopelkową za to aby mu służył, razem idą oba... Ślężcy książęta są z nami, ale jak długo wytrwają gdy im zaświeci nadzieja pochwylenia Krakowa??

Biskup zamilkł głową potrząsając.

— Biada! biada królestwu temu — dodał, — jeżeli albo niespokojna krew Mieszkowa, lub ten co krwi już zakosztował Konrad — albo nawet ziemczale Ślężaki dostaną się na naszą stolicę... biada królestwu temu, bo zamiast być rządzone przez świeckiego książęcia, z pomocą i na wspólny z duchownymi, co go od tyranii wstrzymywać, od bezprawia ostrzegać będą — padnie w więzy jednego człeka władzy chciwego, co pszczoły wybijać będzie aby miód garnął. — Pójdzie w niewolę duchowieństwo, a z niem prawo Boże, miłosierdzie i straż przykazań świętych...

Walka to jest, bracie mój — nie o kawałki ziemi, nie o panowanie tego lub owego książęcia, ale znaczniejsza daleko, daleko przeważniejsza o wszelakie prawo człowiecze. Mali to państwo być osądzone jako trzoda bydła, łaską i niełaską albo prawem Chrystusowych dzieci...?

Waligóra słuchał.

— Bracie mój — odparł cicho, — mówię z tobą jako na spowiedzi, odkrywając ci duszę moją. — Nie sroż się na mnie. Walka to jest więc, jak mówisz sam, o to kto panować będzie — książęta czy Biskupi?

— Nie zapieram! — zawołał Iwo powstając, — lecz przypatrz się światu i powiedz mi co lepszego, czy sługi Boże panami waszemi, czy sługi namiętności własnych??

— A między wami, bracie — rzekł Mszczuj, — azali nie ma też sług namiętności — nie mali dumnych i władzy chciwych...?

— Tak ci jest, są między nami tacy, bośmy ludźmi — rzekł Iwo — lecz nas trzyma krzyż na piersiach, strach Boga, przysięga, kapłaństwo nasze. Zapomni się jeden nie wszyscy — świeccy panowie upajają się potęgą swoją, gdy jej granic nie czują. My granicą dla nich, stróżem i stróżami prawa...

Waligóra nie odpowiedział nic — a Iwo dodał po chwili.

— Panowanie Rzymu nie jest dla nas niebezpieczeństwem a jest opieką.

Tak, bracie mój, Leszka wszelkimi siłami podpierać potrzeba, bo ten nie opiera się nam i widzi że z nami tylko bezpiecznym jest, gdy inni nami się posługują aby później znękać nas i w poddaństwo obrócić...

To mówiąc nad schyloną głową starego Waligóry, Biskup w powietrzu ręką drżącą krzyż zakreślił.

— Wstań, — rzekł — i idź — błogosławię ci. — Rzuć wszystko a towarzysz mi, zobaczysz oczyma własnymi jako byłeś potrzebnym... Z dawnych czasów znasz pewnie niektóre książęta, poznasz innych; zobaczysz jakim się stał ten Leszek nasz, którego my wychowaliśmy.

Waligóra powstał posłuszny rozkazaniu, lecz w męzkich oczach lzy mu się zakręciły...

— A dzieci moje? — wyjąknął po cichu.

— Cóż dzieciom twym na tym gródku zamkowym zagraża? — odezwał się Biskup, — jedna chyba tęsknota za tobą. Nie będziesz przecie tak zaprzątniętym sprawami naszemi ażebyś do domu zaglądać nie mógł. Stara niewiasta ochmistrzyni zostanie z niemi, służba wierna...

— A! bracie — matki nie mają, a ojca nic im nie zastąpi — westchnął Waligóra.

— Dla czegoż byś córek nie miał z sobą wziąć do Krakowa? — zapytał Biskup.

Słyszając to wstrząsł się Mszczuj.

— Niech Bóg uchowa! do miasta je brać — na ludzkie wejrzenia narażać! Nie — nie!

— Pobożne są, — rzekł Iwo z cicha, — gdzież większe szczęście i spokój dla nich jeżeli nie w klasztorze? Gdybyś chciał, czemuby nie miały z księżniczką Adelajdą siostrą pana naszego, mieszkać w Sandomierzu?

— Nie — odparł Mszczuj — nadto do swobody nawykły.

— Przecież, co myślisz na przyszłość dla nich?

— Sam nie wiem, — westchnął ciężko Waligóra. — Skarb to mój jedyny z którym mi się rozstać będzie trudno, który podzielić nie wiem jak... Pan Bóg mnie nim ubłogosławił i pokarał, bo są jak bliźniaki przywiązane do siebie, tak że żyćby rozdzielone nie mogły i trzebaby chyba dla nich na mężów dwu braci jak one z jednego ojca zrodzonych, coby się rozłączać nie chcieli.

— Któż wie! — szepnął Iwo, azali to właśnie znakiem nie jest, że one dla tego Ob-lubieńca niebieskiego są przeznaczone, którego serce starczy dla milionów...

Mszczuj nie odpowiedział nic.

Pomimo troski o córki był już tak pod władzą Biskupa, iż mu się opierać nie śmiał.

— Idź teraz — odezwał się Iwo — urządz sprawę swe domowe, zdaj rządy, opatrz gródek — abyś mi, w imię Boże mógł towarzyszyć... Zabieram cię z sobą.

Waligóra i przeciw temu rozkazowi nie śmiał słowa rzec, skłonił głowę i wyszedł, a Biskup korzystając z chwili, leżącą na stole księgę otworzył i spokojnie modlić się zaczął.

A że na modlitwie czas mu zwykły był upływać tak prędko iż nigdy się z nim policzyć nie mógł, choć Waligóra zabawił długo, nie opatrzył się Iwo, gdy go ujrzał z powrotem wchodzącego do izby.

Gdy nań oczy obrócił zaledwie poznał w nim, widzianego przed chwilą. Waligóra zmuszony do podróży, musiał zmienić odzież, przywdziać zbroję dawno już nienoszoną,

i jakby po latach wielu zadowolenia znowu do młodszych, zabytych obyczajów powrócić...

Lecz jakże Iwonowi nawykłemu do nowych rycerskich zbroi, oręża i stroju wydał się dzikim i dziwnym... Wszystko co na sobie miał niezgrabne, ciężkie, miało cechę prastarą, i w oczach ludzi na dworze Leszka i innych książąt czyniłoby śmiesznym Mszczuja...

Skórzany pancerz z zardzewiałymi łuskami, chodaki grube powiązane powrozami prostymi, odzież ze skór wyprawnych w domu, sukno z krosien własnych niebarwione, — kołpak który w rękę trzymał z obręczami żelaznymi. — Biskupowi nawykłemu do rycerstwa włoskiego, do dworaków Cesarskich, do świetnych strojów słuźkich panów — wydawały się niegodnymi potomka Odrowążów.

— Najmilszy bracie, — zawołał widząc wchodzącego — Bóg widzi że do sukni i marnego przepychu nie przywiążę wagi, która grzechemby była, — lecz, nie potrzeba być oczy ludzkie zbyt ściągają na siebie, a w tem ubraniu i uzbrojeniu... głupi palcami wytykać i śmiać się z ciebie będą.

— Toć by najmniejszym było — odparł Waligóra, — bo mi ich śmiech równie jak poklask obojętny — gorsza to iż W. Miłości wstyd bym uczynił mojem ubóstwem wiejskiem...

Lecz, wszystko co do nas z Niemiec przywożą — dodał — obrzydłe mi i obmierzłe, przeto i zbroi nowych nie mam i nad stare nasze domowe mieć nie chcę.

Iwo się uśmiechnął.

— Więcby ci ze Włoch lub dalszego jakiego kraju chyba ich sprowadzić — rzekł, — a tymczasem choć opończę wędzić abyście jechać zemną mogli... Odrowąż musi rodowi swojemu możnemu, dopóki w świecie jest, postawą odpowiadać. Świecić nie trzeba i śmieszyć nie można. Cesław i Jacek kochani moje grube suknie noszą, ale ci z Bogiem nie ze światem obcuje, a tobie przypada ciężka część, z ludźmi sprawa.

Waligóra stał ku oknu patrząc.

— A! gdybyście mnie nie wyciągali ztąd! — westchnął.

— Bogu nie mnie służyć będziecie — odparł Biskup — bo różne są drogi i powołania, a i w klasztorze i na świecie Mu jednemu służyć trzeba. Nie dla siebie biorę cię, ale dla Pana...

Waligórze głowa na piersi opadła, zawahał się i wyszedł krokiem powolnym.

Słońce już się było pochyliło ku zachodowi, gdy z gródka na Białej Górze, wyruszył Iwo a za nim ciągnął, zwracając głowę ku domostwu, u którego słupów stojąc dwie Halki płakały, stary Mszczuj otulony ciemną opończą... Jechał jakby jeniec w niewolę wzięty, sercem się odwracając ku spokojnej siedzibie swej, w której lat tyle przebył wśród ciszy — powracając znowu do walki, którą miał za skończoną, do ludzi, których się był wyrzekł, do pracy od której odwyknął.

— Bogu na chwałę! — mówił w sercu swem stary...

IV

Na obozowisku Krzyżackiem po odjeździe Biskupa zabawiano się długo rozmowami, któremi nie wiele się młodzież zbudować mogła. Płaszcz z krzyżami, które mieli na ramionach Konrad z Landsbergu i Otto z Saleiden, wcale ich nie powstrzymywały od wesołych rozpraw o świeckich rzeczach, o przygodach na wschodzie, w których piękne niewiasty niepoślednią rolę grały, o rycerskich dziełach przeważnych, o zabawach wesołych w czasie tych wypraw do ziemi świętej, którym towarzyszyły nie święte kumoszki i nie pobożni pieśniarze...

Mówiono o łupach bogatych przy zdobywaniu miast zdobytych, o pochwytych pięknościach i o losach jakim później ulegały w niewoli.

— Ze wszystkiego co tu widzimy po drodze, wnosząc — rzekł ryży Otto, — nic się podobnego w tych krajach spodziewać nie możemy... Wprawdzie ziemię posiadać będzie łatwo, lecz złota i srebra ona nie rodzi... a lud do zwierząt podobniejszy jest niż do człowieka...

— Juści z Niemiec do nas osadnicy napłyną byleśmy kraj ten od dziczy pogańskiej oswobodzili, — odezwał się starszy Konrad...

— A tymczasem, — rozśmiał się Gero, bratanek jego — niczego pono nie mamy wyglądać oprócz ran od ich oszczepów a w zdobyczy kozuchów i lubianych tarczy!!

— Jedna rzecz będzie pociechą — wtrącił młody Hans von Lambach — a przyznaję się że ta mi niepospolicie się uśmiecha — to kraj łowów! zwierza mnóstwo! Jeżeli gdzie to tu się człowiek napołuje do syta!!

— Lubię i ja łowy — rzekł towarzysz jego Gero — przecie one mi nie starczą, po łowach dobrze mieć się przed kim z niemi choć pochwalić — tu zaś nie będzie nawet z kim pogwarzyć...

— Mylisz się — przerwał mu stryj Konrad, — na dworach książąt życie po naszymu, niemieckie, język nasz, śpiewy nasze, ludzie z naszych ziem...

— Tylko kobiet tu naszych brak! — rozśmiał się Gero.

— Są i kobiety nasze — westchnął Krzyżak — ale to bieda że jak żona księcia Henryka Jadwiga... święte bardzo i pobożne, zatem i na dworach ich więcej słyhać psalmów niż pieśni miłosnych...

— Eh — odezwał się Hans — darmo by już i nie mówić o tem co tylko tęsknotę obudza, — gadajmy lepiej o łowach. Ja jutro już muszę trochę w las się puścić, bo mi dłonie świerzbią...

— My jutro w dalszą drogę musimy — rzekł sucho Konrad von Landsberg, który dowodził całym oddziałem...

— Musu przecie nie ma — ciszej odezwał się von Saleiden — co za mus...? Moglibyśmy dać tu koniom się odpaść jeden dzień, a młodzieży dać trochę po lasach popładować...

— Tak! tak — rzekł szydyczko Konrad, — żeby gdzie wpadli na książęce lasy i strażę, albo na jakie ostępy biskupie lub opacie i kłopotu nam naciągnęli.

— Cóż znowu — krzyknął Hans — przecie tym co niosą życie w obronie wiary na pogan, nikt nie może niewinnej rozrywki zabronić. — Radbym widzieć Biskupa lub Opata coby mi śmiał...

Starsi się rozśmieli.

— Patrzcie go jaki pewny siebie, choć jeszcze krzyża nie nosi! — zawołał Otto, — a cóż to będzie gdy was do zakonu przyjmujemy!!

— Więc choćby nam Krzyżakom — dodał Konrad — wolno było coś więcej, to nie wam którzy jeszcze niemi nie jesteście...

— Dodaj stryju kochany — rzekł Gero, — że podobno oba nie będziemy niemi nigdy. Pójsz z wami, zapolować na dzikich ludzi, zgoda, ale śluby składać na cały żywot...

— Ten się szczególniej boi — zaśmiał się Otto, — żeby go nie minęła piękna pani i miękkie łóżko...

— Jakby to Krzyżacy się ich wyrzekali! — mruknął Gero... — swoich nie mają, prawda — ale za to cudze na rycerzy słodko patrzają...

Śmiano się i dowcipowano...

Wśród gwarzenia młodzież potrafiła starym, którzy do kubków często zaglądali, powiedzieć że konie potrzebowały odpoczynku, a oni polowania. Czeladź, której się spieszyć nie chciało, przywołana na świadectwo, potwierdziła to że spoczynek był dla zmęczonych szkap zbawienny.

Zatem rankiem pozwolono się Geronowi i Hansowi sposobić do łowów w lasach sąsiednich, o które nikt się nie troszczył czyje były, ani o pozwolenie na myślistwo. Rycerzom niemieckim zdawało się że na całym świecie wszystko im wolnem było...

Otto von Saleiden, choć starszy od dwóch ochotników, dał się też skusić na łowy... Konrad tylko jako oddziałem dowodzący przy swych knechtach w namiocie pozostał postanowił i wypocząć do dalszej podróży...

Tego dnia gdy Biskup bawił jeszcze na zamku w Białej Górze, Gero, Hans i Otto ruszali ze świtem w lasy, zabrawszy psy które mieli z sobą, i dwoje czeladzi.

Nie znali wcale okolicy, lecz nawykli byli w podróżach kierować się po słońcu, drzewach i ścieżynach, nie obawiali się więc obłąkać, a nie myśleli zbyt głęboko w puszcze zachodzić.

Mglisty ranek jesienny, wilgotny, psom i myśliwym sprzyjał... Zaledwie się puścili od skraju w gęstsze zarośle, gdy gończe ich zławiać poczęły i odzywać jakby już zwierza tropiły...

Zagrzało to młodych myśliwców, którzy ochoczo za nimi podążali. Lecz las mało widać był spolowany, zwierza w nim się legło wiele, psy coraz to nowe trafiając ślady, to tu to ówdzie zrywały się i gonily. Sami łowcy widzieli w gęstwinach przemykające się sarny i pomniejszego zwierza, nie mogąc ani z łuku strzelić, ni inaczej go dosięgnąć. Choć się zrazu wszystko obiecywało najpomyślniej, ale zdawało urągać dwóm niedoświadczonym a gorącym chłopakom, z których starszy Otto się wyśmiewał, sam więcej świadkiem chcąc być niż współuczestnikiem zabawki.

Szyderstwami jego pędzeni Geron i Hans coraz żywiej gnali za psy w las, starając się tylko aby razem trzymać i być sobie pomocą. Parę razy udało się im strzelić z ciężkich luków, ale belty poszły próżno lub utkwily w drzewach...

Cały tak czas do południa siebie męcząc i konie, postradawszy psy, które daleko się odbiły i ledwie niekiedy głos ich dochodził, nic nie wskórawszy, bląkali się po lesie, aż ostrożniejszy Otto, ciągle z nich szydząc, nakazał spocząć i sam legł — wołając aby na psy trąbili...

Słońce się już w górę podniosłszy z obłoków wybiło, dzień stał prawie gorący, więc na pagórku wstrzymawszy się wszyscy, zabrali wytchnąć nieco i posilić.

Oba młodzi przeklinali lasy tutejsze i zwierza, który jakby na szyderstwo pokazywał się gęsto, a pochwyć nie dawał.

Trąbiono na psy, rozkładając zapasy wzięte z namiotu, z których głodny Otto najpierwszy skorzystał, bo Gero i Hans sprzeczali się nawzajem na siebie składając winę niepowodzenia...

Powrócić do obozu z próżnymi rękami wstyd było, a choć Otto radził się już mieć do odwrotu, wyprosilili mu się młodzi, by im szczęścia jeszcze próbować pozwolili... Psy też po jednym, z językami powywieszanemi, zziąbane powoli się ściągały... Jeden z czeladzi przybył także opowiadając iż stado dzikich świń napotkał, które musiało przylegnąć niedaleko w gęstwinie.

Porwał się zaraz Hans, rzuciwszy jadlo i Gerona z sobą ciągnąc, psy nawołując puścił z pacholkiem, który mu miał ukazać gdzie się z dzikami spotkał... Odbiegli nie wiele od tego miejsca, w którym Otto leżał jeszcze na murawie, gdy pod kłodą olbrzymią na pół przegniłą, nagle ruszyło się coś i dwa ogromne białe kły dzika zaświeciły. Psy już z obu stron starego odyńca chwycić próbowały, który z ciężkością zdawał się z pod kłody dobywać... Gero i Hans oba naprzód wypuściwszy strzały, które gdzieś w grzbiecie potwornej bestyi uwięzły, dobywszy mieczów śmiało z nimi rzucili się na dzika, ogarniającego się psom natrętnym.

Hans przypadł pierwszy ku niemu, gdy dotąd, jak nieruchomy nieprzyjaciół, skoczył nagle na biegnącego i kłębem nogę mu rozplatawszy, obalił go na ziemię. Gero, który za nim pędził z podniesionym żelazem, nie miał czasu uskoczyć mu z drogi i cięty z kolei padł mając jeszcze tyle odwagi, że miecz cały dzikowi wraził w szyję. Z nim razem uchodził krwawiąc ranny, a psy szarpały go przytrzymując po drodze...

W gąszcze się zaszywszy znikł im z oczów...

Hans usiłował się podnieść nie czując zrazu by rana ciężką była, lecz zaledwie na rękach się sparł by podźwignąć, padł twarzą na ziemię i przytomność postradał, krew lała mu się z nogi strumieniem...

Gero miał też nogę podciętą do kości na której ostry kiel się zatrzymał; rana jednak mniej była niebezpieczną czy on silniejszy, bo nie straciwszy zmysłów, miał czas trąbkę ująć i choć słabo odezwać się o ratunek... Krzyki które im obu w chwili gdy padali, mimowolnie się z piersi wyrwały, powołały ku nim Ottona i pacholców...

Gdy Saleiden przybiegł na miejsce, przytomny jeszcze Gero wskazał mu nieopodal leżącego Hansa, który jak trup, nie dając znaku życia, wyciągnięty był na ziemi.

— Macie wasze polowanie! — krzyknął gniewnie Krzyżak, opatrując Hansa, którego bladą głowę podniósł w rękach, patrząc na okrwawioną i rozplataną nogę. Do rycerskiego rzemiosła należało wówczas umieć z ranami w pierwszej chwili radzić sobie, i Otto też złożywszy omdlałego na murawie, naprzód rzucił się nogę zawiązywać, aby upływ krwi

powstrzymać. Gero choć osłabły toż samo już zabierał się czynić z raną swoją. — Czeladź też wróciła spiesząc na ratunek...

Obwiązano Hansowi chustami straszne owo cięcie, na którego widok Otto głową potrząsając, ledwie nie zwątpił o jego życiu... Gero też ścisnął nogę swą, na którą jednak stąpić nie mógł... Cucono Hansa dającego jeszcze znaki życia, a tymczasem z porady Ottona, jeden z czeladzi siadł na koń aby jakiegoś szukać ratunku i przytułku...

Do obozu, choćby się obu rannych dowieść udało, nie było tam co poczynąć z niemi, a póki żywi nie godziło się ich opuścić.

Otto kłął zuchwałą i nieroztropną młodzież, która zamiast im być pomocą, stawiała się ciężarem. Łajał Gerona który milczał, Hansowi zaś omdlenie powracające nie dołączało słyszeć ni rozumieć co się w koło niego działo.

Tymczasem miało się już ku wieczorowi; a posłany chłopak nie powracał. Wybrał się był szczęściem taki, który cokolwiek mowę tutejszą mógł zrozumieć, bo sam z Pomorza pochodził, lecz dzieckiem gdzieś zabrany, przez Niemców został wychowany. Można więc było mieć niejaką nadzieję, iż natrafiwszy gdzie na ludzi, pomoc sprowadzi. Ale dokoła był las gęsty i na mieszkanie, chatę, człowieka nie łatwo mógł natrafić. Szczególnego na to szczęścia potrzeba było.

Zmierzczało już, gdy w krzakach szelest się dał słyszeć i głosy, a po chwilce ukazał się wysłany, prowadząc za sobą starą kobietę wylęklą, chudą, okrytą koszulą zgrzebną, z siwymi włosami rozrzuconemi na głowie, jakby drapieżna ręka chłopca targnęła się na nie. Prowadził też ją opierając się mu jak niewolnicę, poganiając bez litości...

Gdy na polankę ową wyszli, a baba zobaczyła leżącego na niej Hansa, Gerona skulonego z nogą obwiązaną i dumnej postawy Ottona, ulękła się bardziej jeszcze i rzuciła składając ręce na kolana...

Chłopak który ją przyprowadził, niemiłosiernie smagał po plecach... Sam pono nie wiedział dla czego się tak znęcał nad starą, ale ze strachu o rannych, przytomność postradał, a nikogo oprócz baby nie znalazłszy w lesie, przygnął ją bezmyślnie prawie.

Rozmówić się z nią było trudno, — Otto przytomniejszy od innych, widząc że krzyk i groźby mogą tylko większym strachem nabawić, zbliżył się do klęczącej, i proszącej o miłosierdzie, pokazując jej rannych i rękami tłumacząc że potrzebowali ratunku. Na poparcie tego języka ruchów, rzucił jej kilka srebrnych pieniążków.

Widok ich podzielał szczęśliwie i baba ośmielona wstała zbliżając się ku leżącym na ziemi; ale popatrzwszy na okrwawione chusty, zaczęła pokazywać także rozłożonemi szeroko rękami że ona nic na to pomódz nie może. Wskazała jednak stronę w której ratunek się mógł znaleźć, a chłopak co ją przyprowadził, wyrozumiał z jej mowy iż należało poranionych nieść do blizkiej jakiejś chaty. Stara ofiarowała się prowadzić do niej.

Ale Hansa nieść było potrzeba, a Gero, choć mógł się wlec z biedy wspierając na ramieniu jednego z pacholków, często musiał spoczywać — i nie rychło do obiecanego dojść mogli schronienia.

Naprędce musiano zrobić nosze, które do dwóch koni przytwierdzić było można, a na jednego z nich Gero ofiarował się wdrapać, i próbować czy jechać nie potrafi. Nim się znalazły gałęzie, sznury i nosze urządziły, w lesie zupełnie ściemniało, baba byłaby, niestrzeżona łatwo się wymknąć mogła, ale owe srebrne pieniążki uczyniły ją wielce ochotną i czynną. Pomagała czeladzi, chodziła, wyszukiwała, i zrećnie płała gałęzie na których Hans miał być złożony.

Według jej zaręczenia przed nocą mogli, zwolna się wlokąc, dojść do obiecannej chaty... Gdy wszystko było nareście gotowe, pochód ten cały, z Ottonem na przedzie, któremu baba towarzyszyła, puścił się w las powoli. Gero mężnie znosił boleść zaciąwszy zęby i nie chcąc się okazać słabym, Hans jęczał i omdlewał, cucono go wodą i pocieszano tem że podróż nie potrwa długo.

Otto choć milczał, w duchu przeklinał całą tę szaloną młodzików wyprawę.

Gąszczami bez drogi prowadziła baba dosyć długo, dopóki na jakąś ścieżkę widoczniejszą się nie dostali. — Tu już nadzieja wstąpiła w serca, bo stara coraz ręką ukazywała przed siebie, oznajmując iż byli niedaleko od chaty...

Jakoż między gałęzmi zabłysnęło światelko, dym się dał uczuć w powietrzu, drożyna szerszą się stała i zabudowania jakieś ukazały się przed niemi. Była to chata leśna, na pół w ziemi, pół nad ziemią, przyparta do wału, ostrokołów i wrót co je zamykały.

Znaleźli się właśnie u tej granicznej strażnicy Białej Góry, przez którą przed nie wieloma godzinami przejechał nazad Biskup Iwo wiodąc z sobą brata...

Orszak biskupi który tu nań oczekiwał, wyruszył za niemi... Baba wyprzedzając Ottona pobiegła dać znać stróżowi — a ten natychmiast uzbrojony w swój drąg kuty zjawił się przestraszony. Od lat wielu jak tu siedział pilnując granicy nie trafiło mu się nigdy dwu naraz podróźnych widziców u tych wrót, które stały zaparte zawsze, wpuszczając i wypuszczając tylko rzadkich posłańców Waligóry...

Stary tym ruchem który nagle przerywał mu spokój zwykły, był przerażony i gniewny. Wyjazd pana, który nigdy się z zamku nie ruszał, niebytność jego w domu, jeszcze pomnażała trwogę.

Przywłókl się sam aby przypatrzeć przybywającym, i widząc rannego na noszach, skaleczonego na koniu, a obok dumnie nakazującego rycerza Ottona, stracił głowę.

W chacie w której on sam mieścił się z żoną i wyrostkiem, nie było dla podróźnych nawet barłogu wygodnego, aby ich złożyć można, dla koni brakło szopy, a na pobyt dłuższy pokarmu dla ludzi.

Otto tymczasem pobrzękując mieczem, krzyczał i kłął aby chatę opróżniono. Stróż stary ze strachu nie wiedząc co począć, zbiegł do chałupy, drzwi zamknął i drągiem zawałił ze środka, zasunął okiennice, i zdał się na wolę Bożą.

Baba napróżno szturmowała do okien zamkniętych, usiłując przekonać stróża, aby przyjął rannych do siebie...

Tymczasem Hans jęczał coraz boleśniej.

W niewielkiem oddaleniu był obóz krzyżacki, ale o nim Otto nie wiedział, zupełnie się obłąkawszy na polowaniu; dla poranionych gwałtownie trzeba było szukać jakiegoś ratunku... Baba przekonawszy się że tu ich stróż nie przyjmie i nie myśli im otwierać, choć mu nagrodę obiecywano, — zaczęła niewyraźnie bąkać o Białej Górze.

Chłopak który się coraz lepiej z jej mową oswajał, wyrozumiał iż jakiś gród był za wrotami temi niedaleko, i że do niego nie puszczano nikogo...

Temu uwierzyć nie chciał...

Otto von Saleiden jak tylko mu o Białej Górze oznajmiono natychmiast postanowił z rannymi jechać do niej, zwłaszcza iż gródek miał leżeć niedaleko. — Wrota wprawdzie stały zaparte przed niemi, ale na to Krzyżak wcale zważać nie myślał... Zakląwszy okrutnie dał znak by jechać ku nim. — Sam zsiadłszy z konia, począł do starych wrót się dobijać, czeladź wylała je łatwo.

Dopiero usłyszawszy łomot ten stróż zamknięty w swej chacie, wybiegł bronić z drągiem, ale naówczas już Otto i za nim ciągnące konie, baba co drogę pokazywała, cały ów pochód przebył okop i ostrokoły i puścił się drogą ku zamkowi.

Noc była ciemna i chłodna, a mgła jesienna okrywała doliny, i w górze tylko gdzieś blade gwiazdy migotały, gdy Otto ujrzał bramę znowu przed sobą. Począł z całych sił trąbić.

Tych wrót obronnych ani mógł myśleć zdobywać...

Stanęli oczekując aby się im kto zjawił od grodu. Nierychło coś zaszarpało na wyżkach i słaby głos począł pytać — kto i czego chciał tutaj...

Pytania trudno było zrozumieć, a niemiecka odpowiedź na nie Ottona, ten skutek miała iż człowiek znikł z wyżek i głuche nastąpiło milczenie.

Otto niecierpliwie trąbił znowu, a dobierał najwzraskliwszych rogu swojego głosów, które musiały wszystkich pobudzić.

Wzdłuż wałów i na bramie zaczęli się pokazywać ludzie, poglądać na stojących u wrót, lecz ni do rozmowy ani do otwierania nie okazywali ochoty. Stara przewodniczka wzięła na siebie przemówienie do ludzi zamkowych... Opowiadała im coraz głośniejsze i krzykliwiejsze gdzie i jak tych Niemców napytała i jak się tu dostali.

Ktoś w ostatku zlął ją za to, że naprowadziła na gród nienawistnych ludzi, jakby nie wiedziała że noga ich nie powstała nigdy na gródku Waligóry...

Po długich krzykach i sprzeczkach, ktoś z góry, czy miłosierdziem tknięty, czy chcąc się zbyc niepokoju, — kazał podróźnym jechać pod wałami na podzamcze i tam w szopach jakichś szukać schronienia.

Przystępu do zamku wzbroniono zupełnie... Pana w domu nie było, a gdyby o Niemcu się u siebie dowiedział, własnąby spalił siedzibę, żeby ślad stóp jego zatrzeć.

Już Otto miał się według wskazania skierować ku szopom, do których też sama baba prowadziła się ofiarowała, gdy z bramy do stojącego na koniu Ottona zwiesiła się głowa człowieka, którego po ciemku rozpoznać mu było niepodobna i cicho a ostrożnie, łamaną niemiecką mową rozpytywać zaczęto...

Krzyżak posłyszawszy zrozumiałe mu wyrazy, miał się za ocalonego...

— W imię Zbawiciela i matki Jego N. Panny Maryi, której my sługami jesteśmy, — krzyknął zapalczywie, — cóż to za kraj? jacy w nim mieszkają ludzie? Czyśmy już do pogan się dostali?? — Jesteśmy zakonnicy szpitalni niemieckiego domu z Jerozolimy, jedziemy przyzwani przez księcia Konrada do objęcia danej nam ziemi i walczenia z poganymi...

W drodze młodzież naszą spotkał przypadek w lesie, sroga bestya na którą się nierozważnie rzucili poraniła nam ich okrutnie... Żebyśmy też przytułku i ratunku nie znaleźli!!

Westchnienie słyszeć się dało z góry.

— Kraj ci to chrześcijański, — odparł głos — ale pan grodka tego z niemieckimi rycerzami i nierycerzami wcale do czynienia mieć nie chce... A i doma go nie ma, bez niego zaś nikt się tu was wpuścić nie waży.

— I dacie tym szlachetnym młodzieńcom ginąć marnie! — zawołał Otto rozpaczliwie.

Nie dano na to odpowiedzi, aż po chwili, rzekł cicho ktoś.

— Jedźcie tam do szop na podwalu — jedźcie. Chrustu jest dosyć by ognia zapalić, a i woda poblizko się znajdzie. — Ztąd może się uda wam dać pomoc jaką...

— Macie pewnie ktoby umiał rany opatrzyć — przyślijcie go, zapłacimy... — krzyknął Otto dumnie.

— Jedźcie! — powtórzono z góry...

Znów tedy drogą na podwalu, musieli ciągnąć przybyli, aż się szopy opuszczone, z chrustu plecione, z dachami na pół poobrywanymi pokazały... Dawno widać nikt tu oprócz bydła gdy je burza z pola wracające napadła, nie mieszkał. — Lecz co poczynąć mieli?

Baba dowiódłszy ich tu, a bojąc się pewnie by ją za posługę Niemcom nie karano, przysłała się żegnać do Ottona, to jest o zapłatę się upomnieć i zamyślała uchodzić, Niemiec znowu dał jej trochę pieniążków, ale puścić nie chciał, bo służyć nie było komu...

Kazano jej chrust zbierać i ogień niecić. Czeladź pilnowała, musiała być posłuszną.

Była już noc późna; na grodku słyszeli piejące kury i naszczekujące psy, które po-czuwszy obcych, straszliwie na wałach ujadają i wyły...

Gdy ogień zapłonął, Otto dopiero mógł się nieco rozpatrzeć po okolicy. — Z jednej strony we mgle nocnej majaczyły bory czarne i płaszczyna która się zdawała błotnistym moczarem, z drugiej sterczało nad niemi grodzisko, góra, wały i ostrokoły... Nawykłe do postrzegania oko Krzyżaka dopatrzyło w pewnym oddaleniu na górze, małej furty w ostrokołe, od której ścieżynka kręta prowadziła ku szopom...

Otto się jeszcze rozglądał, gdy u furty zobaczył cień człowieka jakiś, który zdawał się z niej wysuwać i ostrożnie ku nim spuszczać ową drożyną... Nie dowierzał oczom swym, lecz po chwili człek ten zbliżyć się zaczął ostrożnie i Krzyżak mógł nawet rozpoznać że był przygarbiony, niewielkiego wzrostu, opończą z kapturem osłonięty. Światło od ogniska padało na niego i długi cień idącego na pochyłości góry wyciągnął się, ruchomy, ginąc w mrokach...

Otto śmiało wystąpił naprzeciw niemu. Postrzegłszy go idący kroku zwolnił, i oba ciekawie przypatrywać się sobie zaczęli. Zamkowy człek z bladą twarzą, nierycerską miał postawę, a broni żadnej — obawiać się go nie miał potrzeby Otto, a był też tak mężnym że i czterechby się nie uląkł...

Był to ksiądz Żegota. On też to ciekawością i miłosierdziem powodowany, dobył z siebie tych słów kilka niemieckich, niegdyś wyuczonych gdy się na duchownego przy niemieckich zakonnikach sposobił. — Nigdy on z tym językiem nienawistnym nie wy-dawał się przed Waligórą, zapomniał go wiele, — ale dziś rad był iż cokolwiek jeszcze mu z niego zostało.

Pamięć młodości, wdzięk zakazanego owocu, może zbytńia Waligóry ku Niemcom nienawiść, w starym księdzu Żegocie budziły uczucie przeciwne. Język wydawał mu się prawie miłym, miał urok jakiś i powagę; przedstawiał mu się jako mowa ludu który naówczas orężem i wpływem sięgał aż do stolicy Rzymu...

Dnia tego, niebezpieczeństwo od którego uszedł szczęśliwie, czyniąc się chorym i uniknąwszy surowego wyroku Biskupa Iwona, dawało mu usposobienie litościwe, czyniły przez wdzięczność dla Opatrzności za jej łaskę, miłosiernym...

Pomimo więc iż się wykradając z grodka do nienawistnych Niemców narażał na gniew Waligóry, zbiegł ks. Żegota w pomoc tym, którzy jej potrzebowali...

Strach go przejmował, ale szedł, zakrywał twarz, zmienił głos — a wstrzymać się nie mógł.

— Czemu wam można być pomocą? — wyszepnął zbliżając się do Ottona... — Wcale źle was do tego miejsca przyprowadzono, nasz miłociwy pan, Comes Mszczuj Odrowąż z Białej Góry, możny i wielkiego rodu mąż, nie lubi narodu waszego... Gdyby on był w domu, nicby się tu nie można spodziewać, — odpędzićby kazał...

Ja, jestem kapłanem, — choć wiem że za to pokutować mogę, radbym braci zakonnej służyć, alem ja człowiek biedny, sam i nie wiele potrafię, choćbym najmocniej chciał!!

Otto bacznie się mówiącemu przypatrywał słuchając.

— Niemcy czy ktokolwiek jesteście — rzekł — przecież ludzie! Nie godzi się zabijać, to przykazanie Boże, a ten zabija kto nie ratuje!

Dwóch ślicznych młodzieńców leży rannych — jęczą i nie ma ich opatrzeć komu...

Ulitujcież się — głodni jesteśmy, siły się wyczerpały. — Radźcie, a gdy tu ratunku nie można się spodziewać, dokąd się udać...

Niedaleko ztąd obozowisko nasze być musi, ale i do tego trafić trudno, a gdybyśmy się tam dostali cóż z ciężko poranionymi zrobimy, zmuszeni jutro w dalszą drogę do księcia Konrada, który na nas czeka...

Ksiądz Żegota czoło tarł i ramionami rzucił, to ręce chude załamywał...

— Co ja w domku ubogim mam, tem się z wami podzielę, — rzekł, — nawet i ostatki oddam. Znajdę też może starą niewiastę, co się zna na ranach i ziołach... ale tu wam długo trwać nie można. Nie wiem kiedy nasz stary powróci, a gdyby wrócił — biada wam i biada mnie.

— Wpadliśmy w tęgą matnię, przez tych młokosów — odezwał się Otto — lecz i w Bogu nadzieja że nie opuści i w najgorszym razie otuchy stradać się nie godzi.

Dawajcie naprzód co macie, potem pomyślemy o dalszem.

Ks. Żegota spuścił się jeszcze milczący ku szopie w której ranni leżeli, poszedł na nich rzucić okiem — podumał, zamruczał i skłoniwszy się przed Ottonem na zamek powrócił.

— Przecież i tu w tej dziczy, — zawołał Otto, — znalazła się jedna dusza chrześcijańska i człek co rozumie język ludzki!!

Czeladź sama krzątała się jak mogła około Hans'a. Gero z wielkiej biedy odzyskał trochę młodzieńczej wesołości na przekorę... Nogę sobie sam obwiązywał i razem towarzysza pilnował, a z czeladzi podżartowywał.

— Żebyśmy byli choć tego dzika ubili i zjeść go mogli, — mruczał, — a tak co myśmy mieli jego, on nas skosztował. W tym kraju wszystko na opak się dzieje!

Otto niespokojny, jednego z pacholków z lepszym koniem mimo nocy już wyprawiał szukać obozu, aby oznajmił Konradowi o nieszczęśliwej przygodzie.

— Jedź, — mówił mu, — musisz prędkiej, później napytać naszych, powiedz co się stało i że my tu między nieprzyjaciół popadliśmy. Niech brat Konrad myśli o nas...

Nierychło furta na wałach znowu się otworzyła i zamiast jednej pokazało dwie postacie i dwa cienie, które szybko do szopy się zbliżały... Ks. Żegota niósł kosz w ręku, za nim z narzuconą na głowie podwiką wlokła się stara baba...

Lekarzy innych nad takie znachorki mało gdzie znaleźć było można. Na gródku owa Dzierła, którą za młodu zwano pono Dzierlatką, bo była żwawą i swawolną — pełniła obowiązki wszelkie jakie na baby owych czasów przypadają. Wróżyła, zamawiała, babiła, niańczyła, dawała zioła miłosne i sposoby na ludzi, a źli mówili, że najrzęczniejszą pono pośredniczyła między parobkami a dziewczętami. Działo się to jednak tak skrycie że nikt o tem na pewno nie wiedział, a komu pomogła ze strachu milczał, bo groziła zemstą.

Na gródku miała jakiś chleb łaskawy, nie pełniąc innych obowiązków oprócz że około drobiu, trzody, stadniny radziła czasami... Ale wszyscy jej potrzebowali, a co więcej, wszystkich zabawiła opowiadaniem, bo nikt nad nią więcej baśni, gadek, powieści osobliwych nie umiał. Dziwowano się jej zkąd ona to brała, bo się nigdy jej powiastki nie

wyczerpywały... Nawet dwie Halki zachodziły do izby w której dziewczęta przędły, aby jej słuchać wieczorami.

Lubili ją ludzie, bo się każdemu przypodobać umiała, a choć za plecami drwiła niemal z każdego, nikt się tego nie domyślał, tak była w oczy słodką...

Dzierła choć nie młoda, bardzo jeszcze starą nie była, a nosiła się tak śmiesznie, jakby młodą chciała udawać... Czasami wkładała nawet wianuszek na głowę, choć do niego dawno straciła prawo, i obwieszała się błyskotkami, palce miała całe okryte mosiężnymi i srebrnymi pierścieniami, wstążki a opaski krasne lubiła niezmiernie. Chuda, żółta, opalona, miała oczy czarne ogniste, kibić jeszcze giętką i gibką i zdala czasem ją kto mógł wziąć za dziewczynę...

Ksiądz Żegota miał do niej wstręt wielki, ona bała go się mocno, posługiwać się nią jednak musiał, nie mając jej kim zastąpić, a ona chętnie skinieniu była posłuszną, aby sobie zaskarbić łaski.

I teraz też wyciągnął ją gdzieś z kąta, aby szła opatrzyć rany.

Sam on, wiedząc co chorym i znużonym potrzeba, w koszu niósł trochę wina którego do Mszy św. używał, kawał białego pieroga, trochę mięsa wędzonego, sera i masła.

Wesoła Dzierła wstępując na próg szopy i widząc z kim mieć będzie do czynienia, przybrała postać poważną i wprost szła do Hansa...

Stała nad nim przyglądając mu się długo, spytała od jakiego zwierzęcia ranę dostał i głową trząść poczęła o kle dzika posłyszawszy. — Klękała potem ranę opatrywać, ku czemu już miała z sobą hubę, zioła i szmaty...

Tymczasem ks. Żegota dobywał z kosza przyniesione zapasy, a Otto ujrawszy dzbanuszek nie czekając na innych, wyrwał mu go prawie z ręki, chciwie do ust niosąc...

Gero się też jadła i napoju dopominał; tylko Hans biedny gdy mu nogę zakrwawioną odsłonięto, krzyknął z bólu i omdlał tak że go winem z wodą cucić musiano.

— Panu Bogu niech będą dzięki — oddychając rzekł Otto, — jeszcze nie zginiemy na tej pustyni! Są ludzie!!

V

Zaledwie ks. Iwo z podróży swej do Krakowa powrócił i zajechał na dworzec biskupi — ledwie miał czas z konia zsiadłszy rozmówić się z gromadzącymi się na przyjęcie jego duchownymi, gdy już na zamku o nim wiedziano i od księcia Leszka biegł komornik z pozdrowieniem, który zarazem niósł prośbę, aby Biskup tęskniącego za nim pana co najrychlej odwiedził.

Waligóra którego Iwo przywiózł z sobą, w miarę jak do stolicy się zbliżali, wznawiającej jakieś stare wspomnienia niemiłe, smutniał i stawał się coraz bardziej milczącym i ponurym. Nawet łagodne a dobre słowa brata, nie mogły go wyrwać z tej ciężkiej zadumy.

Biskup gdy wjeżdżali do miasta sam modlić się zaczął i toż bratu polecił.

— Módlmy się, — rzekł, — wielki to oręż i skuteczne lekarstwo modlitwa...

Mszczuj także modlitwy szeptać począł... Lecz mimowolnie owo miasto dawniej mu dobrze znane, niewidziane przez długie lata, oczy pociągało ku sobie.

Urosło było, zmieniło się, rozsiało szerzej, domostwa wypiękniały, przybyło kościołów...

Ks. Iwo rzucił okiem ojcowskiem na drewniany kościółek Ś. Trójcy, przy którym osadził Dominikanów, na poczęty Panny Maryi, co miał stać w rynku... Oczy mu się zwilżyły i myślał.

— Dałby Bóg jeszcze żywota trochę, przyrośnie świątyń, przybędzie ludzi, wzmoże się potęga duchowieństwa... na chwałę Pana!!

Mszczuj z Biskupem razem, nie dając się poznać kim był, i skromne zajmąwszy miejsce w orszaku, przybył do dworca, gdzie na dany znak przez ks. Iwona zaraz go w osobnych izbach umieszczono... Nie pokazał się już dnia tego.

Ani na zamek mógł Biskup podążyć, bo i godzina była opóźniona i w domu siła zostawało do roboty, po kilkodniowej niebytności...

Mało nie od wszystkich Biskupów z całej Polski czekały nań listy i posły z ważnymi sprawami.

Waligóra gdyby był się przypatrzył tym duchownym, którzy na powitanie brata spieszli, zgorszyłby się był bardzo, gdyż liczba księży i mnichów cudzoziemców niemal przemała. Czarne, szare, białe, brunatne habity wszelakich zakonów, różnego kroju cisnęły się do ukochanego Pasterza, który tego wojska Chrystusowego zastęp jak mógł pomnażał...

Odzywały się tu języki wszystkie od łacińskiego począwszy, który powszechnym był, do włoskiego, francuzkiego i niemieckiego, bo zakonnicy z różnych krajów napływali gromadnie. Sam zaś Biskup Iwo, który za młodu w Paryżu razem z późniejszym Papieżem Grzegorzem IX, nauki kończył, a potem wielokroć do Włoch podróżował, mówił temi językami tak dobrze jak swoim. Dar ten Ducha świętego był mu udzielony, że się ich uczył łatwo i nie zapominał nigdy... Nie miał też tej miłości tak wyłącznej dla swoich, jaką Waligóra się chwalił, a byle człek był pobożny, nie patrzył jakiego rodzaju.

Oczy gorliwego kapłana zwracały się na zachód i południe z miłością wielką, gdyż tam rozkwitało to życie duchowe, które wiek ów znamionowało. Tam płynęła rzeka ognista, której tu ledwie ciekły małe strumyki...

Dwu razem wielkich apostołów wydały naówczas kraje południa, Hiszpania Ś. Domingo, Włochy Ś. Franciszka, tego miłośnika ubóstwa, który przeszedł przez życie w upojeniu, w ekstazie, we śnie niebieskim, że śpiewem na ustach, cały w Bogu, z ranami cudownymi, z widzeniami archaniołów, otoczony ubóstwem, rozkazując ptaszętom, opiekując się owieczkami, całując trędownych... Tysiące ludzi rzucało za jego przykładem zbroje, jedwabie, rozkosze, skarby, władzę i siłę, aby wołać wtórując mu

*O beata solitudo
Sola beatitudo!...*

Gdy Franciszek szedł na pustynię, Domingo z ognistym słowem, pies Boży z pochodnią w ustach, — biegł między niewiernych, męczeństwa chciwy... Dwóch tych ludzi co się wzajem dopełniali, spotkali się w jednym uścisku na drodze ku niebiosom...

Dawne zakony zjadło jak rdza bogactwo i rozpusta, dzieci Franciszka chciały nic nie mieć oprócz chleba jałmużny, dzieci Dominika chodziły we włosienicy i okrutne były dla samych siebie...

Iwo już dwu swych synowców oddał był Dominikowi, nie starczyło mu Cystersów, Norbertanów, starych zakonów które już siedziały na ziemi jego, pragnął nowych zapaśników, żądał nadewszystko aby mu przynieśli iskrę tego ognia miłości Bożej, który płonął za górami!

Trzeba mu było przysze pokolenia wychować na dzieci tych ojców, dla których ziemia była tylko drogą do niebios...

Wprawdzie wiara chrześcijańska krzewiła się bujno i wszyscy niemal świeccy władcy byli gorliwymi synami Kościoła; wprawdzie Henryk Brodaty z małżonką żyli prawie klasztornym żywotem, ona z zakonnicami, on w kościele, Laskonogi sypał szczerą dłońią duchowieństwu, Płwacz szerokie nadawał ziemie i szersze jeszcze prawa, których się dla niego wyrzekął, Konrad brat Leszków, ścigał niemieckich zakonnych rycerzy — tego wszystkiego jednak dosyć nie było... Nieraz ci sami tak święci i pobożni książęta oporem swym Biskupom zmuszali ich aż do klątw. — Modlitwa nie broniła od chęci panowania wyłącznego, od wstrętu do dzielenia się władzą — duchowieństwo więc co panującym panować chciało, nie mogło ustać w pomnażaniu sił swoich...

Zakony i księża byli zapaśnikami do boju... Rozsadzano ich gęsto, aby tą siecią opasać wszystkie ziemie i co było rozszarpanego świeckimi prawami, Bożem prawem zjednoczyć.

W tej chwili ta walka duchowieństwa z ziemskimi potęgami u nas, zdawała się na korzyść pierwszego rozstrzygać. Rzym stał po nad korony i berła, rozrządzał nimi, i tam gdzie cesarska nie sięgała potęga, on był panem, którego prawu nikt nie śmiał zaprzeczać...

Z panujących na ziemiach polskich kto miał za sobą duchownych, sam tylko był pewien że się utrzyma.

Od Bolesława Szczodrego rosła moc Biskupów, pod metropolitalną władzą Arcybiskupa Gnieźnieńskiego skupiające się w jedną siłę... A przecież byli tacy jeszcze co jej stawili opór, co znosili klątwy i żyli z niemi, a znajdowali się kapłani co im mimo klątwy mszę odprawiali... i kościołów nie zamykali...

Trzeba więc było dalej wieść walkę zażartą z władzą świecką..., a duchowieństwo baczone oprócz własnych żołnierzy, miało po sobie wszędzie prawie możnych i rycerstwo, w którego obronie stawało...

Biskupi krakowscy straszni byli książętom, broniąc praw rycerstwa i stojąc za jego swobodami. Mieszko Stary przez nie się utrzymać nigdy nie mógł przy Krakowie, który czterokrotnie umiał pozyskać; przez nie panował Kazimierz Sprawiedliwy, ono wyniosło i trzymało Leszka.

Dzieje tych dni są jednym pasmem kościelnego boju, który wytwarza prawie bezwiednie swobody społeczne, i rozbudza miłość ich, nieustannym czuwaniem nad władzą książąt, — aby się ona nie wzmogła...

W pomoc tym usiłowaniom przychodzi duch wieku, który ziemskiem wszystkim wzgardzić każe i pomiatać. — Za przykładem świętych ascetów dwory książąt stają się klasztorami, księżne wkładają włosiennice, książęta zaprzysięgają czystość i zrzekają się potomstwa dla odziedzczenia nieba. Książęce córki zamiast ślubować królom, ślubują Oblubieńcowi niebieskiemu... Skarby wszystkie idą na ozłocenie ołtarzy, na zbogacenie świątyń...

W tej extazie tysięcy ludzi, wzgardzających ziemią, idących we włosiennicach, w biczowaniu, o głodzie — szturmem do nieba jest coś tak wielkiego i wspaniałego, tak poetycznie pięknego iż najchłodniejszy z ludzi nie może nań patrzeć obojętnie.

Gorącość ta ogarnia tłumy, małe kościoły na pomieszczenie pobożnych nie starczą, kazalnice stoją przyparte do murów aby tysiące słów Bożych słuchać mogły. — Jak niedawno dwunastoletni chłopcy rwali się z orężem na nieprzyjaciela, rycerskim owiani duchem, tak teraz dzieci przeistaczają się w ascetów...

Zapał jest powszechny, zaraźliwy, porywający...

Iwo ciągnie za sobą całą rodzinę, we włosiennicę odziewa swe bratanki, ogromne włóści oddaje klasztorom — wprawia w podziw szczodrobliwością swą królewską, w której nie zna miary...

Na chwilę blask tego apostołskiego żywota ćmi nawet stolicę metropolitalną i Gniezno gaśnie przy Krakowie...

Tu się jednoczą wszystkie usiłowania i plany, ztąd płyną rozkazy; tu stoi prawdziwy wódz całego ruchu.

Gdy Mszczuj zamknięty w izbie którą dlań przygotowano, dręczy się zmianą jaką zaszła w jego życiu i duchem buntuje przeciw bratu, który słowem umiał go zwyciężyć i rozkazaniem poprowadzić za sobą, — Biskup Iwo otoczony swojemi żołnierzami, niezmordowany, czynny, sprawy zaległe odprawia, aż dopóki godzina ostatnia nie zmusiła go iść do spoczynku, aby mszę jutrzejszą mógł odprawić...

Na zamku pańskim oczekiwano nań napróżno do późna, Iwo obiecał się ze mszą na Wawel, na jutro...

Tu pozorny spokój panuje, i dobra myśl... Leszek cieszy się synem, wszyscy jego nieprzyjaciele prawie pokonani, Henryk Ślązki z nim idzie, Konrad go potrzebuje, Laskonogi jest mu posłusznym, jeden wicherzyciel Odonicz, jeden krnąbrny Światopełk Pomorski, jego pomocnik burzą się bezsilni napróżno... Tych już nie orężem, ale postrachem samym łatwo będzie pokonać...

Leszek myśli tak i pewien jest że całe duchowieństwo w pomoc mu przyjdzie, aby krnąbrnych zmusić do posłuszeństwa...

Ze mszy świętej na Wawelu, którą Biskup sam odprawił, król, królowa i liczny dwór małą napelniający świątynię, — ciągnął do zabudowań zamkowych. — Ktoby się był przypatrywał mu zdała, a nie znał osób, łatwo by się mógł omylić szukając oczyma pana; nikli wszyscy, nawet ten co się nim zwał, przy poważnym, pierwsze miejsce zajmującym Pasterzu. Otaczali go z uszanowaniem, witano go z radością — był duszą tego dworu i głową tego książęcia.

Leszek syn Kazimierzów, jak ojciec miał oblicze łagodne i wesołe, trochę dumne, rycerskie, ale na czole jego nie widać było głębszej myśli, ani w oczach tej bystrości jaką miał ojciec. Nie odziedziczył też po nim tego zamilowania mądrości, tej żądzy prawd i wiedzy, jaką Kazimierz całe swe życie karmił. Na twarzy jasnej nie było troski, ale pragnienie spokoju, wiele dobroci i łagodności, jakby potrzeba opieki i silnego ramienia. Czy nie

widziały daleko, umysł nie chciał sięgać w głębie ciemne. Leszek potrzebował ciszy, zgody, i małych rozrywek rycerskich, do których przywykł od dziecka... Zwyczajna Rusi pod Zawichostem, miał rycerską postać i na polu bitwy mężnym był do zapamiętałości, ale waśni nie wywoływał, ale zawsze przejednania pragnął. Jasnowłosa, niebieskooki, gładkiego lica rumianego, kwitnący zdrowiem, nie zdawał się czuć brzemienia panowania i starał zrzucić je z ramion.

W zgodzie być ze wszystkimi, jednać i łagodzić chciał, aby mu życie nie ciążyło.

Dlatego chętnie był Krakowa ustąpił Laskonogiemu, chętnie dał dział bratu, pojednał się ze Śluzakami, a i teraz pochlebiał sobie że Plwacza i Światopełka zmusi do układów i zgody... O brata na Mazowszu zupełnie był spokojnym — uśmiechała mu się przyszłość ta, którą prorocze oko Biskupa Iwona widziało chmurną i groźną, bo lepiej znał ludzi.

Obok pięknego Leszka, który pochylony nieco szedł przy Biskupie, jak dziecię przy ojcu, uśmiechając mu się — postępowała strojna i wdzięczna żona jego Grzymisława, na której czole niewieścim spokój i wesele mężowskie się odbijało. — Na twarzach dworu Leszkowego, choć widać było chęć wtórowania panu, niektóre z nich, starszych zwłaszcza były posępne — zrezygnowane, zadumane...

I Biskup też dnia tego po wieczornych i rannych rozmowach z duchownymi, z troską jakąś wszedł na zamek. Głęboko przejęty odprawiał mszę świętą, zdała się go razić ta wesołość nieopatrzna; lecz w pierwszej chwili zatruwać jej nie chciał...

Zaledwie wszedłszy w podwórze zamkowe, Leszek po kilku pytaniach o podróży Biskupowi rzuconych, zmienił obrót rozmowy, i zaczął o pięknym czasie do łowów, do których się przysposabiał...

— Gdybym na was, ojczy mój, nie czekał, — rzekł obracając się ku niemu, — jużbym był ruszył w lasy — alem rękę waszą chciał ucałować i Kraków, a sprawy na których wy się lepiej niż ja rozumiecie, pod waszą opieką zostawić.

— Piękna to i miła rycerska zabawa te łowy, — odrzekł Biskup, — ale miłościwiu panie, na waszych ramionach dużo leży, wiele biednych się na was ogląda...

Ja sądzę że gdy tyle spraw zalega, znowu *Colloquium* było potrzebne, lub w krakowskim albo w sandomirskim...

W *Colloquium* zastąpić mnie *Comesami* i przedniejszym rycerstwem — rzekł Leszek, — sędzia mój nadworny, podsędek, kanclerz... Jam chyba tam na to potrzebny ażeby miejsce zajął poczyste... A czyż są sprawy tak pilne?

— Znajdą się zawsze byle wiec był zwołany — odparł Biskup...

Leszek westchnął.

— Ludzie bo, — dodał, — spokojnie żyć nigdy nie mogą.

— Są ludźmi! — westchnął Biskup.

— Sądzić sprawy! — dorzucił książę, — sądzić sprawy, naówczas gdy taka jesień śliczna do lasu woła; gdy skwary letnie przeszły a zima ciężka jeszcze daleko... Prawda ojczy mój — panowanie jest niewolą zarazem — i — jak powiadają, im wyżej kto siedzi tem mocniej się poci...

U drzwi zamkowych księżna uśmiechem wdzięcznym pożegnała Biskupa, spieszyła do Bolka swego, którym się oboje tak cieszyli jak pierworodnym i jedynym.

— Zobaczysz dziecię i pobłogosławisz, ojczy nasz, — rzekł książę, — rośnie w oczach, a rozumny jest iż zdumiewa wszystkich!

— Niech rośnie na pociechę naszą — odparł Biskup nieco roztargniony...

Leszek ciągle wesoło zagadując wprowadzał Iwona do wielkiej izby gościnnej, gdy ten zatrzymał się w progu i szepnął.

— Miłościwiu książę, radbym z wami, kanclerzem Mikołajem i Markiem Wojewodą, trochę pomówił na osobności, lepiej nam będzie w komorze waszej niż tu, gdzie nas łąco niespodzianie kto zająć może...

Dwór właśnie tłumnie napływał do izby, Leszkowe oblicze sponępniało, znać było że mu ta na osobności rozmowa mięszała szyki, mąciła spokój, że radby ją był bodaj odłożył — lecz z Iwonem gdy co rzekł, — opór był trudny...

Tuż za niemi szli ci powołani przez niego, stary Mikołaj Repczol kanclerz, w czarnej sukni duchownego, z bladą twarzą wielkimi pofałdowaną marszczkami, mąż silnej budowy na oko, lecz zmuszony na kiju się opierać. Twarz jego może skutkiem cier-

pień wewnętrznych więcej jeszcze troski i zadumy wyrażała niż Biskupia. Iwo też większą pewnie miał wiarę w przyszłość nad niego. Drugim był Marek Wojewoda mąż też lat już podeszłych, ale rycerskiej postawy, którego oczy niespokojne do czuwania nawykłe, biegły badając zarazem twarz Iwona i Leszka... Z nich dwu większą i pilniejszą uwagę zdawał się zwracać na Pasterza. Wszyscy tu tak mu ulegali jak sam książę.

Leszek też zmusił się zaraz do przybrania łagodnego wyrazu i z pośpiechem zwrócił się ku komorze swej, którą na znak pański stojące u drzwi otwarło pachole... Było to najmilsze schronienie pana, izba w której tylko pożądanym a poufałym przyjmował gości. — Z niej naturę i charakter księcia poznać mógł każdy łatwo... Ścian prawie w niej widać nie było tak zawieszono ją całą rozmaitego rodzaju bronią myśliwską i rycerską, w której Leszek się kochał.

Był w tem ład pewien i zamilowanie widoczne... Szeregiem stały zbroje lżejsze i cięższe, wschodnie i włoskie, niemieckie i starodawne z blach i naszywanych łusk składane. Rzędami stały hełmy od dawnych ciężkich i mniej kształtnych, do tych które teraz zdobiono rogami, skrzydły i postaciami zwierząt złożonemi i malowanemi...

Świeciły pasy rycerskie drogiemi kamieniami i emalią, wisiały przy nich miecze, mieczyki, pugiwały, noże myśliwskie; dalej oszczepy kute, włócznie, siekierki bojowe, buzdygany z przywieszonemi na łańcuchach kulami, najeżonemi ostrymi strzałami, łuki sadzone, kolczany, tarcze...

Cała jedna połać świeciła większemi i mniejszemi szczytami, z wizerunkami lwów, orłów, gryfów, a w pośrodku na jednej misternie wyrzeźbiony i pomalowany był rycerz jadący konno, który niedźwiedzia rzucającego się nań oszczepem uderza. Taki sam wizerunek jak na tej tarczy chciał Leszek mieć na swej książęcej pieczęci...

Podłoga pańskiej komory cała była grubo wysłana skórami zwierząt, ubitych ręką pana. Chlubił się on tem że, dwie komnaty zasłał tym łupem łowów, wśród którego i pamiętny niedźwiedź leżał, co już konia Leszkowego pochwycił był łapami, gdy mu cios zadał śmiertelny...

Izba ta wprawdzie najmilszą była książęciu, ale do poważnej narady najniebezpieczniejszą, Biskup wiedział o tem z doświadczenia, bo ilekroć tu się odbywały obrady, Leszek je zawsze przerywał, mówiąc o swych zbrojach, orężu i czynach łowieckich. Jak myśliwy, jak rycerz lubiał o tem rozprawiać, a najmilszemi mu byli ci co słuchali go chętnie i podziwiali zręczność jego, której zresztą nikt nie mógł zaprzeczyć.

Iwonowi wskazawszy miejsce na wysłanem krześle, książę sam stanął naprzeciw niego, a za nim sparty na kiju swem kanclerz i w bok ujmujący się Wojewoda.

Lice Leszkowe znowu jakby błagając o litość Biskupa, uśmiechało się do niego, z Iwona uśmiechu wywołać nie mogąc. Widać było że książę nic się zbyt ważnego nie spodziewając w rozmowie, krótko ją sobie zbyć życzył.

Spojrząwszy na Biskupa, który się zadumał, myśląc od czego pocznie — Leszek też zachmurzył się.

— Mam to nieszczęście — odezwał się Iwo, — zem ja zawsze prawie przeznaczony być dla miłości waszej, złej wróżby ptakiem...

— Owszem, — odparł Leszek żywo — wy mi jesteście najlepszym opiekunem i ojcem...

— Ale z miłości i troskliwości ku wam — zawsze złe wieści przynoszę...

— Czyż złe? ojcie mój? — spytał książę ręce składając...

— Życie wszelakie twardem jest, a samiście rzekli, — odezwał się Biskup, — im kto wyżej siedzi.

— Radźmy więc na to złe — żywo rzekł Leszek, — radźmy aby je usunąć. — Lecz wy, ojcie mój drogi — dodał, — wy z tej ojcowskiej waszej pieczołowitości nademną, często może więcej widzicie złego niżeli jest... Ja radbym i w zło i w złych co je sprawiają nie wierzyć...

— Przecież, miłościwy panie, — westchnął Iwo, — dopuszcza Bóg zło aby było do brego probierzem...

Nastąpiła milczenia chwila.

— Sam będąc dobrym, — dołożył Iwo, — nie chcesz, miłościwy panie, wierzyć w ludzką przewrotność.

— Lecz, o kim mówicie? — nagle i spiesząc aby prędzej się uwolnić — zawołał książę.

— Zaczniemy od Odonicza — odezwał się Biskup, — ze złych pono ten najgorszy, jeśli pierwszeństwa nie trzeba jeszcze przed nim dać szwagrowi jego Światopełkowi. Odonicz chciwy jest panowania jak dziad jego Mieszko, ma jego żądze i upór żelazny i przykład jego przed sobą — ale stokroć winniejszy Światopełk, który waszą i ojca waszego łaską na wielkorządcę Pomorza wyznaczony, chce je nieprawie i niewdzięcznie zagarnąć i oderwać...

— Ah! — zawołał Leszek — Światopełk ma butną Jaksów krew w sobie, — to prawda, lecz któż wie czy Odonicz jego czy on Odonicza podburza i szczywa... Oba oni razem nie zdają mi się niebezpiecznymi...

— Miłościwy panie — przerwał grubym, ponurym głosem kanclerz Mikołaj — lękam się aby do nich dwu jeszcze kogoś trzeciego nie potrzeba przyłączyć do rejestru nieprzyjaciół twych...

Leszek odwrócił się ku niemu, zmarszczony, z wymówką w twarzy, niemal z groźbą do której nie był nawykły. Kanclerz skłonił głowę i zamilkł.

— I jabym był tego zdania że Światopełk z Odoniczem nie mieliby odwagi — dodał Biskup, — gdyby nie oglądali się na kogoś, czyjego imię wymówić nawet usta się wzdrygają.

Leszek drgnął cały, podniósł głowę obrażony, i zdawał się na chwilę krótką nawet poszanowania należnego Biskupowi zapominać.

— Ojczcie! — zawołał. — Krwawicie mi serce! a krwawicie je napróżno! Domyślam się kogo mi jako nieprzyjaciela wskazać chcecie. Ale nie! nie! nie chcę temu uwierzyć, nie uwierzę i gdybym miał się omylić, gdybym miał omyłki paść ofiarą, wolę zginąć niż posadzić — brata... Jednej matki dzieci — my...

— Jesteście różni jako Abel i Kain — odezwał się Iwo z siłą wielką. — Wspomnij książę młodość! Byliście kiedy podobni do siebie? Wy miłością jesteście, srogością tamten; wy dobrocią, on okrucieństwem, wyście władzy niechciwi, on panowania żądny...

Leszek słuchał z głową spuszczoną, chmurny, lecz nieprzekonany.

— Konrad tak złym nie jest, jak się — obawiacie, — rzekł. — Gorętszym odemnie jest Bóg mu dał więcej siły, więcej też pragnień, lecz w sercu jego...

To mówiąc okiem rzucił po przytomnych, wszyscy dziwnie niedowierzająco, niemal z politowaniem słuchali. Leszek zatrzymał się na chwilę i dokończył.

— Konrada zostawmy w pokoju.

Marek westchnął, Iwo spojrział na kanclerza — umilkli.

— Mam złe poszlaki — odezwał się po długim przestanku Biskup — potrzeba czuwać przynajmniej, wiedzieć, badać, aby nas nie pochwyliło niebezpieczeństwo nieprzygotowanych...

— Odonicz — przerwał nagle Leszek, — walczył z Laskonogim raczej niż zemną, wszystko się skończy, gdy ich podzielim i pojednamy...

— A jestże sposób pojednania ich gdy jeden wszystko chce posiąść i wydrzeć drugiemu? — zapytał Biskup.

— Przypomnijcie sobie — odezwał się Leszek łagodnie, — ową wyprawę Henryka Wrocławskiego na mnie, gdy on też chciał mi odebrać Kraków, chciał wydzierać i z wojskiem stał nad Dłubnią. — Krew się już łać miała, przecież pobożny, święty Henryk mój, usłuchał rady, dał się przekonać, zażegnaliście tę burzę... i uścisnęliśmy się jak bracia, zamiast wojować jak wrogi.

— Rzekliście — odparł Biskup — Henryk był pobożnym i świętym, dlatego słów zgody usłuchał, a Plwacz nim nie jest... a Światopełk zdrajca, wie że zgody z nim być nie może!!

Usłyszawszy to zachmurzył się Leszek i usta mu się ścięły.

— Radźcie więc wy — zawołał z rozpaczą jakiś — jam ślepy i nieudolny — radźcie!

— Ani ślepi, ani nieudolni nie jesteście — przerwał Biskup do uścisku ręce podnosząc — ale dobrzy do zbytku, a oną dobroć znając źli z niej korzystają!!

Znowu się rozmowa przerywała, wszyscy spoglądali na Leszka, który mimo łagodności, nie ustępował ze swych przekonań...

— Radźcie, — rzekł z rozrzwieniem jakimś powolnie książę — ja wam tylko jedno przypomnę, że oto, dzięki opiece Bożej, ja z mą ślepotą i nieudolnością gdym już wydziedziczonym był przez Laskonogiego, panuję, gdym przez Henryka wypędzonym być miał — siedzę na stolicy mojej. — Dzieckiem wyganiał mnie nieboszczyk stryj tylekroć, Opatrzność mi zwracała co on wydzierał — i oto w spokoju i błogosławieństwie rządząc i panując... Opatrzności też tej tak zawierzam, iż gdybym wrogami otoczonym być miał, nie złąknę się — i w spokoju losu mojego oczekiwać będę.

— Jeżeli tak — odparł zwolna Iwo powstając — cóż my czynić mamy? Ja tej ufności w bezpieczeństwo nie dzielę, choć Opatrzności wierzę... My nad wami czuwać musimy!

Leszek jakby się ciężaru zbył, zbliżył się do Biskupa prędko i rękę jego ucałował.

— Radźcie, — rzekł — czyńcie co uznacie słusznem, ja się zastosuję do światłej rady waszej...

W tejże chwili zwrócił się do Marka Wojewody...

— Miły mój — tarcz tych ciężkich, obładowujących zbytnio żołnierzy naszych, czasby zaniechać. — Nie wiem czym wam pokazywał niemieckie nowe, jak przedziwnie lekkie są.

To mówiąc książę zwrócił się do rzędem wiszących na ścianie szczytów. Marek Wojewoda ruszył ramionami...

Biskup powstał z siedzenia...

— Mówicie o zbroi — ja zaś muszę do spraw moich...

Książę pospieszył go żegnać, i rad że się ciężkiego pozbył sporu, z wielką uprzejmością odprowadził Iwona, aż za próg dworu. Tu odebrawszy błogosławieństwo i widząc że Marka Wojewodę zabierał mu od tarczy Biskup, zwrócił się wracając do młodego Pakosza, ulubieńca swojego, skinąwszy nań aby szedł z nim do zbrojowni...

A tu się wnet o broni nowej, i o łowach żywe się rozpoczęły rozprawy.

— Święty człek nasz Biskup Iwo, — odezwał się do Pakosza — ale na rycerskich sprawach całę się nie rozumie... i z nim o niczem mówić nie można, chyba o takich świętych jak on i o tych których on chce nawracać, aby też świętymi byli.

Kocham go jak ojca! ale smutny jest jak noc, i z sobą mi przynosi zawsze gorycz jakąś...

Pakosz głową potwierdzał co pan mówił, nie śmiejąc słowami. I poczęto mówić o lekkich tarczach...

VI

W kilka dni potem wieść się po Krakowie rozeszła, która na dworze Leszkowym, na dwa obozy podzielonym, wielkie wrażenie uczyniła.

Rzypowiadano o tem jako Biskup brata swojego, od dawna zapomnianego, który od lat wielu na wsi się zagrzebał i wyrzekł był świata, gwałtem wyrwał z pustelni i przywiózł do Krakowa, nakazując mu tu ze znacznym dworem stać na straży przy sobie.

Znano starego Waligórę tylko z powieści jakie o nim chodziły w tych czasach, gdy mu dano to jego przezwisko. Wiedziano iż pan był możny, że Niemców miał w ohydzie, siłę olbrzymią a wolę żelazną.

Wnosili więc wszyscy, iż znowu przygasła na czas wojna między Jaksami a Odrowążami wybuchnąc groziła, gdy tego pomocnika ściągać Biskup potrzebował. Waśń tych dwóch możliwych rodów stara już była i nie od dziś dnia się poczyniła.

Jaksowie sobie rościli prawa wielkie krwi swej i rodowi należne, pochodzenie wiodąc od kneziów jakichś, a sięgając aż do Pepelków... i Leszków prastarych. Nie rzadko słyszeć ich było można z tem się odzywających że nim Piastowie przyszli do panowania, oni już je w rękach dzierżyli.

Odrowążowie, choć starzy w sandomirskiej ziemi jak ona, choć mnogimi majątnościami władający, nie wiedli się z tak wysoka. Ale oni rośli właśnie, gdy Jaksowie maleli. Jeden tylko stary Mszczuj dobił się był wielkorządów na Pomorzu, które potem na syna Światopełka wyprosił, a drugi powinowaty mu Marek krakowski był Wojewodą. Na nich dwu reszta się opierała.

Iwo Odrowąż który miał oko prorocze, z niedowierzaniem patrzył na ród pragnący panowania i roszcący sobie jakieś do niego prawa. Nawzajem Jaksowie czuli w nim nieprzyjaciela stojącego im na zawadzie...

Syn Marka Wojewody czasu jednego był wyprawiony z innemi Jaksami i Odrowążami społem na straż od pruskiej granicy. Szli z nim Dzierżek i Budzisław powinowaci Biskupa. Za podmową Jana Jaksy, który nienawistnych sobie Odrowążów chciał na rzeź wydać, pierzchnęli naówczas z częścią wojsk, i byli przyczyną że Dzierżek syn Abrahama i Budzisław Izasławów, wraz z wielą innemi schwyceni przez pogan, życiem zdradę tę przypłacili.

Naówczas Iwo Biskup, krwi swej przelanej mszcząc się, wymógł na Leszku iż winnych, Jana z towarzyszami sromotnie z majątności i urzędów powyrzucano...

Marek Wojewoda krakowski mszcząc się za syna i powinowatych, uknuł naówczas spisek we Wrocławiu z Henrykiem Brodatym i wyciągnął go na Kraków i na Leszka.

Zagrożony książę wezwał na pomoc brata, wojska z obu stron spotkały się nad Dłubnią, lecz pobożnego Henryka duchowieństwo, a na czele jego Iwon skłonił do zgody. Ślżak przypomniał sobie radę żony, aby cudzego nie pragnąć, nastąpiło przejednanie uroczyste i gody...

Markowi Wojewodzie Leszek zawsze łagodny i wspaniałomyślny przebaczył, innym Jaksom pofolgowano — nastąpiło przejednanie, albo raczej zawieszenie broni.

Lecz ani Iwo od nich mógł być bezpiecznym, ani oni mu dowierzali. Ogień tłał pod popiołem.

Pozorna zgoda kryła tajemne knowania. Marek Wojewoda służył Leszkowi przed biskupem wszechwładnym skłaniał głowę, mówił że uraz dawnych nie pamiętał, lecz w duszy Światopelkowi powinowatemu życzył dobrze, i kto wie jakie roił w przyszłości odmiany. Poszlakować go było trudno, zawierzyć mu niebezpiecznie.

Pod samym bokiem Biskupa miał Wojewoda syna mistrza Andrzeja kanonikiem. Temu już zawczasu infułę krakowską przeznaczono, a choć uczony i pobożny mąż nie rad był może przeciw Pasterzowi swemu występować, choć z pokorą był dla niego, — nie mógł i ten o swoich zapomnieć, a wpływom ojca i brata się opierać.

Wojewoda Marek, jakęśmy widzieli, wzywany był do rady, Iwo przy nim mówił otwarcie o Światopelku, za którego on ujmować się nie myślał, — lecz w sercu co się działo, Bóg jeden wiedział a Biskup zgadywał.

Musiał się więc mieć na bacznosci, jeżeli nie dla siebie, to dla pana swego, któremu groziły niechęci skryte i przywiązanie kłamane.

Zjawienie się Waligóry w Krakowie, zaniepokoiło Jaksów.

Wiedzano że baczny a rozumny Biskup napróżno nic nie czynił i brata potrzebował musiał, gdy go tu ściągnął. Obawiano się też aby mu jakiego znacznego przy księciu nie powierzono urzędu, przez który wpływ Odrowążów wzmógłby się jeszcze.

Lecz nie słyhać było aby Waligóra stawiał się na dworze pańskim, spostrzegano tylko że ludzi ściągał, czeladź zbierał, i na dobre się tu rozgaszczał. Tęgoż dnia po rannej radzie, która spelzła na niczem, po krótkiej rozmowie z Biskupem, Marek Wojewoda zaszepiony i niespokojny wrócił na swój dworzec — pod zamkiem.

Wawel na którym mieszkał książę, dom biskupi po nim, wreszcie wojewodziński, stanowiły naówczas trzy ogniska, trzy siły, od których zależały kraju losy. — Na grodzie książęcym walczyły z sobą dwa wpływy: Biskupa który Leszkowi był radą i ojcem duchownym, i Marka Wojewody, nie śmiało ale zręcznie starającego się krzyżować zamysły pobożnego Biskupa. Ilekroć Iwo stanowczo żądał czegoś, Wojewoda ulegał, nie występował przeciwko niemu otwarcie, potajemnie zawsze prawie idąc w przeciwnym kierunku.

Po otrzymaniu przebaczenia za zbieżenie do Wrocławia i przerzucenie się na stronę Henryka, Wojewoda musiał być ostrożnym. Z Leszkiem szło mu łatwo, bo ten chciał zapomnieć urazy i zawierzał ochotnie, ale Biskupa wystrzegać się musiał...

Zaledwie przybywszy do domu, którego podwórca i izby zawsze pełne były rycerstwa i zaciężnych żołnierzy, hałasu i wrzawy, Wojewoda posłał po syna mistrza Andrzeja, mieszkającego przy Biskupie; — sam zaś wyszedł do dworzaczek oczekujących nań, starając się troskę ukryć, udając wesołość i myśl swobodną.

Dwór wojewody był tak prawie liczny jak książęcy i na wzór jego złożony. Ochmistrz, komornicy, kanclerz, dwóch kapelanów, koniuszy, podczasy, skarbnik, młodzież dorodna do posług rycerskich nie odstępowała nigdy starego hetmana. Z małymi wyjątkami była to gromadka lub z Jaksów, Jaksyców, ich powinowatych, albo z przyjaciół rodu złożona.

W nadziei osadzenia kiedyś na katedrze biskupiej syna, Marek posyłał go za granicę dla nauki, uczynił go kapłanem, postarał się dlań o kanonię krakowską — i — czekał na spadek po Iwonie.

Lecz, nie zupełnie był rad ze swego syna. Andrzej do serca wziął powołanie, a obcując z pobożnym Iwonem, powziął dlań cześć wielką i nie chętnie dawał się ojcu używać za jego planów narzędzie.

Mistrz Andrzej posłusznym był rodzicielskiej władzy, jak na bogobojne dziecię przestało, zawsze gotów do obrony rodziny, lecz — niechętnie posług tajemnych się podejmował i przeciw Pasterzowi coś czynił.

Był to człowiek młody jeszcze, postawy któraby więcej przystała rycerzowi niż księdzu, ale twarz jego, na której nigdy prawie uśmiech nie zawitał, onieśmielała i budziła nawet w ojcu niepokój. Zdawał się oczyma bystreimi przenikać na wylot człowieka, czytać w duszy — a namarszczone brwi i usta dumne mówiły że co wyczyta tego nie przebaczy.

Prędzej niż się Wojewoda spodziewał, mistrz Andrzej, którego posłany na drogę spotkał, zjawił się na dworcu, z wielkim uszanowaniem witany. Ojciec czekał nań w swej izbie sypialnej, bo chciał się rozmówić sam na sam.

Zastał go syn głaszczącego ogromnego starego psa ulubieńca, który już na nic się nie zdał, bo stracił węch i słuch, lecz Marek trzymał go jako wysłużonego...

Na widok syna powstał Wojewoda, a takie było poszanowanie dla duchownych, iż go przyjął jakby obcego i w rękę się nie dał pocałować. Posadził go zaraz przy sobie, pytając czyby pić lub jeść nie chciał.

Postem się wymówił mistrz Andrzej. Ojciec wesołą przybrał postawę.

Zdradził się tylko pytaniem za pospiesznem z troską swoją.

— Biskup powrócił! — wyrwało mu się.

Syn spojrział nań bystro, spuścił oczy...

— Tak jest — odparł krótko.

— Nie wiem gdzie bywał, — rzekł po chwili Wojewoda — ale znowu pełne rękawy strachu przywiózł, aby księciu nie dać nigdy spoczynku.

— Nic nie wiem — odezwał się syn obojętnie.

— Cóż? kryje się przed wami? nie zwierza? — dodał szybko Marek. — Można się tego spodziewać. Odrowąż zawsze Odrowążem, gdy Jaksę Gryfa zobaczy przed sobą!! Ani my ich ni oni nas zapomnieć nie mogą!!

— O sprawach świeckich nie mówimy nigdy, — odparł syn — a w rzeczach Kościoła Biskup Iwo jest dla mnie ojcem łaskawym i uskarżać się nań nie mogę...

— Tyś zawsze rad wszystkiemu, — począł żywo Wojewoda. — Ale właśnie to dowodzi że nam i tobie nie dowierza, iż z tobą o sprawach świeckich nie mówi...

— Jam się do nich nie rad mieszać — rzekł Andrzej ciągle spokojnie.

— A przecie powinieś — stanowczo i z naciskiem podchwycił Marek. — Wiadomo to wszystkim że masz kiedyś zastąpić Biskupa Iwona na tej stolicy. Patrzajże czy on zaniedbuje sprawy świeckie? Wcześniej się do nich gotować potrzeba.

— Ojciec miły — przebaknęła oczy spuszczać Andrzej, — wcale to jeszcze niepewna komu Pan Bóg przeznaczył zastąpić Biskupa Iwona. Ja się tego nie czuję godnym, a kapituła krakowska wybierać będzie sama i narzucić nie da Pasterza.

Uśmiechnął się Wojewoda.

— Z kapitułą potrafimy się porozumieć, — rzekł cicho...

Rumieniec jakiegoś wstydu wystąpił na lice mistrza Andrzeja, lecz przez poszanowanie dla ojca wstrzymał się od odpowiedzi.

— Biskup z sobą przyciągnął brata — rzekł Marek zmieniając rozmowę. — Znałem go niegdyś, gwałtownym był, siłaczem wielkim... ale wicherzył zawsze... Pokoju z nim nikt nie miał, osiadł był gdzieś na śląskiej granicy i długo go tu słyhać nie było, po cóż teraz go zwolali?

— Nie wiem! — odparł Andrzej.

Zzymnął się Marek — namarszczyła mu się brew...

— Mówmy otwarcie — rzekł głos niższy i stając przed synem. — Czuje to dusza moja że nam Jaksom znowu niebezpieczeństwo zagraża. Iwo jest mściwy.

Mistrz Andrzej wstał z siedzenia i złożył w krzyż ręce na piersiach.

— Ojcie miły, przebaczenie, Iwo mściwym nie jest!

To zaprzeczenie wzruszyło Wojewodę, który zdał się chcieć wybuchnąć, i powstrzymał.

— Nie znasz go! — zamruczał.

— Ojcie drogi — obcuje z nim codziennie, mąż jest Chrystusów, człowiek święty... a zemsta jest niechrześcijańską i zabronioną zakonem...

Wojewoda popatrzył na syna z politowaniem i wyrzekając się sporu, zamilkł...

— Światopełk jest naszym powinowatym, — począł zwolna, — jeden ród, jedna krew. Kole ich to w oczy że na Pomorzu władą, chcieliby go wygnać, pomawiają o zdradę, czynią go współnikiem Płwacza...

— Płwacz się z jego siostrą Helingą ożenił — szepnął Andrzej.

Cała ta rozmowa tak widocznie dolegała mistrzowi Andrzejowi, odpowiadającemu z musu, pół słowami, iż ojciec widząc że go wciągnąć nie potrafi w nią, zamilkł i nagle spytał.

— Cóż ten Waligóra tu zamyśla?

— Chociażbym rad coś o tem powiedzieć — odezwał się Andrzej, — nie wiem nic cale. Zdaje się że Biskup go chce mieć przy sobie.

— I użyć do swych zamiarów! — przerwał Wojewoda — i pewnie go przy Leszku umieścić, aby na straży stał gdy Biskup sam nie może.

Któż wie, Iwo gotów mu kasztelanię krakowską dać, lub mnie gdzie odegnąć, aby go na mojem miejscu posadzić. Mnie on nie wierzy!

Andrzej spojrział w tej chwili na ojca takim wzrokiem, że stary się zasromił i pogniwał. Słów mu zabrakło.

— Tyś bo się tak księdzem stał iż Jaksą być przestałeś! — zawołał. — Suknia ta cię przestoczyła. — Na mnicha mi patrzysz, a tegom ja z ciebie mieć nie chciał...

Andrzej wstał z siedzenia i poszedł uściskać ojca. Surowa twarz jego, drgała jakimś uczuciem.

— Mój ojcie, — odezwał się potrząsając suknią czarną — myśmy rycerstwo Chrystusowe, a tak jak rycerz wdzierając zbroję o wszystkim musi zapomnieć, by w oręż swój włożyć duszę, i my, tem więcej — dla zbroi naszej świata zabycwać musimy...

— Mnichem przecież nie jesteś!

— Ale też same mam śluby i obowiązki — rzekł Andrzej.

— Nim je przyjąłeś miałeś inne dla rodu i ojca — zawołał Marek.

— Tych się wyrzekłem gdy postrzyżony zostałem! — westchnął mistrz Andrzej.

Wyraz twarzy ojca świadczył o tem że i przekonany nie był, i nie rad całemu sporowi z synem. Westchnął, poszedł do okna, psa cisnącego się odpędził.

— Nie mamy więc co mówić z sobą! — dodał...

Zapukano w tem do drzwi, oba spojrzeli, ostrożnie je odchylając wszedł mąż, starszy latami od Andrzeja, podobny do niego, a więcej jeszcze do Wojewody, z twarzą pooraną fałdami przedwczesnymi, namiętą, srogą, z oczyma które z pod brwi gęstych ze zwierzęcym lśniły wyrazem.

Był to ów Jan, — zwany w rodzinie Jaszkiem, niegdyś pierwsza przyczyna walki z Odrowążami, ten co ich na rzeź wydał na pruskiej granicy... ukarany odebraniem rycerskiego pasa i wygnaniem. Schronił się on był do Czech, które wówczas dla wszystkich niemal zbiegów z Polski były przytułkiem, a po dwóch latach tajemnie powrócił. Dobry Leszek choć wiedział o tem, przebaczywszy ojcu, syna nękać nie chciał. Patrzano przez szpary że na dworze ojca przebywał, nie czyniono mu nic, lecz i do łask nie powrócono. W obawie od Odrowążów Jaszko ciągle pod ramieniem ojca i poza nim się tulił.

Życie to obrzydło mu, pałał więc nienawiścią największą do Biskupa, do rodziny, i ojcu za jego powolność ciągle czynił wyrzuty. Wojewoda miał doń słabość, jako do swego pierworodnego.

Na widok wchodzącego Jaszka, mistrz Andrzej powstał aby brata idąc ku niemu uści-
snać, — lecz ten zimno go głową pozdrowił i prawie niechętnie powitał niewyraźnymi
słowy.

Zwrócił się ku Ojcu.

— Nie wiedziałem o Andrzeju — odezwał się — dziw że nas chciał odwiedzić, tak
sercem do Odrowążów przyłgnał.

Ruszył ramionami. Andrzej dotknięty oblókł się swą powagą duchowną, popatrzył,
nie odpowiedział.

— Nie szkodzi że pan brat tu — dodał Jaszko — tajemnic przed nim nie powinniśmy
mieć, nie doszedł może do tego jeszcze aby swoich zdradzał dla obcych.

— Bracie! — odezwał się surowo Andrzej.

Ojciec dał znak Jaszкови, na który on nie wiele zważać się zdawał.

— Tak — dodał gniewnie prawie — kto nie z nami ten jest przeciw nas.

— Naprzód z Bogiem być muszę, — odparł miarkując się mistrz Andrzej.

Nie zważając już na brata, z wielką gwałtownością rozpoczął Jaszko.

— Dość mam tego życia sromotnego, — zawołał. — Kryć się muszę jak złoczyńca,
wzdiać mi zbroi nie wolno. — Lada urwisz Odrzywąs może mnie jak zbiega pochwycić
i wydać... Już mi się to psie życie uprzykrzyło!

Marek przerwał mu surowo.

— Dziękuj Bogu że cię ocalił! Czego ci się zachciewa? oszalałeś.

Oczyrna wskazał mu na drugiego syna, lecz Jaszko nań wcale nie zważał.

— Jadę ztąd precz! — rzekł stanowczo...

— Dokąd? — spytał ojciec...

Nim Jaszko miał czas odpowiedzieć, mistrz Andrzej wstał do pożegnania ojca.

— Idziesz już? — rzekł z wymówką Wojewoda.

— Mam moje godziny kapłańskie — odparł zimno Andrzej...

Jaszko się dziko uśmiechnął przez ramię nań spojrzawszy. Księdzu pilno odejść było,
zdala skłonił się bratu, który się zwrócił i krzyż za nim zrobił w powietrzu.

Gdy Andrzej odszedł, Wojewoda z niechęcią i wyrzutem spojrział na syna.

— Pamiętaj, — zawołał wskazując na drzwi, — ten cię jeszcze kiedyś bronić i ratować
będzie musiał, gdy ty szaleństwem swem znowu popadniesz w jaką jamę.

Wzgardliwie poruszył się na to Jaszko.

— Bóg da że ja go potrzebować nie będę — rzekł.

— Dobrze zrobił, — dodał, — iż poszedł kapłańskie pacierze odmawiać, bo lepiej
żeby tego nie słuchał, co ja mam powiedzieć.

Obmierzło mi to siedzenie za piecem, — ruszam lub jutro albo dziś do Odonicza, do
Światopelka, gdzie oczy poniosą, do pierwszego lepszego który będzie przeciw Leszkowi
stawał.

Wojewoda wybuchnął, pięści zaciskając.

— Ty! jakiś! niewdzięczny! — krzyknął, — pójdziesz po to abyś na mnie ściągnął
podejrzenie nowe, że ja zdrajcą! żeby mi starą głowę zdjęto, albo precz wyżeniono! Ty!!

Jaszko nic się nie zmięszał występem ojca gwałtownym, do podobnych będąc może
nawykły, słuchał go niemal z lekceważeniem.

— Ojczy nie stanie ci się nic, jamci przecie wolny jak ptak, wedle niemieckiego słowa.
— Pójdę na stracone imię.

— Pójdziesz odemnie, z mojego domu — krzyczał Marek. — Wszyscy tu o tobie
wiedzą, pomówią że cię posłał. Siedź! głupcze, przyjdzie na cię czas.

— Kiedy?? Leszkaście tak mocno posadzili że on tu wiekować będzie, a póki jego tu
i Iwona, dla mnie miejsca nie ma.

Leszka mi potrzeba won wyrzucić, albo lepiej — boć oni wracają wygnani.

Pokazał na szyję, jakby ją rznął. Marek uderzył go po rękę.

— Milcz! — zawołał.

Zadumał się powiedziawszy to i stanął jakby nim nagle owładnęła niepewność. Jaszko
bystry skorzystał z tego mgnienia oka — i począł gorąco.

— Ty, ja, my wszyscy ile nas jest, przepadniemy czekając czegoś lepszego. Kto chce co mieć, robić musi... Odonicz i Światopełk robią a my czekamy i doczekamy się że nam głowy pobiorą... Na Leszka trzeba nasadzić wszystkich...

— Laskonogi nie pójdzie, dosyć ma do czynienia z Odoniczem, — odezwał się cicho stary.

— A Konrad? — podchwycił śmiejąc się chytrze Jaszko — myślicie że ten nie radby żeby mu uprzątnięto Leszka? Eh! eh! nie ruszy się może nań, ale i za niego nie ujmie...

A Henryk ów pobożny. —

— Z nim mi daj pokój — daj pokój! — przerwał Marek. — Ten żony słucha, a żona mu włosienicę rychlej da włożyć niż koronę. Razem mu zaufał i miałem tego dosyć. — To — baba...

— Obejdziemy się bez niego — szepnął Jaszko kusiciel widząc że ojciec uległ jego nagabaniu.

— Pójdzie z Leszkiem — dodał ojciec.

— Nie straszny on i jego Ślązacy — począł żwawiej coraz Jaszko. — Tam w domu mają co robić, bo się bracia jedzą...

Przerwał nagle i do ucha podchodząc ojcowskiego, jakby już sprawę miał za wygraną, począł sypać prędko.

— Powiecie żem krnąbny, nieposłuszny, uciekł. — Wam nic nie zrobią. Ja muszę do Odonicza, do Światopełka — ja się tam zdam.

— A jak złapią was!

— Zjedzą licho, — krzyknął Jaszko. — Odonicz w mniszey sukni uciekał, ja i tej nie włożę. — Lada opończa starczy! Znam drogi, wiem przechody! Możecie się mnie wypierać — a ja jeden coś zrobić mam odwagę. O głowę już nie stoję...

— Jaszko — zawołał ojciec czulej, za ramiona go chwytając — siedziećby ci i czekać.

— Nie — nie! — odparł syn — iść mi i pomódz wam i nam i sobie. Wy Wojewodą? jakim wy Wojewodą? w niewoli, w pogńębieniu!! u lada klechy pod stopą... Z tem żyć dłużej nie można...

Marek na wół przekonany zamyślił się. Jaszko bił żelazo póki gorące.

— Zniknę tak że się ani opatrzą jak się wysunę, — dodał.

— Do Plwacza nie idź — wymknęło się staremu, do Konrada nie waź mi się — ten się nie będzie śmiał do niczego wziąć. — Światopełk nasza krew, on jeden...

— No, to do niego! — odparł Jaszko, — do kogokolwiekbądź byłem się ztąd wyrwał.

Marek w obie dłonie chwycił głowę.

— Jeszcze mi tej troski brakło, — zawołał, — jakbym ich mało miał. A toć lękając się o ciebie dnia i nocy nie będę miał spokojnej!

Jaszko go w rękę pocałował.

— Śpij stary smaczno, a o mnie się nie troskaj. Jaszko sobie rady da..., a jak ja zasnuję, wy dotkacie.

Śmiał się dziko, zacierając ręce. Marek drgnął niespokojny... Zaczęli coś szeptać po cichu i siadłszy rozprawiali tak aż ich komornik wywołał obu do jadalni, które na wieczór podano. Jak się skończyła rozmowa oni tylko dwaj wiedzieli, z twarzy jednak miarkować było można iż się porozumieli i stary już się synowi nie sprzeciwiał. We dworze potem żadnej różnicy od zwykłych dni nie było, ani przygotowań, ni widomego ruchu, a gdy Jaszka trzeciego dnia nie stało z kilką ludźmi, Marek Wojewoda zdał się nie wiedzieć że zniknął i nie pytał. Ochmistrzowi swemu powiedział głośno iż na łowy pojechać musiał. Tak wszyscy sądzili.

Dopiero w dziesiątek dni, gdy nie powracał, zaczęto się dowiadywać, pytać, niepokoić, szukać, a Marek udawał iż gniewnym był na syna.

Tegoż wieczora spotkali się na zamku z Biskupem, wychodząc od księcia.

— Strapienie mam, niemałe, — rzekł wzdychając do Iwona — zginął mi kędyś Jaszko, o którym wiecie żem go przez miłosierdzie przytulił. Niespokojna dusza, nieszczęśliwy człek, gnuśności nie mógł znieść, gdzieś znowu tulać się poszedł.

Biskup spojrział bystro na Marka, lecz ten twarz miał tak strapioną, iż podejrzewać go trudno było.

— Niech go Bóg strzeże — rzekł Biskup. — Źle uczynił iż się zerwał tak, bylibyśmy mu u księcia wyrobili łaskę i przebaczenie. Szkoda by się marnował.

— Zawsze krnąbrny był — dodał Marek... — W domu z nim ciężar miałem... nieraz i nasrożyć się przyszło...

— Źleby było gdyby, uchowaj Boże, do Plwacza albo do Światopelka przystał, — rzekł Biskup, — rozniosłoby się to, a drugi raz winien jużby przebaczenia nie zyskał.

— Bóg niech mnie od tego na stare dni uchowaj! — westchnął Marek...

— Z duszy życzę aby was od tego bólu Bóg miłosierny strzegł, — zamknął Iwo...

Nie mówili o tem więcej, Wojewoda do domu powrócił niespokojny. Biskup tegoż dnia przywołał mistrza Andrzeja do siebie.

— Od ojcam waszego słyszał, — odezwał się, — iż Jaszko się oddalił, nie wiedzą dokąd?

Andrzej pobladł, spojrział Biskupowi w oczy śmiało i z wyrazem który o prawdzie słów jego wątpić nie dozwalał, rzekł.

— Nic o tem nie wiem — Jaszko niespokojnym był i jest, ojcu go utrzymać trudno było po wsze czasy... Nie winien temu ojciec nasz...

— I ja go nie myślę obwiniać — odezwał się Iwo spokojnie. — Jaszka wszyscy zna-
liśmy i znamy...

Lękam się aby nie wpadł w ręce wichrzycielom... Zły los go spotkać może...

Na surowej twarzy mistrza Andrzeja pokazały się dwie łzy, prędko otarte, pocałował rękę biskupią i oddalił się wzruszony.

Biskup ani nazajutrz, ni dni następnych, spotykając się z Wojewodą, już go nie pytał o syna. Tem jasnowiedzeniem jakie dane jest duszom czystym, wiedział on, nie potrzebując badać, iż Jaszko uszedł do Odonicza lub na Pomorze.

Nie przywiązywał do tego zbytnej wagi, bo choć Jaszko był energiczny i jako rycerz, mimo owego pierzchnięcia z placu umyślnego, niepospolitą miał odwagę, — na nim jednym nic nie zależało. Małym się wydawał człowiekiem.

W ciągu tych dni Biskup najwięcej starym Waligórą był zajęty. — Zbierano dlań poczet ludzi, służbę której część ściągnąć musiano z Białej Góry, odziewano zaciężnych, wyszukiwano czeladź pokazań.

Iwo choćby był chciał łożyć na to, nie miał z czego.

Dochody biskupstwa znaczne i własne mienie, ledwie starczyły mu na mnogie i nieustanne fundacye klasztorów i kościołów, którym się dziwowano, bo je z królewską szczodrobliwością nadawał.

Cystersi, Norbertanie, a nawet Dominikanie, których suknie dwaj synowcowie przyoblekli, sadowili się na wsiach i ziemiach przez Biskupa Iwona nadawanych. Sarkała z początku rodzina widząc tak rozposażne mienie swoje, lecz Cesław i Jacek bratankowie już nic nie potrzebowali, Mszczuj miał dosyć, inni widząc jak Pan Bóg w rękach tych pobożnie rozrzutnych mnożył cudownie mienie — umilkli.

Mszczuj, który uległ posłuszny bratu, i przejął myśli jego, nie wahał się też własnego grosza dać na to co już za potrzebne uważał. Mała to dlań była ofiara, bo syna nie miał, a dla dwu córek zawsze dosyć zostać miało.

Ze skarbca więc na gródku wożono nietylko sukno i odzież, ale srebro i złoto nagromadzone od tych czasów, gdy za Bolesławów pierwszych było go jak drzewa w Polsce...

Ludzie zdala patrzyli a patrzyli dziwując się co Waligóra z tym dworem i ludźmi tak po pańsku ściąganymi czynić myśli.

Jednego wieczora gdy książę Leszek z łowów z dobrą bardzo myślą powracał, a polował za Wisłą w tych klasztornych lasach, które ojcu Kaźmierzowi dozwolone były, — Wojewoda go u przewozu przez rzekę spotkał, umyślnie czy trafem, trudno wiedzieć.

Korzystał z tego iż sami chwilę byli.

— Dobrze żeś Miłość Wasza, zażył rozrywki która mu się dawno należała, — odezwał się. — Dosyć nasz świątobliwy Biskup Waszą Miłość nastracha i nanudzi, gdy doma siedzicie.

— Czyni to pewno z miłości dla nas, — rzekł Leszek, który na Biskupa mówić nic nie dawał, — niech go Bóg zdrowym trzyma na opiekę i błogosławieństwo państwu temu...

— A! świętyć jest, i za życia błogosławionym go zwać mało — odparł Wojewoda — lecz jako duchowny nawykły ludzkie myśli roztrząsać, często próżnym wyciągnionym z nich nabawi was strachem...

Leszek się uśmiechnął.

— I sam też trwoży się do zbytku, — mówił Wojewoda. — Sądzę że nie z innego powodu brata sobie do boku sprowadził, który już spoczynku potrzebował. Żal starego...

— Mówicie o Mszczuju Waligórze? — zapytał książę... Cośem słyszał iż tu jest...

— Brat go przywiózł mimo woli, — dodał Wojewoda.

— Mimo woli Waligóry ściągnąć trudnoby było — odezwał się Leszek, — bo to żelazny człek...

— Nie ten już co był — wtrącił Marek...

Książę spojrział...

— Dobrze iż Biskup go ma, bo rodzinę kocha, a tej się dla Chrystusa wyrzekł całej.

— Z Jacka i Cesława pociechy mało, bo ci Bogu więcej niż stryjowi służą. Święci i to młodzieniaszkowie!

Książę głowę skłonił.

Po chwili zapytał Wojewodę.

— Co Mszczuj tu myśli poczynać, nie wiecie?

— Nikt go nie widział jeszcze — odparł Marek.

— Ani ja — potwierdził książę.

— Że mnichem za przykładem synowców nie zostanie — mówił Wojewoda — zda się pewnem, bo nie czas... a i córki ma, co pieczy potrzebują.

— Z córkami tu jest? — spytał Leszek.

— Zda się że ich tu nie ma...

Mówił potem Wojewoda o innych rzeczach, usiłując Leszkowi tak właśnie odmawiać wszystko jak on mieć pragnął. Nie kazał mu się lękać niczego, lekceważąc prawil o Odoniczu, wzgardliwie o swym powinowatym Światopełku, z poszanowaniem dla Konrada.

Wtrącono coś i o Krzyżakach rycerstwie które Leszek rad był widzieć zasłyszawszy o niem wiele. Wojewoda doniósł że właśnie dwóch z nich już do Płocka pociągnęło, aby się o uczynione nadania umówić.

Tak gwarząc dojechali do zamku na Wawel a Marek zabawiwszy Leszka, wymknął się do swego dworu...

Nazajutrz książę zapytał Biskupa o brata Mszczuja, którego sławę siły i mężstwa pamiętał.

— Jest on tu, — odparł Iwo — ściągnąłem go po to aby Waszej Miłości służył. Wiernych sług pod te czasy zanadto mieć nie można. Nie potrzeba mu nic — ani tytułów ani urzędów, a można go będzie użyć gdzie drudzy nie zechcą lub nie zmogą. Wziąłem go sobie do pomocy W. Miłości do usług wiernych.

Książę podziękował.

— Bóg łaskaw, — rzekł — służba u mnie lżejszą coraz będzie... Pokój uchwałemy i używać go będziemy!!

Biskup spojrział nieśmiało na pana swego i zamilkł.

VII

Ks. Żegota miał serce litościwe, które nieraz już w życiu za chwilowe wzruszenie odboleć musiało.

Za młodszych lat gdy świeckie duchowieństwo więcej miało swobody, a śluby nie były wzbronione, przywiązał się do jakiejś biednej istoty, której teraz opuścić już nie miał siły. Nastaly inne czasy, — legaci papieżcy po wszystkich krajach ogłosili rozkazy wyrzeczenia się związków rodzinnych. Kościół chciał mieć żołnierzy niczem nieprzywiązanych do ziemi...

Z obawy aby wizyta dziekana lub Biskupa nie odsłoniła smutnej tajemnicy jego życia, stary proboszcz musiał swą familię przenieść do osobnego domku na grodzisku, i jeszcze był po odjeździe Biskupa Iwona nie ochłonął ze strachu, gdy wypadek nowy w inny sposób zagroził spokojowi jego.

Nocą nadciągnął pod Białą Górę Otto von Saleiden z dwóma rannymi ochotnikami... Potrzeba ich było ratować. Ks. Żegota nie umiał się oprzeć pokusie miłosierdzia, chociaż wiedział dobrze iż dając pomoc nienawistnym Niemcom, narazi się na gniew pana swojego Waligóry. Szczęściem starego w domu nie było i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nierychło zapewne miał wrócić.

Ks. Żegota, jak całe ówczesne duchowieństwo, nietylko że nie czuł żadnej w sercu niechęci dla obcych, ale szanował wszystko co przychodziło z zachodu i niosło z sobą światło.

Widok tych dwóch w pełni życia, rannych niebezpiecznie i narażonych na zgubę chłopaków, jeżeliby im kto nie dał przytułku — poruszył do głębi starego księdza.

Nazajutrz gdy wysłany szukać obozu pachołek, powrócił prowadząc z sobą Konrada von Landsberg; — a ten zobaczył w jakim stanie byli dwaj chłopcy, uniósł się naprzód na nich gniewem wielkim, potem na towarzysza, brata Ottona, że na szaleństwo to pozwolił, naostatek zakrzyczał wielkim głosem, — iż, choć Gero był jego bratankiem, ale ani dla niego ani dla Hansa nie myśli się w podróży wstrzymać i tracić czasu, gdy nań w Płocku oczekiwano.

Otto uczynił mu uwagę, że tak przecież wpośród drogi dwóch ziomków porzucić niepodobna, w kraju w którym mogli uleść napaści jakiej bezbronni, albo nawet zembrzeć chorobą i głodem.

— Niech giną, kiedy sami się na to wystawili, — wołał nielitościwy Konrad. — Sprawa zakonna nam powierzona idzie przedewszystkiem...

Tak się to mówiło w pierwszym zapale gniewu, lecz gdy przyszło spełnić groźbę — i sam nieubłagany Konrad wahać się zaczął. Wieźć za sobą dwu rannych, a szczególnie Hansa, który, choć mu ranę opatrzone, dostał gorączki i straciwszy przytomność majaczył — było niepodobieństwem...

Gero łżej ranny, choć na nogę stąpić nie mógł, z biedy na koniuby się wlec był gotów, ale towarzysza Hansa, po rycersku odstąpić nie chciał i oświadczył stryjowi, że los jego dzielić będzie...

Ks. Żegota który rano zbiegł był z grodu do szopy, zobaczyć co się działo z rannymi, przy których kwiatkami sobie włosy przystroiwszy Dzierla siedziała, — przytomny był wrzawliwej scenie między Konradem, Ottonem i Geronem...

W ostatniej chwili, gdy już do stanowczego jakiegoś kroku przyjść miało, Konrad von Landsberg zobaczył starego księdza...

— Ależ to nie może być — ażeby w kraju który się chrześcijańskim zowie, rannemu biedakowi odmówiono przytułku! — zawołał.

— Wszędzie go znajdziecie, a szczególnie po klasztorach, w których ochotnie przyjmą chorego i pielęgnować go będą — rzekł ks. Żegota — wszędzie, tylko nie tu u nas! Wskazał na zamek w górę.

— Jakto! cóżto, poganie go zajmują? — zawołał Konrad.

— Nie — ale pan nasz nie przyjmuje obcego nikogo, nigdy... — odparł ksiądz. — Taki sobie ślub uczynił. Nie ma go nawet na grodzie, a bez niego nie ważyłby się nikt...

Konrad burzyć się zaczął na to.

— Co tam gród! pan! — zawołał — wy jesteście osobą duchowną, wy żadnemu panu nie ulegacie. Wasz pan jest tam gdzie i nasz, w Rzymie! Weźcie go do swego domu... do niego nikt nie ma prawa!

— Mój dom jest na grodzie — odparł ksiądz przestraszony — a gdyby *Comes* się dowiedział że ja obcego przyjął, możeby razem z nim wyrzucił...

— Przecie go w domu nie ma...

— Ho! — ho, jest Podżupan! — rzekł ks. Żegota...

Stało się chwilowe milczenie. — Konrad namarszczywszy się, już nie rozprawiając, nie sporząc poszeptal coś Ottonowi, zbliżył się do synowca Geron, któremu długo coś w ucho kładł, potem sam na koń siadł i Ottonowi a pacholkom dał znać aby toż uczynili. Gdy wszystko było do odjazdu gotowem, dumny Krzyżak podparłszy się w bok, podjechał ku ks. Żegocie.

— Słuchaj, ojczcie — rzekł tonem nakazującym — czas u mnie drogi — tracić go na spory i gadaninę nie mogę... Zostawiam tu tych rannych... na łaskę Bożą... Zginą — odprawią za nich nabożeństwo kapłani nasi! ale wy będziecie mieli ich na sumieniu

— róbcie sobie z niemi co chcecie — ratujcie, porzućcie, to wasza sprawa. Ja zmuszony jestem zdać się na was.

Mądry Krzyżak mówiąc to czuł bardzo dobrze iż ksiądz nie będzie miał serca rannym dać ginąć.

Jeszcze raz dwaj starsi ku leżącym pod szopą, obrócili się coś szwargocząc, potem Konrad rzucił parę słów Geronowi, i tęgim klusem wszyscy popędzili do obozu zostawując Gerona i Hansa samych pod dozorem baby i — księdza.

Na chwilę rozpacz ogarnęła ks. Żegotę, załamał ręce, zawołał.

— Jezu miłosierny, ratuj! co ja tu pocznę!...

Chciał uciekać na gród, zrobił krok, i litość go wzięła — zatrzymał się, zwrócił, podszedł do Gerona, który przytomny z nogą obwiązaną siedział, nie straciwszy młodzieńczej jakiejś odwagi i ufności...

Dzierła z nadzwyczajną pilnością czuwała nad Hansem, którego to jakimś ziołami, warzonemi w garnuszkach poila, to go okrywała, to mu coś jak dziecku po cichu nuciła i chudemi rękami znaki jakieś robiła nad nim...

— Nielitościwi ludzie! nielitościwi! — zawołał ksiądz do Gerona — otóż was opuścili...

Ciężki chód koni krzyżackich tętniał coraz się oddalając.

— No — a litościwi się znajdują co nas przytulą! — odparł Gero, spoglądając na niego... — Jużciż w tej szopie otwartej na cztery wiatry porzucić nas byłoby srogiem barbarzyństwem, bo, ja jak ja, ale Hans tu do tygodnia, gdy go chłód nocny obejmie — zginie marnie...

— Szopę chyba oprawić trzeba! — szepnął ksiądz, — bo do zamku ani myśleć... Zrobię co mogę.

Gero ruszył ramionami.

— Ojczy — rzekł śmiało, — ja ufam że wy coś wymyślicie...

Ks. Żegota nie mówiąc nic — głowę potrząsając, chodził i coraz to stawał nad Hansem.

— Dzierla, — odezwał się do baby pół głosem — może on żyć?

Zapytana przybrała minę wyroczni, spojrzała na chorego, przyłożyła mu rękę do czoła, wskazała na grubo obwiązaną nogę, rozpostarła ręce, podniosła je do góry... — westchnęła...

— W dobrej izbie, na posłaniu wygodnem, jakby go noc i dzień nie odstępować — poczęła żywo — czemu by nie miał żyć? Czyto z takich ran ludzie wychodzą? A pamiętacie Dziubę co mu wnętrzości trzeba było wkładać nazad do brzucha, przecie żyw, albo Gielbę co dwa razy nogę miał złamaną, albo Tyrka, któremu kości z boku wyłaziły? A ten młody i śliczny chłopiec ma jeszcze życia tyle! Czemu by nie miał żyć?

Zamyślił się ksiądz.

— Przyjdę wieczorem — szepnął Geronowi — i tak go porzucił.

Na grodzie, gdzie od lat wielu o obcych ani słyszano, ani ich widziano, ciekawość była wielka, gorączkowa. Nad ostrokołami naprzeciw szop wisieli ludzie patrząc czy co nie zobaczą, choć nie ważyli się iść bliżej. Ks. Żegota gdy powrócił, obleżono go pytaniami.

Ale stary pomruczał coś niewyraźnie, opędził się natrętom, i oświadczył podżupanowi Teleszowi, że owi ranni co leżeli pod szopą najdalej nocą opuszczają ją i pojedą w świat, bo tu oni nie mają co robić.

Ze wszystkich ciekawych najciekawsze były na gródku, dwie piękne Halki. Ojciec im zawsze Niemców jak najdziksze zwierzęta malował, mówiono o tym narodzie wiele co budziło pragnienie poznania tego stracha i dziwadła.

Wiedziały dziewczęta że plemię to straszne, odziewało się wytwornie, umiało wiele rzeczy których inni nie zdołali robić... że było przebiegłe, złośliwe a mądre.

Trafia się często że to co zozydzić komu pragniemy, właśnie dziwną w umyśle ludzkim sprzecznością nęci i pociąga.

Dziewczęta strasznie się lękając Niemców, niezmiernie jednak widzieć choć jednego z nich życzyły sobie. Tu właśnie nastręczała się zrzeczność.

Gdy ksiądz wrócił z pod szopy obie Halki nim doszedł do swojego dworku, drogę mu zastąpiły. Ksiądz Żegota, który na nie patrzył jak rosły i od dzieci prawie je wychowywał, co je uczył pacierzy, modlitw i pieśni, a kochał jak swoje, był dla nich słabym — czyniły

z nim co chcieli. Dość żeby mu się uśmiechnęły, a szczebiotać poczęły, stary zapomniał o wszystkim...

Starsza Halka wnet go zasypała pytaniami.

— A! co bo się o tych brzydkich Niemców tak troszczycie których pan nasz tak nie cierpi... Licho ich tu przyniosło — no — zapowiedziano im ażeby się wybierali precz, i muszą.

— Jakże, kiedy mówią że ciężko są ranni? — odezwała się Hala...

Ks. Żegota ramionami niecierpliwie zzymnął.

— Niech ich tam! — zawołał. — Jakby się pan nasz dowiedział że mu tu jego ziemie stopami dotknęli — byłoby, było!

— Straszni są? prawda to że na głowach noszą rogi? — bojaźliwie wtrąciła druga.

Rozśmiał się ksiądz mimowolnie.

— Prawda! Rogi mają na hełmach! — rzekł — ale ci dwaj ranni, młodzi są bardzo jeszcze... i — podobni do ludzi...

— I pojedą precz a my ich nie zobaczymy? — wtrąciła jedna... — A ojcze! jakby nam się chciało widzieć ich — choć zdaleka! zdaleka!

— Co się wam śni! dzieci! A pan nasz, gdyby się o tem dowiedział! — odparł żywo księżyna.

Dzieci spuściły oczy zawstyżone i zarumieniły się.

— Czyż już i spojrzeć na nich grzech? — szepnęła jedna.

— Ich do nocy już nie będzie! muszą precz! precz! — zakończył ksiądz śpiesząc do domku, i nie chcąc dalej prowadzić tak grzesznej rozmowy.

Wszystkich też zbywał prawie tak samo jak dwie Halki, ale co myślał i zamierzał — było prawie nie do wiary...

Samo wykonanie miłosiernego jego zamiaru, niesłuchanie było trudne, wydawało się prawie niepodobnym, a jednak ks. Żegota nie cofał się przed niem.

Postanowił nieszczęśliwym dać przytułek w swoim dworku. Szło o to aby żywa dusza nie wiedziała o tem: Ksiądz sam miał stać na straży, dom zamknąć i żyć przy żonie, przekradać żywność, zaprzec wrota podwórka...

Wydawało mu się to chwilami niemożliwym, to znowu — łatwym... Oprócz Dobrucha nikt do niego nie zaglądał, podżupana Telesza umiał uchodzić i uwagę jego odwrócić...

Najtrudnijszem ze wszystkiego zdało mu się przeprowadzenie nocą, ową tylną furtą, nie już Gerona, który z pomocą sam się mógł przywlec, ale Hansa, którego nieść było trzeba. Zwierzać się nikomu i w pomoc brać ludzi nie chciał, on więc chyba sam z Dzierłą musiał z nim wdrapać się na górę i wał, i nocą przesunąć do dworku. Chory majaczył i krzyczał głośno... lecz wszystko wiedząca Dzierła coś mu na sen dać mogła...

Z tą upartą myślą ks. Żegota cały dzień przetrwał — poszedł się jej zwierzyć żonie, — bo dla niej nie miał tajemnic — stara pani zakrzyzczała z trwogi, — wołając że chyba siebie, ją i wszystkich chce pogubić.

Ks. Żegota milczeć jej kazał.

Rozplakała się, i to nie pomogło... Do litościwego usposobienia dla tych młokosów przyczyniało się i to że byli duchowo powinowaci rycerskiemu zakonowi, z którym puścili się na wyprawę.

Po długich namysłach okazało się wreszcie, że zamiar wykonać się nie dawał inaczej jak z pomocą Dobrucha. — Starowina był posłuszny, milczący, lecz nie wychylając się za bramy gródka w którym Niemców nie cierpiano — i miano ich w ohydzie wielkiej, wstręt do nich wpojony przez Mszczuja podzielał. Szło o to aby go skłonić w imię Boże, do ratowania ludzi. Nie wzdragał się ks. Żegota popełnić *piam fraudem* i dać mu ich za Włochów, lub innych jakich obcych ludzi.

Tak się i stało... Poszeptał z nim przed wieczorem, Dobruch się zrazu otrząsał, opierał, ale proboszczowi nawykły ulegać, w końcu z pokorą rzekł, że zrobi co każe.

O zmroku ksiądz się spuścił z góry jawnie, w oczach wszystkich, niosąc koszyk w rękę, wszedł do szopy i nie wdając się w tłumaczenia żadne i rozmowy, dał po cichu rozkazy jakiej Dzierli, a Geronowi powiedział znacząco.

— Róbcie tak, żeby z ostrokołów patrzący myśleli, iż nocą ztąd precz jechać macie... Zbierajcie się jak do drogi.

— Dokąd? — zapytał Gero...

— Czyńcie jako mówię, — rzekł dobitnie ksiądz — widzicie że wam źle nie życzę, bo bym tu nie przychodził, gdybym co złego myślał, zaparłbym furtę i siedział na gródku... Gero nań popatrzał, a ksiądz dodał.

— Gdyby ci baba albo ja podał rękę, wszedłbyś na tę górę?

— Trudno! — odparł Landsberg, — noga mi opuchła i boli — ale.

— Ale gdy koniecznie trzeba?

Gero głową tylko wskazał że zrobi co musi.

Zaczęły się tedy widome z góry, na wałach, przygotowania do — pochodu...

Wiązano płaszcz, zbierano odzież, zrzucano sakwy jakieś do kupy. Dzierła chodziła, kręciła się i otuliwszy płachtą, niby żegnała, kłaniała, wybierając na gród nazad. Widziano ją idącą pod górę...

Tymczasem mrok zapadł, ksiądz wrócił i opowiadał, że ludzie po chorych z klasztoru blizkiego przybyć mają i zabiorą.

Ciekawi się uspokoił i — od ostrokołów odeszli, bo noc nadciągająca nie dozwalała też widzieć nic.

Dzieło miłosierdzia było prawdziwym cudem. Ks. Żegota musiał czekać aż wszyscy się pospali, obejść gródek z tej strony, — psy pozamykać, i dopiero z Dobruchem spuścił się na dół z wielkimi ostrożnościami, by nikt ich nie widział ni posłyszał.

Hansowi w istocie Dzierła na sen napój dała. Śpiący wydawał się tyle krwi straciwszy, jakby w nim życia już nie było. Ks. Żegota sam z Dobruchem wziął go na przysposobione nosze o które troska była wielka czy one ciasną furtą na gródek się wcisnąć dadzą.

Dzierła pod rękę ująwszy Gerona, którego wesoła myśl nie opuszczała, pomagała mu wdrapywać się powoli na górę.

I niosącym i idącemu szło nie łatwo, tamci znużeni musieli odpoczywać często, a Gero żeby nie krzyknąć ręką sobie usta zatykał... i sił mu też brakło, choć się na babie opierał...

Pochód ten pod strome wzgórze, zdawał się trwać wieki, furta jakby naumyślnie się oddalała... Gdy przy niej stanęli, a trzeba ją było otworzyć, Hans którego nosze drgnęły gdy je na ziemi składano, przebudził się i mruczeć począł. Dzierła musiała biedz zażegnać go na sen...

W samej furcie nosze za szerokie na nią, pochylić musiano tak, iż bezwładnego Hansa by się nie stoczył przytrzymywali.

Ledwie nareście zaparłszy znowu wnijscie, poczęli bokami się przesuwac do dworku księdza, stąpając jak najciszej, gdy pozamykane psy, węchem obcych poczuły i strasznie ujadać zaczęły. Trzeba było spieszyć aby stróże się nie zbudzili i w tę stronę nie przyszli.

Gero już na poły z bólu omdlały ledwie się włókł, tak że do parkanu doszedłszy, musiał oprzeć się oń i spoczywać... Jednakże pomimo tych trudności udało się księdzu cudownie, niczyjej nie zwróciwszy uwagi, chorych przeprowadzić do siebie, i gdy nazajutrz ciekawi wyjrzeni ku szopie, nic już w niej nie było widać, tylko resztki słomy, zgasły ogień i niedopalone głownie.

Podżupan Telesz stary, prostoduszny człek, który nie przypuszczał nawet aby coś nadzwyczajnego w powierzonym mu grodzie stać się mogło, spotkawszy rano ks. Żegotę oznajmił mu że — chwała Bogu, Niemców lichu wzięło i pod szopą niema ich już ani śladu.

Ks. Żegota wysłuchał nowiny — z pozorną obojętnością.

— Panu naszemu nawet i mówić i donosić nie trzeba że tu jacy Niemcy byli, — dodał Telesz, — bo i za toby się srodze gniewał że im szopy pozwolono...

Na gródku się na pozór nic nie zmieniło. Dzierła tylko rozgadała że musi iść po zioła i grzyby i pewnie jej długo nie będzie. Parobczaki których była pośredniczką do dziewcząt, zafrasowali się niezmiernie że ich opuszczała i prosili by wracała...

Znikła potem, ale w istocie siedziała wciąż przy chorym Hansie.

Ks. Żegota mówił że mu w jego dworku smutno było samemu i przeniósł się do familii, a bramę kołkiem podparto. Dom ino stał niby pustką. Przesuwano się doń i wysłizgano nocami, mrokiem, gdy żywej duszy nie było.

Geronowi i Hansowi zamkniętym jak w więzieniu na niczem nie zbywało, co do pierwszych potrzeb życia. — W początkach nawet było im dobrze i Gero się radował

że uszli cudownie niebezpieczeństwa. Noga jego przy staraniu jakie miała Dzierła o nią, zaczynała się goić nadzwyczaj szybko i szczęśliwie; Hans nawet po kilku dniach, choć osłabiony i wychudły, odzyskał przytomność, rana ciężka potrzebowała więcej czasu do zupełnego uleczenia, ale baba ręczyła śmiejąc się że na weselu tą nogą będzie wywijać tak, jakby jej dzik nie kosztował.

W miarę jak zdrowie powracało, obu Niemcom zaczynało się robić straszliwie nudno. Ksiądz na rozmowę łamaną niemiecką zjawiał się rzadko, z babą nie mogli się rozmówić tylko na migi, a choć Gero i tym sposobem siebie i ją do śmiechu pobudzał — nie starczyło tej rozrywki. Nawykłym do życia wrzawliwego w obozach, na łowach, w burdach niemieckich, cisza ta i ciasnota więzienna, brak ludzkich twarzy — ruchu, swobody dolegała okrutnie.

Gero jak tylko o kiju chodzić zaczął, nie wysiedział w izbie, mimo zakazu wykradał się na podwórko i przez szpary tynu opasującego je, — wyglądał... choć najczęściej widywał tylko psów ogony, albo przebiegające konie.

Gdy Hansowi zaczęło być lepiej, Dzierła, której także się znudziło zamkniętej, udała że powróciła z lasów, i nie siedząc już ciągle przy chorych, niekiedy się tylko do nich wkradała, przynosząc jadło i leki.

Pomimo największych ostrożności około dworku, aby się nie wydało dzieło miłosierdzia, nad którego skutkami drżał myśląc ks. Żegota — chodzenie do pustego domku, kręcenie się przy nim nie mogło ujść baczności ludzkiej. Dorozumiewano się czegoś, szeptano.

Jeden tylko Telesz Podżupan, człek spokojny i ślepy, nawet gdyby był coś podejrzanego zobaczył, własnymby nie wierzył oczom. Tak zuchwałego czynu niepodobna mu było przypuścić, ani on księdza, którego szanował posądzić.

Powracając z lasów Dzierłę wszyscy jej przyjaciele i ci co jej potrzebowali przywitali radośnie. Stara ze swemi gadkami, baśniami, piosenkami była dla nich, jedyną na tej pustyni rozrywką.

Obie Halki, którym bez ojca tęskno było, zaraz ją kazały przywołać do siebie... Musiała im powiadać co widziała w lasach, co słyszała po świecie, i co jej na myśl przyszło.

Dzierła gdy jej prawdy brakło zastępować ją umiała wymysłami najdziwniejszemi. Słuchając jej można było myśleć że widywała rzeczy, które dla innych śmiertelnych nie były dostępne. — Opisywała ptaki tak cudnego pierza, jakich oko ludzkie nie widziało, powtarzała rozmowy swe ze stworzeniami, które do niej ludzkim przemawiały językiem, dla niej otwierała się ziemia i pokazywała skarby, jakie się kryły w jej łonie...

Przytem nawet najstraszniejsze opowiadając rzeczy, zawsze tak je umiała obrócić iż uśmiezek wywoływały i sama brała wesoło co życie przyniosło...

Nie wiedzieć jak jednego wieczora rozmowa się wszczęła o owych ranionych Niemcach, którzy leżeli pod szopą. — Wiedziały Halki że Dzierła przy nich była, zaczęły nalegać, prosić aby im ich opisała — czy w istocie tak straszne to były stworzenia jak ojciec o nich rozpowiadał...

Stara zaś w dwóch chłopakach niemal się rozkochała pielęgnując ich, szczególnie w Geronie, który jak ona, choć pisał a uśmiech miał na ustach.

Posłyszawszy to zapytanie Dzierła aż przysiadła tak się jej na wesołość zebrało... Długo mówić nie mogła od śmiechu.

Dwie Halki patrzyły na nią zdziwione bardzo... co też to znaczyć miało?

Oczy jej śmiały się szydersko długo jeszcze, choć już usta śmiać przestały.

— Więc mów, — nagliły Halki — jakże oni wyglądają...?

Dzierła się wahała jeszcze namyślając czy ma z nich zrobić straszdyła czy biednym dziewczętom oczy otworzyć.

W izbie nie było nikogo. — Na ławie pod okienkiem siedziały dwie Halki rączki sobie zarzuciwszy na ramiona, główki sparszy skroń ze skronią; z oczyma wlepionymi w starą, która na ziemi u ich nóg, osłonięta płachtą, obwieszona sznurami pacierek i przystrojona w kwiatki jesienne, przypadła.

Obejrzała się Dzierła i palec położyła na ustach...

— Takich chłopaków jak oni! — szepnęła, — ani ja pókim żywa, ani wy nie widzieliście i może nie zobaczycie! Niech sobie wasz stary plecie o rogach na głowie i pazurach

u rąk... i klach jak u wilków... oni tak piękni jak dziewczątka, krew z mlekiem, a wesołe jak ptaszki, choć z nich krew się lała... a śmiało i mężnie!!

Dziewczętom się wydało że Dzierła z nich sobie żartuje...

— Nie plećże — odezwała się starsza która najczęściej za nich dwie mówiła — nie żartuj z nas sobie. Wiemy że są straszni, srodzy i że mięsem ludzkim żyją...

Dzierła uderzyła w dłoń.

— Oh! oh! — poczęła — cóż ja pocznę nieszczęśliwa gdy mi wierzyć nie chcecie — chyba zmilczę...

— Mów, mów, ale prawdę! — dodała młodsza...

Dzierła z podłogi chwyciła garść piasku.

— Przysiądź mogę że prawdę mówię — dodała, — piękni ludzie! Są i u nas parobczaki nie brzydoty — ale gdzie naszym do nich!... jak wróblowi do szczygła...

Dziewczęta osłupiały z podziwienia. Dzierła korzystając z tego z wielkim pośpiechem zaczęła z przesadą zwykłą malować piękność swych Niemców, obyczaj ich ludzki, rozum taki że się bez mowy obchodzić umiał... Naplotła tak dużo różnych rzeczy iż się nie pstrzegła że tak wiele słyszeć i widzieć nie mogła w krótkim czasie gdy przy nich była pod szopą.

— E! ty, Dzierła — odezwała się starsza — jakie ty nam prawisz baśni, a gdzieżeś ty w tych godzin nie wiele, tyle rzeczy napatrzeć i podsłuchać mogła? Na toby trzeba z niemi siedzieć dłużej niż ty byłaś w szopie!!

Uśmiechnęły się ze starej, która się nieco zmięszała i umilkła, poprawiła chusty żeby twarz zakryć i oczy, — chrząknęła, coś zanuciła i chciała odwrócić rozmowę, ale Halkom Niemcy były w głowie.

— Mów, choćbyś zmyślała! — rzekła starsza.

— Ja bo już więcej nie wiem nic — rzekła baba.

— Gdyby Niemcy takie były jak ty mówisz — dodała starsza, — za cóżby ich ojciec tak niecierpiał, że gdy ich wspomni zęby mu zgrzytają i ręce się same ściskają w pięści.

— Co mnie naszego pana, ojca i knezia białego sądzić — rzekła Dzierła, — co ja wiem dla czego on ich nie ma za ludzi, mówię co oczy widziały, co uszy słyszały... — i tyle...

Tego dnia już nie było o nich mowy.

Wieczór był jasny, dwie Halki poszły jak zawsze, razem, pobrawszy się pod ręce, chodzić po podwórcach, po wałach... a chodząc to się śmiały, to śpiewały, to szeptały pół słówkami, bo im dosyć było znaczkę, szeptu, skinienia ażeby się zrozumiały. A gdy tak snuły się kroczkami powolnymi rozmarzone i tęskne dziewczęta, i przechodziły około parkanu, który pusty domek księży ogradał, właśnie był Gero wykradł się z niego i przez szpary wyglądał. Nagle zadrzał i przetarł oczy. Zdało mu się że chyba biały obłoczek jakiś przed nimi przepłynął... Dwie Halki mignęły mu i — stanęły...

Stały tak drobinę czasu, nie wiedząc o nim, jakby na to umyślnie żeby się im lepiej przypatrzył. Gero że mu szczelina u góry była do chciwego patrzenia za wązką, padł na kolana, o chorej nodze zapomniawszy, przychylił się do samej ziemi, pożerając je oczyma...

Dwie Halki uśmiechały się sobie i szeptały coś, jedna drugiej wianuszek poprawiała na głowie, śmieszek jak śpiew ptaszęcy zaszeleścił w powietrzu i znikły...

Gero nie mógł się podnieść z ziemi goniąc je oczyma.

Właśnie na to wślizgnęła się stara Dzierła i zobaczywszy go na trawie leżącego, odgadła na co patrzył, co zobaczył. Jakiś ją strach ogarnął naprzód, a potem pusta wesołość. Poszła Geronowi pomódz wstać z ziemi i pogroziła mu mocno...

Niemiec wszelkimi sposobami rękami i bełkotaniem wyrazów jakich się nauczył, usiłował dobyć z Dzierli, co to były za dwie białe, tak cudnie piękne i tak strasznie do siebie podobne dziewczęta.

Baba rękami wywijając, trzępiąc odganiała pytania, odmawiała odpowiedzi, ale śmiech i radość patrzyły jej ze starych oczów.

Weszli tak do domku, a Gero nic pilniejszego nie miał nad to by się z Hansem wiadomością o dwóch ślicznych jak anioły dziewczętkach, podzielić.

Hans wierzyć nie chciał.

— Gdzie ty tu mogłeś piękne dziewczęta zobaczyć? — zawołał. — Ileżemy to kraju przejechali, ile widzieli tych twarzy w białych zawiciach, a wszystkie były jak szatany straszne!

— Tych dwie za tysiące stanie! — począł Gero z zapalem. — Wiesz że u nas po miastach, i burgach, dosyć ładnych twarzy, co je słońce nie opaliło i praca nie zszarzała — alem takich jak żyw jestem nie widział, anim śnił aby być mogły na świecie!

Hans śmiał się.

— Otóż jak głodnemu chleb z ościami pachnie! — rzekł.

Gero się aż pogniewał trochę.

— Nie proste to dziewczki, — dodał, — bom tych siła widywał już idących ze dzbankami po wodę, a przecie nie zachwalałem ich, bo choć której pyszczek był nieszpety, wyglądały jak czerwone kłody, ale tym tylko skrzydła dać, poleciałyby w obłoki.

— Oszalałeś — rzekł Hans.

— Ono to nic jeszcze że piękne, — mówił Gero uspokoić się nie mogąc — dziwniejsza rzecz iż ich dwie tak do siebie podobnych, iż jednej od drugiej rozróżnićby nie można, i jakby się człowiek rozmiłował, musiałby w obu...

— To ci na rękę, — rzekł Hans, — bo gdy się miłuje, nigdy tego dosyć — ale tobie od rany w nodze oczy się pokrzywiły... albo drwisz ze mnie.

Gero znowu do Dzierli się zbliżył usiłując z niej coś wyciągnąć. Widząc jego zachwycenie, baba się ulitowała i rozmaitemi ruchy ukazała mu że stały wysoko, że były córki pańskie, że pan synów nie miał tylko ich dwie, i że chyba księżęta godni ich byli.

Wszystko to dać zrozumieć bez pomocy wyrazów mogła tylko zręczna Dzierla i tak chciwemu a odgadującemu łatwo jak Gero... Pokazywała na zamek cały, w górę ku niebu, ręce przykładając do serca... oczy podnosiła i spuszczała. — Gero czego nie zrozumiał domyślił się...

Kilka wyrazów już się był od starej nauczył i odpowiedział jej także ręce do piersi cisnąc, oczy w górę podnosząc, że się strasznie w dziewczętach rozmiłował...

Dzierla rękami wyraziście odpowiedziała mu że o nich ani mógł myśleć...

Gdy stara wyszła z izby, Gero na cały wieczór miał o czym mówić Hansowi, który choć się niecierpliwił, lecz i zaciekawił się mocno. Noga obrzękła, której poruszyć nie mógł, o podpatrywaniu przez ploty, ani myśleć nie dawała.

Śmiały Gero nazajutrz tak był niecierpliwy dowiedzieć się coś więcej, iż wprost ks. Żegocie się przyznał co widział i zapytał o dziewczęta.

Usłyszawszy o tem stary ksiądz uląkł się strasznie — długo nie mógł mu odpowiedzieć, a w ostatku surową twarz czyniąc, krótko odrzekł.

— Nie godzi się gościnności nadużywać. — Widzieliście córki mojego pana — więcej o tem mówić nie chcę i nie będę.

Gero przeprosił starca i zamilkł. Wychodząc ksiądz Żegota upomniał go jeszcze surowo, aby się w podwórku nie pokazywał, i nieszczęścia na głowę jego nie naprowadzał...

Nazajutrz Dzierla przyszedłszy, wyzywać sama poczęła Gerona, na bałamutną rozmowę o dziewczętach, babie śmiało się to że chłopak męczył się i z miłości głowę tracił — gotową była ogień podsycać. Nawykła do tego między dziewczętami i parobczakami... Młodość jej to nieodżałowaną wracało, i grzała się przy tym ogniu.

Gero rad był choć z nią mówić o nich, dowiedział się nawet imion Hali i Halki, które jak szalony powtarzał ciągle...

Pomimo zakazu księdza, nie mogło go już nic powstrzymać od ciągłego stawania przy tynach u szpary, którą nożem swym ostrożnie rozszerzył tak aby wygodnie mógł wyglądać.

Ale cudne owo zjawisko tak upragnione, nie prędko się znowu ukazać miało. Gero powracał do izby i stękając mówił Hansowi.

— Nie było nikogo! Widziałem dwa psy i pół cielęcia!

VIII

Życie Leszka Białego na krakowskim grodzie, płynęło teraz od czasu gdy wielki zamach Henryka Śląskiego, spełził na niczem i skończył się zawartym sojuszem — spokojnie,

cicho, szczęśliwie, tak jak on sam pragnął, na wół przy rodzinie, wół w lasach, na koniu lub w rycerskich turniejach i igrzyskach...

Wszystkie ważniejsze sprawy kraju, jak niegdyś za ojca Kazimierza, leżały na ramionach Biskupa, zawisły od jego rady i kierunku.

Iwo i rozumem i świętobliwością i powagą wszystkiemu rycerstwu krakowskiemu przewodził, a Jaksowie nawet nieprzyjaźni mu, głośno przeciw niemu szemrać nie śmieli. Leszek rad był, nawykłszy do tego za życia matki, — szukać zawsze opiekuna na którymby się opierał. Takimi byli dla niej i dla niego Goworek, na przemiany z Mikołajem Wojewodą — kilkakrotnie to poczucie własnej słabości czyniło ich uległymi nawet Mieszkowi Staremu, a później Laskonogiemu.

Zmuszony prawie, po bitwie pod Zawichostem objąć rządy krakowskie, Leszek nie wprzód się zgodził na zajęcie miejsca Laskonogiego, aż się zapewnił pomocy Marka Wojewody i Iwona Biskupa.

Mówiliśmy że Marek i Jaksowie zdradzili pana, został więc jeden Biskup Iwo, na którym się bezpiecznie oprzeć mógł Leszek... Było to dlań rzeczą najpożądaną, czuł się spokojnym...

Po ojcu wziął pobożność i łagodność, z matki charakter słaby i nieumiejący wytrwać przy jednym postanowieniu — Biskup był mu potrzebnym — był dlań prawdziwym ojcem... Szczęściem był to mąż prawy, któremu tylko zbyt rzecami niebieskimi zajęcie, czasem nie dozwalało wszystkich ziemskich przewidzieć. — Kilkakrotnie zwiedzając zachodnią Europę, Francję i Włochy, Iwo dał się łatwo ować temu duchowi exaltacji religijnej, jaki w niej panował. Ponad wszystko naówczas zapal religijny się podnosił. Extatyczne porywy ku niebu, żywot mordercy dobrowolnych, duszne jednoczenie się z Bogiem, stały jako jedyny cel dla ludzi wykształconych, a tłum usiłował iść w ich ślady. Powstawały zakony, nie już jak dawne Benedyktynów i Cystersów, poświęcające się naukom, pracy ręcznej, nawracaniu i oświecaniu, ale żywotowi pustynnemu we włosienicy i żelaznych paskach, w biczowaniu i postach, w nadludzkich umartwieniach, które z więzów ciała wyzwalały duszę.

Tego ducha zaszczepić w kraju u siebie pragnął Iwo, — w Rzymie patrzył na cуда Dominika, nasłuchiwał się o ubogich zakonnikach powrozami przepasanych w Assyżu, wzory tych ludzi wielkich nie dawały mu spoczynku.

Wolałby był może i on wstępować w ślady tych mistrzów i wyrzec się wszystkiego co ziemskie, tak jak mistrz i Pasterz Wincenty, który infułę złożywszy na ołtarzu, poszedł przywdziawszy habit Cystersów do cichej celi zakonnej zakończyć życie. Lecz Iwonowi Biskupowi Krakowa, który na równi ważył z Gniezmem, nie godziło się opuścić straży około słabego a dobrego księcia.

Szło o pokój kraju, a razem i o szczęście tego człowieka, do którego się przywiązać musiał każdy kto go znał i z nim żył. — Leszek zostawiony sam sobie padłby był znowu ofiarą jednego z tych co czyhali na Kraków, główną stolicę, pierwsze księstwo naczelne ziem wszystkich.

Iwo, który ciągle klasztory zakładał, kościoły mnożył i nieustannie czynnym był około spraw diecezji, sam wszystkiemu podoleć nie mógł, dlatego wezwał w pomoc Mszczuja Waligóre, na którego poczciwości mógł polegać. — Miał on dlań być prawą ręką, a dla złych ludzi postrachem. Biskup nie postanowił jeszcze co mu da do czynienia, lecz wiedział że użytecznym będzie. Chciał go tu mieć niezawisłym, bez urzędu i godności, gotowym zawsze chwycić czy za oręż, czy usty się rozprawić z niechętnymi i podejrzanymi.

Po owych łowach, z których wracającego Leszka Marek na drodze pochwycił, chcąc czy wybać czy przygotować — nazajutrz książę spoczywał, ciesząc się dziećmi, Salomeą swą i Bolkiem, wesoło rozprawiając z żoną, przywołując komorników, aby mieć więcej w koło siebie uśmiechających się twarzy. Gdy się czuł szczęśliwym Leszek było to dlań potrzebą widzieć wszystkich wesołymi, radującymi się z nim społem. Lada twarz chmurna już mu psuła jego szczęście, gotów był największą ofiarą wywołać uśmiech z każdego. Służba która znała księcia swego, nieraz z tego korzystała i zyskiwała co chciała.

Nie był to mąż stworzony na panującego, rządy mu ciężyły i dolegały, — ludzie co mu spokój truli doniesieniami, podejrzeniami, niepokoje przynosząc, nie mieli u niego łaski.

Przy całej miłości dla Biskupa Leszek mu to jedno miał za złe, że go trapił ciągłymi postrachami...

Zaledwie od żony był odszedł dnia tego i zabierał się z Pakoszem strzelać do celu — gdy pacholę nadbiegło oznajmując mu o Iwonie.

Biskup szedł od kościoła zamkowego sam jeden ku dworcowi pańskiemu, pograżony w myślach czy modlitwie, gdyż rzadko było można Iwona zastać bez modlitwy na ustach...

Leszek wyszedł zaraz naprzeciw niego; wesolą przed chwilą twarz starając się do powagi nastroić. — Powitawszy go jak ojca wiódł do osobnej izby sadząc troskliwie i dopytując czyby nie miał jakiego smutku..., gdy się tak zdawał mu chmurnym.

— Powszedni chleb, — powszedni chleb, — odparł Iwo. — Każdy dzień przynosi złośliwość swoją... Nie ma nic ciężkiego, lecz i pociechy nie wiele...

Trochę ciężaru z ramion zbyt obarczonych, powinniście, ojcze miłośni, zdać na drugich — takby wam lżej było.

— I ja to czuję, — odparł Iwo, — dlatego zmusiłem niemal brata co się był na pustynię cofnął, aby mi do boku stanął. Jest to mąż prawy, a choć długiem odsunięciem się od nas zadomowił i obcym się stał, — rychło on przejrzy i zda się nam bardzo.

— Radbym go widział tego brata waszego, — rzekł Leszek — i mnieby był pożądanym.

— Dziki jest — odpowiedział Biskup — na dworze mu nieswojo; ale przyprowadź go aby się panu pokłonił.

— Tak — co prędzej to lepiej — rzekł książę.

— Tymczasem jednak — kończył Biskup, — myślę go ja wyprawić aby mi dostał języka.

— Zkąd? — spytał ciekawie Leszek.

— Chciałbym wiedzieć czy na wrocławskim dworze, zawsze ku nam toż samo serce mają, jakie mieć się obowiązali — mówił Iwo. — On przejrzy co tam się dzieje...

— Lecz ja nie mam wątpliwości żadnej o sercu księcia Henryka, brata mego ukochanego...

— Ani ja go podejrzewam — rzekł Biskup, — lecz tam już synowie dwaj więcej niż rodzice znaczą, a tych — Bóg jeden wie!

— Tak świętych rodziców dzieci — musieli po nich wziąć cnotę — odparł Leszek...

Biskup zmilczał chwilę.

— Miłośni panie, — szepnął ciszej, — ten którego łaską swą okryłeś, Jaszko Jaska, syn Wojewody, który się tulił przy ojcu... uszedł. — Nie ma go. — Duch w nim niespokojny, lękam się by na który z dworów nie udał się, aby tam, jak niegdyś ojciec, — wicherzyć przeciwko tobie.

Leszek rzucił się niecierpliwie.

— Jaszko uszedł! — powtórzył nieco poruszony, siadając zaraz znowu — mówicie że uszedł?? Jesteście tego pewni?

— Nie ma wątpliwości, pytałem mistrza Andrzeja, — potwierdził tę wiadomość.

— Jaszko uszedł! — powtórzył raz jeszcze Leszek niespokojnie. — Nie obawiam się go, człek jest mały, lecz — przez małych też złe się dzieje, a — któż wie? jam temu winien może!

Biskup spojrział zdziwiony.

— Tak — odparł książę — uczyniłem miłosierdzie połowiczne, gdy trzeba było zrobić całe. Nieczynny siedział, sprzykrzył sobie...

— Ucieczka Jaszka, który najprędzej do Wrocławia, do dawnych ojca przyjaciół mógł się udać, niepokoi mnie — odezwał się Iwo — dlatego chcę na ten dwór Mszczuja wysłać.

Leszek potwierdził pokłonem zdanie Biskupa, nic nie mówiąc — widać było niepokój na nim, długi rękaw swej sukni machinalnie ująwszy, szarpał go patrząc na podłogę.

Iwo otrzymawszy przyzwolenie Leszka — nie chciał męczyć go dłużej, wstał jakby go myślał pożegnać.

Książę zobaczywszy to, uprzedził go i z uszanowaniem ująwszy za ręce obie posadził znowu na krześle.

— Jaszko uszedł! — zamruczał. — Cóż Wojewoda?

To mówiąc bystro spojrział na Biskupa.

— Widziałem go zgryzionym tem, gniewnym na syna — nie posądzam — lecz ojciec musi mieć rodzicielskie serce..., a nam należy czuć...

— Tak! czuć! nieustannie nasłuchiwać, dzień i noc się obawiać, nie mieć jednej niezamężonej godziny — tak! to jest dola tych którym drudzy zazdroszczą! — westchnął Leszek... — O! czemużecie wy mnie nie pozostawili w spokojnym Sandomierzu, na małym udziale, z któregoby mnie nikt nie wypędzał! — dodał z gorzką wymówką. — Tam, byłbym ja i moi by szczęśliwsi byli.

— Dlatego miłościwy panie, tobie szczęścia poskąpiono ażebyś je dał drugim — rzekł Biskup. — Człowiek nie żyje dla siebie — a wy z łaski Bożej przez krew i pochodzenie na tę ofiarę wyznaczeni byliście...

— A Bóg co mnie przeznaczył na ofiarę — dodał Leszek smutnie — nie dał serca twardego aby wszystko co w nie godzi znosiło bez wzruszenia.

— To się zwie ofiarą! — dołożył Iwo...

A mówiąc to poszedł Leszek uściskać... Łzy miał na powiekach księżę.

— Smutna jest dola moja, — szepnął, — ale przykład ojca nauczył mnie ją znosić. — Niech się stanie wola Boża...

— Trapić się zbytnio nie ma czem — rzekł Iwo — miłościwy panie... Nie myślć więc o złem, a ja za was czuć będę.

To mówiąc pobłogosławił i powoli przeprowadzany przez księcia ze dworca powrócił na modlitwę do kościoła.

Świątobliwy Biskup, którego wielka pobożność trzymała ciągle w tym stanie podniesienia ducha, który daje jasnowidzenie przyszłości, był ubłogosławiony proroczym darem i umęczony nim.

To co dla innych było zakrytem, dla niego występowało jasne, czytał w sercach, widział to w ludziach często czego oni sami nieświadomi byli — w tych widzeniach wieszczych przesuwały się przed nim wypadki mające nastąpić w tak żywych obrazach, jakby je już miał przed sobą.

I teraz gdy kraj jeszcze na pozór był spokojnym, a walka Odonicza z Laskonogim i krnąbrność Światopelka zdawały się nie grozić niczem oprócz chwilowego zawikłania, Biskupa Iwona, który miał przeczucia jakiegoś krwawego końca — na chwilę nie opuszczał niepokój aż do gorączki i łez poruszający. Sam sobie wyrzucał brak wiary w Opatrzność Bożą, karciał się jako krnąbrne dziecko, usiłował modlitwą pokonać to zamącenie ducha — a krwawe obrazy ściagały go ciągle.

Od Leszka którego smutek i skarga żywo się w sercu jego odbiły, Biskup poszedł do kościoła, i ukląkł przed ołtarzem na modlitwę, błagając Boga o pokrzepienie i pokój...

Dość długi czas spędziwszy na tem rozmyślaniu łzawem, wstał złożywszy część brzemienia u stóp krzyża i zwrócił się ku dworcowi swemu.

Nigdy Biskup Iwo nie wychodził z domu bez groszy na jałmużnę przeznaczonych. Wiedzieli o tem ubodzy, i jak skoro się ruszył gdziekolwiekby, ściagały go tłumy wszelkiego rodzaju nędzarzy.

Było dlań rozkoszą wielką iść tak powoli, mówić z niemi, pytać i rozdzielać jałmużnę, niektórych wiodąc za sobą do dworca, gdzie zawsze stół dla ubóstwa był gotowy, odzież nagromadzona, przytułek zabezpieczony.

Chorych ztąd odsyłano do szpitala na Prądnik, który już nie starczył biedactwu. Jeżeli po drodze trafił się klasztor, Iwo dzielił się z nim biednemi...

U drzwi kościelnych już nań oczekiwał ten zwykły dwór jego, nazywał bowiem nędzarzy dworakami swemi; a Biskupowi dosyć nań było okiem rzucić aby w nim rozpoznać dobrych znajomych, spotykanych co dnia. Wśród nich, nieco opodał uśmiechała się Pasterzowi twarz i postać osobliwa, która nawet wśród tej gromady łachmanów najpoczarniejszej, odznaczała się szczególnym charakterem.

Był to człowiek stary lecz nie zestarzały, krzepki jeszcze, z głową łysą jak kolano i świecąca a połyskująca na słońcu jakby kościaną była, z wąsami i brodą czarną rozczochraną, z oczyma bez brwi, wielkimi i ruchawemi, ustami szerokimi i wykrzywionemi.

Zebrak ten dobrowolny, niegdyż możny człowiek, pokutnikiem się stał w chwili namiętnego gniewu zabiwszy własną żonę. Gdy ochłonął potem, skrucha go wzięła, i żał okrutny, który mu zmysły pomieszał. Oddawszy dzieciom majątności swe, straciwszy pamięć swego występku, która mu rzadko powracała, Hebda poszedł o kiju na całe życie pokuty, nie chcąc już ani dzieci widzieć, ni progę krwią oblanego domu przestąpić.

Szaleństwo jego było dziwne. Na przemiany wesołe i rozpaczliwe, przytomne i bezmyślne, czyniło ono z niego jakby kilku ludzi odmiennych w jednym mieszkających ciele...

Hebda spędzał niekiedy tygodnie leżąc krzyżem na gołej ziemi, na chłodzie i zimnie u drzwi kościelnych. Słabł czasem tak iż go miłosierni ludzie, mało co żywego podnosić i karmić a poić musieli, aby powrócił do sił. — Napadała go potem wesołość niepomiarowa, szalona, krzykliwa, wśród której odzyskiwał rozum, przenikliwość nadzwyczajną, i złośliwość niemiłosierną. Naówczas wśród rynku, u kościołów zaczepiał ludzi najdostojniejszych wyrazami ostremi, nie szczędząc ich a wyrzucając im na oczy takie występki o których świat albo nie wiedział lub udawał że nie wie... Nie darowanoby mu tego bezkarnie, lecz że za szalonego uchodził — nikt się mścić nad nim nie chciał. Bawiono się tym nielitościwym cynizmem Hebdy, podbudzano go nawet do szyderstwa... Błyski rozumu wcale niespodziewane, wśród nieporządnej i rozpasanej mowy zdumiewały najpoważniejszych.

Lecz u Hebdy i ten rozum i złośliwość tak były pomieszane z niedorzecznościami, iż jednego od drugiego oddzielić było trudno.

Biskup miał szczególną litość nad biednym obłąkanym, codzień gdy chciał Hebda jadał u niego, dostawał grosz jaki, a często na zimę odzienie. Lecz u biedaka wszystko to nie trwało długo, suknie z siebie oddawał lub pozwalał zdzierać innym dziadom, grosz mu wrywano. — Chodził na pół nagi z głową zawsze odkrytą zimą i latem, na mrozie i słońcu, leżał u drzwi kościelnych, na zmarzłej ziemi, i nic mu nie szkodziło...

Dnia tego Hebda, co zdala poznać się dawało, był w napadzie szalonej wesołości. — Usta bezzębne trzymał szeroko roztwarte, oczyma śmiał się, śmiał zmarszczkami wszystkimi twarzy i witał zdala Iwona rękami wywijając...

Pogroził mu Pasterz zdala, aby nie dokazywał — ale to nie wiele pomogło.

Hebda który się włóczył nieustannie po Krakowie i poza miastem, a miał jakby potrzebę kręcenia się ciągłego, gdy nie leżał krzyżem, — był jak najlepiej oświadczony z tem co się działo w mieście, wśród ludzi, po domach, nie było dlań tajemnic. Często on pierwszy wygadał się z czemś co inni dopiero daleko później dojrżeli. Nie było straszniejszego i bystrzejszego oka śpiega od niego — dlatego pozbywano się go odedrzwi rychłą jałmużną, ale nie wszędzie ją przyjmował, i gdzie chciał dokuczyć ztamtąd go żadną siłą odpędzić nie było można. Bicia zdawał się nie czuć — gdy go psami poszczuto stawał, odwracał się do nich, — psy najzjadlejsze wlepiwszy w nie oczy trzymał jak na uwięzi, potem gdy huknął na nie, co one jego miały pędzić, on je odganiał.

Ubodzy zobaczywszy że Iwo patrzy na żebraka, rozstąpili się aby mu do Biskupa dać przystęp, on podszedł, ukląkł, złożył ręce i modlić się przed nim zaczął.

Iwo pobłogosławił go...

— A gdzież twoja opończa com ci ją kazał dać? — zapytał.

— Gdzie opończa! albowi ja jej był wart? — szepleniawo a prędko zaślinionemi usty począł Hebda, — pojechała w świat na lepszych plecach niż moje!!

— Bo ty zawsze odzierać się dajesz! — rzekł Biskup łagodnie — chodźże ze mną. Opada z ciebie lachman, świecisz nagim ciałem... Chodź.

Hebda wstał powoli posłuszny, i jakby o swej nagości nie wiedział, począł się z kolei przypatrywać to nogom, to rękom, to plecocom, i głową potwierdził słowa biskupie.

Iwo tymczasem rozdawał grosze... a wyczerpawszy do dna woreczek który pod rękietą nosił skinął na Hebde. — Chodź!

Wyszli tak sami do wrót zamkowych, — Biskup szedł znowu zadumany. Przesząpili już bramę, gdy na drodze żebrak się przysunął do Iwona. Ręką w powietrzu zrobił taki ruch jak nianki gdy dzieciom ukazują że poleciał ptaszek.

— Fruru! — zawołał — nie ma go! — i rzekł cicho. — Hen! hen!

Ukazując ku północy.

— Kto? co? — zapytał stając Biskup.

— Jaszko miły! Jaszko furknął! — dodał Hebda... — Stałem u wrót do dnia, albo i dnia wówczas nie było jeszcze — gdy go ojciec wyprawiał.

— Co mówisz? — groźno odezwał się Iwo. — Co ci się przywidziało?

Hebda ręką uderzył się po oczach.

— Ja mam kocie oczyska — rzekł, — i najlepiej widzę po nocy. — Ho! ho! patrzałem dobrze, widziałem wszystko. Ściskali się ze starym u wrót, czeladź konie trzymała. — Pozdrowienie komuś przez synała zasyłał. Ej! ej! ojczcie święty, nie trzeba spać!

To powiedziawszy zatulił usta i zamilkł.

— Nie kłamiesz? — odezwał się Iwo surowo.

— Ojczcie święty, grzesznik jestem przeklęty, kłamię czasami ludziom na utrapienie, sobie na mizerne pocieszenie, ale jak jabym mógł kłamać przed tobą, co czytasz we mnie i dobyłbyś ze mnie, choćbym we wnętrzości prawdę skrył?

Prawdę mówię, znają się ojczcie z synem... Jaszka posłał tatulo! Nie trzeba spać.

— Coś rzekł — odezwał się Biskup poważnie — tego nie mów ludziom, nie noś po rynku!

— Ale wam, ojczcie święty — rzekł Hebda schylając się mu do nóg, jak nie miałem mówić?

Nosiłem tę zmięję za pazuchą, kąsała mnie, szukałem was, dopierom znalazł.

Kiwnął głową.

— O ja, głupi człek, gorzej bydlęcica, ojczcie święty — mówił dalej, — nie wiem nic, ciemno ciemno, potem we mnie jasności uderzą wielkie i widzę hen! hen! na wylot przez ludzi i przez ściany, i przez lasy... Co ja winien! dola moja!...

Biskup wysłuchawszy go, jął żegnać.

— Jeżeli w tobie nieczysta siła gości — niech ustąpi z ciebie!! Módl się! módl!!

Hebda złożył rękę spokojnie, głośno zaczął odmawiać — Ojczcie nasz, jakby na dowód że siły tej nie ma w sobie. Przeżegnał się i stał.

Nagle podniósł głowę, zawrócił ją do góry, oczy zmrużył i począł patrzeć w obłoki.

— Tsy! — rzekł — tst! Kruki się nawołują — będzie krew... Sam król kruczy pulki zbiera na żer...

Iwo przeżegnał raz jeszcze, powolnym krokiem zaczął iść ku domowi, Hebda go nie opuszczał. Jak tylko postrzegł że się Biskup oddala, pospieszył za nim.

— Ojczcie święty — począł znowu — tu co trzeci człowiek to zdrajca... Idę ja czasem, idę drogą, ulicą, patrząc... Który czysty to się świeci jak pochodnia, który zdrajny, czarny jak węgiel, a serce mu w środku goreje czerwono. Liczę, liczę, nie mogę zdrajców naliczyć...

— Kogóż oni zdradzać mają? — powolnie z litością zapytał Biskup.

— Albo ja wiem? — rzekł Hebda... — to tylko Bogu wiadomo — ale zdrajcy... Marek Wojewoda zdrajca, Jaszko zdrajca, ich przyjacioly czarni, psy ich czarne, konie czarne... wszystko czarne... Ja czasem widzę to, a czasem nie widzę nic... bom grzesznik przeklęty...

— Módl się! — rzekł Biskup.

— Czasem modlę się aż płaczę krwią i plwam krwią i jęczę krwią, — mówił Hebda — a czasem gęba mi zarośnie, piersi mi się ścisną, serce zmarznie — i nie mogę...

Z litością wielką Iwo odwróciwszy się doń, szeptał modlitwę, której Hebda ze złożonymi słuchał rękami. Szli znów dalej.

Lecz już dwór biskupi był na widoku, żebrak ludzi u wrót zamkowych więcej się może lękając niż Biskupa, począł się cofać i iść za nim w pewnym oddaleniu.

U wrót nowy tłum żebraczy czekał na powracającego Pasterza, a ujrawszy go wszystka ta gawiedź jęczeć zaczęła i modlić się, a zawodzić najdziwniejszemi głosami, najniesforniejszemi. — Służba chciała odpędzać, lecz Biskup dał znak... — zostawiono ich w pokoju...

Hebda nieśmiało wkroczył za swym przewodnikiem aż do wrót, za próg i wkrótce potem wyszedł napowrót okryty szarą opończą, którą rozwiesił szeroko na ramionach, nadąwszy się pysznie, stąpał tak pociesznie, iż żebracze jęki w śmiech się zmieniły...

Głos ten jakby w większą jeszcze dumę wbił Hebdę, podniósł do góry głowę i krzyknął.

— Precz z drogi kiedy pan idzie! hołysz! Won ścierwa śmierzące... Jam dziś pan!!...

Rozśmiał się sam, popatrzył na opończę i powłókł wywijając kijem młyńca...

W dworcu czekał na brata Waligóra, wcale dziś inaczej już przybrany niż gdy wyruszył z Białej Góry. Suknię miał długą futrem bramowaną, pas błyszczący z mieczem u boku, nóż u pasa, kołpak w rękę, i buty ze spiczastymi do góry zawróconymi nosami,

jakie podówczas nosili wszyscy koło dworu i w mieście... Patrzącym nań zdala wrażał mimowolne uszanowanie i postrach jakiś. Ktoby o nim nie wiedział że był tym siłaczem sławnym, w twarzyby mu przeczytał, iż mąż był nieulekniomy i serca wielkiego... Tak jak przed świętością wzroku brata jego Iwona trwożyły się serca nieczyste, przed siłą jego czystego wejrzenia, mięszali się ludzie słabsi. Stał też wśród nagromadzonych duchownych i świeckich którzy na Biskupa oczekiwali, odosobniony, sam do innych nie spiesząc, a drudzy doń nie śmiejąc...

Iwo ujrawszy go, wnet się doń zbliżył z miłością wielką... Uściskał go wskazując mu komorę w której się zwykł był modlić i poufalszych przyjmować, a tymczasem gości swych witać zaczął.

Mszczuj czekał nań cierpliwie... Posłuchanie wszakże nie trwało zbyt długo; Iwo płaszczyk z ramion zrzuciwszy, pospieszył do brata.

— Z zamku wracam, księciu się pokłonić ci trzeba, — rzekł. — Wie o was...

Mszczuj tylko się po szerokiej piersi dłonią uderzył.

— Potem w drogę, bracie miły — kończył Biskup, — potrzeba jest wielka widzieć jasno...

Przeszedł się po komorze niespokojny.

— Wiesz, — rzekł — gdy Bóg łaskaw, ciemności dają światło, szaleni dają rady rozumne. — Po drodze naszedłem żebraka, tego nieszczęsnego Hebdę. Powiedział mi że na oczy swe widział gdy Marek syna wyprawiał... Knują więc zradę...

— Dokąd go posłał? jasna rzecz na ten dwór, w którym on sam miał opiekę, do Henryka... Tamci jechać potrzeba, i uznać prawdę.

— Nie mogliście mi wstrętniejszego wybrać błota do zanurzenia się w niem, nad tę niemczyzny kałużę — odparł gorąco Waligóra. — Na samą myśl dusza się wzdraga...

— Bracie! bracie! nie bluźnij — rzekł Biskup. — Niemiecki dwór to prawda, ależ ludzie pobożni, w sercach ich Bóg mieszka, niewiasta święta, mąż jej godzien...

— A przecie pod Kraków szedł! — rzekł Mszczuj.

— Toć nic, grzech ten zmazał, — odezwał się Iwo, — a wierzaj mi, trudniej jest z grzechu powstać niż w cnocie trwać... Najdroższą owieczkę co się od trzody zbłąkała, sam Chrystus bierze na ramiona. Henryk dał się uwieść namowom Marka — ludzka była ułomność, ale się opamiętał i poprawił — to anielska...

— Żona i on Niemców wiodą na Szląsko... naszym tam nie pokazać nosa, ja się moim językiem nie rozmówię z niemi, a wprzód mi on uschnie nim się niemieckim splugawi.

— Bracie! — zawołał Iwo — grzech to jest!!

Mszczuj zamilkł i namarszczył się.

— Z tego się nie poprawię — mruknął.

— Z księciem Henrykiem rozmówisz się, — z synem jego ulubionym co imię toż samo nosi i ze dworem jego polskim, łącznie się zrozumiesz a księżnej owej świętej pokutnicy pewnie widzieć ci nie przyjdzie, bo ona z mężem nie żyje i w Trzebnicy siedzi...

Mszczuj milczał już nie przeciwiąc się.

— Czyń ofiarę chętną — dodał Iwo. — Serce mam trwożne! Na jawie i we śnie widzę czyhających na tego dobrego pana, który nic nie widzi, gdy co ujrzy niepomiernie się trwoży, a jest w duchu czysty i serca anielskiego... Niechby oczy moje nie patrzyły na to co serce przeczuwa! Czyńmy co w ludzkiej mocy, by od niego nieszczęście odwrócić...

— Wy więcej pewnie widzicie odemnie ślepego — odparł Mszczuj, — wierzę w to niebezpieczeństwo którego dojrzeć nie mogę. — Więc pocóż rozmyślać długo? Panem jest, niech zwoła nas, niech zbierze rycerstwo, niech się każe stawić bratu, niech powoła Ślązaków, idźmy przeciw tej groźbie i stłuczmy ją na miazgę.

— Rada żołnierska — rzekł Biskup, — ale patrz. — Konrad Mazowiecki nie pójdzie, bo mu sił nie staje na obronę od Prusaków, Ślązacy nie zechcą — samych nas mało... Nie wojskiem ale powagą rozbić ich trzeba, postrachem!! Ułękna się gdy ujrzą nas czujnych, — pomięszamy im szyki.

Wreście Leszek jak ojciec jego, nie dobędzie oręża, dopóki powołany nie zostanie jawnym wystąpieniem. Rycerzem jest mocnym, lecz krwi rozlewem się brzydzi.

Będzieli wojna konieczną, — westchnął Biskup — pójdziemy w imię Boże... Tyś nas nauczyć powinien czy ona nieuchronną. — Jedź a powracaj!

Z wezbranej piersi Mszczuja dobył się oddech ciężki.

— Jamci posłuszny, — rzekł — lecz zaprawdę gorszego posła wybrać nie mogłeś...

— Mylisz się — odparł łagodnie Biskup. — Wstrętni ci są?? łatwiej dojrzysz w nich zdradę, jeżeli jest, bo cię nie złudzą.

— Oni! mnie! — wykrzyknął Waligóra. — Ani nawet ta ich świętość niemiecka, którą wy szanujecie, nie zniewoli mnie do miłości ku nim...

Szmer w pierwszej izbie przerwał rozmowę. — Biskup ku drzwiom zwrócił głowę, szybko podszedł ku bratu, — począł po cichu serdecznymi go rozbrajać słowy, wśród których ciągle powtarzało się. — Jedź... Waligóra natarczywością tą złamany, nie śmiał się już sprzeciwiać... Uścisnęli się po trzykroć... Mszczuj spojrzal ku drzwiom za którymi stał znowu cały zastęp oczekujących i wymknął się małym wyjściem bocznym z komnaty.

IX

Na drodze z Krakowa do Wrocławia, w gęstym lesie, o wieczornej godzinie, rozlegały się krzyki niewieście i głosy męzkie zapalczywe a namiętne... Słychać wśród nich było szczęk broni, jakby już do boju przyszło, i koni rzenie i tentent głuchy...

Wśród ciszy i uspokojenia wieczornego lasów, wrzawa ta rozlegała się i szła daleko... tak że w znacznej odległości jadący orszak męzki ją posłyszał.

Składał się on z przeszło dwudziestu koni, ludzi dobrze zbrojnych i ubranych dostatnio. Na czele jego jechał na ciężkim i silnym siwoszu mąż ogromnego wzrostu, pod którego ciężarem zdawał się koń uginać. Gdy krzyk doszedł do uszów jego, brwi mu się ściągnęły strasznie, drgnął cały, ręka mimowolnie sięgnęła po oręż wiszący u boku.

Słuchał krótką chwilę, potem nie oglądając się na poczet który za nim ciągnął, nie dawszy ludziom znaku żadnego, żgnął konia, który z nozdrzami rozdętymi w czwał z kopyta się rzucił i jak piorun popędził drogą w stronę z której krzyki się słyszeć dawały.

Orszak towarzyszący mu, w początku niepewien co ma zrobić z sobą, przystał nieco, ale konie rozumniejsze niż ludzie szarpać się zaczęły za siwoszem, utrzymać ich nie było podobna, i bezmyślnie, nie radząc się wszyscy rzucili się za wodzem swoim. Stało się w szeregach zamieszanie, ci co z tyłu stali a dzielniejsze mieli konie, wyskoczyli naprzód, drudzy zostali z tyłu, obalił się jeden z rumakiem, drugi rznął o drzewo aż jeździec zleciał z siodła — reszta gnała za panem, po drodze mając się do mieczów...

Gdy na siwym koniu ów olbrzymi mąż dopadł miejsca, z którego krzyki go docho-dziły, ujrzał kupkę ściśniętą rycerskich ludzi, a wpośród nich kilka kobiet na koniach — napadniętych przez jakąś gromadę zbójów pół pieszą, pół jezdną, lichy zbrojną, odartą, ale liczniejszą od tych których napastowali.

Byli to leśni łotry, jakich się po gościńcach pełno włóczyło, czatujących na kupców i podróżnych. Rycerska garść ludzi broniła się mężnie, lecz zbóje też śmiało następowa-li, chwytając konie za uzdy, a pałkami wałąc po zbrojach... Kobiety w środku stojąc w niebogłosy krzyczały...

Wśród zapalczywego tego zapasu, ani posłyszeli zbóje gdy siwy koń i mąż wpadł na nich nagle, i pierwszego który mu się nawinął ciął w łeb tak że padł nie drgnawszy, krew tylko trysnęła na wsze strony...

Nim napastnicy opatrzili się że przeciw nim odsiecz przybyła, już ów siłacz dwu z nich położył trupem, a trzeciego koń jego chwycił za grzbiet zębami. Tuż cały orszak nadbiegał z dobytymi mieczami i okrzykiem, tak że łotry postrzegłszy przemagającą siłę, myśleli tylko jak ująć pomsty... Zamieszanie stało się straszne, bo z dwu stron objęte zbóje wściekle już życia swego bronili... Padali jak porażeni krwią się brocząc, i wprędce trupami i rannymi dokoła ziemia była usłana i ledwie który z napastników z życiem się wymknął.

Garstka rycerzy wśród której znajdowały się dwie kobiety i niebezpieczeństwem i bo-jem wprawiona w szal jakiś i wściekłość, nie mogła się jeszcze pohamować i znęcała nad rannymi i trupami... Mąż na siwym koniu, który na ratunek nadbiegł, był to Mszczuj Waligóra. — Ten dawno już swój miecz okrwawiony otarłszy o płaszcz połę, do pochew schował i stał nad trupami w postawie zwycięzcy, który nie wiele ceni czyn dokonany, i ma go za rzecz powszednią. Twarz miał uspokojoną znowu, poważną, a choć wiek odjął jej urok młodości, miała jeszcze blask jakiś życia, który ją zastępował.

Ku niemu i jego towarzyszom zwrócili się teraz mowa i oczy tych, których Mszczuj ocalił od śmierci i rabunku...

Lecz Waligóra zasłyszawszy rycerzy mówiących nienawistnym sobie niemieckim językiem, stał niemy, zimny, jakby nie słyszał nic.

Dwie kobiety, które jęczały w pośrodku zaczęły też błogosławić mu i dziękować. Jedna z nich starsza, miała na sobie ubiór cały czarny, ciemną zasłonę, płaszcz gruby wełniany, i wyglądała jak zakonnica. Oblicze jej blade, cera żółkła, jakby tych kwiatów które słońca nie widzą, powiadała iż musiała długo siedzieć w zamknięciu, wśród murów. Rysy twarzy, choć zwiędłe miały wyraz jaki nadaje wielkie rozgorzenie ducha. Błyszczał on w jej wielkich oczach czarnych, rozumnych, nakazujących poszanowanie, w ustach wąskich a ściągniętych jakby siłą woli, w sklepieniu skroni, którą marszczki lekkie myślami porały.

Strach spotęgował jeszcze charakter tej twarzy, z której bliskość męczeństwa i śmierci wydobyła religijny jakiś zachwyt... Teraz jakby ze snu wychodząc tarła białą wychudłą dłonią skroń bladą... patrzyła w koło — a wzrok jej zdumiony zatrzymał się na majestatycznej postaci milczącego Waligóry — który czekał obojętny aż się jego orszak z rannemi lotrami rozprawi...

Druga z kobiet młodsza daleko, lecz już zaczynająca przekwitać po pierwszej wiosnie, twarzyczkę miała rysów delikatnych, piękności wielkiej, ujmującej, a zupełnie różnej od pospolitych na północy. — Czarne jej oczy zapadłe nieco brunatnym otoczone cieniem, przysłaniała powieka z długimi rzęsy czarnymi, brwi nad niemi zarysowane silnie, były też kruczo czarne; cera nieco brunatna, małe usta smutne, owal twarzy dziwnie regularny — czyniły ją szlachetnie i anielsko piękną. Nic też namiętnego, ziemskiego nie psuło harmonii tych linii spokojnych, których przestrasz nawet nie zdołał skrzywić i połamać; nadał im tylko jeszcze bardziej porywający wyraz niedoli...

Młodsza ta pani, odziana była szaro, choć płaszcz także miała czarny, i strój jej staranniejszy więcej świeckie niewiasty dworu książęcego przypominał. Kilka klamerek i łańcuchów złotych widać było na jej piersi i ręku...

Waligóra który w nią się wpatrzył bacznie, bo mu te rysy przypominały kobiety w młodości widziane, gdy z bratem na naukach był w Paryżu — uczuł się może wspomnieniami temi, czy jakąś litością pociągnięty ku niej. Przyczyniało się do tego, że wśród tej gromadki ona jedna nie zdawała mu się Niemką...

Z dziwnem uczuciem począł się jej przypatrywać... tęsknił za córkami, może za towarzystwem niewieścim, czegoś mu dawno do złamanego życia brakło. — Ta kobieta budziła w nim zastygłe jakieś uczucia...

I ona też z zajęciem wielkiem patrzyła na poważnego męża... który na wszystkie podziękowania i pokłony Niemców, ledwie pogardliwym skinieniem głowy odpowiadał. Sądząc z tego że i jej nie zrozumie, niewiasta ochłonawszy nieco, dobyte białą rączkę z pod płaszcza i ruchem jej zaczęła zbawcy dziękować, przykładając ją do serca. — Uśmiechnęły się blade jej usta tak wdzięcznie a smutnie, iż Mszczuj uczuł litość wielką nad nią. A gdy zobaczył że w tej chwili, siły ją opuszczały, i zdało się że z siodła zsunie się na ziemię, — bo twarz bladością się powlokła trupią, skoczył sam z siwego, aby ją chwycić i nie dając spaść — złożył powoli na ziemi.

Stało się to w mgnieniu oka, a Mszczuj sam nie wiedział jak z konia zerwał się i dopadł do niej, gdy już się na kark koniowi słońiła.

Ujrzawszy to starsza niewiasta przestraszona niezmiernie, nie tyle omdleniem towarzyski co ratunkiem, który się jej niebezpiecznym wydawał, co rychlej zsiadła także biegnąc do omdlełej towarzyski...

Z fłaszczki którą miała u pasa przy torebce, poczęła uklęknawszy płynem jakimś nacierać jej skronie. Mszczuj który na krok odstąpił, posłyszał ją, jak tylko zemdlona oczy otworzyła, przemawiając do niej ale nie mową niemiecką. Dźwięczały w niej znane mu dawniej brzmienia południowych języków Włoch i Galii, — choć popsute niemiecką wymową.

Ucieszył się tem wielce... że się na pierwsze nie omylił wejrzenie i że niewiasta, która w nim obudziła litość nie należała do znenawidzonego plemienia.

Choć przez lata długie Waligóra języków tych, niegdyś sobie dobrze znanych, nie używał, przyszyły mu one teraz nagle na pamięć jakby z ukrycia jakiego, wstając całe i nie-naruszone...

Mógł się więc bez grzechu rozmówić.

Tym samym językiem Południa, odezwał się do starszej niewiasty, iż kilka kropel wina nie zaszkodziłoby osłabionym trwogą. To mówiąc podał jej flaszkę i kubek które miał na sobie, bo mu je Biskup na podróż wziąć kazał.

Usłyszawszy dźwięk tej mowy niewiasta, która oczy powoli otwierała, podniosła nieco głowę i piękne oczy czarne zwróciła ze zdumieniem z radością pomięszanem ku Mszczujowi. Powtórnie małe jej usta rozjaśnił półśmiech smutny i szepnęła głosem w którym czuć było powracającą nadzieję jakąś.

— Któż wy jesteście co tę mowę znacie? I wy tu obcy?

Mszczuja przejął głos prawie dziecięcy, słodki, — pieszczotliwy.

— Nie, jam tutejszy ziemianin, — rzekł, — alem w młodości po świecie bywał — i coś mi w pamięci zostało! — rzekł powoli.

Starsza niewiasta gdy mówił ciekawe oczy wlepiła w niego, — jakiś niepokój w nich się odbijał...

Przebaknęła coś po niemiecku, Mszczuj zmarszczył się i potrząsł głową, dając jej szorstko poznać że tej mowy słuchać nie chce.

— Zkądże wy tutaj? — zapytał powstającej z ziemi z pomocą starszej niewiasty.

Nie dając jej odpowiedzieć, starsza odparła językiem łamanym.

— Jechaliśmy do ks. Jadwigi do Wrocławia; — wy, szlachetny panie ocaliliście nas, jeśli nie od śmierci, to od wielkiego niebezpieczeństwa. Księżna nasza wdzięczną wam będzie... Chciejcie nam powiedzieć o sobie, abyśmy wiedziały komuśmy wdzięczność winny tak wielką.

— A! — odparł Mszczuj patrząc na młodszą, która go z wielkim słuchała zajęciem — mała to rzecz... Nie trudno było tych łotrów przepędzić. Wdzięczność winniście Opatrzności, która mnie tu wczas przyniosła. Ja także jadę do Wrocławia — a że lasy i drogi u nas niepewne, będę wam dla bezpieczeństwa towarzyszył zdale.

— Niech wam Bóg to nagrodzi! — zawołała starsza składając ręce... — modlić się za was będziemy!!

Gdy się to działo już ludzie Waligóry na wspólnie z Niemcami uprzętnęli byli drogę, nie troszcząc się o trupy, które precz poodrzucano. Rannych nie było brać po co, i Niemcy ich podobając chcieli, gdy Waligóra na przekorę im, nie dopuścił tego okrucieństwa, rozkazując swym ludziom do drzew ich przywiązywać...

Nie wielkie to było miłosierdzie, bo nierychło się spodziewać mogli, by zbiegli towarzysze przyszli na ratunek, a mogli z ran i głodu, mrzeć w męczarniach, lecz litości też nie byli warci...

Niemcy ich mrucząc poodzierali jeszcze ze wszystkiego co się im na coś przydać mogło. Ponieważ dosyć czasu na bój i na przygotowanie się do dalszej podróży po nim, zeszło, bo wielu siodła, suknie i zbroje potrzebowało poprawiać, a niektórzy z Niemców ranni byli, już pod zmierzch ruszyli się wszyscy szukać noclegu...

Przodem szła kupka Niemców, za nimi jechały dwie niewiasty — Mszczuj potem i cały orszak jego, w małym od pana oddaleniu. Mógł więc Waligóra mówić po drodze z towarzyszkami, lecz gdy pytać zaczął je, młodszą zwróciła się ku niemu, spojrzęła nań i zdało mu się jakby chciała dać poznać że przy starszej choćby życzyła odpowiadać się boi. Zdumiał się temu Mszczuj — dorozumiewając iż młodszą nie bardzo może chętnie jechała na dwór ks. Jadwigi. Twarz jej i teraz wcale nie okazywała radości zbytnej. Wejrzenia które na towarzyszkę rzucała, były bojaźliwe i ukradkowe...

Zaprzestał więc Mszczuj badać, a wkrótce potem usłyszał jak starsza z podróżnych, rozpoczęła pół głosem, pół śpiewem modlitwę, której młodszą ciszej wtórowała.

Wieczór coraz się stawał ciemniejszy, niebo okryło się chmurami gęstymi, las ciągle otaczał drogę wijącą się nim, to gęsty i podszyty, to przerzedzony, lecz zawsze w daleką głąb sięgający, tak że pół i łąk prawie nie było... Pagórek czasem odsłonił się łysy nieco, ale i na nim leżały od wiatru powalone kłody i strzelały latorośle nowe...

Gospody którą Niemcy obiecywali, ani wsi żadnej, ni chaty widać nie było. Mszczuj miał wprawdzie namiotik podróżny, a mógł i w szałasie spocząć, lecz Wrocławianie do gospody dla jada i koni choć nocą ciągnęli, a Waligóra nie chciał uratowanych opuścić.

Ciemność pospieszyć nie dawała, jechali wszyscy w milczeniu głuchem, które tylko mruczenie modlitw i pobrząkiwanie oręży i ryszunku koni przerywały. Czas wydawał się długim...

Północ być już mogła, gdy naostatek Niemcy się odezwali iż światło postrzegli i gospoda stała w niewielkim oddaleniu. Las się przerzedzał...

Światło nie z domostwa widać było, ale od obozowisk które dokoła jego porozkładali podróżni. Noclegowała u gospody kupiecka jakaś karawana z wozami, i różni wędrowcy, każdy swym dworem, małe ogniska porozpalawszy. Jak tylko zdala tentent koni nadciągających dał się słyszeć w uśpionych już obozach ruszyły się strażę, zapłonęły jaśniejsze ognie... śpiący nawet powstawali z obawy jakiej napaści nocnej.

Wnet dokoła odezwały się hasła i pytania — a Waligóra ze zgrozą przekonał się iż wszyscy ci podróżni Niemcy być musieli. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi, po których uspokajając się zaczęto...

Do gospody skoczył zaraz Niemiec szukać dla niewiast przytułku, gotów nawet powyrzucać tych co go zajęli; lecz dla nikogo tam miejsca nie było, bo oprócz szopy i mizernej lepianki przy niej w której piwo szynkowano, nic nie znaleźli.

Pod szopą stało trochę koni... Dla dwóch więc podróżnych, które w płaszczach jak stały na ziemi się spocząć ofiarowały, podesłano sukna i kobierce, otoczono je dokoła, a nieopodal Mszczuj ze swemi ludźmi rozkładać się począł. Sam już nie chcąc się narzucać niewiastom, przez komornika namiot im swój posłał aby je trochę od chłodu osłonił, nie potrzebując go dla siebie, bo na wszystko był wytrwałym. Dla starszej Niemkini byłby pewnie nie uczynił tej ofiary, lecz żal mu było czarnoookiej, smętnej Włoszki czy Francuzki...

Noc to była niespokojna, i tylko najmocniej znużeni, mogli zasnąć ległszy wśród koni, które się odrywały, rzucały, i ludzi co na nie krzyczeli, wśród straży przechadzających się, dymu który wiatr z ognisk pędził, to gasnących to podkładanych stosów drzewa, utrzymywanych do dnia... i wichru, który po północy dąć zaczął... Z każdej gromady ktoś czuwać musiał, bo nadedniem ruszać się zaczęli podróżni, a ci mogli swoje i cudze wziąć w drogę z sobą.

Kłótnie i wrzawa z brzaskiem poczęte, nie ustawały już do dnia. Jesienny dzień obiecywał się chmurny i posępny. Pod namiotem zaczął się od modlitw, z którymi obie niewiasty na konie siadły. Młodsza zwróciła się jakby oczyma szukając Mszczuja, którego gdy dostrzegła prędko znów zbliżyła się do starszej towarzyszki. W drodze okazywała ona dla niej i uszanowanie pewne i razem wyższość nad nią, bo starsza wydawała rozkazy, odzywała się do ludzi, i przywoływała ich do siebie, nie pytając o nic milczącej młodszej.

Ta jechała z głową spuszczoną, obojętna na wszystko. — Zbliżanie się do celu podróży, nietylko się jej nie zdawało pocieszać, lecz niemal sądzić mógł Mszczuj, iż ją coraz bardziej niepokoiło...

Okolo południa trafili jadąc na osadę niewielką, przy której drewniany stał kościółek, a że tu koniom popasać było potrzeba, starsza zażądała pójść się pomodlić... Mszczuj zdala niedobrze słysząc, miarkował iż młodsza znużeniem się wymawiając, chciała pozostać dla spoczynku. Zostawiać ją samą niebardzo sobie życzyła tamta i po długich szeptach i namowach, nierychło ku kościółkowi się puściła.

Waligóra, który się nieco dalej rozłożył z ludźmi, po odejściu jej, wiedziony ciekawością, której się nie chciał opierać, zbliżył się zwolna ku miejscu, gdzie młodsza podróżna pod daszkiem do ściany się przytuliwszy siadła... Spozrzęła go zaraz, a że nie okazała wcale by unikać go chciała, Mszczuj zbliżył się śmiejąc.

Niemcy na boku jadło sobie przygotowywali — mógł więc rozpocząć rozmowę i odezwał się że noc była bez spoczynku... i pewnie pilno im być musiało dojechać do Wrocławia.

— A! miły panie — rzekła głosem łagodnym smutna niewiasta — spoczynku pragnę dawno, lecz czyż wiem jaki mnie tam czeka!! Jestem jak widzicie, z dalekiego innego kraju — tu mi wszystko obce i straszne. Inny obyczaj, niebo i ludzie...

— A cóż was tu zagnało? — spytał Mszczuj litościwie.

— Sieroctwo moje — rzekła niewiasta. — Nie miałam ojca i matki, bo ta zmarła w mojem dzieciństwie, a ojciec zginął w jednej z wypraw krzyżowych. Wychowywała mnie przez miłosierdzie siostra tej księżnej, która teraz przez pamięć dla królowej Agnieszki z Meranu, zażądała mnie wziąć do siebie... Nazywam się Bianka, miej, szlachetny mężu, litość nademną.

To mówiąc łzy szybko otarła.

— Mówią o księżnie Jadwidze iż litościwą, dobrą jest i pobożną — rzekł Mszczuj pocieszając sierotę.

— Pobożną, bardzo pobożną jest i świętą, i litościwą dla biednych, ale dla siebie okrutną i nielitościwą dla tych których kocha, bo jedno tylko szczęście zna dla siebie i dla nich — w męczeństwie!!

Mnie sierotę czeka przy tej pani klasztor i życie grobowe... a ja — a mnie Bóg do niego nie stworzył!...

Dokończyła łzawo i cicho.

Mszczuj uczuł się poruszonym. Te wyznania tak nagle i szczerze dowodziły wielkiej obawy i wstrętu jakiego sierota doznawała, na samą myśl zagrzebania się w klasztorze...

— Siłą przecież zmuszać was nie będą do życia, którego nie chcecie — odezwał się.

— A cóż ja pocznę? gdzie się podzieję, jeżeli na gniew i niełaskę mej jedynej opiekunki zasłużę? — mówiła Bianka. — Słyszeliście może o nieszczęśliwym losie tej co mnie wychowała... była królową i została wygnanką... Zmarła z łez gorzkich które polykać musiała... Miałam przytułek przy niej, potem zostałam bez opieki... Pobożna ks. Jadwiga słała po mnie... nierychło znaleziono mnie, u nowych państwa którym służyłam na dworze, i gdzie ciężkie miałam życie. Zdało mi się to ocaleniem...

Siostra Anna, pół zakonnica którą przysłano po mnie, tyle mi naopowiadała o księżnie przez drogę, że mnie nabawiła trwogą...

A! tam gdzie żyła, choć mi nieraz gorzko płynęły godziny, trochę było swobody, powietrza i choć cudzego wesela, a tam! tam... wśród tych murów... przy tej surowej pani...

Bianka płacząc mówiła żywo, i sama się temi skargami upajając, coraz więcej okazywała trwogi i niepokoju.

Spoglądała na Mszczuja, jakby błagała jego litości i opieki. Na Waligórze to opowiadanie przerywane łzami, czyniło wrażenie silne, któremu on sam się w duszy dziwił. Przez długie lata od śmierci żony, nie widywał on prawie niewiast, oprócz swych dzieci. Dwór składał się z prostych wieśniaczek...

Piękność tej sieroty, jej smutek, obawy, — los który ją czekał zaczynały go jakby nowym czynić człowiekiem. Zapomniał za czem jechał — kim był... Wieku swojego nie pamiętał, poruszało mu się serce gwałtownie...

Wstrzymywał się jednak wstydem jakimś i rozumem, od tego co mu się po głowie snuło...

— Nasłuchałem się ja w Krakowie już, — rzekł — o wielkiej pobożności ks. Jadwigi..., wszyscy ją jednak powiadają świętą, pobożną i miłosierną... Nie trwożcie się tak.

— Ale siostra Anna, co zemną jedzie, zna ją lepiej niż wszyscy, bo na jej dworze i przy niej cały wiek przeżyła. Z niej ja widzę co mnie czeka. Przez drogę całą przysposabiła mnie do tego szczęścia klasztornego, którego ja się boję... Księżna Jadwiga chodzi we włosiennicy, opasuje się paskiem żelaznym, boso w zimie spędza nocy na modlitwie... Krwawe dyscypliny całuje..., a dla Boga wyrzekła się męża i dzieci... Bądź ja mieć siły aby pójść w jej ślady??

Mnie jeszcze w uchu i sercu brzmią piosnki Południa, ja pamiętam szczęśliwe dni dzieciństwa, gdy Agnieszka była królową, a ja jej dzieckiem, wprzód niż swoje miała dzieci... Nieraz król Filip August kołysał mnie na kolanach, — ten wielki mocarz, rycerz, co tyle dla mej przybranej matki wycierpiał...!!

Bianka płakała, Mszczuj zadumany stał i patrzył...

— Choćby człowiek chciał — odezwał się cicho — jak tu ratować was. Jesteście w mocy opiekunki waszej.

— Jestem sierotą! — powtórzyła cicho Bianka spoglądając na Waligórę, tak jak tonący na deskę któryby mu mogła pomóc do ocalenia. Z całą gorącością dziecka Południa wyzywała starego rycerza na ratunek... Trwoga czyniła ją śmiałą, zuchwałą.

Nie mówiąc nic zdawała się oczyma błagać.

— Weźmij mnie i uczyni co chcesz zemną, a ocal od niewoli...

Waligóra spojrział ku kościółkowi, czy starsza nie powracała, ale nie widać jej było. Stał więc niepewny co ma powiedzieć, jak pocieszyć — a litość go zdejmowała coraz większa.

— Siostra Anna, jak jej pani, — mówiła cicho Bianka — świętą jest niewiastą. Żyje tylko w Bogu... Kiedym jej chciała uzalić się z tęsknicą moją, ona mi przyszłość malowała za grobem... Otwierała mi grób abym w nim szukała zapomnienia — a ja jeszcze spodziewałam się i pragnęłam życia... lepszego niż te którym znała...

Ja drzę i boję się grobu...

— Nie może to być — począł wzruszony Mszczuj, — żeby wam czasu nie dano do namysłu, a gdy poprosicie by was na świecie nie zostawiono. Na dworze młodych książąt siła rycerzy jest, którzy was pewnie chętnie zechcą ratować!

Bianka niedowierzająco potrząsała głową i patrzyła na Mszczuja...

— Gdyście w lesie przyszli nam na pomoc — rzekła — wiecie co mi się zdało? Że to Bóg was zsyła abyście mnie z ich rąk wyrwali!! Jeszcze teraz myślę że wy mi opiekunem być powinniście...

Waligóra zachnął się jak rażony temi słowy.

— Alem ja stary — odparł — i córki mam dorosłe... Cóż wam po mnie...

— Córkom waszym służyć będę! o! najcięższe spełniać usługi... byle nie być zamkniętą w więzieniu...

Waligóra spuścił w dół oczy.

— Gdybym chciał — mruknął — jakże was mogę wziąć z tego dworu? Siłą! toć mi nie dadzą, bo są mocniejsi...

— Przecie rycerzem jesteś? — odparła Bianka żywo. — Wiecie prawo rycerskie że w pomoc słabszemu przyjdź — obowiązek. A któż biedniejszy i słabszy być może nade mnie?

Wyciągnęła doń dwie białe ręce, Mszczuj stał jak w ziemię wbity, postrzegł właśnie iż Niemcy ciekawie się przypatrywali, bo pewno nie rozumieli, rozmowy jego z Bianką, wzbudzała w nich jednak ciekawość — byli jakoś niespokojni. A i z kościoła też widział wychodzącą w płaszczu czarnym siostrę Annę. Za całą odpowiedź więc — rzekł krótko.

— Siostra Anna powraca, we Wrocławiu postaram się widzieć was i mówić z wami. Da-li się co uczynić — zrobię chętnie, bo mi was srodze żal! Srodze żal...

Bianka nie zważając na swą straż obie ręce przyłożyła do piersi na znak wdzięczności. — Waligóra oddalił się szybko.

Niemcy postrzegłszy powracającą siostrę Annę powstawali z ziemi, jeden z nich poszedł naprzeciw niej.

— Miłościwa pani — rzekł — wasza towarzyszka długą jakąś miała rozmowę z Krakowianinem... Gadali bardzo żywo...

Niemiec twarz wykrzywił.

— Nie zda się ona wam do klasztoru! — dodał — jej pono co innego w głowie!

Siostra Anna zmarszczyła się i dała znak ręką mówiącemu aby przestał. Umilkł posłuszny. Przyspieszyła kroku i oczyma badającymi rzuciła na zapłakaną swą towarzyszkę...

— Widziałam zdała — odezwała się surowo, — że was tu ten stary zabawiał. Nie przystało wam, tak z mężczyznami obcować, bo są wszyscy, i starzy nawet, zwodnicy złośliwi... Czemuście go nie odprawili?

— Bo mnie pytał o moje życie, a ma do tego prawo, kiedy nam je ocalił — odezwała się Bianka głosem nieco śmielszym. — Cóż w tem złego!

— Dobrze to nie jest! Lepsze były pacierze! — poczęła sucho siostra Anna. — Wy powinniście się sposobić do tego szczęścia co was czeka — a nie może być większe, gdy święta pani chce was uczynić współuczestniczką swojej świątobliwości i szczęścia swego. Trzeba o przeszłości i płochości zapomnieć...

Westchnęła siostra Anna.

— Widać że ja niegodna łaski Bożej i do serca waszego przemówić nie umiem — rzekła, — kiedy tak długi czas obcując z wami, natchnąć was nie umiałam lepszym

duchem... Lecz, czego ja nie zdołałam uczynić miesiącami, święta pani dokáže jednym wejrzeniem, słowem jednym... To co was dziś trwoży, szczęściem się wyda...

Bianka zamilkła, konie przysposabiano do dalszej podróży...

Od tej chwili już siostra Anna, powziawszy jakieś podejrzenie, ani na krok nie odstępowała Bianki, ni też zdała się widzieć i chcieć znać Mszczuja, który wciąż jechał za niemi.

Pomimo tej pilności starszej towarzyszki, sierota znajdowała zawsze jakiś sposób przypomnienia się staremu, spojżenia nań ukradkiem, rzucenia mu uśmiechu, dania znaku. — Im się bardziej zbliżali do Wrocławia, tem trwoga w biednej wygnance rosła. Mszczuj też mniej teraz o swej przygodzie i o niej rozmyślał, bo się dlań zbliżała ciężka godzina, stawienia się na tym dworze, dla którego może ze wszystkich ówczesnych, wstręt miał największy.

Tędy mu płynęli na Ślązko owi nienawistni Niemcy, których już po drodze spotykali osady nowe..., niechzące znać ani pana ani prawa tutejszego..., niosące z sobą obyczaj swój, język i przywileje, które ich reszcie kraju obcemi czyniły.

Mszczuj wiół listy od Biskupa Iwona, będące pozorem podróży. — Musiał jeden z nich oddać Henrykowi Staremu, mężowi ks. Jadwigi, drugi synowi jego, młodemu księciu, który tu więcej rządził od ojca, prowadzącego życie pobożności oddane, niemal zakonne...

Stawić się przed niemi, o których wiedział że na wpół Niemcami byli, wśród dworu złożonego prawie z samych przybylców, Szwabów, Sasów, Turyngów, było dla Waligóry męczarnią. Obiecywał też sobie co najrychlej zbyć się poselstwa, i jak najprędzej powracać.

O pół dnia od Wrocławia na nowym popasie, zdała zobaczył Biankę z oczyma zaczerwienionemi, płaczącą jawnie, którą siostra Anna natarczywie zbyt pocieszała. Nie mógł się powstrzymać by się do nich nie zbliżyć.

Starsza widząc go podchodzącego i chcąc może uniknąć by Bianki nie zagadnął, sama pospieszyła objaśnić leż przyczynę.

— Biedne dziecko! — rzekła, — trwoży się niepomiernie jak ma stanąć przed majestatem świątobliwej pani naszej. Nie dziw! Któżby się nie strwożył mając oglądać to oblicze ubłogosławione dobrowolnem cierpieniem!

We Wrocławiu my tylko jedną noc przepędzimy może — bo mamy rozkazy abyśmy wprost do Trzebnicy jechały, gdzie świątobliwa pani przebywa... Jabym tam rada na skrzydłach wleciała...

Waligóra słuchał nie odpowiadając.

— Księżnej pani powiem żeście nas uratowali z rąk zbójów, westchnie za wami, a jej westchnienie pewno u Boga znaczy więcej, niż niejednego księdza modlitwa!

Mszczuj się skłonił.

— Trzebnica nie uciecze, — rzekł, — a spoczynek byłby wam potrzebny.

— Tak to wy po waszemu, po świecku sądziecie — odparła siostra Anna — a gdzież na tej ziemi utrapienia spoczynek? Albo nam co do nieba spieszymy, godzi się spoczywać?? marne, liche i niegodne ciało pieścić i dogadzać mu??

Siostra Anna gdy to mówiła z prawdziwego natchnienia i zapału religijnego, surowa jej i niemila twarz, przybierała wyraz takiego ubłogosławienia, uniesienia, świątobliwości — iż nawet Mszczuj zimny a uprzedzony — poczuł dla niej jakieś trwożliwe poszanowanie.

Siostra Anna podniosła ręce do góry — — Trzebnica! to niebo, to furta raj! — dodała — tam tylko żyć, w tym porcie zbawienia..., do którego burzliwe życia nie dosięgają fale...

I uśmiech szczęścia blade jej usta namaścił...

Bianka patrzyła na nią z jakąś trwogą, — i Waligóra widział jak cała drgnęła strachem, i pobladła...

— Spieszmy! — dodała siostra Anna, zwracając się do towarzyszki. — Święta pani której myśl szła za nami w podróży, widzi już nas okiem proroczem, czuje że się ku niej zbliżamy!

Dała znak Niemcom... i konie podprowadzono. Jeszcze raz okiem błagalnem sierota rzuciła na Mszczuja, który jej skinieniem głowy odpowiedział. Zbliżanie się do miasta

zmuszało go przystać nieco, aby się do wjazdu przygotować. Nie chciał wstydu czynić temu od którego przybywał.

Waligóra

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

TOM II

I

Wyjeżdżając z Krakowa Jaszko syn Wojewody, — myślał się udać do Odonicza i Światopelka, który mu był powinowatym, spodziewając się u niego znaleźć nie tylko opiekę, lecz zręczność pomszczenia się nad Leszkiem...

Był to człowiek namiętny, gwałtowny, natura dzika, życiem żołnierskiem rozhukana, pokutą rozjątrzona, upokorzeniem do wściekłości przywiedziona, w ostatku bezczynnością oszalała.

Jechał nie pragnąc nic tylko pomsty, życie dać niczem dlań było, byle nieprzyjaciela zgnieść i zemsty się napić do syta.

Na Pomorze było daleko, już na pierwszym noclegu w lesie, nie mogąc spać, gryząc paznogie i palce jak zwierzę, który nie mogąc pastwy dosięgnąć sam się szarpie i kąsa — Jaszko począł przebierać w sposobach jakimi by najrychlej mógł celu dopiąć. Myśli mu przelatywały różne, dziksze jedne od drugich.

Światopelka za mało mu było, Odonicz nie starczył — chciał znowu nasadzić Henryka na Leszka, roił że Konrada Mazowieckiego pociągnąwszy można.

Dochodziły już wieści do Krakowa iż Konrad naciskany przez Prusaków wykrzykiwał iż go brat zbył tem co mu z nosa spadło, że mu dał gorszą część, której obronić było trudno, spokojnie usiedzieć na niej ani dnia ni godziny.

Leszkowi wyrzucano i ten podział posiadłości, który on uczynił jak mówił „z braterskiego serca i pobożności” a brat obdarzony sarknął nań już i odgrażał się.

Jaszko spodziewał się z tego korzystać... Jawnie mu się pokazywać po dworach jako ów Jaksza pokarany za zdradę, — niebezpiecznym było; postanowił więc przybrać nazwisko Budziwoja, nie zapierając się że do Jaksów — Gryfów należał. Nie badano naówczas tak ściśle pochodzenia i związków a imiona brano jak kto chciał.

Jaszko mógł, znając różne ziemie w których z wojskiem dawniej bywał, podawać się za ziemianina jednej z nich, wedle zachcenia.

Jako rycerz szukał służby książęcej. Takich naówczas potrzebowali wszyscy. Miał z sobą koni sześć i ludzi dobrze zbrojnych, a tak szalonych jak sam był.

Prawa to była natura wojaka grabieżnika, któremu nigdy dwór nie smakował, chata nie śmiała się, rodzina nie zdawała się pociechą ale ciężarem. Nie żenił się też Jaszko, choć za niewiastami i dziewczętami latał nieustannie. W kości grać, pieśni zawodzić, pić dużo i za lada słowo do miecza się brać, dokazywać na koniu, z kopiją, narażać życie dla niczego — największą dlań było zabawą.

W ciągnięciu przez kraj, póki pod sobą ludzi miał więcej, Jaszko straszny był dla kmieci i wszelakiego mieszkańca.

Nie pytał pewnie na jakim on prawie siedział, na polskim, na niemieckim, na duchownym, czy był przypisany i niewolny, czy kmieć a osadnik; każdego zmuszał do przewodu, do popasu, do daremnego goszczenia koni i jego. Czasami nawet zabierano na drogę z podwórka co się nadal zdać mogło.

Czysty był w sumieniu bo mu się to zdawało prawem rycerskiem okazać siłę i robić co chciał... Miewał zatargi i z proboszczami po wsiach i z zakonnikami, i po miasteczkach z wójtami ale wszędzie się wyrębał... i bezkarnie to uchodziło.

Tego starego obyczaju teraz nie bardzo mógł używać, raz że ludzi miał niewiele, potem że się obawiał zbyt zwracać na siebie uwagi.

Dlatego ciszej się przesuwał, nie jechał gościńcem wielkim, ale drożynami małemi, na której przeżywając się darmo, nie robiło się wrzawy tak wielkiej.

Żał mu trochę było Krakowa, w którym choć się krył, znano w nim syna Wojewody i działał się dobrze... Szaleńców sobie jak sam dobrawszy po nocach Jaszko dokazywał, a dniami sypiał... Rozpróżnował się, zależał pole... teraz to chciał powetować.

Po drodze postanowił naprzód Wrocław nawiedzić, aby poznać co się tu działo, i choćby Światopelkowi a Odoniczowi zawieść języka.

Poprzedził on tu Waligórę, ale na zamek do książąt, ani na dwór biskupi nie zjechał, gospodą stanął, wedle obyczaju starego, u człowieka który był Jaksom winien wiele i ich

stronę trzymał. Zwano go Sulentą, człowiek był letni, kupczył suknam i różnemi tkaninami, jedną ławkę mając w Krakowie, drugą we Wrocławiu. Sam on z żoną i jednym synem siedział tu, z Niemiec dostając towar, który potem do Krakowa częściami posyłał.

Kupczył może i więcej czem, ale się z tem nie wydawał, miał tajemnic wiele, — zamknięty w sobie, milczący, zimny, pokorny, miał to w naturze iż gdy drudzy wielkimi się czynili, on chętniej małym się rad był pokazać.

Był też niepozorny, ospowaty, twarzy nieznaczącej, bródki rzadkiej, a nosił się w kózuszk podpasanym rzemykiem i skórzniach, żeby go za lada poganiacza od bydła wziąć można. I dwór jego za miastem był na oko lichy, tylko parkan miał mocny i wysoki. Mówiono o jego bogactwach, których się on wypierał. Ze wszystkimi w zgodzie, kłaniał się Sulenta każdemu, byle mu pokój dano. Dwóch synów jego już wcale inaczej się nosili i wodzili, czując grosz w kalecie, co ojca gniewało. On za to i żona jego Bogna jak najuboższemi chcieli się wydawać.

Sulenta w Krakowie był pod opieką Wojewody, który przez niego różne tajemne dawniej posyłał listy i znaki — nie dziw, że Jaszko w drodze go miał na myśli i wprost się udał do jego dworu, który łatwo znaleźć było.

Stary kupiec nie widział tak dawno Jaszka (a mało go i przedtem znał), że gdy do wrót przybył — wcale nie poznał wojewodzińskiego syna. — Lecz dosyć było słowa by mu się drzwi otwarły. Sulenta znał głośną historię Jaszka — słyszał o nim, — strach w nim obudzał. Gość niemiły był ale niezbyty. — Mało tego, z żołnierzem nawykłym do zbytkowania lada czem się obyć niepodobna... gościnność trzeba było groszem i spokojem opłacić. — Jaszko, gdy podpiał, rzecz była wiadoma, nie obszedł się bez muzyki, bez błazna, bez wesołych dziewcząt i gawiedzi coby mu przyklaskiwała.

Trzymali naówczas błaznów wszyscy panowie, królowie i książęta, błazen był niezbędnym na dworze urzędnikiem, przy każdej biesiadzie przyprawą. U dostojniejszych a weselszych, często w ich barwie i na strawie pańskiej, a na noworocznym podarku i ofiarach które im za figle płatane dawano, bywało po kilku. Naówczas z sobą się ujadając, i wymyślając, a bijąc, przedziwnie dostojnych ubawiali gości.

Po większych miastach mieszczenie też, choć nie trzymali tych nadwornych darmożjadów, było ich zawsze kilku na zawołanie, bo już bogatsze wesele i chrzciny tak się nie obeszły bez błazna, jak u ludu pogrzeb bez płaczek.

Wrocław też miał wówczas dwu dla obojga narodowości wesołków takich, miejscowego biedaka, którego zwali Trusią i Niemca karła garbatego, przezwiskiem Liebchen...

Tegoż wieczora gdy Jaszko przybył dosyć zmęczony podróżą do Wrocławia, Sulenta chcąc go przyjąć jak należy, dał miodu i piwa w bród, strawy dla niego i czeladzi dostatkem i nawet Trusia sprowadził.

Muzyki tylko nie było, bo i kobiet do tańca brakło.

Stara Bogna nie pokazywała się wcale, obawiając szalonego Wojewodzica. Sulenta stał z boku aby co potrzeba było, dostarczyć. Towarzystwo nieliczne składało się z Jaszka, który zawczasu dobrze podpiał, i ze dwóch jego przybocznych, w niedostatku innych, przypuszczonych do dzbana, aby się panicz sam nie nudził.

Z Sulenty choć co chciał dobyć Jaszko, — nie było sposobu gęby mu otworzyć.

Pomrukiwał — tak — nie, głową potrząsał w różnych kierunkach, ale na pytania drażliwsze, odpowiedzi nie dawał.

Jaszka to nudziło; lecz że go dobrze przyjęto znośli cierpliwie milczenie starego kupca.

Na Trusi, cała zabawa polegała. Trusia, Ślązak, ubogi, bezdomny, chudy człek niewesołej twarzy, wiecznie głodny i spragniony, choć błazna piastował urząd, rychlejby do płaczu niż śmiechu pobudził. Prawił głupie żarty jak z musu, sam się nie śmiejąc, może ani myśląc o tem co mówił i co powtarzał po stokroć, gdzie go zawołano.

Z twarzą długą, wyciągniętą, w odzieży połatanej, Trusia ledwie nie żebraka miał pozór.

Dwaj komornicy Jaszкови drażnili go i zaczepiali, on się im jak mógl odcinał...

— A na dworze ty bywasz? — zapytał go Jaszko...

Trusia usta w dół ściągął i obie ręce rozstawił tak, że dziesięcioro kościstych palców zakryło mu twarz wykrzywioną.

— Na jakim dworze? — spytał.

— A no? u księcia waszego?

Trusia ramiona podniósł tak, że głowa się w nich na pół schowała, i nic nie odpowiedział...

— Coś ty, niemy? — uderzając go po plecach zawołał jeden z czeladzi. — Gadaj!

— U nas na dworze tyle błaznów że ja tam niepotrzebny! — mruknął Trusia...

To powiedziawszy jakby się spodziewał razów, plecy nadstawił. Zaczął się Jaszko śmiać.

— A jak się tam oni zwa, ci twoi bracia? — zapytał...

— Nie pytałem o nazwiska, bo co książęcy błazen, a uliczny to niejedno... Tamci w bławatach chodzą. Wara od nich...

Chcąc wyjść z tak drażliwego przedmiotu, Trusia, plugawym bluznął żarciem — ale mu się nie udało wykręcić nim, i Jaszko począł krzyzczeć głośno.

— A co tam błazny dworskie mówią o naszych krakowskich? Czy z niemi družbę wiodą, czy wraźbę?

Trusia splunął.

— A to masz wiedzieć, miłość wasza — odezwał się poważnie, podnosząc rękę jedną do góry — że, choć ludzie prawią — kruk krukowi oka nie wykole — to nieprawda — właśnie kruk kruka, a błazen błazna nienawidzi, bo ten mu chleb odbiera. Gdzieżby błazny z sobą družbę miały?

Tutejszy Liebchen gdzie mnie spotka, to mnie kuksnie, a ja jak w pustej ulicy go zdybię, zawsze mu co z czupryny udrę.

— Więc myślisz że i krakowskim błaznomby się dostało? — spytał Jaszko. — A jakże to może być kiedy ich panowie z sobą braterstwo mają...?

Trusia rozśmiał się tak szeroko że wszystkie żółte swe zęby sterczące w gębie jak pieńki na karczunku — pokazał.

— Książęta, niech im Bóg błogosławi — krewnych nie mają, mówi przysłowie, a gdzieżby druhów mieli dostać??

Sulenta u drzwi stojący z rękami za pasek pozakładanemi, wśród tej rozmowy oczami zdawał się Trusi dawać znaki, żeby języka nie rozpuszczał — ale Trusia się piwa napił i wesoło mu było.

Jaszko rad był tak odpowiedzi że parę groszy rzucił błaznowi który aż do ziemi schylił głowę, a nogą jedną wyrzucił tak w górę iż czeladź śmiechem buchnęła.

Dano mu gospodarskiego piwa jeszcze miarkę...

Jaszko wypytywał.

— Czem się u was na dworze bawią?

— Zrana się modlą, we dnie poszczą, a w nocy się biczą — odparł Trusia... ale o tem błaznom się nie godzi gadać bo mu łeb zetną.

— A książę też? — zagadnął Jaksa.

— Jaki książę? — spytał Trusia.

— Juści jednego macie! księcia Henryka?

Trusia się wziął za brodę, pokazując że ją długą nosił i kiwnął głową.

— Miłościwy panie, to jeden nasz pan co już nie panuje, — odparł, — a jest dwu co panować chcą a nie mogą się pogodzić, który ma iść górą... Na dobry lik jest ich trzech..., księżna czwarta, a — i jeszczeby się znalazło więcej... ale język mi utną...

Zamilkł Trusia bo Sulenta zniecierpliwiony jawnem tem a zuchwałem paplaniem pogroził mu i widząc że to nie skutkuje wystąpił na środek izby. Nie mówiąc nic przystąpił do Trusi i popchnął go ku drzwiom, drzwi się otwały naciśnięte, rzucił go za próg, nie dosyć na tem, gnał go dalej aż wygnał za bramę.

Jaszko się śmiał jeszcze z tej katastrofy, gdy Sulenta gniewny powrócił nazad drzwi za sobą zamykając, rzekł ochryplym głosem.

— Hej, kury będą piały.

Jaszko zmiarkował że gospodarz płochego gadania nie znosił, i choć zły był, dał swym towarzyszom znak, aby szli precz.

Wnet też zostali sami.

— Błaznuś nie dał gadać, Sulenta, — odezwał się Jaksa leżąc na ławie i wyciągając się — to mówże ty mi sam co u was się dzieje. Jam tu nie na wasze piwa i miód przyjechał, a żeby języka dostać.

— Eh! eh! — jęknął krzywiąc się Sulenta, — języka u mnie nie ma — nie ma. — Jakby język był głowyby na karku nie stało. Szukajcie sobie gdzieindziej.

Jaszko trochę już gniewny powstał z ławy.

— Słuchajno — odezwał się do starego, — mnie ojciec po to posłał...

— Żeby błazna pytać? — odparł nadąsany Sulenta.

— Nie — ale ciebie — krzyknął Jaszko. — Tamto co się gadało było błazeństwo, a ja teraz ciebie pytam naprawdę, gadaj ty mi co się u was dzieje?

Stary zaniemiał trochę, odwilżył sobie wargi zaschłe językiem, czoło w grube marszczki mu się złożyło.

Jaszko chodził po izbie czekając.

— U mnie wy, miłośnicy panie, a choćby i ojciec wasz sam, przybył, języka nie dostaniecie. Ja tym towarem nie handluję. Nie.

— No, to dajcie mi kogo coby oczy miał, rozum i gębę — odparł Jaszko.

Sulenta się namyślał.

— Wiecie co, miłośnicy — rzekł, — wy dziś spocznijcie i wyśpijcie się, a jutro kto wam broni na dwór, i języka szukać? Na dworze różni ludzie są, może znajdziecie długojęzycznych.

To powiedziawszy Sulenta pokłonił się i już nie zważając na stojącego w oczekiwaniu dalszej rozmowy Jaszka — wyszedł z izby drzwi za sobą zakładając...

Jaksa został sam, i posłuchał dobrej rady, bo pomruczawszy zawołał pacholka, rozdział się i legł do snu jeszcze kufel wypiwszy, po niemiecku.

Nazajutrz też posłuchał rady Sulenty, poszedł na zamek.

Z tych czasów, gdy tu z ojcem przebywali, spodziewał się znaleźć znajomych, lecz tym nie wszystkim się rad był pokazywać i głosić o sobie. Nie chciał by o nim zbyt mówiono i wiadano. Najwięcej miał zaufania do niejakiego Nikosza, który onego czasu koniuszym był na dworze, lecz czy ten żył nie wiedział. Nikosz pił ogromnie i tak rad wrzawliwie się zabawiał jak on.

Sam na zamek nie idąc, posłał najniepozorniejszego z czeladzi, aby o niego przepytał, a jeśli by się znalazł, wywiódł go na dół, gdzie czekać miał. Z pół godziny straż tu nudną odprowadzając, ujrzał wreszcie Jaszko toczącą się z zamku baryłę. Nikosz od niepomiernego napoju i jadła rozrósł się był teraz jeszcze więcej niż gdy go znał Jaksa. Wówczas on był już opasłym, teraz się stał niemal odętym i na konia mu się bez pomocy trudno było. Zresztą ten sam co dawniej, jak tylko zobaczył Jaszka, potoczył się ku niemu ochotnie, wykrzykując na powitanie, póki mu znaku nie dał aby milczał.

Dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie..., potem się zaczęli sobie przypatrywać.

— Utyłeś jak fasa! — rzekł Jaksa.

— A ty nędznie wyglądasz, coś bieda cię strzepała — odparł sapiąc Nikosz.

— Chcę się odgryźć, i dlatego z Krakowa uciekłem, — rzekł Jaksa.

— Byle nie do nas, bo tu króluje post... he! he! — począł Nikosz — ja jak chcę się pożywić i ochłodzić idę na miasto, a i z tego potem spowiadać się muszę, aby grzesznej duszy nie zgubić.

— Nikoszu miły, pogadaliśmy, — rzekł Jaszko, — byle gdzie kąt. Na zamek do was ja nie chcę, u Sulenty u którego mieszkam, nie rażno się rozgadać — gdzieby pójść?

Nikosz się poskrobał w głowę, i dokoła oczyma zatoczył.

Na ucho szepnął Jaszкови.

— Ja tu mam wdowiczkę pobożną, do której czasem na miód zachodzę. Dobre ko-biecisko, ale u niej się trzeba cicho sprawować, bo ona nie lubi hałasu... żeby ludzie nie gadali.

Skrzywił się nieco Jaksa.

— Chodźmyż — rzekł.

Nikosz choć otyły do zbytku, ruszył dosyć rażno w ulicę, potem w ciasny zaułek, potem w przełaj jeszcze węższy, i zadyszany zastukał do drewnianych wrót, które się nierychło otworzyły.

Naprzód odsunęła się okienniczka i ktoś wyglądał, patrzył, potem zamknęła ona, kroki słyszeć się dały, i stara sługa ostrożnie bramę uchyliła. Nikosz przodem wszedł, chciała zaraz zamykać, ledwie wyprosił że Jaszka wpuszczono.

Z sionki wężkiej dostali się do izby ciemnej a pustej, z którą gdy się oczy oswoiły postrzegł Jaksę na ścianie krzyż wielki, i kilka świecących obrazków wianuszkami obwieszonych... Izba wyglądała niemal jak cela klasztorna, smutnie, zimno, grobowo...

— Gdzież my to zaszliśmy? — spytał.

— Do mojej wdowiczki — odparł cicho Nikosz. — Czekaj chwilę zaraz się i ona ukáže, ale, zmiłuj się nie pozwalaj sobie, bo to niewiasta pobożna.

Znałem jej męża, — dodał, — dlatego mnie przyjmuje.

Chrząknął Nikosz, patrząc na drzwi od alkierza, z których bojaźliwie krocząc wychyliła się kobieta cała w czerni ubrana, z oczyma spuszczone, ze złożonymi rękami, bojaźliwie i skromnie, idąca ku gościom.

Młoda jeszcze i piękna, z figlarnym wejrzeniem, którego nie umiała zmienić, usta miała ściągnięte jakby musem i z całej jej figurki pobożnością namaszczonej kłamstwo jawnie biło.

Przed obcym chciała się okazać niezmiernie zącną a poważną niewiastą, choć ją to wiele kosztowało.

Nikosz zbliżył się poufale do niej, czem przestraszona poczęła się cofać i srożyć, dopiero gdy jej coś szepnął, pokłoniła się przybyłemu zdala, chłodem się przyodziawszy jeszcze kłamlivszym... Jaszko patrzył i uśmiechał się.

— Niczego! — rzekł przez zęby.

Wdowiczka znikła, a stara baba przysła ze dzbankiem, i zakąską, i z trzema kubkami.

Przyjaciele zasiedli oba spragnieni, i już mieli począć się częstować, gdy wdowa wróciła. Jaszko ją przyjął wesołym a tłustym żartem, który trochę spłoszył, lecz nie odpędził jej od gości. Dała sobie nalać kubek, przepiła do gości, popatrzyła na Jaszka ukradkiem dosyć mile, potem zakręciwszy się jeszcze, jakby się jej nie bardzo odchodzić chciało, i na odchodnym parę razy zerknąwszy na Jaksę, — znikła w alkierzu, który niepotrzebnie z wielką troskliwością od środka zaryglowała.

Poczęli kubkami potracając pić.

— Wdowiczka niczego! he! — rzekł Jaszko — a z ciebie łotr zawsze!

— Co ty sobie myślisz! — ofuknął Nikosz — niewiasta tylko od kościoła do kościoła chodzi... pobożna!! Co ty myślisz...

Rozśmiali się oba.

— Ale nie o tem ja z tobą mam do mówienia — odezwał się Jaszko. — Bądź ty mi druhem, a prawdę mów. Jaki u was wiatr wieje ku Krakowu?

My tam Leszka mamy dosyć, z nimby skończyć trzeba...

— Tak? już? — spytał Nikosz.

— Albo nie czas? — odparł Jaszko... — Odonicz ze Światopełkiem poczęli... Konrad mu w posiłek nie przyjdzie — no? a wy?

— Książę Henryk już nie pójdzie teraz nigdzie chyba do kościoła — rzekł Nikosz. — Kto wie? gdyby Leszka nie stało? a póki on żyw, nie! nie! Strzyma słowo. Pobożny pan, księżnaby mu go złamać nie dała, a on jej we wszystkim posłuszny.

— Tak u was? — przebąknął Jaksę — to — źle... A młodzi?

— Młodych dwu z sobą się gryzą... a jeszcze mocy całej w rękach nie mają. Wielko-rządca są a ojciec głową. — Bez ojca i matki nie zrobią nic...

Jaszko się zamyślił.

— No — to po was nam nic — rzekł.

— Komu, nam? — wtrącił Nikosz.

— Tym co Leszka się chcą zbyć — począł Jaszko.

— Nie przyjdzie to łatwo — rzekł opasły. — Siedzi on mocno, panowie biskupi wszyscy za nim, rady mu nie dacie...

— Toć — zobaczymy — odezwał się Jaszko. — Ja jeszcze nie wiem nic krom tego że Leszka obalić trzeba... Nie zmódz go siłą, a od czegoż sztuka??

Nikosz popijał, jakoś nie bardzo rad rozmowie.

— Jeżeli ty z tem tu przyjechał, — rzekł, — nie masz co długo gościć. — Nie zrobisz nic... Wracaj nazad.

— Albo ja do was jechał? — odparł Jaksę — ja sobie teraz wolny człek, jeżdżę a wacham, dziś tu, jutro indziej. Kto wie dokąd się powlokę...

Nie ma książe Henryk rozum, trudno mu go dać. Jakby chciał miałby Kraków, miałby Sandomierz, wszystkie jego ziemie, Śląsko do nich byłby łącznie panem, boby Łaskonogiego i Odonicza wygnał, a Konrada się pozbył. Gdy mu się tego nie chce, niechaj w chórze śpiewa...

Weźmie mu to Konrad z przed nosa... a z Konradem inna sprawa niż z Leszkiem, on i po Śląsko sięgnie...

Pijąc Nikosz patrzył na mówiącego i sapał, a wąsy ocierał.

— Co mnie do tych spraw — rzekł, — jam rad gdy konie nie zdychają, piwo zamkowe niekwaśne, a wdowiczka łaskawa... pańskie kłopoty nie moja rzecz... A ty — słuchaj Jaszko, raześ oberwał, jeszcze ci się chce?

— Pewnie! pewnie! chce mi się i bardzo chce — poczał gorąco Jaksę — ale ty nie wiesz czego! Od pasa mnie rycerskiego odsadzili, jak psa mnie wyrzucili — ojciec rodzony nie śmiał się do mnie przyznać. Ty myślisz że tego octu z żółcią się napiwiesz, można ledz spać i zapomnieć — toś nie człek — ale baba... Mnie wątrobę wyżera pragnienie pomsty, i będę ją miał... będę — lub marnie sam zczeznę...

Nikosz popatrzył w próżny kubek, nalał sobie i rzekł obojętnie...

— A co? niezłe? pij!

Jaksę strzelił nań okiem pogardliwym.

— Ej ty! — i splunął...

— U niej — odezwał się zagadując koniuszy — u niej, u tej mojej wdowiczki, to osobliwa rzecz, u niej zawsze wszystko dobre. W całym mieście piwo kwaśne, u niej jak oliwa (pogłaskał się po piersi) — wszędzie będzie chleb gorzki, u niej odejść się nie można. Wody nawet nigdzie takiej jak tu. A i ona sama! e! drugiej w świecie poszukać...

Jaszko dopił, nalał i podparłszy się na łokciu wpadł w zadumę jakby sam jeden tu był, nie zważając na towarzysza, który coraz to na niego to na drzwi alkierza spozierał.

— Więc ja tu darmo do Wrocławia jechał, — rzekł długo przemilczawszy Jaszko... — Ty bo nic pewnie nie wiesz?

— Ja wszystko wiem — rzekł stanowczo bardzo Nikosz bijąc się po brzuchu. — Tu na Leszka póki żyw nikt nie pójdzie. Jakby Kraków pusty był... albo wdowa z dziećmi, hm... może...

Książę nie dosyć że brodę zapuścił od czasu jak z żoną nie żyje, ale i rycerstwo mu nie do smaku... My się już modlim tylko...

— I ty? — spytał Jaksę szydersko.

— A jakże? — odparł urażony Nikosz, — inaczejbym na dworze nie wybył do wieczora!! Pamiętacie wy pisarza książęcego Mikołaja z Henrychowa? Jaki mąż był wesół i ochotny?

— A cóż się z nim stało?

— Postrzygł się, został mnichem Cystersem a Henrychów dał na swój klasztor.

I co śpiewał wesołe pieśni, teraz w chórze wywodzi...

— No, to i ciebie to może czeka? A cóż będzie z wdowiczką? — zaśmiał się Jaksę.

Westchnął brzuchal. — A! gdyby nie ona, ta pokusa — rzekł, — kto wie. Czemu nie? Myślisz że u Cystersów jedzą źle albo piją cienkusz? Człowiek się o nic nie troska, siedzi jak u Boga w rękawie... i jeszcze zbawienie ma w dodatku pewne!

Gawędzili długo, póki dzbana stała. Nikosz zajrzał że już na dnie nie było nic, — chwila niepewności nastąpiła czyby o drugi nie prosić. Lecz Jaszko, który chętnie pił, nie miał tego dnia ochoty nawet do słodkiego piwa wdowy i wstał od stołu pierwszy.

— Bądźże mi zdrów, Nikoszu — rzekł — albo się zobaczymy na świecie, albo nie. Mnie głowa świerzbi na barkach, muszę gdzie trzeba... Kto wie co będzie!! Ano co człek postanowi strzymać musi.

Nikosz też ruszył z ławy, choć po napoju spocząłby był chętnie. Tęskno mu było opuszczać tak rychło wdowę, lecz musiał Jaszka przeprowadzić. — Żal mu się zrobiło skazańca tego.

Już mieli wychodzić, gdy komory drzwi od ryglowano, i piękna wdowiczka nieśmiało się ukazała — aby gości pożegnać. Szczęśliwie łaskawem okiem spojrzęła na młodszego nieco Jaksę, skłoniła mu się, a gdy Nikosz poufalej po piwie chciał ją żegnać, zasromana i gniewna, pierchnęła.

Wyszli tedy, ciągnąc nazad podle zamku, gdzie się pożegnali jeszcze, i Nikosz do swych koni, a Jaksza wrócił do Sulenty.

Domyślał się gospodarz gdy go zobaczył w progu z samej twarzy już że nic dobrego nie przyniósł z sobą.

— Coś ja tu u was długo nie będę stać gospodą — rzekł Jaszko. — Nie ma mi tu pono co robić.

Sulenta głową to potwierdził.

— Trzymacie z Leszkiem, — dodał, — bodaj wam to na dobre wyszło...

— Nie biadajcie nad nami, — mruknął kupiec milczący — my ludzie spokojni, cudzego nie pragniemy, swego nie damy... Na tem koniec.

Krakowowi z Wrocławiem, a Wrocławowi z Krakowem trzymać potrzeba...

— Aby sukno szło! — uśmiechnął się Jaksza.

— Sukno lepsze niż krew chrześcijańska — dodał Sulenta.

Popatrzyli na się... Kupiec trochę gorzkie słowo chcąc zapłacić, kazał misy przynieść i do stołu zaprosił. Począł dolewać gościowi by mu dobrą myśl przywrócić — lecz Jaszko siedział ponury patrząc w stół — i niekiedy tylko wyrwało mu się niepoczesne z ust przekleństwo.

Tak pierwsza próba mu się nie powiodła. — Wprawdzie nie wiele na Ślązaków rachował — inaczej mu jednak dwór ten się wydawał, niż go znalazł. Młodzi nie dorosli do własnej woli, stary się jej wyrzekł... Nie było więc co robić...

Gożej niż to zabolalo mściwego Jaksę, iż z tego co słyszał wnosić musiał, że Henryk Brodaty z Leszkiem iść gotów, podpierać go i trzymać.

Ślązka siła niemalą była, a niemieckie rycerstwo, zbroja i obyczaj, czyniło ją groźną. Nie potrzebował się z nikim ucierać Henryk, ręce miał wolne... Kilkadziesiąt tysięcy ludzi mógł wystawić w potrzebie...

Trzeciego dnia pożegnawszy Sulentę, Jaszko szarą godziną puścił się ku Płockowi, do księcia Konrada, zostawując naostatek Odonicza i Światopełka, których był pewnym że jak on myślą, i przyjmą go otwartymi rękami.

II

Mszczuj Waligóra wieczorem wjechał do Wrocławia, gdy na zamek już zapóźno było.

Oznał się w bramie aby dano na gród znać, przyszli zaraz urzędnicy książęcy gospodę w mieście posłańcowi biskupiemu wyznaczyć.

Od wrót już Waligóra się buczył i zżymał słysząc prawie samą niemiecką mowę. Choć ją rozumiał, udawał że jej nie zna, wołając o Ślązaka z którymby się po ludzku mógł rozmówić.

Komornicy zamkowi, Niemcy wszyscy spoglądali nań koso, on im to z nawiązką oddawał. Na ukłony nie bardzo odpowiadał, wielu z nich udawał iż nie widzi. Gospodę w rynku dali mu przecie u takiego z którym po swojemu się rozmówić mógł. Człowiek był średnich lat, z dawno, od wieków tu osiadłych, niegdyś dostatnich, dziś już podupa-dłych mieszczan.

Zwał się Hołubek. W początkach się wypraszał od narzuconych gości, potem postrzegłszy że z Krakowa byli, przyjął ich dosyć uprzejmie. Nic też od niego oprócz dachu dla siebie i koni nie potrzebowali, bo posłom na dwór książęcy przybywającym..., obroki, strawę i napój z grodu dostarczano.

Hołubek, człek niskiego czoła, czarno zarastający, krępy, niezbyt miłego oblicza, patrzący z podełba, choć na pierwsze wejrzenie pociągnąć do siebie nie mógł, człowiek był niezły, tylko niepowodzeniem zbiedzony i skwaszony. Gdy się ludzie zajmowali rozłożeniem w gospodzie, przyszedł Mszczuja powitać. Spojrzeli sobie w oczy i oba się znaleźli jakby jednej myśli i nastroju.

— Cóż tu Wasza Miłość u nas robicie, — odezwał się Hołubek, — my tu już, krom powinowatych nie wielu, mało kogo od Krakowa widujemy, — choć tam nas serce ciągnie...

— Z listami przybyłem, — odparł Mszczuj. — Co za dziw że nas tu mało jeździ, kiedy u was ludzkim językiem i rozmówić się trudno. Szwargotem mnie przywitali w bramie, po niemiecku chcieli gościć, i gdzie się obróć ino tę mowę słyszę.

— Bo jej tu codzien więcej, — rzekł Hołubek z westchnieniem, — a nas tu starych coraz mniej. Jak my wymrzemy całe nie stanie i języka i pamięci. Niemcy posiadają wszystko.

Obejrzał się mówiąc bojaźliwie i głowę pogładził.

— Ciężkież tu życie macie! — westchnął Mszczuj.

— Tylko Bogu wiadomo jak — mruknął Hołubek. — Poczęło się to już z dawniejszych czasów, a teraz urosło, że i nadziei nie ma, aby się zmieniło!

Mało tego że we Wrocławiu około dworu Niemcy górą, ale się sadzą kupami na pustych ziemiach, a nie słuchają nikogo. Mają swoje prawo...

— A książę? — zapytał Mszczuj.

— Książę też dla żony musi Niemcem być, choć z sobą teraz nie żyją — rzekł Hołubek, — a i dla księży z Niemiec, i dla dworu, bo ten cały takież...

— Naszych tu dużo? — przebąknął poseł.

— Z każdym dniem mniej, ani dziw — ciągnął dalej Hołubek, — bo na tę odrobinę spadły ciężary wszystkie, dziesięciny do kościołów, przewód, podwoda, naraz, pogoń! Kto to zliczy. Niemca o to nie pytaj i nie tykaj, bo on tu przyszedł aby jadł i zbierał, a nikomu nie winien nic...

— Biada! — mruknął Mszczuj.

— Jam się wynosić chciał już — dodał gospodarz, — ano domisko mnie przykuwa. Toć to tu dziadek i ojciec, żyli i umarli, chciałoby się kości złożyć przy ich grobach...

Hołubek lży otarł.

— A młodzi książęta? — odezwał się Mszczuj.

— Henryk starszy co go ojciec kocha, jeszcze trochę ma naszych koło siebie, garną się do niego, drugi matczyn ulubiony, z Niemcami trzyma, — mówił gospodarz... — Henryk pono nie da sobie rady i zniemczeć też musi.

— A potem i cała ziemia ich! — rzekł Mszczuj.

— Cała ziemia! — westchnął Hołubek.

— Zawojują bez oręża i bez krwi, — dodał Waligóra — niewiasty co ich dla książąt z Niemiec brano, jakby ich u nas lub na Rusi nie było, — niewiasty nas zawojowały... Za każdą szedł książdz, sługa, służka, czeladź, mnożyli się prędko, — i co Niemiec u nas to pan... Z lada pachółków na możnych pourastali.

Hołubek raz wpadłszy na ten przedmiot, nie łatwo kończył, rad był z serca zrzucić co się na niem od dawna zebrało. Mówił długo, a Waligóra słuchał chętnie. Cóż przytem znaczyła sprawa Leszka czy Konrada, gdy tu ziemię całe po cichu przechodziły pod panowanie plemienia, które się wciskało, osiadało, — i przyswajało je sobie...?

Waligórze twarz nocą zaszła i mrokiem, napojony tą goryczą, pożegnał się z gospodarzem i legł zobojętniały już prawie na to co go tu spotkać mogło. Gorszego się już nie spodziewał.

Nazajutrz rano, gdy on i ludzie gotowi byli na zamek, przybył ochmistrz księcia Henryka, Peregryn z Weissenburga, który najulubieńszym był jemu, i całe miał zaufanie.

Niemiec to był, z powołania rycerz, człowiek spokojny mimo to jak każdy męznego umysłu mąż, łagodny na pozór i poważny wielce... Ten już się był długim pobytom na dworze śląskim i języka miejscowego nauczył, tak że się nim mógł rozmówić. Mszczuj zaś miał mocne postanowienie Niemców nie rozumieć i zmusić ich aby z nim rozmawiali jego językiem.

Peregryn przybrał się był widać na przyjęcie posła dosyć dostatnio i pięknie, łańcuch miał na szyi, miecz u pasa, a hełm za nim niosło pacholę. Prawie tak silny i wyrosły jak Waligóra, nie ustępował mu piękną postawą i szlachetnym jej wyrazem. Z tych Niemców co na dworze Henrykowym bawili, znośniejszego trudno zaprawdę znaleźć było.

Mszczuj choć go nie znał z twarzy, słyszał o nim wiele, bo to był nieodstępny sługa, albo raczej przyjaciel księcia Henryka.

Mimo rycerskiej postawy Peregryna, charakter dworu śląskiego odbił się na nim. Mały krzyżyk z pod łańcucha jego wyglądał, suknie były barwy ciemnej, krojem jakimś zakonne przypominającym.

Wczorajsi urzędnicy musieli mu opowiadać że Mszczuj niemieckiej mowy rozumieć nie chciał, zbliżył się więc doń Peregryn, w imieniu księcia witając go łamaną ale polską mową.

Mszczuj coś krótko odpowiedział, i choć Peregryn zdawał się chcieć od razu przyjaźnie zawiązać stosunek, dał poznać że chce pozostać nie spoufalając się — zdała.

— Kiedy mogę otrzymać posłuchanie u księcia? — spytał Waligóra.

— Bądźcie maluczko cierpliwi, — rzekł Peregryn, — teraz książe jest na Mszy świętej, po której psalmy i modlitwy odprawić musi codzienne; poczem dopiero przyjmie was ochotnie...

Moglibyście tymczasem, — dodał, — wygodniej spocząć na zamku naszym — gdzie- byście więcej ludzi znaleźli, a nie siedzieli jak tu samotni...

Mszczuj zgodził się na to, myśląc że się też lepiej na grodzie rozpatrzeć potrafi. Wyprowadzono konie, wyszli ci ludzie którzy towarzyszyć mieli posłowi, Peregryn ze swojemi przyłączył się do nich i cały orszak na zamek pociągnął.

Było na nim ludno dosyć, ale zarazem cicho... W podwórcach stały konie i wozy tych, którzy do księcia w różnych sprawach przybywali. Wprowadzony do wielkiej izby Mszczuj znalazł ją na pół już zajęta przez oczekujących.

Wpółśród nich, uderzyły go mnogie habity różnych duchownych ludzi i mnichów, białe, szare, czarne, — głowy wygolone, długie suknie klechów, którzy tu przemagali. Stali oni na przedzie a za nimi rycerstwo tutejsze, dostatniejsze i uboższe i łąni do rozpoznania po stroju i twarzach osadnicy i urzędnicy niemieccy...

W sali panowała cichość klasztorna, bo i ona sama coś miała w sobie klaustralnego.

Na jednej ze ścian wisiał ogromny krzyż z wizerunkiem Chrystusa..., u drzwi było naczynie spore z wodą święconą...

Nad wszystkimi wnijściami do niej białą kredą porysowane były litery, porozdzielane krzyżykami.

Woń kościelnego kadzidła, dochodziła tu zkadś — i powiększała złudzenie.

Mszczuj rozpatrując się pośród nagromadzonych, postrzegł twarz niegdyś, dawniej, z młodszych lat znajomą. Taką mu się ona przynajmniej zdała, choć niepewien był czy się nie mylił. Człowiek bowiem którego znał świeckim, wesołym a ochoczym towarzyszem, zestarzały, spoważniały, miał na sobie suknię zakonu Cystersów.

Gdy mu się przypatrywał jeszcze Mszczuj, zdziwiony tem podobieństwem, mnich także oczy skierował ku niemu, uśmiechnął się i zbliżać zaczął powoli.

On to był, ten którego zwano dawniej Mikołajem z Henrychowa, możny pan, pisarz i kanclerz księcia Henryka, który teraz własną wieś oddawszy na założony przez siebie klasztor, opatem w nim był obrany. Nosił on wprawdzie dawniej suknie kleryka, ale święceń nie miał, i nie okazywał powołania. Mszczuj który nie słyszał co się z nim stało, zdumiał się gdy go ujrzał witającego uprzejmie i z widoczną radością...

— O mój Boże! — zawołał — cóż się stało z wami?

— To co widzicie — odparł Cysters spokojnie — lepszą część obrąłem sobie — i — jestem szczęśliwy... Do portu przypłynąłem!

Waligóra patrzył jeszcze zdumiony, słowa nie mogąc wyrzec.

— Zdumiewa cię to, miły bracie, — odezwał się Mikołaj — mnie samemu czasem dziwno że Bóg łaską swą powołać mnie raczył i z Saula Pawłem uczynił... Skutek ci to jest świętego przykładu pana naszego i pani, nadewszystko jej, świętej niewiasty tej, która w gorliwości o chwałę Bożą, męża, dzieci i siebie by jej poświęcić gotowa, — a świata się wyrzec.

Mszczuj skłonił głowę... Głębokie przekonanie i zapal z jakim mówił ojciec Mikołaj, działało nań...

Mówili jeszcze, gdy szmer się dał słyszeć na sali, rozstąpili się wszyscy ode drzwi, szepać zaczęto dziwnie, poruszenie wielkie dało się czuć w tym tłumie, duchowni wystąpili wszyscy naprzód i postać nowa ukazała się u wnijścia.

Był to mąż lat średnich, ale straszliwie wychudły, opalony, ogorzały, w zaniedbanem ubraniu czyniącym go podobnym do żebraka. Oczy czarne nadzwyczajnym jakimś gorejące zapalem, miały siłę taką że ich wejrzenia nikt wytrzymać nie mógł. Głowa prawie cała wygolona, wązkim skrawkiem włosów tylko okoloną była, jak cierniową koroną. Nogi miał bosc i pyłem okryte, z przyczepionemi do nich drewnianemi trepkami, na sobie długą suknię z sukna ciężkiego brunatnego, podwiązaną prostym powozem...

Mszczuj który jeszcze w życiu nie widział żadnego z synów św. Franciszka, spytał Cystersa — ktobyto był.

— A! to jeden z uczniów tego świątobliwego męża z Assyżu, co nowy zakon żebraczy założył, który pokorą i ubóstwem, świątobliwością i zaparciem się nas wszystkich prześcignie.

Księżna chce im klasztor w Krośnie założyć, i uprosiła go sobie...

Wchodzący mnich, widząc że go ze czcią jakąś chcą przyjmować, jakby zawstydzony — cofnął się u drzwi na miejsce ostatnie.

Napróżno Peregryn usiłował go z zakątka wyprowadzić, oparł się i pozostał ubożuchno przy ścianie. Oczy wszystkich z niesłychaną ciekawością utkwily w tym człowieku, który natychmiast spuścił żrenice, skłonił głowę i uczynił się małym, aby odwrócić tę uwagę naprzykrzoną...

— Czemże my jesteśmy przy nich? — odezwał się z pobożną exltacją ojciec Mikołaj. — Ci bracia nie mają własnego nic, nie biorą pieniędzy, żyją jałmużną, a ciało swe karcą tak iż żywcem w niebiosa mogą być wzięci!

Szczęśliwy wiek, który razem widział narodziny dwóch takich mężów Bożych jak Dominik i Franciszek...

Waligóra słuchał, patrzył i zdumiewał się, bo na całym tym dworze, dokoła, o nim nie mówiono tylko o świętości i o szczęśliwości tych co się mogli Bogu poświęcić. Rycerski charakter dawnego otoczenia książęcego ustąpił i znikł pochłonięty religijnym zapalem.

Co było jeszcze rycerskiego tłumaczyło się tem tylko, że miało pogan do zwalczania i nawracania. — W Hiszpanii wojowano z Maurami, myślano o odzyskaniu straconego Jeruzalem i Palestyny, we Francyi tępiiono Albigensów, w Mazowszu Krzyżacy już się gotowali na Prusy.

Świeckie sprawy były dla wszystkich rzeczą podrzędną, a i te bez pomocy i opieki duchowieństwa nigdy się pomyślnie dla opornych mu rozstrzygnąć nie mogły.

— Wyście ludzie tu święci i świętością zajęci — rzekł Mszczuj do Cystersa — a ja wśród was czuję się obcym i ledwie nie wstydam oziębłości mojej.

— Leszek wasz też pobożny wielce jest i wiele dla kościołów czyni, dzięki ojcu swemu duchownemu który go na tę drogę wprowadził i utrzymuje; ale nie dorównywa panu naszemu, co się już równie jak pani nasza całkiem wyrzekł świata...

— A któż o panowaniu myśli u was? — spytał Mszczuj.

— Na młodych to spada, — rzekł Cysters... — Ci też w ślady rodziców wstępować będą. — Błogosławiona pani nasza wniosła nam to szczęście do domu...

— Słyszałem że jej tu nie ma — odezwał się Waligóra.

— Nie siedzi ona nigdy z mężem razem — rzekł Cysters, — bo w Trzebnicy jej lepiej jest, w murach zakonnych...

Domawiał tych słów, gdy oznajmiono księcia Henryka, który właśnie z kaplicy powracał... Szli przed nim dworzanie i Peregryn z Weissenburga z laską go poprzedzał. W ciemnej sukni, z krzyżem na piersi, smutnej i zadumanej twarzy, z długą ciemną, srebrzącą się brodą, która mu na piersi spadała, szedł ciężkim krokiem znużonego wiekiem człowieka, książę Henryk... Oblicze było pańskie, poważne, rycerskie niegdyś, bo śladów tej przeszłości nie zatarła terażniejszość, choć dziś smutna, pobożna rezygnacya i pokój tego co się wyrzekł wszelkich ziemskich nadziei, oblewała je. Wejrzenie na ludzi z pod ściężonych powiek padało dziwnie chłodne, obojętne, zastygłe... Dopiero wzrok rzucony na stojącego u drzwi, ubożego zakonnika włoskiego, odżywił martwe rysy, książę podszedł ku niemu i schylił się aby pocałować rękę mnicha, który się cofnął z pokorą.

Widok był dla wszystkich poruszający tego władcy korzącego się przed zbiedzonym człowiekiem w sukni połatanaj i wytartej.

Bądź co bądź było to zwyczajstwo ducha nad ziemską potęgą, był to tryumf słabości i pokory...

Książę spoglądał nań z rozrzewnieniem... lecz nie miał czasu wezwać tłumacza do rozmowy, ani zbliżyć się doń, gdy już komornik wpadł do izby, oznajmując nowinę wielką, niespodzianą, że księżna Jadwiga sama, przybywała z Trzebnicy.

Po wielkiem i nagłem poruszeniu jakie wnet zapanowało w izbie, po niespokojnej radości jaką książę i wszyscy przytomni okazali, można się było domyśleć jak potężnie umysłami i sercami wszystkich władała pobożna pani...

Znikł ów książę, przed którym schylało się wszystko przed chwilą, stał się jednym z tych co na panią czekali...

Panią ona tu była. Co żyło cisnęło się na jej spotkanie, na powitanie...

— Księżna! — powtarzano dokoła...

Rzadko bardzo odwiedzała Wrocław i męża pobożna Jadwiga, nigdy się z nim inaczej nie widując jak w orszaku swych towarzyszek i dworu, nigdy sam na sam. Uczyniony ślub rozłączał ją z mężem... Potrzeba było wielkiej wagi spraw, by się wychyliła z ulubionego schronienia w Trzebnicy, w którym była niemal sługą Bożych służebnic, a jednak ich panią i ich światłem...

Już od bram miasta, jak tylko pobożną księżnę poznał lud, ubodzy, duchowni, tłum wielki otoczył ją i wiódł aż na zamek. Cała wielkość świecka tego dworu, znikająca i malała w jej obecności...

Mszczuj stał patrząc ciekawie, i ani już wiedząc kiedy może otrzymać posłuchanie. Gdyby nawet Leszek sam pod ten czas się tu znajdował, znikłby był przy księżnie Jadwidze...

We drzwiach ukazała się ona.

— Byłali to ona? — spytał się w duchu Mszczuj. — Siostra królowych dwu, wielkiego rodu pani??

Zdumienie ogarnęło go wielkie. Ujrzał niewiastę, której włosy siwe okrywała zasłona czarna, w sukni powłoczystej długiej ciemnej, w takimże płaszczu, z krzyżem na piersiach, prawie ubogo odziana... Majestat jej jednak przebijał się przez tę odzież co go ukryć chciała...

Twarz wrażała podziwieniem i trwogę, — byli to żywej niewiasty oblicze, czy z grobu powstaje? Płynęła krew pod tą pergaminową skórą żółkłą i poczerniałą? Najmniejszego wzruszenia nie okazała postrzegłszy męża, nie drgnął żaden muskuł tej posągowej twarzy, skrzeplej siłą własnej woli, a kryjącej w sobie nadmiar życia i nadludzką jakąś potęgę...

Wzrok jej przerażający pokojem niezmiernym, zapożyczonym z jakiegoś źródła wyższego, potoczył się zwolna po przytomnych. W chwili gdy oczy jej zatrzymały się na Wąligórze, obcy ten człek, uczył dreszcz przebiegający po nim, jakąś siłą która go obezwładniała...

Oniemiał pod tem wrażeniem, pot wystąpił mu na czoło...

Zrozumiał teraz panowanie nad ludźmi pobożnej niewiasty, bo sam uczył na sobie moc jej. Ulegali jej wszyscy — milczenie głucho, pokorne zapanowało w izbie...

Księżna szła a oczy wszystkich ciągnęły za nią oderwać się od niej nie mogąc. Stała nareście w pośrodku, w pewnym od męża oddaleniu, który się przybliżać nie śmiał. Stał pokorny z głową spuszczoną, jak pierwszy jej sługa...

Gdy światło padło na nią, Wąligóra mógł się jej lepiej przypatrzeć. Wstyd mu było tego że się tak w pierwszej chwili dał olśnić temu majestatowi, podniósł więc oczy z wolą silną przyglądania się strasznej pani...

Korzystał z tego iż właśnie powołany do niej mnich przybyły, zajął ją całą.

Mszczuj rozpatrywał się w niej, i byłby może odzyskał swój chłód i obojętność, gdyby w tem głos księżnej nie dał się słyszeć. Mówiła do mnicha, cisza panowała na sali, a głos ten spokojny, stłumiony, w którym brzmiało znużenie i znękanie, — niemający żadnego uroku widocznego, dającego się tłumaczyć, znowu dreszczem Mszczuja przejął.

Był to głos jakby z za grobu wychodzący — którego słowo każde niemylnym wyrokiem i rozkazem...

Napróżno Mszczuj powiadał sobie iż niemką była, — nie mógł się w duchu przeciwko niej zbuntować. — Ile razy w stronę jego zwróciła wzrok, spuszczał oczy, niepokój go ogarniał, radby był uciec i skryć się.

Toż samo wrażenie oczy te i głos czyniły na wszystkich, choć w nich ani dumy, ni chęci panowania nie było. Czar jakiś mieszkiał w tej niewieście, która zdawała się z innego świata zstępować obdarzona mocą straszną i niezwykłą...

Mógł się o niej Mszczuj przekonać natychmiast, gdyż za ledwie z mnichem krótko pomówiła księżna, boczne drzwi otworzyły się od środka zamkowego; i z nich wyszły spotkane w drodze, a obronione przez Wąligórę, dwie podróżne, siostra Anna i sierota Bianka.

Tę bladą, przestraszoną, w pół omdlałą, oczyma obłąkanemi rzucającą dokoła jakby błagała ratunku, niemal gwałtem wciągnęła do izby siostra Anna..., prowadząc wprost do księżnej. Zbliżywszy się do niej, blada jak trup, Bianka z lekkim wykrzykiem boleści, padła na kolana i omdlała.

Nim się na ratunek zebrano, księżna Jadwiga krokiem powolnym podeszła ku niej — patrząc ciągle na zemdloną.

Wzrok ten sam już zdawał się działać na nią, — z wolna poczęła się przebudzać jak ze snu, zmienione jej lice wypogodziło się, uspokoiło, rozjaśniło... Otwarte powieki skierowała na księżnę, która wciąż na nią patrząc objęła zlekka za głowę a potem ręce na niej położywszy i zatrzymując długo modlić się zaczęła cicho.

W izbie milczenie się stało takie, iż szept jej słyszać było. Wszyscy patrzali na to powitanie przybyłej sieroty, nie wiedząc i nie rozumiejąc co to było. Postrzegli tylko jakby cud, łatwo pojętny, wystraszona, omdlała kobieta, wróciła do życia inną zupełnie, zwyciężoną, posłuszną...

Wzrok ten, modlitwa czy ręce które na niej spoczęły zmieniły biedną Biankę, budziła się istotą nową. Obawa ustępowała, dziwny spokój i ubłogosławienie malowało się w rozpromienionej twarzyczce...

Stała teraz posłuszna przed panią swą, która jeszcze tem wejrzeniem czarownem dokonywała swego dzieła... Wzrok jej sięgał do głębi duszy. Widać było że Bianka chciała go może uniknąć, lecz nie mogła... — Oczy jej zamykały się powiekami i podnosiły mimowolnie...

— Dziecię moje, wychowanico drogiej siostry nieszczęśliwej, za którą modłę się codzień — bądź pozdrowiona! — odezwała się do niej księżna głosem powolnym i łagodnym. — Wszystkie twe męczarnie skończyły się, matkę znajdziesz we mnie, a Bóg ojcem ci będzie...

Przybyłam tu po ciebie, bo mi aniołowie niebiescy oznajmili iż wczoraj stanęłyście pod tym dachem. Nie chciałam stracić i chwili! Idź, dziecię moje, w pokoju, pokrzep się snem, ukój modlitwą...

To mówiąc krzyż zakreśliła nad jej głową...

Mszczuj który zdala patrzył na to, jeszcze większą uczuł trwogę widząc jaką potęgę miała ta pobożna niewiasta. Bianki poznać nie mógł gdy pokłękłszy zwróciła się nazad z siostrą Anną do wnętrza zamku. Szła posłuszna, nie podnosząc oczu, nie chcąc już nic od ludzi, upojona, oczarowana...

Księżna wiodła za nią oczyma aż póki drzwi się za niemi nie zamknęły.

Naówczas zwróciła się do męża, z kilką słowy, których on wysłuchał z pokorą i rozrzewnieniem. Widać było po nim, że tęsknił za tą dawną towarzyszką, matką swych sześciorga dzieci, która go teraz za męża znać nie chciała...

Gdy na jego starej twarzy rozczulenie się malowało i jakby błaganie o litość, z surowego oblicza ks. Jadwigi wiał chłód i jakby politowanie.

On jeszcze tak świętym jak ona być nie umiał, dlatego nie chciała go spotykać inaczej jak w obec ludzi. — Ilekroć usiłował zbliżyć się ku niej, księżna cofała się... Ani widok tego dworca w którym lata długie przeżyła z nim, ani wspomnienie dzieci, ani błaganie starego o litość i słowo pociechy, nie mogły jej rozbroić.

Wieczny rozbrat uczyniła ze wszystkim co ziemskim było... Przeszłość którą Henryk przypominał ze łzami, dla niej była ciemną, smutną, upokarzającą.

Stojąca za nią zakonnica która jej towarzyszyła, siostra w Bogu i sługa, Domna, patrzyła, z założonemi na piersi rękami na to co ją tu otaczało z takim samym lub straszniejszym jeszcze chłodem..., i pogardą...

Lecz ani postawa, ani wejrzenie tej drugiej — nie czyniły tego wrażenia, jakiego każdy doznawał patrząc na księżnę. Domna była pospolitą niewiastą, nałamaną do klasztorного posłuszeństwa, duch ten jaki promieniał z ks. Jadwigi, nie mieszkał w niej.

Rozmowa z ks. Henrykiem była krótką, żona umyślnie się jej przeciągnąć nie dała.

Z kolei podchodzili i przybliżali się ku niej duchowni, z prośbami jedni, drudzy z podziękowaniem.

Nie wiadomo kto zawiadomił księżnę, iż siostra Anna z Bianką przez Mszczuja zostały ocalone od zbójców. — Powiódłszy oczyma po izbie tym samym wzrokiem wieszczym, jakim patrzyła na Biankę, trafiła na Mszczuja i odgadła go.

Zdała skłoniła zlekka głowę pozdrawiając, co Waligórę trwogą znowu przejęło, i zwracając się do męża, rzekła mu, iż słuszną jest aby starał się szlachetnego rycerza wynagrodzić.

Książę Henryk o niczem się nie zdawał wiedzieć, usłyszał to zdumiony, lecz posłuszny zawsze, skłonił głowę tylko na znak że rozkaz spełni.

Waligóra tak był zmięszany iż nie słyszał nic.

W tem Peregryn, przypomniał księciu posła Biskupa Iwona, który czekał na posłuchanie.

Lecz właśnie księżna wychodziła na modlitwę do kaplicy i mąż do progu ją przeprowadził.

Wróciwszy dopiero, powołał do siebie Mszczuja.

Ochmistrz mu zapewne oznajmić musiał iż poseł po niemiecku nie umiał, gdyż do zbliżającego się książe z trudnością przemówił bardzo połamaną już polszczyzną, która mu z wielką przychodziła trudnością. Wieść z nim rozmowę wśród otaczających nieznanymi ludźmi Mszczuj nie mógł. Pokłoniwszy się więc żądał chwili na osobności. Niechętnie jakoś zgodził się na to ks. Henryk, i po namyśle zwrócił się do innych drzwi prowadząc za sobą Waligórę. Przeszedłszy podsienie, wprowadził go książe do sypialni...

Tu znowu żywotowi jaki prowadził mąż pobożnej Jadwigi zdumieć się musiał Mszczuj. — Izba niewielka z lożem twardem, z obrazami świętych na ścianach, z klęcznikiem, nad którym wisiała dyscyplina ostremi zakończona drutami, z podłogą zimną i niepokrytą niczem, bez ogniska, — pozbawiona wszelkich ozdób i sprzętu rycerskiego, — ledwie się zdała wchodzącemu możliwą dla książe. Lecz książe ten był już anachoretą.

Był nim, a jednak chwilami wśród rozmowy zdało się jakby pokutnika dawny człowiek zwyciężał... Pobożność tę znosił on, pracował nad nią, lecz z głębin duszy nie wyszła u niego... Czuć było że go przygniatała.

Mszczuj oddał mu list biskupi, na który popatrzywszy trochę, Henryk położył go na stronie.

— Mówcie mi ustnie, co do mnie macie — odezwał się, — a naprzód o pobożnym Pasterzu waszym, którego niech Bóg błogosławi...

— Iwo zasła W. Miłości pozdrowienie i błogosławieństwo, — rzekł Mszczuj. — Od Światopełka i Odonicza otrzymaliśmy złe wieści. Pierwszy z nich wylamuje się od opłaty i posłuszeństwa, drugi Laskonogiego nęka i panu naszemu grozi. Obu potrzeba ukarać i wojnę tę skończyć. Na Waszą Miłość pan nasz Leszek rachuje, i do braterskiej jego pomocy się odzywa...

Henryk zamyślił się.

— Jakto? wojna? czegoż chcecie? posiłków?? — zapytał chmurno.

— Spodziewa się Biskup Iwo jej uniknąć — rzekł Mszczuj — znajdują się może środki na ukrócenie zuchwalstwa bez oręża, lecz na to potrzeba abyśmy pewni byli że nas sprzymierzeńcy nie opuszczą, że W. Miłość nie przeciw nam będziecie lecz z nami.

Książę popatrzał bystro.

— Leszek powinien wiedzieć, — rzekł, — żem ja mu braterstwo poprzysiągł, a com rzekł, wzywając na świadectwo Boga w Trójcy świętej jedyne, tego dotrzymam święcie.

— Tęgośmy się po pobożnym panu spodziewali — odparł Mszczuj. — Więc oznajmić tylko chcieliśmy iż na Leszka spiski się knują, aby one i tu kogo wciągnąć się nie ważyły. Jaksowie z nienawiści ku Biskupowi, z pomsty przeciw niemu, wszyscy się jednoczą...

— Cóż Jaksowie mogą? — odrzekł książe Henryk... — garść ich jest.

— Światopełka za głowę mają — dodał Waligóra.

— Odonicz gorszy od niego — odparł książe. — Krew w nim ta ojcowska, co to się niegdyś naprzeciw własnego rodzica podniosła. Laskonogi mu nie sprostą, bo łagodny jest i dobry... a Odonicz plugawy i zdracliw...

To mówiąc książe Henryk oparł się o stół ze znużenia, potoczył wzrokiem.

— Na list biskupi, — rzekł, — kanclerz mój odpowie. Zatrzymajcie się i spocznijcie tu... miłym mi gościem będziecie.

Wtem przypomniał sobie książe ocalone niewiasty i należną nagrodę.

— Winienem wam za męztwo wasze choć wdzięczną pamiątkę — odezwał się, — boście ocalili miłą żonę mojej sierotę.

— Miłościwy panie, — żywo począł Mszczuj, — to rycerska sprawa za którą się nie należy. Za kogokolwiekbyś byłbym dobył miecza...

Książę Henryk uderzył go po ramieniu i uśmiechnął się.

— Prawy z was żołnierz stary — rzekł. — Dawniej to i ja się rycerskiemu rado-
wałem rzemiosłu, dziś, inny wiek, myśli inne... Marność to są wszystko... panowanie,
rozkazowanie, szermierki i wojny, gdy na chwałę Bożą nie służą!

Ręką zamachnął w powietrzu.

— Powiał na nas z tą świętą niewiastą duch Boży, spadły z oczów łuski — przejrze-
liśmy... Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Mówił i wzdychał, jakby mu przecież tych czasów starych, rycerskich żal było...

I drugi raz uderzywszy przyjacielsko Mszczuja po ramieniu pożegnał go z tem, aby
sobie wczasu użył i spoczywał...

Waligórze zaś w tej niemczyźnie która go dusiła tak było jakby go kto w ukrop wsa-
dził. Chciał się wyrwać co rychlej. — Nie odpowiedział nic wyszedł, myśląc tylko
o odwrocie, gdy Peregryn czekający nań, ujął go i do stołu zmuszając poprowadził z sobą.

III

Jaszko wyruszył z Wrocławia do Płocka wprost, spodziewając się tam znaleźć ludzi po
swej myśli. Podłowczy księcia Konrada Gromaza był mu dobrze i poufale znany, bo Jaszko
z lepszych czasów miał po wszystkich kątach znajomości podstatkiem.

Nie były one wiele obiecujące, bo Jaksza najchętniej się wiązał z temi co do wypitej
i wybitej ochotni byli — ci go lubili on ich wzajem. Z poważniejszymi ludźmi nie do-
trzymał długo, i choć się na czas przystroił za męża na którym polegać było można, lada
co go czyniło jakim w istocie był. Podpiwszy ani języka strzymać, ani natury zwierzęcej,
namiętnej pohamować nie umiał.

Gromaza za dawnych lat, choć nieco starszy od Jaksy, takim bez mała był jak on.
Kumali się z sobą — ale, co się z nim teraz stało gdy lata trochę szal ostudziły? Jaszko nie
wiedział. Zawsze miał się do kogo udać w Płocku i kogo ucześcić.

Nie tajno zresztą było że Konrad Mazowiecki, choć z Leszkiem trzymał, burczał i żalił
się na niego. Spodziewał się Jaszko usposobienie na dworze, na Mazurach znaleźć jakiego
mu było potrzeba.

Los nadarzył że o mil kilka od Płocka będąc, na drodze spotkał właśnie ciągnących
tamże Krzyżaków, którzy dość wolno podróż przez nieznanne odbywając kraje, naostatek
radzi się byli dobić do stolicy książęcej.

W podróży łąco się robią znajomości, a choć poczet z którym jechał Jaszko wcale nie
był pokaźny, on sam też na gościńcowego łupieżcę więcej niż na prawego rycerza wyglądał,
— że języki umiał, wygadany był i kraj ten po trosze znał, Konrad von Landsberg i Otto
zawiazali z nim rozmowę. Potem popasali razem i bliższa zrobiła się znajomość.

Krzyżacy mieli nieco przesadne pojęcie o potędze księcia który im szerokie nadawał
kraje. Jaszko niechcący — wywiódł ich z tego błędu. Zasypano go pytaniami, ale że
karmiono i pojono, a oprócz tego na rękę mu było z niemi razem do Płocka zajechać,
Jaksza się do nich uwiązał.

O sobie jednak, jako ostrożny człowiek nie wiele im powiedział, — przyznał się że był
rycerzem (*Miles*) i że w życiu doznał niesprawiedliwości ludzkiej i nieszczęść, że szukał
teraz pomieszczenia i t. p.

Gdy się Płock ukazał ze swym zamkiem, ubogimi i niepokaźnymi kościołami, któ-
rych drewniane nowe wieżyczki ledwie się ponad dachy domostw trochę podnosiły w gó-
rę, bo je niedawno Prusacy spalili byli, — ze swemi chatami szaremi i ogrody nad brze-
giem Wisły rozrzuconemi, wielkie było Krzyżaków zdumienie... Zamek zdala wydał im
się mizerny, a wały sypane lichą obroną.

Murów choć jakie były na grodzie dostrzedz nie mogli zdaleka. Po niemieckich bur-
gach w kamień odzianych jak we zbroje, lichy i ubogo przedstawiał się im ten Płock,
a z niego Krzyżacy i o księciu wyciągali wnioski.

Pochmurniały im twarze dojeżdżając... Na gościńcu jeszcze natrafili komornika ksią-
żęcego, który do stadnin jechał. Ten na zapytanie o Konrada, odpowiedział im że go
w domu nie było i księżna tylko z dziećmi na grodzie mieszkała.

Jaszko dodał że i to jeszcze szczęście iż samą panią zastawali, bo niekiedy wszystek dwór z obawy napaści Prusaków chronił się do Wiskitek, Trojanowa lub w lasy do Warszowej.

Puściwszy Krzyżaków wprost na zamek, gdy sam nie miał prawa się tam rozgościć jak oni, Jaszko na Podzamczu wprosił się do chaty mieszczanina.

Tego dnia zaś znużony wielce, dał sobie wczas, siana kazał namościć w izbie, piwa grzanego napił się do poduszki, i chrapanął.

Słońce już było wysoko, gdy go chłopak zbudził oznajmując że na zamku popłoch był jakiś, jakby się na wycieczkę lub do obrony zbierano.

Odział się więc jak mógł najlepiej Jaszko i co żywiej pospieszył na zamek do Gromazy...

Zapytać chciał o niego u ludzi, ale ci jak oparzeni latali, i nikt na rozmowy czasu nie miał. Podwórza zamku wyglądały, jak gdy się nieprzyjaciela spodziewają. — Spędzano z paszy i noclegów stadniny, dobierano konie, z komór wyrzucano broń, topory, pałki, luki i żelaziwo. Włócznie stały stosami jak stożyska, a krzyku, wrzawy i lataniny tak było pełno, że na obcego wchodzącego nikt nie spojrzal tak byli ludzie zajęci, pilną jakąś sprawą wojenną.

Oklep wysyłano co moment czeladź, do blizkich osad i przysiołków; gdzieindziej trąbili dziesiętnicy i sotnicy zwołując swoich. Kwapiono się niezmiernie. Wśród tych kup Jaszko próżno szukał znajomych sobie Krzyżaków, którzy musieli wygodnie po podróży spoczywać. Szło wśród tego zamieszania nie rażno, jak gdy głowy gdzie braknie.

Jednego i drugiego przechodząc zaczepiwszy o Gromazę, ledwie się Jaszko doprosił, że mu wskazano izbę na tyłach, gdzie go miał znaleźć. — Niedaleko ona była od psiarni którą podłowczy miał pod zarządkiem swoim. Z jednej strony komora dla sokołów, z drugiej parkan zamykający psy, których głosy zdala słyhać było, w środku znajdowało się mieszkanie Gromazy.

Tu, chociaż nieco ludzi mniej i ciszej było, za to psiska wyły i ujadły... U drzwi wchodowych różnych sznurów i swór z żelaznemi obrączkami i obróżami wisiały pęki.

Gdy Jaszko wszedł do ciemnej i nie zbyt wonnej izby, w której chorych kilka psów spoczywało na słomie, naprzeciw niego wyrwał się pękaty, kuso odziany, w kaftanie skórzanym, na grubych nogach, czerwonej twarzy trędowatej mężczyzna, który kogoś innego spodziewał się widać, bo począł od klątwy.

— Dajeś zczes!

Dopiero wymówiwszy słowa te przeznaczone dla psiarczyka, poznał obcego i osłupiał jął się mu przypatrywać.

— Jaszko! a toż to co?

— Stary Gromaza! toć ja...

Ściskać się poczęli.

— A u nas tu słyhać było, — odezwał się łowczy, — że ty w Czechach, łapę ssiesz...

— Jużem się wyrwał! — odparł Jaszko, — ale o tem potem. Co u was za zamęt! Co się dzieje!

— U nas mało kiedy inaczej — krzyknął Gromaza — albo Prusacy na karku, albo już na nas wsiedli... Uciekaj do lasu, pędź na błota! Spokojnie jednej nocy nie wyspać!

A tu miłościwego pana nie ma, i rycerze niemieccy wczora przyjechali w gościnę, w sam czas gdy myby z domu radzi drapnąć.

— A gdzież książe? — spytał Jaszko.

Gromaza ruszył ramionami.

— Mnie się on nie spowiadał gdy jechał — rzekł. — Nie ma tego zwyczaju... Coś mu przypadnie, ruszy w świat... potem gdy się go najmniej spodziewają, jak piorun wpada nazad.

O! już tu u nas życie!

— Cóż Prusacy grożą? — spytał Jaszko.

— Nie grożą ale już na granicy lupią — zawołał Gromaza, — jak im zasmakuje nasze mięso, gotowi i pod Płock...

— Któż u was hetmani gdy księcia nie ma?

Na to pytanie Gromaza ramionami zzymnął.

— Kto będzie dowodził, nie wiem, — rzekł i zniżył głos. — Od czasu jak nam nie stało Krystyna z Ostrowa Wojewody, nie mamy nikogo...

Rozśmiała się złośliwie...

— Chyba ks. Czapla weźmie na się zbroję...

I wnet poprawił się łowczy.

— Mnie co do tego? u mnie aby psy a sokoły zdrowe były... i żeby dali dla nich strawę... a mnie co trzeba?... Chodźże do izby — dodał, — przysiądziesz na ławie, znajdę i kubek miodu...

Otworzył drzwiczki małe do alkierza, gdzie już tylko jednego psa leżącego na ziemi zastali. Ten zobaczywszy nieznanego człowieka zaburczał, odebrał rozkaz by milczał i spać się położył.

Komora była mała, na pół posłaniem zajęta, czuć w niej było świeżo lichy wyprawne skórki lisie, które wiązkami na ścianie były pozawieszane. W rogu stoliczek mały, u ściany ława drżąca na kółkach..., prostą chatę przypominały.

Podłowczy książęcy nie był bardzo wspaniale wyposażony, ale naówczas nie wiele wymagano, a Gromaza był skąpy i o wygody nie dbał.

Obejrzał się Jaszko po nie wiele obiecującej komorze... i przysiadł w kącie.

— A co! — bąknął, — możebym i ja się wam tu na co zdał teraz, boć żołnierzem jestem.

Gromaza popatrzał nań i nieśmiało bąknął.

— Poczekajże abyś miał z kim iść. — Nasze mazowieckie rycerstwo, choć po niego rozesłano, zbieży w lasy a nie pokwapi się do nas...

— A toż dla czego? — zapytał Jaszko, — ludzie przecie bitni i do ucierania się gotowi.

Gromaza pochylił mu się do ucha i śmiejąc się szeptał.

— Toście nie słyszeli jak książę Konrad sobie począł ze swojemi ziemiany??

— Nie.

— Trochę temu już dawno, ale ziemianie takich rzeczy nie zapominają, — mówił podłowczy, — Prusacy nas, jak to ich obyczaj osaczyli, podrapali i książę się im obiecał wykupić... Co miał robić? Życie trzeba było unieść. Przyszła godzina wypłaty — nie wiem czy w skarbie zabrakło, czy książę zły był na ziemiany że się nie bronili. Zwołał ich tu do Płocka jak na wiec. Myśleli panowie rycerstwo że im da jakie swobody albo ugości... Tymczasem gdy na zamek się zebrałi, książę im konie wszystkie i szaty kazał zabrać i odesłał jako wykup Prusakom. Niebożęta piechoto i bez opończy powrócili do dworów.

Otóż teraz gdy ich na nieprzyjaciela wołają, nie bardzo spieszą...

Jaszko się śmiał.

— Dobrze im tak, a czemu się od Prusaków nie bronili! — zawołał.

— My się teraz bez nich obejdziemy pono — dodał Gromaza. — Książę chciał zakon rycerski założyć przeciw pogan, ale się nam Dobrzyńscy nie udali, powołał Niemców co bywali w Jerozolimie i z pogany się znają. Jakci siądą na granicy, będziemy za niemi jak za ścianą.

— Wczoraj jechałem z niemi — odparł Jaszko, — dwu ich prawda jest zbrojnych doskonale i prawych rycerzy, pacholkiwie też niczego, chłop w chłopu, ale prędko ich nie stanie...

— Ci tylko na zwiady przyszli — odparł Gromaza dobywając z pod ławy dzban i częstując gościa...

Jaszko powoli cmoktał myśląc.

— Jeżeli na Prusaków się będzie wybierać — rzekł, — ja też nie mam co robić, poszedłbym.

Podłowczy głową tylko potrząsnął.

— Czemu nie — przebąknął trochę skłopotany, — tylko to — widzicie, miłośnicy mój — bardzo głośna była ta wasza przygoda na granicy, coście to Odrowążów dali wyrzezać... a sami się schronili...

Jaszko zapłonął i podskoczył ku niemu.

— Czyż ty nie wiesz jak było, — zawołał — toć nie z tchórzostwa pierzchnęli my — chcieliśmy się pozbyć Odrowążów, bo ich nam było nadto, i daliśmy ich na łup...

— Ludzie to wiedzą, przerwał Gromaza, — tylko że i z tem nie ma się co chwalić. Więc jakbyście się zaciągać chcieli, lepiej insze imię weźmijcie.

— I jam także myślał już — potwierdził Jaksza, — nie rażno mi z tem, gdyby o mnie gadali...

Pomilczeli trochę.

— Z kim tu gadać? — spytał Jaszko...

— Ja nic nie wiem — odezwał się Gromaza... — Widzi mi się że ci Niemcy co tu przybyli będą sami gospodarzyć i dowodzić, bo nie ma komu...

Jaszko wychylił miód... i wstał z ławy.

— Pójdę ich pomacam — rzekł... — a co zyszczę, z tem przyjdę do ciebie... Ty na Prusaków nie pójdiesz?

Gromaza potrząsał głową i pokazał na brzuch gruby...

— Niech każdy swojego pilnuje — na wilki, na niedźwiedzie, na lisy, jam zawsze gotowy, a co do mnie te bezbożne Prusaki należą? Skóry z nich nie zdjąć i wyprawna małoby się na co zdała..., ze psy na nich nie rażno, a ja innego wojska nie mam krom czteronogich.

Jaszko wyszedł.

Znowu się musiał przedzierać przez ludzi, nim do dworu się dostał w którym Niemcy gościli, ale tu ich nie było, poszli do księżnej Agaty, która ich przyjmować miała... W dziedzińcu Ottona von Saleiden przypóźniego spotkawszy, i kilka słów z nim zamieniwszy, Jaszko za nim do izby pociągnął.

Stał tu już Konrad w pełnej zbroi, w płaszczu, z hełmem w rękę oczekując na księżnę... Izba wielka niska, ciemna, pozawieszana była oponami, dosyć ozdobna, lecz duszno w niej było i nieczysto.

Na oponach, skórach, na zbrojach, poosiadał pył, z ław spadały kobierce i poduszki, nieład był jakiś i zaniedbanie. Obok bardzo kosztownych tkanin wisiały liche i stare...

Księżnej Agaty nie było tu jeszcze, i chudy, blady, z wejrzeniem kocim, ale oczyma bystremi, przymilający się do zbytku rycerzom stał mąż w sukni duchownej.

Miał na szyi krzyż, a na palcu pierścień, który tylko prałatom wolno nosić było. Pod płaszczykiem też biała rokieta widniała, bo się na przyjęcie zakonników ustroił. Twarz niemila, przebiegłością nacechowana, ruchoma i zmieniająca się, przybierała to wyraz pokory wielkiej, to jakiejś obojętności samolubnej. Chociaż nieco dalej stał pierwsze tu miejsce zajmować mający prawo Biskup Jan Gozdawa, starzec już wiekiem pochylony. — Prałat ten zastępował jego i księżnę i zastępować się zdał gospodarza.

Był to sławny, naówczas jeszcze ulubieniec księcia, ks. Jan Czapla, nauczyciel synów Konrada, doradca jego i prawa ręka, któremu głos powszechny przypisywał smutny, niezasłużony koniec męznego Krystyna Wojewody..., tego Konrad do więzienia rzucił, oślepić dał i w końcu zabić.

Był to pierwszy głośny czyn okrucieństwa, którym młody pan rządu swe napiętnował... Mówiono po cichu że ks. Czapla, zazdrozcząc wpływu Wojewodzie, a sam chcąc mieć przewagę na dworze, był do tego czynu poduszczycielem i doradcą.

Biskup przypatrywał się Krzyżakom, ich rycerskiej postawie i nieznanemu strojowi, — i stał na uboczu opierając się na kleryku, który mu towarzyszył.

Oprócz niego przytomnym był kasztelan płocki Wit z Chotla, człek też niemłody, krzepki jeszcze, lecz nieśmiały i niemowny. Ten to głowę gładził, to brody poprawiał.

Było i innych wielu urzędników dworu i kapelanów kilku, i komorników dosyć co się Krzyżakom chcieli przypatrzeć.

Jaszko łatwo się mógł ukryć w tym zbiorowisku i stanął za Niemcami, nie wysuwając naprzód.

Dobry czas czekać musieli niżeli księżna, która się na przyjęcie tych gości z całym przepychem wschodnim, do jakiego na Rusi nawykła, wystroiła, — weszła ze dworem swym i dziećmi starszemi... Jaszko jej nigdy nie widział... Wydała mu się poważną bardzo, lecz w twarzy jej niewieściej dobroci, łagodności i skromności wcale nie dostrzegł. Zmęczona nieco, nie zbyt już kwitnąca, chociaż tuszy znacznej i silnie zbudowana, księżna Agata miała w ustach i oczach wyraz zimny a surowy. Gdy milczała wargi jej zacinały się, a brwi ściągały i na czole występowały fałdy groźne...

Księżna wyszła w sukni ciężkiej jedwabnej, cała obwieszona łańcuchami, ręce mając pierścieniami okryte, głowę ubraną w przepaski kamieniami wysadzane. Nawet pas jej i obówie świeciło od złota i kamieni.

Z dumą wystąpiła witając rycerzy, a że po niemiecku mówiła mało, ks. Czapla odezwał się za nią, wyrażając radość z ich przybycia a razem smutek że pana nie zastali i właśnie w taką godzinę się tu znaleźli, gdy pruski napad nie dozwalał ich tak przyjąć jakby chciano.

Konrad von Landsberg, który zdawał się dzicz ową lekceważyć, a chciał się znaleźć po rycersku, odpowiedział scholastykowi tem że w lepszej chwili przybyć nie mogli — i radzi będą pomódz do odparcia pogan...

Wit z Chotla wniósł się dając wiedzieć że najezdniczy w dosyć znacznej liczbie byli, i po swojemu kawał już kraju spustoszyli. — Na obciążonych łupem zdawało się możliwem napaść z nienacka i pogromić.

Po krótkiej naradzie z Ottonem, brat Konrad powtórnie oświadczył się z gotowością — towarzyszenia i przewodniczenia wyprawie.

Księżna Agata przyjęła to bardzo wdzięcznie. Siły na odparcie najazdu już się zbierały, oddawała je rycerzom niemieckim pod ich rozporządzenie.

Nie było chwili do stracenia, gdyż zbiegi przybyli rano z okolic spustoszonych, opowiadali że Prusacy ciągle się w głąb Mazowsza posuwają.

Krzyżacy zaledwie przyjęli wezwanie do stołu, który już dla nich był przygotowany, i natychmiast sposobić się chcieli do tej wycieczki...

Księżna sama powiodła ich do jadalni, w której tak samo jak z ubraniem wystąpić chciała z bogactwy. Dobyto więc ze skarbcza wielką ilość starych, ciężkich, zaśniedziałych sreber, których nawet dobrze oczyścić nie miano czasu. Było ich więcej niż potrzeba, widocznie na okaz..., ale jadło i napoje nie odpowiadały zastawie.

Z księżną na dwór przybyły zwyczajne i potrawy ruskie, bardzo różne od tych do jakich byli Krzyżacy przywykli. — Inne jadło po domowemu było przyprawne, niektóre przysmaki po niemiecku.

Troisty ten charakter miał i dwór księcia Konrada, polski potroszę, ruski i niemiecki zarazem. Tego ostatniego żywiołu, jak po wszystkich książęcych i tu było dosyć. Umieli się wcisnąć ci nauczyciele i dozorczy, bez których zdało się wówczas że się obejść niepodobna. Trzy te języki, z dodatkiem łacińskiego, którym się duchowieństwo, zwłaszcza obce posługiwało, krzyżowały się u stołu, słycać je było wszędzie. Wprawdzie czeladź po polsku mówiła, lecz im kto stał wyżej tem się więcej swej mowy wystrzegał, bo nie wydawała się dosyć szlachetną, dość światową — była to mowa ludu — zwano ją pogardliwie — pospolitą, a każdy wyróżnić się chciał i nie być pospolitym...

Jaszko zdala się trzymając, nie narzucając dostojnikom, razem z pomniejszym rycerstwem się umieścił, przypatrywał się a słuchał.

Nie wiele mógł skorzystać, bo ze wszęch stron tylko obawę Prusaków słycać było i opowiadania o ich zuchwalstwie, z drugiej zaś strony odgrążania się Krzyżaków. Dopytywali oni o sposób wojowania pogan, o ich broń, i liczbę — zbrojnych.

Wit z Chotla o tej ostatniej powiedzieć nie umiał, rachowano ją bardzo różnie, kupy były wielkie, ale według niego niesworne, bezładne... Za cały oręż służyły im pałki, topory, miecze od Pomorzan nabywane, łuki i proce, małe pociski z twardego drzewa... Znaczniejsza część miała walczyć mało odziana, na w pół naga... Zbroi u nich tylko u dowódców nieco być miało. Wprawdzie w pierwszej napaści rzucali się wściekle, walczyli zajadle, lecz byle popłoch padł na nich, uchodzili bezładnie.

Brat Konrad, wysłuchawszy tego opowiadania, zaręczał że dobrze zbrojne rycerstwo niemieckie, żelazem okute, sprosta małą garścią temu tłumowi, a kilkudziesięciu knechtów seciny ich pędzić będzie.

Otto von Saleiden mniej obiecywał, wstrzemięzliwszy był — lecz i ten nie zdawał się wątpić iż im podolają.

Czasu obiadu jeszcze, dawano znać że gromady wojska, które ściągano z bliższych gródków i po osadach, nadchodziły... Dnia tego wyruszyć na Prusaków już było niepodobna, czekano na posiłki nowe, ale nazajutrz ze dniem Krzyżacy wyciągnąć chcieli.

Jaszko powiedział sobie że pójdzie z niemi. Nie miał nic lepszego do roboty. W ten sposób mógł się zasłużyć księciu, i albo u niego umieścić, lub przynajmniej mieć czas do rozpatrzenia się.

Jak skoro rozchodzić się zaczęto, Jaksza wrócił do swojego Gromazy, który też był podjadł ze dworem, i popijał czekając nań.

Poczęli sobie przy dzbanku stare przypominać dzieje, lepsze i weselsze czasy. — Korzystając z coraz skłonniejszego do wywnętrzenia się usposobienia Gromazy, Jaszko zagadnął o księcia Konrada.

— Ten kiedyś panować będzie, — rzekł, — bo ma męztwo i wolę własną... Jemuby Kraków należał nie Leszkowi, który do panowania smaku nie ma, a księżom nad sobą daje przewodzić. Ale też Krakowianie już go mają dosyć.

— Hę? — ozwał się Gromaza. — To stara wiadoma rzecz, że oni długo jednego nie lubią. Naszemu panu śmieje się Kraków!!

— Byle chciał! — zawołał Jaksza.

— Mało tego jednak — rzekł Gromaza, — nas tu wasz Leszek tak wlepił w ręce pruskie, że się ruszyć nie ma sposobu. Miał rozum, bo gdyby Konradowi ręce rozwiązano... nie dalby mu siedzieć spokojnie...

Otóż na to nam ci Niemcy jerozolimscy potrzebni — dodał Gromaza — jak oni nas od pogan zastąpią!! hm! hm!

— Ja wam powiadam byle chciał! — mruknął Jaksza okiem dając znak...

— A ja wam mówię że chce! — rozśmiał się Gromaza — byle mógł. — Księżna pani nasza też wołałaby siedzieć na Krakowie, bo dumna jest... Ona też coś znaczy.

Jaszko po długiej naradzie z przyjacielem poszedł się jeszcze rozmówić z Konradem, potem do gospody wyleżeć, a jak świt... trzeba było na koń i w pole. Prusacy byli niedaleko...

Mało tam kto spał tej nocy na zamku, bo ciągle to przybywały poczty, to słano na zwiady, to języka przynoszono, a drudzy się sposobili. Jeszcze nie szarzało gdy się rogi dokoła odzywać zaczęły, nawołując ludzi, knechty już gotowe stały w dziedzińcu, konie posiadlane... Jaszko się ze swemi do Niemców przyczepił, i miał iść z niemi.

Wit z Chotla, który na grodzie gospodarzył wśród tego zamachu wielkiego na nieprzyjaciela ledwie się doprosić mógł aby mu tyle zostawiono co koniecznie potrzeba było dla bezpieczeństwa zamkowego.

Księżna Agata, choć nie zbyt bojaźliwa, nie dozwalała Płocka ogałacać zupełnie, bo odsieczy i męża nie wiedziała kiedyby się mogła spodziewać.

Po wyruszeniu znaczniejszej części sił z grodu, nastąpiła tu jakaś złowroga cisza i pustka... Dniało, gdy z góry zamkowej można było dojrzeć wysuwające się w pole pułki, na których czele jechali Konrad i Otto... Knechci nieśli chorągiew zakonu, pierwszy raz nad tą ziemią powiewającą. Zdąła, niewyraźna brzmiała pobożna pieśń niemiecka, i nucenie a wykrzyki Mazurów, którym serca i ochoty dodawali Niemcy.

Jakiś czas widać ich było przeciągających polami, potem zaczęli tonąć w lesie czarnym który ich całkiem pochłonął... Zamczysko stało jak opustoszone, nieme i dzwony dwu kościołów wołały tylko na modlitwę za tych co przeciw poganom wyruszyli.

Księżna Agata spoglądała z okna za odchodzącymi, patrzyła długo zadumana, namarszczona, gniewna;... a gdy ks. Czapla przyszedł jej oznajmić, iż wojska wielkiem męztwem zagrane poszły z błogosławieństwem kościoła po pewne zwycięstwo, odpowiedziała mu głośno.

— Zdałby się teraz Krystyn z Ostrowa!!

Ks. scholastyk którego twarz błąda zarumieniła się aż do siności, zrozumiał ten wyrzut, zlekka się pokłonił i wyszedł z izby...

Ani tego, ani następnego dnia wieści żadnej od wojska nie było. Wieśniacy z okolic przybywający rozpowiadali najsprzeczniesze rzeczy, to o zbliżających się Prusakach, to o ucieczce ich na samą pogłoskę że im czoło stawić miano.

Przynoszono księżnej te słuchy z Podzamcza — lecz pewnej wiadomości czekano na próżno.

Trzeciego dnia wieczorem niepokój coraz większy zaczął obejmować księżnę. Roześlała ludzi aby księcia szukali, czekała posła jakiego od wojska... — napróżno. Słońce już zachodzić miało, gdy Gromaza, który stał na czatach w bramie zamkowej, postrzegł na polu konnego, który w cwał pędził ku miastu... Zdąła rozpoznać było trudno jeźdźca, lecz zdawał się zbrojny i odziany jakby do wojska należał...

Znikł mu on za chatami i ogrodami na czas krótki, a wnet tentent konia oznajmił, że się ku zamkowi zbliżał. Wybiegł za wał naprzeciw niemu Gromaza i postrzegł już nadciągającego Jaszka, który za ledwie rozpędzonego konia mógł wstrzymać.

Gdy go ściągnął gwałtownie poznawszy podłowczego, koń padł na cztery nogi wysilony, i Jaszko też na ziemię z nim się obalił.

Już pytać go spojrzawszy nań nie potrzebował Gromaza. Jaksza miał posieczoną zbroję, podarte suknie, głowę obnażoną, ręce krwawe...

Gdy podłowczy podbiegł aby mu rękę podać i pomódz do podniesienia się — Jaszko ledwie miał siłę zawołać...

— Padli wszyscy!! jam ledwie z życiem uszedł.

Załamął ręce Gromaza — gdy w tem ks. Czapła, zdala postrzegłszy też jeźdźca, nadbiegł ku niemu...

Tuż i inna gawiedz zamkowa zbierać się zaczęła... Lecz z Jaszka, jakby się wysilił na tych słów kilka dobyć już nic nie było podobna. Musiano go jak nieżywego wziąć na ręce i zanieść do komory we wrotach, gdzie go rzeźwić i poić zaczęli ludzie, aby mógł coś więcej powiedzieć...

Na grodzie popłoch się stał straszny, jak gdyby już zwyciężkie tłumy Prusaków nań ciągnęły. Zamykano wrota, obwoływały się strażce...; ludzie biegali jak oszaleli.

Jaszko nierychło mógł rozpowiedzieć co widział — bitwa miała trwać zajadła niemal dzień cały. Cudów męztwa dokazywali, jak opowiadał, on i Krzyżacy, lecz siła napastników była przemagająca, niezliczona, i w końcu pokonała... Knechci niemieccy paść mieli wszyscy, Konrad i Otto, okryci ranami, zgnieceni zostali na pobojuwisku — resztki Mazurów rozproszyły się po lasach...

Z opowiadania Jaksy wyrozumieć jednak dawało się że Prusacy też ponieśli straty wielkie, i dalej w kraj na pustoszenie go posuwać się już pewnie nie będą śmieli.

Gdy dano znać księżnie o tem, sama zbiegła do wrót, aby z ust Jaksy posłyszeć straszną wiadomość, załamala ręce, zaczęła płakać i zawodzić.

Ostatnia nadzieja jaką pokładano w rycerzach niemieckich zawiodła, sam zakon straciwszy najdzielniejszych swych dwu wysłańców, mógł się cofnąć i odmówić pomocy...

Zebrano radę natychmiast... Wit z Chotla, ofiarował się z garścią pozostałą na zamku jechać przynajmniej ciała poległych niemieckich rycerzy odzyskać, aby je chrześcijańskim uczczono pogrzebem. — Mówiono za i przeciw... Jaszko choć ranny i bezsilny, gotów był prowadzić i wskazać pobojuwisko...

Cała noc upłynęła w narzekaniach i sprzeczkach. Jeden ks. Czapła nie ukazywał się już księżnie pod pozorem że młodych swych uczniów strzedz musiał. Nad rankiem Wit ruszył z zamku, bo i duchowieństwo i Biskup nalegało aby braci zakonnych ciała odszukać koniecznie. Jaszka nie potrzebowano brać za przewodnika, gdyż z opisu jego łatwo odgadywano miejsce potyczki. Rannego i potluczonego podłowczy zabrał do siebie...

Drugiego dnia wszakże umierający Jaszko, wstał z barłogu i zażądał się napić...

Gromaza zaręczał że jak tylko pragnienie się znalazło, nic mu już nie będzie. Jakoż wieczorem siedzieli przy dzbanku, a kości na ziemi świadczyły iż Jaszko się dobrze posilił. Opowiadał teraz o swych męźnych czynach i strasliwej mocy pobitych nieprzyjaciół.

— Ależ to jak komu szczęście — dodał Gromaza. — Raz uciekłeś od Prusaków umyślnie a oto teraz wtóry z musu — dość że bez uciekania się nie obeszło.

Omało między dobrymi przyjaciółmi z powodu tej uwagi podłowczego nie przyszło do kłótni, Jaszko się jednak dał zagodzić...

Dano znać że na wozach przywieziono Konrada i Ottona. Wysłany po nich Wit z Chotla, znalazł jeszcze dających znaki życia... Oba acz okrutnie pokaleczeni, w zbrojach które im pałki pruskie powcisnęły do kości, dyszeli jeszcze...

Natychmiast księżna sama i cały dwór jej, duchowni, komornicy, kto tylko czuł się do tego zdatnym, zajęli się jak najpilniej rannymi. — Wezwano baby z ziołami, księży którzy się cokolwiek na lekach rozumieli, księżna nie odstępowała od ich łoża...

Mała i słaba nazajutrz była nadzieja że się przy życiu utrzymają.

O Jaszku nikt nie myślał, ale on o sobie sam pieczę miał pilną. Na usposobienie umysłów wpłynęło i to że Prusacy po krwawym boju cofnęli się w lasy swoje, gdyż straty ponieśli wielkie.

Konrad i Otto już dawali znaki życia wracającego, które wróżyć dozwalało że uzdrowić ich będzie można, gdy jednego wieczora z utęsknieniem oczekiwany książę Konrad na zamek powrócił. Po drodze już dowiedział się o wszystkim. Nie tyle go bolał napad i spustoszenie części ziem co nieszczęście jakie Krzyżaków spotkało.

Zaledwie przestąpił próg zamkowy, gdy cisza jaka tu panowała zmieniła się w dziwny zamęt strwożonych ludzi... Sam Gromaza nawet inaczej chodził i trwożnie przysłuchiwał się i oglądał... Czuć było pana w domu.

IV

Jaszko ranny ochotnik, towarzysz w boju Krzyżaków, choć z placu umknął szczęśliwie, zyskał sobie jednak pewne względy. Znano go tu pod imieniem przybranem Budziwoja, krakowianina... Księżna Agata posyłała się o niego dowiadywać, słano mu baby i leki, Gromaza karmił i zabawiał, nie było mu źle, a czas tu strawiony dozwalał się rozpatrzeć i rozsluchać. Nie chciał z guzami i sińcami stawiać się na dwór Odonicza lub Światopełka, chodził więc obwiązany, stękając — i gdzie mógł ucha nastawiał. A że natura ciągnie wilka do lasa, choć jużby wiek był powinien krewkość uśmierzyć, jak tylko cokolwiek wydobrzezał, znalazł drogę ku terenom księżnej, gdzie piękne go wabiły rusinki.

Wprawdzie dwór ten żeński był surowo trzymany w odrębnym budynku, do którego przystępu mężczyznom wzbraniano, ale niemniej co wieczora panny wychodziły ku wrotom, a młodzież do nich zabiegała.

Tu się zabawiano w śmieszki, zagadki, śpiewki nucone pół głosem, rozmowy ciche, a ludzie opowiadali iż niekiedy i wewnątrz teremów umiano się zakradać.

Trafiały się z tego burze, gdy pani starsza schwytała dziewczęta na gorącym uczynku umizgów z chłopcami, rozbiegało się co żyło, szły skargi do ochmistrza — lecz to ledwie na chwilę pomagało... Po kilku dniach ten i ów podkraść się znowu ku wrotom, młodzi włączili na parkany... i śmiechy puste wracały.

Ochmistrzynią nad niewieścim dworem była średnich lat, niegdyś bardzo piękna, teraz jeszcze powabna i urodziwa, biała i rumiana, pięknego wzrostu i tuszy Sońka, ulubienica księżnej Agaty, przywieziona z nią z Rusi, która surowo trzymała dziewczęta, ale sama lubiła też się pośmiać i — nie gardziła mężkiem towarzystwem.

Przez nią, jak mówiono, wiele się na tym dworze robiło. Sońka wiedziała o wszystkim, a kogo zgubić chciała, prędzej później padał ofiarą. — Jeżeli ząb do kogo miała, nigdy mu tego nie ukazywała, owszem była uprzejmą i chłodną — a gdy nieprzyjaciel nie miał się na baczości, — niespodzianie spadała nań mściwa jej ręka.

Najmożniejsi tu ludzie szanowali ją i lękali się jej, sam ks. Czapla ulubieniec księcia, Wit z Chotła, inni urzędnicy dworu, kapelani, rycerstwo kłaniali się tej ukrytej potędze, która nie występowała nigdy jawnie, ale każdy się z nią musiał rachować.

Parę razy księżna troskliwa o wszystkich co z Krzyżakami byli w tej bitwie, posłała samą Sońkę do Jaszka, aby się o stan jego dowiedzieć. Jaksza, który od Gromazy słyszał jakie znaczenie miała na dworze starsza pani, tak się jej umiał przypochlebić, tak podżyłej babie młode okazywał dla jej wdzięków uwielbienie, iż ją sobie pozyskał. Więc już bez rozkazu księżnej zachodziła tu czasem rannemu rycerzowi przynosząc jadło lub napój. Owych czasów medycyna chorych i pokaleczonych co najsilniejszym jadem i staremi, mocnymi napojami leczyła. — Udało się to z ludźmi zahartowanymi, u których natura oddziaływała skutecznie. Sońki miód i mięsiwa bardzo dobrze wpływały na Jaszka... a jak skoro mógł się odziać przystojniej, poszedł podziękować opiekunce. Raz wpuszczony do niej umiał się dowiedzieć o godzinach, w których swobodniejszą była, i ciągnął na rozmowy, w których obok zalotów, na jakie się zdobywał, mnogie inne wiadomości wyciągał.

— Jaki to z ciebie lis! — mówił mu podłowczy — jak to ty umiał trafić do kurnika!! Hej! hej!

Jaszko śmiał się bo mu to pochlebiało.

— E! Gromaza, — odpowiadał, — tyś także powinien wiedzieć że przez baby się najlepiej robi wszystko. Języka nie umieją utrzymać, a oczy mają lepsze od naszych!

— E! Sońka mądra! — mówił Gromaza... — U naszego księcia zje licha kto co wyrobi, ona ma takie sposoby, że i do niego, jak nie sama to przez księżnę drogę znajdzie...

Ze starszą panią począwszy od pochlebstw, Jaszko doszedł do poufanych zwierzeń. O szarej godzinie, po cichu, mówił jej o dworze Leszka, badając jakie dlań uczucia miał Konrad; przyznał się przed nią że on w Krakowie wysiedzieć nie mógł, że ciągnął do Światopełka i Odonicza i życzył księciu Konradowi panowania...

Raz i drugi zwierzył się jej z tem... nic mu nie odpowiedziała, lecz w parę dni, raz gdy u Gromazy siedział, przyszedł komornik książęcy i powiedział mu że pan po wałach chodzi, a radby go widział.

Jemu też tego było potrzeba tylko. Księcia prawie jak nie znał, zdaleka więc, nim się zbliżył z pokłonem, począł mu się przypatrywać.

Leszkowego brata, poznać w nim było trudno. Twarz była inna, namarszczona, po-fałdowana, niespokojna, namiętna, w oczach coś dzikiego, ruchy miał gwałtowne, mowę krótką i ostrą. Widać w nim było że podrażniony mógł się szaleństwa i wściekłości dopuścić... Duma wydymała mu usta, — na małe księstwo za wielkim panem chciał się okazywać.

Jaszko nie bez pewnej obawy zbliżać się począł ku niemu..., tak jak się do zwierza straszego podchodzi, oglądając aby mieć odwrót pewny. Słyszał bowiem że za ks. Konradem nigdy nikt ręczyć nie mógł jak się skończy rozmowa, a rycerz nie rycerz, swój czy cudzy u niego to nic nie znaczyło. Wieszał i ścinał gdy w gniew wpadł, w gniew zaś wpadał bardzo łatwo...

Jaszko nie wiedział po co był zawołany, mogła to być nagroda lub chęć zaciągnięcia go w służbę, czego teraz, gdy się tu rozpatrzył nie bardzo życzył sobie, a odmówić łaski ks. Konrada — strach było.

Książę chodząc gdy postrzegł Jakse, także mu pilno się przyglądał.

Pokłonił się zdala Jaszko.

— Słyszę z Krakowa jedzicie? — zapytał.

— Tak jest, miłościwy panie, — odparł Jaksa.

— Co ci tam nie w smak było?

Jaksa zmilczał.

— Człek po świecie, zwyczajnie, szuka szczęścia, a często znajdzie guza, — odparł Jaszko... — Z założonemi rękami siedzieć rycerskiemu człowiekowi nudzi się, a u nas nie ma co robić. Nasz pan spokojnego ducha jest.

Konrad bystro nań popatrział.

Jaszko nie dając czasu na odpowiedź, pospieszył dodać.

— Mam powinowatych u księcia Władysława i Światopełka, tam kord się przyda zawsze, i myślę ciągnąć...

Zmarszczył się książę Konrad.

— Znalazłeś się po rycersku żeś i po drodze nie próżnował — rzekł żywo. — He? oto macie wy krakowianie próbkę jak mnie na moim dziale obsadzono... Leszek siedzi spokojny, a ja tu na rubieży oganiać się muszę iż tchnąć nie mam czasu... Byli poganie już w Płocku, spalili kościół i wieżę, splondrowali miasto... nabrali mi dziewczek i młodzieży. Takie moje tu życie!! Prawda — dobre?

Jaszko głowę schylił.

— Choć W. Miłości z tem niewygodnie, — rzekł, — ale coby robił nasz pan, gdyby go tu posadzono?? Właśnie to przystało dla rycerza siedzieć tam gdzie o walkę nietrudno...

Prawda że i Leszek bił się dobrze pod Zawichostem, męztwa mu nie brak, ale serca do tych spraw nie ma...

Spojrząwszy na Konrada, Jaszko spuścił oczy prędko, tak dziwne spotkał wejrzenie jego, badające i złośliwe.

— Gdybym ja siedział na Krakowie, — zawołał śmiejąc się, — wiedziałbym ja co tam robić. — Jest i tam co poczynać!!

Nastawił pięść podnosząc ją do góry.

— Tam u was książę nie książę, sługą być musi Biskupa i rycerstwa... — zawołał groźnie. — Iwo jak jego poprzednicy dobrał sobie takiego co go słucha. Niechbym ja tam był, musiałyby Biskup siedzieć w kościele, a rycerstwo iść tam gdziebym kazał...

Jaszskowi zrobiło się ciepło koło serca, boć też poczuwał się do tego rycerstwa, lecz minę zrobiwszy układną — rzekł.

— Juści głowy słuchać trzeba — i musi jeden rządzić a rozkazywać.

— A u was przez to źle, — dodał Konrad, — że rozkazują wszyscy, i nikt nie słucha... Jeden Biskup tam pan i jego klechy...

Ja z księdzem w kościele żyję zgodnie, ale żeby mi ów nosa wtykał, gdzie jemu nie należy — tego nie dam!!

Wyrwało się to wyznanie księciu jakby mimowolnie, wnet języka zakąsił i zmilkł.

— Jechać chcecie do Władysława młodszego i do Światopełka? — zapytał.

— Tak jest miłościwy panie...

— A toć oni z twoim panem nie są w zgodzie?

Na to pytanie Jaszko nie odpowiedział, milczenie zań mówiło. Konrad je zrozumiał.

— Ja się do ich sporów mięszać nie myślę — dodał po przestanku — mam dosyć biedy w domu.

Ale z pomocą rycerzy niemieckich, którzy mężni są i dobrą broń mają, a naprowadzą mi najlepszych swoich ludzi z całych Niemiec, przecież rady dam... Siedzieć będę za niemi jak za murem.

Jaszko głową potwierdzał...

Książę namyślił się trochę i powtórzył dobitnie.

— Ja się tam w te spory z Leszkiem Światopełkowe nie będę wtrącał. Światopełk mi na Pomorzu potrzebniejszy...

Jaksa zrozumiał iż to co słyszał mógł powtórzyć i uśmiechem a ruchem rąk gorliwie potakiwał. Rozmowa byłaby może przeciągnęła się i jeszcze stała otwartszą, gdyby książę, który na wałach stał nie postrzegł czegoś w oddaleniu. Zwrócił się natychmiast cały, ku orszakowi, który właśnie wjeżdżał we wrota.

Na koniu niewielkim, kosmatym, silnym, okrytym suknem ukazał się mąż siwy, z włosami dość długimi i brodą, twarzą zarumienioną znużeniem podróży i pośpiechem. — Ze stroju choć nie zupełnie prawidłowego domyślać się trzeba było duchownego, bo i krzyż miał na piersiach, i na palcu ów ogromny pierścień ciężki, jaki Biskupi nosili... Z ramion mu spadał płaszcz kunami podszyty, czerwono-fioletowej barwy... Za nim jechało dwóch księży czarno ubranych, jeden mnich biały, i orszak wcale do innych ówczesnych niepodobny.

Składał się on z ludzi niewielkiego wzrostu, krępych, dość dziki mających pozór, w spiczastych czapkach, z drewnianymi klockami za pas pozatykanymi, z obnażonymi piersiami, nogami w skórzniach oplatanych, pałkami na plecach, toporami u siadzeń.

Z obu stron starca jakby na straż, na małych krzypkach koniach, tak samo przyodzianych, lecz dostatniej, z wyższymi kołpakami na głowach — postępowało dwu starych także — brodatych i dumnie patrzących ludzi...

Z tyłu dopiero kilku jeźdźców lepiej zbrojnych ciągnęło. Jeden z księży na ręku wioził dużą księgę z klamrami, drugi miał przed sobą jedwabny wór krzyżem czerwonym oznaczony.

Książę zobaczywszy przybyłych pospieszył sam na przyjęcie. Lecz nie widać w nim było tej pokory i uległości jaką Leszek ukazywał duchowieństwu... Konrad wszędzie i zawsze czuł się panem...

Nim się zbliżył, Biskupa już z konia zszadono, ks. Czapła z drugiej strony, znalazł się na przyjęcie jego.

Był to Krystyan Biskup i apostoł Prus, gorliwy ów kapłan, któremu pierwsze może ziarna kielkujące chrześcijaństwa winna była ta ziemia. Poprzednicy jego umrzeć tylko umieli za wiarę, on silił się na to aby ona tu żyła i kwitła.

Lecz nie szło mu o nic więcej tylko o jedną chwałę Bożą, nie chodziło nawet o zasługę aby on ją zaszczepił, gotów był się usunąć, ustąpić, pomagać, byle „synów Beliala” jak zwał Prusaków w swej księdze, którą o nich napisał (*Liber filiorum Belial*) — na łono Kościoła pociągnąć.

Z jego to porady, po rozbiciu braci Dobrzyńskich, Konrad powołał Krzyżaków — a dowiedziawszy się jaki ich tu los spotkał na wstępie, pobożny i pełen zapału Biskup przybywał, aby wyrazić swój żal — i starać się podnieść męztwo rycerzy.

Zaledwie z konia zsiadłszy, niespokojny wielce, Biskup począł nie o księcia pytać ale o rannych, nie myślał o powitaniu pana, i kazał się wieść do łoża braci szpitala P. Maryi.

Z pierwszych słów poznał w nim zdala patrzący Jaszko, męża jakich pod suknią duchowną mało się znajduje; ożywionego duchem rozplomienionym do namiętności...

— Gdzie są? Żyją? Będą żyć? Prowadźcie mnie do nich? — wołał nagłąc na ks. Czaplę, który stał dosyć zimny.

Wtem i ks. Konrad nadszedł, pokłonił się Biskupowi, który go prędko pobłogosławił, mruknął coś tylko i wykrzyknął.

— Trzeba było aby ich na pierwszym kroku spotkało to nieszczęście!

— Ojcie Krystyanie — przerwał Konrad — mnie się zda że żadnego nieszczęścia nie ma. Księżna ich wyprawiła nieopatrznie, dwu ich i kilkunastu knechtów na to mrówię... Ze sławą walczyli, zwyciężyć nie mogli, a Prusakom tak się dali we znaki, że nierychło przyjdą na te gody! A co się ich samych tycze... żyć będą i męztwa nie stracą!

Biskup wznosił ręce ku niebu... Szli ku dworowi. Konrad korzystając z usposobienia Krystyana, dołożył zaraz.

— Idzie o to aby Mistrz zakonu widząc że tu sprawa trudna, nie położył nam zbyt ciężkich warunków...

Krystyan stanął.

— Byle kraj podbili i nawrócili, nie ma najcięższych którychbyśmy nie przyjęli — począł gorąco. — Nie wiem co W. Miłość postanowisz, ale ja coście mi z łaski waszej dali i dozwolili, ziemie, dziesięciny, własności, prawa — ja im oddaję wszystko! wszystko! nie wyjmuję nic! Niech biorą co chcą! Nie można zbyt drogo opłacić zbawienia dusz...

Konrad się uśmiechnął i popatrzył na Biskupa.

— No, czy tam po nich dużo dusz w ciele zostanie — nie wiem — rzekł z szyderstwem wesołym... — Brat Konrad powiada że poczną od wieszania, a skończą na ścinaniu. Jest tego przekonania iż nie nawracać trzeba a wytępić...

Biskup pogładził brodę i westchnął.

— Synowie Beliala! — zamruczał. — Synowie Beliala! plemię zakamieniałe w swem bałwochwalstwie... jeżeli nie ma ujrzeć światła, niechaj idzie w ciemności wieczne!!

Ofiara jaka w zapale wielkim wyrwała się z ust Biskupowi Krystyanowi, zdała się przyjemnie bardzo brzmieć w uszach ks. Konrada... Zmniejszyła ona może to co on ze swej strony miał dać Zakonowi.

— Jeżeli macie tę pobożną chęć uczynienia dla Zakonu daru tak znacznego, — podchwycił książę... oznajmijcież im to zaraz... aby dodać ochoty... Gdy zobaczą że Zakon ich posiadać może tyle ziemi między Wisłą, Ossą i Drwęcą, nabędą męztwa i gorliwości...

Biskup tak spieszył do łoża rannych iż nie odpowiadając nawet księciu, jak spragniony do wody, — ile mógł znużony wydolać, podwajał kroku...

Nim mu drzwi otwarto, sam rękę podniósł ku nim, tak pilno mu było...

W izbie dosyć obszernej, do której wchodził, na wysoko wysłanych posłaniach, okrytych futrami i bielizną okrwawioną, leżeli dwaj rycerze. Z nich Konrad już był więcej sił odzyskał, w pół leżał, na pół siedział sparty o wezglowie, blada jego twarz zasepiona, odznaczała się wyrazem dumy i powagi. Otto drzemał i dopiero usłyszawszy wchodzących, nieco obwiązana wznosił głowę, która zaraz bezsilna opadła...

Biskup wchodził z rękami podniesionymi, prawdziwy kapłan, zapominający o świecie całym, dla sprawy Chrystusowej. Widok tych ludzi w duszy mu całą towarzyszył drogę — patrzył na nich i płakał jadąc, teraz ujrzawszy Konrada von Landsberg, płakać zaczął ale z radości niemal.

— Bądźcie pozdrowieni rycerze Chrystusowi, — zawołał, — którzyście krwią swą dali świadectwo prawdzie — niech Bóg wszechmocny balsamem łaski swej zgoi rany wasze... Ja ubogi Pasterz tej ziemi którą wy Zbawicielowi zdobyć macie przychodzę rany wasze ucałować, bo święte są!

Mówił z takim zapalem iż gorącość uczucia siły mu odjęła...

Konrad skłonił głowę, ogień ten przelał się w niego...

— Ojcie wielceby — rzekł — bracia tych co z Saraceni walczyli o grób Chrystusowy, nie oszczędzimy krwi dla chwały Pana, którego krzyż nosimy.

I wskazał na płaszcz rozpostarty na łożu, na którym krzyż, czarny już przyozdobiony we środku Cesarskim orłem w złotym polu, szeroko się rozkładał.

Biskup stał nad łożami, spoglądając na obu modląc się po cichu i lzy ocierając...

— Potężnych tu jak wy mężów potrzeba na tę dzic od Saraceni gorszą i upartszą!! Panami was tu uczynimy, aby z wami zapanował Chrystus...

Konrad Landsberg potrząsnął głową.

— Już mamy doświadczenie iż sprawa łatwą nie będzie, — rzekł. — Wilcze to plemię jako dzikiego zwierza ścigać potrzeba. Litość byłaby występkiem. Mordować i palić — niszczyć i wybijać!

Oczy mu się zaiskrzyły, lecz zaraz za pierś pochwycić się musiał zbolalą. — Zwyciężyli nas liczbą, natłokiem tylko — dodał — ale za krew naszą siła tam też trupa legło!

Otto podniósł się z łoża i słabym głosem, dorzucił.

— Jak muchy padali... ale i rój much gdy nasiądzie człowieka, może go obalić... Tak my padliśmy!

— Bóg was ocalił na chwałę swą, — odezwał się Biskup — będziecie żyć i zwalczyć synów Beliala...

Książę Konrad stojący obok Biskupa — dodał mieszając się do rozmowy.

— Brat Konrad słusność ma — ich trzeba wytępić nie nawracać... Chrzczą się ale im wiary dać nie można, przysięgają i zdradzają.

— Jako psy wracają do wyrzutów swych — zamruczał Landsberg.

— Raduje się serce moje — zawołał Biskup Krystyan, — widząc was niezachwianemi. Zakon wasz tu urosnie w siłę i spotężnieje. Ziemi mieć będziecie dosyć, nasypimy wam srebra, pobudujemy grody, panami staniecie się, ale nie opuszczajcie nas. Jam tu życie przeplakał nie mogąc uczynić nic, ledwie kilku Kunigasów ich nawrócić potrafiłem...

— Boście słowem nawracać chcieli jak ludzi, gdy ich mieczem trzeba tępić jak zwierzęta! — wykrzyknął Landsberg.

Tak u łoża dwu rannych przeciągała się rozmowa, opowiadali walkę swą, wrażenie jakie na nich tłum uczynił, nędzne opisując uzbrojenie, a razem wściekłość ludzi co padali nie ważąc nic życia...

Wywiódł wręście książę Konrad gościa swojego do izb w których nań księżna czekała, i gdzie towarzyszący Krystyanowi dwaj Kunigasowie pruscy, nawróceni, których on z sobą woził wszędzie, — stali także. Byli to ze starszyny pruskiej przed laty już zdobyci z wielką pracą Biskupa, Kunigaszy znękane, co się oprzeć nie mogli, a pragnęli ocalić. Biskup niegdy woził ich już na pokaz do Rzymu Papieżowi — i zwolna jak dzikiego zwierza przyswoił.

Wystawieni tu na wejrzenia ludzi w których nieprzyjaciół swych czuli, dwaj starcy wzdychali ciężko upokorzeni. Coś w nich było z tych królów barbarzyńskich, których posągi z poobcinanymi rękami w starym leżą Rzymie... Budzili litość i mogli wzniesić obawę, z pod przybranej pokory, czuć było w nich kipiącą krew dumną, która gotową była nagle rozpaczą wytrysnąć.

Księżna Agata na stojących u drzwi poglądała z mściwą pogardą, nikt do nich nie przemawiał słowa. Czekali na Biskupa, który jeden łagodniej się obchodził z niemi, byli jego trofeami i jedyną zdobyczą. Woził ich z sobą wszędzie, może z obawy, aby zostawieni sobie w chwili zwątpienia mu nie uszli...

Gdy Biskup wszedł do izby, oba Kunigaszy odżyli, bezpieczniejsi się czując... On ich książętami nazywał, pieścił, obchodził się łagodnie i jeden okazywał cokolwiek serca. Bolało ich tylko że wszędzie na widok wystawiani, sromać się musieli swej niewoli...

Jaszko wcisnął się był z innymi do wielkiej izby aby jak najwięcej widzieć i podłuchać...

Chciał korzystać z ostatnich dni pobytu swojego, bo już zamysłał o dalszej podróży.

Skrzyżowały mu się tylko plany jego, gdyż do Odonicza chciał się dostać a tu mu zaręczano, iż obleżony był w Ujściu czy innym zameczku jakimś przez Laskonogiego. Nie chciał Jaszko życia stawiać za to, aby się do niego dobić przez oblegających... Wieści chodziły różne, jedni powiadali że ściśniętym był i co chwila mógł się dostać w ręce przeciwnika, drudzy głosili iż przyczaiwszy się a dając oblegającym rozłożyć się niebacznie, nieochybnie ich rozprószy..., inni wręście twierdzili iż Uście dotąd obleżone nie było.

Laskonogi nie miał ani tej rzutności, ani tej przebiegłości co Odonicz... Duchowieństwo też na niego szemrało, bo choć je obdarzał, chciał mieć posłuszne... Ono zaś było naówczas potęgą tak wielką iż temu z kim trzymało na pewno wróżyć było można zwycięstwo...

Miał czas jeszcze do rozmyślenia Jaksza, bo wygoić się chciał przed ciężką podróżą, a i próżniaczy pobyt na zamku plockim, z wieczorami u Sonki dosyć mu smakował.

Gdyby nie pragnienie zemsty, które się w nim odzywało — Jaszko możeby był łatwiejsze przekładał umieszczenie się przy księciu Konradzie. Tu ludzi potrzebowano,

wziętoby go pewnie, lecz służba była nie zbyt bezpieczna. Ks. Konrad miał napady gniewu, w których nikogo nie szanował...

Pomiędzy Gromazą a izbą ochmistrzyni płynęły mu dni do namysłu pozostające, i Jaszko już poczynał zbierać się do podróży, gdy podłowczy jednego dnia mu szepnął, że mógłby się o Pomorzu coś dowiedzieć, bo właśnie na zamku człowiek się znajdował, który ztamtąd przybył...

Gromaza na zapytanie, kto i co — odpowiedzieć nie umiał, a głośno mówić nie chciał, pół gębkiem bąkał. Szedł więc Jaszko sam na zwiady.

Na dworze tego czasu ludzi obcych było wielu, przybywali i odjeżdżali posłańce różni — ks. Konrad krzątał się — komornicy byli w ruchu. O pomorzanach dowiedzieć się nie mógł Jaksza. Nikt o nich nie wiedział. Zwrócił się do Gromazy zadając, że mu bajkę splótl.

Podłowczy popatrzał nań z ukosa, nie odpowiedział nic.

— Jak nie ma, to nie ma — dokończył.

Wieczorem późno, starzy przyjaciele podpili, Jaszko gdy się rozochocił, dzikim się stawał i nikomu nie przebaczał.

— E! ty stary ślepcze — rzekł do Gromazy — gdzie się tobie tu pomorzanie przywidzieli...

Podłowczy się zarumienił.

— Nie jam ślepy, ale ty! — odparł — a i nosa nie masz...

Od słowa do słowa, o mało do zwady nie przyszło. Gromaza rozjątrzony mocno, wygadał się.

— Com mówił to prawda, ale musi być tajemnica — rzekł w końcu. — Ja pomorców po uzbrojeniu zaraz poznam... Oni miecze noszą inne, żelazo mają doskonałe i dużo takich rzeczy, o które u nas trudno. Do nich to wszystko morzem przychodzi. Zaraz ich zwąchałem, gdy nocą przyjechali, ale gdym spytał, okłamali mnie, że są jako żywo z Rusi. Niby ja tamtych też nie widziałem!! Starszy zaraz coś poszeptawszy z Witem, poszedł do księcia pana i siedział z nim do późnej nocy. Nazajutrz nie pokazywał się nigdzie, ludzi jego pochowali, ale na zamku są i jutro dopiero nocą pojedą precz...

— A no, milcz — dodał Gromaza — bo ja za ciebie pokutować nie chcę.

Jaszкови aż krew do głowy buchnęła. Zmiarkował, że nie lada człek musiał być co się tu tak krył a z księciem samym coś obradzał. Tegoż wieczora wsunął się Jaszko do ochmistrzyni i siedział u niej długo...

Uprosił ją, ażeby mu do owych z Pomorza pomogła, o których wiedział, bo się do nich właśnie chciał dostać. Czasu nie było do stracenia, gdy jak powiadał Gromaza, nazajutrz nocą mieli jechać. Sonka niewiele przyrzekając, wszakci, gdy powiedział jój Jaszko że rzecz trudna — odparła mu z dumą:

— Jak komu!!

Chciała tedy okazać, że dla niej nic trudnego nie było.

Jaszko czatował tylko.

Znał do tyła dwór pański, że się domyślał, gdzie ów gość tajemniczy się ukrywał — błędził w koło niespokojny. Około południa ochmistrzyni dała mu znak, poprowadziła ciemnymi zakamarkami aż do drzwi i otworzywszy je, wpuściła go.

Wchodząc, Jaszko zobaczył przed sobą stojącego słusznego wzrostu człowieka, smukłego, silnego, nie pierwszój już młodości, który rękę trzymał na mieczyku u pasa, niby dla bezpieczeństwa, lecz tak patrzył zuchwale, jakby się w świecie nikogo nie lękał.

Na pierwszy rzut oka poznał Jaszko, iż w istocie nie z lada kim miał do czynienia. Gość ów ubrany był bogato i patrzył nań z góry, jak pan co rozkazywać ma prawo. Brwi zmarszczone nad oczyma, dolna warga podniesiona w górę, pierś szeroka naprzód wystawiona, głowa odrzucona w tył — znamionowały władzcę który ani równych ni wyższych nad siebie znać nie chce.

— Ktoś ty? — zapytał stojący — co ty masz do czynienia na Pomorzu?

Mówiąc to patrzył, badał, oczyma niespokojnymi od stóp do głów mierzył Jaszka. Ten myślał już tylko czy kłamać ma, że Budziwojem jest, czy się opowiedzieć kim był w istocie.

Ostatnie zdało mu się lepszym na razie, domyślał się w tym jakimś panu, wielkiego urzędnika i prawej ręki Światopełka.

Począł więc:

— Jam tu jest z cudzem mianem — ale moje prawdziwe chcecie wiedzieć, tom Jaszko Jaksa Marków wojewodziński syn, ten sam którego Leszek zbeszcześcił za to, że Odrowążę mu przezemnie poginęli.

Słuchający krzyknął.

— Zaś! ty, Jaszko?

I zbliżył się ku niemu.

— Jam jest.

— A co tu robisz?

— Na Pomorze jadę do księcia do Światopelka, powinowatym mi przecie jest, swemu ginąć nie powinien dać.

Uśmiechnął się gość.

— Jam też Światopelkowy powinnym — rzekł — ale wara, by tu kto o mnie miał wiedzieć. Głowa by spadła temu, coby wydał.

Jaszko nie dał się zastraszyć.

— Swój swego nie wydaje — rzekł. — Jeżeli na Pomorze jedziecie, weźcie mnie. My też ze sobą powinowaci jesteśmy, nie powinniście odmawiać.

Namyślał się trochę nieznajomy pan.

— Mów mi o ojcu — odezwał się nieodpowiadając. Nie dał ci jakiego poselstwa?

— To, co mi dał księciu Światopelkowi odniosę — rzekł Jaszko.

— Wszystko jedno, chcesz bym cię wziął, to mów, jam ten, dla którego on nie ma tajemnic. Co on myśli ja wiem, a co ja chcę, on też.

Uśmiechał się.

— Ojciec mi mu kazał powiedzieć, że czas jarzmo zrzucić i Leszkowi koniec zrobić — rzekł Jaksa.

— Łatwo to rzec, a zrobić ciężiej — odparł stojący — kogoż ojciec z sobą ma?

— Jaksów dosyć, a przyjacioly się znajdują — mówił Jaszko. — Odonicz ze Światopelkiem silni są, tutejszy pan bronić brata nie będzie.

Słyszając to nieznajomy głową tylko poruszył.

— Na co więcej? — dodał Jaszko. — Leszek łatwowierny, wziąć go łatwo... Albo to zamków i lochów nie ma gdzie go posadzić?

— Z lochów ludzie wychodzą — mruknął nieznajomy pan.

Po chwili milczenia uderzył go po ramieniu.

— Milczże tu z tém — dodał — a nocą, jeżeli ci się chce, możesz się przyłączyć do moich.

Jaszko się pokłonił dziękując.

— Wiele z sobą czeladzi masz? — zapytał — zwracając się pomorzanie.

— Kilkoro tego ledwie jest, bom się z Krakowa pokryjomu wymykał.

— Konie dobre?

— Nieustaną — rzekł Jaszko.

— Choćby noc i dzień!

Potwierdził to Jaksa.

— Idźże, a żeby o tem co ma być, nie wiedział nikt. Powiedz znajomym, że do Krakowa powracasz...

Wskazał mu na drzwi i palec położył na ustach. Jaszko się pokłonił i wyszedł.

Gdy w podwórcu ochłonął, sam się sobie dziwował. Nie był skłonny przed ladakim się ukorzyć, a ten człek nieznany postawą i głosem tak nad nim zapanował, iż się przy nim czuł sługą. Nie wiedział kto był, dał z siebie wyciągnąć co tamten chciał, dał sobie rozkazywać i w zamian mało co zyskał. Gniewał się trochę na siebie, po niewczasie.

— A co? Gromaza? jużem się wylizal — rzekł powracając do izby, — darmo waszego chleba jeść nie chcę. Powrócę do Krakowa odpocząć.

— Z Bogiem! — odezwał się podłowczy — wybierz sobie tylko dzień dobry do wyjazdu, nie feralny... aby w drodze znów jakie licho nie spotkało. A pożegnaj się z Sonką jak należy, bo baba cię odkarmiła sobie od ust odejmując.

V

Waligóra musiał dzień następny przesiedzieć we Wrocławiu. Długo do wsi przywykły, wytrwać w zamkniętej izbie nie umiał, rozmową się zabawiać nie było z kim, doskwierało mu to, że naokoło niemiecką mowę nienawistną słyszał wszędzie.

Zawczasu więc zrana wysunął się z gospody na miasto, sam niewiedział dokąd i poco. Ludzie szli, powlókł się i on.

W ulicach spotykały go widoki osobliwe, od których był odwykły, albo ich nigdy nie oglądał.

Właśnie w rynek wyszedł, gdy na jednej z wieżyczek kościelnych we dzwon bić zaczęto, myślał że na nabożeństwo. Ludzie z domów wysuwać się zaczęli i wyglądać, niektórzy się pochowali zaraz, inni stali niepewni jakby w oczekiwaniu. Od kościoła idący ukazał się ksiądz w komży, chłopiec ze dzwonkiem, kleryk ze świecą w latarni. Szli pospiesznie, a tuż za nimi parami z domów wychodzący ustawiali się mieszczanie i złożywszy ręce, księdzu towarzyszyli.

Ksiądz szedł do chorego. Z każdego domostwa obowiązany był iść za nim, kto był pogotowiu... Procesja ta ledwie przeszła ulicę, gdy Waligóra kościół sobie przypomniawszy, zwrócił się ku niemu...

Tu znowu widok nań czekał inny... Tłum stał mnogi opasując dokoła drzwi, cisnąc się i słuchając, niektórzy klęczeli z rękami złożonymi.

Na stopniach do kościoła prowadzących, spostrzegł mnicha w komeszce i stule, z krzyżem w ręku, a przed nim białym obrusem okryty stół na którym były w bogatych oprawach skrzynki, pacyfikały i złote naczynia. Puszka z wydrążeniem na rzucanie groszy stała przed nim. Benedyktyn to był, mający pozwolenie zbierania jałmużny i ukazywania relikwii świętych, które woził z sobą. Jednym dozwalał się ich dotykać, całować, drugim przykładał je do głów i rąk, odczytując modlitwy. Chorzy, strapieni — ratunku potrzebujący, cisnęli się, chętną jałmużnę płacąc za nadzieję i — wiara ich uzdrawiała!

Relikwie były najrozmaitszego pochodzenia, z Francji i Włoch, ze skarbców kościelnych po okruszynie oddzielone, z kościoła w Corbii, Antwerpii, Hildesheimie, z Arras, z Bruges, z Trewiru i innych miejsc wslawionych niemi.

Mnich opowiadał o cudach za ich przyczyną dokonanych, w tłumie słyhać było jęczenia, płacze i głośne wykrzyki do Boga o miłosierdzie. Zastęp wielki kaleków po za tłumem stojący, czekał na swoją kolej, aby i on cząstkę łaski w ostatniem błogosławieństwie ogólnem otrzymał.

Mszczuj przecisnąwszy się do puszeki, w której składano ofiary, złożył w niej swoją, myśląc tęsknie o Białej Górze i o pozostawionych w niej dzieciach. Od kilku dni niepokój i tęsknota za niemi nie opuszczała go.

Dopełniwszy tego, zwrócił się zaraz w bok, aby tłumowi uniknąć i chciał precz iść, gdy tuż prawie, obok wystawy relikwii świętych, ujrzał z przestraczem u ściany, na małym podniesieniu stojącego człowieka, odzianego lichy, który za szyję obręczem żelaznym ujęty był i przykuty do słupa, a ręce miał w tył związane. Twarz jego już odrętwiała z umęczenia i sromu, była straszna wykrzywieniem zwierzęcem, oczy krwią nabiegłe, rozczochrany włos, otwarte usta z wargami spalonymi i nabrzmiałe żyły szyi — widok jego wstrętnym czyniły. Był to pokutnik do kościelnej kuny za jawnogrzesznictwo wsadzony. Chociaż tłum go otaczał, nikt na niego nie zwracał uwagi, biedak stracił był poczucie wstydu i męczarnia ciała zwyciężyła mękę ducha.

Mszczuj co rychlej usunął się aby nie patrzeć na nieszczęśliwego, z którego żebractwo naigrawało się nielitościwie — a on ni czuć, ni wiedzieć o tem się nie zdawał.

Chciał bocznymi drzwiami wniknąć do kościoła, gdy poruszenie jakieś ludu przed relikwiami stojącego, i szmer, a potem nagle urwany głos benedyktyna, zmusiły go spojrzeć przez otwarte wrota ku rynkowi.

Od zamku ciągnął tu wprost orszak, w którym Waligóra ujrzał boso idącą księżnę Jadwigę z krzyżem w ręku, na który oczy miała zwrócone, odzież jej tego dnia była jeszcze prostsza, starą i wyszarzaną... na nogach zdala nawet widać było krwawe poranienia i nabrzmienia. Towarzyszka jej szła w ślad głośno śpiewając pieśń pobożną z nią razem.

Cały dwór księżnej pieszo także postępował za nią, a z tyłu czeladź prowadziła konie podróżne. Księżna pomimo pokaleczonych nóg i zimna szła jakby nie czuła ani bólu, ani

chłodu, z twarzą uweseloną, z oczyma jasnymi, w widocznym uniesieniu, które ją od ziemi odrywało.

Ujrawszy ją tłum, począł ustępować spiesznie, benedyktyń z relikwiami i stołem usunął się tak, aby przejście do kościoła zostało wolnym.

Poznał Waligóra łatwo, iż księżna, która przybyła umyślnie z Trzebnicy dla zabrania Bianki niemogąc długo pozostać we Wrocławiu, tęskniąc za swym świętym przytułkiem, wracała już nazad do niego. Spodziewał się w orszaku ujrzeć tak cudownie wczoraj nawróconą sierotę i zdziwił się ani jej, ni siostry Anny nie widząc.

Naprzeciw pobożnej pani, wyszło już było duchowieństwo z krzyżem i święconą wodą. Benedyktyń też u drzwi stojący, pacyfikał do góry podniósł i błogosławił, lud padł na kolana. Ciszą się stała wielka i śpiew tylko orszaku księżnej brzmiał tęskną jakąś jednostajną, płaczącą, błagającą nutą.

Po chwili wszyscy wtoczyli się do kościoła, gdzie chórem poczęli śpiewać wtorując księża.

Mszczuj się już nie mógł wcisnąć z tłoczącymi do środka i pozostał u drzwi z częścią orszaku księżnej. Posłyszawszy mówiących po polsku — a ciekaw będąc, co się stało z Bianką i jej towarzyszką, spytał po cichu jednego z ludzi.

— Chora ta siostra pono — odpowiedział mu — i nasza pani jej zabrać nie mogła!

Nie miał już do dłuższej rozmowy ochoty, i odwrócił się.

Z innymi ludźmi co się w ciasnym kościółku pomieścić nie mogli, Waligóra precz odszedł na miasto. Wahał się jeszcze, czy ma na gród iść domagać się odpowiedzi, czy powracać do domu, gdy pachole szukające go nadbiegło.

— Z Krakowa posłaniec jest od biskupa! — rzekło zdyszane — czeka na was w domu.

Zdziwiony i trochę nastraszony, że go tak prędko gnano już posłem, Mszczuj zawrócił do gospody. Lękał się, czy co nie zaszło w Krakowie. Odwykły też był od coraz nowych widoków, od tego pośpiechu z jakim musiał i myśleć i poruszać się teraz.

W Białej Górze było inaczej. Nim doszedł do swjej gospody, we wrotach jej poznał już tego, co był za nim wyprawiony.

Służka to był biskupiego dworu, chodzący w sukni kłeryka, a noszący dziwne i niepospolite imię *Cumquodeus*¹. Gawiedź przekręcając je na swój sposób zrobiła z niego „Kumkodesza”. Znali wszyscy tego nieboraka, którym biskup mimo jego powierzchowności niewdzięcznej chętnie się w różny sposób posługiwał. Gdzie tylko rozumu, przebiegłości a wypróbowanego trzeba było charakteru, tam Kumkodeszka posyłał.

Miał minę prostaczka i gluptaszka, mały był, chuderlawy, ale zwinny i wytrzymały na wszystko. Nikt go nie widział nigdy smutnym, ani rozpaczającym w najgorszych razach. Z twarzy bladej, płaskiej, małego nosa, a dużych pergaminowych uszu, wyglądało tylko dwoje oczek ciemnych, z których jedno najczęściej miał nałóg przymrużać.

Na dworze biskupim żartowano sobie często z Kumkodesza, za co się nie gniewał, a mimo to musiano się do niego uciekać, bo więcej umiał od innych. Biegły był w kaligrafii, list umiał ułożyć wedle prawideł wszelkich, dając mu foremną introdukcję, a że był razy kilka aż w Rzymie, we Francji i po Niemczech się trochę wałęsał, mówił wszystkimi językami, najpotrzebniejszymi po dworach.

W obejściu się z ludźmi ostrożny, trafny, pokorny — Kumkodesz był biskupowi niezbędnym i nie dawał mu się oddalać od siebie, chyba w ostateczności. Zobaczywszy go Waligóra, domyślił się, iż niemałej wagi poselstwo być musiało, kiedy z niem Kumkodesza wyprawiono.

Zdala już mały kłeryk pozdrawiał długiemi na swój wzrost rękami wywijając i głowę ku ziemi skłaniając.

Mszczuj niechcąc z nim mówić przy ludziach, bo pełno było we wrotach ciekawych i próżniaków, wwiódł go do izby.

— Jego miłość, ojciec nasz, pozdrawia was — odezwał się Kumkodesz, stanąwszy u drzwi — śle wam błogosławieństwo i mnie na utrapienie wasze, abyście mieli więcej gąb do karmienia.

¹*Cumquodeus* — imię zmyślane nie jest. Wspomina je w IV. wieku Gregor. M. *Epist.* [red. WL: Gregorius Magnus, *Epistulae*, chodzi o jeden z listów papieża Grzegorza I Wielkiego (ok. 540–604), skierowany do Dominicusa, biskupa Kartaginy]. [przypis autorski]

Śmiał się kleryk, tak jak zwykł był ze wszystkiego.

— Macie pewnie coś do mnie — mruknął Waligóra.

— Niewiele... znajdzie się tam coś — rzekł Kumkodesz.

Twarz starego zdradzała taki niepokój, że kleryk miał sobie za najpierwszy obowiązek nieco go ukolysać i trwogę odpędzić.

— Nie stało się przecie u nas nic? — spytał Mszczuj.

— Bóg łaskaw! po staremu! — odparł Kumkodesz. — Ojciec nasz dobry, już po wyjeździe waszym pomyślał sobie — a możeby jemu ten kleryk biedota w drodze się przydał na co, choćby śmiechem go zabawiając. I ot, w pogoń mnie wyprawił.

Spojrzał nań, Mszczuj niedowierzająco przyglądał mu się.

Kumkodesz zatarł ręce i sukni poprawił.

— Jakby co czasem napisać trzeba było, albo przeczytać — dodał — ja wszystkie ich pisma i kruczki znam...

— Ale ja bo niedługo bawiąc, już powracać myślałem — odparł Waligóra. — To z czem mnie tu posłano sprawilem, spodziewam się, że mnie trzymać nie będą.

Kleryk pokiwał głową, coś niby chciał mówić i ociągał się.

— Jakbyście chcieli trochę spocząć a rozpatrzyć się tu — rzekł — toby też nie było od rzeczy.

— Ani od rzeczy, ani do rzeczy — odezwał się Mszczuj — bo ja tu już więcej ani zobaczę, ani się dowiem nad to, com widział i słyszał. — Byłem u księcia, spotkałem księżnę, pytałem, odpowiedziano mi... czegóż więcej trzeba...

— Pewnie — rzekł kleryk pospiesznie — miłość wasza lepiej wie co robić! Ale to tam z tego gadu człowiek niewiele wyciągnąć, ani w to wiele kłaść — możnaby popatrzeć co czyni.

— Oni tu nic nie robią, tylko się modlą i na niebo pracują — odparł Mszczuj...

— Ojciec nasz świątobliwy mówił mi, gdym się w drogę wybierał — dodał Kumkodesz — niech się tam stary nie spieszy, kości swoje szanuje, a... a...

Tu się zaciął, Mszczuj bliżej przystąpił.

— Cóż za — a? — spytał.

Kleryk głos zniżył.

— Możebyście ztąd do Poznania się przejechali, Laskonogiego pana Władysława zobaczyć i u niego spocząć też...

Mszczuj niecierpliwości swój nie mógł ukryć, usłyszawszy to żądanie, którego się nie spodziewał.

— A ja tam po co? — zawołał.

— Oczy, uszy i rozum wszędzie się przydadzą — odparł Kumkodesz. — Możeby i dobrze pana Władysława ubezpieczyć, żeby się z Odoniczem nie układał, bo mu nasz pan pomoże i podeprze go, a możeby dobrze widzieć co o nim jego rycerstwo trzyma i duchowni, a jak on tam stoi...

— Biskup sobie tego życzy? — zapytał zadumany Mszczuj.

— Tak ci jest, z tém mnie wysłał — szepnął kleryk — i kazał mi z wami i przy was być.

Waligóra ramionami ruszył.

— Pewnie żeś potrzebny przy mnie, bo więcej zobaczysz i posłyszysz aniżeli ja — rzekł spokojnie — a prawdę powiedziawszy, sambyś lepiej sprawił to poselstwo nademnie.

Kumkodesz się chwycił za głowę.

— Jezu miłosierny — wykrzyknął — co mówicie, a na co się urągacie biedocie mojej. — Jam ci głuptaszek boży, służka mały... chyba że jako drobne stworzenie wcisnę się łatwiej gdzie do kąta...

— Więc gdym już powracać miał — westchnął Mszczuj, — gnacie mnie dalej... do Poznania! Pana brata słuchać muszę... i pójdę wnet na gród domagać się odpowiedzi.

Kumkodesz głową potrząsł.

— Nie spieszcie, — Miłość Wasza — rzekł — abyśmy się w jakie podejrzenie nie dali. — Nawet widzi mi się gdy wyjeżdżać będziemy lepiej krakowską bramą wyruszyć dla niepoznaki, a potem nawrócić lasami...

Dokończywszy kleryk się ruszył jak do odejścia.

— Pozwolisz, — rzekł, — Miłość Wasza, abym ja tu sobie trochę poszalał, mam znajomych na biskupstwie, mam u czarnych i białych mnichów, znajdą się i na dworze, powlokę się na gawędę...

— Rób co chcesz — odparł Mszczuj...

Ledwie Kumkodesz odszedł, gdy Peregryn przybył z zamku z wezwaniem od księcia, bo gościa podejmować chciano jak najlepiej i do swego stołu Henryk zapraszał.

— Księżna pani odjechała? — zapytał Mszczuj.

— Tak, tak, ona tu długo nie bawi nigdy — westchnął Peregryn — święta niewiasta, lecz naszemu panu tęskno za nią, a litości nad nim nie ma. Prawda że i nad sobą. Ledwie próg przestąpiła nasz, całą noc spędziła na modlitwie w kaplicy nie chcąc zażyć spoczynku, a dziś nazad ruszyła...

I co miała zabrać tę po którą przybyła tu — i tego Pan Bóg nie dozwolił — bo owa wychowanka królowej Agnieszki ciężko zasłabła, leży w gorączce... Wczoraj była spokojną i zdrową, dziś chciała choć chora jechać z księżną, lecz siły jej nie starczyły, musiano ją tu zostawić do czasu...

Mszczuj w towarzystwie Peregryna jechał do zamku...

Tu mniej dziś zastali ludzi, dwór prawie codzienny księcia, przeważnie z Niemców złożony.

Książę sam tego dnia inaczej się wydał Waligórze. Za mnicha niemal go można wczoraj wziąć było, — teraz choć pobożnym zawsze okazać się starał, więcej mu charakteru rycerskiego wróciło.

Nie zupełnie w nim przykład żony i jej obyczaj stłumił naturę dawną. — Tak jak nad Dłubnią niegdyś trzeba było wpływu pobożnej Jadwigi, aby od zdobywania Krakowa odstąpił i teraz gdy bezpośrednio nie działała nań żona, mająca moc wielką, stary w nim człek się odzywał.

Weselszy był i butniejszy...

Waligóra słuchał i patrzył w duchu sobie mówiąc iż za prędko go wczoraj osądził.

Przyszła była właśnie wiadomość o przygodzie Krzyżaków po przybyciu ich do Płocka, o bitwie stoczonej z Prusakami, w której pierwsi zakonnicy szpitala P. Maryi, o mało nie zostali na placu.

Wszczęła się między Niemcami rozmowa żwawa o sposobach wojowania, o orężu, o wyprawach, a ks. Henryk co wczoraj sprawami rycerskimi całe się nie zajmował, dziś żywo je brał do serca.

Mszczuj siedział nie mówiąc nic, bo sławiono oręż niemiecki, uzbrojenie niemieckie, męztwo i sztukę wojowania Niemców, a to nań padało jak żarzewie gorące, i kilkakrotnie o mało się nie zdradził i nie wybuchnął.

Powszechne było zdanie, które i Henryk wypowiadał, że żaden naród przeciw orężowi niemieckiemu nie strzyma...

— To też, — dodał książę, — kto u nas rozum miał, ten ściągnął sobie z Niemiec posiłki. — Bez nichby się u nas nie utrzymało chrześcijaństwo, nie byłoby ani miecza, ani zbroi, ani nawet co wdziać na siebie...

Chociaż słowa te po niemiecku powiedział książę, a Mszczuj ciągle tak czynił jakby języka nie rozumiał, już mu tego było nadto... Krwią oblała się twarz i — zawołał.

— Mało co rozumiem co W. Miłość powiedzieliście — lecz jeźlim zrozumiał dobrze, powiem śmiało że trzymam inaczej.

Żyłizęśmy tu długie wieki bez Niemców i lepiejby nam było samym być... Nauczylibyśmy się z musu kować sobie oręż i zbroję, a nasi książęta pospolitą mową więcejby nawrócili niż cudzy apostołowie...

Ks. Henryk popatrzał na Waligórę, inni zamilkli zdziwieni i zgorzeleni... Czas jakiś siedzieli cicho, nie ważył się nikt, ani za ani przeciw. Szanowano gościa, który skończywszy mówić głowę zwiesił.

Książę nie sprzeciwił mu się, zadumał...

Co było swojaków na dworze, poprzebieranych wprawdzie i mówiących po niemiecku, ale w których jeszcze krew nie ostygła, a nie przerodziła się — wszyscy wdzięcznie spojrzeli na starego. — W mgnieniu oka jakby na dwa obozy podzielił się stół, poczuli się jedni obcymi, drudzy swojakami...

Ks. Henryk może dostrzegłszy to i chcąc zatrzeć wrażenie — rzekł śmiejąc się.

— Wolę ja ich mieć z sobą niż przeciw sobie!

Na tem się skończyło, bo już pacholeta misy niosły i ręczniki do umywania rąk, a drudzy z ław wstawali.

Waligóra też pokłon oddawszy ruszył się z siedzenia swego i z innymi do drugiej izby ustąpił.

Chciał zaraz do gospody wracać gdy Zbislaw, rycerz ślązki który zdala u stołu siedział, a do rozmowy się nie mięszał, zbliżył się do niego.

Był to stary wojownik, któremu choć sił ubywało, zbroję jeszcze nosił i w służbie stał. — Nie wiele on tu znaczył, bo Niemcy przed nim jak przed innymi prym brali i spychali ich na szary koniec. Staremu miło było posłyszeć że się ktoś ujął za tą sprawą, za którą tu już nikt nie śmiał podnosić głosu.

Dwu czy trzech jeszcze zdala stojących przysunęli się do Mszczuja, lecz przemówić otwarcie żaden nie chciał, Niemcy podejrzliwie na nich patrzyli. Waligóra czując to wpędce się wysliznął w podwórze, gdzie czeladź i konie stały i do gospody wrócił.

Na drodze go napędził Zbislaw Nieczuja i pozdrowił.

— Bóg zapłać żeście im nosa utarli — rzekł. — My tu już swoi nie śmiemy z niemi stanąć na równi — wszystko objęli, nam zostało tylko wymrzeć, by im ustąpić ziemi, która ich będzie...

Waligóra bał się rozmowy w ulicy, a słuchał chętnie.

Stary Zbislaw, jeszcze chętniej z żalem się wygadywał — na sercu mu dawno niewypowiadany leżał. Jechał więc do gospody i wszedł do niej za Waligórą.

— Taki nasz los, — dokończył wchodząc — rady nań nie damy. U nas na Ślązku oni już panami, a nie lepiej gdzieindziej. U Laskonogiego pełen ich dwór, u Płwacza drugie tyle, u ks. Konrada i starych i nowych kupa..., i w Krakowie też nie mało...

Załamał ręce...

— A młodzi książęta? — zapytał Waligóra.

— Niemki ich niańczyły, Niemcy uczyli, karmili oni, stróżowali, muszą tem być czego się nassali. U Żegoty Robaka gdy matka zawczasu umarła, mamki nie było, kozę dano córce aby ją karmiła... Całe życie potem koziego coś miała w sobie!! Tak i tu!

Książę Henryk jeszcze nas cierpi — a drugi nie chce znać...

Stękali tak długo — ale ani jeden, ani drugi nie widzieli sposobu by zaradzić temu!

Tyle tylko że żółć zrzucili z serca... Waligóra sam zostawszy u ognia zasępił się i myśłami pobiegł do swych dzieci...

Spartym tak na rękach ze zwisłą głową znalazł go powracający z wycieczki swej Kumkodesz, który widząc w izbie światło, przyszedł z pozdrowieniem.

Miał jak zawsze twarz wesołą i więcej jeszcze niż przedtem ożywioną.

Mszczuj się ku niemu zwrócił.

— Gdzieżeś był? — zapytał.

— Gdzem nie był? — odparł śmiejąc się kleryk, — w obu klasztorach, na biskupstwie, i na dworze książęcym — wszędzie... Dzięki Bogu tu nie źle słyhać, książę Henryk trzyma i trzymać będzie z nami...

— Tak się zda, — mruknął Mszczuj.

— A Konradowi nie dadzą Prusacy o złem myśleć — ciągle wesoło prawil kleryk...

— Ci niemieccy rycerze których sprowadził tymczasem mu nie wiele pomogą. Braci zakonnej przyszło tylko dwóch i kilkunastu knechtów... ano im się nie wiodło i po drodze i na miejscu... Nim dojechali do Płocka dwu młodych ochotników tak jak stracili, bo ich gdzieś rannych porzucić musieli. Powiadają że się nieopatrznie na łowy wybrali i dzik ich ciął obu...

Mszczuj słuchał obojętnie, lecz na myśl mu przyszło iż od Biskupa pod Białą Górą o Krzyżakach słyhał.

— Cóż się z temi rannymi stało? — spytał.

— Gdzieś ich, mówią, pod jakimś zamkiem rzucili na łaskę lub niełaskę Bożą, — odparł Kumkodesz. — Po drodze rozpowiadać mieli że zamek to jakiś był niegościnnie, bo ich tam nie chciano nawet chorych wpuścić...

Zamek niegościnnie Waligórze dał do myślenia... A nuż Niemcy zawędrowali pod Białą Górę, bo zamtąd niedaleko stali?

Nie było niebezpieczeństwa — lecz sama myśl że gdzieś tam na jego ziemi Niemcy mogli szukać przytułku — gniew budziła w Mszczuju. — Nuż ich tam kto ulitowawszy się przyjął...?

Myśli różne przewędrowały po głowie..., pochmurniał bardziej jeszcze...

Kleryk powtarzał co gdzie słyszał i był całę dobrej myśli. Widząc wreszcie że Mszczuj jakby drzemający nie odpowiada mu..., a mając w teże izbie przygotowane posłanie, usunął się na bok i klął do modlitwy...

Nazajutrz Wąligóra postanowił pożegnać księcia, nie chciał tu siedzieć dłużej, niepokój długo mu spać nie dał, obudził go za rania i pędził ztąd. Chciał zbyć drugie poselstwo, wrócić do Krakowa i wyprosić się do Białej Góry.

Książę Henryk dnia tego zawczasu wyruszył na polowanie, na grodzie było pusto. Peregryn nawet, który nigdy pana nie odstępował, pojechał z nim. O tem wszystkim Mszczuj dowiedział się dopiero na zamku pustym, ledwie znalazłszy sługę z którym się mógł swoim językiem rozmówić...

Już miał iść precz z narzekaniem na dzień stracony, gdy drzwi izby w której się zatrzymał, uchyliły się i dziewczę służebne dało mu znak aby za nią szedł. Nie wiedząc co to znaczyć miało, Wąligóra choć niechętnie, kroczył za nią. W pustej komorze drugiej nie było nikogo... Dziewczyna znikła. — Po chwili drzwi się otwały i krokiem chwiejnym weszła Bianka. Bledsza była jeszcze i bardziej zmizerowana, wylękała niż gdy ją widział w drodze... Z trwogą zbliżyła się ku niemu.

— Dzięki Bogu, zdrowie wam powraca — odezwał się Mszczuj poglądając na nią.

Szła zwolna jak upojona oburącz trzymając się za głowę.

— Zdrowie? choroba? — odparła — ja sama nie wiem co się dzieje ze mną? Ta pani ma władzę straszną, wczoraj przemieniła mnie, wzięła moją duszę ze mnie, wycisnęła ją jak chustę i stała się białą i czystą... Zapomniałam o wszystkim... nie chciałam nic tylko z nią być i zostać na wieki. Dopóki ona tu była, błogo mi było... gdy odeszła, czym się obudziła, czy śpię znów, czy roję, czy żyję, nie wiem. Pamięć i strach powracają... trwoga niewoli... Ona moją duszę weźmie ze mnie... Ratujcie mnie! A! tak się ma wielką!!

Dziś znowu pamiętam i drzę! Niewola mnie czeka i ten sen co wczora... śmierć...

Mówiła, a Mszczuj stał, słuchał i — nie rozumiał.

Zdała mu się obłąkaną.

— Jakże jaby mógł choćbym nawet chciał was ratować — odezwał się z litością. — Sama widzisz że jesteś w ich mocy, księżna pobożną i świętą jest, złęgo od niej obawiać się nie możecie... A ja — wyrwać was ztąd... nie potrafię.

— Przecież rycerze niejednen raz porywali nawet z klasztorów niewiasty — odezwała się Bianka — ja o tem słyszałam będąc jeszcze małą. Śpiewano o tem pieśni...

— Ale ja tu jestem posłem i nietylko skaziłbym się sam, lecz i panu memu krzywdębym uczynił, popełniając gwałt... Młodym to przebaczone, staremu byłoby sromotą.

Sierota zakrywszy oczy płakać zaczęła.

— Nie macie bo litości nad nieszczęśliwą — zawołała... — Ja tylko w was ufam! Zlitujcie się, wyrwijcie mnie ztąd... Siostra Anna co mnie strzeże jest w kaplicy... Was tu Pan Bóg sprowadził. — Ja nocą wyrwę się z zamku — ucieknę... Wolę w las biedz i z głodu umierać niż iść w niewolę... Musicie mnie ratować!! nie mam nikogo!!

Szmer w drugiej izbie mówić jej nie dał, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Wąligóra co rychlej ustąpił z komory, przeszedł pierwszą izbę pustą i szybkim krokiem zamek opuścił... Żał mu było obłąkanej — lecz cóż mógł na to radzić? jak ratować? Lękał się i on tej siły jaką miała księżna przez świątobliwość swoją... przeciwic się jej było to walczyć z Bogiem...

Jeden miał tylko środek uniknięcia tego co mu tu zawikłaniem niebezpiecznym groziło — uchodzić co rychlej. — Nie zważając więc na Kumkodesza, powróciwszy do gospody kazał się sposobić ludziom do drogi...

Postanowił wieczorem pożegnać księcia — i choćby nocą ruszyć ku Poznaniowi.

Kleryk który z kościoła po nabożeństwie przyszedł przed południem znalazł wszystko już przysposobione do odjazdu.

— Miłość Wasza — chce przyspieszyć podróż? — spytał.

— Muszę — rzekł Mszczuj — już mnie nie pytajcie i nie wchodźcie w to; powiadam Wam że dłużej tu siedzieć nie mogę. Jak skoro książę powróci, żegnaj go i na konie.

Kumkodesz spojrział i widząc niezmiennie postanowienie, nie sprzeciwił się, począł też swoje węzłki sposobić.

Czas do wieczora włókł się leniwo, — już o mroku w rynku ukazał się myśliwski orszak księcia wracającego z lasu. Peregryn przybył o gościa się dowiedzieć. Konie stały poodziewane do drogi.

— Chcecie jechać?! — zawołał zdziwiony.

— Posłaniec przybył z Krakowa który mnie zmusza do spiesznego — powrotu — rzekł Mszczuj.

Uczyńcie to abym mógł księcia pożegnać. Jest mi pilno.

Peregryn nie nalegając oddalił się. W godzinę już Mszczuj był na zamku.

Ks. Henryk właśnie po łowach spoczywał.

— O małym dziś znowu tak nie zapadł z koniem, — odezwał się do wchodzącego, — jak ongi na tej trzebnickiej grzędawicy, gdzie dziś kościół stoi i klasztor... Łowy próżne, a ja zmęczony... Peregryn mówi że chcecie ztąd precz... Co się tak spieszycie, — dodał, — jużci nie dla Niemców, których nie lubicie...?

— Posłaniec przybył z Krakowa — rzekł stary — muszę.

— Gdy musicie, jedźcie — odparł Henryk, — a powiedźcież pobożnemu i świętemu mężowi iż Henryk syn jego co raz rzekł i poprzysiągł, to strzyma, bo duszy gubić nie chce dla wszystkich skarbów znikomego świata tego...

Książę przemówił słów kilka jeszcze, a w końcu zmusił Mszczuja aby od niego łańcuch przyjął na pamiątkę.

— Niemieckiej roboty jest — dodał śmiejąc się, — ale ci go ręka życzliwa daje, w której swojska krew płynie...

Aby nie obrazić księcia, Mszczuj podarek przyjąć musiał... Peregryn go do gospody przeprowadził, i właśnie księżyc wschodził za borami, gdy poczet cały za bramami miasta się znalazł.

Mszczuj odetchnął wolniej... W mieścisku tem duszno mu było... i obco..., chciał je co najprędzej opuścić...

Już się na kilkoro staj od bram oddalili w pole, zwolna jadąc a rozpatrując się, gdy za nimi tentent się dał słyszeć i ludzie konni nadbiegli... Jechali w bok z drogi się rzucając, niespokojni jakby kogoś szukali, za czems gonili...

Kilku z nich zbliżyło się i wyminęło Waligórę, inni z tyłu pozostali... Jeden z ludzi począł pytać co po nocy tak tropią...

— Z zamku niewiasta do klasztoru przeznaczona uciekła — odezwała się pogoń. — Nikt nie wie jak się wyrwać potrafiła... Podobno w głowie jej było niezdrowo... i w przystępie szaleństwa zbiegła... Na wszystkie drogi ścigać ją wysłano...

Mszczuj chciał spieszej puścić się, taka go zdjęła obawa, lecz gościniec był nierówny, doły w nim powybijane, kałuże stały które omijać musiano. Konie się płątały... Musieli stępią jechać dalej, a pogoń wkrótce zarośla nad drogą strząśszy, powróciła nazad ku miastu...

Wtem Waligóra postrzegł na gościńcu stojące widmo jakieś, wyciągające ręce ku niemu. Nim miał czas w bok się rzucić, zbliżyło się do konia i z krzykiem padło przed nim na ziemię.

Po głosie poznał Biankę.

Czeladź i on, ochłonawszy ze strachu, zsiadli z koni ratować omdlałą, która wróciwszy do zmysłów, za nogi chwyciła starego, błagając by jej nie opuszczał.

Nie wyrzekłszy słowa Mszczuj, podniósł ją na konia swego, kazał sobie dać lóznego i puścić się w dalszą drogę.

Kumkodesz który nie rozumiał nic, zgorszony był i przerażony. Czyn ten wydawał mu się świętokradzkim, nie śmiał się odzywać i w tył cofnąwszy — myślał czy by mu nie należało nazad do Krakowa powrócić, aby nie być świadkiem takiej zgrozy i szkarady. Czeladź też Mszczujowa patrzyła po sobie, nie poznając pana swego.

Jeszcze się od miejsca tego, na kilkanaście kroków nie oddalili, gdy jak piorun spadła na nich otaczając ze wszech stron zbrojna zamkowa hałastra, rejtry, knechty, pacholki, wszystko co w pogoń ruszyło za zbiegłą sierotą. Napad był tak gwałtowny i niespodziany,

że Waligóra nie miał czasu dobyć miecza i cugle w zęby porwawszy, potężne swe dłonie tylko przeciw Niemcom wystawił.

Zamięszanie w mgnieniu oka stało się takie, że swoi od obcych rozróżnić się nie mogli. Niemcom smakowało bicie człowieka, o którym wiedzieli, że ich nienawdził, krakowianom też ucierać się z niemi byłoby na rękę, gdyby nie przemagająca siła. Jak mrówie obsiedli ludzie zamkowi garść Mszczujową, ścisnęli ją, zgnetli, opasali.

Jeden tylko Kumkodesz na końcu jadący ze swemi ludźmi w porę się odbił na stronę i niemogąc bronić Mszczuja, postanowił ująć, aby o losie jego dać wiadomość. Waligóra byłby się może także dzięki sile swej, która mu z gniewem powróciła, wybił z pomiędzy knechtów, gdyby z nim nie padł koń, na którego się przesiadł, a na leżącego, nim się mógł podnieść, rzuciło się kilku i przygniotło. Musieli mieć czy rozkaz pojmania go, czy sami się domyśleli tego, lecz wszelkich sił dołożyli, aby nie dać ująć Mszczujowi. Dwu z nich uderzeniem pięścią w skronie położył na miejscu, kilku ręce pogruchotał, lecz nie dali mu się z ziemi podnieść i natychmiast go powrozami skrępowali.

Kilku ludzi wzięto także do niewoli, a reszta w lasy poszła i rozbryzgnęła się korzystając z ciemności. Pochwycono i omdlałą Biankę z konia... Z okrzykami tryumfu cała ta hałastrą pociągnęła do miasta. Wrzawa tak była wielka, iż ją na zamku usłyszano i naprzeciw wybiegli ludzie.

Można sobie wyobrazić radość tych, którzy wczorajszego wystąpienia Mszczuja przeciwko Niemcom i jego pogardy dla języka ich byli pamiętni, gdy ujrano owego biskupiego posła pochwyconego na gorącym uczynku gwałtu na drodze publicznej, przeciwko niewiedzie do orszaku księżnej należącej.

Z wiadomością o tém, jedni pospieszili na gród, drudzy otaczali związanego Waligórę, szydząc i naigrawając się z niego.

Wnet wszystko, co przeciwko niemu świadczyć mogło, przypomniano. Spotkanie w drodze z orszakiem siostry Anny, potajemne z Bianką rozmowy, potem widzenie się z nią na zamku w czasie niebytności księcia. Było czém dowieść podejścia, zdrady, umowy i gwałtu popełnionego na osobie przeznaczonej do życia zakonnego. Niemcy z całą zajądłością poduszczali na swego nieprzyjaciela. Książę jeszcze był niepewien, co ma począć, gdy go oblężono, zakrzyczano, zmuszono niejako, aby winowajcę wsadzić natychmiast do więzienia.

Występek był jawny. Biankę na koniu Waligóry schwycono, oprócz tego broniąc się ubił dwóch ludzi i kilku okaleczył. Natychmiast nadbiegający prolokutor (prokurator) sądów dworskich, jak przystało Niemiec, począł księciu wystawiać, iż tak okropna zbrodnia bezkarnie ująć nie powinna.

Człek ten nadużył gościnności, spiskował w najohydniejszy sposób, popełnił *raptus*, *violentią*, pod boki księcia, z pogardą władzy jego, korzystając z poselskiego urzędu swojego, ukazawszy się prócz tego niewdzięcznym dla pana, który go przyjął tak dobrotliwie.

Nadewszystko przekonywającym dla księcia było to, że pobożna pani Jadwiga nie mogła przebaczyć zniewagi swojego domu, i niewiasty którą służbie Bożej poświęcić chciała.

Po krótkim namyśle ks. Henryk uległ i wydał rozkaz zamknięcia Mszczuja do więzienia. Niemcy domagali się nad nim natychmiastowego sądu i przykładowej kary...

Nie dość im było trzystu, ani pięćdziesięciu grzywien, wołali, że na gardle powinien być karany...

Zbisław i mała kupka słazaków, nie śmiała się odzywać nawet.

Tak wprost do grodowego więzienia wciągnięto starego Mszczuja, ludzi od niego oddzieliwszy, a że się siły jego obawiano, pozostawiono jak był związanym grubemi sznurami... Stary na wrzaski i wołania, ani słowem nie odpowiadał...

VI

Na Białej Górze leczyli się ciągle dwaj ochotnicy krzyżacy, a Gero tak prawie jak zdrów już był, z Hansem tylko, którego rana głębsza była i znaczniejsza, szło powoli. Dzierła przykładła ziola i dziwowała się, że nie skutkowały.

Ksiądz Żegota radby się był już pozbył bardzo uciążliwych gości, ale wypędzić ich nie mógł, a oni sami nie myśleli wcale o wynoszeniu się z tego schronienia, w którym nie tak im źle było.

Gero szczególnie zobaczywszy dwie piękne Halki, tak się młodzieńczo zajął niemi, iż gotów był o wyprawie na prusaków i zakonnikach, o stryju i przyszłości zapomnieć.

Z Dzierłą jak mógł i umiał mówił tylko o nich, a w końcu postanowił spróbować szczęścia, czy z jej pomocą zbliżyć się do dziewcząt nie potrafi.

On i Lambach opatrzeni byli w grosz dosyć obficie, Gero więc począł szatańską swą sprawę od tego, że obdarzył babę, pokazując jej dziesięćkroć więcej — które dostać mogła, jeźliby mu widzenie Halek ułatwiła.

Stara zaczęła od tego, iż pieniędzy wcale brać nie chciała, okazała strach i zgrozę wielką, zaprzysięgła że i śnić o tem nie mógł Gero. Zwolna jednak, namyśliwszy się, schowała do torebki podarek, zamilkła, na przyszłość nie chcąc się obowiązywać do niczego. Wyszedłszy po tem za zagrodę, dumiała...

Dziewczęta były niezmiernie ciekawe niemców, ładny chłopak zajęty niemi. Pokusa ją brała ułatwić obu stronom niewinne zbliżenie się ku sobie. Mogło się to stać tak tajemnie, że żywa by dusza o tem nie wiedziała... Zyskać naraz tyle pieniędzy, choćby po tem z niemi przyszło się gdzie wynosić, uciekać, skryć, także nie było do pogardzenia. Między strachem a pokusą, walcząc z obojgiem, Dzierła włosy sobie rwała z głowy, a rozczochrawszy je, natychmiast biegła porządkować, gdyż dbała była o to, aby się jeszcze starą wiedźmą nie wydawać.

Dziewczęta były szczebiotliwe, bo nienawykłe do żadnych tajemnic, i w życiu ich nigdy nie miały. Zwierzyć się im z tego, że na samym zamku niemcy byli ukryci, groziło niebezpieczeństwem, ksiądz by jej był tego nie przebaczył.

Stary podżupan Telesz, człek niepodejrzliwy aż do ślepoty, dotąd najmniejszego jeszcze kłopotu proboszczowi nie przyczynił, umiał go ks. Żegota trzymać zdala od swej zagrody, a wpuszczanie baby do niej i swoje odwiedziny szczęśliwie ukrywać. Nic się nie zdawało grozić z tej strony, gdy dnia jednego podżupan przyszedł do księdza z prośbą, aby mu pustego domu dozwolił na złożenie gospodarskiego sprzętu, dopóki nowa szopa w miejsce tej którą wicher obalił, wystawioną nie była.

Podżupanowi żądanie to tak się wydawało naturalnem i tak pewien był, iż odrzuconem być nie może, że zawczasu już ściągać kazał pod zagrodę pługi i sochy. Wozy z mniejszymi przybory gospodarskimi stały u wrot; gdy Telesz spokojny przyszedł do księdza, żądając otwarcia tylko i poręczając mu, że dom wprędce uwolni.

— Sami tam nie siedzicie — rzekł — pustką stoi. Tożśmy go przecie dla was budowali, niechże się naszemu panu przyda.

Ksiądz zrazu uląkł się tak, iż mu mowę odjęło.

— Kochane moje dziecko — odparł — co ci się śni! to nie może być, to własność kościelna! Ja nie mogę nią rozporządzać, po tém by kiedyś mógł z tego spór urosnąć do kogo zabudowanie należy!!

Podżupan się rozśmiał.

— Co bo wy ojcie żartujecie? — znacie pana naszego przecie, że on nikomu nic nie odbiera a daje chętnie.

— Ależ pan nasz nie wiekuisty! — zawołał proboszcz...

— No, to weźmy świadków, a ja od pana mego przed niemi zeznam, że za pozwoleniem waszem, na czas tylko się wnoszę.

Ksiądz ścisnąć począł Telesza.

— Nie czynź tego! dla miłości Chrystusowej, nie czynź tego! ja cię proszę! ja cię zaklinam! ja domku dać nie mogę.

Z kolei Telesz niezmiernie się zdziwił oporowi i coś go tknęło.

— Wiecie ojcie, że ja was szanuję — rzekł — że ja krzywdy waszej nie chcę, ale mniejsza tam o pługi i sochy, coby na deszczu stać mogły, skóry mam które przechować muszę, a u mnie wszystkie strychy i wyżki pełne... nie mam gdzie.

Uparł się Telesz, księdzu aż na lzy się zbierało. Podżupan miał władzę na zamku, ale duchowny w onych czasach znaczył wiele, mógł skarżyć i Telesz wiedział, iż go Mszczuj lubił.

Poskrobał się po łysinie, nachmurzył, pomruczał i — odszedł nadąsany. A był stary z tych ludzi co gdy im na sercu coś leży, muszą gderać i wypowiadać swą biedę. Po drodze do dworu począł na księdza narzekać. Szli za nim parobcy i słuchali.

Gdy Telesz już się zbliżał do swojej izby, pokłonił mu się stary Wątroba i podszedł ku niemu szepcząc.

— Ksiądz nie darmo dworu swojego broni. Oh! oh!

Zrobił jakiś znak i gębę zatulił. Telesz do niego przystąpił.

— Gadaj że mi gdy co wiesz! cóż to być może? co? — zawołał.

— Niech mnie ojciec nie zdradzi — szeptał Wątroba — bo uchowaj Boże ksiądz się pogniewa, to przypłacę głowę. O! mają oni sposoby!!

— Gadaj że no!

Wątroba wahał się jeszcze, gdy stary Telesz zaczynał się już gniewać. Parobek się nastraszył.

— Ksiądz tam we dworku... tych niemców co pod szopą leżeli, chowa — rzekł cicho.

O niemcach posłyszawszy, podżupan o mało nie padł, bo od pana swego nauczył się ich nienawidzić, a bytność na zamku ludzi tego plemienia wydała mu się wyrokiem śmierci na niego i zguby całej rodziny, gdyby Mszczuj miał się o tem dowiedzieć.

Wątroba widząc, że Telesz oniemiał ze zgrozy, a tłumacząc to sobie niedowierzaniem, począł naprzód zaklinać się i przysięgać że nie kłamał, że pustych słów nie powtarzał i opowiedział, jak nocą leżąc na wałach, widział gdy rannych furką przeprowadzano. Poznał i wymienił Dobrucha i Dzierłę.

Nie ulegało więc wątpliwości, iż przez niedozór Telesza stało się co mogło największe na niego naprowadzić nieszczęście, czuł się zgubionym.

Starego, spokojnego człowieka że grom ten niespodziany nie ubił w miejscu, było cudem.

Brzmieł mu w uchu niemcy, niemcy. Mszczuj mógł powrócić niespodzianie każdej godziny.

Jak stał już pod drzwiami swej izby, Telesz obrócił się i nazad pobiegł do proboszcza, który tylko co odmówiwszy modlitwę miał zasiąść do stołu. Zobaczywszy Telesza powracającego o jadłe i modlitwie zapomniał. Podżupan go wyciągnął w podwórze.

— Ojcze! — zawołał — wasze szczęście żeście duchownym, jeszcze dzisiejszego dnia dałbym was obwiesić... Wiem, wiem wszystko, wiem dla czego mi dworku użyzyć nie chcecie... Zdradziliście pana i mnie, niemców w nim trzymacie. Wicie wy co to znaczy dać im tu na zamek wleźć i splugawić nam go?

Telesz z gniewu i strachu pienieł, ks. Żegota przypadł przed nim na kolana.

— Człowiecze upamiętaj się — krzyknął — ja jestem sługa Chrystusa, a nie czyj inny, u mnie jego rozkaz nad wszystkie, On kazał ludzi ratować, widzieć w nich braci... jam ich na zgubę dać nie mógł. Czyń co chcesz!! wieszaj mnie! wieszaj!

Uniósł się stary księżyna i nic nie mając do stracenia, zaczynał głośno wołać: wieszaj!

Telesz chwycił go za rękę.

— Gdybym was powiesił i biskup by mnie wykłął i głowy bym nie ocalił — rzekł — nam się obu trzeba ratować. Precz z nimi wnet, precz jeszcze tej nocy i zjedz do licha tę budę... aby po nich ślad nie został...

— Cóż ich rannych jak psów wyrzucisz? — odparł ksiądz.

— Dla mnie gorzej nich! — krzyknął Telesz — niech marnie giną.

— To i ja z nimi — oparł się ksiądz — pędź, wyrzucaj i mnie!

Podżupan zmiarkował, że wrzawę uczyniwszy, popsuje własną sprawę. Chwycił się za głowę i począł kląć na czem świat stoi.

Ksiądz słuchał, dając mu się wyzłościć.

Odwiódł go na stronę.

— Słuchaj Telesz, nie gub mnie, nie gub siebie i duszy nie gub. Chrystus kazał bliźniego miłować, a on starszy i mocniejszy od Mszczuja! Daj ty się im wylizać, to nie długo potrwa, nikt o nich nie wie... wymkną się i śladu nie będzie.

— Jak nikt nie wie! jak śladu nie ma być! — zakrzyczał Telesz — a mnież parobek Wątroba o tem powiedział! Myślisz, że on języka utrzyma... Dzierła też wie, wie Dobruch, i ma się to ukryć??

— Ze strachu będą milczeli, a Wątrobę ja zaklnę — rzekł ks. Żegota chwytając go za rękę.

— Miej miłosierdzie i rozum.

Telesz rozpacział.

Uspokoić go nie było sposobu, ksiądz całował i prosił napróżno. Podwórcem szła stara Dzierła niczego się nie domyślając. Telesz zawołał na nią. Spojrzawszy mu w oczy, zobaczywszy księdza, baba zaczęła drżeć jak liść.

— Ty, stare próchno przebrzydłe, — zawołał podżupan, — mów mi prawdę, a nie to wnet ci stryczek na szyję każę zrzucić.

Baba padła całując ziemię przed nim i zanosząc się z płaczu...

Dorozumiała się wszystkiego, i składała winę na księdza, ksiądz jej z siebie nie zrzucił.

— Gadaj mi ty, rychło ten pies ranny będzie się mógł ztąd wywlec...?

Dzierła podniosła się...

— Albo ja to mogę powiedzieć — poczęła ośmielając się trochę — jeden z takiej rany wyzdrowieje we cztery niedziele, drugi ledwie w pół roku! Krew krwi nierówna. Zabij mnie ja tego powiedzieć nie mogę.

Ksiądz jej przerwał.

— Spodziewałaś się za cztery niedziele?

Dzierła pokręciła głową.

Telesz który dawniej bił się i znał na ranach, wprost się do dworku zmierzył, chciał iść sam patrzeć, a kilka kroków zrobiwszy zmiarkował że widząc Niemców, stanie się współnikiem winy księdza. Zdało mu się bezpieczniejszem udawać dalej że o niczem nie wie.

— Dzierla! — zawołał na babę, podnosząc pięści do twarzy, — jak ty mi piśniesz o nich — różgi i stryczek. — W śmierć zasiekę.

Baba bijąc się w piersi padła na ziemię. Do księdza Telesz już ani mówił, pobiegł do parobków i ze strachu aby Wątroba nie gadał, kazał go do jamy zamknąć.

Mało mu było tego, pospieszył do Dobrucha, który modlitwy pod kaplicą odmawiając koszyki plótł.

Pogroził mu zdala.

— O wy! wy oba z księdzem! — zamruczał — jak gęby nie będziecie trzymali zabitej — ja wam dam... Nawarzyliście kaszy, ale wam od niej gęba ze skóry oblezie. Milcz ty mi — albo ja ci zamknę na wieki mordę, aby długi język z niej nie wyszedł.

Strwożony Dobruch przeżegnał się tylko. Telesz już poszedł dalej. Chodził po grodzie sam nie wiedząc dobrze dla czego, po co, zaglądał po kątach, kłął, łajał, pędział, gniewu nie mając na kogo zrzucić... Do wieczora tak wałęsał się, aż znużony na przyzbie u siebie padł i zdrzemnął się.

W dworku trwoga była wielka, bo Dzierla poszła do Niemców i na migi im pokazała że się straszne rzeczy działy. Gero zdrowszy obawiając się aby na nich nie napadnięto, wziął się do miecza, a Hans, choć wstać nie mógł, chciał się też bronić do upadłego. Nie wiedzieli dobrze co im groziło, lecz z baby wyrozumieli iż coś dla nich niepomyślnego się stało.

Nierychło nadszedł proboszcz ochłonawszy trochę. Oczy miał zaczerwienione; ale spokój i otucha jakaś wstąpiła w jego serce. Pokrótce opowiedział co się stało — pierwsza najstroższa burza zdaniem jego już była przeszła. Telesz musiał teraz jako współwinowajca milczeć, a Niemcom trzeba było się starać co rychlej wyzdrowieć.

Hans gotów był sam tu pozostać i odpuścić towarzysza, który już na koniu mógł usiedzieć; lecz Gero nie chciał go zostawić samego. A może i nie bardzo mu się chciało gród opuszczać.

Po tym dniu wielkiej trwogi, nastąpiło uspokojenie stopniowe i niemal powrót do dawnego stanu, z tą różnicą, że daleko mniej już potrzebowano się taić i ukrywać.

Telesz w tę stronę zamku prawie nie chadzał, księdza unikał, nie chciał z nim mówić, poźółkł i wychudł okrutnie.

Jednego dnia około kaplicy spotkawszy się z proboszczem, rzekł mu mijając go.

— Jak za cztery niedziele, nie będą zdrowi i nie wyniosą się, dwór z niemi na cztery rogi własną ręką podpale...

Rzuciwszy tę groźbę, zamilkł znowu.

Ks. Żegota naglił na babę, aby co rychlej leczyła. Dzierła się zaklinała że robi co może. Rana Hansa goić się nie chciała, noga była obrzękła jak kłoda. W rozumieniu też powszechnem było iż rany od kłów dzika jakby jadowite, długo się zawsze jątrzyły... Naówczas już mawiano że z niedźwiedziem się spotkawszy trzeba było gotować łoże, a z dziakiem — mary. Młodości tylko swej i silnej naturze winien był, jak Dzierła utrzymywała, Hans, iż życiem nie przyplacił.

Ciągnęło się teraz tak z dnia na dzień, lecz po przebyciu pierwszej trwogi, Dzierła po niewieściemu, wprędce zapomniała o niej i pokusy dawne wróciły.

Halki które się nudziły czasu długich już wieczorów jesiennych, wołały prawie codzień do siebie Dzierłę, aby im prawiała bajki. Stara ochmistrzyni ich, prosta niewiasta, zwykle z kądziałą w kącie zasiadłszy, usypiała, a dziewczęta zostawiała na pastwę Dzierli...

Nie wiedzieć jakim sposobem rozmowa często na Niemców wracała. Halki tych ludzi strasznych o których tyle słyszały, a nie widziały ich w życiu nigdy, były ciekawe! ciekawe! Drażniło je to że stara w swych opowiadaniach, ile razy mowa o nich była, opisywała ich zupełnie inaczej niż one sobie wyobrażały.

Naiwniejszych istot nad te dwie śliczne Halki, na świecie pono nie było. Nie znały one ani ludzi, ni życia, instykt je prowadził, myśli które może na świat z sobą przyniosły, wyciśnięte we śnie co poprzedzał przebudzenie — dziwacznie plątały się w główkach, które fantazyja napelniała dziwaczniemi kwiatami swemi.

Z baśni i piosnek wiedziały tylko że mają kochać, że mają mieć mężów, że mogą być szczęśliwe i nieszczęśliwe. Pogańskie te powieści mówiły o różnych dziwnych przygodach, o księżniczках jak one, zaklętych, porywanych, płaczących i zaślubianych radośnie.

Wszystko to im się uśmiechało, jednym się tylko trwożyły, że obie jednemu mężowi poślubione być nie mogą — bo jak mówiła Dzierła, za nowego prawa, już wszyscy musieli mieć po jednej żonie. Marzyły więc o dwóch takich braciach jak one były dwiema siostrami — którzy je poślubićby chcieli.

Stara mówiła że braci takich bardzo było znaleźć trudno... A im dwóm myśl rozdziału była równą ze śmiercią.

Zdało się im że Bóg co je stworzył, musiał umyślnie też przygotować dla nich, dwu bliźniaków...

Dzierła chętnie przychodziła na wieczory do kniaziowien, bo tak je zwała. Siedziała tu wygodnie u ognia, dawano piwa ile chciała, gryzła orzechy, karmiono ją kołaczami... Bawiły ją wreszcie te dzieci tak śliczne, z których dobrodusznych zapytań i wykrzyków czasem się śmiała że aż do ziemi przypadała.

Trafiło się że gdy dziewczęta, często chodząc do kaplicy modliły się w niej i bawiły, bo je obrazy, strojenie ołtarza, zawieszanie obrusów, wicie wianków rozrywało. — Ksiądz w zakrystyi nie wiedząc o nich z Dobruchem począł mówić o Niemcach.

Nie rozumiały z początku nic, lecz ks. Żegota tak żale rozwódził szeroko i jasno, tak się wywnętrzał przed starym swym pomocnikiem, że dwie Halki w końcu — dowiedziały się o wszystkim... Stały w początku strwożone niezmiernie, chcąc uciekać...; potem gdy ksiądz odszedł, i one pobiegly do swej izby. Miarkowały że schowanie tu tych Niemców było tajemnicą wielką! wielką! Z rozmowy doszło je że Dzierła o rannych wiedziała!! Palila je ciekawość nieugaszona — zobaczenia tych stworzeń...

Halki tak się dobrze rozumiały iż prawie mówić nie potrzebowały do siebie. — Do wieczora siedziały patrząc sobie w oczy, pół słówkami coś mrużąc, chwytając się za ręce i ściskając.

Myśl miały jedną tylko — zmusić Dzierłę aby im Niemców pokazała zdaleka — zdaleka, bo się ich obawiały strasznie...

Ale zobaczyć! a! zobaczyć ich musiały! Drugi raz w życiu już się im podobna sposobność trafić nie mogła.

Dzierła swym obyczajem przysunęła się wieczorem. Nie potrzebowała być wieszczbiarką, by poznać że dziewczęta dnia tego były jakieś inne, niespokojne, rozgorączkowane...

Dopóki stara dozorczyni nie usnęła, mówiły o rzeczach obojętnych — oglądały się tylko rychłoli ona wypuści z rąk wrzeczono i — nie podniesie.

Bywało bowiem że ono spadało ale stara je chwyciła. Ślinała palce i przędła dalej, dopóki sen na koniec zupełnie nią nie owładnął.

Naówczas wrzeczono zsuwało się na podłogę i ona go już nie podejmowała, aż gdy do snu iść było potrzeba.

Dzierła postrzegła i to że Halki dnia tego pilnie śledziły swoją ochmistrzynię, coraz się ku niej oglądając. Zabawiała je jak mogła i — widziała że nie słuchają, chciała odejść, nie puściły.

Zamknęły się w końcu znużone oczy starej, wrzeczono potoczyło... Spała. Halki zbliżyły się do Dzierli i z trwogą pochyliły ku niej. Mówiły do niej tak jak to one często umiały, jedna poczyniała myśl, kończyła ją druga, mieniły się te dwa głosy i w jeden zlewały...

Zamknawszy oczy przysiędz było można, iż jedna Halka tylko śpiewała tak dziecinną myśl swoją.

— A! Dzierlo! ty! Dzierlo niedobra! Dzierlo niewierna! My coś wiemy, a tyś nam nie powiedziała! Mówisz że dobyłabyś dla nas z pod serca, a tyś podkryła, taką ciekawą rzecz!!

— Cóżem ja kryła przed wami? dzieci moje złote? co? — zapytała Dzierła.

Schyliły się do niej obie i w uszy jej szepnęły ze stron obu.

— Niemcy! Niemcy!

Baba upuściła kubek który trzymała, ze strachu. Spojrzała na śpiącą i ukazała ją im oczyma...

— Oh! — ozwały się Halki. — Śnią się jej pierogi!!

I powtórzyły wtórem.

— Niemcy! Niemcy!

Dzierła chciała udawać że o żadnych nie wie... Prędko wypowiedały się jej z kądem o nich wiedziały. Co tu począć było? Baba może i rada była temu, ale obawiała się strasznie.

— Póki oni tu są — Dzierła, my ich widzieć musimy! o musimy! — mówiły Halki patrząc na siebie i zgodnie — powtarzając. — Musimy!

— Nie można! — rzekła Dzierła — gdzie? jak? Gdyby się kneź dowiedział mnieby zabił... a was — ja nie wiem.

— Ojciec wiedzieć nie będzie! nigdy, nigdy, a my widzieć ich musimy! — mówiły Halki.

— Jeden leży — odparła Dzierła, — drugi mało co chodzi i kuleje... jakże wy ich widzieć możecie! Siedzą zamknięci!

— Jak? my nie wiemy, ty powinnaś wiedzieć! Dzierlo złota, Dzierlo kochana...

Baba uszy sobie pozatykała, oczy zakryła, słuchać nie chciała, ale się śmiała... Co tu było począć z niemi!

Aby je rozerwać a mieć czas do namysłu, Dzierła zaczęła opisywać im Niemców, a że młode chłopaki jej się podobali, użyła barw bardzo jasnych... Mówiła że byli hojni, dobrzy, mężni, że ich słyszała śpiewających jakieś pieśni których nie rozumiała wprawdzie, lecz przypuszczały iż w nich była o miłości mowa, tak brzmiały wdzięcznie i słodko.

Chciewie słuchały dziewczęta, nie tracąc wyrazu, rozkazując jej powtarzać, lecz opowiadanie to zamiast nasycić ich ciekawość, jeszcze ją silniej rozżarzało... Oczki się im paliły...

Dzierła tego dnia obłąkana nie wiedząc jak się ratować, kaszlać zaczęła, zbudziła starą, która wrzeczono podniosła i przerwała się ta złota rozmowa.

Halki posmutniały — kazały jej przyjść jutro wcześniej, wcześniej... Z jedną myślą obie, pobiegły do kąta, wzięły świeży kołacz biały, zawinęły go w ręcznik szyty i dały babie szepcząc. — Nie dla ciebie! rozumiesz! O! nie dla ciebie!

Dzierła schowała go za pazuchę i mrugnęła oczyma.

Szła nazajutrz z miną bardzo figlarną do Niemców, kołacz niosąc z sobą. Gero z nią rozmawiał częściej, lepiej ją rozumiał i umiał jej coś powiedzieć, zwróciła się ku niemu.

Wyjęła z pod sukmany zawinięty w piękny ręcznik kołacz ów, podniosła go do góry z wesołą twarzą — i znacząco położyła przed Geronem.

— Kołacz taki że na wagę złotaby go kupić tanio było!! Kto ten kołacz trzymał, kto ten ręcznik szył? kto ten podarek przysłał?...

Głowę rzucała śmiejąc się a śmiejąc. — Geron rozwinął cienki rąbek...

Ona wskazała w dal ku dworowi... i szepnęła mu. — Halki!

Pomału, cedząc, drożąc się, zaczęła wygadywać. — Drażniła Gerona i Hansa, zaczynała coś, nie kończyła, w starej babie znać było przeżyta zalotnicę... Poruszała się jak za młodych czasów, wdzięcząc, mrugając, a bawiło ją to, jakby sama rozpoczynała kochanie.

I tak od słowa do słowa, dwóma łamanymi językami wygadała w końcu że dziewczęta o nich wiedziały, że gdzieś podsłuchały i ciekawe były bardzo — ale — nadarmo!

Gero ofiarował się na wszystko w świecie byle te dwa kwiatuszki zobaczyć. — Garścią sypnął pieniążki srebrne starej, a obiecywał — wszystko co miał...

Dzierła chowała blaszki srebrne, zaklinając się że niepodobna tego uczynić. Jak? gdzie?

Dziewczęta przecież do nichby przyjść nie mogły, a oni też do dworu, gdzie tyle oczów było!!

Dzierła powiększała strachy i trudności umyślnie... Gero płonął z niecierpliwości.

Tymczasem za tego kołacza który im miłosiernie przysłały, chciał coś posłać nawzajem... Hans miał z sobą od matki daną na pergaminie pisaną i malowaną książkę do nabożeństwa. Pochodziła ona z jednego z klasztorów francuzkich, i zdobyły ją prześliczne obrazki... Na jednej stronie była wdzięczna, dziewicza postać Maryi Panny, którą anioł pozdrawiał klęczący.

Geronowi na myśl przyszło wykroić z książki malowanie, ale Hans opierał się mocno, była to pamiątka od matki, była rzecz osobliwa i droga. Gero tak się do niego modlił, tak zaklinał, obiecał tak zręcznie wyciąć obrazek, ofiarował zań wreście ze swej zbroi coby Hans chciał... Zgodzili się nareście i Gero ostrym nożem wykroił kartkę pergaminową. Dokoła oplatał ją wianuszek z różnego kwiecica, z pączków różanych i lilij, promienie w które głowy były poubierane świeciły złotem, lecz najpiękniejsza była twarz Maryi pokornej, schylonej, z rękami na piersiach złożonemi...

Gero zawiązał kartkę tę w jedwabną chustkę którą miał z Włoch przywiezioną. Tkana była w Wenecyi przez azyatyckich kunsztmistrzów i fantastyczny splot kolorów na niej porywał oczy. Zdawała się coś mówić, farby te śpiewały, śmiały się, pieściły z sobą, tylko nie można było ich języka zrozumieć, ale oczy bawiły się od tego cacka oderwać nie mogąc.

Obrazek z chustką oddał Dzierli, polecając aby go tegoż dnia odniosła.

Stara zawięła to jeszcze w jakąś płachtę, bojąc się aby świetne barwy nie zdradziły podarku i wyszła szczęśliwą! Śmiała się idąc i śpiewała. — Co to powiedzą dziewczęta?? jak się to one podzielią??

Wieczorem zastała je obie stojące u drzwi — tak im widzieć ją pilno było — lecz stara nie spała.

Wrzeczono jej kręciło się jeszcze w palcach żywo, nic ciągnęła jak jedwab cieniuchna i równa...

Baba pokazała rękę przykładając do piersi że coś niosła — ale czekać było potrzeba! Czekać, a tu ciekawość paliła!

Na biedę tego wieczora stara prządka dłużej niż zwykle czuwała. Myślały że ją uspią nucąc, śpiewały, zaczęła wtórować...

Wieczór szedł ślimaczym chodem, powoli — nie miał końca, a Dzierła coraz to ręką pokazywała iż coś się tam pod nią kryło. Dopiero gdy wrzeczono się potoczyło, cicho na palcach przystąpiły do ognia, główki ich pochyliły się, Dzierła dobywać zaczęła i rozwijać — ostrożnie, powoli, nieznośnie...

Naprzód błysnęła chustka zachwycająca, uprzedziona tęczą, wytkana łąką kwiecista... Patrzyły na nią oniemiałe... Stara, ledwie śmiejąc dotykać, z poszanowaniem dobyła ów cud — obrazek...

Dziewczęta które widziały tylko greckie malowania duże i niezgrabne, nie prędko wśród tego złota i splotów dostrzegły Maryi i Anioła... Powoli zapoznawały się z niemi, w oczach ich rozjaśniła się ta scena pół w niebiosach, pół na ziemi, na poły obleczona obłokiem, w pół skromna i domowa... Patrzyły nie śmiejąc dotknąć, bojąc się tchnąć aby oddech nie zakaził tej świętości...

Wszystko troje, Dzierła trzymająca w rękach dar ten, dwie Halki wpatrzone weń, — pozostali długo w zadumanem milczeniu...

Przyszło im na myśl że za biały kołacz, taki skarb, to było za wiele, zarumieniły się. Ani przyjąć nie śmiały, ani chciały odrzucić. — Obrazek pociągał ku sobie... Można się było modlić do niego, a modlitwa doń mogła być tak skuteczną jak on był piękny.

Spojrzały na siebie i zwolna rączki ich wysunęły się bojaźliwie ku pargaminowej kartce, ujęły ją i z obawy aby się stara nie zbudziła zaczęły zawijać troskliwie... Żadna z nich nie puszczała tego skarbu... przy którejże z nich miał pozostać! Uśmiechnęły się do siebie...

Starsza narzucała go młodszej, młodsza oddawała napowrót, ucałowały się, uściśnieły i obrazek w dwóch rączkach pozostał we środku...

VII

Ranek był chmurny i na dzień się dopiero zbierało gdy Jaszko musiał na koń siadłszy, przyłączyć się do kilkunastu koni, które nieznajomemu Światopełka powinowatemu towarzyszyły.

Jak w ciągu pobytu w Płocku prawie ich tam widać nie było, bo się wszyscy po kątach gdzieś kryli i na podwórcach nawet nie pokazywali, tak wyjazd też odbył się cicho, i z wyraźnym staraniem, aby ich nie widzieli nawet dworscy ludzie ks. Konrada. Konie wyprowadzono ze stajen po jednemu, stróż z małą latareńką świecił; czeladź siadła gotując się do podróży, a ów dorodny mąż, z którym Jaszko rozmawiał, wysunął się ze dworca, pożegnawszy z kimś u progu we mroku, otulił płaszczem i dał znak do wyjazdu. Cicho otwarto im do pół wrota zamkowe, wyciągnęli z nich gęsiego, i Jaksza znalazł się wśród nieznanym mu ludzi w polu, na drodze..., trochę rozmyślając nad tem na co się tak rychło odważył. — Jechali w milczeniu przez prawie całe jeszcze śpiące miasto, z którego okien gdzieś tylko błyskały światelka..., jakby unikali by ich nie postrzeżono, prędko wydobyli się z pośrodku zabudowań małemi drożynami na pole, i zaczęli zdążać ku lasom nie pilnując gościńca. Dopóki byli w mieście żaden słowa nie przemówił. Przodem na lichym, niepozornym koniu jechał człek bez nakrycia na głowie, porosłej ogromnym włosom, i zdawał się prowadzić. — Za nim milczący ów powinowaty Jaksów, dalej poczet cały, do którego się Jaszko przyłączył. Dopiero gdy już w lasy wjeżdżali o świcie, mógł się on lepiej rozpatrzeć w tych wśród których się znajdował; w Płocku bowiem oni się nie pokazywali. Byli to ludzie dorodni, silni, plemię jakieś wytrwałe, chłop w chłopca szerokopleczone, ale po twarzach ich zwierzęcą dzikość widać było, coś nie dobrze okielzanego, rwałego się na swobodę. Jaszko znajdował między niemi a swojemi różnicę wielką, jakby niedawno przyswojonych i do posłuszeństwa nienawykłych jeszcze.

Nie byli to Niemcy, co po twarzach łatwo poznawał, lecz uzbrojeniem równali im prawie, chociaż i w niem dla wprawnego oka były różnice. Ozdobne ich tarcze, noże, miecze, czapki żelazne, miały inne kształty i rysunki inne. Sam dowódca na hełmie obyczajem rycerzy niemieckich, podobno przyniesionym z Południa, nie dźwigał żadnych ozdób wyszukanych, oprócz dwu małych skrzydeł po obu bokach jego, których pióra były złoczone.

W lesie przewodnik na małym koniu ciągle ukazywał drogę, a zdawał się wyszukiwać jak najmniej uczęszczaną, wcale więc nie rażno im jechać było, bo się przedzierać musieli to gąszczami, to przez moczary i kępiny, przez kłody i zawały, a do pół dnia ni żywej duszy ni leśnej chaty nie widzieli.

W lasach z liści ogołoconych panowała cisza tej pory roku gdy drzewa czem szumieć nie mają, a głos ich letni zmienia się w szmer suchy, w szelest śmiertelny... Tylko gdzieś tam łany sosen i świrków weselej zielonemi gałęzmi rozmawiały.

Sądził Jaszko że dowódca w drodze się do niego zwróci, zagada, — pytać będzie, lecz ani nań spojrział, zapomniał prawie, jechał zadumany, i zdawał się nie widzieć go, nie wiedzieć o nim.

Dumny człek był tem obrażony do żywego, bo choć w nieznajomym domyślał się znacznego jakiegoś urzędnika, — nie miał się sam za tak małego aby już z nim rozmówić się nie było warto. Pocieszał się wszakże tem iż do Światopełka dostawszy się, uzali się na butnego człeka, co go poszanować nie umiał. Czuł w sobie tę samą krew która płynęła w żyłach owego księcia nad Pomorzem panującego.

Dobry kawał drogi zrobili nim dano znak do spoczynku i popasu. Tu już Jaszko wzgardzony trzymał się na uboczu płacąc równą obojętnością.

Dowódca spojrział nań zdala, pozdrowił go tylko od niechcienia i rzucił się na podosłane mu skóry na spoczynek, jak gdyby nocy nie dospał.

Niewesoła to zaprawdę podróż była, towarzysze jacyś nieprzystępni, a choć mu jeść i pić dano, nikt się z nim kumać nie spieszył. W grozie widać trzymani ludzie, cicho między sobą szeptali.

Jaszko sobie mówił ciągle. — Aby mi do Światopełka! droga się przecie kiedyś skończyć musi. Jechali dalej tak samo milczący, pospieszając tak samo, zarwawszy trochę wieczora i nocy. — Spać było trzeba pod gołym niebem, na ziemi, bo tylko dla dowódcy szalasił sklecono... Do dnia dano znać do drogi znowu i tak szło dalej, bez zmiany.

Dowódca tylko oglądał się czasami i oczyma szukał Jaszka, jakby wątpił o nim..., a Jaksa zły już był, więc się ku niemu nie kwapił.

Choć drogi nie znał dobrze Jaksa, ale wiedział w którą się stronę kierować byli powinni, i zdało mu się że niekoniecznie naprost tam jechali, dokąd im było potrzeba.

Drugiego dnia położyli się na spoczynek w lesie, a ludzi dwu wysłano na zwiady. Jaszko tylko dosłyszał gdy im nakazywano patrzeć czy do gródka przystęp był wolny.

Czekając na powrót ich więcej pół dnia spoczywali, a gdy ci nadbiegli i oznajmili że jechać było można, zapóźno się zdało, — nocowali więc w lesie. Rozkazy były dane na przedświt.

Wiedział już Jaszko, iż gdy tu co nakazano, wykonać się musiało — na pierwsze poruszenie ludzi, którzy konie poić poprowadzili, stał i on w gotowości. Mrokiem zaczęli się wydobywać z lasów na mokrą równinę, wśród której łęgów widać było jakby rozlaną rzekę i płynące do niej z puszczy strumienie.

Lśniły się zdala stawy i jeziora, okolica była niska, błotnista, trzcinami, sitowiem, łąką i szuwarami pozarastała, pustynna... tylko wśród niej na pagórku zdało mu się jakby gródek jakiś widać było.

Wyjechawszy z lasów, dowódca stanął i dobrze się dookoła rozpatrzył, niżeli w dalszą ku temu grodzisku puścił się drogę. Dzień się robił, coraz widniej było na świecie. Jaszko teraz wyraźniej już mógł poznać zameczek, wały a nawet ludzi jak mrówki około niego się tłumnie kręcących. Dym z za wałów podnoszący się ku górze i rozplywający się po okolicy, wskazywał, iż tam nareszcie ludzkie mieszkania i spoczynek znaleźć mogli.

Jechali teraz spieszniej przez hacie, groble, liche mostki i brody...

Około zamku poznał Jaksa ludzi sypiących wał i bijących ostrokoły... Ruch tam był znaczny. Jeszcze opodal od niego byli, gdy kupka ludzi postrzegłszy ich, wyrwała się z podzamcza i szybko się zbliżyć zaczęła.

Wszyscy byli dobrze zbrojni, z włóczniami w rękach, z tarczami, w szyszczkach i żwa-wo sunęli naprzód. Dowódca klusem się wysunął przeciw nich, coś zakrzyczał, stanęli i puścili się nazad jakby oznajmując o nim.

Gdy znikli, w chwilę potem na koniu sam jeden mąż wyjechał bardzo pospiesznie, ku któremu dowódca podążył i zaraz z koni posiadawszy uścisnęli się jak bracia bardzo serdecznie, a konie wiodąc w rękę szli razem ku gródkowi.

Jaksa rad był odgadnąć kogo dowódca tak poufale witał, gdy posłyszał pomiędzy ludźmi, którzy obok jechali, szepczących Płwacz!

Tem ciekawiej więc począł mu się przypatrywać... Twarzy mało mógł dojrzeć, ale ruchy widział żywe, gwałtowne, rękami okazywanie namiętne i chwilami krzykliwy głos go dochodził.

Władysław Odoniczow plwał co chwila, okręcając się to w tę to w tę stronę, a usta mu się nie zamykały. Towarzyszowi ukazywał na okolicę, na wały, rozpowiadał coś, przysiadł ku ziemi, garbił się, prostował, śmiał, mruczał i krzyczał na przemiany.

Tamten z powagą słuchał w milczeniu, rzadko słowem przerywając, częściej znaki tylko dając głową. Zdziwiło to Jaszka, że co miał przybyły przed książęciem Władysławem być z poszanowaniem jako dla starszego dostojenstwa, przeciwnie Płwacz okazywał mu cześć jakąś i ustępował nawet kroku.

Musiał to więc być ktoś bardzo bliski Światopełkowi, którego opieki i pomocy Płwacz potrzebował i jemu winien był ratunek, gdy z wygnania w mniszym habicie, jak mówiono, wymknąwszy się, przybył doń, znalazł przytułek — poślubił siostrę jego, a teraz swojej dzielnicy, ba całej Wielkopolski się dobijał.

Mniej go już dziwiło, że ów pan, któremu się Plwacz kłaniał, w drodze nań mało się oglądał.

Cała uwaga jego była zwrócona na Plwacza, na nim i na Światopełku swej zemsty pokładał nadzieję. Byli to jedyni ludzie, co przeciw Leszkowi otwarcie stawali.

Przyszło mu na myśl, iż sam to mógł być Światopełk, który do Konrada potajemnie jeździł a nie chciał być w Płocku widzianym, co go wielką napełniło radością...

Tymczasem już ku okopom się zbliżyli i Jaksza mógł przypatrzeć się zamczysku, które właśnie umacniano.

Spędzeni ludzie z osad wiejskich, niewolnicy, czerń odarta w lachmanach, niektórzy pół nadzy i w skóry tylko jako tako pozszywane, poodziewani z łopatami i noszami ziemię nasypywali, koły bili. Nad nimi stojący dozorczy z kijmi białymi i z biczami napędzali i krzyczeli. Z pośpiechem wielkim szła robota.

Zamek wydał się Jaszce dosyć mocnym, bo go wody dwóch jak miarkował rzek, oblewały do koła, moczary i jeziorzyska przystęp doń czyniły trudnym. Jedna hać wązka wiodła na gródek a i tę przekopać było łatwo...

Sam gród jak wszystkie ówczesne, nie odznaczał się żadnym budowaniem wytwornem. Wszystko tu było z drzewa, chrustu, kołów, gliny i ziemi. W środku ciągnęły się izbice u parkanów zasypane z góry i pokryte darnią, szopy i stajnie, a w głębi stał dworzec lichy, z bierwion sklecony, po nad którym wznosiła się strażnicza wieża, mało co nad wały wystająca. Nie służyła ona do obrony, tylko do rozglądania się po okolicy i zbudowana też była słabo, przejrzysto, byle drabiny do czego przyprzeć można.

Oprócz dworca niepoczesnego, kilka namiotów dla ludzi stało rozbitych w podwórzu i dosyć służby koło nich się kręciło. Tu już książęcia więcej było poznać można, bo urzędników miał podostatkiem a i duchownych zaraz dostrzegł Jaszko kilku...

Do głównego namiotu Plwacz prowadził gościa, który szedł przodem, wielkiego poznanowania mu nie okazując.

Jaksza sposobił się jako tako tu umieścić, bo już na łaskę dowódcy nic nie rachował, gdy z namiotu wyszedł ksiądz i począł pytać o niego.

Oznajmił mu się jako kapelan książe Medan, dodając, że może się w dworcu rozgościć.

Wprawdzie w nim trochę duchownego poznać było można, bo suknia ciemna krój miała zbliżony do używanych przez duchowieństwo, lecz zresztą mało się Medan ów musiał troszczyć o przepisy kościelne, gdyż i obuwie miał nosate z ostrogami, i nóż u boku i czapkę z kłamrą pozłacaną na głowie, a wreszcie twarz młodą, nieogoloną, wąs do góry, a z włosów pięknie na ramiona spływających, tonsury się trudno było spodziewać.

Z ciekawością i ochotą zapoznania się Medan towarzyszył Jaksie do dworca, wprowadził go do pustej komory i zaraz na czeladź zawołał, aby słomy na posłanie dla spoczynku, ognia dla ogrzania przyniesiono i co należało gościowi.

— Nie spodziewajcie się wszakże — odezwał się wesoło — aby wam tu bardzo u nas było wygodnie. My sami tu obozem... co chwila się Laskonogiego spodziewamy pod zamkiem, będziemy się musieli bronić. Nasz książę ma wiele męztwa i wytrwałości, na swoim postawi, ale przecierpieć musimy i głodem przymrzeć. *Clericus curiae*, gdyż taki sobie tytuł nadawał Medan, mówiąc to uderzył nogami, aż mu ostrogi zabrzączyły i rycersko się postawił.

— Jedzicie pono z Krakowa! — zawołał — tamci to ja w szkole bywałem, młodość spędziłem i miło mi go wspominać — lecz teraz ani tam zajrzeć. Myśmy z panem Leszkiem tylko że nie na noże...

— Ja też z nim nie lepiej — odparł Jaksza. — Powiedziano wam, com za jeden, domyślicie się reszty. Dosyć żem Jaksza, a tam kto tej krwi jest tylko cicho siedzieć w kącie i głowy nie wystawiać. Dobrze memu bratu co przy Iwonie jest, bo ten tylko o Panu Bogu myśli, a może o biskupim stołku po Iwonie... ale tego już do naszych nie liczyć.

— Jam tam wytrwać nie mógł!

Rozśmiał się Medan...

— Kto wie — rzekł — jak się z Leszkiem skończy!!

Umieściwszy tak Jaszka, któremu na sercu lżej się zrobiło, widząc że go nie lekceważą i pamiętają o nim — Medan wyszedł, obiecując go z sobą wziąć na dworski stół żołnierski, gdy polewka będzie gotową.

Minęła może godzina, gdy już nie kleryk z ostrogami, ale pacholę bardzo strojne w przepołowionej sukni, pół czerwonej, pół sinej, przyszło Jaksę do książęcego namiotu zabrać z sobą.

Szedł więc rad...

Opłotków uchyliwszy, znalazł się przed księciem Władysławem, który siedział obie ręce na kolanach sparłszy, a obok niego w pańskiej postawie ten z którym Jaksza przybył. Patrzył on nań i ciekawie i szydersko.

— Oto Jaksza mój — odezwał się do Płwacza. — Pokłoń się księciu, a teraz i mnie możesz, bo wiesz, że masz Światopełka przed sobą, któregoś chciał widzieć, a poselstwo od ojca sprawić.

W drodze mi się czem jestem nie zdało okazywać, tu w Uściu jużem jak w domu. A naprzód, wiedzieć masz, że my nigdy w Płocku nie bywali!...

Podniósł rękę do góry i rozśmiał się złośliwie...

Jaksza się pokłonił obu.

— Mów — rzekł niecierpliwie Władysław — plując już po swojemu i perząc się. Jest tam kto w Krakowie coby rozum miał i tego gnuśnika przepędził?

— Na tych co by chcieli nie zbywa — rzekł Jaksza. — Ojciec mój nie zapomniał swych krzywd, ani ja, ani my wszyscy ile nas jest. Leszek by już może wyleciał, gdyby go biskup Iwo i duchowieństwo nie podpierało.

— Nic to — przerwał Płwacz — ja też mam ich za sobą. O! tak! prawdą jest! bez nich nic, z nimi trzymać trzeba chcieli być cały i panować... Ja to wiem, ja ich obsypuję, ja im daję co chcą, niech sądzą, niech rządzą, niech monetę biją, niech z swoimi poddanymi czynią co się im podoba.

Laskonogi głupi jest, zadarł się z księżmi, przez to wyleciał precz z Krakowa... a i w Poznaniu się nie osiedzi... nie! księża mi pomogą.

Światopełk nań spojrział i dodał.

— Licz że i mnie, bo i ja się przydam na coś...

Nasza sprawa jedna. Leszek chce mieć daninę odemnie... chce bym mu się kłaniał — nie będzie z tego nic... Mnie pomorska starszyzna księciem swym okrzyknęła... Ojca mojego posadził Kaźmierz, płacił dań, ale to się skończyło, nie dam denara — takim dobry jak i on. A zechce wojny nie lękam się go.

Jaksze się serce radowało.

— Jeżeli macie za sobą Konrada — rzekł — nie ma się co Leszka obawiać...

Światopełk dał mu znak by nie mówił o tem.

— Konrad sobie, ja sobie, ja z nim nie mam nic — rzekł — z Leszkiem sprawa.

— I z Laskonogim — dodał Jaksza.

— On nic nie znaczy — wyrwał się Płwacz — nic! źdźbło, pruszyna, słabizna. Wszyscy go opuszczają... polanie pójda za mną i za duchowieństwem. Pruchno! zgnilizna! Nogi mu się te długie połamią i padnie! We dwóch z Leszkiem choćby się za ręce wzięli — podążymy ich pokonać... Mali ludzie są...

— Ale biskup Iwo i krakowianie, a książę Henryk — rzekł Jaksza. — Jam oto właśnie we Wrocławiu był — ztamtąd się nic dobrego spodziewać nie można.

Światopełk i Płwacz popatrzyli na się, potem na Jaksę.

— Słuchaj Jaszku — odezwał się pierwszy z nich — który widocznie miał tu stanowczy głos i przewagę. Wiem żeś Jaksza i mój powinowaty, wiem że ci sadła zalali za skórę, żeś dużo przecierpiał, ale ja cię nie znam, czyś ty się na co zdał... Ojciec rozum ma i siłę...

— A ja mam serce i chcę zemsty! — odparł Jaksza. — Czy się na co zdam poprobujcie. Już to zem uszedł z Krakowa do was, coś warto.

Światopełk popatrzył nań chłodno i rozważnie, a Płwacz nie śmiejąc się odzywać, oczy trzymał w niego wlepione.

— Żeście tu przybyli — rzekł powoli Światopełk — dobra jest rzecz, ale wyście nam potrzebniejsi tam niż tu...

Idźno spocznij — pomówimy o tem, ale mi się zda, że ja was nazad pchnę do ojca...

— Spoczynku ja tak bardzo nie jestem żądny — odezwał się Jaksza — ale i powrotu do ojca także.

Wy, miłoścywianie panie tego nie znacie, co to człowiekowi z zemstą w sercu siedzieć pod bokiem tego, komu się ją poprzysięgło... Ani pazury niedźwiedzie tak nie szarpia człowieka jak ta męczarnia.

— Zemsty chcesz — no! to pomagaj do niej — rzekł Światopełk. — Tutaj dwoje rąk twoich nie wiele przyczyni, a tam zrobicie więcej.

Nie z próżnemi rękami cię tam pošlemy, będziesz miał co wieść, ino się ja z panem bratem naradzę.

Jaksza chciał odchodzić, — ale się zwrócił jeszcze.

— Ksiądz mi tu mówił — odezwał się — że pod Uście Laskonogiego się spodziewacie. A nuż nadejdzie, to ja się z zamku wyrwać nie będę mógł. Jeśli chcecie mnie wysłać, trzeba wczas.

Światopełk niemal pogardliwie nań popatrzał.

— Przecie jam tu jest — rzekł — a i ja się nie chcę dać oblegać. No — a gdyby i nadszedł Laskonogi, myślisz że to tak łatwo obsaczyć tę dziurę dokoła?.. Czyż to ci koniecznie potrzeba gościńca abys ztąd wyjechał? a czółenkiem po nocy, albo i po pas w bród — niemożesz?

Jaksza tą wymówką dotknięty trochę, nie rzekł nic, wyszedł cicho w podwórce, rozpatrywać się.

Wnet zobaczywszy go znany mu Medan zbliżył się ku niemu, już nie sam; obcego ciekawi, okrążyli go duchowni i Jaksza przekonał się, iż Plwacz nie darmo mówił, że z niemi był na dobrej stopie. Dwór jego obfitował w kapelanów, kleryków, pół duchownych i księży.

Wszyscy tu byli jak w domu, pewni siebie i pana — nie kryjąc tego iż mieli u niego przewagę... Gdyby Jaksza znał był ich, postrzegłby między niemi i z dzielnicy Laskonogiego tajemnie przybyłych, a nawet archidyakona z Poznania.

Dwór ten był bardzo dobrej myśli i wesołych nadziei — choć ów zameczek w Uściu nie wiele zdawał się obiecywać, czuli się w nim wszyscy bezpieczni.

— Prawda, — mówił Medan, — że tu w tym błocie i moczarach siedzieć nie wesoło, lepiejby było w Poznaniu lub Gnieźnie, ale przyjdzie i do tego.

Łajano i naigrawano się z Laskonogiego.

Piotr archidyakon poznański, począł to co zwał zbrodniami jego wyliczać — gwałtowny człek mówiąc o tem pohamować się nie mógł.

— Pomsta Boża przyjdzie na tego antychrysta — wołał — jak go wygnali z Krakowa, tak go wyženą precz i z Poznania i z tej całej Polski... Nic świętego u niego nie ma, — kapłan, prałat, jego mienie, dziesięcina, skarbiec, — po wszystko sięgnąć gotów... Zbrodniarzy sadza po naszych domach i każe nam ich patrzeć, strzedz i karmić...

— Ale kościołom świadczył — dodał drugi...

— Ze strachu — odparł archidyakon — gdy widzi że go wykląć możemy, bo wyklniemy jak Bóg Bogiem. — Mnichów sobie dobiera, których lada kawałkiem lasu zaspokoi... a za to po nasze skarby sięga i po nasze prawa...

Moich ludzi mi chce sądzić swojemi podsędkami! A! wara! *Anathema* będziesz! — wołał ksiądz rozgrzewając się coraz mocniej. — *Anathema!*

Ksiądz Medan się uśmiechał. — Jaszko więcej tu słuchał niż się sam mieszał do rozmowy, pytano go o Kraków, malował go po swojemu..., a że sprawę Laskonogiego jednoczono tu z Leszkową — radzi byli wszyscy że na niego sarkano.

Dzień tak upłynął do wieczora, a Jaszko, który się był umęczył podróżą, u stołu dobrze podjadłszy i napiwszy się, znalazłszy kilku Niemców wesołych do kubka, resztę godzin spędził w ich towarzystwie.

Mówiono że Światopełk rano nazajutrz jedzie do siebie na Pomorze — czekał więc co mu rozkaże.

Późno już w noc, miał ledz gdy go do namiotu zawołano.

Plwacz ze szwagrem siedzieli prawie tak samo jak zrana. Gdy wszedł Jaksza, Światopełk wstał i podszedł ku niemu.

— Postanowiłem tak jakem rzekł, — odezwał się — tobie trzeba nazad.
— Ano tam już mnie pewnie wywołali i na gardło skazali! — mruknął Jakska.
— Od czegoż ojciec? — odparł Światopełk. — A nie mogłeś to miesiąc w lesie przesiedzieć zabłąkawszy się, albo u druha — czy oni mają koniecznie wiedzieć gdzieś ty bywał?

Uderzył się w czoło...

— Rozum powinienes mieć, a jeżeli go nie masz, na cóżes się zdał, — ciągnął dalej.
— Dobrze jest mieczem walczyć, gdy inaczej nie można, ale chytrością lepiej, gdy ją kto ma...

I stanąwszy naprzeciw niego mówił powoli.

— Leszka stłuc w polu — choćby i Henryka po sobie miał i Laskonogiego, dalibyśmy radę — ale ludzi szkoda i nas też — obejdziemy się mniejszem...

Niechaj ojciec poddaje że my do zgody, do rozmowy, do układów skłonni, że my, baranki! Niechaj tu gdzie, w bliskości granic wiec naznaczą — niechaj Leszek zjedzie jako rozjemca — a już resztę my potrafiemy... Rozumiesz ty? w to trzeba bić.

Jaksie nie w smak poszło co Światopełk powiedział, stał namarszczony...

— Niech Miłość Wasza mi przebaczy — odezwał się. — Co z tego będzie? Naznaczą zjazd, napłynie rycerstwa, duchownych, będzie tak jak nad Dłubnią z ks. Henrykiem, ręce każą podać i zgodę zapiją.

— Alem ja nie Henryk! nie! — buchnął gwałtownie Światopełk, za ręce go chwytając tak że mu się silne palce jego wpiły w ciało. — Mnie nie nastraszy nikt, ani Biskup, ani rycerstwo... ani Leszki...

Po białkach śnieżnych ogniście przemknęły mu się źrenice.

— Rób jak ci mówię — dodał Światopełk, — bo wiem co mówię, i wiem co uczynię, a co powiem to się stanie...

Skończymy na zjeździe — ano nie tak jak ty myślisz...

Odstąpił krok.

— Mów co ci przykazuję, — powtórzył, — ojciec niech nakłania do zjazdu, do rozmowy. Przyjadę ja, przybędzie Odonicz. Niechaj miejsce mi takie naznaczą tylko abym niedaleko miał ciągnąć — bo ja się od mojej granicy oddalać nie chcę, i nie wierzę im... Rozumiesz co ojcu powiedzieć!

Powód do zjazdu jawny. Odonicza z Laskonogim jednać trzeba, a ze mną też skończyć o tę daninę, której ja nie dam. Ale niech się oni jej spodziewają...

Jaszko nie sprzeciwiał się już. Poselstwo to wprawdzie nie było mu do smaku, lecz patrząc i słuchając Światopełka oprzeć mu się było trudno.

Był on jednym z tych co mają nad pospolitemi ludźmi przewagę ogromną, co rozkazywać umieją, sprzeciwienia się nie cierpią.

Jaksie wydawały się plany te bardzo trudnymi do wykonania i niepewnymi, Światopełk się nie spowiadał przed nim z ich końca — lecz dla Leszka nie mógł on być pomyślnym. Słaby i łagodny książę krakowski nie był w sile walczyć z energicznym i przebiegłym pomorskim księciem.

Odonicz wstał też potwierdzając po swojemu urywanemi słowy, które gęste plucie na pół rozcinało — co szwagier powiadał.

— Próchno! słabizna — lichota! wszystkich ich pokonamy — nie zmogą nas... Zjazd — niech będzie zjazd! Niech duchownych naściągą, ja ich przez moich ponawracam...; zatkam im usta złotem, nadaniami... Niech się zjadą... będziemy robili zgodę...

— Przywiesim do niej pieczęć czerwoną! — dodał Światopełk.

Raz jeszcze i drugi powtórzono Jaksie co mówić miał.

— Rano jutro, w drogę! — klepiąc go po ramieniu odezwał się Światopełk, — a pamiętaj o tem że umieć milczeć to rozum większy niż umieć gadać...

Pilno im tak było Jaszka wyprawić z Uścia że go do dnia ludzie Odoniczowi zbudzili... — Opatrzono go na drogę, chciał jeszcze ze Światopełkiem widzieć się i pożegnać, powiedziano mu że już go w Uściu nie było. Nocą wymknął się dalej ku domowi.

Ks. Medan, który był wstał, sam jeden tylko życzył mu drogi szczęśliwej.

Znowu więc sam, w nieznannej okolicy, z kilkorgiem czeladzi nie zbyt świadomej dróg, znalazł się Jaszko, tyle tylko wiedząc co mu w Uściu powiedziano głucho o gościńcach i przesmykach...

Deszcz padał noc całą, ziemia była rozgrzeta, a Jaszko kwaśny i zły tak że nim za hacie wyjechali na suchszy grunt i konia zcwiczył i sługę obił a kłął nieustannie.

Zła to była wróżba na drogę. Raźniej mu się dopiero zrobiło gdy z trzęsawisk i błot do lasów się dostał. Chociaż przestrzegano go by wielkich dróg unikał, Jaszko ufny w siebie a leniwy nieco, dla wygody puścił się gościńcem. Co gorzej, pomyślał że miasto wprost dążyć do Krakowa, nie byłoby od rzeczy nawrócić do Płocka i tam spocząć a z Sonią się zobaczyć... Baba go doskonale karmiła i poila, a Jaszkwowi przysmaki te nie były rzeczą obojętną.

Poselstwo nie zdało mu się tak pilnem aby dla niego karku nastawiał, owszem, w pole wyruszywszy, gdy Światopelka nie miał nad sobą, znowu powątpiewał czy pomorski pan miał słuszność. Zły był na niego, że mu powracać kazał tam z kąd się ledwie wydobył.

Nie wątpił że ojciec go swą powagą osłoni, lecz rozpocząć życie na nowo obmierze, chować się i gnuśnieć w kącie — było mu nieznośnem.

Gdy się wybrali na gościniec wielki, Jaszko cokolwiek poweselał, deszcz też ustał a piaszczysta droga nie tak była dokuczliwa... Tu i owdzie stała karczma, znalazła się szopa, było gdzie spocząć, do kogo zagadać.

Miało się ku wieczorowi, gdy Jaszko o noclegu pomyślał. Przejżdżający ludzie oznajmili mu gospodę w pół mili, przy której bezpiecznie było można się położyć. Stawali w niej zwykle kupcy, odpoczywali podróżni, piwa dostać było można i chleba, czasem ryby bo jezioro było niedaleko.

Miejsce to zwano Postojem... Popędził konia Jaksa żwawo i ani już patrzył przed niego zatopiwszy się w myślach, gdy z tyłu usłyszał krzyk jednego z czeladzi swjej. Podniósł głowę mając ją zwrócić ku niemu, ale przed sobą ujrzął widok, który wywołał głos pacholka.

Spostrzegł teraz dopiero, że nieopatrznie jadąc, natknął się na jakieś ogromne, rycerskie obozowisko.

Postój już widać było o stai parę, a dokoła jak okiem zajrzeć, leżał lud mnogi. Stały konie, namioty były jedne rozbite, drugie właśnie naciągano... Lud ten tylko co był widać z przeciwnej nadciągnął strony.

Jaszko byłby się cofnął, gdyby nie to, że go postrzeżono, kupa ludzi z których połowa była na koniach, stała tuż. Ucieczka niemożliwą się zdawała. Nie wiedział zaś Jaksa co za obóz mógł być i tknęło go, że najprawdopodobniej wojsko musiało być Laskonogiego, który zdążył pod Uście.

Nie było już innego sposobu jak iść po rozum do głowy, aby nie popaść w ich ręce. Przybywał od strony Uścia, więc i podejrzanym być musiał iż do Odoniczowych należał...

Nim konia potrafił zatrzymać, już się znalazł z ludźmi osaczonym do koła, wziętym niemal.

Stary, siwy w pół zbroi człek wołał:

— Stój? coś ty za jeden?

Jaksa myślał co odpowiedzieć, a nie rychło przybywające na usta słowo, budziło podejrzenie.

— Kto? z kąd? — powtarzano do koła...

— Od Płwacza musi być! z Uścia!

Jaszko milczał, do siwego się obrócił w ostatku.

— Z Krakowa jestem, od pana Leszka, posyłam był za dworską sprawą.

W tem jeden z otaczających jął mu się przyglądać.

— Nie prawda! — zawołał — ja cię znam, tyś Jaksa! Jaszko Jaksa.

— Ani się zapieram tego — odezwał się śmielej Jaszko — ale chyba tego nie wiecie, że znowu u pana w służbie jestem. Przecie wiadomo kto ojciec mój.

Ten co mu zadał, że Jakś był, głową począł kręcić. Naradzano się cicho. Siwy człek, który miał tam zwierzchność w obozie, nie mówiąc co myślał i zamierzał, rzekł sucho:

— Zsiądźcie no z konia. Przenocujecie w obozie, jutro księżciu damy znać, bo go tu nie ma. Od Uścia jedziecie, oczywiście albo po język lub z językiem, a my na Uście idziemy, aby lisa z jamy wykurzyć!...

— Wziąć go aby nie uszedł — dodał ten — co poznał że był Jaksza.
— Uchodzić nie mam czego i nie myślę — zawołał Jaksza. — I tak miałem tu nocować.
— Toś się dobrze wybrał! — rozśmiał się inny. Straż będziesz miał bezpłatną i koni ci nie pokradną.

Rad nie rad Jaszko z konia złązić musiał, ludzie go otoczyli, drudzy czeladź milcząca badać zaczęli czy nie z Uścia jechali, ci słysząc i miarkując o co szło, zapierali się; ale nie umieli powiedzieć z kąd na tę drogę się wybrali.

Wszystko to mnożyło podejrzenia. Patrzano na Jaszka z ukosa i nie dano mu się oddalić. Nie chciał się im wypraszać, udając że pewnym siebie był, rachował też na bliższe poznanie się i lepsze usposobienie po piwie, które z beczek na wozach właśnie toczono...

Omyliły wszystkie te rachuby, gdyż starszyzna poszeptawszy z sobą oddaliła się a ciury otrzymawszy rozkaz strzeżenia go do jutra, obsiadły dokoła i tyle tylko że mu zostawili miejsce aby się mógł na zdjętem z konia siedzeniu położyć...

Jaksza nakrył głowę i sennego udawał, ale sen go nie myślał brać. W obozie też gwar, rzenie koni, śpiewki i bójki całą noc prawie trwały. Chociaż się napaści nocnej nie spodziewano od Plwacza, miano się jednak na pieczy. Nocą jeszcze też nowe oddziały przybywały.

Kilka razy uchylił opończy Jaszko patrząc czy się straż nie pośpią i czy mu się wymknąć nie uda. — Zawsze ktoś czuwał, chodził, patrzył, a od koni i ludzi oddalonym był, tak że się do nich dobrać po ciemku nie było łatwo.

— Otóż tobie wielki gościnniec! — mruczał Jaszko w duszy przeklinając go, — trzeba mi było wygody zachcieć i za gospodą gonić...

W głowie próżno szukał co miał przed Laskonogim powiedzieć... i dokąd go posyłano. Ze zgrzyoty i umartwienia zasnął ledwie nad rankiem..., gdy z ciężkiego snu zbudziło go uderzenie w bok i wołanie.

— Wstawaj!

VIII

Dzień był biały, tuż o kroków kilka na koniu czarnym z długą grzywą stał mąż dobrze niemłody, lat mieć mogący pod sześćdziesiąt, długiej twarzy, rysów stężonych, żółty i wynędzniały, szczególnie długich i cienkich nóg, które w obcisłych spodniach niemieckich, jeszcze dłuższe i cieńsze wyglądały niż były...

Dodawały im niepotrzebne już wzrostu, buty sznurowane u góry, obcisłe, zakończone nosami ogromnymi, zakrzywionymi, ubraniami w mosiężne, błyszczące skóWKi.

Plaszcz ze szkarlatu ciemnego, bramowany i podszyty futrem, spływał mu z ramion, a pod nim widać było rodzaj koszuli pancernej z żelaznych kólek misternie splecionej, z blachą na piersiach stalową, w kręgi pozłociste przyozdobioną.

Wypukły guz świecący środek jej zajmował. Na pasie złoconym miał u boku miecz, a na haku u koszuli zawieszony mieczyk mały. Ręce ubrane były w pokryte z wierzchu żelaznami blachami rękawice. Koń na którym siedział miał też kapę naszywaną żelaznami łuskami, ozdobną kutasami i wisadły.

Twarz jego obojętna, blade, nic lub nie wiele mówiąca, jakby życiem znudzona, nie miała wyrazu, któryby z niej coś odgadnąć dawał. Patrzył oczyma bladymi, zmęczonymi, bez zajęcia dokoła, oglądał się i nie widział.

Siwy już mężczyzna z odkrytą głową, hełm lekki trzymając w ręku, stał przy nim i opowiadał mu coś, wskazując na leżącego jeszcze na ziemi Jaszka.

Nie wiele to obchodziło słuchającego, który tam i sam tymczasem patrzył.

Poza nim stojący na koniach i pieszo dwór rycerski — chorągiew na wysokim drągu niesiona z jeźdźcem w polu czerwonym, — mówiły że to być musiał książę, Władysław starszy Laskonogim zwany.

Wprawdzie strój bogaty, dwór pański dostojęstwa książęcego domyślać się kazały, ale władza jego czuć się nie dawała w otoczeniu.

Każdy tu sobie poczynał jak chciał, dokoła nawoływano się głośno, rozkazywano, sprzeciwiano się, kłócono, książę obojętny i zimny wcale na to nie zważał.

W obozie ładu i zgody nie było, porządek mały, wrzawa okrutna, nikt o to nie dbał, jakby w obyczaj weszło życie w takim zamęcie.

Jaszko spostrzegł prędko, podnosząc się z ziemi i szykując do rozmowy na którą go wołano, że nawet ze stojących za księciem niektórzy lekce go sobie ważąc pokazywali palcami i szydzili z cicha.

Najczynniej w tem otoczeniu Laskonogiego odzywali się i gospodarowali dwaj młodzie rycerze, których nazwiska obili się Jaksie o uszy.

Byli to znani nieprzyjaciele Odonicza, prześladowani przez niego Borzywój ze Śremu i bogaty Sędziwój, oba ziemianie możni. — Zdawna się na nich odgrażał Odonicz że połapawszy jak zbójów, bez wykupu pościnać ich każe — bodaj nie czekając sądu, choćby miał za ich duszę dać po wsi do jakiego klasztoru, bo tak się wówczas często za zabójstwa wykupywano.

Przebudzony Jaksza, zwlekał stawienie się przed Laskonogim, choć go popychano, szarpano i gwałtem ciągniono. Poprawiał odzież na sobie, w posłaniu czegoś szukał, tymczasem myślał co mówić będzie.

Książę Władysław starszy, który się sam tak zwał dla odróżnienia od młodszego Władysława Odonicza, nie okazywał najmniejszej niecierpliwości, ani nawet zajęcia tym człkiem, którego mu jako szpiega stawić miano. Spoglądał nań, poziewał, nie nagłąc aby prowadzono.

Za to Borzywój brodaty i Sędziwój, który poważnie bardzo występował, lecz gwałtownym był i rozkazującym — pierwsi się ku Jaksie rzucili, pytaniami go głuszając i chcąc wyciągnąć z kąda, poco i od kogo jechał, co tu robił, i t. p.

Borzywój targał go za ramiona, Sędziwój głos podnosił i brwi marszczył.

Ci co stali z boku, nim się Jaksza namyślił odpowiedzieć, poczęli wykrzykiwać że był — Jakszą z Krakowa. Drudzy poddawali iż od Płwacza jechał pewnie.

Skupiano się do koła.

Laskonogi dawał im krzyżować i cisnąć się, cierpliwie stojąc na koniu nieruchomy i czekając końca, który go mało obchodził.

Borzywój, widząc że się Jaszko ociąga, wręście za ramię go silnie ująwszy, popchnął przed księcia, aby się tłumaczył przed nim. Widząc że tu wielkiej karności nie było, a sam książę nie zbyt się jego sprawą zajmował, Jaszko odzyskał odwagę.

— Miłościwy książę, — rzekł przystępując do niego z pokłonem, — nie zapieram się kto jestem... Poznano mnie tu przecie, twarzy sobie nie umazałem... Jaszko Marka Wojewody syn — toć prawda.

Posłano mnie od pana Leszka za pilną sprawą, powracam do Krakowa.

Popatrzwszy nań trochę, Laskonogi usta wyduł i odparł flegmatycznie:

— Za jaką sprawą was posłano?

Umilkli ci co dokoła stali, a dotąd nie zważając na przytomność księcia dosyć głośno się spierali z sobą.

Jaszko ośmielał się coraz więcej.

— Miłościwy panie — odezwał się, — nie mogę mojego pana spraw rozgłaszać, kiedy mi nakazano abym język za zębami trzymał. Zdrajcą niechcę być.

Borzywój i Sędziwój pilno nań patrzali, potrząsając głowami, książę z góry także poglądał, lecz nie poruszał się wcale... Odpowiedź zdawała mu się słuszną — spojrział na stronę. Wnet drudzy zakrzyczeli szydersko.

— Wykręty! musisz ty gadać i tłumaczyć się, bo inaczej cię nie puścimy. Wojenne prawo takie... a ty wprost od nieprzyjaciela jedziesz!

— Albo to my nie słyszeli — dodał inny — co Jaszko zrobił z Odrowążami? Wszak ten sam jesteś co cię precz z kraju wygnali i do Czech musiałeś uciekać. — Leszek cię na gardle chciał karać — a terazby cię posyłał za tajemną sprawą?? Ale! ale!

Jaszkowski krew do głowy biegła — zasromał się, w gardle go dusiło.

— Kiedy wszystko wiecie, — zawołał, — to i o przebaczeniu powinniście wiedzieć... Ojcu i mnie pan łaskaw przebaczył, a my mu służym wiernie. Marek Wojewodą jest jak był.

— To prawda! — odezwał się Laskonogi.

— Miłościwy panie — wtrącił Borzywój — ojca sprawa a syna nierówne. Marek dawno powrócił po Dłubni, a synowi nie było wolno się pokazywać. Oni zemsty szukają..., pewnie do Uścia jeździł, albo do Światopelka, bo to jedna krew...

— A i to prawda! — rzekł oziębłe Laskonogi.

— Więc go nie puszczać, bo on odsiecz naprowadzi nas, — wołał Borzywój — to ptaszek!

Jaszko odwrócił się ku Laskonogiemu, wzywając jego opieki, ale ten oczyma badał swoją radę, niepewien, i milczał.

Wszyscy niemal Borzywojowi wtórowali.

— Nie puszczać!

— Niechaj się złoży z czem jechał.

— Niech przysięże! — wołano.

— Mnie czekają w Krakowie, i pilno wracać kazano — odezwał się ku księciu Jaszko.

Rozśmiało się kilku...

— Pewno ci pilno! a no, poczekaj!

Książę nie wydawał sądu żadnego, żuł coś w ustach i czekał..., chcąc by go wyręczono.

Rzecz w jego przekonaniu nie musiała mieć wagi wielkiej, chociaż niektórzy do niej zbytnią przywiązywali.

— Pójdzie z językiem, policzywszy nas — mówił Borzywój. — Jak weźmiemy Uście to go uwolnim!

Sprzeczkę i rozhowory poczęły się znowu głośnie i swobodne, hałaśliwe tak jakby o księciu zapomniano.

Jaksa bywały człek, choć na niego następowano ostro, pomiarkował że dlań najlepszym było zyskać na czasie, zwąchać się z ludźmi, a później znajdzie się sposób wymknięcia. Odezwał się więc jakby lekcewał tę niewolę.

— Każe Jego Miłość zostać w obozie — cóż mi tam? — będę siedział. Spytają mnie potem com robił, powiem. Tyle tego, wina nie będzie moja.

Obojętność z jaką to rzekł, dobrze udana, zrobiła pewne wrażenie na księciu, który popatrzawszy nań, spytał.

— Dawnoś ty z Krakowa?

— Tygodni kilka — odparł Jaksza.

Borzywój który się lękał aby książę nie złagodniał, przystąpił do niego, rękę na koniu położył i cicho rzekł.

— Nie może to być aby go wolno puszczać. Dowodu nie ma że go posłano, a Jaksowie ludzie niepewni. Jak Uście opanujemy, niech rusza oznajmić...

Książę nie sprzeciwił się, ani potwierdził — słuchał. Napróżno zwracał ku niemu oczy Jaszko, on ich unikał. Nie dawał żadnego znaku.

Korzystał z tej chwiejności księcia siwy oboźny co wczoraj pierwszy Jaszka ujął, odepchnął go na bok od książęcego konia i rzekł rozkazująco.

— Zostaniesz w obozie!

Spojrzał po swoich!

— Hej, Wojbór!

Na zawołanie to zbliżył się żołnierz w pancerzu łuskowym, z głową kudłatą jasnemi włosami okrytą, uzbrojony dosyć lichy.

— Wojbór! weźmiesz go z sobą, i mieć będziesz na oku! — aby nie uszedł.

Usłyszawszy to, młody żołnierz przystąpił do Jaszka i milcząc wskazał mu drogę. Nie było się co opierać, rzucił jeszcze okiem na księcia roztargnionego Jaksza i poszedł posłuszny.

Okolo Laskonogiego kupili się ludzie i trwała głośnie narada. Słuchać było jak jedni nastawali żeby nie tracąc czasu iść na Uście, drudzy chcieli żeby się wprzód rozsluchać i rozpatrzyć. — Powolniejsi radzili odpoczywać tu jeszcze przez dzień — gorętsi zaraz pospieszać chcieli przeciw Odoniczowi nimby się na gródku umocnił. Skończyło się na tem że opieszalsi głośnie krzycząc przemogli. Niewielki oddział postanowiono wysłać na podjazd, a książę u Postoju do jutra miał zostać i spoczywać.

Poprowadzono jak w tryumfie Laskonogiego ku szopie, którą miał zajmować. Poza nim jeszcze się dowódcy kłócili i ujadali.

Jaszka tymczasem Wojbór na stronę powiodł i pod drzewami u ogniska przy sobie posadził. Pilno stróżowi swemu przypatrywał się Jaksę, miarkując czy mu łatwo da radę. Prosty człek zdał się być, ziemianin ubogi, z dziecka po obozach służący, a na sprawę obojętny, byle miał chleba kawałek i łup nadzieję.

Z oczów mu wielka bystrość nie patrzała. Jaksę nabrał otuchy.

Usiedli pod pniami zawiązując rozmowę poufałą, którą więzień starał się uczynić przyjemną, bo mu szło o pozyskanie stróża. Ten też głaskać się dawał, dobrodusznie słuchał i śmiał się.

Jaszko udawał wesołego i obojętnego — zaczęto myśleć o jadle i napitku. — Pierwszego nie było w obozie tylko najprostsze — chleb czerstwy, mięso suszone, kasza którą z worów dobywano do kociołków. — Za napój była woda brudna i piwo kwaśne.

Wojborowi i na tem było dosyć, popsutszej gęby Jaszko krzywił się. Miał coś przy koniach zapasu z Uścia — zawołał swych ludzi, kazał im stać niedaleko i żywnością ze stróżem się podzielił.

W obozie gwar nie ustawał. Tu i owdzie pochwytny wyrazy na uboczu dawały się dorozumiewać Jaksie że nie wszyscy tu z Laskonogim trzymali, chociaż z nim szli.

Odzywano się różnie.

Podjadłszy Wojbór obojętny, położył się na ziemi i, mimo hałasu usypiać począł... Jaszce się spać nie chciało, bo mu niewola doskwierała, myślał jak się z niej wyrwie.

Zdrzemnął się właśnie Wojbór, i z otwartymi ustami leżąc, chrapać już poczynał, gdy dwóch ziemian zbliżyło się do ich ogniska. Uzbrojeni dobrze, wyglądali na starszyznę.

Oddawna już zdala ich sobie przypatrujących się widział Jaszko..., dopiero gdy Wojbór usnął przystąpili doń, kołując ostrożnie i oglądając się poza siebie.

— No cóż — odezwał się jeden pół głosem — w drogęśmy wam wleźli, na złą godzinę!!

Jaksę ruszył ramionami.

— Co robić!

— Nie bardzo to bierzcie do serca — rzekł drugi. — Albo nocą lub nadedniem, gdy się popiją i posną, pojedziecie sobie.

Pierwszy dodał z cicha, patrząc na Wojbora.

— Wy taki z Uścia? he?

Jaksę chciał zaprzeczać, gdy drugi wtrącił.

— Nie bójże się...! Co ty myślisz że my na Uście idziemy?! I my i kupa tu duża takich co ciągniemy z Laskonogim dlatego — aby się łatwiej do Odonicza dostać.

Jaksę patrzył i słuchał z pewnem niedowierzaniem, gdy towarzysz mruknął.

— Władysław starszy młodszemu nie da rady — tamten żwawy chłop, ten swojego niepewny. To mu się chce to mu się odechciewa...

Pochyliwszy się szepnął drugi.

— Uście mocne?? he? Mają oni tam ludzi? Światopełk ci mu pomoże?

Jaksę milczał jeszcze gdy oba poczęli nagłaco.

— Nie wzdrażajcie się mówić, my, swoi! Trzeba będzie, pomożemy do ucieczki.

Dopiero się Jaszko ocknął i dał znak ręką że im za to dziękował. Posiadali przy nim na ziemi, starszy się do ucha Jaksie nachylił znowu.

— Grodzisko tam mocne? — zapytał.

— Nie dojdziecie do niego ani na strzał z kuszy, ani na strzał z łuku, bo błota i trzęsawiska dokoła — począł Jaksę. — Jedna suchsza hać prowadzi do bramy — a i tę zawczasu przekopią. — Będą się trzymali póki chleba stanie.

Przybyli pokiwali głowami i rozśmiali się wesoło.

— Ludzi pewnie dosyć ma — rzekł jeden — jakby mu brakło, to z naszych pójdzie dużo, bo się na to nagotowali.

— A Medan tam jest? — zapytał drugi.

Jaszko głową potwierdził.

— Wam pewnie się ztąd wyrwać pilno — poczęli znowu po chwili, przekonawszy się że Wojbór chrapie, — nie śpijcie tylko w nocy, ludziom każcie żeby konie mieli pod ręką. Mają oni tu dosyć bez tego do roboty i strzedz was bardzo nie będą.

Ścisnęli się za ręce, poszeptali jeszcze między sobą i rozeszli się.

Jaszko nabral serca, lecz pośród długiego dnia jeszcze się miało zmienić jego położenie, a przynajmniej na to się zanosilo i nowy dowód go czekał jak Laskonogi słabym był we własnym domu.

Z południa przyszedł komornik, który go po całym obozie szukał i hukał, aby zaprowadzić pod szopę do księcia. Laskonogi tu odpoczywał na sianie, wpośród dworu swego. Zobaczywszy Jakse, dał mu znak by przystąpił.

— Prawda to że cię Leszek posłał z Krakowa? — zapytał niedowierzająco a chłodno razem.

— Tak jest! tak jest, miłościwy panie! — rzekł Jaksza. — Ojca mojego znasz Miłość Wasza, on mnie z polecenia pana wysłał.

— Powinieneś mówić prawdę i duszy nie gubić — dodał Laskonogi. — Ja wierzę że tak jest! no — i puścić cię gotowem kazać... Jedź z Bogiem, wprost do Krakowa, dam ci jeszcze poselstwo...

Popatrzał mu w oczy, a Jaszko ani mrugnął.

— Powiesz bratu memu miłemu Leszkowi że ja tu, pod Uściem. Będę je oblegał, wezmę. Odonicza ułapię i posadzę w bezpiecznym miejscu, aby się znowu nie wymknął. Niech Leszek mi pomoże... Rozumiesz to? On klechów ma w ręku, a oni mnie szkodzą, nie wiedzieć za co. Daję im czego zażądają, im nigdy dość. Jać wiem że panowanie przy nich, — i dla tego syna jedyne go dałem do Magdeburga aby księdzem był i — panował.

Iwona Biskupa Leszek niech uprosi aby trzymał ze mną, jak on na klechów zawoła, zaraz sprawa stanie inaczej. Dam mu ziemi pod klasztor..

Chłodno, dziwnie rozśmiał się Laskonogi, i ciągnął dalej.

— Mów mu, niech mi oni pomagają. Moja sprawa, jego sprawa. Jeżeli Odonicz z Światopelkiem mnie wypędzą, wygnają i jego. Musi mnie bronić, chcieli siedzieć na Krakowie. Odonicz chytry i niespokojny, żarłoczny. Światopelk zbój, krnąbrny, a my z Leszkiem w zgodzie żyjemy...

— Będę ja wiedział co i jak mówić — odezwał się Jaksza — gdy mnie miłość wasza uwolnić każe. Poselstwo sprawię wiernie.

Książę Władysław ruszył się i kazał komornikowi Borzywoja powołać. Przyprowadzono go z za szopy, za nim zaraz szli inni, choć nie wzywani.

— No, co? — ozwał się Laskonogi — puścić by tego Jakse, niechaj sobie wraca do Krakowa.

Stary ziemianin stał ramionami potrząsając.

— To nie może być — rzekł chłodno — tego czleka znają, wiedzą... Szpieg jawny jest, naprowadzi na nas...

Zdało się jakoby Laskonogi chciał się opierać, wtem na odgłos rozmowy z obozu ściągający ziemianie, poczęli za Borzywojem mówić i przeciwieć się.

Ze dworu kilku odezwali się za księciem ale nieśmiało, Borzywojowi głos podnosili coraz mocniej. Kołem stojąc przy łożu, nad głową Władysława ucierali się — on już milczał. Słomę dobył z pod siebie i gryzł ją.

Stał Jaksza czekając jak się to rozwiąże. Wrzawie coraz rosnącej nie było końca.

W końcu zwrócił się z zapytaniem do księcia, który popatrzawszy do koła, nie odpowiedział nic. Sprzeczali się, a książę Władysław głowę opuściwszy słuchał.

Borzywój który z Sędziwojem i wielu swojemi najgłośniej dowodził, że pochwyconego trzeba było trzymać — popchnął Jakse i kazał mu na swe miejsce powracać.

Odchodząc słyszał jeszcze zdała jak się ucierano i śmiał się już w duchu.

— E! no! — mówił sobie — z takim ładem nie straszni oni Odoniczowi. Prędzej on ich niż oni jego pobiją.

Legł znowu na ziemi przy Wojborze, rachując na ciemną noc że ujdzie.

Ci co mu dopomóż obiecywali ciągle krążyli zdała i mieli nań oko. Straż około niego bardzo sroga nie była. Odwołał ktoś Wojbora, który gdy powrócił nierychło, jakby go spojono umyślnie, napiły był i kłodą na ziemię się obalili.

Na dworze robiło się ciemno, w obozie niedogasłe tylko świeciły ogniska, ale noc nie sprowadziła ciszy. Obok beczek pijatyka się rozpoczęła, śpiewy, po tem bójk i krzyki.

Ledwie jedne uśmierzone, gdy starszyzna na okrwawionych wpadła i wiązać ich ka-
zała, już druga gdzieś walka powstawała. Tłum się tam zaraz zbierał i cisnął biorąc stronę
jednych lub drugich, krwawiono się znowu i rozbrajano.

Całe to obozowisko przedstawiało obraz największego rozpasania. Wśród zajadłej
kłótni kilkunastu zbrojnych ziemian zerwało się jawnie odgrazając i natychmiast uszli
drogą ku Uściu bezkarnie do Odonicza a nocna pogoń ująć ich nie potrafiła.

Jaszkowi więc łatwo przyszło, gdy psykanie posłyszał, porzuciwszy Wojbora śpiącego,
dostać się po cichu do swych ludzi stojących na skraju, sięść na koń i do dnia ukryć
w gęstwinie.

Zdała dochodziły go i tu głosy z obozu Laskonogiego, ale przypatrzwszy mu się
zblizka, nie lękał się by go ścigano.

Starszyzna zbyt wiele miała do czynienia z ludźmi własnymi, ksiączę nie myślał go
zatrzymywać, czuł się więc bezpiecznym. Rano wszystka ta gawiedź miała pod Uście wy-
ruszyć.

Dalsza podróż Jaksy szczęśliwiej mu się już wiodła, choć o chłodzie i głodzie, którym
tak przymarł i znużył się, że zamiast wprost do Krakowa dążyć, postanowił do Wrocławia
zajechać i u Sulenty odpocząć. O Płocku już nie myślał.

Lice mu się rozjaśniło, gdy naostatek bramę miejską pominąwszy w miasteczku się
znalazł, a tuż i znajomy się nadarzył, choć nie taki może jakiego życzył sobie.

Jechał zwolna, bo konie już nogami ledwie wlokły, gdy błazen Trusia go poznał, zdjął
przed nim kołpak, niemieckim obyczajem z kukawką na wierzchu, i pokłonił się do ziemi
samej — w nadziei, że się znów przy jego miłości pożywi.

Do dworku Sulenty dobry kawał było drogi, Trusia wziął sobie za obowiązek towa-
rzyszyć miłości jego i zabawiać ją.

— Wasza miłość do nas pewnie na te gody! — rzekł uśmiechając się.

— Jakież u was gody u licha, jeszcze do godów daleko! — odparł nie bardzo rad
towarzyszowi temu Jaszko.

— Toć dla Niemców gody — mówił błazen — udało się im pochwycić polaka na
gorącym uczynku i to jeszcze biskupiego brata... Będą go sądzili, to im dopiero gody, aż
się oblizują.

Jaksa konia zatrzymał.

— Co pleciesz? — zawołał — co za błazeństwo prawisz?

— Nie żadne błazeństwo — odparł śmiesznie poważną robiąc minę błazen. Wasza
miłość się przekona, że Trusia nie kłamie; ale błazen choć prawdę rzecze, nikt mu nie
wierzy, dla tego mu gadać wolno...

Jaksa stał i słuchał.

— Mówże ty mi tak bym zrozumiał — dodał.

— Cud się stał u nas, stary brat krakowskiego biskupa z zamku mniszkę ukradł i wiozł
ją na koniu, gdy go ksiączęcy ludzie napadli i chwycili. Prawda że dwu ubił, a kilku ręce
polał, ale Niemców dosyć jest, niewielka szkoda! A starego powiadają że zetną...

Słuchający jeszcze nie rozumiał, a Trusia stojąc przy nim kołpakiem potrząsał i śmiał
się.

— To dopiero gody! — powtarzał.

— Inaczej to musiało być! — przebąknął nareszcie Jaksa, koniowi znowu dając ostro-
gę. Trusia obok kroczył.

— Kto to może dobrze wiedzieć co po nocy było — mówił — dosyć że starego
związali i do więzienia wrzucili, a teraz się do sądu zbierają.

Przybyła zaraz nasza święta pani księżna z Trzebnicy po swoją mniszkę i padła słysząc
mężowi do nóg, prosząc aby sprawiedliwość wymierzył...

Na zamku już pieniek nagotowali, na którym ścinać mają.

Niecierpliwymi ażeby się coś o tym wypadku dowiedzieć z lepszych ust niż Trusiowe,
bo tym nie dowierzał, pospieszał Jaszko do dworku. Błazen go nie opuszczał i kłusując za
nim a śmiejąc się, ciągle mu coś rzucał do ucha.

Tak aż do wrót dobiegli, od których ludzie Sulenty błazna biczami się pozbyli, gościa
niespodzianego puszczając do środka.

Wyszedł naprzeciw stary kupiec a zobaczywszy Jakse, którego się z powrotem tak rychło nie spodziewał, odartego z chudemi i pooszarpowanemi końmi — zdumiał się wielce.

Potrzebując ojca, musiał się synowi wysługiwać i ugaszczać.

Zaledwie do izby weszli, gdy zwróciwszy się doń Jaksa, zapytał o to, co mu błazen mówił po drodze.

Sulenta ramionami poruszył znacząco.

— Prawdą jest — rzekł — że brata biskupa Iwona, starego Mszczuja schwycono pod miastem, że zbiegła z zamku dziewczyną — że ludzi książęcych potłukł, i sądzić go mają...

— Chyba do Krakowa o tém wieść nie doszła i biskup nic nie wie, bo rodzzonego swojego by ratował! — zawołał Jaksa.

— A jakże go ma ratować — rzekł Sulenta — gdy na gorącym uczynku został schwycony? — Niemcy się naposiedli aby go rychło osądzić, i godziny nie będą czekali po tem, okupu nie wezmą a zetną.

Uśmiezek złości pełen wykrzywił Jaskowi usta...

— Godziło by się i mnie — mruknął — na te gody poczekać i aby widzieć jak się Odrowążowska krew poleje! Mniej jednym będzie.

Sulenta zerknął i nie rzekł nic, jego bolało, że niemcy się mieli znęcać nad jednym z tych, których już dosyć wytępilli na Ślązku.

Jaskowi teraz i spoczynek miły, do którego spieszył, zobojętniał, co prędzej chciał do Nikosza na zamek, żeby się dowiedzieć jak sprawa stała.

Mimo zapewnienia Sulenty, wierzyć mu się nie chciało, ażeby gwałt taki mógł człek stary popełnić.

Odziawszy się czystiej pobiegł ku zamkowi. Tu ludzi chodziło dosyć, a wszyscy jacyś zajęci, spieszący się, że na pytania nawet odpowiadać nie chcieli. Z trudnością mógł się o przyjaciela dowiedzieć, a trudniej jeszcze wywołać go było.

Czekał nań u wrót do uprzykrzenia, gdy wreszcie przytoczył się zasapany.

— Wy tu znowu? — zawołał Nikosz — w samą porę! wiecie co się u nas stało?

— Ludzie mi prawią — ale wierzyć się nie chce! — rzekł Jaszko.

— Jam prawie na to patrzył — odparł Nikosz — a nie wiem jeszcze czy to prawda, czy kłam. Człek taki poważny i stateczny, dziewczeczka do klasztoru przeznaczona...

Podniósł ręce do góry...

— Szatańskie to sprawy — dodał z westchnieniem.

— Jakże to było? — pytał Jaksa.

— Naprzód stary od rozbójników je ratował, — począł Nikosz — potem w drodze widać mniszkę namówił sobie. Na zamku gdy ona wrzekomo chorowała a księżę na łowach był, podkraadał się do niej. No — i zmówili się! Wieczorem jej nie stało, a on wyciągnął z miasta. Puściła się pogoń, wzięli ją u niego na koniu, a broniąc jej stary, dwóch naszych najlepszych w miejscu ubił, kilku ręce pogruchotał. Ledwie go zmoгли..

— Cóż? i sądzić mają?

— Albo jutro lub pojutrze! — odparł Nikosz — i z więzienia prosto na pieniek. Kat już miecz szlifuje.

— Odrowąż! — z mściwym wyrazem zawołał Jaksa — to mi zapłaci za wszystkie nędze tej włóczęgi z której powracam...

Juściż gdy go ścinać będą, wpuście mnie w podwórze, abym i ja popatrzył.

Nikosz ze wstrętem jakimś spojrział nań — nie odpowiedział nic.

— A w Krakowie o tém wiedzą? spytał Jaksa.

— Nie słyhać! — rzekł lakonicznie Nikosz.

Niespokojny, dłużej się nie puszczając w rozmowę i nie zapraszając do wdowiczki, Nikosz wymknął się nazad do zamku.

IX

W jednej z izb zamku wrocławskiego za ogromnym stołem, tegoż wieczora siedzieli trzech ludzi, zajętych tajemniczą, urywaną rozmową. Na stole suknem okrytym para ksiąg w drzewo i skórę świnia oprawnych rozłożona była, lecz mrok już nie dozwalał się ich radzić.

Znający obyczaje tych czasów, domyślił by się z dwu wielkich, białych, z kory oczyszczonych kijów, laski sędziowskie, godło urzędu oznaczających — że zebrani w izbie pełnili obowiązki te przy dworze.

Wszyscy rozmawiali po cichu, twarze mieli roznamiętnione, posępne, czoła namarszczone — postawy jak na sędziów przystało, sztywne i twarde.

W końcu stołu na osobnym siedzeniu, sparty na poręczy, odpoczywał człek siwych włosów, z wygoloną twarzą, jak przystało, nadymający się wielce. Inni patrzali nań z poszanowaniem i pewną obawą. Ile razy odezwał się, potakiwano. Twarz o ile ją resztką światła dziennego z boku oblewając, widzieć dozwalała — zdała się z wosku ulepioną tak była żółta i trupia. Nawykły do surowości i powagi, jako sprawca sprawiedliwości i wyrocznia prawa, człek ten nie miał śladu uśmiechu i uspokojenia w obliczu które sztucznie sobie stworzyć musiał. Nie można było zgadnąć czy pod tą maską kryła się dusza łagodna, czy temperament namiętny.

Był to sędzia — który i śpiąc nawet, nim być nie przestawał. Ten *Judex Curiae*, którego mistrzem Adalbertem zwano, rodem był z Niemiec, uczniem włosch, a sługą księcia Henryka. Znał on wszystkie prawa, nawet zwyczajowe, krajowe, wedle którego sędzić był obowiązany, lecz ilekroć znalazł obce surowsze, zawsze je przekładał nad barbarzyńskie miejscowe, które jako nie spisane, żadnej dlań powagi nie miało.

Uczonym był i przebiegłym, tak że w wielu razach, duchowni go na poradę do swoich trybunałów wzywali, bo i w kościelnych ustawach był biegły.

Drugim obok niego na ławie, był młodszy, podsędzia dworu, wyręczający go czasem, lat zaledwie z dojrzałości młodzieńczej wyszłych, jasnej twarzy, rozumnych oczów, wysokiego czoła, jasnego wejrzenia. I ten rodził się gdzieś w Saksonii, uczył po świecie a przybył praktyczne studia kończyć przy słynnym Adalbercie, którego naukę wysoko cenił.

Przy braku środków, rękopismów i wykładów, których we Włoszech i Paryżu szukać było potrzeba, nauczyciel był skarbem, miejsce przy nim łaską — i *Subiudex* Gerward szczęśliwym się zwał iż go tu do pomocy przyjęto...

Chciwy nauki Gerward dla niej szczególnie trzymał się Wrocławia i mistrza.

Trzecim pomiędzy nimi był prokurator czyli instygator, którego różnie zwano po urzędzie, Niemiec Herman, niegdyś pono miejski urzędnik w Magdeburgu, człek żołnierskiej postawy, a twarzy małej, krągłej i brzydkiej, na której nos, oczy i usta jak drobne plamy w niedokończonym rysunku, ledwie były widoczne. Na krągłej jak twarz głowie, jeżył mu się włos twardy jak szczecina, niepomiernie odrastający i nieposłuszny.

Wielkiej siły, stworzonym był raczej na oprawcę niż na inne narzędzie sprawiedliwości. Znano go z okrucieństwa. Miał też straż zwierzchnią nad więźniami i biegłym był we wszystkich praktykach sądów Bożych (*Ordalia*), których warunki umiał określić, czy szło o rycerską bitwę w szrankach, czy o walkę na kije, o próbę przez ogień czy przez wodę.

Znał się też na domierzaniu kar, gdy szło o ucinanie rąk, nóg i o inne cielesne domiary sprawiedliwości. — A że najmniejszej nigdy nie okazał słabości, nikomu folgi nie czynił, i surowo trzymał podwładnych, bez niego się obejść nie było można.

W ulicach uciekano zobaczywszy tego straszego Hermana, który wszelkie przekroczenie dojrzał, o wszystkim wiedział, a jeżeli osoba poszlakowana nie należała do jurysdykcji książęcej, po przyjacielsku władzom innym ją wskazywał. Dla niego dom żaden nie był tak szczelnie zamknięty, żeby doń oko jego się nie wcisnęło, nie było cichej rozmowy, którejby on cudem jakimś nie podsłuchał.

Drżeli przed nim własni jego domownicy i rodzina, bo każdego czasu gotów był ich oddać w ręce sprawiedliwości. Pełnił tak gorliwie swe obowiązki, i uczynił z nich sobie taki nałóg że gdy zaskarżyć nie miał kogo, życie mu się przykrzyło.

To szukanie występku czyniło go w poszlakowaniu winnych tak straszliwie biegłym, że często w ulicy łapał ludzi, których z wejrzenia poznawał jako złoczyńców, choć o ich przestępstwie nie wiedział.

Do wielkich czcicieli mistrza Adalberta należał Herman, był jego dostarczycielem namiętnym, i z długoletniego doświadczenia zawsze prawie mógł wyprorokować karę jaka domierzoną przezeń być miała.

Ludzie ci zebrani w izbie naradzali się nad sprawą wielkiej wagi, widać to było po ich sfaldowanych czołach i zadumanych obliczach.

Jeden zwany ówczesnym językiem Prolocutor, instygujący Herman miał oblicze spokojne i zdziwione niemal tem iż sędzia i podsędek tak ważyli co jemu wprost, słowem jednym zdawało się bardzo do rozwiązania łatwym.

— Świadcstwo niewiasty — mówił powoli każdy wyraz wymawiając z przyciskiem Adalbert — świadcstwo niewiasty przed sądem nic nie znaczy. Wszystkie prawa są w tem zgodne... Pandekty, *decretalia*, Gracyan, *os aureum*, *codices* i prawa Longobardów. — Ułomna istota porusza się pod władzą chwilowego uczucia, namiętności — nie waży nic sobie, idzie za popędem.

Więc — chociażby poprzysięgła iż Odrowąż ów nie winien jest, my na to zważać nie możemy.

— Na cóż tu świadcstwa, przysięgi i dowody, — przerwał Herman, — schwytany na uczynku! Chociażby, jak przynależy, stawil świadków dziewięciu dla oczyszczenia się — co świadkowie przeciw oczewistości??

Stary zaś widać tak jest przekonany iż na swą obronę nic powiedzieć nie potrafi, że nawet ust nie otwiera — jakby oniemiał.

Sędzia i podsędzia patrzyli na mówiącego Hermana Prolocutora z ciekawością wytężoną.

— Siostra Anna, osoba poważna, — dodał — powiada że w podróży po owem przybyciu na ratunek od łotrzyków, stary ciągle z jej towarzyszką był w rozmowie, często pół cichej. Zastała ich wracając z kościółka... Dziewica Bianca ciągle ku niemu zwracała głowę, dając znaki porozumienia.

— Lecz, czcigodny prolokutorze — przerwał żwawo Gerwart podsędzia, — jeżeli świadcstwo niewiasty nic nie waży? toć i siostry Anny słowa w rachunek wchodzić nie mogą.

Uśmiechnął się złośliwie nieco mistrz Adalbert i podniósł rękę do góry.

— Rozróżnić potrzeba — rzekł — świadcstwo osoby która przez śluby Bogu złożone nabiera charakteru poważniejszego, od dziewicy którą za współwinną uważać trzeba.

— Zatem, — odezwał się Gerwart obracając z pytaniem do sędziego — onaby też musiała być ukaraną?

Z tej logiki trochę za żywej znowu się uśmiechnąć musiał sędzia.

— Nie mamy prawa karania osób już poniekąd do juryzdykcyi duchownej należących — rzekł. — Wprawdzie owa Bianca nie jest jeszcze zakonnica, lecz gdy *Ducissa* nasza ją do tego stanu przeznaczyła — zatem wychodzi z pod władzy naszej.

Chwila milczenia przerwała naradę, z którą się nie zdawano spieszyć.

— Wyznaję w pokorze ducha — odezwał się podsędzia patrząc na swego nauczyciela, — że sprawa ta cała ciemną jest dla mnie. Człowiek podżyły, prawie stary, o którym powszechne mniemanie jest iż nigdy namiętnościom się nie dał powodować i od owdowienia żony nawet nie pojął, — nagle dający się takiej poządliwości ować, bez względu na osobę, czas, miejsce...

— Cóż tu niepojętego? — zawołał poruszając się Adalbert. — Tysiące mamy przykładów iż starcy w namiętnościach swych najsprośniejsi są. Przypomnij historię niewinnej Zuzanny...

— Wszystko to jasne, oczewiste i dowodów niepotrzebujące — zawołał głos podnosząc Herman prolokutor. — W drodze już zawiązuje się stosunek występny, następuje pewnie umowa. Płochą niewiastka dostatkami i nadzieją swobody uwieść się daje. Mszczuj przedłuża pobyt swój na dworze, wybiera chwilę gdy księcia nie ma i na zamek się wkrada, wślizga aż do komnat niewieścich, wyjeżdża w nocy, — pośpiesznie ucieka...

Raptus jest i *violentia* oczywista...

— Jeżeli za zgodą owej niewiasty — przerwał Gerwart — więc gdzie *violentia*?

Sędzia powstał groźnie...

— *Violentia*, gwałt — zawołał — zachodzi zawsze, choćby na umyśle słabej istocie był zadany. Gwałtem są obietnice, ofiary, słodkie słowa, namowy... Niewiasta się daje porwać, otumanić, usidlić... Jako wąż oczyma ofiarę swą ten człowiek znękał i przymusił do posłuszeństwa. Była *fascinatia djaboli*!

Podsędzia umilkł.

— Zważajcież — dorzucił Herman — że ten człek chciał dwór naszego księcia ze świętobliwości słynący zbescześcić, przez nienawiść przeciwko teutonom, z którą się nie krył.

Raptus i w tém, że gdy ludzie książęcy nadbiegli, porwał się na nich do broni, dwu zabił a kilku okaleczył. Tego jednego dosyć, aby go na śmierć sądzić, ząb za ząb, głowa za głowę.

— Aleby się mógł grzywnami okupić — wtrącił Gerwart. — Wszak ci wedle praw tutecznych za zabójstwo na publicznej drodze i złamanie miru, cztery grzywny i pięćdziesiąt grzywnien. Rycerskiego pochodzenia człowiek, a pobici knechty są...

— Wy bo winnych jakbyście bronić chcieli — odezwał się Herman z wymówką. — Nie nasza to rzecz oczyszczać!

— Głos publiczny na całym dworze, domaga się przykładowej kary...

— *Causa gravis — enormis!* — przerwał z powagą Adalbert — obracając się do Gerwarta, który ciekawe oczy wlepione weń trzymał — *causa enormis!* Zawierzysz mi młodzieńcze, mnie co mam nietylko doświadczenie lat mnogich, alem naukę czerpał tam, gdzie każdy wypadek wykładano przechodząc przez *Casus, brocarda, quaestiones* i *glossy* — że tu chcieć wybielić co czarne, byłoby niegodziwością i występkiem równym niemal temu, jaki ten człowiek od Boga odrzucony popełnił.

Gerwart skłonił głowę.

— Rzekł on sławny jurysta włoski: *amisi aequum quia dixi aequum quod non fuit aequum* — dodał Adalbert — a gdybyśmy rzekli że ten człowiek śmierci niewart, gorzej niż konia byśmy stracili, bo powagę naszą.

— Ja zawsze trzymam — przerwał gwałtownie Herman, ręką uderzając o stół — że lepiej jest aby niewinny został ukarany, niż by winny uszedł kary. Niewinny na tamtym świecie znajdzie nagrodę, życie postrada doczesne a wieczne kupi, winny zaś gdy uniknie stryczka lub topora, rad że mu bezkarnie uszło, brnie dalej w nieprawościach.

— Zasada bardzo słuszna i sprawiedliwa — odezwał się Adalbert. — Litość nie naszą rzeczą, myśmy ramieniem sprawiedliwości, której miecz godłem.

— I szala, jeżeli się nie mylę — pokornie dorzucił Gerwart.

— Tak — zawołał Adalbert — ale szala na to jest, aby wyważyła karę, nie żeby ją usunęła. Na szali ważym czy ściąć, powiesić, kołem bić lub ćwiertować...

Tłumaczenie to wagi w rękach sprawiedliwości, przyjął młody Gerwart z uwielbieniem dla swego nauczyciela.

— Cóż mówi książę — odezwał się ciszej Adalbert do Hermana zwracając. — Zdaje mi się że i jego wolą jest aby winny pokutował.

— Nie ma wątpliwości! — krzyknął prolokutor — książę oburzony, bo we łzach widział księżnę, która nigdy nie płacze. Cóż rzekną ludzie o klasztorach naszych i osobach Bogu poświęconych, gdy się rozejdzie wieść, że z nich tak łatwo uprowadzają dziewice?...

— Ta jeszcze nie była w klasztorze! — mruknął Gerwart.

Zzymnął ramionami Adalbert.

— Tak jakby już w nim była — odparł niecierpliwie. — Świadkowie są mnodzy na to, że gdy księżna po nią przybyła, ze łzami pokłękła przed nią i z radości omdlała, gdy jej o przeznaczeniu do szczęśliwości zakonnej oznajmiła. Ślubowała więc już myślą i usty, dziękując świętej naszej Ducissie...

— Po czem zachorowała — rzekł podsędzia.

— A ta choroba właśnie jest mi podejrzaną — odparł sędzia — czyli w niej *maleficium*, czar, zadanie jakie, napój przeklęty nie zachodzi. Mają starcy zepsuci likwory i ekstrakta swoje, któremi szatańskich sztuk dokazują...

Mówili tak zwolna, gdy uchyliły się drzwi, i Peregrynus wszedł, przyjaciel a sługa książęcy.

— Jeżelibyście relacyj tej niewiasty wysłuchać chcieli — odezwał się — nim do Trzebnicy odjedzie, możecie teraz ją wezwać, księżna zgadza się na to. Siostra Anna ją tu przywiedzie.

— Po co? — rzekł gwałtownie, ale z pewnym poszanowaniem dla Peregryna — Herman. Wszystko tu jak na dłoni, wątpliwości żadnej.

²*causa enormis* — wyrażenie ówczesne. [przypis autorski]

— Tak — przerwał nakazując mu milczenie Adalbert — dla nas nie ma wątpliwości, ale przesłuchanie współwinnej, czy też ofiary jego lubieżności, zda mi się zgodnym z obyczajem sądowym.

Lepiej nadto, niż za mało... Rozkażcie aby przyszła...

Peregryn dosyć obojętnie skłonił głowę.

— Cóż księżę? — szepnął sędzia.

— Trudno mi zrozumieć go — cicho odezwał się niemiec. — Zda się chwilami wahać. Rodzony brat nader świątobliwego męża...

— Tysiące mamy przykładów nie tylko braci świątobliwych będących występniemi, lecz dzieci rodziców świętych, kalających się zbrodnią... podchwycił Adalbert.

— Na dworze krakowskim uczyni to niemile wrażenie — rzekł Peregryn.

— Jako? podniesie sławę naszą — zawołał Adalbert — bo nie słabość i pobłażliwość gruntuje cnotę, ale surowość...

Peregryn zamilkł, szepnął coś sędziemu, który względem niego stawił się ze swą całą powagą, i kiwnieniem głowy odpowiedział — po czém oddalił się.

W izbie panowało milczenie... Herman wyszedł aby kazać zaniecić światło. Sędzia i podsędzia siedzieli w zamyśleniu... Drzwi się otwały i wiodąc za rękę Biankę weszła siostra Anna.

W twarzy sieroty, na której widoczne były palących łez ślady, malowało się rozdrażnienie do rozpacz prawie dochodzące. Szła krzyżyk trzymając w ręku, oczy to nań spuszczała to podnosząc rozognione na sędziów.

Herman stanął z boku.

Adalbert surowszą jeszcze przybrał postawę, Gerwart z ciekawością niezmierną, z litością której ukryć nie umiał, wpatrywał się w sierotę... Siostra Anna była zburzoną i niespokojną. Wiodąc za rękę Biankę szeptała jej coś ciągle do ucha, czego ona nie zdawała się słyszeć nawet. Szła aż do stołu i tu zatrzymawszy się nagle, podniosła w białych rękach krucyfiks do góry...

— Mów — odezwał się Adalbert nakazująco — mów a pomnij, że masz przed sobą nie sędziów ziemskich ale i wiekuistego sędziego, który nas słucha...

Chwilę trwało milczenie, Bianka patrzyła na krzyż ciągle.

— Na tego Chrystusa ukrzyżowanego, którego wizerunek trzymam w grzesznych rękach moich — odezwała się głosem, w którym tłumione łkanie słyhać było — przysięgam wam, ten człowiek jest niewinny. Jam winna...

Głosu jej zabrakło. Siostra Anna wzdrygnęła się; Herman stojący w kącie rzucił się tak, że go słyhać było nogami bijącego o podłogę. Adalbert zżymnął, jednemu Gerwartowi oczy zabłysły jakby radością.

— Jam winna — mówiła dalej, na siłę się wzmagając — jam winna. Lękałam się klasztoru nie czując godną służyć Bogu. Wychowana byłam na światowym dworze, dusza moja trwożyła się... Jam pierwsza niewinnego starca o ratunek błagała, on mnie do cierpliwości nakłaniał...

Nie wiem sama co się ze mną stało, gdy pobożna księżna przybyła, przemówiła, pobłogosławiła mnie. Uspokoił się duch mój, trwoga przeszła...

Zachorowałam po tem, a gdy księżna odjechała, która miała władzę nademną, wróciła trwoga... wróciła rozpacz... Napadłam błagając starca o ratunek, gdy przypadkiem oknem zobaczyłam go wchodzącego do zamku, sama po niego posłałam sługę — niech świadczy! Uciekł strwożony... a moja trwoga i rozpacz tak rosły, że wiedząc o odjeździe jego z zamku uciekła, na drodze padłam przed nim, domagając się, aby mnie wziął z sobą.

Nie porwał on mnie — jam sama mu się narzuciła!

Tak mi Boże przebac i pomóż (podnosząc krzyż powtórzyła) prawdę mówię.

Placz przerwał jej gorączkową mowę.

— Dziś — dodała — miłosierna księżna rozpędziła strach mój, odmienioną jestem, spokoju pragnę i spoczynku — chcę pokutować, lecz błagam was, niech krew niewinna nie spada na mnie!...

Mistrz Adalbert uśmiechnął się, głową potrząsając. Gerwart patrzył nań chcąc odgadnąć jakie ta mowa czyniła wrażenie.

Herman w ciemnym kącie, niecierpliwemi krokami, oburzony się przechadzał.

Bianka zwolna poklękła, krzyż podnosząc do góry.

— Przysięgam! — powtórzyła. — Głos jej słabnął, chyliła się w tył, gdy siostra Anna pospieszyła chwycić ją na ręce omdlałą.

Gerwart ruszył się był, jakby go litość zdjęła, lecz surowy wzrok Adalberta, na miejscu go zatrzymał.

Potrzeba było wynieść omdlałą. Silna dziwnie, mimo wychudzenia, siostra Anna ujęła ją w pól i dźwignęła głowie dając na ramieniu swem spoczywać, Herman otworzył drzwi i widok trupio bladej sieroty znikł im z oczów.

Milczenie panowało dość długo. Adalbert przesuwiał księgi, machinalnie zabawiając się nimi. Gerwart patrzył nań czekając i nie śmiejąc się odezwać.

Herman od drzwi powróciwszy stanął w drugim końcu stołu, twarz mu wykrzywiłało zburzenie jakiego doznał...

— Niewiasta niespełna rozumu — zawyrokował sędzia — pamięci niema i tworzy sobie baśń ze strachu krwi, której każda niewiasta się lęka, więcej bodaj niż grzechu.

— Lecz przysięga? — zapytał młodszy — ważyłaby się na krzywoprzysięstwo?

— Sama nie wiedząc o niem — bo widocznie pamięć ją odbiegła — odparł sędzia. — Opowiadanie jej nie zgadza się z wypróbowanemi i dowiedzionemi wypadkami.

Podsędzia przeczyć się nie ośmielił.

Posiedzenie zdawało się skończone, a było tylko przygotowaniem do uroczystego sądu, który się miał odbyć nazajutrz... Adalbert nakrył głowę i wstał, ruszył się Herman, Gerwart wahał i zdawał czegoś pragnąć jeszcze.

— Ja w tej sprawie — odezwał się do nauczyciela — jestem tylko ciekawym mądrości twej uczniem, mistrzu którego jak Gossiusa można zwać „*Copia legum*” pozwólcie mi się oświecać i uczyć. Nie zabronicie mi abym w więzieniu obwinionego widział dziś nim na sąd stanie?

Adalbert trochę pochlebstwem ujęty, stanął namarszczony i zamyślony. Herman widocznie ukazał nieukontentowanie.

— Uczyć się chwalebna — rzekł zapytany — badać obwinionych nie zdrożna. Możecie pójść, lecz spożytkujcież bytność waszą dwoiście a skłońcie występnego do skruchy. Niech zezna co uczynił, niech nie zapiera czarów i napojów jakich użył, niech oplakuje i spowiada się...

Nisko pokłonił się dziękując Gerwart i ruszył nie oglądając na Hermana, który w izbie pozostał.

Po wyjściu jego, Adalbertus na drzwi wskazując, szepnął do prolokutora:

— Nadziei wielkich młodzian, ale dojrzałości potrzebuje i hartu!

— Miękki jest — mruknął Herman — a kto nożem być musi, ten ostrym i rzeźącym być powinien.

Szybkim krokiem korzystając z dozwolenia, Gerwart się spuścił z wązkich wschodków, ku na pól pod ziemią znajdującemu się więzieniu. U drzwi jego dębowych, drzymał klucznik, stary człek grubych rąk i nóg, ponurej twarzy, której skórę wiek pogarbił i stwardnił.

Znał on swą zwierzchność i na widok podsędiego, podjął się z wolna z pieńka na którym siedział. Gerwart na drzwi mu ukazał. Jął natychmiast drąg, którego koniec w mur był wpuszczony i odpierać go zaczął. Ciężkie drzwi skrzypnęły na zawiasach, podsędzia wszedł...

W sklepionej niskiej izbie było ciemno... musiał się u progu wstrzymać, lękając w ciemności na więźnia natrącić.

Stróż tymczasem do bocznej izby, w której inni pacholkiwie siedzieli, poszedł po drzazgę, i zapaloną przyniósłszy w szczelinę na nią przeznaczoną w mur zatknął. Wyszedł.

Na posłaniu słomianem postrzegł Gerwart skępowanego z rękami w tył związane- mi starca, który gwałtownie się rzucić chciał aby uniknąć jego wzroku, lecz nogi i ręce zdrętwiałe od powrozów, siłę mu odjęły...

Gerwart stanął nad nim w pewnem oddaleniu i pozdrowił go swym językiem. Oczy Mszczyja zabłysły, nie odpowiedział nic.

Głosowi swemu podsędzia starał się nadać wyraz łagodny, zagadał raz i drugi, lecz stary milczał uparcie.

Domyślając się że przyczyną milczenia mógł być język — Gerwart, który pilno się uczył mowy miejscowej, przemówił doń po polsku.

— Przychodzę do was nie ze złą wolą, — rzekł, — ani bym was dręczył i pastwił się, prowadzi mnie miłosierdzie. — Małym człkiem jestem, pod-sędzią, ale i ja mógłbym coś uczynić, gdybym wiedział co jest do czynienia.

Mszczuj słuchał uważnie, zlekka westchnął — nie mówił nic.

— Macieli co na obronę? mówcie mi. — Niewiasta która była przyczyną nieszczęścia tego, zeznała przed nami i poprzysięgła że sama winną była, lecz jej świadectwo wagi nie ma.

Słyszac te słowa Mszczuj się poruszył nieco.

— Tyś Niemiec? — mruknął.

— Człowiek jestem — odparł Gerwart.

— Człowiek? — szydersko zapytał stary... i zamilkł.

— Ratujcież się jeśli można, — dodał podsędzia...

Czekał na odpowiedź...

— Nie można, nie można! — wyrwało się Mszczujowi, jak mimo jego woli. — Niemcy jesteście wszyscy sprzysięgli na nas — bijcież i zabijajcie gdyśmy w mocy waszej — abyście prędzej kraj posiadli. Słowem się nie obronić od was, a ręceście mi związali.

— Poco sąd? — ciągnął dalej z goryczą — na co tu sędziowie, zawołajcie oprawcę i kaźcie zdjąć z karku głowę. Napijcie się krwi naszej, odejdzie wam na czas jej pragnienie...

Słowy temi nie zrażając się młody podsędzia nie poruszył się z miejsca — czekał aby ochłonął stary.

— Nie obwiniajcie nas ale los wasz a zrządzenie Boże osobliwe, którego ciosy niezbadane są — rzekł zwolna. — Sami przyznać musicie iż przeciwko wam mówi wszystko, a za wami jedna ta niewiasta, której słabemu umysłowi wiara daną być nie może...

Mszczuj rozśmiał się.

— Zetniścież mi łeb — odezwał się porywcz. — O jedną, proszę, przyślijcie mi przed śmiercią kapłana naszego, boć ich tu jeszcze znajdzie się kilku...

Duszy mej gubić prawa nie macie, pójdzie ona świadczyć o sprawiedliwości waszej i wołać o pomstę. Krwią moją Bóg się może poruszy...

— Lecz czemuż bronić się nie chcecie? — zawołał Gerwart.

— Bo obrona na nic... — zawołał Mszczuj. — Czują Niemcy żem ich wróg, muszą mi życie odjąć...

Zamilkł nagle.

— Mnie nie oskarżajcie — począł podsędzia łagodnie. — Bóg mi świadek żem tu przyszedł w myśli ratunek mając...

Uderzył się w piersi...

— Inna chyba w tobie płynie krew — odezwał się Mszczuj, — choć was Niemcy za swego ochrzčili, ja nie wierzę aby który z was miał dla obcego serce... Macie je pewnie dla swoich, z nami wojna wieczna, bo nam ziemia dwojgu za ciasna.

— Mówcie co macie na swą obronę — przerwał żywo Gerwart — ja długo trwać tu nie mogę..

— Nic nie rzekę — zamruczał uparty stary. — Chcecie więc abym niewiastę słabą obwiniał, którą strach uczynił na pół szaloną?? Cóż z tego że mi ona sama zaszła drogę za bramą miasta, ludzie to moi widzieli — alem winien żem na koń ją wsadzić kazał.

Nagle przerwał Mszczuj.

— Księdza mi przyślijcie, więcej nie chcę...

W tem coś mu w myśl przyszło, pewnie tych dwie istot niewinnych, które w domu zostawił i oczy mu się zwilżyły, blask łuczywa zaświecił we łzach...

Gerwart stał pogrążony w zadumie, — szelest jakiś jakby spadającego czegoś na ziemię dał się słyszeć.

— Bóg wielki! — westchnął podsędzia — pochylił głowę — i powoli patrząc na podłogę w jedno miejsce wyszedł za drzwi, które się natychmiast za nim zamknęły...

Przy świetle dopalającej się wewnątrz drzazgi smolnej Mszczuj dostrzegł w tem miejscu, kędy stał Gerwart, upuszczony na ziemię nóż...

Chciwie wlepił weń oczy...

Waligóra miał siłę olbrzymią. — Jakaś nadzieja nieokreślona, dziwna, wstrzęsła nim całym. Z wysiłkiem niezmiernym począł się posuwać na barłogu, usiłując dosięgnąć tego błyszczącego narzędzia. Pot mu wystąpił na czoło kroplisty...

Łuczywo zgasło, kilka jego węgli czerwieniejących dogorywało na podłodze... Twarzą ległszy na ziemi, czołgał się starzec aż pochwycił w zęby żelazo...

Zsunął je potem za siebie, na plecy i pełznąć znowu, usiłował dosięgnąć rękami...

Skrepowane, zaledwie dłonie miały wolne...

Naostatek chłodne dotknięcie żelaza poczuł w palcach i ujął je... Zdrętwiałe dłonie z trudnością się poruszały... lecz wola spotęgowana do czynienia cudów, wróciła im siłę... Najbliższy z powrozów Mszczuj powoli rzezać zaczął...

Po długiej pracy powolnej sznur pękł i część więzów cisnąć przestała, ręce wolniejsze się uczuły...

Waligóra podniósł się, szarpnął postronki i potargał je w kawałki.

Chwila jeszcze a nóż poprzecinał na nogach sznury... Chcąc się podnieść całkiem uczuł dopiero że długie skrepowanie obezwładniło go. Potrzebował wyciągnąć stawy, rozgiąć kości w których ból czuł niezmierny. Lecz cóż znaczy ból gdy świta nadzieja swobody...?

Waligóra dźwignął się, otrząsł jak niedźwiedź, czuł że odzyskiwał dawną siłę.

Była noc — mógł być wolnym. Zdało mu się że już nim jest... Ostrożnie powlókł się ku oknu, wysoko w ścianie umieszczonemu. Teraz dlań nie było niepodobieństwa, wszystko się zdawało możliwym... Dosięgnięcie okna było fraszką, pochwycił kamienie opasujące je i podniósł się ku niemu. Żelazna krata tkwiła w mur głęboko wpuszczona.

Jedną ręką trzymając się, drugą Waligóra chwycił w pośrodku kratę, mocować zaczął i uczuł że się poruszała. Kamień jeden spadł mu na pierś i potoczył się na ziemię.

Raz i drugi Mszczuj wstrząsł pręty żelaznymi, które się pogięły, i część ich wydobyła z muru... Chwyciwszy ją, jak ząb ze szczęki, dobył kratę... Okno stało powyszczerbiane... otwarte... Było dosyć obszerne aby się niem gdzieś wydobyć można...

Wśród tych nadludzkich wysiłków, Mszczuj zamiast się czuć osłabłym, nabierał siły tej olbrzymiej, jaką miał niegdyś.

Wracała mu z nadzieją.

Nie rzucając z ręki żelaznej kraty, która mogła służyć jak oręż do obrony, Waligóra wsunął się w okno, przewalił za nie i muru chwytając, którego kamienie pod jego palcami się poruszały, wydobył się z więzienia cały...

Okno było nad samą ziemią umieszczone..., dotknął jej nogami — tchnął całą pierśią. Obejrzał się dokoła. Na tle ciemnej nocy, mury ciemniejsze jeszcze sterczały zewsząd... lecz ludzi i straży nie było... Podwórze w którym się znalazł, zamknięte, puste, zawałone gruzami i śmieciem — nie miało wyjścia, lub noc go dostrzedz nie dozwalała... Poszedł więc rękami macając mury, szukać furty...

Mur z polnego kamienia wynosił się wysoko, drapać się do wierzchołka mógł tylko zmuszony. Wrota żadne dlań nie były straszne, był pewien że je teraz strzaska i wylamie...

Od pierwszej połaci muru począwszy włókł się dysząc, a rękami okrwawionymi mury badając... Omal krzyk nie wyrwał mu się z piersi gdy drzwi uczuł pod palcami. Nie potrzebowały one wysiłku i łamania, bo drąg je zamykał ze środka. Podnieść go tylko musiał i odrzucić aby się znaleźć za murami... może już na swobodzie!!

Z pośpiechem obalił tę ostatnią przeszkodę. Za wrotkami wał spadał stromo w głęboki przepok zamkowy, w który Waligóra się spuścił. Stała w nim zgniła woda po kolana..., dalej już ciągnęło się błoto i łąka. Noc nie dozwalała widzieć nic, oprócz tego co pod stopami. Wśród ciszy wielkiej przerywanej w dali wołaniem stróżów miejskich, pilne ucho Waligóry pochwyciło odległe rżenie koni.

Nie mogły się one paść na wyschłej już i beztrawnej łące... lecz — obozował ktoś może pod murami, przybywszy po bram zamknięciu.

Waligóra począł iść nasłuchując i rozpatrując się. — Oczy jego oswajały się z ciemnością, instynkt stary człowieka co w polach i lasach spędził pół wieku, powracał spotęgowany jasnowidzeniem... W dali już czerniała mu kupka koni do wozów poprzywiązywana.

Ludzie spali w nich.

Zbliżając się Mszczuj nie spieszył z porwaniem tej łatwej zdobyczy, starał się rozeznać który z tych koni poniesie go najdzielniej i nie da się drugim wyścignąć.

Lecz w wyborze nocnym, los i szczęście stanowią musiały.

W chwili gdy podchodził już do wozów, doszła go wrzawa na grodzie... Ludzie około murów biegali i krzyczeli... Odkryto jego ucieczkę...

Za grzywę porwawszy pierwszego z brzegu, Mszczuj skoczył mu na grzbiet i powróż którym był przywiązany zerwał jak nitkę... Nie potrzebował uzdy ani wodzów, nawykł był dawniej dzikie konie nogami ścisnąwszy, pięścią kierować.

Budzili się ludzie na wozach, gdy Mszczuj już pędził cwałem sam nie wiedząc dokąd, byle precz, precz jak najdalej od tego miasta... Dobiedz do lasu było ocaleniem...

Zdała błyskały już i światła u murów i otwartej furty, odzywały się rogi, tentent słychać było zdala... Mszczuj gnał zdyszanego konia, na lasy!

Waligóra

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

TOM III

I

Wstał nazajutrz Jaszko do dnia, w błogiej nadziei doczekania się sądu na Odrowążu i w roku, a potem zawiezienia wiadomości o wypadku tym do Krakowa. Zdało mu się że sama Opatrzność mści się na wrogim rodzie za to co poczytywał krzywdą Jaksów.

Był to jakby znak z nieba dla niego że teraz przewaga nienawistnego plemienia zachwieje się, a Jaksowie pójdą górą. Jeden z nich wszakci zdobył już sobie księstwo i nie chciał nad sobą znać zwierzchnika!

Sulenta, który jako starzec mało sypiał obudził się także rano i gdy Jaszko do wyjścia się zabierał, powitał go u drzwi.

— Co tak W. Miłość spieszy do miasta, — rzekł, — u św. Wincentego jeszcze msza się znajdzie, bo na pierwszą nie dzwoniono.

— A ja nie do kościoła, ale na zamek muszę, — zawołał Jaks. — Wiecie że starego zbója Odrowąża sędzić i ścinać mają.

Muszę się tam dostać aby na to widowisko popatrzeć.

Sulenta z pod oka nań spojrział, mruknął coś i wypuścił go nie zachodząc w dłuższą rozmowę.

Od dworku do grodu drogi było kawał, a na mieście postrzegł Jaszko zaraz jakieś poruszenie i życie niezwykle.

Sądził że dzień musiał być targowy, bo na taki czas w mieście co żyło biegło na rynki, uprzedzając przekupniów, aby z woza taniej dostać co do życia było potrzeba. Przekupnie zaś zabiegali po drogach jadącym na targi, wykupywali im wszystko i cenę podnosili. Każdy taki dzień targu poruszał mieszkańców i był do południa jakby świątecznym, gdyż wszyscy około wozów się skupiali.

Tu jednak wozów i kupi żadnej widać nie było, stały zwyczajne ławki i jatki porozstawiane jak w dni powszednie. Ludzie się jednak gromadzili kupami, stawali, rozpowiadali coś sobie i spoglądali ku grodowi, z którego wyjeżdżały oddziały konne w różne strony, a inne do niego powracały.

Wołania, pytania, gorączkowe zajęcie wszystkich jakimś nadzwyczajnym wypadkiem przypisywał Jaks. mającemu się tego dnia odbywać sądowi, przychodziło mu na myśl czy z Krakowa nie przybyło jakie poselstwo od Biskupa z domaganiem się okupu dla starego.

Wśród tego gwaru i ruchu, uderzyło go i to że dostrzegł dobrze sobie z Krakowa znajomego, bo go tam całe miasto znało, biskupiego służkę, Kumkodesza. Ten zsiadał właśnie z konia przed domostwem jakimś, i gromadka ludzi już go otaczała.

— Ani chybi, — rzekł Jaks. w duchu, — kleryk musiał z kimś przybyć w tej sprawie, bo jego samego nie wysłanoby z tak ważnym poselstwem...

Chociaż Jaszko z bratem Andrzejem nie był teraz najlepiej, widywał go dawniej a przy nim i Kumkodesza, który się wszędzie płatał.

Wesoły zazwyczaj kleryk twarz miał wylęknioną i osowiałą. Ciekawością wiedziony Jaszko podszedł ku niemu.

Kumkodesz niemniej się zdziwił zobaczywszy go tutaj, bo wieść po Krakowie chodziła, nie wiedzieć przez kogo szerzona że Jaszko zbiegł do Światopełka. Kleryk zobaczywszy go, — mocno się zdał zmięszany...

— Co wy tu robicie? — zagadnął go Jaks. ze złośliwą wesołością — wszakci to waszego pana, księdza Iwona brata dziś tu sędzić i pono ścinać mają. Czyście zawczasu po ciało nieboszczyka przyjechali?

Kumkodesz ramionami parę razy rzucił jakby z pleców chciał coś otrząsnąć.

— Ponoś — rzekł szydersko również — starego Waligóry do sądu nadarmo szukają. Gdzieś się podział.

Jaszko sądził że z niego żartuje.

— Chyba nocą go udusili! — zawołał.

Wtem mieszczanin cienki, podpasany rzemieniem, w sukni bardzo długiej i kołpaku z piórkiem przystąpił z twarzą niezmiernie rozognioną.

— Nie ma go — rzekł prędko — jeszcze w nocy go nie stało...

— Jakim sposobem? — krzyknął oburzony Jaksa, machinalnie chwytając za oręż.

— Licho mu pomogło — mówił chudy mieszczanin — bo bez szatańskiej pomocy tegoby nie dokazał. Ja sam byłem na zamku, chodziłem patrzeć do więzienia. Nadludzka jakaś siła była z nim. Sam widziałem na moje oczy!! Jedno okno w górze, żelazną kratą zakute... Kamienie z niego powyrywane, żelazo precz wyłamane... A był w kij związany, ręce i nogi. Podśędzia Gerwart widział go jeszcze wieczorem leżącego, że ruszyć się nie mógł... Wszyscy mówią że sprawa szatańska...

Nie może co innego być — szatan mu pomagał do opętania mniszki, a potem go i z więzienia wyzwolił.

Jaksa ręce załamał z rozpacz.

— Któżby to inny dokazał, jeżeli nie siła nieczysta? — żywo mówił mieszczanin. — Czterech ludzi nie sprostałoby murowi i żelazu. Szatan też stróżów uspił — wyszedł sobie swobodnie, furkę na wał otworzył, po nocy drogę znalazł... a kupcom co jechali ze Szczecina konia od wozu oderwawszy, na nim uciekł. Czelaź kupca przysięga się, że gdy konia brał, a oni gonić chcieli, coś ich niewidomego do wozów przykuwało. — Nie mogli ani się ruszyć ani krzyknąć.

Mieszczanin od nieustannego mówienia, bo już powieść tę kilka razy, coraz piękniej powtarzał — zaślinione usta otarłszy rękawem — chciał ciągnąć dalej, gdy Jaszko już go nie słuchając odwrócił się do Kumkodesza.

— Wy tu na długo? — zapytał — a wolno wiedzieć za czym?

— Do księdza Biskupa przybyłem od mojego pana — spokojnie odparł kleryk. — Ano nie mam szczęścia, bo mi już zwiastowali że Pasterza nie zastałem i nie powróci rychło, ja też tu pomodliwszy się tylko relikwiom świętym magdeburgskim... nazad jadę.

— Trafic się jeszcze gotowo — rozśmiał się gorzko Jaksa — iż razem pojedziemy i będzie się ludziom zdało że z kanclerzem lub kapelanem podróżuję.

— Za wielka to cześć byłaby dla mnie — pokornie odparł Kumkodesz. — Mizerny człeczyna jak ja tak wielkim panom jako wy, nie godzien służyć.

Jaszko szyderstwo w tem poczuwszy, krzyknął.

— Ano, wara z przekąsami!

— Czyż nie prawda? — odparł Kumkodesz, — przecie krewniaku macie księżęciem na Pomorzu, co się odgraża że co Krzywousty poodrywał od niego, ma nazad zdobywać... Kto wie i was może czeka stołek jaki księżęcy.

— O! ty lisie stary! Odrowążowski sługo, — ze złością odezwał się Jaksa — ty byś rad i twoi żeby mnie zamiast stołka pieniek czekał!!

Pięść podniósł do góry.

Kleryk który nie zmieniał twarzy, i w oczach tylko miał szyderstwo, począł się zarzekać złej myśli.

— Zostawcie mnie w pokoju, — odparł — Kumkodesz dla was za mały. — Nie wiem czy znacie łańskie przysłowie że, orły much nie łowią. Wy do orłów a ja do komarów należę.

To mówiąc pokłonił się i ustąpił na stronę. Jaksa którego wiadomość niespodziana rozgorączkowała, zasłyszawszy od kleryka iż w Krakowie już go miano za zbiega — zwrócił się ku niemu i za suknię go targnął.

— Dajcień pokój — ojcie — odezwał się hamując trochę — powiedźcie prawdę, istotnie mnie tam już za zdrajcę i zbiegłego ogłosili...?

— Sam Wojewoda przecie, użalał się bardzo żeście mu uszli — spokojnie odrzekł Kumkodesz. — A panu Wojewodzie, ojcu, jużci choćby nie chciano, wiarę dać potrzeba.

Jaszko zagryzł usta.

— Ma już tak być że mnie jak więźniowi i na łowy nie wolno jechać — zawołał. — Sulenta kupiec świadkiem zem tu myślistwem się bawiąc, cały czas u niego przesiadział. Zaraz niepoczciwi łotra ze mnie jakiegoś zrobili.

Wróć więc do Krakowa, żeby im kłam zadać. A wy kiedy jedziecie? — zapytał.

— Sam nie wiem, bo może u Cystersów w Henrychowie albo gdzie księdza Biskupa znajdę — rzekł zimno Kumkodesz, jakby wiązania się z nim unikał.

Widząc tę niechęć ku sobie, Jaksa poszedł dalej w miasto..., szukać Nikosza.

Około grodu ludzi zbrojnych i czeladzi jeszcze się więcej skupiało, gawieź miejska ciekawa chciała widzieć więzienie z którego siłą szatańską wyrwał się Waligóra, lecz już

z rozkazu kasztelana nie puszczano nikogo. Straże stały w bramach i rozpędzały tłumy. W twarzach Niemców złość widać było i gniew wielki.

Nie chciano też puścić i Jakse, choć się opowiadał do Nikosza, a nie bardzo go i słuchał kto — choć rycersko był przybrany.

Pomiędzy Niemcami a polskim dworem, słychać było zajadłe sprzeczki i krzyki.

— Nie kto mu pomógł tylko swoi — wołali Niemcy. — Książę żadnemu z nich wiary dawać nie powinien, zdrajcy są!!

Ślężący się bronili, lecz ich zakrzykiwano. Rozmowy jaką taką lecz samą niemczyzną się tego dnia prowadziły.

Jaszko ich słuchał i byłby stał u wrót z innemi długo może, gdyby Peregryn na koniu nie podjechał, którego poprosił ażeby go do Nikosza wpuścić kazał. Pachółkowie dali mu wnijsć.

W pierwszym podwórzu, zastał starego przyjaciela, zaczerwienionego i zaperzonego z gniewu, także się ucierającego z Agazonem Niemcem. Rad był pewnie Nikosz gościowi, który go od zażartej kłótni odciągnął, bo z nim do izby poszli.

Nikosz cisnął czapkę o stół wchodząc.

— Dalej tu wyżyć nie będzie można żadnemu z nas — krzyknął — Niemcy nam dojadą będą aż wykurzą. Stary książę bronić nie śmie, młody jeden co się czasem ujmie i u niego opiekę człek znajdzie...

Patrzcie ino! — dodał zwracając się do Jaksy, który za stołem siadł — my winni że Mszczuja źle pilnowali. — My go uwolnili — my mu pomogli!!

Niemcom o to idzie aby się zbyć nas i żeby tu sami królowali.

— Mój Nikosz — przerwał zagniewanemu Jaksa, — juści tu ktoś winien musi być. — Sam ten człek nie mógł związany porwać sznurów, kraty wylamać i dobyć się z jamy...

— Szatańska moc! kto go wie jak się to stało — zawołał Nikosz. — Stróże spali u drzwi i niesłyszeli nic. Stary leżał z wieczora jak kłoda. Podsędzia chodził do niego. Żeby ten polakiem był, na Gerwarta by winę złożyli, szczęściem niemiec...

— Ale ja już tu nie wybędę! — począł Nikosz...

— A wdowiczka? — mruknął złośliwie Jaksa.

Stary, baryłowaty sługa książęcy westchnął mocno.

— Gdyby mnie ona tu nie trzymała, pocziwa, pobożna moja wdowiczka, dawnoby mnie tu nie było — zawołał.

Milczeli trochę. Nikosz gniewu wysapać nie mógł. Stawał, chodził, pięścią w stół bił, i o gościu zapominał, tak mu niemcy oskarżeniami swemi krew poburzyli.

Dobyć z niego nic nie było można, oprócz sierzdzistych przekleństw.

Jaszko chciał koniecznie widzieć więzienie, z którego stary się wymknął, lecz skłonić Nikosza do pokazania mu go nie mógł.

— Wiesz co, na pociechę u Sulenty wyproszę starego miodu dzban — odezwał się Jaksa — tylko mi daj tę jamę zobaczyć...

Nadzieja miodu, czy też starej przyjaźni wspomnienie skłoniły wreszcie Nikosza, iż z Jaksą ku podwórkwowi powłókł się, na które wychodziło wylamane okno więzienne.

Można było w istocie szatana posądzić o posiłkowanie człowiekowi, który kratę dobywając z nadludzką siłą, ogromne kamienie tak zachwiał i z miejsca poruszył, iż zdawały się blizkie runięcia.

Stali tu właśnie poważni ludzie roztrząsając kwestyę zawikłaną wylamania się, sędzia Adalbertus, rozjuszony prolokutor Herman i piękny a spokojny podsędzia Gerwart. Wszyscy oni godzili się na to, iż Satanas sam tylko mógł dokazać tego cudu, i że uwolnienie więźnia było jego potępieniem, bo dowodziło z kim zostawał w przymierzu.

— Był związany tak, iż na rękach leżał — mówił Gerwart — obrócić się nie mógł a i nogi miał pokrepowane.

— Stróże przekupieni być mogli — rzekł Adalbertus. — Nie jest to bezprzykładnem, i godziło by się ich poddać probierczej kaźni.

— Chłostać ich już wszystkich kazałem rano! przysięgają — odezwał się Herman — że u drzwi leżąc nic nawet nie słyszeli...

— A i to godne uwagi — dorzucił sędzia z powagą — że pogoń się puściła na wszystkie strony nocą na dzielnych koniach... że zarośla i lasy dokoła przetrzęsiono... ani śladu!

Tu twarz jeszcze uczyniwszy poważniejszą, jak gdyby zbierał się powiedzieć coś największej wagi, odezwał się tonem nauczającym.

— Nie jest to bezprzykładnem, że gdzie zachodzi interwencja siły nieczystej, djabełskiej, tam ludzie w powietrzu się unoszą, jak wiedźmy o północy... Szatan ma potęgę ogromną a swoich wybranych, tych co mu w postaci kozła wiadomą cześć oddają, opatruje w skrzydła, czyni niewidocznymi... przemienia ich w zwierzęta. Tylko krzyż w takim razie użyty może złamać tę szatańską moc...

Mówiąc to, wskazał na okno i zakończył.

— Niech mi tu nie mówi nikt, aby to człowiek miał dokonać...

Herman wpatrując się, ramionom i piersi dyszącej gniewem spoczywać nie dał. Jemu najwięcej żal było tej ofiary, która mu się z rąk wysliznęła.

Postawszy sędziego, podsędziego i ich pomocnika, odeszli z wolna, a kolej przyszła na Jakse, który z pochmurnem czołem rozpatrywał wszystko i klął siły nieczyste.

— A z tąż niewiastą którą on był uwiódł co się stało? — zapytał Nikosza.

— Same cuda! — mruknął otyły — człowiek tu nic nie rozumie. Przyznała się sama, że ona go nie on ją namawiał, że miała strach i wstręt od klasztoru, tymczasem gdy księżna przybyła i nie dając jej od siebie odstąpić, modlić się z nią zaczęła — rozplynęła się w łzy, skruczę i za łaskę prosiła, aby jej zaraz habit nowicjuszeki dano...

Księżna po takim zgorzeniu nie chciała już ją gwałtem ciągnąć za kratę, padła jej do nóg i prosiła aż otrzymała, że ją zaraz odziano...

Pojechała do Trzebnicy, mówiąc to, że księżnej odstąpić nie chce, aby ją inna władza, której się lęka nie opanowała.

A to co z nią — dodał Nikosz — dzieje się z innymi, bo księżna władzę taką ma, iż modlitwą ludzi przemienia, pokładaniem rąk uzdrowia, wejrzeniem nawraca — albowiem święta pani jest.

— Księżę też rad się pono modli i naśladuje ją — dodał Jaszko.

— Ale on póki z nią, póty się świata zapiera — gdy zostanie sam, wraca mu dawna natura i na przymusowe swe wdowieństwo narzeka. Pobożny pan jako i synowie oba — a z nią się im nie mierzyć...

Jaszko aby mieć co opowiadać w Krakowie, spuścił się jeszcze z Nikoszem do więzienia otwartego, przypatrzył roztrzęsionej słomie, porwanym sznurom, które wzięwszy w dłonie silne, nie mógł ich rozerwać, — i musiał się zgodzić z powszechnem zdaniem, że sam szatan więźniowi pomagał.

Poczem poszli na miód do Sulenty, a Trusia, który czatował na nich u wrót, wkradł się za nimi do izby, aby panów ubawiać.

Potrzebowali tego, bo nie weseli byli i dzban z pomocą błazna ledwie ich potrafił nie rychło rozchmurzyć.

Trusia na wypadki zamkowe zapatrywał się ze swojego błazeńskiego stanowiska. Figiel jaki szatan stróżom wypłatał, był mu do smaku.

— Dobrze juchom tak — mówił — dostali dziś rano od pana Hermana w podarku każdy najmniej po... grzywien czerwonych pięćdziesiąt... To jeszcze i dziesiątej części im nie wypłacono tego, co oni na drugich wyekspensowali. Niebożątka, nieprędko resztę długu odbiorą...

— A i tobie by coś należało! — zawołał Nikosz.

— Za co? — zapytał przelekły Trusia.

— Że się z cudzej biedy naigrawasz — odparł urzędnik.

— Miłość wasza wie, że my to jedno mamy na świecie — rzekł Trusia — iż nam się ze wszystkiego śmiać wolno. Za to nas nogami kopią kto chce, na twarz nam plują i łają co się zmieści...

Do późnej nocy Trusia błaznował im, śpiewał i skakał, koziołki wywracał i sprośne żarty prawił, aż go dobrze podpiłego precz pod wrota wypchnięto. A że dalej iść nie mógł, Trusia kołpak z kukawką na oczy i uszy nasunął, opończą się otulił i piosnkę mrucząc pod wrotami usnął.

Tu go leżącego i snem twardym zmorzonego, nazajutrz rano pominął wyjeżdżający Jaszko... Nie chciało mu się do Krakowa, nie chciało, — lecz musiał.

Samo z ojcem spotkanie, groziło gniewem, który tylko poselstwo Światopelka rozbroić mogło. Syn ten, o którego się obawiał, wiedząc że go w rękach utrzymać trudno, był dla wojewody nieustanną troską.

Z podróżą się tak obrachował Jaksą, aby nocą przybyć do miasta, ile możliwości niepostrzeżonym! Stało się też jak chciał, bo przestawszy na popasie godzinę nad potrzebę, o mroku wśliznął się za wał i bramę, prosto ciągnąc do ojcowskiego dworca.

Tu się go wcale nie spodziewano, zdziwienie było wielkie. Jaksą bowiem gdy wyruszał, tak był pewien iż nierychło wróci, że psy nawet swoje i niepotrzebny sprzęt między ludzi rozdarował. Izby w których mieszkał, były już przez czeladź i kapelanów zajęte.

Wojewody ze wsi dopiero się nazajutrz spodziewano. Jaszko tymczasem spoczywał.

Leżącego w półśnie zbudził powracający ojciec który dowiedziawszy się o synu, jak stał z drogi, niezrzucając kożucha, wpadł do niego — gwałtownie się domagając dla czego i żkąd wracał tak rychło.

— Naprzód to powiedz mi muszę, co za wszystko inne stanie — rzekł Jaksą.

Tu do ucha zbliżył się ojcu.

— Światopelk mnie nazad do was odprawił.

Stary nagle się uspokoił, a że u drzwi stał dwór jego, urwał rozmowę i obejrawszy się, rzekł tylko.

— Przyjdiesz za czas mały do mnie, ludzi odprawię. Zawołać cię każę, gdy będę chciał rozmówić się.

W dobrą trafił godzinę powracający.

Marek wojewoda właśnie był na ten dzień, albo raczej na tę noc sam jeżdżąc po powinowatych swoich zwołał ich na radę do Krakowa. Popis jakiś wojskowy służył za pokrywkę.

W istocie możny ród czujący siłę w sobie, coraz się więcej trwożył przewagą Odrowążów, którzy mieli na czele świątobliwego biskupa Iwona. Ten stał tak przy Leszku, iż im do niego przystępu bronił.

Odrowążowie acz silni, ani liczbą, ni majątnościami, ani przebiegłością ludzką nie sprościli Jaksom. Biskup Iwo więcej pracował dla kościoła niż dla rodziny, więcej dbał o rozkrzewienie wiary niż o doczesną moc. Najzdolniejszych synowców swych oddał Dominikowi na apostołów zakonu. Jaksom się przykrzyło stać na uboczu i czekać, gdy ich Światopelk tak już potężny będzie mógł podeprzeć.

Za wojewodą zaraz ściągając się poczęli powinowaci, stryjeczni, bratankowie, pokrewni i co tylko z Jaksami trzymało, a do nich się garnęło, wszystko co Leszka mieć nie chciało nad sobą.

Prawie niepostrzeżenie kilkunastu średnich i starszych lat ludzi, z umysłu poodziewanych skromnie, wjechało do dworca. Żupanów w nich, możliwych comesów i urzędników znacznych nie łatwo było poznać. Izba do narady wybrana była mała, od ogrodów, gdzie ich ani światło zdradzić, ani obcy podsłuchać nie mógł...

Wojewoda wszedłszy do gromadzących się, szepnął im, że Jaszko tylko co od Światopelka z poselstwem wracał. Czekali więc nań niecierpliwie odgadując zawczasu z czym przyslanym być mógł.

Posłano po niego.

W rodzinie swej Jaszko, którego ojciec lubił dosyć, miru nie miał. Odrowążowie obwiniali go, iż ich skaził postępkami nieopatrzonymi i po szalonymu dokonanym. Nie wierzyli mu bardzo...

Znalazł też na wstępie przyjęcie zimne, wejrzenia niespokojne, usta milczące.

Dwu stryjecznych wojewody siedzących za stołem, ledwie go skinieniem powitało. Młodzi też patrzali niechętnie.

Jaszko to czuł, musiał więc butą nadrabiać, a ważnym się czynić sam, gdy go za takiego mieć nie chciano.

Począł opowiadać wyprawę swą, ubarwiając po swojemu, jak i co we Wrocławiu słyszał i widział, co u Konrada.

— Konrad — rzekł — ze Światopelkiem znają się, ale bratu na brata wystąpić nie godzi się. — Będzie stał a czekał, palcem dłoń nie ruszy...

Pokiwali starzy głowami z powątpiewaniem.

Dopiero Jaszko im zeznał, że potajemnie Światopełk jeździł do Płocka i jak mu do Plwacza do Uścia towarzyszył.

Zaczęli się dopytywać o Odonicza z zajęciem wielkim, bo ten już jako pobratany ze Światopełkiem i im był powinowaty a swój.

— Ale z czemże cię do nas odprawił? — zapytał wojewoda.

Jaszko się zadumał trochę jak powiedzieć...

— Światopełk — odparł — wojny nie chce, bez niej się obejdzie a nieprzyjaciela zgładzi. Leszek też do wojowania nie skory i pokój woli a rozjemstwo duchownych. Namawiać trzeba pana na zjazd dla ugody, i żeby miejsce naznaczył niedaleko pomorskiej granicy — a ztamtąd oni cało nie wyjdą!...

Na tak rzeko wypowiedziany zamysł Światopełka — wszyscy umilkli poglądając jedni na drugich. Sam wojewoda nie przyjął ochotnie tego planu.

— Dużobyśmy ważyli — rzekł. — Po co się krwią mazać mamy, kiedy go wygnąć można a Odonicza w jego miejscu posadzić... Zejdzie sam ochotnie, tak jak Laskonogiemu ustąpił, byle przewagę widział.

— Zjazd — rzekł Adaszko stryjeczny — ho! ho! bez duchownych się nie obejdzie, a jak się oni zjadą, zgodę uczynią. — Cóż? na nich z orężem napaść? a toć nas wyklną i rozpedzą, że jak ci co ze Szczodrym trzymali na wygnanie wszyscy iść będziemy musieli!! Światopełkowi co za światem do morza przyparty siedzi łatwym się to zdaje.

— Cóż ważyć będziemy my? — mruknął Jaszko. — Światopełk na siebie weźmie wszystko. Nie uda mu się, my cali zostaniemy...

— On paść może! — rzekł wojewoda — a bez niego i my słabi będziemy.

Ze wszech kątów rady się odzywały przeciwne. Jaszko na ławie siadłszy milczał, dopiero gdy go o Światopełka pytać zaczęto, wysławiać go zaczął.

— Rycerz prawy jest i mąż siły wielkiej — rzekł — mówi mało, ale nieulekniony jest i wie czego chce, a co chce to potrafi. Nam z nim i za nim iść, albo się poddać i zginąć.

Widziałem go na dworze Konrada, gdzie o nim prawie żywa dusza nie wiedziała i u Odonicza i w podróży... Patrzałem zaplątawszy się do obozu na Laskonogiego, który poszedł Uście oblegać, wszyscy oni przy nim, Henryka nie wyjmując, słabi są. Konrad by mu może jeden sprostął, ale z tym oni idą razem...

Powoli ta myśl zjazdu z początku niechętnie przyjęta, zaczęła się przyjmować...

Jaksom przypadało co najłatwiejsze, namawiać do zgody i pojednania. — Bezpieczniej im było z tem.

Krwawa tylko plama którą za tym zjazdem widać było — odrażała wielu.

— Krwi nie trzeba — pójdzie Leszek do Sandomierza na ojcowiznę i z siostrą siądzie przy klasztorze. Więcej nie może chcieć — mówił jeden. Zechcą jego uśmiercić, rzeź będzie wielka, a w niej kto padnie, jeden Bóg wie.

Uchwalono posłać do Światopełka, lecz tymczasem myśl zjazdu siać, aby powoli wschodziła. Wola Światopełka więcej miała wagi niż rady inne...

Późno w noc się rozeszli...

Nazajutrz już w mieście ten i ów wiedział, że Jaszko z łowów na Szlązku powrócił.

Sam ojciec mówił o tem, skarżąc się, iż go o ucieczkę pomawiano, gdy tylko znudzony bezczynnością w lasach szukał rozrywki.

Tegoż dnia do mistrza Andrzeja doszła wiadomość o bracie, którą się poważny mąż uradował i na dwór ojca pospieszył, zapomniawszy urazy bratu.

Ale Jaszka już nie było, bo swoich miejskich druhów i drużki pilno chciał odwiedzić i na cały dzień wyruszył.

Mistrz Andrzej zastał ojca tylko.

Wojewoda z wyprawy Jaszka przed księdzem nie mógł się tłumaczyć, wiedział że do tajnych spisków należeć nie zechce i że je potępia.

Z rozmowy wyszło co po świecie o wojnie Plwacza z Laskonogim prawiono, o Światopełku i o innych sprawach. Stary wojewoda od niechcenia rzekł:

— Leszkowa powaga wszystkiemu temu koniec by położyć mogła. Niech zwoła zjazd kędy pośrodku tych ziem o które się spory toczą i krew przelewa, będą musieli książęta być posłuszni — i tak się wszystko zgodzi.

— Sami książęta — odezwał się mistrz Andrzej — nie dokażą nic, ale duchowieństwu tam przypada do czego je Bóg wyznaczył, ażeby rozjemcą było i różczkę oliwną przyniosło. Bez panów biskupów pokój nie stanie...

Wojewoda trochę zmilczał.

— Spraw tam duchownych do roztrząsania nie będzie — rzekł krótko.

— Pojednanie to duchownych sprawa — odpowiedział syn. — Nie byłoby komu spisać i przypieczętować zgody, gdyby ich nie było. A gdzie starszy książę zasiada, tam i najstarszy nasz pasterz gnieźnieński powinien być. Świecka moc bez duchownego potwierdzenia nie waży.

Nie sprzeciwił się wojewoda.

Było tak w istocie, nie tylko w Polsce, lecz w świecie całym, że bez stolicy rzymskiej zgody i zatwierdzenia akt żaden poszanowany nie był. Cesarskie uchwały czekały na nie i mocy nabierały dopiero, gdy Rzym je uznawał. Wprawdzie groźby klątw kościelnych przez zbyt częste rzucanie ich i oswojenie się z niemi znacznie na sile straciły, wszakże kto walczył jak cesarz sam z anathemą, kto pozornie ją lekceważył, musiał w końcu uleść lub upaść.

Mistrzowi Andrzejowi myśl ta którą ojciec podawał, zdała się bardzo szczęśliwą. Zgadzała się z usposobieniem Leszka, była dogodną duchowieństwu, które swój wpływ mogło dać uczuć i nie dozwolić mu osłabnąć.

Tegoż wieczora mistrz Andrzej wspomniał o tem biskupowi Iwonowi.

— Kościół — odparł pobożny pasterz — nie może odpychać nigdy żadnego środka wiodącego do zgody, zapewniającego pokój.

Zjazd może być obfitym w błogie skutki, lękam się tylko, jeżeli go zechcą nieprzyjaciele Leszkowi, aby nie krył w sobie podejścia jakiego i zdrady...

Serce moje ogarnia niepokój, choć rozum mówi za takimi paktami, które kraj na długo obdarzyć mogą spoczynkiem...

A gdzież więcej go potrzeba jak tu w ziemiach leżących odłogiem, wśród ludu co jeszcze ochrzcił się tylko z wody nie z ducha?... Moglibyśmy nasze święte kolonie rozmnażać, apostołów sprowadzać, szkółki zakładać, kościoły stawiać i poganom nad granicami groźnemi być... Co niech Bóg da. — Amen.

II

Spała stara prządka snem błogosławionym ludzi co trosk nie znają. Spała w kątku, wygodnie głową oparta o ścianę, z usty uśmiechającymi się marom sennym, oddychając lekko, z jedną ręką na piersiach, z drugą w dół spuszczoną... Palce chciały jeszcze trzymać nic jedwabną, która się z nich wymknęła, a wrzecziono potoczyło się na podłogę... Ono też potrzebowało odpoczynku i leżało sparte o nogi prządki niby tak uśpione jak ona.

W ognisku gorzały kłody olchowe i drzazgi smolne, a płomyki ich żółte, sine, zielone i węgle rozżarzone różowo splatały się w barwy tęczowe, wesołe... Drzewo mruczało paląc się, szeptało, syczało, mówiło głosami różnemi, których miło słuchać było. Zdały się one mową tajemną innego świata, i jakby wtórem do ludzkiej pieśni przy ognisku nuconej...

Błask od niego padał na ściany nierówne, migocący się, drżący... Płomienie na przemiany świeciły w różnych stronach i posyłały światło swe po zakątach, zaglądając do nich ciekawie.

Padła czasem jasność na twarz starej prządki, oblała ją całą i z dala patrzącym pokazała że usnęła głęboko, że przebudzenia lękać się nie było potrzeba.

Stojąca u ognia wpatrywała się najpilniej w śpiącą, stara Dzierła, tego dnia staranniejsze jeszcze niż zwykle przystrojona... Jej się też jeszcze uśmiechał jakiś odblask młodości choć cudzej.

Oczy jej ciskały płomienie, wążkie usta składały się do wesołego wyrazu... Okryta szeroką płachtą z pod której widać było we wstążki i blaszki przystrojoną głowę, Dzierła miała pas czerwony, którym ścisnęła się aby sobie młoda nadać postać, a spódnice swe kraśne poupiniała zalotnie... Na szyi wisiało różnobarwnych pereł co niemiara.

Dalej na ławie przytulone do siebie, niespokojne i smutne jak dwa gołąbki przypadły dwie Halki. — Ręce miały założone na szyje, głowy pochylone tak że się skroniami sty-

kały. Ich dwie stanowiło tę jedną istotę dziwną, którą los rozdziwił aby może podwójnie cierpiała.

Oczy dwóch Halek ciągle w tamtą patrzyły stronę kędy stara prządka spała, potrzebowały tego snu, pożądały, czekały.

Z ich niepokoju śmiała się stara Dzierła na przemiany spoglądając to na nie, to na prządkę i bawiąc się snem jednej, a drugich oczekiwaniem...

Cicho było w izbie... tak cicho jak gdy późna noc wszystkich do snu ukołysze, ogień tylko śmiał się, płakał, szczydził, trzaskał i czasem dziewczęta nabawiał strachem ażeby prządki psotnik nie rozbudził.

Ona spała — a sen jej był tak głęboki jakby nie przyszedł sam, jakby go powołano na stróża... I obok na ławie na której usnęła widać było kubek drewniany wypróżniony, a oczy złośliwe Dzierli, często nań padały.

Podeszła ku śpiącej na palcach, powoli, skradając się, stanęła, posłuchała, popatrzała, ostrożnie wzięła do ręki kubek, zajrzała doń, przewróciła i pokazała dziewczętom że nie było w nim ani kropki.

Z uśmiechem zwyciężkim postawiła kubek na miejscu, zręcznie i lekko białą chustą nakryła twarz uspionej, odstała od niej i poszła do Halek...

— Choćby pioruny były nie zbudzi się już aż gdy drugie kury zapieją! O! bądźcie spokojne! Wszakżeście widziały, że ja sen umiem dać i odebrać... A taki to dobry sen, słodki, że przez niego aniołów widać — i jak się człek zbudzi, wszystko mu się czarnem wydaje, i myśli że spał chwilkę, choć noc przemarzył całą...

Teraz cicho! Idę i wracam...

Skinęła z porozumieniem na dziewczęta, które drgnęły jakby ze strachu i radości razem i mocniej jeszcze przytuliły się do siebie. Uśmiechnęły się, zawstydzone spuściły oczy...

Dzierła z tą samą ostrożnością jak wprzódy, na palcach postąpiła ku drzwiom, otworzyła je powoli aby nie skrzypnęły, zamknęła za sobą... znikła...

Ogień czekał na to widać by wiedźma mu dała swobodę — błysnął jaśniej, oblał się barwami żywsem, zaczął świstać wesoło... Razem syczało coś w nim i piszczało i śpiewało... coraz głośniejsze... Niekiedy puknęło i dymek wymknął się do góry sinym promykiem.

Halki słuchały a te głosy wydały się im groźne i smutne a szyderskie. Ogień patrzył na nie i może się gniewał. — Naumyślnie błyszczał tak gorąco i strzelał po kątach, a odgrażał się że pobudzi, że oskarży.

Bały się go trochę, i tęskno im było samym, lecz za chwilę Dzierła powróciła miała... Spoglądały na drzwi — oczekiwanie bardzo się im długim wydawało.

Za dworem, na dworze... już słyhać było jakby lekkie stąpanie i rozeznawały nie kroki jednej starej, ale jakby ludzi kilku... Strach je ogarnął, rumieńce wytrysły na twarz, uściśniły się mocno. Spoglądały ukradkiem na drzwi...

Otóż uchylily się one..., na progu pokazała się Dzierła zaglądnąca niespokojnie, naprzód na prządkę uspioną... Za nią... ktoś się cisnął i popychał...

Dziewczęta wstały spłoszone z miejsca które zajmowały i zbiegły trzymając się za ręce do kąta, tam stanęły znowu się objawszy, czując się silniejszymi gdy były razem. W oczach ich radość błyskała, ciekawość i strach razem.

Tymczasem Dzierła z radością złego ducha który spełnia psotę, wwidła do izby za sobą — dwu Niemców, Geronę von Landsberg i Hans'a von Lambach. Gero szedł już zdrów, wyprostowany, odmłodzony spoczynkiem, w całym blasku wesołych swych lat dwudziestu... szukając dziewcząt oczyma, Hans podpierał się na lasce, nie mogąc jeszcze o swej mocy iść, był błądy i wymizerowany. W nim młodość na chwilę zwiędła nabrała od cierpienia tego szczególnego wdzięku, jaki jej ono nadaje. Coś tęsknego niósł na twarzy, jakby wspomnienie domu, rodziny, matki... a chociaż mu wzrok połyskiwał ciekawością, zamglony był bolem, który się starał ukrywać.

Idąca przed niemi Dzierła, ciągle zwracając się ku nim, palce trzymała na ustach, zalecając milczenie.

Niemcy zatrzymali się nieco wśród izby, bo właśnie w tej chwili płomień od ognia, jak w znowiu ze starą Dzierłą, ku górze się wspięło i rzuciło cały swój blask złocisty na dwoje Halek w kątku.

Obrazek tych ślicznych dzieci zachwyił wchodzących, tak że dalej postąpić nie śmieli.

Z obawą patrzyły Halki na nich, ze zdumieniem spoglądali dwaj młodzi rycerze na to zjawisko.

Halki miały przed sobą nareście tych ludzi obcych, których tak widzieć pragnęły..., i znalazły ich dziwnie podobnymi do jakichś snów własnych, do marzeń dziecińczych. Wydali się im czymś daleko wdzięczniejszym niż pospoliccy parobkowie, których widywały zwykle, czymś szlachetniejszym...

Mieli coś pańskiego w sobie. Przewrotność, zajadłość, nielitość niemiecka o której ojciec mówił tak często — nie godziła się z ich powierzchownością spokojną i pięknocią obu.

Jeden pociągał weselem, którym cała jego twarz była oświetlona, drugi smutkiem łagodnym, cierpliwym, męzkim. Halki napatrzeć się ich nie mogły...

Gero witał je ukłonem i ruchem rąk, które do piersi przykładał, Hans lekkim skłonieniem głowy i tęsknem wejrzeniem...

Dzierła która zapewne bliższą znajomość między dwoma temi parami zawiązać pragnęła, wzięła na siebie obowiązek marszałkowania. Starła fartuchem miejsce na ławie, niedaleko od dziewcząt i kazała na niem usiąść przybyłym. — Dziewczętom także przysiąść znak dała... Sama poszła po kubki i miód aby ich czemś przyjąć. Kołacz słodki przygotowany był i pokrajany — podała im napój i przekąskę, a trzeci kubek, przyniosła Halkom, które zwykle z jednego pijały, wskazując im że powinny były przyłożyć usta do niego i gości przywitać. Halki spełniły to trwożliwie, rumieniąc się, z niezgrabnością dziecięcą, która im dodawała uroczego wdzięku. Wzrok dwu Niemców nie mógł się oderwać od ślicznych dziewcząt, które po pierwszej trwodze uśmiechały się im nieśmiało, kryły twarzyczki i spoglądały na nich z pod rączek...

Rozmowa była ruchami tylko możliwą, oczyma tylko.

Stara prządka spała wprawdzie pokryta chustą, tak żeby jej była nie słyszała — lecz Niemcy za mało znali tego języka, którym mówiły dziewczęta, a one ich mowy nic wcale...

Siedzieli więc tak naprzeciw siebie — Gero z Hansem rozmawiając po cichu, Halka z Halką szepcząc sobie półsłowa... Dziwna rzecz... Niemcy rozumieć czy zgadywać się zdawali co one mówiły sobie, dziewczęta domyślały się o czem młodzi szepotali z sobą.

Przez oczy szły myśli, niekiedy tak śmiałe, że Halki wzroków wytrzymać nie mogły — że Niemcy drgali jakby się chcieli przybliżyć, pociągnęci ku dziewczętom.

Ale na najmniejszy ruch ich Halki zrywały się i pierzchnąć były gotowe, a i Dzierła stała na straży, aby młodych utrzymać w dali.

Po dość długiej chwili, dziewczęta coraz częściej zaczęły spoglądać na śpiącą, Dzierła dorozumiała się że czas było wyprowadzić gości. Naląła im jeszcze kubki, które oni wstawszy za zdrowie Halek wypili, i przyszła oznajmić, że już iść muszą.

Wskazała na uspioną w kącie prządkę, pogroziła.

Niemcy upojeni widokiem dwóch siostrzyczek wstali, choć niechętnie, Halki ruszyły się z miejsca... Gero rękę przyłożył do serca, a oczy podniósł ku niebu, Hans skłonił głowę ku ziemi, rękę zniżył do stóp i westchnął. — Dwie Halki żywo, potrząsały główkami żegnając...

Ponieważ to za długo trwało, Dzierła poczyniała Gerona za rękaw sukni ciągnąć i naglić do wyjścia. Szli więc, lecz oglądali się ponawiając żegnanie, które im oddawano...

Drzwi się w końcu zamknęły, Halki wyskoczyły z kątką w którym były ukryte. — Ręce się ich rozplotły poraz może pierwszy oddawna, stanęły rozdwojone naprzeciw siebie, mierząc się oczyma i rzuciły się sobie w objęcia.

Mówić czy nie chciały czy nie potrzebowały, lecz ujawszy się za ręce poszły ku ognisku, zanuciwszy jak jednym głosem piosnkę tęskną o księżycu...

Lecz pieśń się prędko rozplynęła w uśmiech i szepty...

— Który? — spytała starsza.

— Który? — powtórzyła druga.

Zarumieniły się mocno, nie chciała powiedzieć żadna — a, rzecz osobliwa, one co swe myśli zawsze tak dobrze zgadywały, teraz nie były pewne czy są w zgodzie...

I pozostało tajemnicą może która z nich wybrała wesołego Gerona, a która smutnego Hansa...; czy się różniły czy godziły...?

Wkrótce potem promieniejąca wróciła Dzierła, spojrziała na dziewczęta, poszła białą chustą czarodziejską zdjąć z twarzy prządkę, która się nie przebudziła — tylko zamruczała coś przez sen, i przybiegła do Halek głaszcząc je po głowach.

— Chłopcy poszaleli za wami! — poczęła siadając u ognia, głowy się im pozawracały, Gero mówi że jak żyw takich nie widział piękności, że gdyby was poubierać wedle ich obyczaju, mogłybyście przy cesarzowej stać na tronie...

Cesarzowa? nie wiem co to za pani — dodała — musi to być ich królowa! Ale wy, gołąbki moje sameście królowemi być godne.

Ciekawa stara przysunęła się badając natarczywie.

— Prawda, obadwa są piękne chłopcy — ale który z nich piękniejszy, powiedzcie?

Halki pochowały oczy, aby z nich nie wyczytała... wstydziły się, nie odpowiadały.

— Gero... — mówiła stara — Gero jest jak królewicz z bajki, który na konia siadłszy na cudownego, mógłby morze przepłynąć, mieczem góry rozcinać, latać z obłokami — a Hans jest jak biedne dziecko, o które strach aby na ziemię nie padło... Jam się do Hansa więcej przywiązała, bom go pielęgnowała... Gdyby nie ja, co by już teraz było z niego? jadły by go robaki!

Mówiła sama, rażno z kubka popijając, a coraz to na dziewczęta spoglądając, które się sromały jeszcze...

— Mów o nich, mów co o nich, rozpowiadaj! rzekła cicho starsza...

— Cóż ja wam powiem o nich, gołąbki moje, chyba że się oni pokochali w was... Szli do swego dworku jak pijani, oglądając się ku wam i posyłając pocałunki. Dla tego wam się tak palą twarzyczki, bo całusy tu poprzylatywały!

Halki poczęły je ścierać palcami z twarzy, jakby się złąkły w istocie by przyłgnąwszy do nich nie zdradziły...

Nazajutrz Dzierła przyniosła pozdrowienia, w kilka dni znowu obiecała Niemców przyprowadzić, uspić starą prządkę dozorczynię, lecz strach znowu był wielki... a skończyło się na tem, że stara na swem postawiła i Niemcy przyszli znowu.

Gero usiadłszy bliżej na ławie, na żądanie Dzierli zaśpiewał półgłosem niemiecką pieśń, którą ona słyszała go często powtarzającego

*Du bist min, ich bin din:
des solt du gewis sin.
Du bist bes'lozzen
in minem Herzen;
verloren ist daz Sluzzelin:
du muost immer darinne sin.*

Pieśń to była pobożna, lecz któż wie czy Gero nie zmienił jej znaczenia? Dziewczęta słuchały pilno, smutno, i płakać się im chciało, że jej nie zrozumiały. Nazajutrz Dzierła musiała im po swojemu ją tłumaczyć.

*Tyś jest moją, jam jest twój,
Bądźże tego pewna.
W sercu mojem tyś zamknięta,
Klucz od niego zginął.
Musisz już w nim zostać!*

Halki nuciły po swojemu piosenkę podobną... ale im nie brzmiała tak, jak gdy ją śpiewał Gero, a Hans mu cicho wtórował.

Tak płynęły wieczory długie jesienne na Białej Górze, a ks. Żegota widząc, że Hans się już poruszać może, przypominał, iż czasby od srogiej uwolnić go trwogi. Obu im i chciało się w świat i żal było te śliczne dziewczęta porzucać.

Gero nawet ważył się na myśl zuchwałą, aby Halki uwieść z sobą. Lecz jakże z niemi przebyć niepostrzeżonym kraj obcy i uniknąć pogoni?

Hans miał myśl inną, chciał powracać do domu, zebrać oddział rycerzy i knechtów, napaść na Białą Górę i pochwytać dziewczęta. Potem lotem błyskawicy dobić się do Saskich granic... W młodych głowach rodziły się sny niedorzeczne, w których dalej widać

nie było nad to jedno — by dziewczęta mieli w swej mocy. Hans zaprzysiął, że kochająca go matka pozwoli mu za żonę wziąć choćby obcą, byle on ją miłował. Gero nie myślał o małżeństwie nawet.

Rozmarzali się i upajali każdego wieczora więcej, a Dzierła patrząc na to, rozgrzewała się i radowała jak zziębły podróżny, gdy sobie dobrego ognia napali. I ona nie patrzyła daleko — dość było jej na tem że się to — kochało...

Nasłuchawszy się szwargotu chłopców, który niespełna rozumiała, biegła patrzeć na dziewczęta jak się one ciekawiły, dopytywały, jak tęskniły za chłopcami.

O starym Mszczuju nikt tu nie myślał oprócz podżupana, który Boga prosił, aby rychlej nie powrócił aż niemców się pozbędzie z zamku i wykurzy te miejsca, w których po nich mogło coś pozostać, bo był pewien, że Waligóra uczuł by w powietrzu którem oddychali, niemców przytomność.

Jesień była już późna, jednego wieczora Dzierła wprowadziła znów Gerona i Hansa do izby, na sen dawszy starej prądce. Każdego dnia bliżej siadając na ławie przy dziewczętach, Gero i Hans skończyli na tem, że tuż się przy nich mieścili po stronach obu, i chwyтали je za tych rączek dwoje, które były wolne, wyrywały im się, drżały, a czasem króciuchno dawały przytrzymać...

Dzierła stała blisko, służąc za tłumacza niepocziwego, bo im mówiła co chciała, aby miłość dziecięcą rozżarzyć...

Gero powtarzał piosenkę swoją.

— Tyś jest moja, jam jest twój.

Gdy, wśród ciszy wielkiej, ciszy nocnej, coś jak wicher zaszumiało na zamku...

Coś strasznego, niepojętego stało się, od czego zadrgał cały gród... Psy zerwały się wyjąc, konie zarżały w stajniach, ptacy na berłach rzucali skrzydłami niespokojnie... ludzkie głosy płacziwe, zdziwione, przerażone słychać było od wrót. Czeladź powybiegała z komor, izb, szop i rzucanie drzwiami rozległo się po grodzie.

Dziewczęta ze strachem niezmiernym, z krzykiem skoczyły szukając schronienia, obudziła się prądka z szalonym jękiem. Dzierła ledwie czas miała Gerona i Hansa wyrzucić za drzwi a sama padła na progu...

Krzyki od bramy zbliżały się i słychać było tentent konia, który biegł aż do drzwi dworu, tu nagle wstrzymany, na cztery nogi runął i obalił się...

Nad nim stał Waligóra.

Lecz on to li był czy duch jego, widmo z drugiego świata?

Ludzie oczom nie wierzyli...

Stał w podartej odzieży, z rozczochranym włosom, z okrwawioną piersią, z poranionymi nogami bosem, wzrokiem obłąkanego, oglądając się dookoła...

Telesz który nadbiegł za nim, czeladź, parobcy, niewiasty nie śmieli przystąpić doń, oczom niewierząc by on to mógł być...

Zachwiał się Mszczuj na nogach osłabłych, potarł rękami po twarzy, i przez otwarte drzwi, zataczając się wszedł do izby.

Dwie Halki stały wylekłe w kątku, gdy go ujrzaly na progu, i krzyknawszy, pozakrywały oczy, myśląc że widmo ojca ujrzaly.

Waligóra spojrzawszy na swe ognisko, zobaczywszy białe sukienki córek, jakby zmysły odzyskał... Za nim przez drzwi otwarte cisnęli się ludzie, omdlała Dzierłę odrzuciwszy na stronę... Mszczuj wołał na dzieci...

Głos jego poznawszy dziewczęta, rzuciły się ku niemu i przybiegły zawisły mu na szyi...

Z oczów starego ciekły łzy razem i krew płynęła, ścisnął dziewczęta i łkał ze szczęścia...

One go i pytały nie śmiały dla czego wracał tak okrwawiony i odarty, on nie mówił nic.

Telesz dopiero przekonawszy się, iż pan to był z ciała i kości a nie widmo i duch jego — przystąpił z pokłonem i pytaniem, z uzaleniem i trwogą.

— Paneczku nasz, złoty sokole, co tobie? co z tobą?... Miły Boże, krew... rany... zbójcy... Halki płakały... Baby zdala stojące szeptały dziwiąc się i chciały już biedz po ziola, płachty, po wodę...

Waligóra długo nie odpowiadał nic — oko jego utkwilo gdzieś w głębi izby, i krwią zaszło, otarł je, nie zwracając od miejsca na które było zwrócone, nagle począł drzeć, po-

wstał i pędem, rozepchnawszy tych co na drodze się znaleźli, pobiegł, rzucił się w przeciwny kąt izby... Na ławie leżała niemiecka rękawica Gerona.

Waligóra pochwycił ją jak jastrząb porywa małe ptasze, oczy mało mu z powiek nie wyskoczyły, podniósł ją do góry — i ryknął z bólu.

Wszyscy z trwogi zdrętwieli...

Stary dusząc tę rękawicę w dłoniach swych żylastych, jęczał, krzyczał, a wyrazu wśród tego wybuchu rozeznac nie było można.

Halki obie na widok rękawicy omdlały... Telesz upadł na kolana... Niewiasty widząc Mszczuja w gniewie zabijającym, wściekłym, uciekły z izby...

Z rękawicą tą w ręku Waligóra się ruszył na Telesza wprost, niósł ją podniesioną, potem rzucił mu ją na policzek z taką siłą, że krew trysnęła, wnet podniósł i znowu ryczeć zaczął, oglądając się... Potrzeba mu było ofiary — nogą pchnął podżupana, bo tego za mało mu było, wyszedł ze dworu w ciemności na podwórze, ale nie wiedząc co czyni jeszcze.

Telesz się za nim włókł na klęczkach, chwytając za nogi, które stary precz go odrzucał.

— Panie! panie — wołał — jam nie winien... jam nie winien!

W tem z ciemności wynurzyła się postać blada, trup czy żywy człek, z oczyma świecącymi. Był to ks. Żegota.

— Jam winien! — rzekł — ja! masz mnie! zabij!...

Waligóra krok odstąpił od niego.

— Dajcie mi ich! — krzyknął — tu! dajcie mi ich!

— Rannych śmiertelnie Niemców ja wziąłem pokryjomu na zamek — ja, dla miłości Chrystusa... ja — zaczął ksiądz — ubij że mnie...

Waligóra stał, trzęsąc się cały...

Telesz podnosił się z ziemi.

Odwrócił się do niego Mszczuj.

— Daj mi tu ich! daj mi ich! — zakrzyczał.

W mgnieniu oka podżupan skinąwszy na parobków poleciał.

Ks. Żegota stał jak dobrowolna ofiara, która się doprasza nieuniknionego męczeństwa. Stary nie mówił nic, nie patrzył nań, w rękach podniesionych miał rękawicę niemiecką i drżał...

Wszyscy umilkli, w dali słychać było łomot i rzucanie się ludzi po zamku i wrzawę, pogoń i urywane krzyki.

Dwie Halki, które stara prządka otrzeźwiła, podniosły się jak ze snu straszego przebudzone i stały płacząc drżące. Czasem chyliły się słabnąc, to dźwigały w milczeniu, aż stara zmusiła je usiąść na ziemi. Siadły objąwszy się i płakały.

Na podwórku straszniejsze od krzyku, który się rozlegał niedawno, panowało milczenie. W dali tylko coś wrzało... biegali ludzie...

Waligóra stał patrząc w ciemność... w oczach latały mu płatki jasne i plamy krwawe...

Kroki słyszeć się dały zdaleka, ale ociągające się, powolne, bojaźliwe. Telesz przyszedł i stanął z rękami spuszczone. Niemców nie prowadzili, nie było ich.

Strzęsiono gród cały.

— Podpalić szopy... ognia... — krzyknął Waligóra — skryli się — niech wszystko idzie na popiół, byle oni zginęli...

Mówiąc to Waligóra wpadł przez drzwi otwarte do izby, pochwycił dwie główne rozpalone i wybiegł na podwórze z niemi.

— Palić wszystko! — krzyczał zajadły — miotając żarzewie...

Telesz zdrętwiał...

Parobek bliżej stojący, posłuszny, chwycił głównię i pobiegł do najbliższej szopy, wtykając ją w dach słomiany.

Waligóra patrzył obłąkanemi oczyma... Podżupan chciał iść do ognia dla ugaszenia, pchnął go i obalił na ziemię...

— Straże u wrót, u furty, na wały, żywa żeby mi nie uszła dusza... ognia na cztery rogi.

W tem ks. Żegota padł na kolana przed nim ze złożonymi rękami.

— Panie — zlituj się!

— Niemców mi daj! — odparł przystępując stary...
— Nie wiem gdzie są! — wyjąknął ksiądz z pokorą. — Wziąłem ich ja z miłosierdzia, nie ja wydawać ich będę na stracenie... Życie mi weź...

Głównia zatknięta w mokrą strzechę nie zatliwszy jej gasła, wtem biegiem parobek przyskoczył wołając:

— Konie porwali z szop i zbiegli...

— W pogoń! koni! — zawrzęszczał miotając się stary...

I jak stał sam naprzód się rzucił do stajni. Potłuczony Telesz pobiegł za nim, co żyło odbijało wrota, chwyciło konie i leciało z zamku na pola.

Noc była czarna — straszna... przepaścistych ciemności. W jej głębinach znikli rozproszeni na wszystkie strony jeźdźce. Na grodzie pootwieranym, pustym, zostały płaczące kobiety, dzieci, pacholeta, ci tylko co posłusznie za panem w szaloną pogoń na oślep puścić się nie mogli. Dwie Halki płacząc na ziemi usnęły...

Ks. Żegota z Dobruchem poszedł otworzyć kaplicę i pokłękł przed ołtarzem na modlitwę. Chciał aby go ztąd jak męczennika wywleczono na śmierć, której się spodziewał.

Długie godziny nocy płynęły tak, płynęły zdając się przedłużać... Pianie kogutów tylko odzywające się niekiedy mierzyło tę nieskończoną przedzę ciemności i milczenia...

Zaczęło dnieć, gdy pierwsi ludzie znużeni, konie prowadząc w rękach powracać zaczęli.

Waligóry nie było.

Dzień białiał coraz jaśniej, parobcy ściągali się ciągle, powrócił Telesz — wszyscy ścigali nadaremnie.

Mszczuj nie powracał jeden...

W kaplicy zadzwoniono na mszę. Dźwięk dzwonka tego przebudził Halki. Były nawykłe być mu codzien posłuszne, wstały drżące i ująwszy się za ręce poszły do ołtarza...

Ks. Żegota odprawiał mszę ze spokojem powszednim. Dobruch mu służył. Po mszy oba klękli i odmawiali modlitwy. Halki też odejść nie chciały, bo im się zdało tu najlepiej i najbezpieczniej.

Słońce się z za grubych chmur przebiło, a starego Waligóry doczekać się nie mogli jeszcze... Z ludzi żaden nie spotkał go w pogoni. Telesz siadł na koń z małą gromadką, by szukać pana.

Było południe już, gdy stara prządka niespokojna poszła do kaplicy po dzieci. Płacząc wyciągnęła je ztamtąd gwałtem prawie, aby je nakarmić i otulić. Wiało jesiennym chłodem mroźnym.

Halki szły posłuszne, nie mówiąc słowa, nie płakały już nawet, bo łez im nie stało, oczy miały czerwone, lica blade, chwiały się jak kłosa w burzę... Mijały szopę, której wrota stały otworem, stara prządka spojrzała w nią i krzyknęła. Halki powtórzyły jej krzyk, oczy ich zwróciły się za starą...

W głębi szopy przez rozwarte wrota widać było na ciemnym tle jej, białego coś, wiszącego jak płachta u belki...

Była to stara Dzierła, która się powiesiła na pasku. Dziewczęta pozakrywawszy oczy, pobiegly skryć się do dworu, a stara krzyknęła na ludzi...

Natychmiast gromada ich napełniła szopę, uciął ktoś pasek, ale ciało już było zimne, głowa martwa wisiała na piersiach z wysadzonemi na wierzch oczyma... Na włosach wetknięte wczoraj kwiatki trzymały się jeszcze, na piersi dzwoniły sznury pereł... Dzierła nie żyła. Ludzie mruczając pospiesznie paskiem jej rozerwanym na kawałki dzielić się zaczęli... a trup w szopie pozostał...

Wieczór już był, gdy Telesz się pokazał we wrotach zamkowych, jechał zwolna na koniu, za nim na noszach z gałęzi czterech ludzi dźwigało ciało czy trupa Waligóry... Stary miał głowę krwawą i piersi poranione... nie od gałęzi i upadku, ale od ostrego miecza...

Żył jeszcze, dyszał — milczał...

Zaniesiono go na posłanie i baby przyszły obmywać i okładać rany. Halki przybiegły z płaczem do ojcowskiego łóża. Uczuł je przychodzące, bo oczy otworzył, nie rzekł nic, pierś tylko żywiej mu się poruszać zaczęła. Dał z sobą czynić co chciano.

Kto go ranił, Telesz nie wiedział, znalazł w lesie leżącego na ziemi, krwawego, bez przytomności. Koń powrócił cięty w szyję na grodzisko.

Podżupan pytał go próżno, Waligóra nie chciał albo nie mógł odpowiadać na nic...

Żelazna siła tego człowieka, miała zwalczyć znużenie, głód, rany, gniew szalony, wszystko co pojedynczo innego by zabiło. Nie wiele dbając o życie, dawał z sobą czynić jednak co chciano, posłuszny był jak dziecko, ale milczał jak niemowlę.

Oczy otwarte raz zwróciwszy na dzieci, dopóki sen go nie zmorzył, nie przestawał tak patrzeć na nie.

Lecz były to dwa te kwiatki świeże jakimi je porzucił na zamku, gdy Biskup uprowadził go ztąd z sobą? Cień chyba tych ślicznych Halek wesołych, smutny, blady, milczący...

Ks. Żegota w nieustannej trwodze oczekiwał kary — Telesz codziennie zjawiał się jak po rozkazy, stawał u łoża, narzucał się panu i odchodził nic nie zyskawszy oprócz obojętnego wejrzenia. Waligóra jęczał czasem, nie mówił nigdy. Gdy Halki go pytały o co, odpowiadał im skinieniem głowy. — Nie żądał nic, nie prosił o nic, dawał się karmić jak dziecię, rzekł się własnej woli — chciał umrzeć a nie mógł.

Rany goiły się cudownie, widać było powracające siły, których użyć się wzdragał. Baby potrzęsały głowami patrząc nań, a i Telesz sądził że czaszka mieczem przecięta, odjęła mu rozum i pamięć.

Wreszcie rany bliźnicę się zaczęły i nic już nie było do czynienia przy starym, a Mszczuj nie wstawał jeszcze...

Jednego dnia zrana Telesz przywłókł się wcześniej niż zwykle, stanął u łoża, Waligóra spał jeszcze. Wpatrzony w tego pana, którego nawykł był słuchać skinienia, obezwładnionego i niemego, stary podżupan, co przy nim wiek przeżył, płakać począł po cichu.

Wtem Mszczuj otworzył oczy, przetarł je, i po staremu sparszył się na rękach, usiadł... Podniósł głowę ku Teleszowi.

— Idź, — odezwał się głosem dawnym — księdza mi wywieź ztąd, precz... dać mu ziemię i dworek na Zawalach..., postawić kaplicę... Niech go nie widzę więcej — idź, żeby go tu nie było. Nie czyni mu nic — nic. Sługą Bożym był, ale nie moim... Pan Bóg obronił odemnie!

Skinął. — Telesz który z radością słuchał jakby odrodzonego pana swego, natychmiast wysunął się za drzwi.

Waligóra położył się na łożu znowu... Nadeszły Halki, popatrzał na nie... i wyciągnął ręce. Pierwszy raz przycisnął je do piersi... Im się z wielkiego szczęścia na łzy zebrało.

O przeszłość nie spytał je — o sobie nie mówił nic... Chciał zapomnieć. Życie od tego dnia zaczęło powracać do dawnego trybu.

Z Krakowa nie było wiadomości, aż do tych dni. Nazajutrz po wywiezieniu ks. Żegoty, który płacząc starą swą kaplicę, domek i Dobrucha przy niej zostającego, opuścił — zjawił się u wrót Kumkodesz z Krakowa. Telesz poszedł z obawą o nim oznajmić.

— Czego oni odemnie jeszcze chcą! — zamruczał Mszczuj, — wszakżem niespełna życie dał, a może więcej niż życie?

Wpuszczono Kumkodesza, który znowu miał twarz swą dawną wesołą, rozumną a spokojną.

— Ojciec nasz przysłał mnie do Miłości Waszej, — odezwał się, — z błogosławieństwem i za językiem... Długo o was nie mieliśmy wieści żadnej... dopiero parę dni temu zasłyszeliśmy że Pan Bóg szczęśliwie was do domu przywiódł.

— Szczęśliwie! — odparł Mszczuj, skinąwszy nań — tak, szczęśliwie. Chodźno tu! chodź. Włóż palec w tę bliźnę na czerepie; a co? schowa się?

Rozkrył piersi.

— Patrzajże, — dodał, — a i to niezgorsza pamiątka? Obie z rąk Niemców, którzy mi mój dom splugawili. A co? powróciłem szczęśliwie?

Ks. Żegotę, starego, poczciwego sługę, musiałem wygnąć precz, bom nań patrzeć nie mógł, Niemcem mi śmierdział. On mi tu ich do domu naprowadził.

— Jakich Niemców? — zapytał Kumkodesz...

Waligóra odwrócił głowę i zamilkł.

— Ojciec nasz, ma nadzieję że do nas przyjedziecie, że go znowu nawiedzicie, — dodał Kumkodesz.

— Niech tylko wojna będzie z Niemcami, przybędę — odparł Waligóra — muszę im za te dwie bliźny zapłacić...

— Nim do wojny przyjdzie, — odezwał się Kumkodesz, — tymczasem jest się komu w domu oganiać. Toż Jaksowie trzymają tak jak z Niemcami... a dla naszego ojca wrogami są. Jemuście przeciw nim potrzebni.

— Do czego? — zamruczał Waligóra. — Głowy nie mam, ręce już nie te co były. — Jam się tam nie przydał i wątpię aby kto inny się na co zdał. Znać wolą Bożą było pokarać nas tą niemczyzną, co jak robactwo obsiadła i żre nas... Nie tępiliście gdy było tego mało, dziś gdy się namnożyło — zapóźno...

Kumkodesz próbował się uśmiechać.

— E! ojcie kochany, — rzekł, — z pomocą Bożą! przy łasce pańskiej, rady im damy... a jak ręce założym i pozwolim się jeść, jużci nas zagryzą.

Tymczasem Jaksowie!

Mszczuj namarszczył się.

— Jaksowie się zbierają, radzą, spiskują, — mówił Kumkodesz. — Marek Wojewoda i Światopełk przewodzą im, na dworze u księcia trzeba kogoś coby stał i oko miał...

A nikt lepszy nad was...

Waligóra wstał z łoża...

— Bracie mój, — zawołał — powiedz Biskupowi niech mi życia resztę zostawi! Dałem go dużo nadaremnie, mało co zostało... niech dożyję na grzędzie... Zlitujcie się nademną!!

Złożył ręce błagająco.

— Jam poseł mizerny — odparł Kumkodesz. — Ojcu naszemu ani śmiem ni mogę powiedzieć nic — przeciw jego woli dla mnie świętej. Lepiejby wam pojechać samemu i powiedzieć co chcecie...

Jedźcie ze mną.

Waligóra spojrział w bok i nie powiedział nic...

Zawołał sługi i kazał gościa przyjmować...

Kumkodesz na wyraźny rozkaz gospodarza siadł za stół, i skromnie pożywał dar Boży, — a Mszczuj po izbie chodził.

Drugiego dnia kleryk w kaplicy pieśni śpiewał z Dobruchem, bo mszy nie było odprawiać komu. Nie mówił nic ale nie odjeżdżał. Wieczór spytał tylko.

— Kiedy W. Miłość raczysz do Krakowa? bo ja — sam nie pojedę, a tam mi pilno...

Mszczuj ramionami dał odpowiedź.

Trzeciego i czwartego wieczora, kleryk powtórzył toż samo pytanie. Siedzenie jego w Białej Górze, zaczynało staremu dokuczać.

— Trzebaby powracać — odezwał się piątego dnia Kumkodesz, — bo ksiądz Biskup czasem mnie do małych posług używa, to mu tam będzie tęskno za swą starą miotłą.

— Wracaj z Bogiem — odparł Waligóra.

— Sam? oczówby nie śmiał pokazać...

Naostatek jednego dnia Waligóra się zżymnął..., i gdy Kumkodesz go spytał, odparł.

— Pojadę jutro! ale wrócę natychmiast, bom tam piąte koło do wozu...

Kumkodesz chciał go w rękę pocałować...

— Miłościwy panie — zawołał, — piąte koło zapaśne, więcej znaczy jak wszystkie cztery... kiedy się stare ułamię!

I Waligóra wyjechał do Krakowa...

III

Była to wigilia Godów (Bożego Narodzenia) — a w kościółku św. Trójcy niedawno zakonnikom kaznodziejskiej reguły oddanym, sposobiono się do niezwykłego u nas jej obchodzenia.

Dominikanie od uczniów Franciszka z Assyżu z którymi się bratali tak jak ich mistrze nigdy połączyli się w miłości dla Chrystusa, wzięli ten zwyczaj uroczystego wystawiania żłobka, szopki i cudownych narodzin Zbawiciela. Już od lat kilku co rok się to powtarzało w Krakowie przy takim ludu natłoku że go szczupła jeszcze naówczas świątynka pomieścić nie mogła.

Wieczór był mroźny, na czarnem niebie świeciły gwiazdy wyiskrzone, w kościele widać było pozapalane światła gęsto gorejące... Przy bocznym ołtarzu tłoczyli się ciekawi

i pobożni. Ostawiony dokoła zielonemi gałęzmi świerków, cały on gorzał mnóstwem lampek ustawionych tak że w koło niego aureolę tworzyły. Migotały one barwami różnemi uplecionym wieńcem ognistym.

W pośrodku jakby żywe, tylko mniejsze niż żywi ludzie, widać było święte postacie, w niebieskim płaszczu klęczącą matkę najświętszą, w ciemnym, łysego Józefa spartego na kiju pielgrzymim...

W żłobku promienistym, uwinięte w białe powijaczki leżało dziecię ukoronowane... U góry nad nim klęczące w obłokach anioły wmodlone i wpatrzzone w dziecię, niżej pastuszków ubogich, wołka i osiołka na klęczkach...

Zdała świeciła na niebie gwiazda, która miała królów ze Wschodu przywieść do żłobku świętego.

Wszystko to było jak żywe, a niewidzialna jakaś siła, żłobkiem zwolna jak kolebką poruszała, co w wielkie zdumienie wprawiało przytomnych.

Księża klęczący na stopniach nucili głosem łagodnym pieśń tak wesołą iż się jej serca radowały. — Czuć było w niej nowinę zbawienia przez dziecię ubogą, w żłobku na sianie złożoną, której hołd pierwszy składało co na świecie najbiedniejszym było. Spracowany wół, pogardzony osiołek, głodni i zziębli pastuszkowie.

Ten co się tak rodził na rozdrożu w Betlejemie, miał też wyzwolić ludzi, a naprzód biednych i tych co najniżej stali..., niewolnych pastuszków, istoty co z wołem i osłem w pocie czoła pracowali na pogardę. Do nich się miało odezwać pierwsze jego słowo...

I twarze patrzącego na żłobek ludu śmiały się nowinie odkupienia, choć jeszcze nie rozumiały zbawczego jej słowa. Dla ludu ze wsi był to widok nowy, ten żłobek mówiący im jaśniej i dotykalsiej niż z kazalnicy rzucone słowo, które ledwie wybrani pojęli.

Cisnęli się i kłaniali wszyscy, a słuchali pilno pieśni, którą radzi byli zrozumieć. — Czuli tylko wesołość jej, odmienną od zwykłego tonu żalobnego i pokutnych śpiewów kościelnych.

Kościół też tego wieczora przedstawiał widok różny od nabożeństw codziennych, nawet twarze mnichów się śmiały, a patrząc na nich i słuchając uśmiechali się pobożni... Ten i ów poczuwał się swobodnym i dokoła żłobka rozmawiano jak w ulicy...

Niektórzy mieszczanie podśpiewywali — nie być to grzechem w dniu wesołej nowiny.

Między innemi rozczulony, ze złożonemi rękami, nędznie odziany, żarliwie się modlił Hebda, niby jeden z tych pastuchów biednych, w podartej kożuszynie, z lichy poobwiązywaniem nogami, z obnażoną piersią wyschłą.

Modlił się a płakał, lecz z twarzy mimo łez jakąś radość widać było, a dwaj księża co klęcząc obok niego pieśń zawodzili, patrząc nań cieszyli się wielkiej pobożności nędznego człowieka.

Hebda skończywszy modlitwę zapatrzył się oniemiały we żłobek — jakby istotnie widział te narodziny dobrowolnie ubogiego, który ubogich miał z bogacić.

Wtem potrafił go ktoś, był to znajomy nam Kumkodesz, który także przyszedł się pomodlić i podziwować z prostotą dziecięcą. I jemu śmiały się lica. — Miał on chwile takie w życiu, gdy rozum swój i naukę gdzieś rzucał jak węzółki niepotrzebne, a stawał się prościuchnym człowiekiem, który tylko czuje i używa co Bóg zesłał.

Zobaczywszy Kumkodesza, i poznawszy go Hebda chciał mu ustąpić, kleryk nie pozwolił na to, kłąkł przy nim za pan brat, czując że tego dnia i w tem miejscu wszyscy byli równi.

A byliby oba w tej kontemplacji świętego żłobka pozostali, gdyby w kościele nie stał się szmer i lud nie zaczął się rozstępować, bo go urzędnicy z laskami w rękę, w kożuchach z kun i soboli, z łańcuchami na szyi, na stronę rozsuwali.

W głębi ukazał się znany ludowi książe Białowłosa ze swą twarzą piękną, zamyśloną i łagodną. Szła z nim żona, za nim dwór, kapelani, komornicy, służba, wszyscy od święta strojni i bogato poodziewani. A jak na dworze mięszały się narodowości, tak tu w sukniach widać było i przyborach największą różnorodność.

Cudzoziemcy i swoi sztydziłi zawsze z tego że u nas strój był z całego świata pożyczany i przybierany, a nie mogło inaczej być i odzież ta tak różna wielkie miała znaczenie.

Tak samo jak ona, ze Wschodu i Zachodu płynęły do nas myśli, obyczaj, życie, a u nas się zlewały w całość która je łączyła i jednoczyła. Żadnemu z tych wpływów nie ulegaliśmy

wyłącznie, a karmiliśmy się wszystkimi, jak pszczoły które z kwiatów miód zbierają. I gdyby nie napaści i nie wojny a zniszczenia, które połowę narodu na siodłach z mieczem w dłoni wciąż trzymały — miód ten nasz byłby obfitszy i słodszy...

W orszaku Leszkowym niemieckiej zbroi i sukni dużo było, między kapelanami niejedna twarz zdradzała południowe pochodzenie; — dużo też swoich dla oka się po niemiecku zbroiło i przystrajało. Obok tych szło sporo Rusinów, ze wschodnio greckimi sukniami i pasami, wysokie kołpaki niosąc w rękę. Niektórzy ze staroświecka po prostu ale bogato byli przybrani, inni na pół ruskie, pół niemieckie mieli na sobie płaszcze i kaftany.

Książę ze swą panią szli do oświetlonego ołtarza i tam gdzie przed chwilą kłęczyli Hebda i Kumkodesz, pokłękli, a książę i klerycy wesołemi głosy, na dany znak zanucili.

*Lux est orta gentibus
In umbra sedentibus
Et mortis caligine!
Gaudet miser populus
Quia mundo parvulus
Nascitur ex virgine.
Ut ascendat homo-reus
Condescendit Homo-Deus etc...³.*

Żwawiej poruszyła się żłobek-kołyska..., żywiej błysnęły światła, siny obłoczek kadzidel rozszedł się w powietrzu, a pieśń której wszyscy wtórowali, w ulicę wybiegła rozgrzać serca tym co stali u drzwi kościółka, czekając kolei, aby się też nowonarodzonemu mogli pokłonić.

Leszek modlił się zapatrzony na żłobek i dziecinę, lecz mimo dnia wesela tego i mimo pieśni radośnych, na twarzy jego widzieli wszyscy z poza obłoku kadzidel, chmurkę smutku jakiegoś.

Książę Krakowski, starszy między Piastami, panujący spokojnie, żyjący szczęśliwie, którego Bóg córeczką i synkiem pobłogosławił — którego kochali wszyscy, który sprawiedliwości wzorem ojca był pilnym szafarzem, — w tym dniu nie czuł się szczęśliwym.

Jakieś przeczucie kołatało do serca jego i mówiło mu. — Nie dożyjesz drugiego dnia takiego, pieśni tej nie posłyszysz już więcej.

Książę odpędzał myśl natrętną, cisnęła mu się naprzykrzona, i ciężyla na skroni jak wieniec męczeński.

Księżna też patrzała jakby strwożona i smutna — na ołtarz i na sposepniałą twarz mężowską.

A mnisi wesołą pieśń coraz głośniejsz nucili.

Hebda i Kumkodesz, dla których w małym kościółku nie było miejsca, wyszli w ulicę.

Znali się oni z sobą dobrze.

Hebda był wszak w opiece biskupa Iwona, a Kumkodesz sługą jego. Często bardzo kleryk odziewał ubogiego, karmił go i strofował, Hebda nawykł szanować go, a był z nim poufalej niż z innemi.

Gdy się znaleźli w ulicy, żebrak pochwycił połę szaty kleryka i pocałował ją z pokorą.

— Patrzajże! znowu mi ty marznąć będziesz! — zawołał Kumkodesz — opończy już nie masz, chodaki nowe pewnie chyba przepił! Niepoprawny ty jakiś!

— Ojczulku — odezwał się Hebda — opończę mi ta baba zdarła co to wiecie, w głowie jej się pomięszalo. Drżała z mrozu... Mnie ciepło... Chodaki dałem Łabie, bo miał nogi bose... Hebdzie gorąco.

To mówiąc sparł się na kiju i poskoczył, nogami uderzając jedną o drugą. Wśród tej wesołości jakby mu co na myśl przyszło — przystąpił do Kumkodesza szepcząc mu.

— Panaście widzieli? Błady jest i chmurny... czuje on to, co ja...

— A tyż co czujesz? — spytał Kumkodesz.

³*Lux est orta gentibus (...) Condescendit Homo-Deus — Sequent. In nativitate Dei* [red. WL: sekwencja o Bożym Narodzeniu autorstwa Adama ze Św. Wiktora (zm. 1192)]. [przypis autorski]

— Ile razy spojrzę nań, czy jedzie miastem, drogą, czy się modli w kościele... widzę zabójców koło niego, miecz nad głową i pana nagiego w ranach...

Kumkodesz potrącił go gniewnie.

— Jak ta baba co ci opończę wzięła szalony jesteś! — krzyknął.

Hebda głową rzucił.

— Com winien kiedy jedno widzę wciąż czy słońce świeci, czy noc... byłem pana zobaczył — wnet mi się przewraca w nagiego i porąbanego — odparł Hebda.

Żegnam się i odpędzam marę — to cóż? myślicie że ustępuje?

Nie — krzyż ją przetnie na dwoje, na czworo, a kawałki stoją przed oczyma!

— Dzięki Bogu, panu naszemu nic nie grozi! — począł Kumkodesz — myśl ty ino o sobie.

I chciał iść, aby się od żebraka odczepić, ale Hebda kroczył za nim.

— Prosiłem ja świętego ojca naszego — mówił ścigając go ciągle Hebda — aby mnie przeżegnał, i mary odegnał. Nic nie pomaga! Com winien, że mi takie oczy dano za karę, które widzą czego niema na świecie i daj Boże by nie było. Chodzi żywy człek, to ja go widzę trupem, śmieje się baba, mnie się zda jakby płakała, wraca wesele, u mnie w oczach pogrzeb... niosą do chrztu dziecko, wydaje mi się że zbójca jedzie...

Kumkodesz się rozśmiał.

— Toć ci ojciec nasz zawsze mówi, módl się — rzekł — zbywając się natręta.

— Jak mogę to się modle! — westchnął Hebda — i wysuwając z podartego rękawa dyscyplinę pokazał ją klerykowi. I modłę się i biję się do krwi. Myślicie że boli? Gdzie tam... jakby mnie kto głaskał. Taką mam psią naturę i już z nią zdechnę.

— Nie zdychaj a staraj się umrzeć po chrześcijańsku — odparł Kumkodesz.

— Umrzeć to nic, ojczaszku — umrzeć ja potrafię, ale żyć to sztuka! Szatani chodzą koło mnie! Co ja ich widzę! w ulicy, w kątach, po domach, na drzewach. Jeden na kominie siedzi jak na koniu, drugi na ożogu jedzie, inny wojewodę pod rękę prowadzi...

Zamilkł nagle, bo Kumkodesz na wspomnienie szatana, żegnać się zaczął.

Wlókł się jednak za nim aż do wrót biskupiego dworca.

— Ojczaszku — rzekł — gdy się ku nim zbliżyli — prośbeczkę mam do ciebie!

Kleryk się odwrócił.

— Jałmużna rozdana, kłapcia już u nas nie ma! — odparł...

— Nie chcę ja nic — zawołał Hebda — całując róg jego sukni, tylko żebyście świętemu biskupowi powiedzieli, że szalony Hebda pana naszego wciąż widzi nagim, a miecz nad głową jego!!...

Kumkodesz machnął ręką i wszedł na podwórze drzwi zatraskując za sobą. Hebda postął chwilę, uderzył się silnie kilka razy w piersi kulakiem, i zamyślony pozostał na mrozie w ulicy.

W chwilę potem orszak książęcy ciągnął nazad na zamek na ucztę wieczorną, którą po całodniowym poście zastawiano.

Hebda stojący zdala zobaczył go, krzyknął i dłońmi obiema zakrył sobie oczy, jakby widoku tego znieść nie mógł.

A Leszek jechał spokojny, za czeladzią niosącą pochodnie, i dwór jego wesoło gwarzył, rozradowany pieśniami kościelnymi. Otworły się wnet i wrota dworca, z których wyjechał biskup Iwo na zamek, bo tam nań z wieczszą czekali.

W mieście, które dnia tego świeciło wszystkimi oknami jakby się w nim ludzie, północy czekając spać nie kładli, rozległ się tentent, jezdnych kilku pędem wielkim do zamku spieszyło.

Jeden z nich głowę miał przewiazaną chustą białą i rękę obwinętą płachtami, na towarzyszach jego widać było rany i zbroje potłuczone.

Hebda spojrział gdy przeciągali i znowu zakrył oczy...

We wrotach zamkowych zniknęli.

Leszek już był we dworcu swym, a biskup stawał w przedsieni, gdy gromadka jezdnych tuż nadbiegła. Spojrział Iwo na nich, i jęk wyrwał mu się z piersi. Nie trzeba było pytać nawet o nowinę jaką nieśli.

— Beno! tyżeś to! — odezwał się biskup strwożony, zwracając się do niemłodego człowieka z głową i ręką obwiązaną.

Ludzie pomagali mu zsiadać z konia — jęknął za całą odpowiedź. Potem przywłókł się do biskupa i po rękach zaczął całować.

— Beno! zbójcy cię napadli w drodze? co z tobą? — odezwał się biskup.

— A! westchnął przybyły, spierając się na ramieniu sługi, zbójcy ale nie na drodze napadli nie mnie, tylko zamek, którego byłem stróżem postanowiony. Biada mnie! biada nam! Światopełk opanował Nakło.

Biskup słysząc to, cofnął się na krok i twarz jego oblokła się boleściwym wyrazem.

— Światopełk więc wypowiedział nam wojnę! — zawołał.

— Ani ją wypowiadał, ani się jej kto mógł spodziewać — rzekł jękliwie kasztelan. — W pokoju z nim byliśmy, któż się napadu mógł spodzierać? Garść nas w Nakle siedziała. Nagle, nocą, oskoczył nas z siłą wielką, nimeśmy się na obronę zebrali, wyrąbano bramy... W podwórzach przyszło nam ucierać się z niemi, broniliśmy się do ostatka, jeden przeciwko dziesięciu — i ot, ilu nas uszło z życiem.

Kasztelan westchnął.

— Synowie moi! — zawołał i nie dokończył.

Rozmowa głośna w przedsieni, którą na dworcu słychać było, wywoływać zaczęła ciekawych. Wyszedł za niemi z wesołą twarzą Leszek, właśnie gdy kasztelan opowiadał o wzięciu Nakła — posłyszał i załamał ręce. Stał za biskupem, nie widziany przez niego. Z ust mu się nie wyrwał nawet jęk, tylko głowę spuścił na piersi i ujął zwolna rękę Iwona, który się ku niemu obrócił. Odgadł przy sobie Leszka.

— Panie — odezwał się poważnie — ludzi nam żal, krwi chrześcijańskiej rozlanej, lecz — Bóg wie co czyni! Imię jego niech będzie błogosławione! Dobrze się stało co on zrządził. Lepiej jest mieć jawnego nieprzyjaciela, niż druhów fałszywych. Odkrył się i obnażył Światopełk czem jest!

To mówiąc biskup za księciem począł iść do dworca, rękę wyciągnąwszy ku kasztelanowi kroczącemu za nim...

W wielkiej izbie oświeconej pochodniami, które pacholęta trzymały, stół właśnie był zastawiony do wieczerzy, białym obrusem okryty. Stała już księżna z niewiastami swojemi, czekając na pasterza i pana, w głębi urzędnicy i dwór...

Na widok Benona z głową krwawą chustą obwiązaną, okrzyk zdziwienia i przestachu przebiegł cały ten orszak, który się weselić gotował.

Leszek błydy szedł ku miejscu swemu, ze zwieszoną głową i zajął je, biskupowi wskazując siedzenie przy sobie. Iwo Benona zmusił też zabrać ławę, od której mu się krakowski kasztelan odsunął... Cisza panowała długa... Iwo skinął i kapelan książęcy rozpoczął odmawiać błogosławieństwo.

Słuchali go wszyscy stojąc...

— Ojciec mój — przerwał milczenie Leszek — chciał nas P. Bóg dotknąć właśnie w ten dzień gdyśmy się radości spodziewali.

Ten co przyniósł pokój ziemi, mnie dziś przygniółł zapowiedzią wojny...

— Mylisz się synu mój! — mylisz się — począł biskup spokojnie. — Chrystus nie przyniósł nam pokoju, bo go nie ma na ziemi. Czytamy u Mateusza ewangelisty słowa jego. Nie sądzicie abym przyniósł pokój na ziemię, nie przyszedłem niosąc pokoju ale miecz; przyszedłem rozdzielić z sobą syna i ojca, córkę od matki⁴. Życie całe walką być musi...

Leszek słuchając — westchnął...

— Tak, — dodał — jest to jawne wypowiedzenie posłuszeństwa... Nie pozostaje nam nic, tylko całemi siłami uderzyć na krnąbrnego sługę.

— Głosił to dawno Światopełk — odezwał się biskup — że mu się Nakło do Pomorza jego należało, że zostało oderwane od niego.

— Krzywousty je po trzykroć zdobywał i okupił krwią swoją — odparł Leszek — należało odtąd do nas i stało na straży granicy — a jak Krzywousty ja muszę je raz jeszcze odzyskać.

⁴Nie sądzicie abym przyniósł pokój na ziemię (...) przyszedłem rozdzielić z sobą syna i ojca, córkę od matki — Mt 10, 34–35. [przypis autorski]

— Trudno się już mamieć tem — jęknął Beno — żeby Światopełk je zdał dobrowolnie, lub żeby on kiedy do podległości się poczuł i daninę dał, dopóki mu się na kark nogą nie stąpi. Śmiały jest, zuchwały i silny...

— Sprostamy mu! — zawołał Leszek — w którym na chwilę krew dawnych Bolesławów się ozwała. Pójdziemy nań z bratem, pomogą mi Ślężcy, obejdziemy się wreszcie i sami.

— Nie łączno — rzekł Beno — na jednego Światopełka stałoby nas, choćby i z Odoniczem razem — lecz kto go zna, wie, że gdy poczuje niebezpieczeństwo, krzyknie na pogan pruskich, na wszelaką dzicz niechrzczoną z którą sąsiaduje i zna się.

— Pogan by na kraj chrześcijański śmiał prowadzić — odezwał się biskup — o zgrozo! kościół go wyklnie i potępi!

— Nie wiem czy on za przykładem innych książąt na anathema zważać będzie — zamruczał Beno. Niechby go kara Boża dościgała, bo póki żyw, my od niego spokoju mieć nie będziemy.

W takich smutnych rozmowach upłynęła wieczerza, którą gorzko było pożywać wszystkim, i niemal noc cała upłynęła na radach co poczynać...

Leszek skory do wojny z początku, już wprędce odezwał się, iż należało wszystkich używać środków, aby Światopełka pokonać grozą samą.

Gdy w zamku na Wawelu smutna ta wieść strwożyła i niepokoiła wszystkich, we dworze Marka wojewody, do którego wiadomość o wzięciu Nakła doszła kilką godzinami wprzód, panowała źle ukrywana radość.

Wojewoda, Jaszko i kilku zaufanych, napawali się powieścią przyniesioną przez tajemnego posłańca. Marek nazajutrz miał być na zamku.

Nie dając znać po sobie, iż już był zawiadomiony, po nabożeństwie kościelnym, stary Jaksza udał się za Leszkiem do dworca. Na drodze urzędnicy oznajmili mu o przybyciu Benona.

Przyszędł więc przed księcia z ubolewaniem krzykliwym, głośnem, tem gwałtowniejszem, że było udanem. Zrywał się jakoby zaraz na Światopełka chcąc iść, wyrzekając się w nim krwi swojej.

— Siłę mamy, miłościwy panie — wołał, stojąc przed Leszkiem — skiniecie tylko a pójdziemy wnet z księciem Konradem razem i zgniemy go.

Słuszna jest byście mu odebrali rządy Pomorza waszego...

Leszek już był z wojennego zapału ostygł, i inne miał myśli.

— Przysłało nam, — rzekł łagodnie — mając siłę, mieć pomiarkowanie. Damy czas Światopełkowi do ukorzenia się, do namysłu...

Wojewoda swą wierność i gorliwość w sprawie pana chcąc okazać, tem mocniej za wojną natychmiastową obstawał. Według niego zimową porą odzyskanie Nakła było łatwiejszem, nie potrzeba było dać się w niem nieprzyjacielowi umocnić i zabezpieczyć.

Inni mu też z rycerstwa potakiwali, a biskup Iwo słuchał i milczał.

Nie upłynął ten dzień bez nowych posłańców i wiadomości. Z Płocka od księcia Konrada przybył jeden z jego przybocznych z oznajmieniem o wzięciu Nakła i radą braterską. Konrad poufnie Leszkowi tę myśl właśnie dawał, którą on sam już miał wprzód. Donosząc o stracie, kazał razem dać do zrozumienia, iż do powetowania jej ciężko by mu teraz było czynnie się przyłożyć. Życzył więc ks. Konrad zwołać wielki zjazd wszystkich książąt, aby na nim razem ze Światopełkiem spór i wojna Odonicza z Laskonogim ugodą przez wszystkich ułożoną i poręczoną, zakończone zostały...

Leszek nie czego innego pragnął. Biskup Iwo który przytomnym był, przyzwał także.

— Zwołajmy zjazd — rzekł — lecz nie dosyć na nim władców świeckich, zjedziemy wszyscy my z ojcem naszym gnieźnieńskim na czele, zwołamy przedniejsze rycerstwo ziem wszystkich — uczynimy pokój zaprzysiężony na długo...

Wojewoda Marek który się jeszcze na zamku znajdował, niby przeciwnym się okazał zjazdowi, a w istocie tak mówiąc iż go popierał.

Nie było to rzeczą łatwą, jednak i prędkiego wykonania, zwołać książąt, sprosić biskupów, ściągnąć rycerstwo i starszyznę ziemian. Długiego czasu wymagało doprowadzenie myśli do skutku, obesłanie dworów i dworców, postanowienie dnia, wybór miejsca.

Wszystko to musiano odłożyć do późniejszego porozumienia się. Trzeba było dla uzyskania zgody rozsyłać na wszystkie strony, do Gniezna, Wrocławia, Poznania, Płocka, do Światopelka nawet aby i tego zmusić przez duchownych, do stawienia się na zjazd ów wielki.

Z pewnych względów dogadzało to Leszkowi, dając mu najmniej kilka miesięcy czasu do rozważenia a w istocie do spoczynku. Nie potrzebował wydawać wojny, mógł się bawić nadzieją uspokojenia.

Nie żeby mu na męztwie zbywało, gdyż rycerzem był jako drudzy nieuleknionym, ale bez tej miłości wojny jaką miał Krzywousty. Jak ojciec przekładał on życie ciche, domowe i owe ulubione wiece sądowe, które rad często zwoływał, pilnując wymiaru sprawiedliwości. Nigdy on szczęśliwszym nie był jak gdy pod Śreniawą „*u murowanego mostu*”⁵ lub w Rozgrochu przy rycerstwie swem, w polu, u dębu, pod lipą, zawile sprawy sądził, i pokrzywdzonych brał stronę.

Myśl więc zjazdu podobnego temu, jaki niegdyś ojciec jego zwołał do Łęczycy, uśmiechała mu się... Powaga książąt, głos biskupów musiał złamać upór zuchwały wybijającego się na niepodległość wielkorządcy co się już księciem mianował. Zarazem wojna stryja z bratankiem, nowym podziałem mogła być skończoną...

Na wszystkie strony wyprawiono posłów i listy, a biskup Iwo nie mniej od samego księcia był czynny, on miał wezwać braci swych i skłonić gnieźnieńskiego pasterza.

Znowu więc Mszczuj, którego mimowoli jego, starał się zatrzymać przy sobie, był mu potrzebnym. Jemu jednemu zawierzyć mógł, iż wiernie zanieśie co mu zdanem zostanie... Stary, który siedział tu niepokojąc się o dzieci, wyrrywając ciągle, nakoniec otrzymał przyzwolenie Iwona, który ściskając go, rzekł mu:

— Jedź do dzieci, pociesz się niemi, pobłogosław je, powierz dobrej pieczy, lecz powracaj do mnie, abys mi był pomocą. Miejsce twoje u boku Leszka, z dniem każdym więcej lękam się Jaksów i wojewody...

IV

Mszczuj ruszył do dnia z Krakowa, z tego Krakowa, którego teraz znieść nie mógł, bo był w nim więzieniem mimo woli. Serce ciągnęło go do cichej Białej Góry, a tu codzienne widoki krew w nim burzyły.

W mieście zaledwie wyszedłszy za bramę spotykał jaki tabor kupiecki Niemców ciągnących z kupią od Kolonii, Akwizgranu, Lubeki..., odwracał oczy i z drugiej strony dochodziły go głosy już osiedlonych tu Szwabów Franków i Sasów, którzy jak w domu gospodarzyli pod boki księcia.

Nietylko cierpiano ich tu, ale im wygadzano i ustępowano, a polski obyczaj i prawo wcale ich nie obchodziło.

Na dworze połowa pewnie była Niemców, którzy w sprawach rycerskich przewodzili, nauczali i to co sami z Francji wzięli przedawali za swoje.

Pomiędzy duchownymi nie mniej ich było. Biskup Iwo potrzebował ich jako nauczycieli, jako przewodników, za co mu lekceważeniem i obojętnością na potrzeby domowe się wywdzięczali. Z miejscowemi obchodzili się niemal z pogardą, bo tu im wszystko barbarzyńskiem się zdawało. Duchowieństwo swojskie musiało ustępować przed niemi. Wprawdzie Biskup Iwo pilno czuwał aby własnych sobie wyuczyć księży, którzyby zrozumiałym apostołować mogli językiem — lecz ludzie powoli rosłą...

Mszczuj więc tu, niemal tak jak we Wrocławiu musiał się zżymać i burzyć w sobie, nie mogąc nawet ze swą niechęcią objawić.

Biskup karciał ją jako grzeszną i niechrześcijańską — dla niego wszyscy w Chrystusie byli braćmi, i jeden Kościół wielką spójnią narodów wszelkich na ziemi.

Życie staremu zdawało się nieznośnem, gorzkim, a tęsknota za domem coraz mocniej dojmowała...

Czasem gdy dotknął ręką głowy rozciętej, piersi na której została blizna, gdy przypomniał ową noc straszną powrotu do Białej Góry, serce żęgła mu chęć zemsty niezmierna.

⁵*u murowanego mostu* — *ad lapideum pontem*, 1222. Most murowany w r. 1222, ma swe znaczenie. [przypis autorski]

Gdyby był mógł, gdyby wiedział gdzie miał szukać tych dwu zbiegów, na których napadłszy w lesie, owe dwie rany, co go obaliły, otrzymał!!

Ci Niemcy śmieli wkraść mu się do izby dziewcząt jego, i wzrokiem swym, tchnieniem swoim — skazić te dwa czyste jego gołąbki...

Żał mu było i starego ks. Żegoty z którym rozstać się musiał, nadewszystko dawnego życia na Białej Górze w tem zapomnieniu o całym świecie i — o Niemcach!

Mszczuj nie spoczywał prawie w drodze, im bliżej był granic swych, tem zdało mu się że koń zwalniał biegu...

Stanął już późnym wieczorem u wrót i ostrokołu, przy strażniczej chacie... Głosem dobrze znanym staremu wrotnemu zakrzyczał nań, raz, drugi napróżno. W oknie chałupy się nie świeciło, pacholek poszedłszy do niej stukać, nie dobił się nikogo — była pustą...

— Chyba zmarł! — krzyknął Waligóra...

Wrota otworem stały.

Tem niecierpliwiej do zamku popędził...

Gdy w róg uderzył przybiegłszy do bramy..., postrzegł dopiero że i ta była niezamkniętą. Ludzi kilku co stali przy niej, zobaczywszy go pierzchnęli.

Działo się to czego zrozumieć nie mógł. Biała Góra jego stała jakby opustoszona, ludzie jak bez zwierzchnika i głowy...

Wjechawszy w dziedzińce nie postrzegł ognia nigdzie, postacie jakieś strwożone ukazywały mu się zdala i pierzchały kryjąc się po kątach...

Na odgłos jego rogu Telesz nie nadbiegł...

U drzwi dworca skoczywszy z konia znalazł wielką izbę pustą, otworem, ognisko zagasłe... — jak gdyby ludzie wymarli.

Dzieci! gdzie były jego dzieci! Waligóra po ciemku rzucił się drzwi do komór wylamując i wołając głosem wielkim...

Nikt nie przychodził, nie pokazywał się nikt, nie słyszał...

Włosy przerażonemu powstały na głowie, a że mu głosu zabrakło, pochwycił róg i dąć zaczął ze sił wszystkich.

Trąbienie jak grom rozległo się po izbach, po podwórzu... Nikt nie przychodził.

Ludzie którzy ze Mszczujem przybyli rozbiegli się, wylękli jak on szukać kogoś z domowych. Na widok ich zdala uchodzili wszyscy... nikogo pochwycić nie mogli.

Jeden z czeladzi postrzegł słabe światelko przez otwarte drzwi kaplicy. U ołtarza na kolanach zgięty modlił się Dobruch. Porwali go i pociągnęli bezwładnego przed pana, który stał róg trzymając w ręku, oparty o drzwi, oszalały.

Pachole mu przyświecało pochwyconą gdzieś drzazgą... Gdy starego Dobrucha, który krzyżyk trzymał w ręku, przywleczono przed pana, postradał mowę ze strachu.

Mszczuj napróżno wołał ręce łamiąc. — Gdzie dzieci moje? — Dobruch płakał i nie odpowiadał.

Dzieci nie było!! Stara prządka znikła także — Telesz się nie pokazywał — czeladzi reszta z trwogi kryła się po szopach, wyżkach i dołach...

Co się tu stało Mszczuj nie mógł nawet myślał zgadywać, wiedział tylko że jego dzieci, jedynych tych co go na ziemi trzymały — nie było.

Widząc pana pół trupem już z trwogi i gniewu, ludzie co z nim jechali, rozbiegli się wszyscy szukać kogoś coby o nieszczęściu opowiedział... Był może jaki ratunek...

Dobruch tymczasem ochłonawszy, jęczeć zaczął i przysunął się do starego...

— Telesz popędził za niemi — rzekł, — dwa dni temu — i nie wrócił...

— Za kim? — Mszczuj nie mógł spytać, język mu przysechł do ust spalonych.

Wleczono starego parobka, który wyrывał się krzycząc, sądząc że go wiodą na stracenie.

Padł błagając o życie u nóg Waligóry, zaklinając się że był niewinnym... Rwało mu się opowiadanie bezładne.

— Panie, ojczcie, my wszyscy niewinni. Kto ich wie, jak, któredy Niemcy się nocą wkradli na gród... Wrota stały zamknięte, straż u nich... Porwali dziewczęta i unieśli je z sobą, unieśli... Przyszli i wyszli tak cicho że dopiero nazajutrz postrzegły baby że naszego skarbu zabrakło.

Telesz ze wszystkimi ludźmi i końmi od dwóch dni w pogoni...

Mszczuj słuchał, nie dając znaku po sobie — czy rozumiał opowiadanie jękiem przerywane — gdy parobek dokończył, zachwiał się i padł jak długi na ziemię.

Piorunby nie raził silniej... Czeladź pobiegła po wodę, ludzie wzięli na ramiona i zanieśli do izby. Zapalono ogień, poczęły się zwlekać baby.

Stary oblany wodą, otworzył oczy wkrótce, ale usta ścięte rozewrzeć się nie mogły. Leżał tak w osłupieniu niemem, żywy a umarły, — bezwładny...

Przestraszona czeladź, nie wiedząc co począć po krótkiej naradzie, na lepszych koniach puściła się do Krakowa dać znać Biskupowi.

Dobruch, stare baby, kilkoro pacholąt siadło tymczasem na straży przy chorym..., który zdało się że z bolesti wielkiej zmysły postradał...

I ten cios jeszcze nie zdołał go dobić — żył, musiał żyć.

Noc tak przeszła. — Rankiem z pogoni próżnej zaczęli powracać ludzie pieszo, lub z końmi porozbijanymi. Telesza tylko nie było.

Śladem Niemców, którzy w kilkanaście koni uchodzili z uwięzionymi dziewczętami, gonili, jak opowiadali ludzie, aż do lużyckich granic. Tam im przepadł ślad, w obcą ziemię nie śmieli iść, boby języka nie dostali, a w niewolę popaść mogli.

O Teleszu wiedzieli że przodem gnał, ale gdzie się podział, nie słyszał nikt, wpadł jak w wodę. — Mógł też istotnie z rozpaczy gdzieś skoczyć do rzeki, nie śmiejąc powracać do pana.

Niewiasty opowiadały że pojąć nie mogły jak dziewczęta porwać się dały, nie krzyknąwszy o pomoc, nie broniąc się — jakby z niemi poszły dobrowolnie. Tajemnicą to było dla wszystkich... — czarem jakimś i zadaniem...

Waligóra został na posłaniu, pojony wodą i polewką jakąś, którą mu gwałtem do ust wlewano.

Trzeciego dnia sam Biskup Iwo był na zamku. Do izby brata wszedł powoli modląc się pół głosem, stanął nad łóżem jego i odmawiał długo, aż do końca modlitwę. Oczy jego wlepione we Mszczuja, miały siłę, która go jakby ze snu się budzić zdawała... Poruszył się niespokojnie i jęknął.

— Wstań i chodź! — zawołał Iwo, wyciągając rękę ku niemu. — W imię Boże, nakazuję ci, powstań, idź. Padnij na kolana i ofiaruj Bogu boleść swą, a żyj.

Stał się cud, stary Mszczuj posłuszny dźwignął się z łoża, jęknął znowu, i przypadł do ręki brata.

— Bracie, ojcz! — zawołał ze łkaniem, — na co ty mi żyć każesz? Nie mam ja żyć dla kogo i dla czego... ostatni skarb wydarły mi wrogi moje, tak jak pierwszy...

Oni mi odebrali matkę, oni córki zabrali. Nie chcę życia...

Biskup położył mu rękę na głowie i mówił krótką modlitwę, potem schwyił dłoń jego i jak dziecię poprowadził z sobą do kaplicy.

Kazał mu uklęknąć — klękli oba.

— Ofiaruj Bogu! — powtórzył...

I modlił się z oczyma w ołtarz wlepionymi z taką siłą modlitwy, iż zdała się potęgę jakąś sprowadzać na ziemię, która starca miała odrodzić.

Pot kroplisty ciekł mu ze skroni, łzy z powiek znużonych... ale nierychło usta zaczęły się poruszać powolną modlitwą, która z nich wyrывała się naprzód jakby mimowoli, potem płynęła już potokiem wielkim i błaganem...

Biskup Iwo nie przerywał też modłów, a gdy przeżegnawszy się wstał, Mszczuj podniósł się także, i szedł zdrętwiały ale spokojny...

Dał mu spocząć mąż święty.

— Pójdiesz ze mną, — rzekł do niego. — Za słabym jesteś abyś tu mógł pozostać, boleśćby ci wróciła od tych miejsc, które ją widziały.

Bóg dał, Bóg wziął. Mógł ci je odebrać śmiercią, odjął ci je przez ręce tych, których nienawidziłeś, gdy on przebaczać kazał i miłować...

Chodź ze mną, służyć Kościołowi i Panu naszemu. — Jeśli ci życie obmierzło, znajdziesz je gdzie dać za Chrystusa i za sprawę książęcą, która jest nas wszystkich sprawą.

Ucałował go w głowę.

— Chodź zemną — dodał, — będę się modlił aby się zgoiły rany twoje — chodź zemną, abym czuwał nad tobą. Bądź moją ręką i pomocą... Idź, dziecko moje, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Waligóra podniósł się z ławy...

— Idźmy — rzekł słowem jednym.

Sam Biskup musiał przywołać pozbieraną czeladź, znaleźć ludzi którymby straż gródka powierzył. Mszczuja nie obchodziło tu nic. Szedł za bratem jak obcy, jak przykuty do niego mocą niewidomą...

Oba razem ruszyli w milczeniu z grodu. Mszczuj wyjechawszy z niego, nie obejrzał się nawet, nie chciał go widzieć już, ani żegnać. Ciągnął za bratem i całą drogę przebył w milczeniu z zaciśniętymi ustami; tylko gdy Biskup poczynił się modlić, on także szeptał coś i płakał.

Był ranek gdy przybyli do Krakowa, a Iwo wprost zajechał przed kościół św. Trójcy, u którego wrót zsiadli oba...

Stał on otwarty, przed ołtarzem wielkim odprawiała się msza święta — żałobna. Dla Mszczuja było to jakby znakiem że wszystkie powinien był pogrześć nadzieje, a żywot rozpocząć nowy — posłuszeństwa i pokuty...

Sam byłby pewnie z tęsknoty, gniewu i żalu zmarł zamęczywszy się powolnie, — brat kazał mu żyć, — był w jego mocy — rzekł sobie, — służyć muszę mu, to wola Boża!!

Z kościoła pojechali do Biskupa, Iwo szepnął słówko Kumkodeszowi, i oddał kleryka na posługę bratu. Rozpoczęło się życie nowe, jakby z dziecięciem które musiano wodzić na pasku. Olbrzym ten obezwładniony posłuszny był i dał z sobą czynić co chciano. Uznał jakby władzę powierzoną Kumkodeszowi i robił co mu tamten wskazywał. Razem zrana szli na nabożeństwo albo do kaplicy gdzie Biskup jak dzień odprawiał mszę świętą; potem kleryk radził przejażdżkę konno za miasto, przyprowadzał go do stołu, zabawiał rozmową, czytał mu coś czasem, próbował grać z nim w szachy i kości dla rozrywki, opowiadał świętych żywoty, brał go z sobą do rozdawania jałmużny.

W godzinach wolnych Iwo wzywał Mszczuja do siebie.

Stary spełniał wszystko, nie opierał się nigdy, ale woli własnej nie miał wcale, tylko gdy wypadkiem nastręczano go na spotkanie się z Niemcami. Naówczas opierał się gwałtownie, oczy zachodziły krwią, stawał jak mur, prosił w końcu, a nic go skłonić nie mogło, by się o nich otarł.

Książę Leszek zdawna był już o przygodach Mszczuja uwiadomiony, serce jego czuło boleść jaką biedny ten człowiek dźwigać musiał; przez przywiązanie do Biskupa i litość, chciał starego wziąć do siebie, na dwór. Lecz i tu Niemców było wielu, a Waligóra drżał cały gdy którego z nich zobaczył, gdy dźwięk mowy usłyszał.

Książę więc wybierał tak towarzyszy czasem, aby wśród nich oprócz swoich i Rusinów nie było nikogo, i wyciągał Mszczuja z sobą na łowy...

Parę razy próbował go pytać i badać, przemyślając nad tem czyby mu sprawiedliwości nie mógł uczynić, o uwiedzione dzieci w Niemczech kazać pytać i los im zapewnić.

Waligóra zbywał księcia pokornym milczeniem, w którym było tyle boleści, iż Leszek musiał ją poszanować. — Palca w ranę kłaść się nie godzi, kto jej uleczyć nie jest pewien. W tych wycieczkach do lasu, w których Mszczuj towarzyszył księciu, poznał bliżej syna Kazmierzowego i powoli się doń przywiązał. Leszek łatwo zyskiwał serca, bo był dobrym i łagodnym, a miłości u ludzi pragnął. Na swe czasy i położenie był tylko za słabym, a wymagał od ludzi takiej prawości jaką sam miał. Miłował nadto pokój i zgodę, zbyt dobre miał wyobrażenie o ludziach. Gdy mu od nich niebezpieczeństwa wystawiano bronił swoich nieprzyjaciół, wierzyć nie chciał ich złości, starał się dobrem tłumaczyć wszystko. Teraz nawet wzięcie gwałtowne Nakła przez Światopełka, Leszek tłumaczył i znajdował mniej występne niż w pierwszej chwili.

— Pomorzanie go obrali swoim księciem, — mówił spokojnie, — nie ma dziwu że dla pozyskania ich sobie, chciał dawniej oderwane od Pomorza Nakło, zdobyć dla nich.

Niektórzy bystrzej widzący ostrzegali go po cichu iż Konrad przeciw niemu knował i zazdrościł mu dzielnicę a panowania. Leszek mówić nawet o tem nie dawał, oburzał się — bronił Konrada, ręczył za niego.

Tak samo jak niegdyś on i matka przywiązywali się ślepo do Goworka, wierzyli Mikolajowi Wojewodzie, teraz książę ufał nieograniczenie Markowi, był pewien brata, opierał się na przymierzu z Henrykiem Brodatym.

Ta dobroduszna wiara w ludzi, daleko bystrzejszą księżnę pobudzała czasem do łez, niekiedy do gniewu. Widziała w tej dobroci niebezpieczeństwo i lękała się o dzieci.

Ale i ona na mężu który ją kochał wymódl nie umiała tego co się z jego charakterem nie zgadzało. Czcząc pamięć ojca Leszek poświęcał długie cierpliwe godziny słuchaniu rozpraw sądowych, nudził się z jurystami, — z rycerstwem zabawiał w kunszta różne, w turnieje, w strzelanie, lecz gdy zagrażała wojna — bronił się od niej całą siłą. Krwi chrześcijańskiej przelewać nie chciał.

Na pogan jak na zwierza poszedłby był z ochotą — na swoich oręża podnieść nie umiał.

Biskup zmierzał do tego ażeby Mszczuja na dworze pańskim umieścić, i mieć w nim stróża przeciwko Wojewodzie, którego wpływu się obawiał.

Iwo pobożny i niechciwy także wojny, więcej jednak w panu żądał energii i siły, a Marek jakby naumyślnie utrzymywał go w usposobieniu miękkiem, potakiwał myślom, uspokajał go i rozbrajał.

Sam książę w biednym Mszczuju poczynał się coraz więcej rozmiłowywać — starzec ten tak spokojny, mimo to jeszcze na łowach dokazujący cudów zręczności i odwagi, był mu miłym, a że książę przywiązywał się łatwo, często mu Waligóry brak było.

Księżna lubiła go także... Cóż gdy na dworze prawdziwych i poprzebieranych za Niemców ludzi tylu było, iż Mszczuj tam wytrwać nie mógł.

Musiano żał jaki do nich miał poszanować a nawet lękać się go drażnić, gdyż Kumkodesz miał już dowód że wprowadzony do niecierpliwości Waligóra nie miał pomiarkowania.

W czasie jednej przejażdżki z klerikiem, spotkali przypadkiem trochę napilego do dworu należącego płatnerza, którego zoczywszy Kumkodesz, kazał mu precz z drogi ustąpić, aby się na oczy Mszczujowi nie nawinał. Niemiec ufny w swą siłę i opiekę pańską, nie dając się spędzić z gościńca, stanął i począł krzyżeć, odgrażać się z butą wielką, to na kleryka to przeciw Mszczuja się ciskając. Nim Kumkodesz miał czas swojego towarzysza skłonić do powolności i zjechać w bok od pijanicy, Mszczuj podjechał do siedzącego na koniu płatnerza, i choć ten mieczyka dobył, ująwszy go za kołnierz od kaftana, z konia podniósł i cisnął nim tak na ziemię, że Niemiec ledwie z potłuczonymi kośćmi, miesiąc odleżawszy, żywym pozostał. Rozgłosiło się to, a że Mszczuja i na łowach z księciem widywano nieraz siłą olbrzymią, strzegli się go ludzie zaczepiać, i Niemcy go omijali.

Oprócz Kumkodesza, do dworu nieszczęśliwego starca, należał z dobrej woli Hebda.

Przed bardzo wielą laty, gdy ten jeszcze był ziemianinem możnym spotykali się oni z sobą i znali. Później Hebda nie poznawał nikogo, lub nie chciał przypomnieć, ale Mszczuja nie mówiąc o przeszłości powitał serdecznie.

Waligóra litował się nad pokutnikiem i dawał mu jałmużnę.

Gdy szli do kościoła, Kumkodesz z jednej, Hebda w małym oddaleniu towarzyszył mu z drugiej strony, zabawiając go nedorzeczną paplaniną. Przeczuciem zgadywał stan jego ducha, prawil mu rzeczy które czasem pół uśmiechu na usta jego wywoływały.

Trwało to tak do wiosny. — Hebda po długiej swawoli, wpadł w ten stan pokutniczy, który po niéj zwykły był następować, leżał krzyżem na ziemi przed kościołami dnie i nocy, nie pił i nie jadł, aż doszedł do znękania takiego, iż go prawie już bez duszy zaniesiono do św. Ducha.

Mszczuj przychodził tam do niego i pilnował chorego razem z zakonnikami.

Na pozór nie zmieniło się nic w tym stanie obezwładnienia w jakim Waligóra zostawał od pamiętnej nocy; biskup dawał mu wypoczywać na duchu patrzył z dala, czuwał, na ostatek dnia jednego przywołał brata do siebie.

— Mszczuju — rzekł — jużes się powinien był pokrzepić, a rany twoje jeżeli się nie zablizniły to przyschły, ja ciebie potrzebuję; Leszek chce cię mieć przy sobie, musisz iść na dwór, i trwać tam...

— A niemcy? — mruknął stary.

— Mało tam ich jest, ty z niemi obcować nie potrzebujesz — odparł biskup. — Z dobrym panem będzie ci tam wygodnie i spokojnie. Znasz Leszka... Nie odstępuj

go, staraj się go trochę zahartować, pilnuj aby Marek ze swemi nie czynił mi go zbyt miękkim...

Na dworze serce pana masz, księżna ci sprzyja, nasi i rusini szanują cię, na niemców możesz niepatrzyć — a tyś tam potrzebny.

Różne wieści chodzą — dodał biskup — ja wierzyć im nie chcę. Powiadają, że zasadzki na księcia czynią, że jakąś gotują zdradę, tyś na straży powinien być, bo ciebie się lękają i oko masz, a poczujesz wroga, gdy ksiązę we wszystkich widzi przyjaciół i wierzy każdemu...

Mszczuj się chciał wymawiać jeszcze, lecz biskup Iwo tej siły jaką nad nim miał, użył całej. Rozkazał — stał się posłusznym. Tegoż dnia poszli na Wawel razem, ksiązę powitał uśmiechając się Waligórę tem, iż go ochmistrem czyni nad komornikami i spodziewa się, iż go już nie opuści.

Pozostał więc Waligóra na zamku, gdzie mu izby przeznaczono niedaleko ksiązęcych, aby każdego czasu do nich wolny wstęp miał.

Z Waligórą razem, dwóch czeladzi z Białej Góry przyszło na zamek, ulubiony mu Sęczek który na zamku był jeszcze gdy niemcy na nim gościli i Kurek co szat i odzieży pilnował. Sęczek jak ogień bystry był, swawolny, ale jak pies do pana przywiązany.

Było już lato, Leszek jeszcze nie postanowił nic o zjeździe wielkim, bo biskupi się naradzali, gdzieby go zwołać przystało, a nie wszyscy się nań godzili. Arcybiskup gnieźnieński i Iwo za nim byli, za temi i reszta pójść musiała.

W tej niepewności, gdy i książęta których wyrozumiewano, wahali się, dano znać do Krakowa iż Konrad z Płocka miał w odwiedziny przybyć do brata.

Leszek się tem uradował wielce, bo widział miłość braterską zadającą kłam oszczercom.

Księżna niewieściami przecuciami obawiająca się mężowskiego brata, nie dzieliła jego wesela i okazywała twarz smutną, lecz była Leszkowi powolną i posłuszną.

Zaczęto więc czynić przygotowania na przyjęcie księcia Konrada, a sam pan najczynniejszy był i gdy dzień nadszedł, ze dworem całym wyruszył przeciw niemu za miasto. Waligóra też z urzędu z nim być musiał...

Zdała już na widok świętego dworu księcia Konrada, który cały niemal z niemiecka był strojny i niemców liczył niemało, Mszczujowi oczy krwią zasły. Obok Konrada jechał jeszcze na tem większe utrapienie jego, krzyżak Konrad von Landsberg z kilku ludźmi swojego orszaku. Ksiązę chciał się pochwalić przed bratem pomocnikami temi którym oddał ziemię Chełmińską.

W chwili gdy się spotykali, Mszczuj oczy wlepiwszy w jednego za Krzyżakiem młodzieńca, stanął osłupiały — twarz jego oblała się krwią i zbladła trupio... zaczął drżeć jak w zimnicy i zapomniał się tak, iż go przestrzedz musiano aby na bok ustąpił.

Bracia powitali się uprzejmie bardzo, była jednak wielka różnica w obejściu się obu.

Leszek rzucił się po młodzieńczemu bratu na szyję, objął go, był wzruszony, Konrad uśmiechał się i okazując przyjaźń, pozostał chłodnym. Błysk zazdrości i wprędce uśmiezonego poruszenia, przebiegł mu po twarzy. Obok siebie jechali na zamek, gdzie na nich księżna oczekiwała niespokojna.

Dwór Konrada liczny, okazały, nie ustępował Leszkowemu, krzyżak dodawał mu blasku. Obcy ludzie widzieli w przybyłym chlód i źle pokrywaną niechęć, która się w szyderskich spojrzaniach malowała, Leszek cały był w szczęściu swoim. Przyjęcie dla Konrada zarządzono świetne, począwszy od uczyt wspaniałej tegoż wieczora. Mszczuj który za orszakiem książąt jechać był zmuszony, dał się wieść koniowi, zsiadł z niego i natychmiast od przedsienu wszedł do swej izby, a tu cisnąc głowę rękami, pół oszalały, jęcząc padł na posłanie.

Nie poszedł już do księcia.

Biskup Iwo, który na zamku był, gdy przyjechali, nie widząc brata, niespokojny posłał na zwiady. Powiedzieli mu dworscy, że chory wrócił i ledz musiał. Chociaż domyślał się biskup przyczyny tej choroby, wyszedł jednak, aby brata skłonić do znajdowania się przy uczcie.

Z przerażeniem porwał się z łoża, gdy drzwi skrzypnęły Mszczuj, Iwo twarz jego zmienioną widząc, zaczął od przeżegnania.

Jeżyły mu się włosy, oczy pały.

— Miarkuj się i panuj nad sobą! — odezwał się biskup.

— Ten zbójca tu jest, ten co mnie w piersi ranił, ten co mi porwał dziecko — krzyknął Waligóra — zbójca tu!

Iwo stał nieporuszony.

— Widzisz wszędzie obraz tego człowieka, jak żeby on się tu mógł znaleźć? — odparł spokojnie.

— Przybył w orszaku Konradowym — ciągnął dalej Mszczuj — ja pomstę nad nim mieć muszę.

— Możeż to być? — powtórzył Iwo.

— Bracie — przysięgam ci! On z drugim zdradliwie napadł mnie i krew moją wyczyli... zasadzili się na mnie gdym gonił, gdy widzieli mnie bezbronnym. On jest! on! Biskup zamilkł...

— Być to nie może — rzekł powolnie — aby się ważył tu przybyć, boć o tobie i o mnie wiedzieć był powinien...

— Urażać mi się przybył — zakrzyczał Mszczuj — a jabym nie miał nastać mu na gardło i zgnieść plugawego robaka!!

— Uspokój się — odezwał się Iwo — daj mi rozpytać, oczy cię mylą... Nie wychodź z izby!!

Waligóra chciał mówić coś jeszcze, gdy biskup wyszedł już i powrócił do księcia. W tejże chwili wpadł do komory Sęczek, blady i pomieszany. Zobaczywszy pana swego w tym stanie, w jakim go widywał na zamku, strwożył się więcej jeszcze.

— Tyś tych niemców widział na Białej Górze — zawołał przyskakując ku niemu Mszczuj. — Mów! widziałeś ich!

— Widziałem — mruknął chłopak.

— Ten ci tu jeden jest? — dodał Waligóra, za ramię go chwytając i ciągnąc, aby się z wejrzeniem nie ukrywał. — Mów! poznałeś go?

Strwożył się Sęczek i zabelkotał — Niewiem!

— On jest! on! on! — zawrzał stary — idź! wytrzeszcz oczy. — On.

Sęczek poznał był od razu Gerona, który w istocie przybył w orszaku swojego stryja, lecz znając gniew pana, niechciał potwierdzać, aby rozlew krwi na dworze nie być przyczyną.

Mszczuj drżał cały, zrywał się, kładł, chodził, włosy darł z głowy. Nie wątpił, że jednego z tych dwu miał przed sobą, z którymi walczył i co mu porwali dzieci. Nic go nie mogło powstrzymać od zemsty nad nim, nawet ta myśl, że jednej z córek mógł być mężem.

Z objęcia ich byłby wyrwał i zmiażdżył tego człowieka. Gero przy pierwszym spotkaniu w polu poznał był też przeciwnika swego, nie wiedząc że był ojcem porwanych dziewcząt; widział w nim tylko cudownie zmartwychwstałego człowieka którego napadli oba z Hansem, gdy w pogoni spoczywał i za zabitego go porzucili.

Zmieszawszy się tem że i starzec wlepione miał w niego mściwe oczy, Gero myślał, co ma począć z sobą i jak uniknąć spotkania i zemsty, lecz trochę się uspokoił nie widząc już Mszczuja w izbie i u stołu.

Że on był, zdawało mu się niewątpliwem. Przygoda na Białej Górze była w części znaną stryjowi Konradowi, choć o dziewczętach porwanych krzyżak nie wiedział. Obie one skryte zostały na Burgu Lambach, u matki Hansa, a Gero musiał się stawić do stryja... Znając go, nie śmiał wspomnieć nawet o napadzie i porwaniu.

Ucieczkę z Białej Góry i obronę w lesie od pogoni, opowiadał Geron Konradowi, i Mszczuja ujrzawszy, wybrał chwilę by mu szepnąć, że na dworze księcia spostrzegł tego, którego porąbali.

— To nic — rzekł zimno krzyżak — nie śmieją się do nas uwiązać.

Nie znasz go...

— A jeżeli wyzwie mnie? — spytał Gero.

— I ty się mnie pytasz co masz czynić, gdy rycerz rycerza wyzwie na rękę? — odparł stryj szydersko.

Gero zamilkł.

Krzyżak przejęty wielkiem znaczeniem zakonu swojego, lekcewał sprawę — któż mógł śmieć tknąć jednego człeka ze dworu brata niemieckiego domu szpitala Maryi Panny?

Sęczek wybiegł z komory i choć oczy jego bystre nie potrzebowały potwierdzenia tego, co raz widziały, wkradł się do jadalni, aby Geronowi przypatrzeć. On był! nie miał już wątpliwości. Nie wrócił jednak do pana — aby gniewu jego nie rozżarzać.

Uczta przeciągała się długo... Opowiadano o poganach pruskich, o wyprawie na nich, o budowaniu zamków dla zakonu nad Wisłą, o pokonaniu dziczy, którego Konrad był pewnym.

Ucztowanie coraz gwarniejsze, do którego Leszek gościnnie zachęcał — aż do nocy przetrwało. Gospody dla Konrada księżęcia i towarzyszków jego naznaczono w domostwach na Wawelu. Późno już zaprowadzono gości na spoczynek.

W osobnej komorze Konrad von Landsberg miał posłanie z bratankiem. Nie zapomniano im postawić na noc „*schlaftrunku*” do którego Niemcy byli nawykli, choć przy stole napoju im nie żalowano. Konrad przybył do komory dobrej myśli, po trosze się naigrywając z prostoty dworu, z niepoczesnego zamczyska, z obyczajów polskich, które barbarzyńskimi nazywał.

Gero wtórował mu nieśmiało, mając na myśli owego starca i oczy jakimi on go zmierzył przy spotkaniu.

Kładli się już, gdy zastukano do drzwi.

Jeden z knechtów wywoływał Geroną mówiąc, iż ze dworu urzędnik potrzebował widzieć go.

— Niech tu wnijdzie! — odparł Konrad.

Geronowi obawę okazać nie zdało się godnym rycerza. Miecz tylko co odpasany ująwszy w rękę wyszedł natychmiast.

Mszczuj stał czekając nań za progiem. Spojrzeli tylko w oczy sobie — słów nie potrzebowali, Landsberg widział walkę nieuniknioną. Waligóra pokazał mu plac bliżki pod wałami. Księżyc oświecał go słabo.

Poszli w milczeniu, Gero po przedzie, stary za nim tak blisko, że gorący oddech jego czuł nad sobą.

Konrad w izbie oczekiwał na powrót bratanka. Usłyszał w cichości odstępujące ode drzwi kroki, uspokoił się.

Rozdziewać się więc począł powoli, z roztargnieniem szepcząc modlitwę obowiązkową.

Nasłuchiwał coraz, czy bratanek nie powraca, nie było go.

Knechtów dwóch spać miało u progu, zawołał na jednego z nich krzyżak.

— Gdzie Geron?

Nie było go w pobliżu, poszedł więc szukać pacholek i wrócił z tem, że znaleźć nie mógł...

Dobry czas upłynął znowu, Konrad niespokojnym być zaczynał, rozkazał zapalić pochodnie i wyszedł w podwórze z knechtami.

Tu panowała cisza wielka... ludzie spali, na wschodzie poczynał brzask dnia świtać... Geroną nie widać było nigdzie... Stał nagle krzyżak na suchej ziemi nogą padłszy w mokrą kałużkę. Była to krew... ale ciała z którego upłynęła nie znalazł.

Tuż na wale wznosił się ostrokoł zamkowy... Jakby dróżynę krwi idącą widać było ku niemu, knechty z pochodniami podbiegli i jeden z nich krzyknął...

Za ostrokołem na wale leżał Gero okrwawiony, bez duszy... Stryj rzucił się ku niemu z okrzykiem rozpaczliwym. Pacholki natychmiast przebrali się przez częstokół i zbliżyli do leżącego — który dyszał jeszcze. Nadzieja ocalenia życia straconą nie była.

Mszczuj w swej izbie na posłanie padłszy, przy którym miecz okrwawiony postawił, leżał ujęty snem głębokim.

V

Na dworze nazajutrz nie pokazał się brat Konrad von Landsberg, Mszczuj leżał chory.

Księża brat Leszków, chodził nachmurzony ale milczący..., a ilekroć spojrzała nań księżna, dreszcz przechodził po niej i małego Bolka tuliła do siebie ze strachem macierzyństwa...

Konrad przybierał wesołość nie dobrze udaną. O Krzyżaku, który nocą gdzieś wyruszył z zamku powiedział Leszkowi że do Niemiec zjechać miał dla naradzenia się w sprawach zakonu.

I tego dnia książę krakowski przyjmował brata z gościnnością wspaniałą, z weselem na twarzy, często powtarzając uściski, które płocki książę zimno przyjmował.

Biskup Iwo, Wojewoda Marek, wszystka starszyzna zwołaną była i przytomną. Sam książę Konrad wezwał brata dnia tego na poufną naradę.

Leszek otwierał mu całe serce swoje.

— Zwołajmy się wszyscy, — rzekł, — jako ojciec nasz do Łęczycy zgromadził książąt, duchowieństwo i rycerstwo — postanówmy pokój! utwierdźmy zgodę.

— Z tą myślą i ja przybywam, — odparł Konrad — bo i ja potrzebuję pokoju abym całe siły, wspólnie z Krzyżakami mógł na pogan pruskich obrócić.

Nie ociągajcie się. — Po drodze byłem we Wrocławiu, książę Henryk przybyć obiecuje, Laskonogi musi stanąć.

— A Odonicz i Światopełk? — zapytał Leszek — wszak i ci we dwu opierać się nie mogą...

— I nie będą — rzekł Konrad. — Odonicz jest znużony wojowaniem, Światopełk... Tu przerwał.

— Z tem najtrudniej, rzekł Leszek, — więcej mu się chce niż należy...

— Przeciwno wszystkim nie pójdzie! — odparł Konrad.

— Poprzemy wasze pragnienie zgody i pokoju, — odezwał się Biskup Iwo..., — ojciec nasz Gnieźniński, wiem to zjedzie aby przewodniczyć naradom... Pasterze wszyscy pospieszą za nim!! Rycerstwo przedniejsze wezwać potrzeba, przynajmniej z tych ziem, których los się będzie rozstrzygać.

Książę Konrad namarszczył się usłyszawszy to.

— Dostyc naszych dworów, comesów i baronów, przy osobach naszych zostających — rzekł — innego rycerstwa nie widzi mi się ani wzywać, ni pytać. Mnoży to ich niesworną butę a osłabia władzę naszą. Nauczyci się już krakowianie wasi książąt wsadzać i zsadzać wedle upodobania, niech inni się od nich nie zarażają. Dalej my z władzą naszą ulegać im będziemy musieli, głowy nie stanie.

Z Biskupami się już dzielić musimy, którzy lepszą część wzięli, gdy rycerstwu damy siłę, czemże my będziemy?

Iwo słuchał spokojnie, Leszek oczy spuściwszy.

— Obyczaj to zły, — ciągnął dalej Konrad, — małym dawać kosztować władzy..., pogańskieby wróciły czasy gdy gmin przewodził.

— Uchowaj tego Boże — rzekł Biskup. — Co książętom należy tego tknąć nikt nie powinien, stróżami są praw i obrońcami granic, ale rycerstwo też wszędzie do rady przypuszczane bywa...

Konrad się zapomniał nieco.

— Ojcie mój, — rzekł skwapliwie, — rycerstwu dajecie głos dlatego że ono całe w rękę waszym... Mocy i tak Rzym i wy macie podostatkiem, nam też jej potrzeba...

— Bylebyście jej wedle prawa Chrystusowego zażywali — odezwał się Iwo spokojnie.

Leszek zdania swojego nie wypowiadał, patrzył na Biskupa, Konrad na niego — milczeli nieco. Z twarzy księcia Mazowieckiego widać było lekceważenie pewne i ufność w swą siłę.

— Na kiedyż zjazd i dokąd go naznaczycie? — spytał rzucając już przedmiot drażliwy Konrad.

Leszek popatrzył na Iwona, a stojący z boku Wojewoda podniósł głos.

— Zdałoby się ażeby go nie tak daleko od pomorskiej naznaczyć granicy; i powodu nie dawać Światopełkowi do odmowy... Lękać się będzie może, znając pana swego zagniewanym, głębiej w kraj zapuszczać...

Konrad głową dał znak przyzwolenia...

— Gdzieś około Nakła należałoby się ściągać — rzekł powoli Leszek.

— Tak — zawołał Konrad, — ażeby jeśli go Światopełk nie zda dobrowolnie, odebrać je od niego.

— Co sprawiedliwa — rzekł Biskup.

— Nie powinniście stać o Nakło które pomorskie było — odezwał się Konrad, byle Światopełk daninę płacić przyrzekł...

Nikt nie rzekł nic.

— Mnie też wiedzieć potrzeba — dodał Mazowiecki książę, — kiedy zjazd mieć chcecie; bo koło granic czuwać muszę.

Dopóki lato i żniwa nikomu niedogodnie ciągnąć z domu. Duchowieństwo też dzie-sięciny musi pobrać wprzód, a chcecie rycerstwa, ci też doma co czynić mają do jesieni...

— Więc jesienią, a nie późną, bo leżeć pod namiotami i w szałasach, gdy mrozy ścisną nie wygodnie, — rzekł Leszek... — Choćbyśmy gród znaczny wybrali, nas, duchownych ojców i dworów żaden nie pomieści.

— Nawykliśmy do namiotów! — rozśmiał się Konrad — ciepło one trzymają, a w nich człowiekowi rycerskiemu raźniej niż w chacie co jak stos suchy od lada iskry płonie.

— Na święty Marcin poraby była — wniósł Biskup.

— Zgoda na to — potwierdził Leszek — wielki ten patron, co się płaszczem z ubogim dzielił nauczy nas dla zgody coś poświęcić.

Konrad miał uśmiech szyderski, który powstrzymał.

— A miejsce? oznaczyć trzeba je zawczasu, aby się każdy przysposobił.

— Jak myślicie? — zapytał Leszek Biskupa...

— W tamtej stronie znajdzie się pewnie jaka wieś klasztorna z kościołem, na której gruntach rozłożyć się będzie łatwo...

Książę Konrad szukać się zdawał w myśli.

— Mają tam swoją ziemię mnichy z Trzemeszna — rzekł podumawszy.

— Gąsawę, jeśli się nie mylę, — dołożył Biskup. — Dla nas to wielu daleki kraj i oko-lica pustynna — lecz gdy w stronie Nakła trzeba się zbierać a nad granicą — i w Gąsawie dobrze. Długo leżeć tam nie potrzebujemy, przy pomocy Bożej.

— Do Światopełkaby zaraz słać — dodał Konrad, — aby czas do namysłu miał.

— Wam to w imieniu brata najłatwiej będzie — rzekł Biskup. — Poprzecie swoją powagą jego żądanie... ślijcie, ślijcie...

Leszek zbliżył się ku niemu, rękę na jego ramieniu położył i dodał uśmiechając się, bez złej myśli.

— Wy też, sądzę ze Światopełkiem lepiej jesteście niżeli ja.

Konrad drgnął i bystro spojrzął w oczy bratu, posądził go o złośliwość może, o przy-mówkę lecz z wejrzenia dobrodusznego łatwo się mógł przekonać że Leszek powiedział to, nie chcąc mu czynić wymówki, i odezwał się.

— Bliżej mi, to pewna — a żebym się ze Światopełkiem kumał nie myślicie pewnie, gdy z tobą trzymam.

Ścisnął mu rękę Leszek.

— Ciebie, księcia Henryka i Laskonogiego pewny jestem zarówno — rzekł. — Sprawa to nas wszystkich, powszechnego pokoju i szczęśliwości ziem naszych. Wojo-wać z nieprzyjacielem krzyża świętego, z błogosławieństwem ojca naszego rzymskiego papieża, chlubna jest; między sobą — niegodziwa.

Konrad potwierdzać się zdawał słowa brata, chociaż twarz jego ciągle namarszczona, usta ściskające się półuśmiechem innych myśli dowodziły, nieumiejętnie ukrywanych.

Rozmowa zbliżała się do końca. Oczyma niekiedy badał księcia Konrada wojewo-da Marek, zadawał mu pytania, szukał jego wzroku, gdy książę Mazowiecki przeciwnie zdawał się go unikać i do wojewody nie zbliżał.

— Stoi tedy czy nie, na św. Marcina, do Gąsawy! — zapytał Iwo, — bo zawczasu listy pisać trzeba, a ludzi słać.

— Na św. Marcina — przerwał Konrad, — a czy w Gąsawie czy gdzie koło niej do-godniejsze się miejsce opatrzy, wszystko jedno.

— Nie oddalając się od granicy, — powtórzył Wojewoda cicho — boć przyczyna ważna...

— Ani od Nakła — dodał Leszek zamyślony.

— Toć jedno — potwierdził Biskup. — Na św. Marcina.

— Na św. Marcina! — powtórzył Konrad.

— Na Ślązko i do Laskonogiego ztąd się pośle, wy Światopełkowi dacie znać.

— Przez Odonicza też można mu to zwiastować — dodał chmurno Konrad, jakby stosunku wszelkiego ze Światopelkiem chciał uniknąć i podejrzania oń.

Wstał Biskup Iwo wspierając się na poręczach krzesła.

— Niechże Bóg błogosławi przyszłym radom i paktom, a natchnie serca wasze duchem pokoju i zgody braterskiej. Amen...

Mówiąc to wyszedł z komory, a że książę wnosił iż do dzieci jego i żony, jak codziennie, musiał się skierować, nie towarzysząc mu, pożegnał tylko spiesznie niskim pokłonem pozdrawiającego Marka, który za Biskupem z izby się wysunął... Bracia pozostali sami.

Iwo siedł do brata, o którego od wczoraj był niespokojnym. Gdy mu otwarto drzwi, przy których Sęczek siedział na ziemi, Mszczuj leżał jeszcze, od wczoraj nic, oprócz wody, w usta nie biorąc. — Spał lub drzemał ciągle. Miecz obnażony, na którym krew zaschła, co ryneką w nim na podłogę nie spłynęła — stał o ścianę oparty.

Oko wchodzącego Biskupa padło instynktem nań i zatrzymało się na zczerniałej plamie z posoki która u miecza została.

Stanął ręce złożony.

— Mszczuj! — zawołał wskazując na miecz.

Waligóra podniósł się z posłania, oczy przecierając, ciężki oddech z piersi mu się dobywał.

Drżący palec biskupa ciągle ku mieczowi był skierowany.

— Mszczuju! to krew!

Stary spojrzął na swój miecz obojętnie.

— Krew — powtórzył zimno — niemiecka.

Iwo nie mógł słowa przemówić długo.

— Zabijeś go! — wyjęknął drżący.

Za całą odpowiedź Waligóra ręką w stronę ku wałom zamachnął.

— Precz wyrzuciłem to ścierwo, aby pańskiego domu nie kalało... Ten był od którego rany bliznę noszę.

I pokazał obnażając pierś pręgę na niej czerwoną.

Trwoga i politowanie malowały się na pogodnym zawsze obliczu Biskupa...

— Mszczuju — zawołał, — grzeszniku niepoprawiony, zakamieniały. Potrzeba ci było gościa pana twojego tknąć, tego który wczoraj u jego stołu chleb z nim łamał...

Waligóra nie odpowiadał, głowę trzymając spuszczoną jak winowajca który na wszelką karę jest gotowy, przewidział ją i przyjmuje.

Biskup jęczał przejęty.

— Cóż się z nim stało? ranny? zabity? gdzie?

— Nie wiem — rzekł Waligóra, — rzuciłem go won za parkany.

Sęczek który stał z tyłu, począł mrużyć coś, tak że Biskup ku niemu się zwrócił.

— Nocką go zaraz wzięli Niemcy i precz po cichu powieźli, tylko ks. Konradowi się opowiedziawszy.

— Umarłego czy żywego? — zapytał Iwo.

Sęczek głową pokiwał.

— Kto go wie? u nich dusza twardo siedzi, może i żywy, bo się ruszał gdy go nieśli...

Na to słowo — żywy — Mszczuj poruszył się i mimowolnie za miecz chwycił, jakby go chciał iść dobijać. Biskup strasznym głosem krzyknął nań.

— Rzuć ten obrzydły miecz, bo zginiesz i ty od niego, ty coś nim na życie bliźniego nastawał, zginiesz od niego!

Ledwie wyrzekłszy to proroctwo, które wywołało oburzenie, Biskup pożałował go i zamilkł ręce wznosząc ku niebu.

— *Miserere nobis! Miserere, Deus!* — szepnął po cichu i upokorzony z sercem ściśniętym z izby wyszedł.

Mszczuj patrzył za nim — i zobaczywszy Sęczka który w progu stał, żywo skinął nań.

— Żyw był? — szepnął — to nie może być! padł. Cisnąłem nim... ubił się — powinien był się rozbić. — Żyw był?

Sęczek palce kręcił nie umiejąc odpowiedzieć... Waligóra padł na posłanie..., popatrzył na swe ręce, jakby im słabość wymawiał i westchnął ciężko, potem na swój miecz, który

sianem ocierać zaczął, lecz zaschła krew nie schodziła z niego — pchnął go od siebie aż padł brzęcząc na podłogę...

We drzwiach ukazał się zagląający ostrożnie Kumkodesz.

Waligóra unikał jego wejrzenia, pytał się lękał.

— Czy cię Biskup przysłał? — zamruczał.

— Nie — samem przyszedł, ludzie mi mówili żeś W. Miłość chory...

— Zdrow jestem — odparł Mszczuj ponuro — zdrow!

Kumkodesz dostrzegł miecza leżącego na ziemi i cofnął się.

Waligóra zadumany, zapatrzony na podłogę i zaschłą krwi kałużkę mrucał coś, wtem jakby rzuciła nim myśl jakaś nagle zrodzona, porwał się z posłania.

— Ojczaszku, — rzekł do Kumkodesza — chciałbym ja trochę odetchnąć powietrzem, a samemu chodzić smutno. Przejdziemy się po mieście razem. A co?

Kleryk, który się zawahał trochę, po namyśle krótkim przystał.

Mszczuj nie zważając nań miecz, jak był w pochwy wsuwać zaczął, aby go przypasać, i mrucał.

— Chorego, rannego człeka nie powiozą daleko, gdzieś, jeśli żyw musi być na go-spodzie, kiedy z zamku go sprzątnęli! a jeśli zdechł toć gdzieś będą grzebać...

Nie dosłyszał tych wyrazów kleryk, lecz podejrzliwym okiem spoglądał na Mszczuja, który kołpak nakładał.

Pomijając dworzec książęcy i główne wnijsie do niego, wyszli zwolna we dwu w podwórze i do wrót wielkich. Tu, już odżywiony znów Hebda ich spotkał, wskazując palcem na zamek.

— Zdrajcy najechali! — szepnął — ja ich znam...

— Tst — toż brat rodzony pana jest na zamku — zawołał Kumkodesz.

— Jakem ja żył na świecie — począł rękami wyprawiając różne sztuki Hebda — jakiem żył na świecie, trafiło się że Sędzicha na świat bliźnięta wydała, co się przed narodziem pokąsały.

— Milczałbyś! — zgromił go kleryk.

— Oni nam pana wyciągną gdzieś w pola, w lasy, w pustynie, — kończył nie zważając Hebda — i zamordują! Ja nad nim miecze widzę i jego nagiego ranami okrytego... O! żeby go Bóg strzegł!!!

— Szatan ci w oczach te widziadła stroi — gniewnie rzekł Kumkodesz. — Biskupa naszego niemi trwożysz. — Patrzaj żebyś go nie pogniewał na siebie.

Hebdzie twarz skrzywiła się jak do płaczu.

— Nieszczęśliwy ja! — wyjąknął — milczeć nie mogę, a za mowę mnie chłoszczą. Choćbym oczy zamknął, widzę, a com widział muszę rzec tym którzy są ślepi.

— Toć bluźnisz! — spierał się z nim kleryk — jakbyś ty miał być szczęśliwszym od naszego świętego ojca i więcej widział od niego?

Rozgniewał się żebrak.

— Albo to szczęście widzieć czego drudzy nie mogą — krzyknął — na to aby się urągali. — Toć kara Boża...

Zaszlochał twarz ocierając..., aż Mszczuj któremu trzeba było o niemcu się swym dowiedzieć, przypomniawszy że Hebda po mieście się włóczył i widział wszystko — zwrócił się do niego.

— Sluchajno, Hebda! a nie widziałeś rannego czy zabitego niemca, którego z zamku wynieśli nocą czy na zaraniu?

Żebrak głową kiwnął. — Mszczuj stanął i zbliżył się do żebraka, któremu kleryk zapóźno zaczął dawać znaki aby milczał.

— Cóż to, wy, Waligóro — chcecie Niemca ratować? — odparł Hebda, — nie wiedząc wcale jak ma sobie radzić.

Mszczuj szydersko zgrzytając zębami rozśmiał się.

— Ratować, a! ratować go chcę! zgadłeś, ty co widzisz jasno! — mruknął. — Nie wiesz o nim co?

Hebda na sobie poprawiał lachmany.

— Co ja mam o niemcach wiedzieć — rzekł — ja mojej duszy pilnować muszę, i z tą dosyć biedy mam... To też robota niemała... bo na nią djabli czyhają jak kot na ptaszka w klatce... A mnie co niemcy obchodzą!

Kumkodesz z pytania tego wnosząc poco stary wyszedł na miasto, nie bardzo mu chciał towarzyszyć, ani go też samego puszczać.

— Co mamy po mieście się błąkać — odezwał się do Mszczuja, — zajdźmy do biskupiego dworu i ogrodu w cień, tam spoczniemy.

Waligóra potrząsnął głową.

— Ja pójdę na miasto, — rzekł krótko — a wy, jak chcecie.

Gdy to mówili z sobą Hebda się przysłuchiwał.

— Darmo nie wlecż się, Mszczuj! — rzekł powoli. — Ja czuję czego ty chcesz i szukasz, ty krwi niemieckiej pragniesz, tego coś ty mu ją puścił nie ma już! Hę? hę? Wzięli się do niego niemcy, obwiązali, obłożyli i między dwa konie położywszy na płaszczach powieźli precz na spokojne miejsce. Już go nie dogonisz... nie.

Hebda wpatrzył się w siną dal, oczy mu się niepomiernie otworzyły, jakby miały z pod powiek wyskoczyć; nie poruszając źrenicami, nie zwracając wzroku, począł mówić.

— Nie bój się, spotkacie wy się jeszcze! spotkacie!

Potem oczy sobie zatulił i przetaił. Kumkodesz który mu się w czasie tego osłupienia przypatrywał, krzyż nad nim zrobił.

— Szatan go opętał! — mruknął. — Chodźmy.

Mszczuj jednak, na którym mowa żebraka zrobiła wrażenie, nie miał już ochoty iść na miasto.

— Do biskupiego ogrodu! — odezwał się cicho.

Hebda towarzyszył im jeszcze do bramy, tu doszedłszy, popatrzył z żalem na odchodzących i padł na ziemię odpoczywać.

Tegoż dnia wieczorem niecierpliwy książę Konrad napowrót się wybierać zaczął. Proszono go daremnie, aby pozostał dzień jeszcze, śpieszył się do domu, a wyrwał się przed nocą pod pozorem gorąca. Leszek, pilnujący zwyczajów starych, nie wypuścił brata bez podarków. Kazano ze skarbca naładować wóz srebrnym sprzętem, futrami i sukniem, wszystkim co pod owe czasy najdroższem było. Towary byzanckie jedwabne i bawelniane, kosztowne rzeźby ze słoniowej kości, pióra; z Wenecyi przychodzące afrykańskie hafty, zwierciadła; tkaniny z Niniwy i Bagdadu; sukna z Fryzyi i szkarlaty, wszystko tam było.

Konrad pożądliwem okiem poglądał na te dary, ścisnął brata, lecz więcej widać w nim było zazdrości tych bogactw, których mu cząstkę dawano, niż uciechy z nich. Myślał co krakowski skarbiec zawierał!

Leszek nocą wyjeżdżającego brata przeprowadził tylko do bram miasta. Tu podczasowie podali kubki srebrne pozłociste i dzbany, aby na szczęśliwą drogę wychylono ostatni.

Leszek padł w objęcia brata.

— Konradzie miły — rzekł — bratem mi bądź zawsze jakoś był dotychczas, trzymajmy się a oba silni będziemy. Ty i ja mamy dzieci, niech i one żyją w zgodzie i jedności, a sobie będą braćmi, miłości naszej Bóg pobłogosławi!

Na to przemówienie Konrad odpowiedział wesoło, pospiesznemi a nieporządnemi słowy, zaręczając bratu za wierność swą i przywiązanie do niego.

Rozstali się po uściskach powtórzonych, i Leszek zwolna wrócił na Wawel, z uczuciem smutku, któremu obronić się nie mógł. Gdy wszedł do żony, zastał i ją pogrążoną w myślach i chmurną.

— Pewniejszy jestem Konrada, choć nigdy nie wątpiłem o nim — odezwał się Leszek do żony, która go milcząc witała. — Przybył w dobrej myśli, z dobrem sercem. Ludzie go potwarzają okrutnym czyniąc i chciwym panowania. I on jak ja żąda spokoju i nie ma go, dlatego musi się troszczyć i zabiegać... Bóg da, Gąsawa wszystkim nam pozwoli odetchnąć.

Księżna nie wiedziała nic jeszcze o naznaczonym zjeździe.

— Panie mój — zapytała — cóż to jest ta Gąsawa?

— Na Św. Marcina wszyscy się tam u granicy zebrać mamy, my i biskupi, aby wielki pokój postanowić...

Księżna zbladła i zadrżała.

— Pojedziesz tam! — przerwała z trwogą. — Jako? sam? ze dworem tylko? bez wojska? pośród nich co na ciebie czyhają!

Uśmiechnął się Leszek, całując ją w czoło.

— Dobra ty moja niewiasto — odezwał się z poczuciem męskiego rozumu i siły — wy się bo lękacie wszystkiego i cienia nawet. Cóż mi się tam stać może? Więcej niż wojsko najliczniejsze ubezpiecza mnie cały zastęp duchownych, brat mój, Henryk Wrocławski, wreszcie moja własna powaga, na którą niktby się targnąć nie śmiał.

Księżna słuchała płacząc rzewnie, nie dając się przekonać, aż Leszek prawie gniewnym być począł, chociaż względem żony nigdy surowym być nie mógł.

— Niewieście strachy, które i męzkemu sercu odejmują siłę! — zawołał. — Czegóż się tam lękać można gdzie ze mną ojciec nasz Gnieźniński i ojciec Iwo razem będą...

— Daruj mi — cicho rzekła księżna — grzech może posądzać, ale ci, których ty za przyjaciół liczysz, mnie trwożą. Konradowi nie ufam.

Książę się oburzył i ręce załamał.

— Jemu! bratu rodzonemu, którego ja miłuję tak, który do mnie jest przywiązany!!

Księżna zamilkła.

Upłynęła chwila w milczeniu. Grzmislawa usiadła na ławie swej, podpierając się na białej dłoni.

— Gdybyś mnie posłuchał — rzekła nieśmiało — ale ty babskiej rady nie przyjmiesz.

— A cóż byś ty radziła? — spytał Leszek ciekawie.

Ociągała się nieco z odpowiedzią księżna, utkwiała wzrok w męża.

— Mnie gdybyś słuchać chciał — dodała — pobożnemu i świętobliwemu Iwonowi dał byś moc od siebie wszelką, a uczyniłbyś się chorym i nie jechał ani do Gąsawy, ani nigdzie ku granicom. Światopelka się boję! lękam się wszystkich! Odonicza, a — Konrada nawet!

Znowu zmarszczył się Leszek.

— Mówcie co chcecie na innych — przebaknął — na Konrada tylko nic. Chowaliśmy się razem, u jednej matki na rękach... A, komuż by już dać wiarę!!

— Nikomu! — szepnęła Grzmislawa — mądry, wierzaj mi, nie ufa ludziom nigdy.

— Tyś rusinka — odparł Leszek weselej — a rusini nie ufni są.

— Twoja matka była nią także — odparła urażona nieco księżna — przecie ufała do zbytku. Tyś po niej wziął powolność tę... dobry panie mój.

I schyliła się przed nim błagając go.

— Nie jedź do Gąsawy. Niechaj biskupi pokój stanowią, niech książęta tu, do ciebie, starszego nad niemi poprzyśiądź go przyjadą. Ty, miły mój, nie jedź do Gąsawy...

Wzruszył ramionami książę, jednak naleganie to utkwilo w nim i słysząc powtarzane — Nie jedź do Gąsawy, — nazajutrz chwiać się począł.

Lecz właśnie wśród tej niepewności, nadszedł zrana wojewoda Marek.

Ten jakby odgadnął Pana, począł od wieszowania mu myśli błogosławionej zjazdu tego, który miał krwi oszczędzić.

— Miłościwy panie — rzekł, — Pan Bóg nam natchnął was, gdyście rozkazali zbór ten powszechny, bo ten musi wszystko skończyć...

— Nie prawdaż? — odparł uradowany Leszek, który potrzebował takiego potwierdzenia i zachęty.

— Znajdą się tacy co mi rzekną — dodał — abym nie jechał z obawy Światopelka i Odonicza, znajdą się, co i na innych podejrzenia rzucą... lecz ja.

— A! — odezwał się z nadzwyczajną żywością podchodząc do Leszka Marek — nie słuchajcie, miłościwy panie!! niesłuchajcie! Będziemy z tobą, będzie duchowieństwo, będzie ks. Henryk, cóż tam ci grozić może?

— Ja też wcale się nie lękam niczego — rzekł Leszek spokojnie.

Wojewoda mówił jeszcze wymownie bardzo za zjazdem, potem dłuższy czas pozostając, rzekł z ubolewaniem.

— Nie miłać to rzecz co się stało z bratankiem owego krzyżaka, aleście wy, miłościwy panie, nic temu nie winni.

Leszek, który nie wiedział nic, przypadł do wojewody.

— Co się stało z nim?

Zawahał się Marek nie chcąc być oskarżycielem brata biskupiego, lecz było mu na rękę Odrowążów z łaski pańskiej wyzuwać. Udając więc strapienie, dodał.

— Stara jakaś sprawa pono między niemi była, biskupim bratem, burzliwym Wali-górá, a tym bratankiem krzyżaka. Stary siłę ma po dziś dzień straszną, i jeżeli nie zabił na razie niemca, niewiele mu życia zostawił.

Przeraził się Leszek.

— Temu więc i pospieszny wyjazd Konrada przypisać trzeba! i jego ponurą myśl przy rozstaniu.

— Mszczuj szalony jest ze swą nienawiścią przeciwko Niemcom — dodał wojewoda. — Na dworze go trzymać, choć człowiek poczciwy jest, niebezpiecznie.

Otworzył książe drzwi wołając na starszego marszałka dworu, który nadbiegł pospiesznie.

— Co za sprawę i spotkanie miał Mszczuj Odrowąż z Niemcem? — zapytał.

Starzec należący do przyjaciół biskupa i jego rodziny, zawahał się mówić przy Marku. Zatarł ręce zafrasowany.

— Miłość wasza wie, że mu córki Niemcy pochwycili i uwięzili — rzekł. — Bodaj jednego z tych poznał w młodym Landsbergu, niema dziwu, że się nań porwał.

— Zabił go? — zapytał Leszek.

Stary pogładził się po brodzie, namyślając się nad odpowiedzią.

— Żył gdy go z zamku wyniesiono — rzekł powoli — a co potem się stało, nie wiem.

— Na zamku pańskim miecza dobyć — odezwał się wojewoda surowo — występkiem zawsze jest.

Książę stał zamyślony...

— Marku mój — rzekł po chwili łagodnie — a gdyby mi kto porwał dzieci moje, jedyne, myślisz iżbym mu nawet na progu kościoła przebaczył?

Nie śmiał się sprzeciwić wojewoda, powlókł oczyma dokoła, ramionami zlekka poruszył.

— Miłościwy Panie, nie winię ja go — dokończył — ale ludzi tak sierzdzystych przy boku trzymać, niebezpieczna rzecz!!

VI

Jesień była, nadchodził ten dzień, w którym wielkie pokładano nadzieje... Sposobiło się wszystko ciągnąć na kresy ku Pomorzowi, do Gąsawy, gdzie zjazd był naznaczony.

Światopełk i inni z nim zrozumieli wybór miejsca tego jako groźbę. Leszek ciągnął z częścią wojska swojego, a inna miała, jak mówiono pogotowiu być, i jeśliby pomorskie książę nie upokorzył się z dobrej woli, łatwo mu było i Nakło odebrać i ścigać go dalej.

Nic jednak nie wróżyło, ażeby wielki zjazd książąt i duchownych miał się rozejść bezskutecznie...

Leszek miał za sobą i z sobą nie samą własną powagę, nie tylko duchowieństwo całe, ale Henryka Szlązkiego, Konrada i Laskonogiego.

W Krakowie wybierano się wesoło, choć wielce strwożona księżna płakała, zaklinała i prosiła, aby mąż nie jechał.

Nękanym postrachami temi Leszek musiał wezwać biskupa Iwona, ażeby słabej niewieście wwał mężstwo. Grzmisława uległa naukom duchownego, zamilkła, nie mówiła więcej nic, lecz łzy jej z oczów płynęły, a nieme usta milczeniem jeszcze błagały — zostać.

Naprzemiany Leszek był jednym dni gotów jej usłuchać, to, wstydzając się małoduszności przyspieszał wyjazd ze swej stolicy.

Przodem już powyciągały tabory biskupa i książęcy, aby w małej wioszczynie przysposobić dla mnogich panów przyjęcie. Stawiano szopy, budowano łąźnie, bez których się naówczas nikt nie obchodził, a książęta wychowane przez matki rusinki przywykłe były do niej. Z książęcych i duchownych majątności i grodów zwożono siana, składano stogi, zsypywano zboża, mąki i krupy dla mnogiej czeladzi, spędzano trzody na rzeź przeznaczone.

Każdy z pasterzy wiódł z sobą oprócz duchownego dworu, rycerstwo swe, urzędników, czeladzie, namioty. Na miejscu nic się znaleźć nie mogło, wszystko więc trzeba było ciągnąć z sobą.

Biskup Iwo miał jechać z księciem razem, któremu dwór towarzyszył świetny i mnogi. Pomimo starań Marka wojewody, Mszczuj pozostał przy nim, i był też wyznaczony jechać z panem.

Na kilka dni przed wyjazdem księżna tak jego jak innych, powołała do siebie, obdarzyła i zaklęła aby przy panu dzień i noc stali czuwając...

Niewieścią tą obawę rozumieli ludzie poważni i tłumaczyli ją, chociaż nikt nie miał najmniejszej trwogi ani podejrzenia. Przy takiej sile, w takiej gromadzie cóż się Leszkowi stać mogło?

Drugim takim przerażonym był nieszczęśliwy Hebda, który Biskupowi drogę zabiegał, na kolana się przed nim rzucał, i prawił po szalonemu urojenia swoje iż księcia widział ciągle we śnie i na jawie nagiego, ranami okrytego.

Lecz na słowa szalonego któż mógł zważać? Gromiono go i odpędzano, a Hebda nie ustawał w swem prorocztwie.

Lękano się, ażeby nie zabiegł drogi Leszkowi, nie przestraszył więcej księżnej, gdyż nieustannie kogo spotkał ostrzegał o niebezpieczeństwie, była więc mowa o zamknięciu go w szpitalu u św. Ducha na czas pewien — póki z Krakowa nie wyruszono.

Wielką litość mający nad nim Biskup, który choć wyposażał kościoły i klasztory, ale około domu sam jeden pieszo chadzał często, na parę dni przed naznaczonym wyjazdem, jak zwykle Hebdę spotkał na swej drodze do kościoła św. Trójcy.

Tu on modlić się lubił, za najmilsze swe uważając go dzieło.

— Ojczy mój święty, ojczy litościwy, — zawołał żebrak goniąc za nim, — nie puszczaćcie pana ztąd! nie puszczaćcie — bo ja krew widzę... krew i miecze.

Iwo stanął...

— Człeczce uparty, — rzekł surowo — azali nie wiesz że bez woli Pana włos z głowy człowieka spaść nie może? Szaleństwu twojemu lituję się, a prorocztwom nie wierzę, ale drugich trwożyć będziesz... chcesz abym zmuszony zamknąć cię kazał?

Była to najstraszniejsza groźba jaką Hebdzie uczynić mógł pobożny Biskup. Nie lękał się on ani głodu ani chłodu, ale samo przypuszczenie niewoli i zamknięcia we wściekłość go wprawiało. Stanął drżący.

— Ojczy miłosierny — krzyknął ręce do góry wznosząc, — nie uczynicie tego, bo macie litość nad biednym pokutnikiem. — W ciemności mnie skutego rzucić — toć śmierć!

— Milcz więc! — rzekł biskup — jać nakazuję!

I krzyż nad nim uczynił.

Żebrak jakby cudem rażony, usta zamknął ale oczy krwawe podniósł do Nieba i błagał o ich rozwiązanie. Szedł za Biskupem i jęczał...

— Nie rozwiążę ci ust — nie — mówił Iwo — idź, módl się za grzechy, a ludziom męztwa potrzebnego nie odejmuj...

Doprowadziwszy Biskupa do kościoła, Hebda nie śmiał do niego wniknąć za nim. U progu się położył krzyżem...

Od tego dnia głosu z ust jego nie posłyszano, biegał tylko przerażony, rękami coś pokazując, bijąc się w piersi i szyję, to na zamek, to ku Północy palce wyciągając...

Przyszedł naostatek dzień do wyjazdu naznaczony. Zrana jeszcze księżna przybiegłszy do męża, próbowała go wstrzymać napróżno, potem sama towarzyszyć mu napierała się, a gdy i na to Leszek zgodzić się nie mógł, nieutulona w płaczu, w trwodze, otoczona niewiastami swemi, dotrwała aż do wyjazdu. Gdy książę wszedł żegnać ją, rzuciła się przed nim na ziemię i sługi ją podnosić musiały, bo powstać nie miała siły.

— Miła moja a najdroższa — odezwał się ściskając rozplakaną i osłabłą — a gdyby nawet w istocie, czego Boże uchowaj, ginąć mi przyszło! Bez woli Najwyższego stać się to nie może, poddać się jej potrzeba. Jeżeli krew moja przelaną być musi aby obrzydzenie mężobójstwa sprawiła i na wieki od niego wstrzymywała...?

Nie dała mu księżna mówić dalej. Leszek choć żałością tą osmucony chwilowo dobrej był myśli, podróż uśmiechała mu się — pokój złoty miał być jej owocem.

Nadszedł i Biskup Iwo pocieszać księżną a zapewniać że nad panem wszyscy czuwać będą, błogosławił i modlił się; mimo to gdy rozchodzić się mieli księżną omdlałą sługi na łóżko zaniosły.

Leszek już w pancernej koszuli, z hełmem na głowie, wziął jeszcze małego Bolka na ręce i przycisnął go do piersi, wziął Salomeę, która go zazdroszcząc bratu, za suknię ciągnęła i ucałował oboje.

Tęskno mu było rozstawać się ze swym dworem spokojnym, żoną i dziećmi, lecz trwogi nie miał żadnej.

Po drodze był Wrocław, z kąd książę zabrać z sobą miał już gotowego Henryka i Wrocławskiego Biskupa, chociaż ten raz już z Iwonem Odrowążem o pierwszeństwo hierarchii spór zawiodłszy, w którym Iwo ustąpił — nie zbyt się na zgromadzenie kwapił.

We Wrocławiu oczekiwano na Leszka z licznym dworem... Wyjechał Brodaty przeciw niemu z sercem dobrem i myślą dosyć wesołą. Nie zmieniło jej nawet to że Mszczuja spostrzegł w orszaku, przeciw któremu, choć się jego niewinność okazała jawnie, zawsze ząb miano za nienawiść ku niemcom. — On większy mógł mieć żal przeciw tym co go tak okrutnie męczyli, chociaż niewinności mieli świadectwo. — Trzymał się też na uboczu, do nikogo nie zbliżając, lubo Peregryn z rozkazu książęcego, pozdrowił go i rozmowę rad był zawiązać.

Przez dzień cały który we Wrocławiu przestać musiano, nimby książę Henryk przodem swój obóz wyprawił a Leszek spoczął, Mszczuj na zamku nie postał. Trzymał się gospody w mieście dla części dworu wyznaczonej.

Ze starszyni krakowskiej towarzyszył Leszkowi Marek Wojewoda, który w orszaku swym, choć nie jawnie, syna miał Jaszka, bo ten gwałtem mu się uparł i zaklął że choćby sam do Gąsawy podąży.

Wojewoda z synem zamieszkał u Sulenty, przyjmującego opiekuna swego z wystawą wielką. Sam on, żona, czeladź przybrana była świętecznie, dom kobiercami powyścielany, stół przez cały dzień zastawny.

Wojewoda zmuszony około księcia być, mało z tego korzystał, ale Jaszko, z obozu różnych przyjaciół sprosiwszy, nie zapominając o Nikoszu, kazawszy i drugich przywołać, używał ochoczo darów Sulenty. Wszystkiego było w bród, wesołość wielka.

Trusia wymienicie błaznował a i bez przypomnień przygodzie Mszczuja się nie obeszło.

Za czarownika go tu zawsze miano, dziwując że pobożny pan cierpieć mógł przy sobie.

Popiwszy się przyjaciele Jaszka i on sam, byliby poszli w skoki, starego Sulentę chcąc wciągnąć także, gdyby było im komu grać, ale gęźby nie stało. Wykrzykiwano więc w niebogłoso, korzystając z tego iż dworek kupca daleko był od grodu położony.

— Daj Boże, — odezwał się pół pijany Nikosz, — ażebyście tak wesoło wracali jak jedzicie. Mnie także kazano do tej Gąsawy z końmi, ano mi się tak nie chce, żebym się z tego wykupił.

— Jać wiem czemu, — rozśmiał się Jaszko, — wdowiczki ci twej żal! Wolalbyś przy niej i ciepłem piwku siedzieć spokojnie.

Nikosz się zawstydził i pogniewał trochę, nierad że o wdowie głośno mówiono.

— U pustych wszystko puste, — odezwał się gorąco — a macie wiedzieć że wdowa tak prawie jak zakonnica została...

Gdy Jaszko śmiał się jeszcze, Nikosz z powagą wielką rozpowiadać zaczął, że zakon Małuczkich (Minorytów) który w Krośnie zaprowadzono przyjmował osoby pobożne, żyjące w świecie do swego grona i pozwalał im pozostać w domu, byle pewne modlitwy, posty i umartwienia zachowywały.

Trusia chciał żartować że on się do tej reguły zapisze, byle mu co piątek rybę dawano tłustą, ale pobożny Nikosz uderzył go tak, zgorszony tą języka swawolą, iż błazen na ziemię upadł płacząc.

Łzy wprawdzie były zmyślone, lecz nie ważył się już żartować ani z wdowy ani z jej zakonu.

Jaszko tylko mniej daleko pobożny od wrocławian a zuchwalszy, dodał że wdowa pewnie z tego powodu, umartwiając się w piątki i środy Nikosza nie przyjmowała bo był — tłusty. — Śmiano się i szalano bez miary.

Nikosz ciągle był smutny.

— Mnie też podróż nie pachnie, — mówił — wszystko się jakoś składa na złą wróżbę. Peregrynowi z Weissenburga co jest przy księciu baba wyprorokowała że z drogi nie powróci — i stary się wypowiedział.

— A i to prawda — mruknął błazen seryo — bo to tego doświadczenie uczy że kto śmiejąc się jedzie, płacząc powraca.

— To tylko dla błaznów prawda! — zawołał Jaszko, — a nie dla nas co się ze wszystkiego śmiejem, a nigdy nie płaczem.

W Gąsawie będzie wesoło! hej! hej! Z Krakowa tam dużo pociągnęło co ja wiem, przekupniów i szynkarzy z beczkami i grajków i kuglarzy i pięknych dziewcząt, co nie miałyby bez nas co robić w mieście...

Trusia nastawił uszu.

— Miłościwy panie — jeżeli tam szynkarze są, i panny, a mięso się znajdzie, i ja bym się tam zdał.

— Ano, idź, jeśli zdążysz, oberwiesz i ty tam co, około panów gdy się im znudzi...

— Oberwać kułaka w bok, albo i kordem przez łeb — mruknął Trusia — nie konieczniem rad, a tam o to będzie łatwiej niż o denary.

I myślę sobie, jeżeli Peregrynowi tam ginąć, co wielki pan jest, cóż dopiero mnie?

— Masz wiedzieć — zawołał Jaszko, — że gdzie biją tam lepiej być w skórze małego człeka...

Trusia śpiewać zaczął i tak się rozmowa skończyła, bo też już języki chodziły jakby chodaki na nie ponakładano.

Nocą nadjechał z zamku Wojewoda i cały zbór synowski z Trusią razem przepędził.

Rano nazajutrz ciągnęli dalej, z większym orszakiem, mszy wprzód wysłuchawszy, przy której książe Henryk pobożnością swą budował wszystkich. Biskup wrocławskijechać nie chciał, opowiadał się chorym. — Archidyakon błogosławił na drogę i wszystkich ten lud ruszył, mając jeszcze spotkać się i połączyć z księciem Konradem, który bratu chciał towarzyszyć.

Tak w ciągu podróży rosło otoczenie Leszka, i siła jego.

Konrad obozem się położywszy w polu czekał na brata, i wyjechał na milę przeciwko niemu ze dworem swym, kapelanami, urzędnikami dworu i orszakiem znacznym, bo mu o to szło aby się w oczach ludzi niemniej okazał od Leszka.

Nie zawsze tam dostawało na występ świetny, ale choć pozór być musiał, aby dumie Konrada dogodził. Mszczuj spojrzął tylko gdy się witali na gościńcu, azali z sobą znowu nie prowadził Krzyżaków, nie dostrzegł ich tu jednak, czemu czy rad był czy gniewny, nikt z niego nie poznał. Od niejakiego czasu, gdy na dworze z rozkazu Biskupa znajdować się musiał, z twarzy mu nic wyczytać nie było można. Posępna była, jednaka, zobojętniała i zastygła. Chyba się Niemiec otarł o niego, to drgnął, albo gdy język posłyszał, który go drażnił.

Tu musiał nieustannie odwracać oczy, bo go razila owa niemiecka moda ówczesna, którą i większa część krajowców przyjęła była.

Suknie nie rzadko szyte od razu przywożono z Fryzyi, z Niemiec, a też same weneckie odzieże które w Niemczech noszono przychodziły do Polski. Wyglądała więc część znaczna rycerstwa zbrojnego też w oręż kupowany zagranicą, jakby sama z tamtąd przyszła.

Na Konrada i Henryka dworze, przybłądów z Saksonii, Szwabów, Frankonów i Turyngów było bardzo wielu, a gdy na noc przyszło stawać pod namiotami, i ludzie sobie podpili, pieśni Niemców miłośne rozlegały się dokoła.

Ciurów też za obozem się wlokących moc wielka cudzoziemców była. Jak przepowiadał Jaszko, siła handlarzy rachowała na zborzyszcze znaczne i przydługo trwać mogące, wieziono więc na wozach kupią różną choć nie bez obawy aby ją czeladzie po nocy nie rozrywały...

Niesworna służba panów pozwalała sobie bezkarnie. Mądrzejsi kupczacy brali się na sposoby, płacąc za opiekę obożnym i starszyźnie, która się za nich jak za swoich ujmowała.

I było zaprawdę ciągnięcie to powolne wesołe dosyć, a i urozmaicone, bo codziennie prawie co nowego spotykali. Ówdzie kościół i klasztor na drodze, kędy duchowieństwo wychodząc naprzeciw uroczyscie witalo i nabożeństwo odprawiano. Z klasztornych piwnic wytaczano beczki nietylko dla panów ale i dla służby.

Po miasteczkach rozkładano się w domkach i zbytki dokazywano. We wsiach wręście musiano różnie się obchodzić, wedle tego jakiemu prawu ulegały. Osady niektóre opierały się nic nie dawać tylko za grosz, bo z pod polskiego obyczaju były wyjęte gdy je zapisywano klasztorom i księżom. Drugie za to i owsa i siana dostarczyć musiały, będąc ziemiańskimi majątnościami. Trafiły się i kolonie i osadnicy niemieccy, których osobliwie szanowano, bo ci swoje teutońskie przywileje mieli za sobą.

Bywało że w pustej okolicy, pożywić się a ukryć nie znaleziono gdzie wcale, rozkładały się obozy w polu, na skraju lasu, u rzeki lub jeziora, których dalej a dalej coraz więcej się trafiało, i noc pod namiotami i wozami przechodziła.

W lesie książętom wszędzie było polować wolno, a choćby i księżę były, nie bardzo mimochodem zważano. Czasem się też myśliwi zapędzili za zwierzem że pół dnia spłynęło i na nocleg wyznaczony dociągnąć było trudno. Leszek i Konrad, oba w łowach mieli wielkie upodobanie, a książę Henryk dawniej myśliwy jak inni, przy nich nabierał też ochoty. Grały więc rogi i psy których za wojskiem i dworem szły gromady, wesołem szczeniem serca radowały.

Gdy się raz rozpoczęły gony owe za zwierzem, pamięci na granice i na prawo nikt nie miał, aniby się kto śmiał książętom przeciwzić. Jesień też właśnie była jak stworzona dla nich, pora najlepsza, i mało którego wieczora nie piekły się na ogniach sarnie i jelenie udźce i łopatki, a łosinę w kotłach dla pospolitych ludzi warzono. Na rybach nie zbywało po drodze i na tych co je łowić lubili. W ostatku błogosławiona owa kasza, pierwszy i najzwyczajniejszy pokarm, z ładająką omastą głód zaspokajała.

Ze stogi siana na drodze znikwały tak iż ich właściciele tylko drągi przy których były słane znajdowali — nie nowina to była, gdyż gdziekolwiek konni tłumnie ciągnęli tam się żaden stóg nie ostał.

Stawiano też je opodal od gościńców i od ludzkiego oka.

A choć na szkodników co barcie wydzielali, na tych co bobrowe góry psuli surowe były prawa, książęcy ludzie nie bardzo się na to oglądali, i w tłumie takim sprawcy dochodzić nie było podobna.

Dworom pańskim pod taki czas największa służyła swoboda, woleli też zawsze książęcy ludzie w podróży być i w pochodzie niż siedzieć doma; i myśl wesoła towarzyszyła im od rana do nocy.

Mszczuj tylko na uboczu się trzymał lub przy bracie Biskupie, albo przy księciu. Z tym jednak rzadziej się spotykał, bo panowie jechali zawsze prawie razem z sobą.

Książę Henryk nabożeństwem zarządzał i przypominał je, choć i Leszek opieszalym w niem nie był. Najmniej doń okazywał popędu Konrad, choć na duchownych przy nim nie zbywało. Ci zaś prawie świecką służbę sprawiali.

Już się cały ten tabór zbliżał do celu podróży, gdy jednego dnia przed wieczorem ujrano orszak dosyć znaczny, który zdawał się na jadących książąt oczekiwać.

Na czele jego stał mąż z cienkimi nóżkami na koniu, w którym poznano księcia Władysława starszego. Za nim cały dwór jego w dość rozpierzchłej i nieporządnej gromadzie i odzieży na której widać było ślady wojny, niewczasów i tułaczki; żwawą zajęty był rozprawą jakąś, bo wszyscy rękami wywijali i wrzawa z wykrzykami dochodziła zdala.

Leszek jak dla wszystkich dobrym był i uprzejmym tak dla Laskonogiego, który mu raz stolicy zając nie chciał bez zezwolenia, a potem z niej dobrowolnie ustąpił, okazywał czułość największą. Jak tylko go poznano sam on naprzeciw pospieszył. Ujrawszy to książę Władysław podjechał spiesznie i spotkali się podając sobie ręce.

Leszek za dobre ku sobie serce płacąc — witał prawie ze łzami, Laskonogi, któremu się nie powodziło i w opiece krakowskiego księcia całą miał nadzieję odzyskania swych ciągle najężdżanych posiadłości — nisko się skłaniał przed młodszym krewniakiem i pierwsze słowo które wyrzekł, było.

— Witajcie, dobry mój opiekunie... Już też bez was z ostatniegoby mnie bratanek wygnął. Widzicie, prawie tułaczem jestem... On i szwagier jego naposiedli się na mnie...

Ręką wskazał na niewielki dwór swój.

— Ludzi mało co przy mnie zostało! Ziemianie poszli za szczęściem, do Odonicza! Ratuj jakieś miłosierny!

— Bądźcie dobrej myśli, — odparł, — po to jedziemy do Gąsawy aby wasz spór z Odoniczem, a mój ze Świątopelkiem zakończyć zgodą — Bóg łaskaw, zrobimy ją!

Laskonogi się uśmiechnął, a że drudzy książęta nadjeżdżali, zbliżył się naprzód pokłonem witając księcia Henryka, który mu głowę skłonił, potem Konrada. Ten ledwie dał znak iż go poznał, popatrzył na mały i lichy orszak, na bladą i zmęczoną twarz Władysława i milczał.

Leszek który jechał przy Henryku, z drugiej strony dał przy sobie miejsce Laskonogiemu. Orszak jego z tyłu zajechawszy połączył się ze Ślązakami, Krakowianami i Mazurami.

— Czas było — począł Laskonogi, — abyście ład wprowadzili, wy i duchowni — bo naprzódby mnie wygnali precz a potem... poszliby na was...

— E! — zdala wtrącił Konrad — nie gniewajcie się za to co powiem, — dużoście sami winni. Odoniczowi zrazu potrzeba było dać część jego, byłby siedział na niej spokojnie.

— Mylicie się w tem, — odparł Laskonogi powoli i obojętnie, — jemu nigdy dosyć. — Krew w nim ojcowska, wszakci tamten przeciw rodzonemu naszemu się stawiał i z nim chciał wojnę prowadzić!

Mógłby poczekać, bom ja nie długowieczny, a syn księdzem, zabrałby i tak wszystko...

Ks. Henryk poruszył głowę.

— Dziw to, Władysławie mój — odezwał się — syna oblekliście w sukienkę duchowną, a sami sobie naraziliście księży! Z tego wszystkie nieszczęścia wasze — wierzcie mi. Z kościołem walka trudna!

— Ja nie walczę z nim — rzekł Władysław — ale on ze mną, wszystko mi krzyżują, w niczem pomagać nie chcą, muszę się bronić, bo bym inaczej przepadł!

— Niewiem kto z was winien — dokończył książę Henryk — a to pewna, że się duchowieństwo żali na ciebie. Odonicza byś zmógł, gdyby nie ono.

Poprawił hełmu książę Władysław, i nie mogli ciągnąć o tem dłużej rozprawy, bo dano znać że arcybiskup gnieźnieński Wojciech się zbliżał...

Poruszyli się wszyscy na tę wiadomość, przygotowując do przyjęcia go jako naczelnika kościoła i rzeczywiście naówczas najpotężniejszego władzcę.

Żaden z książąt pojedynczo nie miał tej, co on siły, wszyscy oni razem nawet nie mogli mu sprostać. Pominąwszy to że w dłoni pioruny anathemy dzierżał, był głową biskupów, był całego po wszystkich ziemiach duchowieństwa najwyższym pasterzem. — Wprawdzie nowe zakony jak reguła Dominika i Franciszka, starały się o to, aby niezależały od biskupów a zwierzchność swą miały w Rzymie, pasterze jednak pośredni wpływ mieli i na nich wielki i nie mógł żaden zakon sprzeniewierzyć się ogólnej sprawie kościoła.

Arcybiskup gnieźnieński w chwili, gdy króla jednego wszystkim tym ziemiom brakło, był istotnym ich i jedynym zwierzchnikiem, władza duchowna jedyną ich spójnią. Książęta musieli się korzyć przed nią, choć jak Laskonogi i Konrad czuli że ona ograniczała ich moc i uszczuplała samowolę.

Gdy się wspaniała orszak ukazał, i wóz szkarłatem okryty z baldachymem takimże nad nim, u którego złocisty krzyżek świecił, a przed nim krucyfer na koniu wiozący ciężki krzyż srebrny, dalej dwór i rycerstwo arcybiskupie i znaczny poczet duchownych, książęta posiadali z koni, pozdejnowali hełmy, i stanęli wszyscy oczekując na starca...

Sparty na lasce wysokiej z rękojeścią z kości słoniowej, — jechał siwy, poważny Wincenty z domu Nałęczów, okryty płaszczem z fioletowego bławatu podszytym sobolami, w czapce która książęcych kształt miała. Dwaj klerycy szli pieszo po bokach wozu, który konie pokryte oponami sukienkami ciągnęły.

Ujrawszy książąt, zwrócił się ku nim starzec i ręką na której pierścień biskupi wiadać było, złożoną do błogosławieństwa, począł zdala żegnać ich krzyżem, uśmiechając się łagodnie.

Zatrzymał się wóz szkarłatny, stanęli jezdni, Leszek pierwszy przyszedł rękę arcybiskupa ucałować. Cisnął się za nim Henryk, choć do zwierzchnictwa stolicy gnieźnieńskiej nie należał, dalej szli Laskonogi i Konrad.

Na obliczu arcybiskupa można było rozpoznać jaki go z niemi łączył stosunek. Po ojcowsku witał Leszka, z poszanowaniem Henryka, zimno i niemal surowo Laskonogiego z którym byli w nieustannych sporach — obojętnie Konrada.

Z biskupem Iwonem uściskali się jak bracia i jak równi, chociaż Iwo chciał w nim poszanować starszeństwo jego kościoła. Między Krakowem a Gniezmem, acz niebyło walki żadnej, obie stolice o znaczenie swe i wpływy zazdrośne były. Rosła powaga Krakowa, nie chciało jej ustąpić metropolitalnego swego majestatu Gniezno.

Okolo głowy swej znaleźli się tu już wszyscy pasterze, Paweł Grzymalita poznański, wiekiem najmłodszy, Jan Gozdawa płocki, Michał Kujawski; wszyscy polacy i dzieci tych ziem, których dusze mieli w opiece.

Miejsce w którym spoczywać miano, nimby się do Gąsawy nadażyło, było niedaleko — przy jadącym więc wolno arcybiskupie, posiadawszy na konie książęta jechali pomnażając orszak jego i dając mu przodować.

W istocie, starzec ten nawet dla nieświadomych dostojności jaką piastował, wydawał się tu panem i władczą, z książętą obchodził się jak z dziećmi swemi, chyliły się przed nim wszystkich czoła, była to jedyna potęga, której nikt sprzeciwić się, nikt nie mógł poważyc jej nieuznać.

Przed wielkim namiotem Leszka, który już rozbity czekał pod lasem, wysiadł arcybiskup Wincenty, którego wiedli dwaj młodszy biskupi, Iwo, potem książęta. Ponieważ pora była chłodna, w namiocie ułożone było ognisko pod dymnikiem, ziemia usłana futrami i stoły zastawione znaleźli. Dano miejsca pierwsze duchownym, przy nich zasiedli książęta, dalej urzędnicy ich, a czeladź posługiwała. W innych szałasach żywiło się rycerstwo swobodnie, a gmin przy prostych ogniskach. Podróżny ten obóz wyglądał okazale i malowniczo, ocieniony starymi sosnami, których zielone gałęzie wysoki nad nim dach sklepiły.

Obecność starego metropolity, nie dozwalała zbyt swobodnej i wesołej rozmowy, wszyscy też mieli na myśli sprawy ważne.

Arcybiskup pierwszy spytał Leszka, czy Władysław młodszy, Odonicz, przybędzie do Gąsawy i co słyhać o Światopełku.

— Mówią — rzekł krakowski książę — iż Odonicz razem z nami stawić się ma, ten zaś zapewne da sprawę o szwagrze swym, o którym nic pewnego nie wiemy.

— Myślę — przerwał ks. Konrad — że i Światopełk rozważywszy lepiej swą korzyść własną, na zjazd się stawi.

Marek wojewoda który też się tu znajdował, ozwał się.

— Niewątpliwie przybędzie, choć mówią, że się sierdzi, w obawie będąc aby mu siłą Nakła nie odebrano. Bliskość miejsca budzi w nim podejrzenie iż najprzód o twierdzę się książę pokusi.

— Jeżeli się opóźni z posłuszeństwem i należną pokorą — rzekł arcybiskup — nicby dziwnego nie było, by książę sobie sam sprawiedliwość domierzył. Powinien pospieszać tembardziej.

Książę Konrad spojrział dokoła i usta zagryzł, Laskonogi powiódł ręką, potrząsł głową i zamruczał.

— O! ze Światopełkiem nie łatwo będzie! On ci to wszystkiego sprawcą. Czuje się winnym i dla tego przed sąd stanąć nie rażno mu.

— Sąd?? — zapytał Konrad dwuznacznie.

— Sądem by to można zwać — rzekł arcybiskup. — Światopełk bowiem podwładnym Leszka jest i zawinił wiele, a my mamy moc sądzić go i karę domierzyć.

Zamilczeli wszyscy. Laskonogi chleb łamał, zadumawszy się.

— Bądź co bądź — rzekł — łagodnie z nim obchodzić się trzeba, aby dzikiego zwierza nie drażnić. Gwałtowny jest i gniew go zaślepia...

— Nie myślemy też — wtrącił Leszek — zażywać ani groźb, ani postrachów póki jest nadzieja przejednania.

— Zobaczemy co od niego Odonicz przyniesie — rzekł Laskonogi — i czy stawić się będzie.

Jeden z rycerzy stojących opodał w namiocie odezwał się półgłosem.

— Z Gąsawy przybyły komornik tylko co, opowiada iż ludzie i wozy Odoniczowe już tam przyciągnęły, i on więc niewątpliwie będzie.

Zwrócił się wzrok na mówiącego, potem wszyscy spojrzeli po sobie.

— Dobra wieść, dobra wróżba! — rzekł arcybiskup.

Gdy pod wielkim namiotem jeszcze wypoczywała starszyzna, w obozie samym, szczególnie opodal nieco od niego, wesoło zabawiała się drużyna panów, zapoznając z sobą, przypominając, schodząc w kupki, obsiadając kociołki, garnki i beczki przy których stali dozorczy, rozdając konwie piwa, i dzbanki miodu.

Marek wojewoda z innemi panami wysunął się wkrótce z pod książęcego namiotu, i jakby szukał kogo, poszedł stanowiska krakowian dopatrzyć, które opodal nieco, przy arcybiskupiem wyznaczone było. Wszedłszy tu, po głosie bardzo podniesionym, i śmiechu szerokim, łatwo trafił do syna. Znał go dobrze z tego, iż doń zawsze wesołe towarzystwo przylegało. W istocie i tu Jaszko sobie w drodze dobrał po swej myśli mazurów, szlązaków i niemców, z którymi ucztował bardzo wesoło.

Zdała skinął nań ojciec, ale go nierychło dojrzał Jaszko i musiał nań huknąć, aby do siebie przywołać.

Wstał Jaksza z wojsłoków na których mu wygodnie pół siedzieć, pół leżeć było, i podszedł do ojca, który go na stronę odprowadził.

— Dałbyś ty temu ucztowaniu pokój — odezwał się stary marszcząc — nie pora na to. W Gąsawie już Odoniczowi ludzie są, jak słyszę, potrzeba by ci tam pospieszyć, a ostrzedz Władysława, żeby z butą nie występował.

Pokornym niech będzie na czas, aby nie wywołał gniewu i nie obudził za rychło...

Na Światopełka wszyscy i duchowni zażaleni. Mało trzeba by nie wskazali na Nakło i nie popsuli wszystkiego...

Odoniczowi trzeba powiedzieć, aby się kłaniał, a Światopełka obiecywał. Na spóźnienie łatwa wymówka, córka lub syn chory.

Skinął na słuchającego Jaszka, któremu z twarzy widać było, że nie bardzo od swej gromadki chciał odjechać.

Nim miał czas się wymawiać, wojewoda postrzegłszy starego ochmistrza nadchodzącego — dodał żywo.

— Jedź ty mi zaraz z ludźmi przodem, abys dla mnie schronienie opatrzył i zapewnił. Stare kości go potrzebują. Jedź! jedź!

Przy obcym się już syn wymawiać nie mógł, zmarszczył się tylko, za ucho poskrobał i na pachółka zawołał.

— Konia mi siodłać!

Drudzy posłyszawszy to, sądzili że wszystkim dano hasło wyruszać, poczęli się zrywać do koni.

— Leżcie szczęśliwi! — zawołał Jaszko — macie czas jeszcze zęby popłukać, mnie tylko pan ojciec przodem śle...

Trafiło się że i Mszczujowi też przodem jechać potrzeba było, dla pańskiej sprawy. Ujrzawszy to Marek iż i on konie dawać kazał, namarszczył się kwaśny.

— Co tak spieszycie? — zapytał.

My starzy mamy prawo spoczywać. Macie co powiedzcie mojemu posłańcowi, a sami zażyjcie wczasu.

— Wszystko jedno! — mruknął Waligóra — wszak ci w Gąsawie będzie czas się wyleżeć.

Podejrzliwym okiem popatrzał nań wojewoda i umilkł. Jaszko zwolna tak od towarzyszków do konia szedł, że się dał nawet Mszczujowi uprzedzić...

Marek zbliżył się do siedzącego na koniu i Mszczuja już jadącego mu wskazał.

— Mieżże rozum — szepnął — nie szukaj jawnie rozmowy z Odoniczem, bo ten stary ma dwoje oczów, które widzą i po nocy, a to wróg nasz... Nie darmo tak spieszy...

Jaszko pochylił się ku ojcu.

— Zbędziemy się i tego! — rzekł wesoło — za jednym razem!

Rękę podniósł do góry, na konia cmoknął, towarzyszków pozdrowił i pędem puścił się w stronę Gąsawy.

W godzinę dobrą po nich dopiero z obozu panowie ruszać się zaczęli, po odprawionych modlitwach, którymi arcybiskup chciał wyjazd poprzedzić.

VII

Znikła Gąsawa, osada niewielka wówczas wśród obozów, szop, stajen, szałasów i namiotów, które się w koło niej rozłożyły.

Na kilka dni przed św. Marcinem już tu gwarno było jak na targowisku i ci co się zabierali korzystać z wielkiego zbiegu tyłu dworów, zawczasu się pomieścili po różnych kątach.

Nad skleconemi na prędce szałasami gdzieś zielone wiechy szynków widać już było, indziej rozmaite znaki. W kilku kuźniach na pół w ziemi pracowały miechy, w innych kociołki parzyły się ze strawą, około której stare baby się uwijały. Niemcy porozkładali swe kramiki, porozwieszali płachty różnobarwne; kaftany gotowe, nawet kawalki zbroi i noże zapaśne, jakich używano.

Szewc z Saksonji wystawił buty owe z nosami, które były oznaką wytworności i zamocności... Włoch rozwiesił błyskotki i fraszki. Nieuchronna przy obozie gawiedź płci obojga, kuglarze, blazny, dziewczęta z kwiatkami na głowach, fartuchami podkasanemi i nożykami u pasa, zawodziły półgłosem piosenki, trzymając się nieco zdala.

Namioty i budynki mające książąt pomieścić, otaczały rodzaj rynku do koła. Przed każdym z nich stały drągi wysokie na których chorągwie zawieszono być miały. Z tyłu za nimi wielkim kołem podzielonem na części, które średnim budynkom odpowiadały, szły obozy każdego z panów tak, że swych ludzi tuż za sobą mieli.

W pośrodku na placu wyładowywano wozy, przeprowadzano konie, starsi z laskami białemi utrzymywali porządek. Z trudnością to przychodziło, bo we zbiorowisku takim ludzie nieustannie to o miejsce, to o żywność, to po pijanemu o nic się spierali.

Około dworu Leszkowego, nieopodal wspólna dla wszystkich wystawiona była łaźnia, z której dachu noc i dzień wychodził dym i para się dobywała. Wielkie kamienie nagromadzone około olbrzymiego ogniska, musiano ciągle do czerwoności rozpalać i wodę na nie lać, aby każdego czasu można się było parzyć. Ławy w niej szły do koła ogniska aż do szczytu, ogromne stopy winników, sukien i płótna, leżały na dolnych dylach i ludzie nadzy do pół ciągle do posługi byli gotowi...

Dla pospolitego ludu łaźnie były mniejsze opodal.

Przy pańskim budynku niewytwornym, na mech skleconym, a dranicami pokrytym, długa szopa słupami wewnątrz podparta, przeznaczona była na wspólne uczyty i narady. Tu się i paręset ludzi pomieścić mogło.

Pomiędzy książęcym dworem, a domem arcybiskupim obszernym, bo się tam niemal całe duchowieństwo, oprócz kapelanów miało mieścić, nieco wyższy drewniany, szczupły budynek na kaplicę był przeznaczony, gdyż kościoła we wsi nie było. Drewniany krzyżyk na dachu odróżniał go tylko od innych...

Rynek ten choć nie wytwornie, ale dosyć chędogo wyglądał, dwory były ze świeżo ściętego drzewa powznoszone czysto i zręcznie. Tu i owdzie nawet słupki pozaciosywano foremnie, a przy dachach powycinano małe ozdoby. Okienka niewielkie, miały z wewnątrz zasuwę, a dla ciepła i sukienne zasłony. Podłogi nie wszędzie wypieszono, zastępowały je klepiska jedliną i słomą pokryte.

Listopadowy chłód zmuszał już ogrzewać się wszędzie, zawczasu więc dnia tego obłoki dymu się unosiły nad obozowiskiem, i wiatr je jak chmurę unosił powoli ku lasom, które zewsząd widnokrąg zamykały.

Stały do koła placu dwory książęce, arcybiskupi, łaźnie, izbice, komory powyznaczone zawczasu tak, aby każdy miał osobne schronienie. Więc i dla Światopełka domostwo było przy Odoniczowem — ale te dotąd pustką stało.

Około chaty Plwacza garść się już ludzi zwijała, gdy Jaszko przybył nad wieczór. Mógł się tu zbliżyć nie obudzając podejrzeń, bo Mszczuj wcześniej przyjechawszy, Leszkowe komory oglądał i dla pana przysposabiał przyjęcie.

Z tym jednak dworem Plwacza jaki tu zastał Jaszko, nie bardzo się mógł rozmówić. Kupka czeladzi, której komornik jeden zbrojny dobrze ale do posledniejszej należącej drużyny przewodził, trzymała się tchórzliwie i na uboczu. Na tego, gdy Jaska zawołał i spojrział, widział od razu iż mu się zwierzać nie mógł.

— Kiedyż książę Władysław tu będzie? — zapytał.

Zbrojny człek zająknął się, pomyślał, splunął, kołpaka poprawił, spojrzął na pytającego i nierychło wycedził:

— Albo ja to wiem?

— A cóż wam przykazano? — pytał Jakska.

— Co? — odparł komornik. — Kazano jechać zająć gospody i stać. Więcej nic.

— Więc księżę rychło nadciągnie?

— Nie wiem — rzekł człek.

— Gdzieżeście go zostawili? — pytał Jakska.

Pomyślawszy, zamruczał spytany.

— A w polu?

— Daleko ztąd?

Znowu się zadumał komornik.

— W ciągnieniu? — krzyknął Jakska.

Kiwnął głową spytany.

— Tu ciągnie?...

Czekał chwilę na odpowiedź.

— Albo tu, albo nie tu — wybąknął tem badaniem niecierpliwicy się człek do dawania odpowiedzi nie przygotowany...

To rzekłszy i uznając zapewne że obowiązku odpowiadania nie miał, a bezpieczniej było od pytań się schronić, wszedł spokojnie do budynku drzwi za sobą zamykając znacząco.

Gawiedz która była świadkiem rozmowy, gęby sobie zaczęła zatykać, aby się nie śmiać z tego jak zręcznie ich starszy natręta odprawił.

Jakska klnąc po cichu, został jeszcze chwilę na koniu przed domem, podumał i w końcu zawracać musiał. Nie miał tu co robić. Skorzystał więc z wolnego czasu, aby się rozpatrzeć i nim panowie nadjadą cokolwiek rozgościć.

Obszedł płacyk do koła, konia wodząc za sobą, tu i owdzie spytał włóczących się gdzie dla kogo naznaczona była gospoda. O Leszkową nie potrzebował się dowiadywać, bo ta znaczną była.

Gdy tak błędził a ziewał Jakska, dosyć odarty człek w kożuszku krótkim z pomiędzy dwu budynków się wysunął i zaczął mu przypatrywać.

Jakska byłby przysiągł, że go naówczas gdy z Płocka do Uścia jechali ze Światopełkiem, widział w jego orszaku i przy jego boku. Człek był do poznania łatwy i po tem, że w czarnej brodzie gęstej miał głęboki szram od cięcia jakiegoś na którym mu włosy nie rosły. Ręką wprawdzie zagarniał go ciągle niespokojny, lecz Jaszko już go był dostrzegł i prawie pewien był, iż jednego ze Światopełkowych, najbliższych dworaków miał przed sobą.

Przypomniał nawet sobie, iż go pomorski księżę wołał po nazwisku Inwara. Wlepił w niego oczy tak ostro, iż poznany człek chciał zaraz skryć się między dwie ścianki zkąd wyszedł, lecz Jakska mu nie dając uskokczyć, ręką pochwycił za ramię — i szepnął.

— Inwar!

Drgnął poznany ów, a wpatrzywszy się lepiej w Jaszka dopiero nabrał odwagi.

— Łaziebny, łaziebny Supel, nie żaden Inwar... począł mruczeć.

Ludzie stojący na placu patrzali, Jaszko więc krzyknął nań, aby mu konia trzymał i o łaźnię począł pytać. Tymczasem się oczyma porozumiewali.

Zażądał zajrzeć do łaźni.

Konia przywiązano do drąga, który tam był wbity na słupach umyślnie i weszli do niej razem.

Ognisko już gorzało straszne pośród głazów, pary pod dachem pełny był budynek...

Łaziebnicy inni uwijali się opodal. Poczęli szeptać i rozmawiać prędko, Jakska dał mu znak i weselszy z łaźni wyszedł nazad.

Co chwila już można się było przybycia książąt spodziewać. Robiło się ciemno, ale do koła były poustawiane becзки smolne, które gorzeć miały dopóki by się ludzie nie rozmieścili.

O mroku zapalono je, a w tem też i głosy zdala, rzenie i tentent koni, — pokrzyki i trąbki oznajmiły przyjeżdżających.

Próżniaczy tłum zbiegł się patrzeć, cisnąc po za budowlami i między niemi. Jakska skrył się do dworów dla Leszka przeznaczonych...

W kapliczce zapalone światła, otwarte drzwi do niej naprzód wzywały, jakoż arcybiskup, duchowieństwo, książęta, skupili się tu naprzód wszyscy i z koni zsiadać zaczęli.

Wchodzili z kolei, gdy Leszek w progu potknąwszy się padł tak, iż ledwie go idący tuż książę Henryk podtrzymał aby nie legł na ziemi. Uderzył się twarzą o uszak drzwi i krwią splunął, lecz wprędce podniósłszy się i niedając nic poznać po sobie, choć blady i strwożony, pospieszył uśmiechając się ku ołtarzowi.

Wszystko to trwało zaledwie okamgnienie, zdawało się nawet, że nikt oprócz ks. Henryka nie dojrzał tego upadku — Konrad tylko zmierzył oczyma brata, ale nic nie rzekł.

Kapłani stojący przy ołtarzu, pieśń do Ducha Świętego, dobrej rady nucili.

Po krótkim tem nabożeństwie i pobłogosławieniu przez arcybiskupa, który święconą wodą przytomnych pokropił, wszyscy pospiesznie rozchodzić się zaczęli i gwar rozdzielił na wsze strony...

W wielkiej izbie zastawiono jadło i przyjęcie dla gości, po budynkach kręcili się ludzie ze światłem, wyładowywano wozy, wiązano konie, kijmi zaprowadzano porządek, a na wysokie drągi pozaciągano chorągwie i Leszkowa z jeźdźcem a niedźwiedziem, zaszumiała nad dachem dworca.

Wysłany na zwiady Mszczuj, przyniósł panu wiadomość iż Plwacza jeszcze nie było i ludzie jego nie wiedzieli, kiedy się go miano spodziewać.

Nazajutrz już obóz wydawał się jakby stanął od dawna, rozpatrzyli się wszyscy i przewidując że tu dość czasu stać będą, rozgospodarowywali się wygodniej.

Bez Odonicza i Światopełka nic poczynać nie było można, czekano więc na nich. Lecz dzień ten upłynął cały, a o Plwacu nie przysły wieści żadne, śląc po niego posła było próżno, bo czeladź nie umiała powiedzieć gdzie się znajdował.

Drugiego dopiero dnia po nabożeństwie, dano znać księciu, który u Iwona biskupa siedział, że w polu się ukazał oddział rycerski, który pewnie Odonicza prowadził. Nie uchodziło ani wychodzić przeciw niemu, ni okazywać, że go tak bardzo tęskno oczekiwano. Na dany znak tylko ludzie rycerscy około dworu stanęli zbrojni, a książę u siebie pozostał.

Orszak który postrzeżono zdala, zbliżał się zwolna bardzo, i nierychło zaczął wsuwać się pomiędzy budynki ku placowi. Plwacz dbał o to, aby nie pośledniej wystąpił od innych. Na ludziach jego widać było że im pomorscy kupcy broni dostarczyli i sukni, po których łatwo poznawano naówczas z kąd kto co wziął i z kim trzymał.

Plwacz sam odziany w zbroję, w hełmie z piórkiem, na koniu okrytym luskową oponą, strojny w pas złocisty, w łańcuchy i świcidla, w bok się trzymając, ale blady i pomięszany podjechał pod dwór Leszkowy.

Zsiadł oglądając się podejrzliwie, a gdy mu wskazano wnijście, powoli iść zaczął hełmu nie zdejmując aż w progu. Za nim też szli, kapelan Arnold i dwóch bogato odzianych, Konrad z Górek i Olech ze Swidnej pułkodowódzcy jego, piękni ludzie z wielką butą.

Dla gwałtownego człowieka jakim był Plwacz, utrzymanie się w mierze i spokoju, było trudnem, drgał więc i pluł ciągle, usiłując się do pokory zmusić.

Leszek stał, oczekując nań przy siedzącym arcybiskupie, po za niemi dwór, w głębi Konrad, który naprzód nie chciał wystąpić. Milczenie panowało przykre dla tego, co je pierwszy miał przerwać.

Dosyć pokornie skłonił się Plwacz, oczyma zaraz powiódłszy, czy w gromadzie naprzeciw siebie stryja i nieprzyjaciela Laskonogiego nie zobaczy.

Nie było go tu, bo się nie spieszył zetknąć z tym bratankiem z którym zaciętą wiodł walkę. Plwaczowi też lżej się zrobiło, gdy go nie znalazł i zaczął witać Leszka.

— Otom jest i stawię się na zawołanie — rzekł — wam i ojcom naszym duchownym zawsze chętnie posłuszny...

Leszek skłonny do widzenia wszystkiego dobrem, a łagodzenia każdego zajścia, ruszył się zaraz ścisnąć go, co z pewnem wahaniem przyjął Plwacz.

Czuł, że nie był tej uprzejmości godnym.

Jakby dla zaochocenia do swobodniejszej rozmowy, przemówił biskup Iwo, zagaił coś obojętnego Leszek, inni mięsząc się poczeli, podszedł i Konrad. Dano znak Plwaczowi aby siadł na ławie, co on nie bez wahania spełnił zmuszony, bo siedzieć ani lubił, ani

umiał, a potrzebował być ciągle w ruchu. Oczy jego biegały też niespokojne po twarzach i plucie nałogowe nie ustawało, choć się z niem odwracał to w tę, to w drugą stronę.

Leszka twarz jaśniała radością. Przybycie Odonicza było połową zwycięstwa.

Odwiódł go do bocznej komory, ręką objąwszy i okazując uprzejmość wielką.

— Dobrze żeś ty przybył, boć wiesz — rzekł, iż wam obu dobrze życzę i z Władysławem starszym pojednać pragnę.

Plwacz zzymnął się i potrząsł rękami, chcąc ukazać jak mało w to ma wiary.

— Pojednać się musicie — ciągnął dalej ks. krakowski — ale i moja sprawa ze szwagrem twym musi się rozstrzygnąć. Postąpił sobie nie jako podwładny mój, lecz jako wróg.

Plwacz zaprzeczył mrużeniem.

— Wszystkobyśmy wybaczył, ale Nakło!

Ruszył ramionami Odonicz i szybko wtrącił ręce rozkładając szeroko.

— Nakło! Nakło! do Pomorza zawsze należało! należało!

— Krzywousty je zawojował dawno i odjął mu, musi mojem być. Nie da po dobrej woli, wezmę siłą.

Plwacz zaczerwienił się mocno i dwa razy splunął, zająknął się, nie chciał odpowiedzieć.

— Rychło przybędzie Światopełk? — spytał Leszek.

Plucie powtórzyło się jeszcze, i nim odpowiedź wyjąknął Odonicz otarł brodę i wąsy, a musiał z trudnością dobywać głosu.

— Nie wiem — rzekł — przybędzie... ale kiedy? dadzą znać, ja go dawno nie widziałem.

Popatrzał nań Leszek zdumiony.

— Któż będzie wiedział, jeżeli wy nie umiecie powiedzieć?

— Trzeba ślać — zapytał?

Zaciął się nieco. Światopełk boi się... Doniesiono mu, że na niego wszystek gniew, że dlań przebaczenia nie ma — cóż? lęka się?

I Odonicz nie mogąc w miejscu ustać spokojnie, począł przed Leszkiem chodzić, szukając kątów do plwania... Zmieszany był, nie podnosił oczu...

— Władysławie — odezwał się Leszek, wpatrując w niego. — Lepiej wy od Światopełka znać mnie powinniście, wiecie żeś prędeż do przebaczenia skłonny, niż do potępienia. Światopełk nie ma się tu lękać czego, a gdy się nie stawi, więcej obawiać się może... Ślijcie wy od siebie do niego, aby nas tu próżno nie trzymał.

— Ja? ja? — opierając się zawołał Plwacz — ja? nie! — wy — poślijcie, macie prawo...

— Mówiliście, że obiecał przybyć? — zagaił po krótkim milczeniu Leszek.

— Sądzę — sądzą! pewnie! Przybędzie choć się lęka — rzekł pospiesznie Plwacz. — Przyjedzie choć się waha — stanie.

Spuścił oczy i głowę i potwierdził raz jeszcze.

— Przyjedzie pewnie. Cóż ma czynić — jeden przeciw wszystkim...

Książę uspokojony tem, zamilkł.

Z ciasnej komory, w której było posłanie Leszkowe, wyszli znowu do izby, między zgromadzonych książąt i biskupów.

Ci na Plwacza z niedowierzaniem jakimś spoglądali i ciekawością, on zaś czując te kolące go wzroki, wił się niespokojny pod nimi. Każde głośniejsze odezwanie się drażniło go i głowę odwracał nasłuchując. Czuł się tu obcym wśród nieprzyjaciół, tylko ku Konradowi nieśmiało ukradkiem niekiedy spozierał, ale ten wejrzenia jego unikał.

Biskup Iwo baczniej patrzący na ludzi i czujący darem bożym co się w ich duszy działo, ze znalezienia się Plwacza źle wnioskował, choć Leszek był mu rad nad miarę i ze szczególną czułością starał się go ośmielić. Nieodpowiadając na to równą uprzejmością, Plwacz chodził jak wilk, wzrok ciągle spuszczał, mrużąc i uchylając się od krakowskiego księcia.

Na drzwi spoglądał ciągle, bojąc się aby nie wszedł Laskonogi, który też nie bardzo do tego synowca nieprzejednanego chciał spieszyć.

Ponieważ rokowań żadnych dnia tego nie było, rozeszli się wszyscy po izbach swoich i po kątach...

Z Trzemeszna przybyli Cystersi do arcybiskupa i do księcia z żalami, prośbami i podarkami zajęli popołudniowy czas niemal cały.

Plwacz nie pokazał się już dnia tego, zmęczeniem wymawiając. Późno w noc od tyłu wszedł do niego Jaszko.

Odonicz leżący i drzemający na posłaniu uląkł się gdy posłyszał nadchodzącego obcego czлека, którego mu oznajmiło pachole — obawiał się, niewiedział czego, posadzając o zdradę, gdyż sam w sercu ją miał.

Jaszka sobie nie zaraz przypomniał, musiał mu powiedzieć gdzie i kiedy go widział, z kim w Uściu się znajdował. Dopiero Plwacz ochłonął. Wszakże jeszcze był niedowierzającym.

— Jam prawie życie ważył — odezwał się Jaszko cicho — chcąc się do was dostać. Ojciec mój Marek Jaksa wojewoda, sam nie może, posłał mnie.

— Z czymże? z czym? — plując i rzucając się zapytał Odonicz.

— Przestrzega ojciec aby Leszka nie gniewać, do czasu pokorę grać i Światopelka obiecywać... aby się go spodziewano. Inaczej pójdą na Nakło. Wszystko przepadnie!

Bystro popatrzał nań Władysław, zaciął usta.

— No, no — rzekł nadąsany — wiem ci ja co poczynać mam, nauk od nikogo nie potrzebuję. Powiedz ojcu niech będzie spokojny. Wy zaś, kiedy się o szyję boicie, nie chodźcie do mnie.

Ostro przyjęty Jaszko pogniewał się, za czapkę chwyciwszy, szparko się rzucił ku drzwiom okazując Plwaczowi że go obraził, lecz ksiązę się pomiarkował i zawołał.

— Słyszysz! co mówią tam u Leszka?

Choć nie z wielką ochotą Jaszko się zwrócił.

— Wasza miłość jeżeli nas nie potrzebujesz...

Plwacz zniecierpliwiony podszedł i chwycił go za opończę.

— Czego potrzebuję o to pytam! — zawołał groźno. — Co tam z waszych rad wypadło? O czym tam u Leszka duchowni i świeccy radzą? To mi mów, to ja wiedzieć chcę.

— Teraz już o Światopelku tylko mówią — odparł Jaksa — bo was pewni, jakby w garści mieli.

Plwacz wykrzywił usta i śmiać się zaczął.

— Czekają na Światopelka? — zapytał.

— Dotąd jeszcze nie tracą nadziei — zamruczał Jaksa.

Odonicz przeszedł się po izbie, a że psy w niej mu na drodze leżały, jednego i drugiego uderzył tak że ze skomleniem precz poszły.

— Długo oni tak czekać mogą? — zawołał stając. — To mi wiedzieć potrzeba, to, nic więcej, można ich trzymać jeszcze dni kilka, żeby na Nakło nie szli.

— No — kilka dni! kilka dni! — odezwał się powolnie Jaksa — ale zwlekać nie można.

Leszek i sam Nakło chce odebrać koniecznie i drudzy go do tego namawiają.

— A o ciągnięciu na Nakło nie słyhać jeszcze? — dodał Plwacz.

— Dotąd nie, bo w Światopelka wierzą iż przybędzie — rzekł Jaszko.

— A jakże! przybędzie! o! pewnie, będą go tu mieli! będą! nie zawiedzie! za to i przysiądz gotowym.

I śmiać się począł, zęby czarne pokazując.

— Gotuje się z wielkim dworem, jak mi żona i dzieci miłe — mówił Odonicz sztydersko. — Przybędzie, ino trochę cierpliwości...

Jaszko zbliżył się ostrożnie do Plwacza i począł mu szeptać do ucha.

— A i chwilę w odwiedziny trzeba taką wybierać jak należy, albo w pierwospy, lub na zaraniu... bo straży jest dosyć, jak się to po obozie rozsypie, nim się zbierze i trwogę poczuje, będzie czas...

Mrugnął, jedno przymrużając oko.

Odonicz głową obojętnie poruszył uśmiechając się, i ręką dał znak, że słuchać dłużej nie potrzebuje, bo sam wie co czynić.

— Byle się na Nakło nie wybrali przed czasem — zamknął. — Tego pilnować. Niech czekają...

Poszeptali coś jeszcze i Jaksę się wymknął, a Odonicz wypluwszy się, znowu na łóżko padł, przykazując wprzód swoim ludziom, aby koło dworu czuwali. Niedowierzał tak, że zbroję koło siebie tuż i miecz postawił, a sukni na noc nie zrzucił.

Laskonogi też w trwodze u siebie zamknięty siedział, naglącać przykazując i ludzi nie puszczając od siebie.

Leszek zaś zawsze ufny i dobrej wiary, pieczy około swojego bezpieczeństwa miał jak najmniej. Straże które Mszczuj stawiał do koła dworu, książę rozpuszczał, rycerstwo krakowskie porozdzielwane leżało pod namiotami, zabawiając się, bo już i gęślarzy i błaznów i kuglarzy było coraz więcej z dniem każdym. Śpiewano i swawolono swobodnie, z czego książę się cieszył, nie pozwalając im psuć dobrej myśli, bo rad twarze wesole widział w koło siebie.

Drugiego dnia rano, po nocnej burzy, gdyż wichur wielki szalał od północy aż do dnia, gdy książęta do kaplicy szli, w której arcybiskup cichą mszę miał odprawiać; Konrad obejrząwszy się po niebie, bo chciał o pogodzie wróżyć, postrzegł pierwszy, iż chorągiew Leszkowa, która przed dworem stała, niewiadomo od wiatru, czy od złośliwej ręki uszkodzoną była.

Na płachcie tej, wymalowany i wyszyty był znak książęcy, ten sam co na pieczęci, rycerz konny, na którego niedźwiedź napada... Chorągiew była na poły rozdarta, niedźwiedź na niej tylko cały pozostał, a rycerza głowy i rąk brakło zupełnie.

Leszek niewiedział tego i do kaplicy wszedł, a tymczasem stary Mszczuj, przestraszony, natychmiast płachtę ściągnąć kazał i posłać ją do Trzemeszna do klasztoru dla naprawy, w nadziei że niepostrzeże książę, iż jej na chwilę nie stało. Gotową też miał odpowiedź na pytanie, gdyby Leszek o chorągiew zagadnął, że dla wichru wszystkie pozdejmowano.

Inne też z drągów kazał poznać.

Z kaplicy wychodząc książę, przypadkiem podniósł głowę, zobaczył iż chorągwi czerwonej nie było, lecz innych też nie widząc, nie spytał nawet o nią.

Na Mszczuju starym uczyniło to wrażenie wielkie, bo jak wszyscy wówczas, zaboronny był i we wróżby wierzył. Sprośnie tak poszarpana chorągiew, gdy ją sam bliżej jął rozpatrywać, okazała się chyba nie od wichru podarta.

Waligóra nikomu o tem nie rzekł nic, zaufanego czelaka posłał do księży, o pośpiechu nagląc, ale sam chodzić począł jak struty.

I co mu wprzód wcale w oczy nie wpadało teraz niepokoiło.

Nocą obchodząc plac, bo spać nie mógł, najrzał kogoś wsuwającego się do Plwacza, zakradł się więc, czyhając na powrót jego i doszedł, że to był syn wojewody, który potem wrócił do jego namiotu.

Podszuchał tegoż samego naradzającego się potajemnie z łaziebny, którego i tak miał w podejrzeniu. Zaraz nazajutrz owego Supła kazał pojmać i uwięzić, co uczyniono, ale nad wieczór się rozplątał i umknął.

Baczny na wszystko Mszczuj, im mniej sam Leszek dbał o swe bezpieczeństwo, tem więcej czujności przymnażał. Niepokój niewysłowiony niedawał mu chwili usnąć, trwożył się nieustannie a że różne poszlaki i poznaki potwierdzały te obawy, poszedł w końcu z niemi do brata Iwona.

Tego teraz rzadko było można samego i wolnego znaleźć, bo albo z ludźmi był, lub spieszył do zaniedbanej modlitwy.

Dla niego sprawy państwa i kościoła, nie były żadną wymówką od obowiązków duchownych i kapłańskich i jeżeli we dnie na modlitwę nie miał czasu, odkradał go nocy.

Tak też Mszczuj go zastał klęczącego przed krucyfiksem, z obnażonymi plecami, z dyscypliną w ręku i skrwawionego już... Ledwie miał czas płaszczyk na ramiona narzucić i skryć jak mu się zdawało, to co czynił, przed okiem brata, bo się ze swoją surowością i pobożnością taił przed ludźmi...

Mszczuj też uczynił tak jakby nie widział nic.

Modlitwę ukończywszy ziemi ucałowaniem wstał Biskup i z twarzą na podziw wesołą ku bratu pospieszył. Ten miał tak posępne wejrzenie iż od razu widać było że nie z pociechą przychodził...

— Mszczujuj mój — coć jest? Jużto znużonyś czy strwożony czem? — zapytał.

— Rzekłeś — odpowiedział Waligóra — tak — strwożony. Naganisz ty mi to pewnie, alem nie winien że mnie ciągle niepokój ogarnia. Nie o siebie zaprawdę — o pana.

— O pana? — spytał Biskup — a cóż cię trwoży?

— W powietrzu coś niedobrego czuję, — mówił stary. — Gdybyś mi kazał powiedzieć com widział i słyszał, nie umiałbym się tłumaczyć... a boję się. Plwacz ma tu jakieś związki, spiski... coś knują!

— Po czym to poznajesz? — spytał Biskup...

— Ludzie po obozie się wałęsają obcy, podpatrują, wysłuchują, poją... — mówił Mszczuj. — Pomiędzy naszymi swawola i pijaństwo straszne, a do niego jakaś niewidzialna ręka popycha i nastrocza... W szynkach za pół ceny piwo i miód tęgi dają...

— Masz prawo — pilnuj, a co złego jest precz z obozu wyżeń! — odezwał się Biskup.

— Tom ja czynił — odparł Mszczuj, — ale plugastwo powraca, a i z naszymi ludźmi nie łatwo, bo go bronią i kryją. Dobrze im z tą swawolą.

Biskup się namyślał nieco.

— Podejrzliwość zbytnia i nieufność grzechem też jest, mój bracie miły, — odezwał się. — Ja w tem nie widzę tylko chęć niegodziwego zarobku...

— Kiedy napoje szynkują prawie za darmo! — odparł Mszczuj. — Komuś więc o to idzie aby lud nasz wciąż pijanym był...

Biskup zamilkł.

— Ha — czyni coś każe miłość twa dla pana i wierność jemu. Czyń, a nie trwoż się. Jeżeli w tem wola Jego, uchroni nas ode złego, a jeżeli inaczej naznaczono w niebie żadnem czuwaniem nie ujdziemy wyroku...

Tu Biskup przerwał, ocierając oczy.

— Mamci ja rzec co w mej duszy tkwi? — odparł. — Pocóżbym taił? Otom i ja smutny a mało się spodziewam po zjeździe, choć on wiele obiecuje. I ja się obawiam nie wiedząc nawet czego... Lecz mogą to być trwogi i pokusy złego ducha, który zawsze czyha na człowieka aby mu siły odjął. Modłę się przeto.

Spuścił oczy Iwo.

— Jeszcze trochę cierpliwości, — dodał, — maluczko a skończy się niepewność nasza. Jeżeli Światopełk nie przybędzie a nie da o sobie znać, — zamiast tu darmo obradować, pójda na Nakło, a my wróciemy do domu...

Mszczuj ręce podniósł do góry.

— A! takby odrazu uczynić było potrzeba — zawołał z siłą — — iść na gród, zdobyć go, dopieroby Światopełk zmiękł zobaczywszy że mu to bezkarnie nie ujdzie... Leszek za dobry i za powolny jest, uzuchwała go... Mnie też — o! stokroćby lżej było wdziać zbroję i mury tłuc, potykać się, bodaj ginąć, niż tu bezsilnemu siedzieć, patrzeć, gnić i nic nie módz!

Iśćby nam! iść! tak! a potem choć przebaczyć, ale wprzódy zuchwały kark mu ugiąć.

Biskup słuchał spokojnie.

— Mówciez to panu, — odparł, — bo mnie duchownemu do wojny zachęcać nie godzi się! a są ludzie co Leszka nadziejami ludzą.

— I to może aby na czasie zyskać tylko — zawołał Waligóra, — który im na coś jest potrzebny...

Biskup niespokojnie spojrział na dogorywającą lampkę włoską, której knot syczał i pryskał. Było to znakiem dla Mszczuja aby się oddalił, w milczeniu więc, tak smutny jak przybył, wyszedł z powrotem.

Następnego dnia we dworze od rana ruch był wielki. Leszek chciał koniecznie sprowadzić u siebie Laskonogiego z Odoniczem. Od czasu jak ten przybył nie widzieli się tylko zdala, unikali od siebie. Gdy jeden u Leszka był, drugi u siebie siedział, slali się dowiadywać i Odonicz nie poszedł gdy o stryju zasłyszał, Laskonogi gdy o bratanku mu doniesiono, iż był u Leszka.

Stronili tak od siebie przez dni kilka, aż z porady Arcybiskupa postanowiono ich sprowadzić koniecznie razem i pierwsze lody przełamać do pojednania.

Gdy o tem oznajmiono Odoniczowi rzucił się jak oparzony, wykrzykując a plwając i wołając, że się to na nic nie zdało, że już raz Henryk zgodę między niemi robił, a przecie krucha była i niedługo strzymała, że i terazniejszej wróżba nielepsza.

Ledwie go uchodzono...

— Po toście przecie tu przybyli! — rzekł książę Henryk, który posłem był. — Ma się co robić, począć trzeba.

Pluł Odonicz i nic nie odpowiadał.

Laskonogi w inny sposób się wzbraniał, warując to sobie naprzód aby bratanek jako młodszy, jako winniejszy i napastnik, pierwszy prosił o przebaczenie. Zresztą gotów był ukladać się, bo w gorszym położeniu, nic mu nad to nie zostawało.

Ściągnięto Laskonogiego wreszcie, ale tego dnia położył się Odonicz i choć Leszek posyłał posły, nie stawiał się.

Dzień zszedł na niczem. Nazajutrz sprowadzono najprzód Odonicza do wielkiej izby i otoczono go tak, ażeby ująć nie mógł. Potem przyprowadzono stryja, którego zobaczywszy we drzwiach bratanek, jak wściekły się szamocąc rzucił, nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Przytomny arcybiskup zaklął go dopiero tak groźnie i uroczyście, że się pomiarkować musiał.

Tyle wymożono na nich, że spokojnie choć zdaleka od siebie do stołu jednego siedli. Z początku tylko się oczyma mierzyli, dopiero gdy Odonicz miodu się napił, począł słowy bryzgać, Laskonogi mało co odpowiadał, lecz za niego drudzy się ujmowali.

Przyszło do tego, że Plwacz wpadłszy w gniew, z ławy się zerwał z nożem w rękę i ledwie go poskromiono.

Pod koniec uczty on też sam się miarkować począł zwolna, i co był zły a szalony stał się szyderskim i naigrawającym.

Laskonogi znosił to cierpliwie. Ci co u stołu siedzieli, dziwna rzecz, choć sercem wcale nie byli za Odoniczem, więcej się czuli skłonni jemu potakiwać, niż obojętnemu Laskonogiemu — acz jego sprawa lepsza była.

Leszek począł do jednania się skłaniać, lecz z pierwszych słów trudność się okazała, Laskonogi który już był niemal wszystko utracił, niepomiernie wiele żądał od bratanka, a ten nic dać nie chciał.

— Com ja zdobył to moje! — wołał, — ojcowizna jest po starszym synu... z prawa moja. Nie dam nic!...

Leszek go chciał miarkować, lecz jakby swą siłę czuł, nie ustępował.

Prawdą było, że Laskonogi i duchowieństwo sobie naraził, i rycerstwo mu nie sprzyjało i ładu u niego nie było.

Słaby zawsze przegrywa, choćby prawo miał, tak bywało od wieku i tak będzie aż świętość praw wszelkich poszanowaną zostanie. Tam gdzie się aby jedno małe czy wielkie gwałci bezkarnie, w końcu żadne nie ma siły.

Rozeszli się więc zacięci nieprzyjaciele, gorzej może jeszcze przeciw sobie roznamięt-nieni niż byli, a Leszek tyle zyskał tylko, że już się z sobą spotykać i oko w oko stanąć nie tak wzdragali...

Następnych dni, mijali się na placu nic sobie nie czyniąc, i nie siedzieli doma, aby się nie otrzeć o siebie. Tyle było zysku ze starań księcia Leszka, ale on sam cieszył się i tem, upatrując, iż krok do zgody uczyniony został...

Plwacz gdy mu o tem mówiono, śmiał się i nogami tupał.

— Zgoda będzie — mówił do swoich — gdy go do lochu zamknę, albo precz wyżenę ztąd, bo przy sobie drugiego pana nie ścierpię.

VIII

W obozie tych dni coraz było weselej. Jak biały dzień już około szynków ludzie gromadami stali, ten i ów podśpiewywał... Po namiotach kosterstwo szło w parze z kubkami... Piszczalki, kobzy i różne brzękadła odzywały się ze wszech stron głośnie niezgodnemi...

Pomimo starań tych co nad obozem zwierzchność mieli, ludzi rozkiełzanych trudno było już powściągnąć. Leszek gdy się przed nim skarżono, folgować kazał mówiąc — Niechaj się zabawią!

Zabawiali się więc, niekoniecznie niewinnie, bo w okolicznych wioskach kościelnych skarżono się na gwałty nocne i różną rozpustę. Winnego dojść w tym tłumie, prawie niesposób było...

Rycerstwo niemniej od innych dokazywało, a wśród Leszkowego Jaszko przewodził. Namiot miał osobny i drużynę swoją swawolną, z którą się nie rozstawał, a że ojca po sobie miał Wojewodę, do niego tam zajrzeć i poskramiać go nikt nie śmiał.

Czym dłużej to trwało tem się więcej rozpasywało.

Mszczuj nadaremnie sam i przez swoich na dworze bliższym księcia starał się ład jakiś utrzymać.

Ludzie młodzi widząc drugich szalejących, sami też do rozpusty nabierali ochoty, wyslizgiwali się z rąk.

Nie dosyć było obozu, gdy tu ściślej pilnować zaczęto, wymykało się po nocach i rękami co swawolniejszego do Trzemeszna, i tam Cystersi się skarżyli że w miasteczku piekło założono.

Co było mieszczaństwa płochszego, to do obozu ściągało, lub u siebie otwierało domy dla obozowych.

Wojewoda Marek który był powinien ludzi z pod swych chorągwi powstrzymywać, przez szpary na to patrzył.

Jaszko bez zbroi, w lada kaftanie cały dzień, albo w kości się bawił i zgrywał lub pił i piosnek słuchał.

Tu się wszystko co było Odrowążom nieprzyjazne zbierało.

W rozmowach często zapędzano się tak daleko, że tylko nasłuchiwać było trzeba czy kto obcy, do kółka nienależący nie podchwyci.

Jaszko sobie drwił jawnie z tego zjazdu i z mniemanej zgody jaką tu ukuć chciano, zaprzysięgając że Odonicz z rąk nie puści co wziął, a Światopełk...

Nie dogadywał do końca, łącno było się domniemywać co myślał, bo wiedziano że mu powinowatym był.

Już dni dziesiątek ubiegało na próżnem oczekiwaniu czegoś o czym nikt powiedzieć nie umiał czy przyjdzie. — Co się po dworach książęcych ogadywało wiedziano po troszę, nie troszczono się o to wielce. Ten i ów przyszedł z plotką, pogwarzono o niej i w tąż szły żarty a przekąsy...

Namiot ten Jaszków stał trochę opodal za Leszkowym dworem, że mało od niego krzyków zalatywało. Był dosyć obszerny, bo go połączono z drugim, w którym mieszkał Baran, wielki druh Jaszka, i niepoprawny koster.

Oba niewiele dbali o ład u siebie, więc u nich było jak na popasie w złej gospodzie gdy ludzi wiele a porządku mało. Zbroje się walały po kątach, suknie leżały na próżnych baryłkach, dzbanki powywracane zalegały pościelę, szaty kosztowne deptano nogami.

Pieńki, kamienie, deski ladajakie, ubita ziemia jak tak pokryta służyła za siedzenia. U drzwi i opłotków ciągle pełno się gawiedzi kręciło, a z ognia jadlo nie schodziło. Grano, pito i zajadano.

Tu to jednego pamiętnego dnia Baran zgrawszy się wioskę swą w lasach Sosnowę zwaną, ze znacznym obszarem ziemi sprzedał na wieczne czasy Ostoi, za dwa woły, sześć łokci sukna brunatnego i tuzin skórek lisich...

Drugi Suchym zwany, podpiwszy oddał też wieś za dwa kaftany, konia i dziesięć grzywien srebra⁶. Frymarczono końmi i psami, opończami i zbrojami, jak to się młodzieży trafia, gdy się podochoci.

Wrzawa nie ustawała dzień i noc, chyba popadali śmiertelnie znużeni, gdy sił i rozumu już nie stało, a czeladź ich pookrywała aby nie zmarzli.

Tak się właśnie zabawiano jednego wieczora, gdy w progu się pokazał Toporczyk Cedro imieniem (Teodor), i głośno zawołał.

— Do zbroi! do kordów!

— A co? a co? — poczęli koło kości się zabawiający..., z głosu czując że żartował.

— Co ma być, uradzono iść na Nakło, za dni kilka najdalej.

Jaszko śmiechem wybuchnął.

— Jeszcze my tu niejednej beczcze krew wypuścim nim do tego przyjdzie! — zawołał.

Znamci ja to od czasu jak tu jesteśmy. Rano idziemy na Nakło, a wieczorem powracamy.

⁶wieś za dwa kaftany, konia i dziesięć grzywien srebra — że za takie ceny wioski w XIII w. sprzedawano, świadczy Paprocki. [przypis autorski]

— Teraz, — odparł Cedro — to już pono naprawdę zatrąbią. — Sam książę się odzywa że dłużej stać i czekać sromotąby było...

Stary Mszczuj Odrowąż głośno rzekł, gdy go pytano. — Dostyc będzie czasu na zgodę gdy Nakło weźmiemy. Tam ona będzie tańsza.

Na wspomnienie Mszczuja namarszczył się Jaszko.

— Jeszczeby też i jego słuchać! — zawołał — nie dosyc brata!

— No! i Laskonogiemu się chce na Nakło — rozśmiał się Cedro.

— A jemu co z tego przyjdzie? — zawołał drugi — toć go nie dostanie...

— I inni książęta wszyscy za tem głosują, bo im się już tu stać naprzykrzyło.

— No — i ks. Konrad? — pytał Jaksza.

— I on też, boć mu od innych nie odstać — rzekł Cedro siadając. — Zobaczycie że nie dalej jutra dadzą rozkazy rycerstwu do pochodu...

Jaszko nie dowierzając ramionami ruszył — i coś zaśpiewał.

Drudzy posłyszawszy nucenie wzięli się wtórować, Cedro patrzył na nich, bo sam trzeźwy był...

— Cóż na to Plwacz? — odezwał się Jaszko rzucając kości, które mu źle padły.

— Plwacz pluje i żyma się — rzekł Cedro, — ale on jeden na tyłu...! Zaręcza zawsze a bodaj zaprzysięga że Światopełk przybędzie — a no, głupiby wierzył, prawdę rzec, bo gdyby chciał głowę skłonić, miał na to czasu dosyc.

Chociaż nowinie tej nikt jakoś wierzyć nie chciał w początku, gdy nadeszli Andruszka i Gabryk Nałęcz, i Gozdawa Petrek, a powtórzyli że tam już nie na żart o Nakle mówiono, ruszył się Jaszko od kości, kaftan i zbroję kazał sobie dać, szybko się przyodział i pobiegł, kazawszy podczaszemu swemu aby kubki nalewał, a druhów prosząc żeby nie szli precz aż powróci.

Nie było go dość długo, — przywłókł się zafrasowany i zły zrzucać zaczął z siebie odzież.

— Nie prawdę mówił? — spytał Cedro.

— Dzisiaj to prawda — zaśmiał się Jaszko pogardliwie, — ale czy jutro będzie tak samo — nie wiem...

Nie siadł już Jaszko do kości, powiadając się zmęczonym i legł. Drudzy też poziewali i gromadka zwolna rozchodzić się zaczęła.

Jaszko nie wstrzymywał, ziewał i wyciągał się jak oni. — Lecz za ledwie sam w namiocie pozostał, zerwał się na nogi, opończę długą wdział, słudze dał przykaz jakiś i wyszedł. Krążąc poza dworcami dostał się do Plwacza — wprowadzono go do niego.

Odonicz właśnie stał wyprawiając jakiegoś człeka, który gotów do drogi, rozkazy odbierał głową potrząsając.

Gdy ten wyszedł, Jaksza się zbliżył.

— Nastraszyli nas że w pochód iść kaza, — rzekł.

Książę Władysław gniewnie rzekł.

— A no — niech idą, póki czas!! niech idą.

Z końca w koniec izby miotał się chodząc.

— Juści jutro nie pójdą! — zawołał plując — a — pojutrze.

Spojrzał na Jaszka — który głową kiwnął tylko.

Niepokój wielki i jakby niepewność widać było po Odoniczu — dodawał sobie odwagi, ale jej nie miał.

— Czas, — rzekł na wpol do siebie — czas — bo jakby tak dłużej, ja za siebie nie ręczę, zaczyna mi go być żal...

I milczał zadumawszy się i plunął kilka razy raz po raz.

— Dobry jest! szkoda go! wszystkichby kochał, wszystkimby przebaczał, z każdymby się dzielił... Człowiek przy nim mięknie i na nicby się nie zdał.

Znowu przerwał mowę dla plucia.

— Gdzie jemu panować, — począł gwałtowniej, — jak mu rządzić! Pan rękę musi mieć żelazną, nie taką łagodną co tylko głaszczę i pieści. Albo mu kaptur mniszy przystał lub spódnica...

Na nic się nie zdał, bo przy nim i drudzy pruchnieją.

Kiedy mnie go już żal! — dodał sam dziwując się sobie.

— Miłościwy książę — odparł Jaszko, — żałując i miłując nie zrobi się nic...

— Ja też tu nic do robienia nie mam — ofuknął Odonicz. — Światopełk niech czyni jako rozumie, ja ręce umyвам — umyвам!!

Odwrócił się do Jaksy.

— Kiedy mi go żal! — mruknął.

— I Laskonogiego też? — odparł szydersko Jaszko.

Plwacz głową potrząsał — i ręką rzucił.

Nie było co mówić dłużej, zbliżył się Jaksa i zapytał.

— Pojutrze?

Głową na to kiwnął Plwacz — lecz zarazem wnet sobie zaprzeczył.

— To jego sprawa! — ja nie chcę wiedzieć — nie chcę... Biskupi klątwę rzucają...

— To ją zdejmą! — odparł zimno Jaszko.

Postał jeszcze trochę, a widząc że się nie doczeka więcej nic, bo Plwacz bardzo zburzony chodził po izbie, Jaszko się pokłonił i wyszedł...

Nazajutrz rano, jak uchwalonem było, po nabożeństwie ogłoszono rycerstwu aby się do pochodu gotowało... Nie dowierzano temu zrazu, lecz i Marek Wojewoda, aby w podejrzeń nie wpaść, powtórzył tysiącnikom rozkaz... Mnóstwo się znalazło przeszkód, tak też około pół dnia okazało się iż nazajutrz ciągnąć ani było sposobu.

Konie na grudę listopadową nie były pokute — ludzi dużo tam i sam rozproszonych brakło, ciury z wozami pojechały za drzewem...

Ale rozkaz szedł — sposobić się. W innych oddziałach szło jeszcze gorzej. Mazury ks. Konrada potrzebowały dni kilku, Laskonogiego niewielka kupka porozłaziła się na wszystkie strony. Jeden książę Henryk Śląski, z Peregrynem swoich Niemców i po niemiecku trzymany ostro ludzie mieli pogotowiu.

W obozie zawieruszyło się strasznie, niby z pośpiechu wielkiego, a w rzeczy aby jeszcze zamęt sprawić większy... Dowódcy za włosy się rwali, ale do kupy ściągnąć żołnierza nie było sposobu. Tak to wyglądało jakby naumyślnie przeszkody do pochodu wynajdywano.

Księciu Leszkowi cierpliwość się wyczerpała. — Łagodny pan poczuł iż tem zgrzeszył że za powolnym był, chciał się poprawić i stał przy swoim.

Hasłem było. — Na Nakło! i co rychlej. — Na Nakło.

Na wszystko odpowiadał tém jednym słowem tylko.

Jak człowiek powolny gdy się na sobie pozna i słabości powstydy, Leszek chciał dowieść iż moc miał i wolę tęgą.

Nie pomagały więc żadne przedstawienia o zwłokę — mówił że czas było iść z czemkolwiek ale ruszać natychmiast.

Pierwszy to raz może tak stanowczo objawiał niezłomne postanowienie. Chwalili mu to jedni, drudzy w wojsku sarkali.

Odonicz, który przez ludzi swoich o wszystkim wiedział, miotał się dosyć w domu, a w końcu sam do Leszka poszedł.

Chmurny mu się pokłonił.

— Cóż to — zamruczał, — chcecie na Światopełka iść?

— Tak — odparł Leszek z mocą którą sobie nadać usiłował. — Nie chce on do mnie, ja do niego muszę.

— A któż mówił że nie chce? — krzyknął Plwacz.

— Ileż dni czekam ja na niego. — Ja zwierzchni pan, na tego co mi posłuszeństwo winien?

Odonicz spojrzął z pod brwi nawisłych.

— Obiecał się być — to będzie — rzekł po chwili.

— Spotkamy się na drodze, albo u niego doma — odparł Leszek który postanowił nie uledeć.

Plwacz ustąpił nieco.

— A wy co myślicie czynić? z nim iść czy ze mną? — zapytał Leszek.

Plwacz cicho, sucho zaśmiał się.

— Co? na szwagra, który mnie z poniewierki dźwignął, gdy z wygnania bosa się wyrwał? Ja? przeciw niemu?

— Na szwagra łacniej niż na stryja — rzekł Leszek — boć zawsze dalszy niż on.

— On mi nie szwagier, on mi więcej niż brat, on mi ojcem! on dobroczyńcą! — gwałtownie począł Odonicz. — Ja na niego nie pójdę!

— A na mnie? — odwracając się zapytał Leszek.

Milczenie nastąpiło. Odonicz pluł i patrzył zezem po bokach.

— Na was nie pójdę — chyba mnie zmusicie — odparł.

Poruszyło się w nim coś i górę wzięło, prawie mimowoli zbliżył się do Leszka.

— Nie idź ty na niego — czekaj! — rzekł z pewnym politowaniem.

— Nie mogę! — rzekł Leszek łagodnie, ale stanowczo. — Nie mogę, bobym się ludziom dał na pośmiewisko... Lecz, nie lękaj się o niego, dodał ciszej — nie żądam zguby niczyjej, tak niech mi Bóg dopomoże.

Przyłożył do piersi rękę...

Plwacz z politowaniem zmierzył go wzrokiem i zamilkł.

Nadchodzili też inni...

Mszczuj czynniejszy nad wszystkich, kręcił się po obozie, opieszalych strofując, nagłąc i niezważając na to, że nań głośno wyrzekano. On jeden rozkaz pański brał tak do serca, iż ani chciał słuchać o tem, by nie mógł być spełniony. Jemu się jednemu zdawało, iż wyjście jutro było możliwe... Tych co mu się śmieli sprzeciwiać, lajał i groził im...

Stał się strasznym.

Wpadłszy do obozu, nie patrzył nad kim miał władzę i zwierzchność, kto go powinien był słuchać, a kto mógł odmówić posłuszeństwa.

— Trutnie, próżniaki — wołał — jeżdżąc na koniu pomiędzy namiotami i szałasami, na pole! Zbierać się, po konie!

A gdzie namiot natrafił rozpięty nad uczującymi, Waligóra koły wyrывał, sznury przecinał i na głowy ludziom obalał. Siła dawna wracała mu z gniewem i miotał tak szałasami i dragami, iż ludzie od niego uciekali.

Miało to ten skutek przecie, iż w rozkaz pański uwierzono... W tym pochodzie po obozie Mszczuj na Jaszka natrafił, który ze swojemi się zabawiał, na nic nie zważając.

Waligóra rozszalały już i jemu namiot na głowę zwałił. Z pod płótna wyrwało się kilku z mieczami na starego.

Stanął jak mur.

— A no? — zawołał — kto ma ochotę się zmierzyć, niech podejdzie.

Baran tedy, choć na nogach się nie dobrze trzymał, przystąpił do Mszczuja chcąc go ciąć, ale nim miał czas z zamachem miecz spuścić, Waligóra go za kaftan pochwyciwszy, cisnął nim z taką siłą w kupę jego przyjaciół, iż się dwu pod nim obaliło, a Baran rozplaszczyl na ziemi.

Krzyk powstał okrutny i kilku razem opadło starca na koniu siedzącego. Dobył i on miecza w obronie... Szczęściem na tę wrzawę wypadł z sąsiedniego namiotu wojewoda i zawołaniem głośnym napastników powstrzymał.

Zaczęła się utarczka na słowa.

— Nie masz prawa rozkazywać!

— Nie ja rozkazuję, ale pan który prawo ma! — wrzasnął Mszczuj. — Kto go nie słucha, temu naukę trzeba dać.

Łajac poczęli młodzi...

Rozumniejszy wojewoda, nie zważając na nic, swoim rozkazał na bok ustąpić, a Waligórze zapowiedział, że skarżyć będzie... Tak się to skończyło, ale cała Mszczujowa gorliwość nie pomogła nic i łatwo było osądzić z pierwszego wejrzenia, że o wyciągnięciu z Gąsawy nazajutrz ani myśleć nie było można.

Waligóra który przejeżdżał się wszędzie i zaglądał po kątach, ten sam stan znalazł w obozie Laskonogiego, gdzie wszyscy rozkazywali a nikt nie słuchał, i u ks. Konrada Mazowieckiego, kędy mu obojętnie powiedziano, iż im się do wyjścia jeszcze tak nagle sposobić nie kazano. Do ludzi ks. Henryka nie zaglądał nawet Mszczuj, bo by go tam Niemcy nie wpuścili, a on z nimi nic nie chciał mieć do czynienia. Ale że się dwa stanowiska ludzi śląskich i mazurów stykały z sobą, pomiędzy nimi przejeżdżając, gdy już wieczór w tej porze wczesny się robił, postrzegł przy ognisku siedzącego Niemca, na którego widok wstrząsnął się cały.

Niepostrzeżony zatrzymał konia w cieniu stojąc, aby się lepiej przypatrzeć, czy go nie myliły oczy.

Rycerz który właśnie tylko co od ks. Konrada namiotów przeszedł powoli ku niemcom, wydał mu się tak podobnym do Gerona, którego na zamku krakowskim porąbał, iż po całym ciele przeszły mu dreszcze...

Cudem było, że się ten człek mógł wylizać z ran, a drugim, że miał odwagę po raz wtóry mu się nawijać. Lecz że ludzi podobnych na świecie wielu się znajduje, Mszczuj sądził w początku, iż mu się nieprzyjaciel przywidział.

Lepiej mu się przypatrując z boku, a pamiętając jak go rąbał, Waligóra dostrzegł niewątpliwych blizn po ranach jakie mu zadał. Ten to sam więc był człowiek, który się tu przybłąkał, choć mógł łatwo przewidzieć, że ze Mszczujem się spotkać może.

Długo wpatrując się w to zjawisko Waligóra stał jak skamieniały. W piersi mu krew falowała i gdyby pierwszego słuchał popędu, byłby się natychmiast rzucił na Niemca. Nie godziło się jednak w chwili tak pilno ładu wymagającej, wzniecać nowego zamieszania, Waligóra rad nie rad odłożył rachunek z Niemcem do innego dnia.

Uważał go bowiem za nieskończony. Los córek o których nic się dowiedzieć nie mógł, przyszedł mu na pamięć, oczy zaszyły łzami, starzec nierychło uśmierzywszy ból, pomyślał o ustąpieniu z tego miejsca, w którym się nie był powinien znajdować.

Niemiec któremu się przypatrywał, podszedłszy do ślązaków, zasiadł przy nich u ogniska, i rozmowę z nimi rozpoczął.

Z urywanych słów mógł się dorozumieć Mszczuj, że niedawno tu przybył, bo się rozpytywał o wszystko.

Postawszy na koniu czas jakiś, Waligóra przejechał obozowisko ks. Konrada, w którym o żadnym wyborze w pochód nie myślano, przynajmniej na pozór, powracał Mszczuj przerywać się zmuszony między ludźmi Odonicza. Ponieważ mrok był i nie poznawano go, a miano za jednego ze swoich, nie zważano nań i Waligóra jadąc powoli przekonał się, że tu więcej niż gdzie przygotowywano się do czegoś — chociaż odgadnąć było trudno jakie to miało znaczenie. Z rozbudzoną ciekawością Mszczuj pilno słuchał...

Starszyzna chodziła po namiotach, półgłosem wydawano rozkazy. Usłyszał jednego tysięcy, który do gromadki mówił.

— Nie spać, zbroi nie rozdzwierać... na dane hasło wszyscy mają się rzucić, gdzie im się droga pokaże i — rąbać!!

Niezrozumiałem to było dla Mszczuja, ale wielce podejrzaniem.

— Jak zatętni na drodze, — dodał dowódca — choć zdala, żeby byli ludzie pogotowiu...

Wskazywał coś rękami, mówiąc ciszej... Ludzie zdawali się to rozumieć. Niektórzy robili uwagi, że ich garść była nie wielka...

Tysięcznik ich łajał, dodając:

— Toż nie sami będziecie...

Uchwycił wśród gwaru wymienione nazwiska Leszka i ks. Henryka szląckiego, potem Władysława starszego.

Wszystko to tak było podejrzaniem, iż Waligóra aby nie być postrzeżonym, objechawszy tyłami oddział Plwacza, co prędzej podążył do swoich. Radby się był z kim o tem rozmówił — lecz do wojewody nie mógł jechać, biskupa nadaremnie trwożyć nie chciał, zmuszony został wprost udać się do Leszka.

Ten siedział jeszcze swobodnie z kapelanem prowadząc rozmowę przy którym Waligóra nie chciał się ze swych podejrzeń spowiadać. Gdy książe go ujrział, wstał i zwrócił się ku sypialni, a Mszczuj za nim wkroczył do niej.

— Cóż mi ty powiesz stary mój? — zapytał go Leszek dobrodusznie. — Pewnie ze skargą przychodzisz, że ludzie nasi nie gotowi na jutro? Spodziewałem się ja tego, i więcej mi szło o rozgłos, o Odonicza, niż o to, abyśmy jutro ruszyli.

Rozśmiał się książe, rad że tak chytrze postąpił.

— O tem już mówić nie ma co, — odezwał się Mszczuj. — Robiłem ja co mogłem, aby ludzi zmusić do gotowania się, nie wiele pomogło, tylko wojewodę obraził.

Miłościwy panie — ja tu z czem innym, w obozie mi jakoś i około Plwacza nie dobrze patrzy. Jakież szepty, potajemne rozkazy dają, ludziom zakazano iść na spoczynek, jakby czekali na kogoś, na znak... lękam się, uchowaj Boże napadu jakiego!

— Ale boś ty do zbytku nieufny, posądzasz ludzi daremnie — począł Leszek — mnie już wasz brat biskup ostrzegwał o tem. Ja się tu w obozie między swemi niczego nie lękam, nic się stać nie może... Jest nas tylu, siłę mamy...

— Niechajby choć liczniejsza straż przy pańskim dworze na noc zaciągnęła — dodał Waligóra...

Leszek zniecierpliwiony ręką go dotknął.

— Ani mi się waż jej stawić — przerwał gorąco. Zwróciło by to oczy, posądzili by mnie ludzie że się lękam. Nie chcę tego i zakazuję. Po co straż? cały mój obóz jest strażą.

— Ale tam ludzie do rana pić będą i pośpią się nad ranem, — rzekł Mszczuj.

— Niech śpią! — odparł Leszek obojętnie. — Mój stary, tobie bo się śni niebezpieczeństwo... Chcącemu się go dopatrzeć, zawsze się coś przywidzieć może...

Ruszył ramionami księżę — a Waligóra nie nastając, pokłonił mu się do nóg i usunął.

Leszek postąpił za nim do progu, uderzył go po ramieniu i rzekł cicho:

— A i ty legnij, dobry mój strózu. W twoich latach spoczynek potrzebny... tyś zmęczony...

Na to Mszczuj nie odpowiedział nic, poszedł z najmocniejszym postanowieniem czuwania przez noc i nie spuszczenia oka z obozu do rana.

Konia tylko na którym go jednego łatwiej ludzie postrzedz i poznać mogli, postawił u żłobu, nie zdejmując z niego siedzenia, sam zaś otuliwszy się opończą, powłókł się po obozie, między namioty unikając ognisk i światła.

Nie było najmniejszej różnicy pomiędzy dniem tym a dawnymi, ludzie pili i bawili się. Mszczuj tylko dostrzegł, że pod namioty jacyś obcy podwozili beczki, jakby na przekorę temu, iż ludzi trzeźwych mieć chciano. Piwo i miód jakiś rozdawano w ten sposób, iż łatwo było dorozumieć się, że szynkującym je o zarobek nie chodziło. Brali co im dawano, inni pochwyciwszy napój uchodzili nie płacąc wcale, nie ścigani. I to się Waligórze podejrzanem wydawało tem więcej, że beczki zdawały się przysuwać od strony Plwacza, u którego żołnierze wcale nie pili i stali jak na czatach.

Ogarniał go niepokój coraz większy, przypomniał sobie właśnie co mu opowiadał z obojętnością swą pańską Laskonogi jak na jego obóz pod Uściem, gdy się ludzie najmniej tego spodziewali pół senni leżąc, pół pijani napadli z zamku Odoniczowi i straszliwą mu klęskę zadali.

Poradzić na to, co się tu działo, nie mógł Mszczuj, ponieważ nie czuwał nikt, a dwór i żołnierstwo po uctowaniu spać wszystkie legło i coraz nieopatrzniejsze jakieś bezpieczeństwo widział w obozie. Musiał więc zostać na straży.

Poszedł pod dworzec pański.

Tu, jak przykazano, nikogo nie znalazł, drzwi nie pozasuwane jak zawsze, czeladź jaka była głęboko uspiona. Cisza zaczynała coraz większa świadczyć iż co żyło — odpoczywało.

Wyszedłszy na plac, dostrzegł tylko przez zasuwy okiennic, słabe światło u Plwacza, trochę ruchu ostrożnego około domu ks. Konrada, reszta wszystko we śnie głębokim pogrążona była.

Zdawało mu się, że jest tu prawie jeden na nogach, gdy u przeciwnego węgła dostrzegł kogoś, który się był wysunął i zobaczywszy Mszczuja umknął. Chciał go dogonić stary, lecz wpadłszy między szalasy z oczów stracił, tem prędzej, że noc była ciemna.

Wrócił więc na stanowisko swoje u węgła domu i sparszył się o ścianę, pozostał na niem. W chatkach wiejskich po za obozem ozwały się pierwsze kury... Powietrze było wilgotne, mgła zaczynała nadciągać i osiadać na równinie, którą obóz zajmował, wkrótce o kilka kroków nic już widzieć nie było można.

Oprócz chrapania koni i niewyraźnych stłumionych głosów, które jakby z pod ziemi wychodziły, nic nie słychać już było. Wiatr się uciszył i opadł zupełnie.

Gdzieś w tej atmosferze wilgotnej i gęstej, światełko niedogaszzonego ogniska jak czerwona gwiazdka bezpromienna słabo błyskało niby oko jakiego nocnego wdziała, błyskało, mrugało i gasło.

Na niebie które mało co od ziemi jaśniejsze było, sterczały tylko dziwacznie wyglądające chorągwie książęce na wysokich palach, które teraz zwisły i opadły i jak wszystko do koła usypiały.

Coś grobowego było w tem głuchem milczeniu i ciemnościach... Zdala nawet szum lasów niedochodził i one stały uspione a zdrętwiałe.

Mszczujowi za węglem skrytemu zdało się powtórnie widzieć wysuwającego się od drugiej ściany człowieka. Dał mu wyniść na plac śledząc co pocnie i mając myśl go pochwycić.

Cień ten wyszedł ostrożnie ku środkowi placu, popatrzył w stronę gdzie stał Mszczuj, postąpił kilka kroków oglądając się na dworzec Leszka, i gdy już Waligóra spodziewał się go móżdżek pojmać, nagle nazad się rzucił między ściany dwóch budynków około łaźni i — zniknął.

Piały już drugie kury na wsi... Dziwna i niezwykła rzecz, zdało się Waligórze jakby usłyszał krakanie kruków, które spoczywają o tej porze z innymi zwierzętami. Krucy ciągnęły gdzieś górą, nawołując się chrypliwie, złowrogie te głosy przejęły go dreszczem. Przeżegnał się, ale nie opuścił stanowiska.

W powietrzu jakby ciężkie poruszenie czuć było... mgły kołysać się zdawały...

IX

Musiałoby już być nad ranem. Kury piały znowu, na niebie coś jak szara pręga nad lasami się ukazała... W obozach gdzieś tam musieli się budzić ludzie, głuchy szmer dochodził Mszczuja.

Dzień dlań był pożądany, bo noc wydała się jak wiek długi.

W wielkiej łaźni nigdy nie gasnący ogień podkładać zaczęto na nowo, gdyż dym buchnął nad dachem i z głównego dymnika zacerwieniony od dołu wystąpił, niosąc iskry, które się na dach posypały.

Mszczuj słyszał ze swego miejsca jak rzucano przynieszone drzewo, przez szpary i otwory przedzierało się światło...

O tej porze zazwyczaj w obozie ludzie już do koni wstawać byli powinni, nic się jednak nie poruszało, nic nie budziło, kamiennym snem odpoczywali po beczkach wypróżnionych wczora.

Z wielką pociechą swą pochwycił Mszczuj mały szmer na pańskim dworcu. Leszek zwykle wstawał bardzo rano, przychodził doń kapelan z którym odmawiał modlitwy, szedł po tem do łaźni i parzył się, najczęściej gdy jeszcze drudzy spali. Dworscy wstawali naówczas i w izbie przygotowywano poranne jadło...

Waligóra oddychał łżej, z odmykanych wewnątrz drzwi miarkował, iż księżę obudzić się musiał... Pilnie mając ucho na szmer najmniejszy, od strony obozu Plwacza, chwycił coś na kształt szczęku oręży i przechodzenia ludzi...

W obozie ks. Konrada ruszało się też i dziwu w tem nie było, bo ranek się robił widocznie. — Gęsta mgła tylko nie dozwalała go dojrzeć na niebie, lecz budowle rysowały się wyraźniej, ciemności rzedniały z wolna.

Dniało. Drzwi dworca otwarto i Waligóra postrzegł księcia Leszka, okrytego opończą, idącego do łaźni.

Kilku rozespianych ludzi szło przed nim, kilku za nim z odzieżą i płachtami.

Waligóra pomyślał że się straż jego skończyć mogła wreszcie i chciał już stanowisko opuścić gdy — zdała usłyszał dobrze mu znany tentent koni, który nadzwyczaj szybko się przybliżał... Umiał nawet rozeznąć iż wedle wszelkiego podobieństwa oddziałów, czy stado biegło niemal czwałem. Nie mógł nic innego przypuszczać nad to że skutek wczorajszych nakazów, po wsiach sąsiednich rozstawione konie pędzono do obozu.

Zarazem na stanowisku Plwacza ruch się stał jakiś — ostrożny lecz znaczny, i ciche głosy zaczęły dawać hasła. We dworze ks. Konrada choć światła nie było odsunęła się okiennica, dostrzegł wychyloną głowę, która zdała się nasłuchiwać i szybko potem znikła, a za nią okno zaparto. Waligóra jakąś mimowolną ogarnięty trwogą chwycił za miecz który miał u pasa...

Tentent coraz głośniejszy, coraz pospieszniejszy słychać było już dochodzący do krańców obozu, tuż, tuż... Straże ani się ozwały, więc musiało to być stado...

Wybiegł już z za węgła Mszczuj, gdy wśród owego hałasu, wyraźnie rozeznawał szczęk mieczów...

Nie było chwili do stracenia, to czego się lękał, dokonywało się, obóz spał, napad jakiś się gotował. Myśląc już tylko o panu bezbronny Mszczuj nie widział już ratunku nad ułatwienie mu ucieczki. Wkrótce byłoby zapóźno, wbiegł więc poza dwór i własnego

konia który w gotowości stał, pochwywszy, pędem z nim ku łaźni skoczył — wołając ile miał siły..., a raczej krzyżąc już tylko aby ludzi pobudzić.

Nim z koniem powrócił nazad Waligóra, już nadciągający napastnicy byli o kilkanaście kroków od placu.

Wołaniem przestraszony Leszek, jak stał nagi ukazał się we drzwiach łaźni; Mszczuj konia mu podawał.

— Uchodź — panie! — wołał.

Książę zaledwie miał czas skoczyć na koń gdy z pomiędzy dworów wiodącą drożyną, około domu Odoniczowego, wypadli zbrojni ze Światopełkiem na czele — ten z podniesionym mieczem w ręku leciał wprost na dworzec Leszka, całą prowadząc gromadę, gdy ujrzał nagiego księcia wymykającego mu się i czwałem bieżącego drogą która wiodła ku Martynowu. Część Światopełkowej drużyny z ludźmi Plwacza padła na dworzec główny, inni na zajmowane przez ks. Henryka i Laskonogiego...; Światopełk sam oszalały gwał za Leszkiem...

Na pustej tedy drodze ku Martynowu prowadzącej począł się on wyścig, którego zakładem było życie.

Koń Leszka dzielny ale ciężki, biegł o ile mu sił stawało, nagłony nogami siedzącego na nim księcia..., Światopełka choć ciężar dźwigał większy bo ten był uzbrojony, młodszy był, żwawszy i świeżo wzięty, zyskiwał więc co chwila i przybliżał się coraz więcej.

Nagi, potem okryty, przeziębły Leszek modlił się już czując nadchodzącą chwilę ostatnią. Uderzał konia rękami, bił nogami, położył się na nim cały, — leciał... Lecz tuż za sobą słyszał kopyta końskie, oddech zdyszanego zwierzęcia, chrzęst zbroi nieprzyjaciela... Światopełk był wściekły, lękając się aby mu wróg nie uszedł, ostrogi wbijał koniowi w brzuch, smagał go płazem — począł wołać.

— Nakło! Nakło! dam ci dziś ja krwawe Nakło... ostatnia godzina twoja wybiła!

Leszek ani miał siły, ani chciał odpowiedzieć. Przerazało go jedno że był bezbronnym, ani miecza, ani oszczepu, ani drzazgi nawet którąby mógł w oczy cisnąć napastnikowi, zbójcy.

Rycerska krew burzyła mu się w żyłach...

Umrzeć było niczem, lecz być zabitym nie zadawszy nawet rany, nie podniósłszy nawet ręki na wroga, zgniecionym być tak mizernie — stawało się gorszem od śmierci.

W biegu już, Leszek ręką pochwyił drąg z płotu stojącego nad drogą i wyrwał go obłam znaczny... Koń ustawał... Światopełka głos nad uchem mu brzmiał — Nakłem.

Lecz w brzasku ranka opodał widać było wioskę, w której mogli się znajdować ludzie, mogli znaleźć żołnierze.

Byli we dwu tylko sami, bo reszta rycerstwa Światopełkowa padła na rabunek dworca i uśpione obozowisko.

Mógł więc Leszek mieć jakąś nadzieję że dobiegłszy do Martynowa, skryć się, obronić, nawołać tłum potrafi...

Światopełk też obawiał się tego i koniowi jego krew się lała od ran ostrogami zadawanych...

Leszek nagle gorący oddech uczuł na swem ciele, jego koń ustawał... Dłoń w rękawicę żelazną odziana chwyciła go za kark i ośliznęła się po nim.

Nadeszła ostatnia chwila obrony. — Leszek owym obłamem drąga który trzymał w ręku, uderzył w twarz nadbiegającego Światopełka — koń jego spłoszony skoczył w bok. Leszek korzystając z tego kilka kroków ku wsi się posunął.

Lecz Pomorski zbój wnet konia zmusił do nowej pogoni, i znalazł się nad Leszkiem...

Raz jeszcze książę zdołał odbić cios który mu był przeznaczony, ale kruche drzewo na żeleźcu poszło w drzazgi... W tej chwili miecz Światopełka wymierzony w czaszkę rozplątał ją... Zachwiał się Leszek trzymając konia jeszcze, gdy drugie uderzenie krwawą pręgą szyję mu przecięło.

Koń książęcy padł na przednie nogi i obalił się z nim...

Światopełk skoczył ze swojego zabierając się rąbać jeszcze leżącego i bezbronnego, gdy oczy Leszka już zachodzące śmierci mgłą, zwróciły się ku niemu. Był w nich wyraz

tak przejmujący iż Światopełkowi ręka zadrgnęła, spuścił ją — stanął jak nagle ze snu krwawego przebudzony.

— Com ci uczynił? — odezwał się łagodnym głosem Leszek...

Światopełk stał niemy...

— Com ci winien, — coraz słabnąc powtórzył książę któremu krew lała się z czaszki i opływała nagie piersi.

W głosie czuć było konanie... Oczy trzymał tak wlepione we wroga, bez zajadłości, bez wyrzutu... jakby mu tylko niemi chciał powtórzyć czego już nie mógł ustami.

— Com ci uczynił?

Szaleństwo i gniew Światopełka ustępowały widocznie jakiejś grozie, której chciał się obronić napróžno...

Westchnienie wyrwało się z piersi konającego, nad którym Światopełk mimowoli się pochylił. Raz jeszcze Leszek otworzył oczy i ujrawszy nad sobą tę twarz zbójcką, dziwnym wyrazem trwogi napiętnowaną — zamruczał niewyraźnie.

— Niech Bóg ci przebaczy! ja — przebaczam...

Światopełk usłyszawszy te słowa zerwał się nagle, przebaczenie było dlań jakby policzkiem.

Z nową wściekłością trupa popchnął nogą.

Miał siadać na koń już, gdy kilku jezdnych nadbiegło, byli to jego druhowie, a Płwacz między niemi.

Ten ujrawszy trupa obnażonego na ziemi, z okrzykiem radośnym, skoczył zaraz ku niemu, śmiejąc się dziko, plując i coś niewyraźnie bełkocząc. On jeden okazywał tę radość, której reszta ludzi objawić nie śmiała. Na twarzy Światopełka było więcej niepokoju i przerażenia niż radości...

Milczący siadł na koń, nie odezwawszy się słowem do Płwacza, który się jeszcze nasycił widokiem trupa...

Gdy się to działo pomiędzy Gąsawą a Martynowem, w obozie, ludzie Światopełkowi rabowali dworzec, chciwi łupu... Jeden ich oddział, zaraz po najściu oskoczył dom ks. Henryka Śląskiego, który w łóżku jeszcze leżał.

Wyłamano drzwi i zabójcy wtargnęli do izby, nim Peregryn który spał obok miał czas przypaść na obronę pana swego. U łóża księcia stał miecz, którego w pośpiechu nie mogąc dobyć z pochew Henryk bronił się nim zasłaniając od razów, gdy Peregryn nadbiegł ledwie przyodziany i swem ciałem osłaniając księcia na nim się położył. Kupa napastników zaczęła rąbać bezbronnego, siekać razem jego i leżącego pod nim księcia Śląskiego, tak że wkrótce wierny Peregryn ducha wyzionął. Henryk też pod trupem leżący nie dawał znaku życia.

Nie zbyt bogaty sprzęt księcia, który od czasu jak uczynił ślub czystości i pobożności, strzegł się wszelkiego zbytku, nie nęcił tu długo zbójów, chwyciwszy co było pod ręką, zbiegli gdzieindziej obfitszego szukać obłowu...

Laskonogi osobiwem szczęściem nie spał gdy Światopełk nadciągał. Nie miał on najmniejszego przeczucia aby zjazd w Gąsawie tak tragicznie się miał zakończyć — jednakże niezwykła o tej godzinie wrzawa strwożyła go. Wziął miecz i hełm wybiegając do swych ludzi w tej samej chwili, gdy napastnicy drzwi wyłamywali i mieli się rzucić na niego. Korzystając z mroku książę pobiegł wprost do koni, chwycił pierwszego jakiego znalazł pod ręką i puścił się polem ku lasom. Nie ścigano go szukając po kątach domostwa, bo byli przekonani Światopełkowi ludzie że zbiedz im nie miał czasu.

Ks. Konrad Mazowiecki, co nie uszło później ludzkiego oka — znalazł się uzbrojonym i gotowym do ujęcia gdy wrzawa na placu oznajmiła o napadzie. Lecz jego kilkunastu zbrojnych dobrze siedzieli na koniach, ujechał więc spokojnie prawie, bez przeszkody, co go dało później w podejrzenie iż jeżeli w spisku udziału nie miał, przynajmniej być musiał o nim uwiadomiony.

Nim ci z Biskupów, którzy byli w Gąsawie, gdyż inni znajdowali się w Trzemesznie — przebudzeni zostali i mogli wyniść do kaplicy, z której Iwo chciał krzyż wzięwszy wprost wystąpić z nim na zbójców — krwawa owa tragedia była dokonana. — Gawiedź tylko płađrowała po kątach, unosząc opony, suknie, zbroje i co mogła pochwycić. W obozie ludzie zbudzeni ze snu twardego potracili głowy. Nie mogli znaleźć oręża, który ręka

jakaś niewidzialna pousuwała i potrzęsała słomą i sianem. Koni nie było... Przerażeni swą bezbronnością ludzie uciekać zaczęli..., nie mieli czem, nie wiedzieli przeciw komu się obraniać.

Jedni pierzchli w lasy, drudzy chowali się po dołach, inni stali jak upojeni jeszcze, nie pojmując co tego zamieszania było przyczyną.

Mszczuj poddawszy konia Leszkowi znalazł się niemal sam jeden z mieczem przeciwko całej tej kupie która nań następowała. Wcale go to nie ustraszyło, wiedział że zginie, dlatego właśnie postanowił drogo kazać opłacić śmierć swoją. Zbrojni którzy na dworzec wprost spieszyli przyparli go tylko do ściany łaźni... kilku płałnął, ale następowali coraz nowi z pośpiechem i na walkę żaden nie miał czasu. Cięć parę rozbiło mu czapkę i lekko zraniło głowę. Ludzie ci co innego mieli na myśli, rabunek im smakował, do którego nie chcieli się dać wyprzedzić. — Minęli więc zgniecionego i poranionego Waligóre; i ten miał się za niemi rzucić, gdy z boku ukazał się Gero z krzykiem, jakby nań dawno czatował, przypadając do starca. Z drugiej strony Jaszko z za węgła z tyłu mieczem oburęcznym uderzył go w głowę i w chwili gdy niemiec z przebitą piersią padał na ziemię, Mszczuj przykrył go sobą.

Jasków kord pozostał mu głęboko w czaszce, tak że Jaksza dobyć go nie mógł. Waligóra drgnął ostatnim wysiłkiem jeszcze, jęknął i ducha wyzionął. Niemca zabitego miał nad sobą...

Wśród tego zamieszania, gdy swoi od obcych rozpoznać się nie mogli, Jaszko zaledwie pozbawiony miecza odstąpił nieco, gdy Światopełkowi ludzie, mimo że im hasło jakieś krzyczał, napadli nań i zasiekli. Zbroja piękna którą wdział na siebie tego ranka była zabójstwa przyczyną, nie dali mu bowiem zastygnąć i natychmiast poczęli go z niej i z szat odzierać, o które się z sobą pokłócili...

Na polach dokoła wśród podnoszącej się mgły, widać było uchodzących kupami ludzi, pogonie i krwawe walki...

Zaledwie nadjeżdżający napowrót Plwacz kaplicę i mieszkanie księży potrafił ochronić od znieważenia i rabunku. Pomorzanie Światopełkowi na pół jeszcze poganie, nie szanowali świętości żadnych, a tem mniej tych które u nieprzyjaciela znajdowali.

Dzień cały przeszedł na zbieraniu łupów, na rozgrabianiu żywności, na zwycięskiej rozpuszcie. Przez cały ten czas żyjący jeszcze ks. Henryk Śląski leżąc musiał przykryty trupem swego wiernego Peregryna, ranny, oblany krwią zastygającą... nie śmiejąc dać znaku życia.

Plwacz, który wpadł na chwilę do izby z kilku ludźmi, popatrzył na łożo w milczeniu, zamruczał coś i — wysliznął się chmurny... Związki krwi łączyły go dawniej z Henrykiem... Wieczorem cała gromada Światopełkowa zaczęła z wozami i łupieżą zabierać się odciągać ku Nakłu...

Ludzie którzy się pochowali po zaroślach, w trzcinach nad stawem, w lesie, ostrożnie ku zburzonemu i opustoszałemu wracali obozowi.

Jedni z pierwszych byli niemcy ks. Henryka, z których kilku dostało się do izby i posłyszawszy jęki rannego, natychmiast zdjęli z niego zabitego Peregryna.

Potrzeba było spieszyć z ocaleniem jeszcze żyjącego księcia, który cudem i bohaterским poświęceniem się swojego wiernego sługi, pozostał z resztką tchu w piersi i oznakami życia. — Natychmiast ludzie ci przygotowali nosze z gałęzi, i wśród ciemności nocnych podążyli do lasu... Po drodze przyłączyło się do nich więcej zbiegów, tak że z małym oddziałem miał książę Śląski nadzieję dostania się do Wrocławia...

Jakie były następstwa tego dramatu strasznego, opowiadają dzieje. Światopełk z Pomorzem oderwał się zupełnie od Polski... Śmierć Leszka wywołała walkę pomiędzy Henrykiem Śląskim a Konradem, o opiekę nad wdową i małoletnim Bolesławem, długie wojny i niepokoje. Laskonogi nie przestał bronić się bratankowi, który w końcu ogarnął całą dzielnicę polską...

Smutne dzieje tych czasów są jednym ciągiem bojów dla panowania, panowania dla bojów. — Jedno duchowieństwo wśród tego zamętu stoi niewzruszone na swym stanowisku, w obronie prawa, którego idea zaciera się i mąci...

W ostatku prawem jedynym oręż który wszystko rozstrzyga...

X

Zameczek na stromym brzegu rzeki, zwał się Lambach... Jeden to był z tych burgów rycersko-rozbójniczych, jak gniazda sępów porozstawianych na wyżynach, na straży rzek i gościńców... Siedział w nim zaczajony mąż zbrojny z kupą pacholków i oko miał a ucho na okolicę.

Zwykle gniazdo takie mieściło się w pobliżu brodu, przewozu lub mostu, którego ominąć nie mogły karawany kupieckie i wędrowcy; niedaleko wielkiej drogi handlowej, łączącej dwa kraje...

Na gościńcu rycerz miał ludzi co czaty sprawiali zdaleka i oznajmywali gdy się dobry łup obiecywał. Dobierano czas i miejsce do napadu, a liczono się z siłami, bo rzadko kupcy i wędrowcy bez orszaku zbrojnego się puszczali. Od jednych brano okup skromny, drugich zagarniano jak trzodę, odzierano i sadzano do ciemnic. Z niewoli można się było wyzwolić groszem...

Rzemiosło to zwało się szlachetnem i rycerskiem. Niekiedy sposobnego czasu, przy większych siłach puszczano się dalej na łowy. Lambach był takim burgiem obronnym, obwarowanym i panował nad kawałkiem saskiego kraju nad granicą, aż po promień drugiego zamku, w którym zasiadał inny rycerz drapieżny.

Podwójnym obwiedziony murem, z wyniesionem w drugim podwórku wysoko *dominium*, krągłą wieżycą — z małemi bastyonikami po rogach, z przekopem i mostem od strony łądu, uchodził za niezdojbyty...

Lecz świetne jego czasy gdy żył stary Henno już były minęły... Raniony w czasie jakiegoś napadu, rycerz ów po kilku miesiącach próżnych leków, zmarł zostawując wdowę i jednego niedorosłego syna. Chcieli się dlań znaleźć opiekunowie, ale Greta równie niepodległego jak mąż ducha nikomu do swego zamku przystępu nie dała. Ludzie jej byli wierni.

Została więc sama z dziecięciami, które się wychowywało po rycersku.

Młody dziedzic burgu nauczył się zawczasu konia dosiadać, mieczem i kopią władać, ze psy po lasach się uganiać, w potrzebie stanąć odważnie, bronić się i napadać, kubki wychylać, piosenki śpiewać i wieść życie pańskie.

Matka widząc w nim żywy obraz ojca, cieszyła się wszystkim... pozwalała na co tylko chciał, wyjątkowo nawet na takie sprawki którychby innemu nie przebaczyła.

Hans ze swojego burgu dostał się dla rycerskiego pasa, na dwór Markgraфа, służył mu, z nim razem jeździł się pokłonić cesarzowi; zaciągnął się na krótko i odbywszy nowicyat, poznawszy świata trochę, do wyższych zaczął sięgać sfer dumnymi myślami.

Właśnie naówczas zaczynał się w Niemczech słać zakon rycerzy szpitala P. Maryi, zaciągali się doń młodzi ludzie, chciwi walk i wypraw awanturnicznych. Przez przyjaciela swego Gerona, którego stryj był już rycerzem tego zakonu, młody Hans wyrobił sobie że go jako ochotnika na próbę wziął jadący na Mazowsze Konrad von Landsberg...

Widzieliśmy jak dwaj młodzi nieszczęśliwie padłszy ofiarą zuchwalstwa swego, musieli zań pokutować w zamku na Białej Górze...

Gero i Hans rozmówiali się w dwu Halkach, do których ich stara Dzierła podprowadzała. Wieczory spędzane z niemi rozbudziły namiętność w obu, a dziewczęta dały się urokowi młodości, nowości, jakimś czarowi który dwu rannych w ich oczach bohaterami czynił — pociągnąć ku nim...

Lecz — miłość to była jak te dwie istoty dziwna i smutna. Hala i Halka nie mogły mieć dwu uczuć, dwóch miłości — dwóch ulubionych. — Same nie wiedząc o tem obie zarówno pokochały Hansa. Nie zdawało się im to dziwnem — dla nich inaczej miłość przyjść nie mogła tylko jedną.

Gero namiętnie kochał tę jedną połowę dwóch Halek, pewien będąc że uśmiechy ich na pół do niego, w połowie do Hansa należały. — Z Hansem nie mówili nawet o tem, odrazu w myśli podzieliwszy się skarbem który pochwyć postanowili, choćby go życiem przyszło przypłacić.

Uciekwszy z zamku Waligóry, Hans zdołał szczęśliwie powrócić do matki z Geronem. — Postanowili oba zabrać ludzi, wyszukać pewnego przewodnika któryby ich lasami i manowcami doprowadził do Białej Góry, i dwie Halki porwać ztamtąd. Szalony ten zamysł udało się im wykonać szczęśliwiej niż się spodziewali.

Gero w czasie pobytu na grodzie porobił znajomości, wcisnął się sam naprzód niepostrzeżony, przekupił kilku ludzi, którzy potrafili czujność innych oszukać.

Nie wątpili oba że Halki pójdą za nimi, bo im obiecywali ożenienie — po którym stary ojciec musiał przebaczyć...

Wśród nocy wśliznąwszy się do zamku, Hans i Gero nieświadome życia dziewczęta chwycili pod pozorem że z nimi pojedą wprost do kościoła...

Lecz zaledwie byli na koniach, wioząc każdy z osobna swą zdobycz, otoczyła ich kupa zbrojna i musieli unikając pogoni, prawie bez spoczynku lasami się przebierać do saskiej granicy. Dwie Halki pół żywe, rozdzielone raz pierwszy w życiu, patrząc ku sobie, płacząc, przelekle dostały się do burgu Hansa... Tu najpierwej pobiegły ku sobie, objęły się rękami i tak połączone znowu omdlały...

Stara Greta, która dla syna gotową była na wszystko, przyjęła dziewczęta z macierzyńską troskliwością, chociaż nadzwyczajne ich podobieństwo, i przywiązanie do siebie wprawiało ją w jakąś zabobonną obawę.

Dopóki Halki nie nabrały sił, dano im odpoczywać... Gero czekał by należną sobie część dostać. Lecz, gdy się upomniał o jedną z nich, żadna się rozstać z drugą nie chciała — i obie zgodnie okazały dla Gerona wstręt prawie.

Hans przecie dwóch żon mieć nie mógł. — Greta mruczała aby je obie odprawić. Podobieństwo ich było dla niej dowodem że nie niewiastami jak inne, ale duchami jakimiś ziemi na pokusę ludzką stworzonymi być musiały...

Gero wpadł w gniew wielki i wściekłość, bo Hans broniąc Halek, żadnej mu oddać nie chciał z powodu że się opierały.

Wyzwali się więc dwaj przyjaciele i poranili, a Gerona z zamku wygnano.

Hans został z dwoma siostrami, rozmiłowany w nich, strofowany przez matkę, w sporze ciągłym ze starą Gretą.

Dziewczęta kochały go, płakały, jedna gotowa była drugiej odstąpić go za męża, ale żadna nie chciała przyjąć ofiary.

Stara Greta pobożna i zabobonna, rozgniewana na syna, w końcu nie widziała innego ratunku — tylko pozbyć się tych istot niebezpiecznych.

Lecz że je miała za jakieś duchy w ciało ludzkie zaklęte, obawiała się zemsty tego niewidzialnego świata, do którego należały. — Hansowi nie wolno było do nich przystąpić inaczej jak przy matce, która lękała się o swe dziecko aby związek bliższy z temi czarnoksiężnicami nie pociągnął go na wieki gdzieś w otchłanie.

Pomiędzy matką a synem nieustanne trwały spory. — Do wieży w której trzymała Halki przystęp był wzbroniony, klucz u jej pasa... Hans szalał, lecz matka o duszę dziecka troskliwa, była nieprzełamana.

A dwoje biednych dziewcząt zamkniętych płakało i schło z tęsknoty, z niepokoju i obawy.

Stan ten niepewności przedłużał się — i nie szczęśliwa matka nie wiedziała jak wyjść z niego.

Jednego dnia chciała dziewczęta życia pozbawić, drugiego lękała się zemsty duchów...; czasem łzy, bladłość, wynędznienie tych ofiar budziły w niej litość.

Hans przychodził do tego szaleństwa że starą matkę chciał uwięzić, aby mu nie przeszkadzała, lecz ludzie byli jej wierni, a Greta ostrożna.

Z dwóch świeżych kwiatków, które Niemcy porwali z Białej Góry, wkrótce pozostały dwa cienie uwiedle, milczące — w oczach zdające się rozplywać.

Objąwszy się rękami pół dnia drzemały, główki przycisnąwszy ku sobie, płakały drugą połowę. W nocy bały się spać bo im się zdawało, że we śnie mogą je napaść mordercy.

Hansa matka wpuszczała tu coraz rzadziej, mówiła mu, że dziewczęta były chore i że ta choroba na niego przejść może...

Jednego dnia gdy stara Greta sama przysła do wieży, Halki drżące padły na nią na kolana, prosząc aby je puściła do domu...

— Wróciemy tam! — mówiły — my tu dla was ciężarem — a nam niewola śmiercią. Puść nas!...

Greta byłaby to uczyniła chętnie, lecz obawiała się aby syn nie pobiegł za nimi.

A dziewczęta tak ją po nogach całowały i błagały, że się zadumała. Wysła nasepiona i gniewna...

Halkom miłość wystygła w sercu, jednym kochanym podzielić się nie mogły, żyć bez siebie i tego wspólnego życia by nie umiały — musiały wracać tam, gdzieś, do starego ojca i do śmierci marzyć o dwu kochankach, którzy by byli tak jednym, jak one jedną były istotą.

Tymczasem Hans z gniewu i ciągłych sporów z matką zachorzał. Gorączka go w łóżku trzymała bezprzytomnego dni kilka.

Gdy wstał i zażądał aby go Greta puściła do wieży, dała mu od niej klucz obojętnie, nie idąc sama.

Hans pobiegł na wschody jak szalony, otworzył drzwi, krągła izba w której mieszkały stała pusta...

Okno otworem.

Na ławie leżała jakby zapomniana chusta co lzy ocierała, naczynia i sprzęty nie poruszone zdały się wczoraj jeszcze postawione dla nich... ale dwóch Halek już tu nie było.

Hans krzyknął z boleści takim głosem, iż i służba zamkowa i stara matka nadbiegła. Rzucił się, wołając co się stało z dziewczętami, grożąc śmiercią, chwytając za nóż.

Greta ręce złożonywszy na piersiach, nieporuszona stała naprzeciw niego, nieodpowiadając mu.

Dawała się wylać gniewowi, wypalić płomieniom.

Gdy Hans zapomniawszy poszanowania wszelkiego, przyskoczył ku niej rozszonony, dziki, wskazała mu zimno na drzwi i rzekła.

— Idź, szukaj ich — uciekły dwie wiedźmy twoje! Niewiem jak i dokąd, oknem, podziemiem... przez ścianę, ale — uszły...

Ja o nich nie wiem!!

I nikt o nich nie wiedział na zamku, nikt nie dostrzegł uchodzących, nikt nie słyszał szmeru, ni jęku...

Hans napróżno kilkadziesiąt grzywien złota obiecywał temu co mu ślad wskaże. Śladu nie było, wieści nie było.

Matka widząc rozpacz syna, na krzyżu mu przysięgła, że nie wie dokąd uciekły, że śmierci ich na sumieniu nie ma.

Zwłókł się Hans nazad na swe łożo i postanowił nie przyjmować pokarmu, a umrzeć lepiej niż żyć bez nich...

Stara Greta siadła przy nim, choć ją odpychał, całując w głowę i obejmując rękami drżącymi. Gorączka wróciła znowu, i Hansa trzeba było trzymać kilku ludziom, aby w szaleństwie nie porwał się na matkę i na siebie...

Dopiero po kilku dniach osłabły wpadł w sen ciężki i zdawało się że mu życie powróci, ale wkrótce śmierć przyszła.

Na Białej Górze jakimś cudem, wśród opustoszałego zamczyska, bo Waligóra już nie żył, i gród stał tak jak beański — ujrzeli ludzie u wrót które stały teraz na oścież otwarte, dwie białe, chwiejące się na osłabłych nogach, ku bramie dążące niewiasty.

Przodem szła zgięta staruszka o kiju, która je prowadziła.

Szły tak, szły zadumane, nie patrząc, jak senne i weszły we wrota, w podwórze i powlokły się do dworca, którego drzwi były kołem podparte.

Ludziom się zdało, że widzą cienie dwóch Halek, przestraszyli się, i zbliżyć nie śmieli, a one u drzwi siadły na ziemi, założyły ręce na szyję, przycisnęły główki i zdały się usypiać.

Starsze baby — powoli przybliżyć się zaczęły ośmielone.

Jedna przypęzła do nich — Halki to były żywe jeszcze, lecz już w pół snem śmierci ujęte. Gdy ujrzały starą prządkę, wskazały na drzwi dworu... otwarto je...

Wstały chwiejąc się i weszły.

Na ognisku popiół tylko i węgle leżały, po izbie wiało chłodem zimowym... Poszły na dawne miejsce swoje do starego znanego kątku i siadły w nim spokojnie, nie żądając nic, nie przemówiwszy, objęły się — usnęły...

Czeladź tym cudem przerażona w początku jęła się niecić ogień. Ludzie się zbiegali, tłum stanął u drzwi, zalegał u progu... Baby przystawiały garnki do ognia, nieciły coraz większy płomień, zbliżały się do dziewcząt śpiących, ale ich nic nie budziło.

Były blade jak rąbek, który im główki osłaniał.

Noc nadeszła a one spały, i minęła a nie zbudziły się, zaświtał ranek — pozostały nieporuszone...

Aż prządka niespokojna odważyła się zbliżyć i dotknąć ich rąk... Dłonie ściśnięte, były jak lód zimne — uszło z nich życie. Halki wróciły tu aby umarły... I nazajutrz w jednej trumnie, tak jak siedziały uściśnięte, z rękami splecionymi, których nic rozerwać nie mogło po zgonie, poniesiono dwie białe siostrzyczki — do grobu.

1879. Sierpień.

Drezno.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/waligora/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Waligóra: powieść historyczna z czasów Leszka Białego, T. 1, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff. M. Glücksberg [etc.], Krawków 1880.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0471-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).